PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LIII. Tom 210.

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1936

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Pius XI — papież pokoju.[1])

W sposób zgoła niepowszedni obchodzimy tym razem święto papieskie. Do wspólnego Ojca wszystkich wiernych zbliża się dziś stolica Polski nietylko z pieśnią i słowem, ale zarazem z darem. Darem tym jest ten wspaniały gmach, imieniem Piusa XI nazwany, a cały poświęcony temu dziełu, któremu On tak podstawowe przypisuje znaczenie: Akcji Katolickiej. Możność uczczenia Ojca świętego w tak godny sposób zawdzięcza Warszawa swemu Najprzewielebniejszemu Arcypasterzowi. Przekazując przyszłym pokoleniom to potężne świadectwo naszej wiary, ks. kardynał Kakowski postawił idei, której służył z takiem oddaniem przez półwieku wzorowego kapłaństwa, pomnik będący naprawdę *aere perennius*: trwalszą bowiem od spiżu jest ofiarna miłość.

Nas wszystkich i każdego z osobna, którzyśmy dzięki tej fundacji po raz pierwszy mogli zebrać się u siebie, nie stać oczywiście na jakiekolwiek dary dla Papieża. Czyż jednak Ojcu w dniu jego święta dzieci tylko darami miłość mogą okazać? Niemniej cennym jej dowodem będzie żywy i serdeczny udział w Jego troskach. Nigdy nie skąpiła ich Opatrzność Piusowi XI. W każdą rocznicę koronacji obok radości musiał odczuwać troskę o ten lub inny kraj, na wschodzie lub na zachodzie, w starym lub nowym świecie, gdzie Kościół, Jego pieczy powierzony, cierpiał udrękę i prześladowania. Dziś jednak ta troska jest szczególnie dotkliwa. Wszak w chwili, gdy na całym świecie odbywają się

[1]) Przemówienie wygłoszone dn. 23 lutego 1936 r. w wielkiej sali Domu Katolickiego w Warszawie na uroczystości poświęcenia Domu i rocznicy koronacji Ojca świętego.

uroczyste obchody ku czci Papieża, równocześnie leje się krew: z jednej strony krew Jego własnego narodu, który tak niedawno słusznie nazwał narodem wielkim i dobrym, a z drugiej strony krew jednego z tych ludów zamorskich, które On, Papież misyj, z taką pieczołowitością pragnąłby przygarnąć do wspólnej owczarni. Ból Jego jest tem większy, że nietylko nie wysłuchano Jego upominań na rzecz pokoju, ale nadto zarzuca Mu się z różnych stron, jakoby nie uczynił w tej sprawie wszystkiego, co do Niego należało.

W takiej chwili nawet przemówienie okolicznościowe nie może ograniczyć się do ogólników. Najlepiej uczcimy Ojca świętego, najlepiej wynagrodzimy Mu te krzywdzące zarzuty, jeżeli wbrew wszystkiemu oddamy Mu dzisiaj hołd właśnie jako Papieżowi pokoju.

Na to zaszczytne miano Pius XI zasłużył z różnych względów. Historja musi Mu je przyznać chociażby dlatego, że pokój był niewątpliwie naczelnem zagadnieniem polityki światowej, które pochłaniało Jego uwagę w ciągu całego dotychczasowego pontyfikatu. W obrębie tych lat czternastu, tak pełnych wydarzeń i zmian, odróżnić można trzy okresy, w których sprawa pokoju przedstawiała się rozmaicie.

Gdy w r. 1922 obejmował rządy Kościoła po Papieżu wielkiej wojny, Benedykcie XV, daleko było jeszcze do ogólnej pacyfikacji. Wprawdzie z wyjątkiem Bliskiego Wschodu ustał już szczęk oręża, a traktaty pokojowe były podpisane i ratyfikowane; ale jaskrawym był wówczas jeszcze podział na zwycięzców i zwyciężonych, miedzy którymi toczyły się ciężkie obrachunki moralne i materjalne. Zwoływane zaś raz po raz konferencje międzynarodowe, do których zrazu także Stolica Apostolska poważne przywiązywała nadzieje, jak zwłaszcza polityczna w Genui lub ekonomiczna w Brukseli, nie doprowadzały do żadnego rezultatu. Okres ten najlepiej charakteryzuje pierwsza z wielkich encyklik Piusa XI, wydana w pierwsze Boże Narodzenie po Jego koronacji, encyklika *Ubi arcano Dei*, poświęcona zagadnieniu pokoju Chrystusowego i analizie przyczyn stojących na przeszkodzie jego urzeczywistnieniu.

Mniej więcej od r. 1925 zdawała się następować zmiana na lepsze. Oprócz Ligi Narodów, do której wchodziły coraz

to liczniejsze państwa, inne uroczyste zobowiązania międzynarodowe gwarantowały pokój, czy to na szczególnie zagrożonych obszarach, czy też nawet na całym świecie. Wszystkie — że wymienimy tylko Locarno i pakt Kellogg'a — Watykan, mimo ich niedostatków, witał jak najprzychylniej. Ale pierwszy dostrzegł po kilku zaledwo latach, że tak samo, jak fikcyjnym był dobrobyt, zdający się świadczyć o przezwyciężeniu gospodarczych następstw wojny, tak nowe niebezpieczeństwa zaczęły zagrażać ledwo co utwierdzonemu pokojowi.

Zwrócił na nie uwagę Pius XI na Boże Narodzenie 1930 r. Już wtedy bowiem po raz pierwszy rzucił w świat, pełen jeszcze złudzeń, groźne, starotestamentowe zaklęcie: *Dissipa gentes, quae bella volunt.* Musiał je powtórzyć, z większym jeszcze naciskiem, cztery lata później. W międzyczasie bowiem zaczęły się spełniać Jego przewidywania, którym zrazu sam nie chciał dawać wiary. Już podczas konferencji rozbrojeniowej, tak długo przygotowywanej, choć może zbyt pośpiesznie zwołanej, rozwinęły się jakby na urągowisko wypadki wojenne na Dalekim Wschodzie, a wślad za tem przystąpiono wszędzie do ponownego wyścigu zbrojeń, tylekroć potępionego przez wszystkich pokolei papieży naszych czasów. Daremnie Pius XI każdą nową wojnę zgóry piętnował jako czyn morderczy a zarazem samobójczy. Doszło bowiem wreszcie do wypadków, które dziś przeżywamy z tem większym niepokojem, iż wyrasta na ich tle widmo wojny ogólnej, tem potworniejszej, że niewiadomo właściwie, jakąby miała być jej przyczyna ani po jakiej stronie walczyłyby poszczególne narody.

Na tem historyk urwać musi swoje rozważania, ograniczając się do życzenia, aby nowy rok a może zarazem nowy okres pontyfikatu Piusa XI, który obecnie się rozpoczyna, przyniósł znowu, wbrew tym obawom, zwrot na lepsze. Już dotąd jednak Ojciec św. nie ograniczał się do bacznego śledzenia sytuacji światowej pod względem lepszych czy gorszych widoków utrzymania pokoju, lecz przedewszystkiem w każdym zakresie własnej działalności niestrudzenie dla pokoju pracował.

W tem znaczeniu okazał się papieżem pokoju nasamprzód w Swym charakterze najwyższego Kapłana, jako *sum-*

Mimo tak wszechstronnej pracy Piusa XI dla pokoju odzywają się — czasem nawet w dobrej wierze — głosy ubolewania, że nie idzie jeszcze dalej w tym kierunku, czy to przez wyraźniejsze potępienie pewnych konkretnych poczynań, czy też przez czynną interwencję. Jeden i drugi zarzut wynikają z niezrozumienia zarówno tej istotnej potęgi, jaką reprezentuje Papiestwo, jak też granic możliwości, w jakich rozwija swoją działalność.

Wyjątkowy autorytet każdego wypowiedzenia się Ojca świętego opiera się na Jego nieomylności. Na tej nieomylności, która w logicznej budowie nauki katolickiej jest jednym z najistotniejszych dogmatów, ale właśnie dlatego ogranicza się do prawd wiary i zasad moralności. Stąd z jedynym na świecie autorytetem nieomylności wypowiada się Papież tylko o prawdach zasadniczych dotyczących pokoju i wojny; nie byłby natomiast nieomylny i tem samem mógłby własny autorytet dotkliwie narazić, gdyby wyrokował o poszczególnych wypadkach politycznych, dziś właśnie tak wyjątkowo zawiłych, że powodują wątpliwości i wahania najwytrawniejszych mężów stanu.

Ci zaś, którzyby pragnęli, aby Stolica Apostolska bezpośrednio zahamowała tę czy inną wojnę, zapominają o tem, że nawet w stuleciach swej największej potęgi politycznej, gdy Państwo Kościelne sięgało od morza do morza, rozporządzała ona tylko dwoma na to środkami: klątwą lub krucjatą. Otóż nikt chyba nie pragnie, aby tymi właśnie środkami szafowała w warunkach współczesnych. Zawodziły one niejednokrotnie nawet w czasach, gdy wielcy papieże średniowieczni mieli do czynienia z rzeszą państw bez wyjątku katolickich a po części uznających wprost zwierzchnictwo Stolicy Apostolskiej. Dziś natomiast te środki najprawdopodobniej wcaleby nie skutkowały, w najlepszym razie krępowałyby właśnie państwa najbardziej katolickie na korzyść innych, w każdym zaś razie stawiałyby niezliczone rzesze wiernych wobec tragicznych wprost konfliktów wewnętrznych i rozterek sumienia.

W inny zgoła sposób przeprowadza nasz Papież pokoju to, cobyśmy nazwać mogli powszechną mobilizacją katolickich sumień, a co zarazem stanowi trzecie i ostatnie

uzasadnienie takiego właśnie określenia roli dziejowej Piusa XI. Papież Akcji Katolickiej, który wszystkich, nietylko duchownych, ale i świeckich, powołał do udziału w pracy apostolskiej, wzywa nas też wszystkich bez wyjątku do udziału w pracy dla pokoju.

Jest to całkiem oczywiste, o ile chodzi o tę stronę Jego działalności pokojowej, która polega na modlitwie. Pod tym względem wystarczy zauważyć, że więcej od wszelkich uroczystych obchodów ucieszyłoby w obecnej chwili Ojca świętego postanowienie powzięte w jak najliczniejszych sercach, że każde z nich, za Jego przykładem i łącząc się z Jego intencją, wzniesie do tronu Bożego swą własną, chociażby najkrótszą, lecz gorącą modlitwę o pokój świata.

Mogłoby się wydawać, że do współudziału w pracy nad sprecyzowaniem i ugruntowaniem doktryny Kościoła w sprawie pokoju może być powołany nieliczny tylko zastęp teologów i filozofów, prawników, historyków i socjologów katolickich. A jednak i w tej dziedzinie każdy wogóle katolik, bez względu na uzdolnienie i wykształcenie specjalne, ma swój obowiązek do spełnienia. Polega on na poznaniu i przyswojeniu sobie samemu, oraz na rozpowszechnianiu wśród innych ludzi tych wszystkich zasad katolickiej nauki, które w tej wyjątkowo trudnej materji już zostały ustalone w ciągu wieków, a zwłaszcza tak wspaniale rozwinięte i zastosowane do współczesnych potrzeb przez Piusa XI. Właśnie nad tem, co Kościół naucza o pokoju, tylu katolików, nawet dobrze skądinąd uświadomionych religijnie, przechodzi w dziwny sposób do porządku dziennego.

Do jeszcze szczuplejszego grona osób zdaje się zwracać apel Papieża o czynną współpracę w zachowaniu i ugruntowaniu pokoju. Istotnie zwraca się on przedewszystkiem do naczelników państw, których władza pochodzi od Boga, którzy jednak właśnie dlatego, jak to pięknie wyraża Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, przed Bogiem i historją ponoszą odpowiedzialność za losy tych państw, a tem samem za pokój świata. Zwraca się on do mężów stanu i dyplomatów, którzy z racji swego zawodu najwięcej mówią o pokoju, ale zarazem starać się winni, aby tym słowom odpowiadały czyny, jak to stwierdzamy z tak słusznem uznaniem o tylu

Mimo tak wszechstronnej pracy Piusa XI dla pokoju odzywają się — czasem nawet w dobrej wierze — głosy ubolewania, że nie idzie jeszcze dalej w tym kierunku, czy to przez wyraźniejsze potępienie pewnych konkretnych poczynań, czy też przez czynną interwencję. Jeden i drugi zarzut wynikają z niezrozumienia zarówno tej istotnej potęgi, jaką reprezentuje Papiestwo, jak też granic możliwości, w jakich rozwija swoją działalność.

Wyjątkowy autorytet każdego wypowiedzenia się Ojca świętego opiera się na Jego nieomylności. Na tej nieomylności, która w logicznej budowie nauki katolickiej jest jednym z najistotniejszych dogmatów, ale właśnie dlatego ogranicza się do prawd wiary i zasad moralności. Stąd z jedynym na świecie autorytetem nieomylności wypowiada się Papież tylko o prawdach zasadniczych dotyczących pokoju i wojny; nie byłby natomiast nieomylny i tem samem mógłby własny autorytet dotkliwie narazić, gdyby wyrokował o poszczególnych wypadkach politycznych, dziś właśnie tak wyjątkowo zawiłych, że powodują wątpliwości i wahania najwytrawniejszych mężów stanu.

Ci zaś, którzyby pragnęli, aby Stolica Apostolska bezpośrednio zahamowała tę czy inną wojnę, zapominają o tem, że nawet w stuleciach swej największej potęgi politycznej, gdy Państwo Kościelne sięgało od morza do morza, rozporządzała ona tylko dwoma na to środkami: klątwą lub krucjatą. Otóż nikt chyba nie pragnie, aby tymi właśnie środkami szafowała w warunkach współczesnych. Zawodziły one niejednokrotnie nawet w czasach, gdy wielcy papieże średniowieczni mieli do czynienia z rzeszą państw bez wyjątku katolickich a po części uznających wprost zwierzchnictwo Stolicy Apostolskiej. Dziś natomiast te środki najprawdopodobniej wcaleby nie skutkowały, w najlepszym razie krępowałyby właśnie państwa najbardziej katolickie na korzyść innych, w każdym zaś razie stawiałyby niezliczone rzesze wiernych wobec tragicznych wprost konfliktów wewnętrznych i rozterek sumienia.

W inny zgoła sposób przeprowadza nasz Papież pokoju to, cobyśmy nazwać mogli powszechną mobilizacją katolickich sumień, a co zarazem stanowi trzecie i ostatnie

uzasadnienie takiego właśnie określenia roli dziejowej Piusa XI. Papież Akcji Katolickiej, który wszystkich, nietylko duchownych, ale i świeckich, powołał do udziału w pracy apostolskiej, wzywa nas też wszystkich bez wyjątku do udziału w pracy dla pokoju.

Jest to całkiem oczywiste, o ile chodzi o tę stronę Jego działalności pokojowej, która polega na modlitwie. Pod tym względem wystarczy zauważyć, że więcej od wszelkich uroczystych obchodów ucieszyłoby w obecnej chwili Ojca świętego postanowienie powzięte w jak najliczniejszych sercach, że każde z nich, za Jego przykładem i łącząc się z Jego intencją, wzniesie do tronu Bożego swą własną, chociażby najkrótszą, lecz gorącą modlitwę o pokój świata.

Mogłoby się wydawać, że do współudziału w pracy nad sprecyzowaniem i ugruntowaniem doktryny Kościoła w sprawie pokoju może być powołany nieliczny tylko zastęp teologów i filozofów, prawników, historyków i socjologów katolickich. A jednak i w tej dziedzinie każdy wogóle katolik, bez względu na uzdolnienie i wykształcenie specjalne, ma swój obowiązek do spełnienia. Polega on na poznaniu i przyswojeniu sobie samemu, oraz na rozpowszechnianiu wśród innych ludzi tych wszystkich zasad katolickiej nauki, które w tej wyjątkowo trudnej materji już zostały ustalone w ciągu wieków, a zwłaszcza tak wspaniale rozwinięte i zastosowane do współczesnych potrzeb przez Piusa XI. Właśnie nad tem, co Kościół naucza o pokoju, tylu katolików, nawet dobrze skądinąd uświadomionych religijnie, przechodzi w dziwny sposób do porządku dziennego.

Do jeszcze szczuplejszego grona osób zdaje się zwracać apel Papieża o czynną współpracę w zachowaniu i ugruntowaniu pokoju. Istotnie zwraca się on przedewszystkiem do naczelników państw, których władza pochodzi od Boga, którzy jednak właśnie dlatego, jak to pięknie wyraża Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, przed Bogiem i historją ponoszą odpowiedzialność za losy tych państw, a tem samem za pokój świata. Zwraca się on do mężów stanu i dyplomatów, którzy z racji swego zawodu najwięcej mówią o pokoju, ale zarazem starać się winni, aby tym słowom odpowiadały czyny, jak to stwierdzamy z tak słusznem uznaniem o tylu

politykach złotego wieku naszej Ojczyzny. Zwraca się wreszcie ten apel do wodzów wszystkich armij, aby za wzorem nieznanych rycerzy, pełniących straż na tatarskich szlakach, za wzorem zwyciężonych z pod Lignicy i Cecory, zwycięzców z pod Wiednia i Warszawy, tylko w obronie spraw najsłuszniejszych przed Bogiem i ludźmi dobywali i dobywać kazali śmiercionośnego oręża.

Ale pokój Chrystusowy tem się różni od pokoju, jaki daje świat, że o wiele szersze obejmuje kręgi. I dlatego ten sam również apel skierowany jest zarazem do wszystkich stanów i zawodów, choćby najdalej stojących od wielkich zagadnień międzynarodowych. Kto się zajmuje polityką wewnętrzną, niech przyczynia się do pokoju między stronnictwami. Kto pracuje społecznie, niech go krzewi w stosunkach między warstwami społecznemi. Kto zakłada ognisko rodzinne, niech czuwa nad pokojem między członkami rodziny. Każdy wkońcu, chociażby najskromniejsze zajmował miejsce, niech się stara o pokój w głębi własnej duszy, która stworzona na obraz i podobieństwo Boże ma swe zadanie wyznaczone we wszechświecie, tak, że pokój naprawdę powszechny i od niej także zależy.

To właśnie uniwersalne znaczenie pokoju tłumaczy nam, dlaczego to słowo powraca tak często w ustach Papieża, którego rządy cechuje tak wszechstronny uniwersalizm. A jeśli się dziwimy, że tak mało dotąd znajduje echa, to przypomnijmy sobie, że to samo słowo, powtarzające się niemniej często na kartach Ewangelji, należy niewątpliwie do tych słów Zbawiciela, które padają dotychczas na skalisty grunt. Czas jednak najwyższy, aby wreszcie znaleźli się tacy, którzy je przyjmą do serc swoich, aż według przepięknej przypowieści w cierpliwości wyda plon. Któryż zaś naród ma się do tego przyczynić, jeśli nie ten, który Królowę pokoju wybrał Królową swej własnej Korony? Wtedy dopiero Polska odrodzona spłaci dług wdzięczności wobec Boskiego Księcia pokoju, który z zawieruchy wojennej wyprowadził ją na światło wolności, i wobec Papieża pokoju, który od lat czternastu nie przestaje jej błogosławić. Wtedy urzeczywistni marzenia swych najlepszych synów, którzy,

etykę chrześcijańską chcieli widzieć tam, gdzie rzekomo niema dla niej miejsca: w polityce, i wtedy prawdą staną się słowa, które na sklepieniu tej sali swemi złotemi literami wieńczą jakgdyby wspólną koronę postacie jej fundatora i jej patrona: *In omnibus Christus.*

O. Halecki.

Przenikanie bezbożnictwa do umysłowości polskiej.[1])

Bezbożnictwo, t. j. zaprzeczanie istnienia Boga i odrzucanie wszelkiej religji, nie jest w świecie zjawiskiem nowem. Jakkolwiek zawsze i wszędzie ludzie, jako masa, jako ogół, byli wierzący i religijni, wszakże trafiały się zawsze sporadyczne wyjątki, bywali ludzie, którzy wiarę w Boga czy bogów odrzucali, lub istnienie niewidzialnego świata podawali w wątpliwość. Materjalizm filozoficzny nie jest wynalazkiem dopiero naszych czasów; posiadał on zwolenników już wśród starożytnych Hindusów, wyznawali go poszczególni myśliciele Grecji i Rzymu, cienką nicią przewijał się on poprzez myśl ludzką wśród świata chrześcijańskiego, by rozplenić się wreszcie w końcu XVIII stulecia we Francji, ogarnąć w w. XIX umysły wielu przyrodników w Niemczech, stać się nakoniec podstawą marksowskiej teorji ustroju społecznego. A w materjaliźmie tkwi także ateizm — bezbożnictwo. W gruncie rzeczy bezbożną jest także każda odmiana panteizmu, usuwająca rozróżnienie między Bogiem a światem, niema bowiem w panteizmie miejsca dla Boga osobowego, wolnego, niema miejsca na Opatrzność, ani na jednostkową człowieka nieśmiertelność, słowem niema miejsca na religję. A wiadomo, jak od czasów Giordana Bruno, a zwłaszcza od Spinozy panteizm owładnął umysłami wielu myślicieli.

[1]) Referat wygłoszony na zebraniu redaktorów pism katolickich w Warszawie dn. 3. III. b. r. Jakkolwiek niektóre myśli tu poruszone dotknięte już były w poprzednich artykułach na pokrewne tematy (maj 1932, lipiec 1935), ze względu na doniosłość przedmiotu i uznanie, z jakim spotkał się u słuchaczy, nie wahamy się referatu tego ogłosić. (Przyp. Redakcji).

Atoli bezbożnictwo czasów ostatnich, zwłaszcza po wojnie światowej, charakteryzują dwie cechy, prawie obce bezbożności czasów dawniejszych. Bezbożnictwo czasów naszych, po pierwsze, okazuje tendencję do stania się zjawiskiem masowem, a powtóre, wobec religji wszelkiej występuje agresywnie, wojowniczo, bezkompromisowo, usiłując wiarę w istnienie Boga wyrwać z korzeniami z dusz ludzkich.

I tak, swoim masowym charakterem różni się bezbożnictwo naszych czasów, np. od ateizmu „filozofów" francuskich XVIII wieku. Materjalizm Lametri'ego i Diderota, mimo całej propagandy, zaraził umysły tylko arystokratów francuskich i zagranicznych. Bezbożnictwo pozostawało wtedy niemal monopolem elity umysłowej i społecznej, infiltracja jego do mas szerokich dokonała się stosunkowo w niewielkiej mierze. Ateizm przyrodników niemieckich XIX wieku, Büchnerów, Moleschottów i Haeckelów, zwracał się także przedewszystkiem do inteligencji. Dopiero socjal-demokracja nadała mu znamię masowości, propagując go wśród sfer robotniczych, a następnie i wśród ludu wiejskiego. Dopiero Marx z bezbożności uczynił urzędowe wyznanie dla przyszłego społeczeństwa, jakie chciał widzieć na gruzach ustroju kapitalistycznego. Stąd zrozumiałem się staje, że bezbożnictwo rozwija się równolegle i w stosunku prostym do rozwoju marksizmu wogóle. Tam, gdzie zdołano dokonać przewrotu na podstawie ideologji Marxa, to jest w Rosji bolszewickiej, najsilniej też wzrasta bezbożnictwo. Założony tam „Związek bezbożników" liczy już podobno kilkanaście miljonów członków. W innych krajach siła bezbożnictwa odpowiada sile zorganizowanego komunizmu i wyznającego ideologję Marxa, socjalizmu. Bezbożnictwo współczesne, zorganizowane już międzynarodowo, dąży do tego, by się stać jakimś nowym katolicyzmem, nowym Kościołem powszechnym, tylko bez Boga a nawet przeciw Bogu. Masowość i aspiracje do powszechności bezbożnictwa stanowią groźny problem, jaki staje przed społeczeństwami i organizacjami religijnemi w naszych czasach.

Bezbożnictwo naszych czasów jest agresywne wobec wszelkiej religji. „Związek bezbożników" nazywa się urzę-

dowo „Związkiem bezbożników wojujących". Taka postawa była naogół obcą ateuszom dawniejszym. Bywali dawniej (i dzisiaj się trafiają, jako jednostki) bezbożnicy tolerancyjni dla religji, owszem nawet „protektorzy" religji. Wielu, nie wierząc w Boga, uznawało społeczną pożyteczność religji, jako hamulca na egoizmy i namiętności ludzkie, stróża dyscypliny, ładu i własności. Nie widzieli tacy, co mogłoby zastąpić religję pod tym względem i dlatego, uważając ją za przesąd, chcieli ją utrzymać dla szerokich mas, ateizm zachowując dla siebie. Inni bezbożnicy, według własnego o sobie mniemania stanowiący elitę umysłową, marzyli o „wyzwoleniu" mas ludowych z „przesądu religji", spodziewali się wszakże zamierania religji powolnego i bezbolesnego, w miarę popularyzacji nauki i postępu techniki. Nauka miała zastąpić ludzkości metafizykę religijną, to jest wiarę w Boga, a technika uczynić miała zbędnem uciekanie się o pomoc do Boga. Tego typu ateusze z pobłażliwem politowaniem patrzą na wierzącą prostotę, nie uważają wszakże za potrzebne wysilać się na zadawanie wierze śmierci gwałtownej, skoro skazana jest ona — ich zdaniem — na niechybną śmierć naturalną. Otóż ze stanowiskiem ateuszów pomienionych dwóch typów: interesownych protektorów religji i pobłażliwych tolerantów, zrywa całkowicie bezbożnictwo dzisiejsze, zorganizowane i wojujące. Wprawdzie i ono oznajmia niekiedy, że jest przeciwne „prześladowaniom religijnym", że z religją walczy tylko bronią perswazji i oświaty, nie gardzi wszakże i takiemi środkami, jak uniemożliwienie wierzącym propagandy a nawet prostej obrony swych wierzeń, usunięcie religji ze szkół, zakaz nauczania religji młodzieży nawet prywatnie, odarcie Kościoła z wszelkiej własności jako materjalnego warunku organizowania kultu, rozbicie organizacyj religijnych, postawienie poza prawem ogólnem wszystkich, służących nauczaniu religji i kultowi religijnemu. Posiada do tego stopnia swoiste pojęcie prześladowania i tolerancji religinej, że takie środki przedstawia właśnie jako dowody wolności religijnej. [1])

[1]) W świeżej książce polskiego bezbożnika, W. Spasowskiego, poświęconej „rozbudowie nowego ustroju w Z.S.S.R.", czytamy następujące pochwały dla wolności religijnej w Rosji sowieckiej: „Wbrew przewrotnym

Bezbożnictwo dzisiejsze, wojujące, wywołuje prześladowanie religji tak bezwzględne, jakiego dzieje nigdy jeszcze nie notowały. Prześladowanie takie jest faktem tam, gdzie komunizm rozporządza już całym aparatem państwowego przymusu, jak w Rosji, urzeczywistnia się zaś częściowo lub przygotowuje i zapowiada tam, gdzie marksizm robi postępy, gdzie się gotuje do pochwycenia władzy, jak w Meksyku, Hiszpanji, doniedawna w Niemczech. Bezbożnictwo nigdzie nie tai się z tem, że wszędzie zastosuje w całej rozciągłości metody walki z religją, urzędowo stosowane już w Rosji bolszewickiej. Dopóki to nie nastąpiło, bezbożnictwo wojujące wszędzie usiłuje powiększyć swe szeregi, organizuje je i dyscyplinuje i od czasu do czasu wyprowadza je, niby na ćwiczenia przygotowawcze do przyszłej walnej batalji, na pomniejsze rozgrywki z religją, występy przeciwko wierze i jej obrońcom.

Jak się przedstawia sytuacja pod tym względem u nas w Polsce?

Zaiste byłoby rzeczą dziwną wielce, gdyby u nas nie było zorganizowanego i wojującego bezbożnictwa. Sąsiadując z krajami, gdzie ono w najlepsze kwitnie, z Rosją sowiecką, z Niemcami, Czechosłowacją, utrzymując bliskie stosunki kulturalne i polityczne z Francją, przez bezbożnictwo mocno nadgryzioną, cudem chyba moglibyśmy uchronić się

---

i oszczerczym głosom prasy burżuazyjnej, istnieje w Sowietach całkowita wolność sumienia oświeconego! Właśnie dla wyzwolenia sumienia zniesiono tam wszelkie przywileje natury materjalnej, politycznej i kościelnej, jakie mieli ludzie wierzący, kler i organizacje kościelne wszelkich wyznań, żerujące na ciemnocie ludzkiej i będące najwierniejszą oporą dla państwowej reakcji politycznej i wyzysku kapitalistycznego. Nietylko w szkołach, lecz także w licznych innych instytucjach oświatowo-kulturalnych i w niezliczonych dziełach naukowych i filozoficznych prowadzi się zażartą walkę z religijnym światopoglądem zacofanych warstw ludności, jako poglądem fałszywym w założeniu, społecznie reakcyjnym i stanowiącym przeszkodę socjalną w realizacji rozbudowy bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego". Dosłowne! Takie określenie „wolności sumienia" winniby mieć w pamięci wszyscy politycy, którzy uspokajają się zapewnieniami dyplomacji sowieckiej, że w Sowietach istnieje całkowita wolność religijna. W rozumieniu sowieckiem wolność religijna oznacza tylko wolność o d religji, a nie wolność d l a religji, jak na całym świecie wyraz ten się rozumie.

przed zarazą, która odbywa swój triumfalny pochód przez świat. Atoli u nas trudniej, niż w innych krajach, ustalić rozmiary tego spustoszenia w duszach. W Polsce bowiem bezbożnictwo z marką wprost komunistyczną nie może tworzyć jawnych, legalnych związków i albo działa zupełnie w ukryciu, albo maskuje się, występując pod patronatem innych organizacyj. Nie posiadamy żadnych statystyk bezbożnictwa, bo ani bezbożnicy nie ogłaszają cyfr swoich zwolenników, ani Kościoł liczby swoich strat. Że jednak bezbożnictwo owego wojowniczego typu w Polsce się krzewi, tego dowodzą liczne fakty. Cóż innego bowiem oznaczają takie zjawiska, jak niszczenie figur i krzyżów przydrożnych, podpalanie kaplic, albo znieważanie Najśw. Sakramentu bez zamiaru rabunku, o jakich to faktach czytamy od czasu do czasu w dziennikach? O czemże innem mówią fakty zakłócania i ośmieszania publicznych nabożeństw, np. przez wpuszczanie do świątyni jakiegoś zwierzęcia lub ptaka, przez hałasy wyrostków, rozrzucanie antyreligijnych ulotek przed świątyniami? Trudno przypuścić, by to były samorzutne wybryki, raczej zbyt one wyraźnie przypominają występy komsomolców rosyjskich i komunistów niemieckich i nasuwa się wniosek, że są one objawami zorganizowanej akcji bezbożniczej, są zaprawianiem się do podobnych występów na szeroką skalę, skoro tylko warunki polityczne na to pozwolą. Palenie kościołów w Hiszpanji chyba dostatecznie potwierdza nasze wnioskowanie. Najczęściej takie występy przeciwko religji zdarzają się na kresach wschodnich, wśród ludności prawosławnej, nie są jednak od nich zupełnie wolne, jak wiemy z dzienników, także okolice z ludnością unicką, a nawet polsko-łacińską. Zresztą nie wolno się uspokajać tem, że bezbożnictwo znajduje łatwiejszy dostęp do dusz Ukraińców, Białorusinów i Żydów, niż do dusz Polaków, skoro losy tak związały jednych z drugimi, że i od tych drugich zależy przyszłość i zdrowie polskiego państwa a zatem i polskiego społeczeństwa.

Że w Polsce muszą istnieć związki bezbożnicze zależne od komunizmu, to można wnosić z tego, że istnieją nielegalne organizacje komunistyczne, a zarówno teorja jak praktyka komunizmu w innych krajach dowodzi, że propa-

ganda komunizmu, jako partji politycznej wywrotowej, idzie zawsze w parze z propagandą bezbożnictwa, które uważa się za istotny składnik ideologji komunistycznej. Zwłaszcza młodzież komunistyczna wszędzie występuje jednocześnie jako propagatorka bezbożnictwa. A istnienie u nas zorganizowanej młodzieży komunistycznej nie ulega wątpliwości. Mam pod ręką wydaną w Moskwie w r. 1934 broszurę Siekierskiego p. t. *Komsomoł Polszy*. Dowiadujemy się z tej broszury, że w roku jej wydania Związki komunistycznej młodzieży w Polsce liczyły 16.000 członków, że w postaci zakonspirowanych „jaczejek" wciskały się do przeróżnych organizacyj „faszystowskich",[1]) jak do Legjonu Młodych, do Straży Przedniej, do Strzelca, do wojska, że wszędzie usiłowały wprowadzić dezorganizację, infiltrować swoją ideologję, pozyskiwać formalnie członków dla organizacyj komunistycznych. Broszura twierdzi, że się ta akcja w wielu wypadkach udała, że naprz. dzięki rozkładowej robocie jaczejek komsomolskich rozpadły się dziesiątki oddziałów Strzelca; komsomolcom polskim przypisuje się wiele zasługi w wywoływaniu różnych strejków, ruchawek ludowych i t. d.[2]) Mając te przyznania się na uwadze, czy nie naprasza się wniosek, że w szczególności różne występy antyreligijne w prasie lewicowych organizacyj młodzieży, jak naprz. w pismach Legjonu Młodych, były dziełem przedewszystkiem takich ukrytych w ich szeregach jaczejek komsomolskich?

Istnieje w Polsce socjalistyczne Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych (w skróceniu Tur), stawiające sobie jako cel szerzenie kultury i oświaty wśród mas robotniczych. „Tur" rozwija swą działalność legalnie i jawnie, pobierając nawet od państwa subwencje pieniężne. Komsomolcy z broszury Siekierskiego chwalą się z swych wpływów w Turze,

---

[1]) „Faszystami" bolszewicy do niedawna nazywali niemal wszystkich, stojących na prawo od komunizmu, niekiedy nawet socjalistów („socjal-faszyści"). Od pewnego czasu zwężają nieco pojęcie faszyzmu, organizując przeciwko „faszyzmowi" „front ludowy", obejmujący także socjalistów, ludowców, urzędników, biedniejszą burżuazję i t. d.

[2]) Siekierski przyznaje, że najtrudniejsze do przeniknięcia dla komsomolców okazywały się Związki katolickie młodzieży i że na tym terenie nic prawie nie zrobiono.

z całkowitego nawet opanowania niektórych jego ognisk. Niezależnie jednak od tych możliwych wpływów bolszewickiego Komsomołu „Tur" musi być rozsadnikiem bezbożnictwa. Świadczy o tem wydana przezeń w r. 1931 książka zbiorowa p. t. *Socjalizm*, przedstawiająca katalog książek, na których ma się opierać praca oświatowa uniwersytetów robotniczych. W dziale tego katalogu: „Zagadnienia kulturalne i filozoficzne" znajdujemy podane dzieła antyreligijne najwybitniejszych bezbożników polskich, rosyjskich, niemieckich i innych, a zatem Marxa, Łunaczarskiego, Plechanowa, Lenina, z naszych — Radlińskiego, Minkiewicza, ale próżnobyśmy szukali chociaż jednego autora, stojącego na gruncie religijnym. Zatem nietylko komunizm, ale i socjalizm polski wychowuje masy w duchu bezbożniczym. Takiego ducha zresztą zdradza prasa socjalistyczna, wrogo ustosunkowana do religji, zwłaszcza *Tydzień Robotnika*, którego jeden numer niedawno był w całości przeznaczony ośmieszaniu religji i walce z klerem i Kościołem.

Innym rozsadnikiem bezbożnictwa w Polsce są grupy ludzi, występujące pod nazwą wolnomyślicieli. Do r. 1928 istniało „Stowarzyszenie Wolnomyślicieli polskich"; pod tą eufemiczną nazwą ukrywała się pospolita bolszewicka organizacja bezbożników wojujących, należąca narówni z Wszechrosyjskim Związkiem bezbożników do międzynarodowego Związku Wolnomyślicieli proletarjackich, mającego swą siedzibę podówczas w Bodenbach (w Czechosłowacji). Stowarzyszenie Wolnomyślicieli polskich, po stwierdzeniu jego Związków i zależności od komunizmu, zostało przez rząd rozwiązane; zawieszono także wówczas jego organ *Myśl*. Nie na wiele się to zdało, bo niebawem powstała nowa organizacja, przez władze zalegalizowana, pod nazwą „Polski Związek Myśli wolnej", która skupiła nanowo tych członków rozwiązanego Stowarzyszenia, jacy uniknęli odpowiedzialności za należenie do komunizmu. Na miejsce *Myśli* począł ukazywać się *Wolnomyśliciel polski*, który już dziewiąty rok wychodzi jako „dziesięciodniowiec", w coraz większych rozmiarach. Dla propagowania „myśli wolnej" wśród ludu wiejskiego i robotników założono w roku 1933 *Błyski Wolnomyślicielskie*, a od 1 stycznia bież. roku poczęto wy-

dawać w tej samej kuźni pismo dla młodzieży: *Przyszłość to my* z dodatkiem dla dzieci: *W słońcu.* Na prowincji ukazują się także podobne pisma, jak w Toruniu *Pionier* i inne. Związek Myśli wolnej, mający swą centralę w stolicy, pozakładał koła w wielu miastach, jak w Łodzi, Poznaniu, Toruniu, Lublinie i innych, rozmaicie prosperujące. Jako wydawcę swych pism Związek wysuwa firmę „Wolność" — spółkę z ogr. odp., dla wzmocnienia zaś swoich funduszów uzyskał koncesję na kolekturę Państwowej Loterji klasowej.

„Polski Związek Myśli wolnej" zaprzecza jakoby był organizacją komunistyczną. Przystąpił też nie do międzynarodówki wolnomyślicieli proletarjackich, lecz do centrali wolnomyślicieli burżuazyjnych z siedzibą w Brukseli.[1]) Odłam „brukselski" wolnomyślicieli stoi w ścisłym związku z wolnomularstwem, podczas gdy wolnomyśliciele proletarjaccy pracują w ścisłym kontakcie z Moskwą. Formalnie tedy nasz Polski Związek Myśli wolnej nie jest związany z komunizmem, czy jednak nie działają w nim, jak w innych, formalnie nie komunistycznych, organizacjach, jaczejki komunistyczne? Niezależnie od tego pytania trzeba stwierdzić, że Związek przedstawia sobą kierunek integralnego bezbożnictwa wojującego na wzór rosyjski, oczywiście z tą różnicą, że nie ma jeszcze tej siły, co w Rosji i takiego, jak tam, poparcia aparatu państwowego. Pisma, przez Związek wydawane, tyle się tylko różnią od rosyjskiego *Bezbożnika,* ile muszą się liczyć z cenzurą i kodeksem karnym. Pomimo jednak cenzury, która konfiskuje zbyt rażące ustępy, treść polskich pism wolnomyślicielskich jest ordynarnie bezbożna i zuchwale agresywna. Pisma te walczą przedewszystkiem z religją katolicką, ale także i z religją żydowską i innemi wyznaniami i wogóle z wiarą w Boga.

[1]) Związek Wolnomyślicieli proletarjackich w Bodenbach, który obejmował bezbożników zarówno socjalistycznych, jak czystych komunistów, rozbił się w r. 1930 na dwie organizacje, komunistyczną i socjalistyczną, poczem ten drugi odłam zbliżył się do burżuazyjnej centrali brukselskiej. Co do istoty walki z religją wszystkie te międzynarodówki bezbożników nie różnią się między sobą, różnią się tylko co do niektórych metod walki. Obecnie, po rzuceniu z Moskwy hasła „frontu ludowego" zapewne i te dwie międzynarodówki wolnomyślicielskie, t. j. komunistyczna i socjalistyczno-burżuazyjna, bardziej do siebie się zbliżą.

Wymieniliśmy już te czynniki, które *ex professo* lub chociażby pobocznie zajmują się szerzeniem bezbożnictwa w Polsce. Teraz postaramy się przedstawić w skróconym schemacie metody, jakich używają w „ideowem" zwalczaniu religji jużto pisma jawnie bezbożne, wolnomyślicielskie, jużto za niemi inne religji wrogie.

Wysuwa się na czoło zohydzanie duchowieństwa wszystkich wyznań, najbardziej jednak duchowieństwa katolickiego. Sługom i głosicielom religji odmawia się naogół dobrej wiary i prostej ludzkiej uczciwości. Duchowieństwo to są oszuści, którzy podtrzymują w masach wiarę, by ją eksploatować na swoją korzyść, żyć z niej. Może któryś ksiądz wierzy w to, co głosi, w takim razie jest to głupiec, duchowy kaleka. Księża są chciwi, nielitościwi, rozpustni, nie żyją sami tak, jak wymagają od innych. Księża katoliccy w szczególności — to ponad wszystko wrogowie Polski, obcy „okupanci", „watykańczycy", obywatele obcego państwa papieskiego, i na korzyść swego pana działający. Należy przeprowadzić rozdział Kościoła od państwa, a potem księży spakować i papieżowi odesłać. Cieszą się też nasi wolnomyśliciele z każdego wystąpienia wrogiego Kościołowi, czyto w Rosji, czy Meksyku lub Hiszpanji. Nawet Hitlera pochwalą za to, że energicznie dokucza duchowieństwu. Widzimy więc, że nasi wolnomyśliciele nie grzeszą zbytkiem tolerancji, a przytem — oni międzynarodowcy — stroją się, kiedy chodzi o krytykę katolicyzmu, w pióra państwowców, stają się nawet naraz narodowcami, nacjonalistami. Takiem wszechstronnem zohydzaniem duchowieństwa celują przedewszystkiem *Błyski Wolnomyślicielskie.* Muszą one trafiać do umysłowości naszego chłopa, któremu łatwo odebrać szacunek dla księdza, gdy się tego księdza oplwa, ośmieszy, skarykaturuje, bezkarnie zelży.

Religja dalej przedstawiana jest nietylko jako sposób wyzysku na rzecz księży, ale i jako wierna sojusznica kapitalizmu w jego eksploatacji ludu pracującego. Niebo cierpiącym religja obiecuje w tym celu, by się nie buntowali przeciwko niesprawiedliwemu ustrojowi, by nie dążyli do obalenia go. Mamy tutaj do czynienia z „klasową istotą re-

ligji", jak ją komunizm rozumie. Religja przedstawiona jako „opium ludu", jak ją nazwał Marx.

Jako obietnica życia zagrobowego jest religja oszustwem. Żadnego bowiem życia przyszłego, żadnego nieba, ani piekła, ani Boga niema. Dowodu żadnego na tę negację wolnomyślicielstwo nie przytacza (oprócz chyba tego, że lotnicy podnoszą się aż do stratosfery, a nie napotkali ani na aniołów, ani na żadne duchy), — ale zręcznie daje do poznania, że wierzący w Boga także dowodów na Jego istnienie nie mają, że nauka o Bogu nic nie wie, że powstanie świata i bez Boga tłumaczy. Nie spotkałem się w pismach wolnomyślicielskich z żadną próbą rozprawienia się z dowodami istnienia Boga, jakie apologetyka katolicka przytacza, — poprostu milczą one o tych dowodach, w przypuszczeniu, że czytelnicy nic o nich nie wiedzą i istnienia ich nie podejrzewają. Natomiast ośmieszane są opowiadania biblijne o stworzeniu świata, człowieka, o raju, o grzechu i t. d., z wmawianiem czytelnikowi przypuszczenia, że księża wymagają wiary w literalne brzmienie tych opowiadań. Zaznacza się, jak te opowiadania zostały obalone przez naukę, przejaskrawia się też rozbieżności, jakie rzekomo zachodzą między nauką katechizmu a innemi przedmiotami w szkole, by uzasadnić wniosek o konieczności wyrzucenia religji ze szkół.

Co do osoby Chrystusa, to czasem wystawia się go jako demagoga, pierwszego rewolucjonistę, częściej jednak mówi się o nim jako o postaci tylko legendarnej, która nigdy nie istniała. W tym celu streszczane są albo i tłumaczone teorje skrajnych ewolucjonistów zachodnich, niemieckich i francuskich, zaprzeczających historyczności Chrystusa, wyprowadzających chrześcijaństwo z kultów pogańskich, a wszelką religję z animizmu, lub wprost z głupoty albo z oszustwa ludzkiego. Te teorje podawane są jako ostatni wyraz prawdziwej nauki, podczas gdy o katolickiej literaturze na ten temat milczy się zupełnie. By okazać swoje lekceważenie dla wiary w Boga, wyraz „Bóg", „Matka Boska", nawet „Chrystus" piszą z małej litery. Na zarzut bluźnierstwa odpowiadają, że bluźnić możnaby tylko czemuś, co istnieje; oni Bogu bluźnić nie mogą, bo nie wierzą, by istniał, bo go niema.

Oprócz niewiary, pisma wolnomyślicielskie szerzą rewolucję w rzeczach moralności. Przykazania Boże, zwłaszcza szóste, to wymysł; cała tradycyjna moralność płciowa, małżeństwo nierozerwalne — to nieuzasadniona niczem tyranja; czyny najbardziej nawet przeciwne naturze to rzecz moralnie obojętna, wstyd to przesąd. Przez dziwną jednak a złośliwą niekonsekwencję rozdzierają szaty z oburzenia na księży, gdy im jakiś z tych czynów, rzekomo niewinnych, mogą zarzucić. Wtedy czyny, u innych uznawane za niewinne, stają się naraz zgorszeniem, zbrodnią, niemoralnością. Także z Biblji, z traktatów teologji moralnej wypisują ustępy, dotyczące rzeczy seksualnych i przejaskrawiwszy je słownictwem trywialnem i komentarzem realistycznym, przedstawiają je jako źródło demoralizacji.

Tak się przedstawia zgrubsza owa „wolna myśl", jaką usiłuje zaszczepić w duszach polskich wolnomyślicielstwo. Jaki jest zasięg tej bezbożniczej propagandy — trudno powiedzieć, nie znając dokładnie wysokości nakładu szerzących ją pism[1]); można jednak obawiać się, że nawet do prostego ludu, owszem do niego przedewszystkiem w wielu okolicach kraju ona dociera. Można coś jednak o tem sądzić z korespondencji i odpowiedzi od redakcyj; mam także w ręku listy z pewnych miejscowości, naprz. z powiatu radomskiego, z tarnobrzeskiego i innych, donoszące o szerzącem się tam na wsiach bezbożnictwie i związanym z niem komuniźmie. Można się obawiać, że nawet miejscowi duszpasterze niezawsze zdają sobie sprawę z tego, co się w ich parafjach dzieje, jak głęboko zło wżarło się w dusze. Widzą, że frekwencja w kościele się zmniejsza, że do spowiedzi nie wszyscy chodzą, że młodzież od religji stroni, ale może sądzą, że zgromieniem z ambony zło się przetnie, podczas gdy z tych gromów winowajcy robią sobie przedmiot lekceważących i pogardliwych listów do pisemek bezbożniczych. Do ślubu i o pogrzeb zwróci się do proboszcza niejeden bezbożnik, bo trzeba papiery jakoś uregulować, a otwarte zerwanie z Kościołem często jest połączone z prawnemi trudnościami, albo wprost niemożliwe, ale byłoby zgubnym

[1]) Według prywatnej wiadomości, nakład *Wolnomyśliciela* ma wynosić 2000, a *Błysków* 10,000 egz.

błędem budować wiele na tej przymusowej przynależności do Kościoła.

Mówiliśmy dotąd o propagandzie bezbożnictwa wśród sfer ludowych; nie lepiej, może gorzej, rzecz się ma z inteligencją. Zdaje mi się, że zawodowo bezbożniczej literatury w rodzaju *Wolnomyśliciela* inteligencja nasza czytuje niewiele i z tej strony mniejsze niebezpieczeństwo jej grozi! Nie istnieje dla niej także w takim zakresie, jak dla ludu, kwestja „zdzierstwa księży", ostatecznie sama żyjąc z poborów, ona łatwiej zrozumie, że duchowieństwo musi z czegoś żyć. Ogromna większość inteligencji skłonna będzie jeszcze do uznania niemałych zasług kleru dla społeczeństwa, dla narodu. Dlatego prostackie napaści na księży, jakiemi zieją szpalty pism wolnomyślicielskich, stosunkowo nie u wielu inteligentów znajdą uznanie. Mimo to wszystko boję się, że bezbożność jest szerzej rozlana w naszej inteligencji, niż się to powszechnie mniema, tylko może ta bezbożność jest w mniejszym stopniu wojująca. Powoduję się w tej obawie następującemi rozważaniami. Inteligencję, stosunkowo w rozmiarach większych niż w masach ludowych, przygotowuje do bezbożnictwa sceptycyzm i obojętność w rzeczach religijnych. Wśród ludu do bezbożnictwa przechodzi się bezpośrednio z wiary, bo ogół ludu jest wierzący. Utrata zaś wiary jest zbyt wielkim przełomem duchowym, wobec którego wielu z obrabianych przez propagandę ateistyczną wieśniaków czy robotników cofnie się. Wśród inteligencji zaś, stosunkowo rzecz biorąc do jej liczbowości, wiary silnej jest mniej. Już nietylko specyficznie chrześcijańskie dogmaty, ale nawet przekonanie o życiu zagrobowem i o istnieniu Boga jest bardzo szeroko podminowane u niej sceptycyzmem i jakąś obojętnością na te kwestje. Iluż to mamy „katolików", głównie o mężczyznach mówię — u których katolicyzm redukuje się do pewnej pobłażliwej tolerancji względem wiary żony, do zachowania pewnych domowych tradycyj w rodzaju opłatka i święconego, do dekoracji pewnych narodowych czy państwowych obchodów. Poza tem zagadnienie religijne pozostawia się księżom, uważając je za ich specjalność, którą interesować się żywo byłoby dla inteligentnego człowieka nawet żenującem.

Ignorancja zaś, obojętność i sceptycyzm w rzeczach religijnych, toż to już ostatnie przygotowanie do formalnego bezbożnictwa, skoro tylko zerwane zostaną te słabe nici, które takich ludzi z tradycją, z klerem i Kościołem jeszcze wiążą. Dzisiaj jeszcze oświadczą oni się za religją w szkole, bo „religja dla dzieci jest potrzebna" jako środek pedagogiczny, ale w razie walki o religję czy będą bronili wytrwale tego, do czego ze sceptycyzmem sami się odnoszą? Dodajmy, że wielu inteligentów jest związanych z partjami radykalnemi, w których prowodyrzy i do religji wrogo się odnoszą. Czy obojętni i sceptycy zdolni będą oprzeć się tym wpływom a tem bardziej je paraliżować w razie wyraźnej walki z religją? Dodajmy, że tak wielu jest niejako osobiście zainteresowanych w usunięciu religji, jako nakładającej więzy moralne, które się jednak potargało: rozwody, kalanie świętości małżeństwa, życie nieporządne poza małżeństwem.

Generacja starsza inteligencji, wychowana w dobie pozytywizmu, jeżeli nie zerwała formalnie z Kościołem, to pod względem wiary przedstawia przynajmniej element, na którym budować nie można. A jak się sprawa przedstawia z młodzieżą inteligencką? Mówimy dużo o renesansie wśród niej, wskazujemy na organizacje katolickie młodzieży uniwersyteckiej, na sodalicje, na liczny udział w rekolekcjach. Niewątpliwie postęp jest duży pod tym względem. Mimo to obawiam się, że religijność katolickiej młodzieży przeceniamy. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że wielu uważa się za katolików, wiążąc ściśle z katolicyzmem nacjonalizm, albo antysemityzm, jeżeli cośniecoś odniesiemy do snobizmu, który pociąga do pewnych sporadycznych katolickich wystąpień, — to pod katolickością ogromnej części młodzieży znajdziemy tę samą, co wśród starszych, nieznajomość podstaw wiary, nierozumienie ducha katolicyzmu, niechęć do jego krępującej moralności. Czy zaś na takich katolikach można budować nadzieję zwycięstwa w walce z wojującem bezbożnictwem? Religijność naszej młodzieży podniosła się naogół w porównaniu z dawniejszemi czasami, często jednak ta religijność jest raczej uczuciowa, bez głębszego podłoża intelektualnego, a zatem może się okazać zamało odporną na powiew bezbożnictwa, jaki na jej duszę pada. Bo nasiona

bezbożnictwa padają przecież i na umysły tej, za katolicką mającej się i uważanej, młodzieży. Padają one w różnych dawkach z katedr uniwersyteckich, na których zasiada poważny już zastęp ludzi, którzy się ze swem bezbożnictwem wcale nie kryją. Mamy zastęp ateuszów na katedrach filozofji, nauk przyrodniczych, filologji, socjologji. Na jednym z uniwersytetów profesorowie przyrody poczytują słuchaczom za grzech śmiertelny przeciwko nauce dopatrywanie się jakiejś celowości w przyrodzie, a czy takie stanowisko nie jest zaprzeczeniem Boga?

Nasiona bezbożnictwa rozsiewane są nietylko przez zawodowo bezbożnicze pisma lub z katedr profesorskich; znajdują się one obficie i w beletrystyce, i w traktatach naukowych. Czy nie zastanawia ta wielka ilość, jaka w Polsce się rozchodzi, tłumaczeń książek rosyjskich, powieści komunistycznych, te reportaże w naszej prasie różnych zwiedzających Rosję, a sympatycznie przedstawiających osiągnięcia budownictwa socjalistycznego w zakresie nietylko gospodarstwa, ale i szkoły i kultury? Literaturę tę czyta przedewszystkiem młodzież, a nie zapominajmy, że szczepienie sympatyj dla komunizmu jest zarazem przygotowaniem umysłów dla bezbożnictwa, które z komunizmem tak istotnie, jak już wyżej zaznaczyliśmy, jest związane.

Duży zastęp inteligencji w każdym kraju stanowi nauczycielstwo szkół średnich i powszechnych. Znaczenie zaś ideologij, jakim ono hołduje, jest tem większe, że nauczycielstwo jest przecież wychowawcą wszystkich innych klas narodu. We Francji żywy niepokój musi budzić fakt, że podobno 60% korpusu nauczycielskiego szkół państwowych wyznaje już ideologję komunistyczną wraz z jej istotnym składnikiem — ateizmem. Sytuację ratuje jeszcze szkolnictwo „wolne", t. j. katolickie, stąd zrozumiałe są wysiłki tamtejszych socjalistów i radykałów, by to szkolnictwo zniszczyć, zrozumiałe wołanie o *l'école unique*. Lecz szkolnictwo wolne, utrzymywane z największym wysiłkiem katolików, jest niedostępne dla szerokich mas proletarjatu, i te masy stają się łatwą zdobyczą komunizmu i ateizmu. W Polsce jest pod tym względem nieporównanie lepiej, choćby dlatego, że we wszystkich szkołach publicznych obowiązuje jeszcze nauka

religji, ale wiemy z drugiej strony ile radykalizmu zakradło się w szeregi nauczycielstwa świeckiego. Nie brak wśród niego i otwartych ateuszów. Wszak możliwym był fakt prowadzenia przez lata całe instytutu pedagogicznego w stolicy przez notorycznego dziś bezbożnika, który wychował cały zastęp „pedagogów" podobnych do siebie. Wiemy, że przed kilku laty, na pewnem zebraniu tych pedagogów w stolicy stawiano żądania jawnie bezbożnej szkoły i stwierdzano, że przynajmniej nauczanie niektórych przedmiotów, mianowicie przyrody, służy już celom propagandy ateizmu. Może dużo przesadzili ci „pedagogowie", ale nie śmiałbym wątpić, że przez tę szczelinę dużo bezbożnictwa się przeciska do umysłów młodych, a przynajmniej, że w szkole przygotowuje się umysły pod posiew bezbożności. Czy zaś te wpływy zawsze są dostatecznie paraliżowane przez naukę religji, trudno mi powiedzieć napewno.

Wobec stwierdzonej propagandy jawnego bezbożnictwa i wobec niebezpieczeństw, że może się ono spotęgować, bo umysły na jego przyjęcie są przygotowane — niechaj mi będzie wolno przedłożyć — do ewentualnej dyskusji — co uważałbym za najpilniejsze do zrobienia ze strony katolickiej.

1. Najpierw uważałbym za konieczne stworzenie jednego na cały kraj specjalnego *consilium vigilantiae* — centrali ewidencyjnej, któraby pilnie śledziła za wszelkiemi objawami bezbożnictwa. Żadna — mojem zdaniem — z licznych redakcyj naszych pism katolickich nie podoła temu zadaniu, nie mając ani ludzi ani środków na śledzenie wszystkiego, co się w kraju pisze i robi dla zabicia wiary. Musimy wszakże mieć zupełną ewidencję nietylko propagandy bezbożnictwa, szerzonej przez pisma czy broszury jawnie ateistyczne, ale ewidencję wszelkich prądów, religji wrogich, w podręcznikach szkolnych, w rozprawach uczonych, w popularnej literaturze naukowej, w powieściach i poezji, w teatrze, kinie i radju, w dziennikarstwie, w wystąpieniach polityków, w pociągnięciach władz szkolnych czy administracyjnych. Musimy mieć tę ewidencję, by z każdem złem móc walczyć szybko, i ze znajomością przeciwnika. Ogólnikowe narzekania na szerzącą się niewiarę i niemoralność złemu nie zapobiegną, jeremjady ludziom się sprzykrzą i katolicką obronę ośmieszą.

2. W związku z taką centralą ewidencyjną staćby powinno jakieś biuro prawnicze, które w razie potrzeby — tam gdzie można religji bronić prawnie — wdrażałoby odnośne postępowanie przeciwko bluźniercom i napastnikom. Do takiego biura należałoby także zwracać uwagę napastowanym przez bezbożników księżom na napaści przeciwko nim skierowywane, by natychmiast — o ile nie poczuwają się do winy — wdrażali sprawy o potwarz. Wprawdzie prywatną krzywdę może każdy darować, ale nie powinien nikt jej puszczać płazem, gdy jest obliczona na zohydzenie religji i Kościoła. Zaniechanie w naszych warunkach obrony czci swojej przez kapłana winno być poczytywane za przyznanie się do winy, ale w takim razie do władz duchownych należeć będzie wyciągnięcie już innych konsekwencyj.

3. Ważniejsze, niż ochrona prawna, będzie przeciwdziałanie szerzącym się błędom drogą prasy katolickiej i wogóle nauczania. Naszą apologetykę musimy uczynić bardziej konkretną i bardziej aktualną. Nie wystarcza odpowiadać przeciwnikowi na jego zarzuty, że on nie zna katechizmu; fałszu nie zabijemy stwierdzeniem, że go puszcza w świat żyd czy mason; nic nie sprawi wyniosłe milczenie, albo oburzanie się na pobłażliwość cenzury państwowej. Trzeba uodporniać wiernych na zarzuty bezbożnictwa, wykazując ich bezpodstawność, rozwiązując trudności, wyjaśniając nieporozumienia lub wykazując, że zarzuty nie dotyczą samej wiary. Dlatego centrala ewidencyjna musiałaby stać w kontakcie z najtęższymi specjalistami w każdej dziedzinie nauki, którzyby dostarczali wskazówek, jak daną trudność, daną argumentację przeciwnika należy rozwiązać, odeprzeć. Ten materjał mógłby być komunikowany redakcjom pism katolickich, a przez nie duszpasterzom, katechetom i rozchodzić się dalej.

4. By obrona wiary w naszej prasie była skuteczniejszą, musi ta prasa strzec się dostarczania przeciwnikom materjału do zarzutów. Dlatego nie powinna nigdy podawać czegoś za naukę katolicką, za pewnik wiary, co nauką katolicką nie jest, co jest legendą tylko, pobożnem mniemaniem, albo poprostu tradycyjnem przyzwyczajeniem myślowem. Cóż bowiem z tego, jeśli odeprzemy jakiś jeden zarzut, skoro równocześnie daliśmy okazję do postawienia drugiego? Jednem

słowem, pisma nasze i broszury popularne trzeba uczynić bardziej krytycznemi, bardziej naukowemi.

5. Do obrony wiary wobec ofensywy bezbożnictwa nie wystarczą same siły duchowieństwa. Nawet nie jest pożądanem, by wiary bronili sami tylko księża, bo to dostarczałoby przeciwnikowi dowodu, iż obrońcom chodzi o własny interes klasowy. W czasach haseł Akcji Katolickiej i apostolstwa świeckich, jest pożądana jak największa liczba świeckich obrońców wiary. Ale przyznajmy się, że takich obrońców nie mamy. Nasze podpory z tej strony umieją poprzeć nas na jakimś wiecu lub odczycie oklaskami, złożyć swój podpis na jakimś proteście, urządzić jakąś manifestację, ale rzadko umieją sami wystąpić w obronie wiary z żywem lub pisanem słowem. Dlatego nasze organizacje powinnyby się zamienić przedewszystkiem w szkoły pogłębienia znajomości religji, jej dogmatów, jej etyki i jej historji. Bez tego będziemy mieli może bractwa kościelne, ale nie będziemy posiadali elity umysłowej, nie będziemy mieli apostołów świeckich. Dlatego w miastach większych, jakiemi są wszystkie uniwersyteckie plus niektóre inne, możeby dało się powołać do życia jakieś kursy specjalne, coś w rodzaju wydziałów teologicznych dla świeckich obojga płci, któreby kształciły prawdziwą elitę katolicką, oświeconych apostołów nietylko praktyk pobożnych, ale przedewszystkiem czystej prawdy katolickiej.

Powracając do duchowieństwa, trzeba powiedzieć na zakończenie, że najskuteczniejszym środkiem walki z bezbożnictwem i sparaliżowaniem jego propagandy będzie gruntowna nauka teologiczna samego kleru, połączona z wysoką kulturą umysłową i wybitną świętością życia. Gdybyśmy nawet temi przymiotami własnego stanu nie zamknęli ust apostołom bezbożnictwa, przynajmniej opancerzymy niemi umysły i serca wierzących przeciwko zatrutym strzałom niewiary.

Ks. Jan Urban T. J.

Konkordat z Austrją.

W sprawach organizacji i programu nauki w seminarjach duchownych władze kościelne są zupełnie swobodne. Seminarja korzystają nadal z pomocy finansowej Państwa w dotychczasowych rozmiarach, zobowiązane są jednakże do wyrachowania się ze sposobu zużycia otrzymywanych zasiłków. Szczególnego podkreślenia wymaga zobowiązanie Stolicy Apostolskiej do czuwania, aby program nauczania w duchownych zakładach naukowych odpowiadał w miarę możności programowi nauczania na wydziałach teologicznych Uniwersytetów państwowych. Z punktu widzenia rozwoju i dobra nauki przepis ten jest bardzo doniosły i winien znaleźć naśladowców i w Polsce. Realizacja tego przepisu musi iść w parze z równoczesnem podniesieniem naukowych kwalifikacyj ciała nauczycielskiego w seminarjach duchownych. Wprowadzenie wymogu habilitacji dla profesorów seminarjów duchownych zapewni nietylko wysoki poziom nauki w seminarjach, ale równocześnie doprowadzi do powiększenia kadr duchownych-naukowców. Bez tego należyte wprowadzenie w życie litery i ducha konstytucji papieskiej *Deus scientiarum dominus* wydaje się trudne do pomyślenia.

W krajach niemieckich zrozumienie doniosłej roli gruntownego wykształcenia naukowego duchowieństwa istnieje oddawna. Temu przypisać należy, że i Austrja i Rzesza posiadają tylu wybitnych księży-naukowców, a wykształcone duchowieństwo znacznie lepiej dostosowuje się w dzisiejszych ciężkich dla katolicyzmu chwilach do pracy organizacyjnej wśród wiernych.

* * *

Od rozmiarów swobód i wolności, któremi Kościół się cieszy, od rozmiarów przywilejów nadanych duchowieństwu nie zależą jeszcze ani rozmiary wpływu moralności chrześcijańskiej na życie społeczne, ani rola duchowieństwa w tym kierunku. Wiadomo, że w drugiej połowie XIX w. przez wprowadzenie systemu rozdziału Kościoła i Państwa zniesiono szereg przepisów, dzięki którym dawne monarchje mogły ingerować w wewnętrzne stosunki kościelne, ale też odebrano Kościołowi, względnie starano mu się odebrać możność wywierania wpływu na moralne wychowanie społeczeństwa, a w ustawodawstwie państwowem nie uznawano zasad moralności chrześcijańskiej.

Znaczenie każdego konkordatu wzrasta w miarę uznawania w nim zasad moralności głoszonych przez Kościół. Wprawdzie z natury swej konkordat nie nadaje się do regulowania wszystkich zagadnień z moralnością chrześcijańską złączonych, ale zasadniczem wskazaniem charakteryzującem właściwy stosunek danego Państwa do Kościoła jest sposób uregulowania tych zagadnień, które Stolicy Apostolskiej szczególnie leżą na sercu. Są niemi kwestja religijnego wychowania, sprawa swobody tworzenia organizacyj katolickich oraz kwestja małżeńska. We wszystkich tych zagadnieniach konkordat austrjacki zrealizował zasadnicze postulaty Stolicy Apostolskiej i dzięki temu właśnie zajmuje on w konkordatach powojennych tak poczesne miejsce.

Religijne wychowanie młodzieży. Problem religijnego wychowania młodzieży odgrywa w powojennej polityce konkordatowej szczególnie doniosłą rolę. Wpływają na to, tak nowoczesne prądy pedagogiczne, jakoteż i specyficzna „polityka młodzieżowa“ szeregu państw europejskich. Stolica Apostolska w pełni uznaje prawo Państwa do regulowania programu i zasad nauczania, jakoteż do kształcenia młodzieży i jej wychowywania w szkołach przez się utrzymywanych; nie uznaje jednakże wyłączności Państwa w tym kierunku.

Prawo nauczania posiada przedewszystkiem na podstawie niezmiennego i nieodbieralnego prawa Bożego, Kościół katolicki. Władze kościelne, zakony i kongregacje religijne mają prawo do tworzenia szkół, układania dla nich programu

nauki i nauczania. Co ważniejsze jednak, do Kościoła na podstawie prawa Bożego należy czuwanie, aby cała młodzież katolicka, bez względu na szkoły do których uczęszcza, była wychowana w zasadach wiary i moralności chrześcijańskiej.

Prawo wychowania przysługuje dalej rodzicom, przyczem uprawnienie to wypływa również z prawa Bożego. Stolica Apostolska zdaje sobie doskonale sprawę, że w dzisiejszych czasach rodzice obowiązkom przygotowania do zawodu wyjątkowo tylko mogą sprostać. Ze względu jednak na przyrodzone prawa rodziców państwo nie może narzucić im obowiązku wychowania i kształcenia młodzieży wyłącznie w szkołach państwowych; rodzice mają prawo decyzji co do wyboru szkoły i kierunku nauki, jak również mają prawo domagać się, aby ich dzieci były wychowane w zasadach wiary i etyki chrześcijańskiej, przez nauczycieli katolików i pod nadzorem władz duchownych. W ten sposób Stolica Apostolska broni typu prywatnej szkoły wyznaniowej, przeciwstawia się natomiast obowiązkowemu kształceniu młodzieży w szkołach państwowych, w których wychowanie nie byłoby oparte na zasadach moralności chrześcijańskiej.

Władze kościelne zdają sobie jednak doskonale sprawę, że zezwolenie przez ustawodawstwo-wewnętrzno-państwowe na zakładanie szkół prywatnych nie rozwiązuje problemu. Na podstawie niemal jednolitego w tym względzie ustawodawstwa szkolnego dzisiejszych państw europejskich, ukończenie zwykłej szkoły prywatnej nie upoważnia ani do przejścia do państwowych szkół wyższych, ani nie daje patentu wymaganego przez władze państwowe od kandydatów do szeregu zawodów. Stąd dalszy postulat uznania prywatnych szkół wyznaniowych za równorzędne ze szkołami państwowemi, czyli nadanie szkołom wyznaniowym, spełniającym wszystkie warunki programu nauczania wprowadzonego do szkół państwowych, praw publiczności. Ale i takie rozwiązanie sprawy nie jest w praktyce w pełni zadawalające. Kształcenie dzieci w szkołach prywatnych wymaga z reguły wielkiego wysiłku finansowego, któremu rodzice nie potrafią podołać. Stąd dalszy postulat wprowadzenia szkoły wyznaniowej utrzymywanej z funduszów publicznych, a więc szkoły bezpłatnej. Postulat ten jest tylko konsekwencją prawa rodzi-

ców katolickich do domagania się, aby szkoły utrzymywane z podatków płaconych przez społeczeństwo, zapewniały ich dzieciom wychowanie w zasadach wiary, którą wyznają i przez nauczycieli tego samego wyznania. W praktyce jednak przeprowadzenie tego postulatu, nawet dla szkół najniższego typu jest bardzo utrudnione. Pomijając względy natury finansowej, istnieją inne liczne okoliczności natury politycznej, które nawet przy dobrej woli władz rządowych uniemożliwiają wykonanie tego programu. Z trudności tych zdaje sobie także sprawę Stolica Apostolska, jak dowodzą tego liczne powojenne konkordaty zawarte mimo iż postulat publicznej szkoły wyznaniowej na wszystkich stopniach nauczania nie został przeprowadzony. Kościół nie odstępuje od żądania, aby młodzieży katolickiej była podawana nauka wiary katolickiej i aby młodzież ta była wychowaną w zasadach moralności chrześcijańskiej. Jako minimum formułuje Stolica Apostolska żądanie wprowadzenia we wszystkich szkołach publicznych obowiązkowej nauki religji katolickiej udzielanej pod nadzorem biskupa diecezjalnego.

Jakże w świetle tych postulatów przedstawia się kwestja wychowania młodzieży w konkordacie austrjackim? Uprawnienia przyznane na tem polu przez Austrję są bardzo doniosłe. Uznano przedewszystkiem prawo Kościoła, w szczególności zaś zakonów i kongregacyj religijnych do zakładania prywatnych szkół tak niższych jak i średnich; o ile szkoły te spełniają wszystkie przepisy ustaw i rozporządzeń państwowych władz szkolnych, tak w przedmiocie nauczania jak i kwalifikacyj nauczycieli i innych warunków przez prawo wymaganych, będą im nadane prawa szkół publicznych. Co ważniejsza, w razie jeśli tego rodzaju szkoły wykażą większą frekwencję uczniów, w pewnych warunkach, o ile zezwolą na to stosunki finansowe, mogą otrzymywać dodatki z funduszów publicznych. Podobne świadczenia z funduszów publicznych mogą w analogicznych warunkach otrzymać również szkoły utrzymywane przez związki katolickie, o ile właściwy ordynarjusz uzna katolicki charakter danej szkoły. Wprowadzenie tego rodzaju postanowień ma się przyczynić do poparcia szkolnictwa katolickiego i do rozwoju publicznych katolickich szkół wyznaniowych, dających gwarancję,

iż całość publicznego nauczania w szkołach katolickich będzie zgodna z zasadami wiary i moralności chrześcijańskiej. Pełna realizacja tych obietnic będzie miała kapitalne znaczenie dla wzmocnienia katolicyzmu w Austrji; ale już samo wprowadzenie tych przepisów wskazuje na usunięcie dawniej istniejącego w Austrji poglądu o ujemnych następstwach dopuszczenia publicznych szkół wyznaniowych. W szkołach zakładanych przez władze kościelne, zakony i kongregacje, personel nauczycielski może rekrutować się wyłącznie z pośród duchowieństwa, nawet zakonnego, o ile tylko spełnia warunki wymagane przez ustawy państwowe dla nauczycieli szkolnych; brak nauczycieli świeckich nie może być podstawą do odmówienia danej szkole praw publiczności.

We wszystkich innych szkołach międzywyznaniowych, niższych i średnich, ogólno-kształcących jak i zawodowych, nauka religji i praktyki religijne są obowiązkowe w dotychczasowym zakresie. W porozumieniu z państwowemi władzami szkolnemi, tak ilość obowiązkowych godzin nauki religji jak i obowiązkowe praktyki religijne mogą być rozszerzone, z tem jednakże, że narazie wszelkie koszty związane z tem rozszerzeniem ponosi Kościół. Nauka religji ma być w zasadzie udzielana przez osoby duchowne według programu i na podstawie podręczników ustalanych przez władze kościelne. Tylko te osoby, które upoważnią władze duchowne będą mogły być mianowane nauczycielami tego przedmiotu przez państwowe władze szkolne. Każdy nauczyciel religji, czy będzie nim duchowny czy osoba świecka, może pełnić funkcje nauczycielskie tylko tak długo, jak długo posiada upoważnienie Ordynarjusza — *missio canonica.* Jej cofnięcie pociąga za sobą utratę prawa nauczania religji, oraz, jeśli władze szkolne nie mogą znaleść dlań odpowiedniego stanowiska w szkolnictwie, przeniesienie w stan spoczynku, z zastrzeżeniem jednak praw emerytalnych dla nauczycieli religji w szkołach średnich.

Prawa Kościoła w stosunku do kontroli kierunku wychowawczego w szkołach międzywyznaniowych idą jednak jeszcze dalej. Śladem konkordatu bawarskiego z r. 1924 wprowadzono przepis, iż ordynarjusz, względnie osoby przezeń upoważnione, mają prawo przedstawiać państwowym

władzom szkolnym wszystkie uchybienia w życiu moralno-obyczajowym szkolnej młodzieży katolickiej, mogą wskazywać na czynniki, które ich zdaniem oddziaływują szczególnie ujemnie i szkodliwie na młodzież, jak wreszcie mogą żalić się z powodu naruszania w toku nauki zasad wiary i uczuć religijnych młodzieży katolickiej. Władze szkolne winny troszczyć się o usunięcie tych stanów.

Reasumując przepisy o religijnem wychowaniu młodzieży stwierdzić należy, że konkordat austrjacki dąży do pełnego niemal uwzględnienia programu sformułowanego przez Stolicę Apostolską w tej dziedzinie. Wprawdzie i we wcześniejszych konkordatach znaleźć można niektóre z przepisów konkordatu austrjackiego, ale żaden z nich — nawet najbardziej korzystny w tej mierze konkordat z Bawarją z r. 1924 — nie przewiduje tak szerokich perspektyw, jakie zapewnia umowa podpisana przez Austrję.

Organizacje katolickie. Religijne wychowanie młodzieży nie kończy się na udzielaniu religji jako obowiązkowego przedmiotu nauki szkolnej, ani na podawaniu całokształtu nauczania według zasad wiary i moralności chrześcijańskiej. Szkoła w stosunku do swej młodzieży jest dzisiaj instytucją wychowawczą również przez swą działalność pozaszkolną. Okazuje się, że wpływ wychowawczy nauczyciela na uczniów jest silniejszy poza godzinami obowiązkowej nauki, przez działalność wśród organizacyj młodzieży. Na szeroką skalę prowadzone przez niektóre nowoczesne państwa zabiegi, aby wychować młodzież według pewnych ideałów, w pewnym określonym światopoglądzie, doprowadziły do ogromnej rozbudowy już i dawniej istniejących organizacyj młodzieży. Również i władze kościelne zwróciły uwagę na wychowawcze znaczenie tego rodzaju organizacyj przystosowanych do temperamentu i do zainteresowań młodego pokolenia. Rozbieżności między światopoglądem, w którym Państwa pragną wychować swą młodzież, a światopoglądem i ideałami głoszonemi przez Kościół doprowadzają do konfliktów, w których Państwa w imię swej suwerenności likwidują organizacje młodzieży katolickiej lub utrudniają ich działalność. W trosce o utrzymanie tego rodzaju organizacyj Stolica Apostolska zabiega z mniejszym lub większym po-

wodzeniem o uznanie ze strony Państwa praw Kościoła do tworzenia związków młodzieży katolickiej, czynnikom kościelnym podległej. W Austrji zabiegi te zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. Zabezpieczono utrzymanie i swobodny rozwój uznanych przez właściwe władze kościelne katolickich organizacyj młodzieżowych, a co donioślejsza Rząd związkowy zapewnił, że w państwowych organizacjach młodzieżowych młodzież katolicka będzie mogła w sposób godny wypełniać swe obowiązki religijne, a jej wychowanie w kierunku religijno-obyczajowym będzie się opierało na zasadach głoszonych przez Kościół. Przepis ten, którego doniosłość wzmaga fakt, iż wraz z niektóremi innemi postanowieniami konkordatu został podniesiony do rzędu przepisu konstytucyjnego, będzie miał niewątpliwie ogromne znaczenie dla penetracji zasad moralności chrześcijańskiej w życiu publicznem narodu. W szczególności na podkreślenie zasługuje, iż zgóry wykluczono możliwość konfliktu między światopoglądem głoszonym przez szkołę i przez młodzieżowe organizacje tworzone przez Państwo, a zasadami nauczanemi przez Kościół.

Związki młodzieżowe są tylko jednym z typów katolickich form organizacyjnych. Z inicjatywy poszczególnych duchownych, samych wiernych oraz wreszcie z inicjatywy władz kościelnych zdawiendawna istnieją związki ludności katolickiej pozostające pod kierunkiem duchowieństwa, które jako cel sobie stawiają czyto pogłębienie wiary wśród swych członków, czy realizowanie w praktyce zasad moralności chrześcijańskiej i miłosierdzia. Pełny okres rozwoju tych związków, tak przez powiększenie się ich ilości jak i przez rozszerzenie się ich zadań przypada na drugą połowę ubiegłego wieku i na wiek obecny. Zagrożonym został ich byt dopiero po wojnie przez przemiany ustrojowe niektórych państw europejskich, dążących do poddania swej kontroli wszelkich przejawów życia społecznego; konsekwencją tego było rozwiązanie stowarzyszeń i związków katolickich. Tego rodzaju polityka została oceniona przez władze kościelne jako sprzeczna z zasadami Kościoła i szczególnie groźna dla praktycznej realizacji zasad wiary i moralności chrześcijańskiej. Nie wystarcza, jeśli Kościołowi przyzna się mniej czy

więcej szeroki wpływ jedynie na wychowanie młodzieży Niemniej doniosłą jest możność umocnienia starszego społeczeństwa w światopoglądzie głoszonym przez Kościół. Wszak ono właśnie, uposażone w mniej czy więcej szerokie prawa polityczne, ma możność wpływania na czynniki, do których należy w Państwie kierowanie życiem narodu, ono głównie ma możność oddziaływania na opinję publiczną.

Doświadczenie pouczyło, że warunkiem skuteczności i wagi opinji społeczeństwa katolickiego jest stworzenie więzi organizacyjnej, nadającej jednolity kierunek poczynaniom katolików na arenie życia społecznego. Stąd troska Stolicy Apostolskiej o zagwarantowanie w umowach zawieranych z poszczególnemi państwami, społeczeństwu katolickiemu swobodnych form organizacyjnych i swobodnej działalności w realizacji zasad moralności chrześcijańskiej. Wprawdzie postulat ten wszedł w skład programu konkordatowego Stolicy Apostolskiej na tle polityki wewnętrznej niektórych tylko państw europejskich, ale niewątpliwie w przyszłości stanie się on nieodłączną częścią formularza konkordatów. Funkcją tego postulatu będzie zabezpieczenie interesów wiary na wypadek ewentualnych zmian w polityce wewnętrzno-państwowej tych nawet państw, które dotąd stojąc na gruncie pełnej demokracji nie stawiają swym obywatelom żadnych przeszkód w swobodnem zrzeszaniu się w ramach powszechnych ustaw o stowarzyszeniach. Ochronę prawną swobodnych form organizacyjnych i swobodnej działalności gwarantują konkordaty — między niemi i konkordat z Austrją — tym jedynie organizacjom, które, stanowiąc część Akcji Katolickiej, podlegają władzy właściwego Ordynarjusza. Tego rodzaju formulacja przepisu posiada doniosłe znaczenie i dla Państwa i dla Kościoła. Z jednej strony władze kościelne biorą pełną odpowiedzialność, iż organizacje te będą rozwijały działalność w ramach przez Państwo uznanych, z drugiej zaś strony przepis tego rodzaju powinien wykluczyć istnienie samozwańczych organizacyj katolickich, które pod pozorem obrony ideałów katolicyzmu, mogłyby rozwijać działalność niezgodną z interesami wiary i Kościoła.

K w e s t j a m a ł ż e ń s k a. Uznanie przez ustawodawstwo państwowe postulatów Kościoła w zakresie prawa mał-

żeńskiego należy niewątpliwie do zagadnień najbardziej skomplikowanych i trudnych do urzeczywistnienia, w szczególności tam, gdzie istnieje zasadnicza sprzeczność na tem polu między zasadami ustawodawstwa świeckiego a nauką Kościoła.

Wszystkie dzisiejsze państwa europejskie stoją na stanowisku swej wyłącznej kompetencji przy regulowaniu warunków powstania i trwania ważnego związku małżeńskiego. Sam fakt regulowania tych warunków przez Państwo w swych własnych ustawach, jako konsekwencja suwerenności władzy państwowej, nie może być dzisiaj przedmiotem krytyki, wobec doniosłości jaką dla każdego państwa przedstawia małżeństwo i na nim oparta rodzina. Prawa Państwa do regulowania sprawy małżeńskiej nie kwestjonuje też Kościół. W trosce o oparcie podstaw ustawodawstwa państwowego na zasadach moralności chrześcijańskiej oraz o respektowanie uczuć religijnych i zasad wiary ludności katolickiej władze kościelne domagają się jednak, aby ustawodawstwo państwowe uznawało sakramentalny charakter małżeństwa chrześcijańskiego i konsekwencje jakie z niego wynikają. A konsekwencje te są liczne i doniosłe. Do prawa kanonicznego należy określenie warunków, od których zależy powstanie ważnego sakramentalnego związku małżeńskiego, katolicka umowa małżeńska — ślub — może przyjść do skutku w zasadzie tylko przed właściwym duszpasterzem katolickim, spory o ważność związku małżeńskiego mogą być rozstrzygane tylko przez właściwe sądy duchowne, wreszcie małżeństwo bez względu na przynależność wyznaniową nupturjentów jest związkiem nierozwiązalnym, w granicach przez prawo kanoniczne ustalonych. Nie wystarcza, aby zasady te były dobrowolnie przez katolików przestrzegane. Kościół domaga się, aby zasady te były przez ustawodawstwo państwowe sankcjonowane, aby ślub kościelny i rozstrzygnięcia władz kościelnych w sporach o ważność małżeństwa były uposażone w skutki prawne w obliczu prawa państwowego, aby ustawodawstwo państwowe nie uznawało instytucji rozwodów, jako sprzecznej z zasadami prawa bożego. Gdy jeszcze katolickie państwa z końca XVIII wieku niemal w pełni uznawały powyższe postulaty Kościoła,

wiek XIX, okres walki między Państwem i Kościołem, okres systemu rozdziału między władzą duchowną i świecką, okres prób laicyzacji zasad moralności, pozbawił Kościół niemal wszędzie dotychczasowych uprawnień na polu decydowania o strukturze związku małżeńskiego. W imię suwerenności władzy państwowej, w imię jednolitości prawa małżeńskiego dla wszystkich wyznań, dążono świadomie do odebrania małżeństwu charakteru religijnego, do odebrania ślubowi kościelnemu i wyrokom władz duchownych w sporach o ważność małżeństwa jakiegokolwiek znaczenia w obliczu prawa państwowego, wprowadzono wreszcie możność rozwodu. Co więcej, niektóre Państwa, dążąc do obniżenia autorytetu Kościoła, zakazały pod rygorami karnemi, zawierania ślubu kościelnego przed ślubem cywilnym, chcąc przez to podkreślić szczególnie silnie, że ślub zawarty przed duszpasterzem jest tylko ceremonją religijną bez znaczenia wobec prawa państwowego.

Laicyzacja prawa małżeńskiego nie objęła jednak ustawodawstwa wszystkich państw europejskich, a nawet tam gdzie tkwiła u podstaw państwowej ustawy małżeńskiej jak naprzykład w Italji nie doprowadziła do wprowadzenia instytucyj rozwodów.

Wśród nielicznych państw europejskich, które w swem ustawodawstwie liczyły się z religijnym charakterem małżeństwa i uznawały wpływ zasad wiary wyznawanej przez nupturjentów na strukturę małżeństwa, należała i przedwojenna Austrja. Nie znaczy to, aby w swem ustawodawstwie uznawała wszystkie postulaty wysuwane przez władze kościelne w tej dziedzinie; sankcjonowała jednakże postulat najważniejszy, a mianowicie zasadę nierozwiązalności małżeństwa katolickiego oraz śluby kościelne jako zwyczajną formę zaślubin dla nupturjentów katolickich. Poza krótkim okresem obowiązywania konkordatu z r. 1855 nie uznawała natomiast kompetencji sądów duchownych w sporach o ważność małżeństwa tak, iż wyroki sądów duchownych wydane w tej mierze były pozbawione skutków cywilnych. W razie sporu o ważność małżeństwa i o wspólność pożycia małżeńskiego rozstrzygały sądy państwowe, na podstawie prawa państwowego.

Stwierdzić należy, że ten stan prawny nie budzi żywszej krytyki ze strony kół katolickich Austrji. Głębokie przywiązanie do wiary ze strony ludności katolickiej doprowadzało, że poza nielicznemi wyjątkami małżonkowie katoliccy, których małżeństwo zostało unieważnione wyrokiem sądu państwowego na tym wyroku nie poprzestawali i dopiero wyrok sądu duchownego uważali za decydujący o ważności ich związku małżeńskiego i o możności wejścia w nowe związki.

Wspomniana powyżej poważna zbieżność zasad państwowego prawa małżeńskiego w Austrji z przepisami prawa kanonicznego ułatwiła uregulowanie kwestji małżeńskiej w zawartym konkordacie. Sukces, jaki na tem polu uzyskała Stolica Apostolska, polega przedewszystkiem na petryfikacji zasad państwowego prawa małżeńskiego, uznającego w pełni charakter religijny małżeństwa katolickiego i prawo Kościoła do regulowania jego zasad. Sukces to ważny, jeśli się zważy, że przez wprowadzenie przepisów o małżeństwie do konkordatu zapewniono tem samem, iż ustalone zasady nie ulegną zmianie drogą jednostronnego ustawodawstwa wewnętrznego. Należy nadto zwrócić uwagę, iż w republikańskiej Austrji, wbrew zasadom kodeksu cywilnego zaczęto omijać przepisy o nierozerwalności małżeństwa katolickiego drogą dyspens udzielanych przez administracyjne władze państwowe. Wprawdzie judykatura Sądu Najwyższego stała na stanowisku bezwzględnej nierozerwalności małżeństwa katolickiego, niemniej tendencje wprowadzenia rozwodów pod formą dyspensy od przeszkody węzła małżeńskiego utrzymywały się i rozszerzały. Konkordatowe uregulowanie kwestji małżeńskiej posiada bardzo doniosłe znaczenie nietylko dla Austrji. Wskazuje ono, iż zapoczątkowane konkordatem z Italją zabiegi Stolicy Apostolskiej o odzyskanie wpływu na regulowanie podstaw instytucji małżeństwa spotykają się z coraz szerszem zrozumieniem u władz państwowych i że możliwe jest pogodzenie zasady suwerenności państwa z równoczesnem uznaniem postulatów Kościoła w zakresie osobowego prawa małżeńskiego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że czynnikiem ułatwiającym kompromis między Kościołem i Państwem w tym kierunku była okoliczność,

iż dawne prawo austrjackie w pełni respektowało zasadę nierozerwalności małżeństwa katolickiego, zasadę, bez której mowy być nie może o uzgodnieniu państwowego prawa małżeńskiego z prawem kanonicznem. Nie bez wpływu, poza rolą polityczną organizacyj katolickich i ich siłą, był również fakt, że Austrja jest krajem pod względem wyznaniowym niemal jednolitym.

Niesposób tutaj przedstawiać zasad osobowego prawa małżeńskiego w świetle konkordatu i wydanej w jego wykonaniu bardzo interesującej państwowej ustawy małżeńskiej, tem więcej, że nie zostały jeszcze wydane rozporządzenia wykonawcze do tej ustawy, ani instrukcje Stolicy Apostolskiej dla episkopatu austrjackiego. Przekroczyłoby to zresztą ramy niniejszego artykułu sprawozdawczego. Wydaje mi się jednakże wskazanem zwrócić uwagę, iż, choć przepisy konkordatu i austrjackiej ustawy małżeńskiej opierają się na zasadach przyjętych we Włoszech, przecież Stolica Apostolska formalnie nie sprzeciwiła się pewnemu zmniejszeniu praw władzy kościelnej w porównaniu z tym stanem prawnym, który został stworzony we Włoszech.

We Włoszech wprowadzono zasadę alternatywności formy zaślubin połączoną ściśle z kompetencją władzy powołanej do orzecznictwa w sporach o ważność związku małżeńskiego. Wybór formy zaślubin decyduje równocześnie o wyborze prawa, któremu nupturjenci pragną poddać swój związek małżeński jakoteż sądu, który rozstrzyga w ewentualnym procesie co do ważności małżeństwa. Jeśli ślub został zawarty w formie kościelnej, w sporach o ważności małżeństwa decydować będzie na podstawie prawa kanonicznego sąd duchowny, którego wyrokom zostanie nadana skuteczność cywilna. I odwrotnie jeśli katolicy zawarli ślub w formie cywilnej, wyrok sądu duchownego, orzekający nieważność tego związku, nie pociągnie żadnych skutków cywilnych, choćby strony dobrowolnie poddały się jego orzecznictwu. Kompetentnym do orzekania o ważności ślubu cywilnie zawartego będzie jedynie sąd państwowy. Otóż ustawa austrjacka kwestje te reguluje nieco inaczej. I tutaj, jeśli małżeństwo zostało zawarte w formie cywilnej, wyłącznie kompetentny do orzekania o jego ważności będzie sąd

państwowy, który wyrok swój oprze na przepisach prawa państwowego. I tutaj, jeśli nupturjenci zawrą ślub w formie kościelnej, prawem, które decydować będzie o ważności ich związku będzie prawo kanoniczne i sąd duchowny będzie kompetentny do wydania wyroku, który może uzyskać skuteczność cywilną; jest jednak bardzo doniosłem, że sąd duchowny nie jest wyłącznie kompetentny do orzeczenia o ważności ślubu kościelnego. Nupturjenci, mimo iż zawarli ślub kościelny, i w sumieniu po myśli zasad wiary katolickiej są zobowiązani do poddania się wyłącznie jurysdykcji sądów duchownych, z punktu widzenia prawa państwowego zatrzymują prawo wyboru sądu, którego wyrokowi pragną się poddać. Sąd duchowny staje się kompetentny do wydania wyroku uposażonego w skutki cywilne dopiero z chwilą, gdy obie strony wdadzą się w spór przed jego trybunałem. Małżonkom, którzy zawarli ślub w formie kościelnej przysługuje jednak tylko prawo wyboru trybunału, ale nie mają możności zmiany prawa, które rządzi ich związkiem. Nawet bowiem w wypadku, gdy do rozstrzygnięcia o ważności, a wyrażając się ściślej skuteczności cywilnej małżeństwa kościelnie zawartego okaże się według austrjackiej ustawy małżeńskiej kompetentny tylko sąd cywilny, może on temu małżeństwu odebrać skutki cywilne jedynie z powodu istnienia przeszkody uznanej przez prawo kanoniczne.

Z punktu widzenia prawnego istnieją zatem zasadnicze różnice między włoską i austrjacką ustawą małżeńską w zakresie sądownictwa w sprawach małżeńskich. Podczas gdy w Italji możemy mówić o zrzeczeniu się przez prawo państwowe władzy jurysdykcyjnej w zakresie orzecznictwa o ważności ślubów kościelnych na rzecz władz duchownych, w Austrji katolickie sądy duchowne w zakresie sądownictwa w sprawach małżeńskich posiadają jedynie charakter sądów subsydjarnych, zdolnych do wydawania wyroków uposażonych w skuteczność cywilną jedynie w wypadku dobrowolnego poddania się ich orzecznictwu przez obu małżonków.

Małżeńska ustawa austrjacka została wydana niewątpliwie po uprzednim przedstawieniu jej tekstu władzom kurjalnym. Wskutek tego posiada ona ogromnie doniosłe znaczenie jako przejaw tendencyj uregulowania kwestji małżeńskiej

w sposób jak najłatwiejszy do przyjęcia przez nowoczesne państwa, bez naruszenia z jednej strony jego suwerenności i jego prawa do regulowania kwestji małżeńskiej, z drugiej zaś strony w sposób salwujący w pełni zasadnicze postulaty Kościoła, wynikające z sakramentalności małżeństwa. W świetle konkordatu austrjackiego wynika, iż ograniczają się one do żądania, aby ustawodawstwo świeckie uznawało zasadę bezwzględnej nierozerwalności małżeństwa katolickiego stosownie do nauki Kościoła, oraz by uznawano skuteczność cywilną ślubów zawieranych przed duszpasterzem katolickim oraz wyroków sądów kościelnych w przedmiocie ważności ślubu kościelnego. Członkowie Kościoła katolickiego są zawsze zobowiązani do przestrzegania wszystkich przepisów prawa kanonicznego w przedmiocie małżeństwa i małżeństwo ich wbrew nim zawarte będzie w obliczu Kościoła nieważne i bezskuteczne. Stolica Apostolska gotowa jest natomiast zrezygnować z domagania się, aby ustawodawstwo państwowe stosowało w swych przepisach zasadę przymusu, polegającego na bezwzględnym nakazie; iż katolicy pod rygorem nieważności małżeństwa są zobowiązani do zawierania związków małżeńskich w formie przez Kościół przepisanej oraz do poddawania się wyłącznie jurysdykcji sądów duchownych w sporach o ważność kościelnie zawartego związku małżeńskiego.

Nie tu miejsce na szczegółowe przedstawienie, do jakiego stopnia sposób rozwiązania kwestji małżeńskiej w Austrji może ułatwić porozumienie się na tem polu między Kościołem i innemi państwami, w których prawo małżeńskie czeka na swe definitywne uregulowanie. Ustępstwo Stolicy Apostolskiej należy zdaje mi się tłumaczyć coraz bardziej pogłębiającą się ideą spirytualizacji prawa kanonicznego, które rezygnuje z korzystania z przymusu przez Państwo stosowanego tam wszędzie, gdzie istnieje przekonanie, iż i bez niego katolicy będą postępować według zasad wiary i moralności chrześcijańskiej, poddając się przepisom prawa kanonicznego w wykonaniu ciążącego na nich obowiązku posłuszeństwa wobec Kościoła. Wydaje mi się, że tą samą ideą spirytualizacji celów i metod Kościoła — na zupełnie innym odcinku — należy tłumaczyć słynne oświadczenie

Prymasa Polski o korzystaniu przez władze kościelne z państwowej ustawy o składkach kościelnych.

Ograniczenie korzystania z przymusu przez Państwo wywieranego wydaje mi się i celowe i wskazane; władze kościelne z powszechnego renesansu katolicyzmu w Europie trafny wyciągają wniosek, że i bez pomocy ramienia państwowego katolicy będą pilnie przestrzegali przepisów Kościoła. Dlatego nie wydaje mi się w pełni uzasadnionym pogląd, wyrażony na łamach jednego z czasopism naukowych z okazji analizowania austrjackiej ustawy małżeńskiej, że ustawa ta „oddała jurysdykcję w sprawach o nieważność małżeństw religijnych katolickim sądom duchownym wśród takich ograniczeń, że oddanie to jest raczej tylko pozorne i praktycznie nie ma wielkiego znaczenia". Autor miał tu na myśli przepisy ustawy wysuwające jurysdykcję sądów państwowych przed sądami duchownemi na skutek uzależnienia kompetencji sądu duchownego do wydawania uposażonego w skutki cywilne orzeczenia o ważności małżeństwa, od wdania się wspór przed nim przez obu małżonków. Wniosek wyciągnięty z tej zasady austrjackiej ustawy małżeńskiej nie wydaje się trafny. Wystarczy zwrócić uwagę na stosunki panujące na ziemiach polskich byłego zaboru austrjackiego. Mimo, iż nadal obowiązują tam przepisy dawnego prawa austrjackiego o wyłącznej kompetencji sądów państwowych w sporach o ważność małżeństwa, przecież z reguły małżonkowie - katolicy nie poprzestają na wyroku sądów świeckich i przed sądami duchownemi, ponownie, mimo podwójnych kosztów, zabiegają o unieważnienie swego małżeństwa. Czynią to, bo im tak nakazuje wiara, iż tylko Kościół powołany jest do stwierdzenia istnienia czy nieistnienia sakramentalnego małżeństwa. Stąd wydaje się, że podobnie jak we Włoszech od chwili wprowadzenia prawa nupturjentów do wyboru formy zaślubin kościelnej czy cywilnej blisko 100 % małżonków katolików wybierało kościelną formę zaślubin, tak i w Austrji, z chwilą gdy nowa ustawa małżeńska z 4 maja 1934 r. przewidziała możliwość nadania skutków cywilnych wyrokom sądów duchownych w sporach o ważność małżeństwa kościelnie zawartego, małżonkowie katolicy będą się udawali tylko przed

sąd duchowny, aby unieważnić swe małżeństwo. Będą tak czynili tem więcej, iż wyrok sądów świeckich co do ważności małżeństwa zawartego w formie kościelnej musi się opierać na przepisach kodeksu kanonicznego w przedmiocie przeszkód małżeńskich. Mimo, iż przy tego rodzaju uregulowaniu sprawy przy wyborze sądu odpada moment spekulowania na to forum, przed którem łatwiej będzie uzyskać unieważnienie małżeństwa, zawsze pewien procent znajdzie się takich, którzy wybiorą sądy państwowe i przed nimi będą toczyć spór o ważność małżeństwa. Ale Kościołowi nie chodzi o katolików z imienia tylko. Kościół zrezygnował z używania w stosunku do nich przymusu udzielanego przez Państwo, skoro to Państwo przyjęło w swem ustawodawstwie katolicką zasadę nierozwiązalności małżeństwa sakramentalnego oraz prawo władz kościelnych do asystowania przy ślubie i do wydawania cywilnie skutecznych wyroków, o ważności małżeństwa. Od pogłębienia zasad wiary będą zależały faktyczne uprawnienia Kościoła i władze duchowne słusznie spodziewają się, że w praktyce dotychczasowa rola Kościoła nie zmniejszy się, lecz przeciwnie znacznie się powiększy.

Adam Vetulani.

Z dziejów grabieży i niszczenia polskiego mienia kościelnego przez Rosjan w świetle świadectw rosyjskich. (1655—1925).

I.

Historja Kościoła katolickiego pod zaborem rosyjskim obejmuje cały szereg kwestyj, które nie zostały poruszone nawet w pracach badaczy tej miary co O. Paweł Pierling lub O. Adrjan Boudou, jakkolwiek zdawaćby się mogło, że autorowie ci w swych rozprawach przedstawili wyczerpująco dzieje Kościoła za czasów Rosji carskiej.

Wśród tych kwestyj — sprawa konfiskaty i grabieży mienia kościelnego wogóle, a osobliwie bibljotek klasztorów katolickich, dokonywana przez rząd rosyjski na terenach należących dawniej do Rzeczypospolitej Polskiej, stanowi niewątpliwie jedną z największych krzywd, wyrządzonych narodowi polskiemu przez Rosjan, krzywd tem dotkliwszych, że nie mogą one nigdy być powetowane w zupełności, nawet przy najpomyślniejszych warunkach rewindykacji.

O ile rabunek ten do czasu rozbiorów Polski odbywał się wyłącznie tylko w czasie działań wojennych, podczas czasowego gospodarowania wojsk rosyjskich w granicach Rzeczypospolitej polskiej, o tyle po roku 1772 grabież przybiera charakter systematyczny i trwa jak się przekonamy nietylko przez wiek XIX, lecz i w wieku XX — jak za caratu, tak i za panowania władz sowieckich w Rosji.

Dokładne i wyczerpujące ustalenie ilości mienia kościelnego, wywiezionego przez Rosjan z Polski jest rzeczą nader trudną i skomplikowaną. W przybliżeniu sumaryczny wykaz podaje dwutomowa źródłowa praca E. Chwalewika *Zbiory polskie*, chociaż w stosunku do mienia kościelnego brak tu

wiadomości o szeregu bardzo ważnych dla nas pamiątek religijnych. Na podstawie materjałów zebranych przez Chwalewika możemy przekonać się, że wywiezione do Rosji zabytki polskie w znacznej części należały do Kościoła katolickiego, do związanych z nim instytucyj oraz do duchowieństwa polskiego, świeckiego bądź zakonnego.

W tej akcji pozbawienia Polski cennych rękopisów i druków, aby ich kosztem wzbogacić księgozbiory rosyjskich zakładów naukowych, gorliwie dopomagały rządowi carskiemu rozmaite instytuty rusyfikacyjne. Posiadając częstokroć w swoich zbiorach liczne zasoby skonfiskowanego mienia polskiego, niejednokrotnie przekazywały one najcenniejsze polskie rękopisy i druki bibljotekom wyższych uczelni Petersburga czy Moskwy.

Tak naprzykład jeszcze na schyłku wieku XIX, mianowicie 26 września 1898 roku, rada bractwa cerkiewnego w Chełmie uchwaliła „ofiarować" ze zbiorów muzealnych do bibljoteki Prawosławnej Akademji Duchownej w Petersburgu 2 tomy dokumentów, dotyczących „sprawy unitów z nieunitami". Dokumenty te, wysłane do Petersburga były bardzo ważnym materjałem dla historji unji w Chełmszczyźnie i zawierały w tomie I. 148 akt na 660 stronicach (od r. 1595 do 1669) oraz w tomie II 59 akt na 372 stronicach (od r. 1670 do 1815). Poza tem tąż uchwałą rada bractwa w Chełmie „ofiarowuje" również do Bibljoteki Prawosławnej Akademji Duchownej w Petersburgu pięknie zachowany egzemplarz w skórzanej oprawie rzadkiej książki p. t.: *Koronacja cudownego obrazu N. Marji Panny w Chełmskiej katedrze obrz. greckiego...* odprawiona r. 1765, Berdyczów 1780, pochodzący z bibljoteki jednego ze skasowanych przez rząd rosyjski klasztorów bazyljańskich.

Archiwa i bibljoteki klasztorne, dzieła sztuki z kościołów, przedmioty kultu religijnego, naczynia liturgiczne, dzwony etc. po wywiezieniu z Polski umieszczano nietylko w instytucjach rosyjskich większych miast jak Petersburg, Moskwa, Kijów, Charków, Odessa, Tomsk i t. d., ale czasem trafiały one do miast powiatowych i małych miasteczek.

Trudno nawet byłoby przypuścić i domyślić się, że mało znane miejscowości mogą przechowywać polskie pa-

miątki religijne. Nie mało ciekawych szczegółów podaje dzieło rosyjskiego uczonego Z. Denisowa o klasztorach prawosławnych w Rosji, które bardzo dokładnie wymienia znajdujące się w klasztorach prawosławnych polskiego pochodzenia rękopisy, druki oraz inne przedmioty kultu religijnego. Obecnie wobec kasaty przez rząd sowiecki klasztorów prawosławnych oraz z powodu zburzenia przez bolszewików wielu cerkwi i gmachów klasztornych, wiadomości zebrane przez Denisowa nabierają dla nas jeszcze większego znaczenia.

Akta odnośnych urzędów rosyjskich pozostałe w Polsce po zaborcach, rzucają pewne światło na chciwość z jaką dokonywano wywożenia polskich zabytków do Rosji. Jako jaskrawy przykład mogą służyć akta kancelarji namiestnika Królestwa Polskiego, dotyczące wywozu mienia kaplicy Pałacu Łazienkowskiego w Warszawie. Przekonywują one, że Rosjanie niczem nie gardzili, rabując nawet rzeczy małej wartości. Naprzykład Gimbutt, intendent zamku królewskiego w Warszawie w raporcie do kancelarji namiestnika z dnia 23 października 1838 roku za Nr. 271 oświadcza, że „na wyraźne ustne polecenie J. O. Księcia Namiestnika urządzenie znajdującej się w Pałacu Łazienkowskim kaplicy obrządku łacińskiego, zostało złożone w 4 paki celem przesłania do Petersburga". Załączony do raportu szczegółowy wykaz zawartości 4-ch pak poza obrazami Zbawiciela, Matki Boskiej, św. Piotra, portatylem z czarnego marmuru z relikwjami Drzewa Krzyża Św., kosztownym antepedjum z miedzi, posrebrzanej z ozdobami z bronzu pozłacanego, poza ołtarzem snycerskiej roboty, poza książkami, szatami oraz naczyniami liturgicznemi, bielizną kościelną i dywanami — zawiera między rozmaitemi drobiazgami: 6 sztuk niedopałków woskowych, kawałki płótna, stary dywanik i t. d...

W tym kierunku chciwość Rosjan nie znała granic, posuwając się nawet do wywłaszczenia takich świętości jak, relikwje Drzewa Krzyża Swiętego.

Już w r. 1655, w czasie najścia Lublina przez kozaków, Piotr Iwanowicz Potiomkin, dowódca wojsk rosyjskich, zmusił Ojców Dominikanów do oddzielenia znacznej części z relikwji Drzewa Krzyża Św. i zabrał je ze sobą do Moskwy.

W dniu 5 lutego 1656 roku relikwje te zostały uroczyście przez Rosjan wprowadzone do Moskwy i umieszczone na Kremlu w Soborze Uspieńskim, gdzie znajdowały się prawie 12 lat, aż do dnia 8 grudnia 1667 roku, kiedy to w myśl artykułu IX rozejmu andruszowskiego zwrócono je specjalnie w tym celu przybyłej do Moskwy delegacji Rrzeczypospolitej Polskiej ze Stanisławem Boniewskim posłem nadzwyczajnym na czele.

Stratę w r. 1665 relikwji Drzewa Św. uznano wtedy za rzecz nadzwyczajnej wagi. Z jaką gorliwością i troskliwością ówczesny rząd polski starał się je odzyskać, świadczy najlepiej fakt, że żądanie zwrotu ma miejsce aż w trzech pertraktacjach pokojowych, poprzedzających zawarcie traktatu między Polską a Moskwą.

Mianowicie już w Durowicach 12 lipca 1664 r., podczas rokowań, poprzedzających zawarcie rozejmu andruszowskiego, między warunkami pokoju było wstawione przez pełnomocników polskich żądanie zwrotu przez Moskwę zabranej z Lublina relikwji. W warunkach zaś rozejmu andruszowskiego z r. 1667 tej sprawie poświęcono artykuł dziewiąty. Aczkolwiek w myśl jego odbyło się w Moskwie 8 grudnia 1676 r. w obecności samego cara Alexego Michajłowicza uroczyste przekazanie relikwji Drzewa Krzyża Św. stronie polskiej, jednak ta ostatnia uważała, że Rosjanie nie dokonali zwrotu uczciwie, zatrzymując sobie pewną jej część, co znowu stało się tematem dalszych pertraktacyj między Polską a Moskwą. Jeszcze po pięciu latach w r. 1672 sprawa ta nie była uznana za ostatecznie zakończoną. W nowym bowiem traktacie w dn. 9 kwietnia tegoż roku w artykule XII car moskiewski zapewniał rząd polski, że „ile tylko był w stanie zebrać części relikwji Drzewa Krzyża Św., to tyle już odesłał do Polski i że więcej zwrócić nie może". Zwrócone Polsce po 12 letnich uciążliwych domaganiach się i pertraktacjach relikwje Drzewa Krzyża Św. powróciły znowu do Lublina na dawne miejsce przechowania do kościoła podominikańskiego, gdzie znajdują się po dziś dzień.

Z wielu zaś innych strat Polski na rzecz Rosji mienia kościelnego w okresie do roku 1772 zasługuje na wzmiankę zagrabienie przez wojska rosyjskie znacznej ilości rękopisów

oraz książek w czasie grasowania Rosjan na ziemiach polskich w latach poprzedzających rozejm andruszowski. Ilość wywiezionych przez nich skarbów klasztornych była tak znaczna, że w powyższym rozejmie z dnia 30 stycznia 1667 r. zostały poświęcone omówieniu warunków zwrotu rękopisów i druków klasztornych osobne artykuły, mianowicie ósmy i dziewiąty.

W parę lat później w dn. 9 kwietnia 1672 r. Rzeczpospolita Polska zawiera z Moskwą nowy traktat, w którym również znajdujemy artykuły XII, XIII i XIV, szczegółowo wyliczające warunki zwrotu przez Rosję mienia kościelnego.

Jak wywiązywał się rząd rosyjski z przyjętych na się zobowiązań, świadczą najlepiej urzędowe źródła rosyjskie. Chociaż zwrot mienia kościelnego zgodnie z artykułem VIII rozejmu andruszowskiego winien był nastąpić w ciągu 6 miesięcy od chwili podpisania go, Rosjanie nie dotrzymują słowa i car Aleksy Michajłowicz dopiero 1 grudnia 1667 r., to jest z czteromiesięcznem opóźnieniem, wydaje Cyrylowi Jakowlewowi, wojewodzie jenisiejskiemu zlecenie zajęcia się wykonaniem artykułów VIII i IX powyższego rozejmu, co jak twierdzi A. Darowski „natrafiło na nadzwyczajne trudności, gdyż pokazało się, iż wojsko rozniosło po całym obszarze państwa aż het na Syberję zdobyte łupy wojenne".

Całkowicie potwierdza tę opinję wyżej wspomniana praca L. Denisowa. Według Denisowa bowiem jeszcze w roku 1908 w klasztorze Trojecko-Lintikowym, znajdującym się o 20 kilometrów od miasta gubernjalnego Kaługi, w liczbie innych dzwonów był dzwon „wzięty do niewoli z Polski i ofiarowany klasztorowi" przez Bohdana Chitrowo, jednego z głównych dowódców wojsk moskiewskich podczas wojny z Polską. Wśród zbiorów bibljotecznych powyższego klasztoru Denisow wylicza szereg cennych rękopisów oraz druków, zrabowanych polskim klasztorom i również „ofiarowanych" przez B. Chitrowa mnichom prawosławnym.

Rosjanie sięgali nietylko po mienie instytucyj katolickich, już poprzednio przez rząd skasowanych, ale dosyć często zabierali nawet z zakładów nadal istniejących najcenniejsze egzemplarze druków, potrzebne im dla postawienia na odpowiednim poziomie bibljotek rosyjskich wyższych uczelni.

Wymowny przykład w tym kierunku przytacza profesor W. Ikonnikow. Mianowicie z bibljoteki Katolickiej Akademji Duchownej w Wilnie zabrano 231 cennych dzieł w 863 tomach dla nowozałożonego uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, nie bacząc na to, że uniwersytet kijowski i tak już przedtem otrzymał 17.649 dzieł w 151.110 tomach z bibljoteki skasowanego przez rząd rosyjski Uniwersytetu Wileńskiego. Również i Uniwersytet w Charkowie otrzymuje w roku 1835 z bibljoteki Uniwersytetu Wileńskiego cenny zbiór 1353 książek w 3000 tomach, przedstawiający, jak zaznacza prof. W. Ikonnikow, „bardzo rzadkie i cenne dzieła z dziedziny teologji katolickiej".

Dalsze losy Bibljoteki Wileńskiej Akademji Duchownej były jeszcze smutniejsze. Kiedy w r. 1842 Akademję z rozkazu Mikołaja I przeniesiono do Petersburga „bibljoteka akademicka — jak zaznacza sowiecki bibljograf Dymitr Pines — na wyraźne żądanie dyrektora Departamentu Wyznań Obcych jeszcze jakiś czas pozostawała w Wilnie. Książki załadowane w worki, leżały w nieładzie w piwnicach. Wilgoć i szczury wyrządziły w nich znaczne spustoszenia, stróże korzystając z niedbalstwa sekretarza Rokickiego, któremu był zlecony nadzór nad bibljoteką, rozdawali książki na pamiątkę albo za drobne datki oraz sami palili w piecach rzadkiemi foliantami... Tak zginęło wiele cennych rękopisów i bibljograficznych rzadkości — unikatów. Wśród nich znajdowały się: 20 tomów in folio *Excerpta ex bibliotheca Vaticana* Albertrandiego; dyarjusz traktatu lubelskiego-kazimierskiego I tom in folio; Instrukcje do cara Aleksego Michajłowicza dane od miasta Wilna delegowanym z 1658 r., 10 tomów in folio korespondencji rektora Wileńskiego Uniwersytetu znakomitego astronoma Marcina Poczobuta z Chreptowiczem, Czackim, A. Czartoryskim i in.; Z tomów akt kapituły wileńskiej; *Connotatus* Piotra Skargi i t. d...

Dopiero na wiosnę 1844 r. nader nadwerężoną bibljoteką („silno oskudiewszaja") przywieziono z Wilna do Petersburga i ulokowano w nowym gmachu Akademji Duchownej na Bazylówce. W r. 1864 liczyła ona 14518 dzieł w 33392 tomach — r. 1900 około 39.000, w chwili zaś skonfiskowania jej przez władze sowieckie — około 45—48.000 tomów.

Po obaleniu w lutym 1917 roku w Rosji caratu, przedsięwzięto pewne starania celem zabezpieczenia zbiorów bibljoteki akademickiej od wszelkich możliwych ewentualności. Mianowicie, jak świadczy były jej długoletni bibljotekarz, ks. biskup M. Godlewski, obecnie profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie — „na skutek wybuchnięcia rewolucji w Petersburgu i trosk duchowieństwa polskiego o losy tej bibljoteki, postanowiono w marcu 1917 r. wywieść kolejno częściami Bibljotekę w miejsce bezpieczniejsze, a mianowicie do Żytomierza. Pierwszy transport wyszedł 25. III. 1917 r. i został ulokowany w gmachu Kapituły Łucko-Żytomierskiej w Żytomierzu przy placu katedralnym na dole. Transport wywiózł kilkanaście pak oraz kilkanaście pudeł kartonowych archiwalnych. Dzieł było około 2.000, treści historyczno-religijnej w językach: polskim, łacińskim, francuskim, niemieckim, włoskim, rosyjskim po większej części oprawnych.

„Dla lepszego zabezpieczenia ich, ciągnie dalej Biskup, podsygnowałem je wszystkie jako bibljotekarz Akademji Duchownej dla odróżnienia od ksiąg bibljoteki Żytomierskiej. Pudła zaś kartonowe zawierają kilka tysięcy aktów, listów i różnych pism z końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku jako to rozporządzenia Uniwersytetu, Oświaty w sprawach kół polskich, trochę aktów do prześladowania Polaków przez gen. Murawjewa. Pudła były koloru jasno lila wyjałowiałego i parę ciemniejszych — wszystko to zostało zagarnięte przez władze sowieckie do Grodzkiej Bibljoteki w Żytomierzu. Ponieważ zaś uspokojono mnie co do losów reszty bibljoteki Akademji Duchownej w Petersburgu, dalszych transportów nie wysyłałem".

Tymczasem w październiku tegoż roku nastąpił przewrót bolszewicki. Wykłady z początkiem roku akademickiego 1918—1919 przeniesiono do Lublina, gmach akademicki został znacjonalizowany przez rząd sowiecki, bibljoteka zaś przeszła pod bezpośredni zarząd Centralnego Komitetu Bibljotek Państwowych w Petersburgu.

W lutym 1919 r. Komisarjat do spraw litewskich zwrócił się do Ludowego Komisarjatu Oświaty w Petersburgu z żądaniem przekazania mu jej. Komisarjat Oświaty polecił

zbadanie tego żądania specjalnej komisji, złożonej z przedstawicieli sfer bibljotekarskich i naukowych Petersburga. Opinja wypadła nieprzychylnie dla Litwinów, komisja bowiem uznała żądanie za „niepodlegające zadośćuczynieniu", jako że fundatorami bibljoteki były osoby różnych narodowości, nie zaś wyłącznie Litwini. Wobec tego Ludowy Komisarjat Oświaty 5. III. 1919 r. uchwalił odłożyć ostateczną decyzję, przekazując zbadanie całej sprawy innej specjalnie *ad hoc* powołanej komisji, złożonej z przedstawicieli Rosji, Polski oraz Ukrainy. Lecz wkrótce wojska polskie zajęły Wilno, wobec czego sprawa na razie przestała być aktualną. Zbiory bibljoteczne tymczasem pozostawały pod opieką Centralnego Komitetu Bibljotek Państwowych w Petersburgu.

Z powołaniem do życia dn. 26. VIII. 1920 r. przez władze sowieckie na wniosek dyr. M. Piotrowskiego komisji do rejestracji i zabezpieczenia mienia polskiego w Petersburgu — bibljoteka wraz z gmachem Akademji przeszła pod jej zarząd. Po zlikwidowaniu tej komisji 1 lutego 1921 roku funkcje jej przejął zarząd pełnomocnika do spraw zagranicznych w Petersburgu — Narkomindieł, — który jednocześnie zaopiekował się i bibljoteką Akademji Duchownej.

Jak wyglądała powyższa opieka może świadczyć następujący fakt: w listopadzie 1921 r. w Petersburgu do inż. Stanisława Krosnowskiego, znanego zbieracza i hojnego ofiarodawcy swych zbiorów Rzeczypospolitej Polskiej, zgłosiła się pewna osoba, proponując kupno kilku, bardzo cennych rękopisów, w tej liczbie iluminowanych. Wobec dosyć wygórowanej ceny tranzakcja nie doszła do skutku. Dowiedziawszy się od inż. Krosnowskiego o przebiegu sprawy, po obejrzeniu rękopisów, powziąłem przekonanie, że pochodzą one ze zbiorów Rz. Kat. Akademji Duchownej w Petersburgu. Zakomunikowałem to inż. Krosnowskiemu, który wówczas odmówił kupna tych rękopisów i zatrzymał je do wyjaśnienia sprawy. Tymczasem korzystając z pobytu w Moskwie w charakterze eksperta Delegacji Polskiej w Komisji Specjalnej dr. Ludwika Biernackiego, dyrektora „Ossolineum" we Lwowie, zaproponowałem mu złożenie rękopisów jako depozyt wieczysty w „Ossolineum". Dyrektor

Biernacki chętnie się na to zgodził, rękopisy zabrał do Lwowa i nadesłał do Petersburga potwierdzenie ich odbioru wraz z podziękowaniem, które doręczyłem proponującemu ich kupno mimowolnemu ofiarodawcy. W r. 1931 prof. Stanisław Ptaszycki, dokładnie znający zbiory rękopisów Akademji Duchownej, po zwiedzeniu „Ossolineum" potwierdził moje przypuszczenia co do ich pochodzenia. A więc opatrznościowo się stało, że te rękopisy — są to pozycje według katalogu rękopisów „Ossolineum" Nr. 5450/IV; 5451/I; 5452/I; 5452/I; 5453/I; 5459/II; 5553/I — w tak niezwykły sposób wróciły do Polski.

Po rozpoczęciu prac rewindykacyjnych w Moskwie na podstawie art. XI Traktatu Rosyjskiego, Delegacja Polska zażądała zwrotu Bibljoteki Petersburskiej Akademji Duchownej, wobec czego 31. X. 1922 r. Mieszana Komisja Specjalna uchwaliła „wydanie Rządowi Polskiemu rękopisów, książek, sztychów i innych wytworów pisma i druku, wywiezionych z różnych bibljotek polskich od 1 stycznia 1772 r. obecnie zaś znajdujących się na terytorjum R.S.F.S.R. i U. S. S. R." — z terminem sześciomiesięcznym od daty powyższej rezolucji. Tymczasem rząd sowiecki, pomimo nalegań ze strony polskiej, nie spieszył się z wykonaniem uchwały, która przechodziła różne koleje i po wielu szykanach i przeszkodach dopiero w marcu 1926 r. doczekała się ułamkowego wykonania.

Zadaniem pełnomocników Delegacji Polskiej było nietylko sprawdzenie spisu książek ujawnionych samodzielnie przez stronę sowiecką, lecz również dodatkowa wspólna ekspertyza celem sprawdzenia dokładności wyników tej pracy. Strona polska podczas tej pracy dodatkowo ujawniła 471 dzieł wywiezionych z Berezy Kartuskiej oraz 138 tomów z innych poszczególnych klasztorów polskich.

Ze względu na stanowczą odmowę Delegacji Sowieckiej dokonania zwrotu Polsce tych książek z Bibljoteki Akademji Duchownej, które były wywiezione w swoim czasie do Petersburga z Wileńszczyzny — wyniki prac rewindykacyjnych okazały się bardzo nikłe. Z ogólnej ilości dzieł, sięgających jak wiadomo kilkudziesięciu tysięcy tomów, Polska otrzymała zaledwie 117 rękopisów oraz 2.700 tomów,

mianowicie z Lublina — 1933 t., z Ostroga — 150 t., z Ustiługa — 102 t., z Berezy Kartuskiej — 471 t. oraz varia 134.

Pozostałe zaś kilkadziesiąt tysięcy tomów Bibljoteki wraz z szafami bibljotecznemi — z rozkazu władz sowieckich przewieziono do gmachu Bibljoteki Rosyjskiej Akademji Umiejętności w Petersburgu. Rewindykacja tej części bibljoteki jest uzależniona od porozumienia obydwu rządów w sprawie zwrotu mienia kulturalnego, wywiezionego z Wileńszczyzny do Rosji, czego dotychczas władze sowieckie stale odmawiały.

Po ukończeniu prac ekspertów obydwu delegacyj znowu nastąpiła kilkumiesięczna zwłoka i dopiero 11 maja 1927 r. podpisano akt odbiorczo-zdawczy, a transport w czerwcu tegoż roku wysłano do Warszawy. Co do księgozbioru Akademji Duchownej, musimy wspomnieć o wystąpieniu ks. metropolity mohylowskiego Edwarda von Roppa. Metropolita mianowicie wystosował do Delegacji Polskiej dnia 16. XI. 1927 r. za Nr. 2382 pismo, które przytaczamy w całości:

„Do wiadomości mojej doszło, że Delegacja wywozi z Petersburga książki z Bibljoteki Akademji Duchownej w Petersburgu. Nic nie mam przeciwko temu, o ile wywiezienie to ma być traktowane jako środek zabezpieczenia od rozgrabienia tych książek przez bolszewików i w tej formie nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby również udało się uratować księgozbiór seminarjum duchownego przy ulicy 1 rota pułku Izmajłowskiego.

Natomiast nie mógłbym się zgodzić, by książki te wcielano do księgozbiorów w Polsce z tego względu, że nie zrezygnowaliśmy z istnienia Akademji, Seminarjum i innych zakładów duchownych w Petersburgu i zamierzamy je wznowić, gdy tylko będzie możliwe.

Wobec tego, jako zwierzchnik Kościoła w Rosji i Metropolita wszystkich Kościołów katolickich w Rosji, zgadzając się tylko w powyższej formie na ewakuację księgozbiorów z instytucyj katolickich w Rosji, proszę Pana Prezesa o utrzymanie w przyszłości ewidencji o wywożonych książkach, dostarczenie mi dokładnych wykazów już wywiezionych ze wskazaniem tytułów i miejsca, gdzie one są w Polsce ulokowane oraz zapewnienia, że nasze do nich prawo

własności nie będzie niczem naruszone. Jednocześnie, gdyby Pan Prezes uważał za potrzebne, gotowi jesteśmy złożyć ewakuowane nasze książki w miejscu przez nas obranem".

Prezes Delegacji Polskiej w odpowiedzi ks. arcybiskupowi oświadczył, że „do Delegacji Polskiej należy tylko odzyskanie objektów w Z. S. R. R. i przywiezienie ich do kraju, natomiast rozdział w kraju nie leży w jej kompetencji", wobec czego przekazał zastrzeżenia ks. metropolity Wydziałowi Bibljotek Państwowych Ministerstwa W. R. i O. P.

Aczkolwiek wznowienie z czasem w Petersburgu działalności Rz. Kat. Akademji Duchownej byłoby bardzo pożądane, to jednak uroszczenia co do zbiorów dawnej Bibljoteki akademickiej wydają się pozbawione podstaw prawnych, jako że zbiory te były wywiezione do Petersburga przez rząd carski z Polski, oraz że archidiecezja Mohylowska weszła w ich posiadanie wyłącznie dzięki gwałtowi popełnionemu przez rząd rosyjski. Wszystko to przemawia chyba za tem, że winny one wrócić do Polski nie na pewien czas, lecz na zawsze.

Mogą być pewne zastrzeżenia wyłącznie co do tych książek, które Bibljoteka Akademji Duchownej nabyła już w Petersburgu po jej przeniesieniu z Wilna. Lecz, jak dokładnie możemy przekonać się z artykułu Pinesa, takich książek Akademja posiadała bardzo nieznaczną ilość, ponieważ, jak słusznie zaznacza ten autor, bibljoteka Akademji w Petersburgu „pędziła nędzny żywot" (str. 144). Od r. 1881 do 1900 nabyła ona 2711 tomów z subsydjum Departamentu W. O. udzielonego z t. zw. kapitałów katolickich w Rosji, pochodzących przeważnie z diecezyj Królestwa Polskiego oraz Wileńskiej, Łuckiej, Pińskiej ponownie obecnie wchodzących w skład Rzeczypospolitej Polskiej. A więc i z tych 2711 tomów lwia część należałaby się Polsce.

Jak ta sprawa będzie ostatecznie rozstrzygnięta pokaże przyszłość. Narazie zapadła tylko definitywna uchwała co do rewindykowanych już 117 rękopisów oraz 2.700 druków, które wraz z innemi rewindykatami bibljotecznemi weszły do Bibljoteki Narodowej w Warszawie.

Po skonfiskowaniu zbiorów bibljotecznych i po przeniesieniu ich do Bibljoteki Rosyjskiej Akademji Umiejętno-

ści w Petersburgu, obszerny kompleks gmachów po-akademickich na Bazylówce został oddany przez władze sowieckie do użytku organizacyj komunistycznych. Warto jednak zaznaczyć, że powyższy gmach również stanowi bezsporną własność duchowieństwa katolickiego. Jak świadczą bowiem dwa urzędowe pisma Departamentu W. D. za podpisem ministra spraw wewn. hr. Perowskiego z dn. 23. II. 1842 r. za Nr. 515 („ob otczislenii iz wspomogatielnago kapitała r. k. duchowienstwa 70.000 rub. ser. na pokupku zdanij b. Ros. Akademii") oraz z dn. 15. IV. za Nr. 1022 („o sledujuszczich Ministerstwu Nar. Proswieszczenija za zdanije b. Ros. Akademii 70.000 r. ser.") wystosowane do Rz. Kat. Kolegjum Duchownego w Petersburgu — gmach ten został nabyty od Ministerstwa Oświaty za 70.000 rubli, wyasygnowanych z sum „kapitału pomocniczego rzym. kat. duchowieństwa". Z tychże funduszów kolegjum pokryło wszystkie wydatki, użyte przez władze administracyjne na przebudowę budynku i zastosowanie go do potrzeb Rz. Kat. Akademji Duchownej, a więc rząd carski na ten cel nie wydał ani grosza pieniędzy ze skarbu rosyjskiego. Stąd wynika, że rząd sowiecki nie ma żadnych prawnych podstaw do nacjonalizacji tego gmachu.

Często, konfiskując mienie kościelne, władze rosyjskie nie wiedziały, jaki potem mają zrobić z niego użytek. Całemi latami leżało ono nieraz bez żadnego przeznaczenia, oczekując na decyzję urzędników, a tymczasem ulegało zniszczeniu z powodu wilgoci albo braku dozoru. Badając losy mienia skonfiskowanego po kasacie klasztorów katolickich spotykamy się z faktami wprost nie do wiary. Gdyby nie świadczyły o tem akta urzędowe rosyjskie, to chyba niejeden badacz wątpiłby w możliwość istnienia podobnych wypadków. Do najgłośniejszych należy sprawa konfiskaty mienia OO. Jezuitów w Połocku. Trwała ona 32 lata (od roku 1830 do 1862 włącznie) i daje nam niezbite dowody absolutnego braku podstawowych zasad etycznych u ówczesnej biurokracji rosyjskiej.

Krótki przebieg tych niezwykłych kolei losów zabytków polskich jest następujący: po wydaleniu jezuitów z granic Rosji w dn. 13 marca 1820 r. połocką ich spuściznę otrzymali księża pijarzy, którzy mieli w swojem posiadaniu ko-

ściół pojezuicki do końca 1830 roku, kiedy to rząd rosyjski nakazał zabranie kościoła na użytek cerkwi prawosławnej, a w gmachach poklasztornych umieszczono korpus kadecki. Po przebudowie kościoła na cerkiew i uroczystem poświęceniu byłego kościoła w dniu 7 sierpnia 1833 r. przez Gabrjela, biskupa prawosławnego z Witebska, były kościół pojezuicki przeszedł pod zarząd generała-majora Chwoszczyńskiego, dyrektora korpusu kadetów.

Gen. Chwoszczyński, odczuwając brak funduszów potrzebnych na wykończenie przebudowy świątyni, a mając w murach poklasztornych obrazy oraz inne przedmioty kultu religijnego, pozostałe po dawnych właścicielach kościoła, wystąpił z raportem do władz wojskowych w Petersburgu, prosząc o zezwolenie cesarza Mikołaja I na sprzedaż mienia pojezuickiego, aby otrzymane z tej sprzedaży fundusze użyć potem na potrzeby nowej świątyni. Minister wojny wyjednał zgodę cesarza, którą zakomunikowano gen. Chwoszczyńskiemu. Tymczasem ani w Połocku ani w całej Witebszczyźnie nie można było znaleźć nabywców na obrazy, szaty i naczynia liturgiczne. Wtedy pomysłowy generał zwraca się w dniu 15 sierpnia 1842 r. z urzędowym raportem do gen. gubernatora wileńskiego Mirkowicza oraz do księcia Paskiewicza, namiestnika Królestwa Polskiego, prosząc o podanie do publicznej wiadomości w gubernjach Litwy i Królestwa Polskiego za pośrednictwem prasy, że do dnia 1 października 1842 r. jest do sprzedania w drodze przetargu w Połocku przy korpusie kadetów mienie kościelne pojezuickie. W ten sposób proponowano społeczeństwu polskiemu nabycie w drodze przetargu przedmiotów kultu religijnego, które stanowiły jego bezsporną własność.

Gen. Mirkowicz polecił podwładnym sobie gubernatorom wileńskiemu, grodzieńskiemu, mińskiemu oraz białostockiemu podać do wiadomości miejscowych obywateli wyznania katolickiego treść odezwy gen. Chwoszczyńskiego. W myśl tych zleceń gen. Mirkowicza, gubernator miński zakomunikował guberjalnemu i powiatowym marszałkom szlachty oraz administratorowi diecezji mińskiej prałatowi Rawie o mającej odbyć się w Połocku sprzedaży mienia pojezuickiego, zachęcając do skorzystania z tej okazji. Prałat

Rawa, mając zamiar nabyć część tego mienia dla katedry mińskiej, wydelegował swego sekretarza do Połocka w celu porozumienia się z gen. Chwoszczyńskim, lecz ostatni oświadczył wysłańcowi administratora, że całe mienie pojezuickie z rozkazu Mikołaja I zostało przekazane księciu Paskiewiczowi. Tymczasem nic nie wiedząc o powyższej decyzji cesarza, gubernator grodzieński ogłasza w miejscowej urzędowej gazecie *Grodnienskija Gubernskija Wiedomosti* w Nr. 35 odezwę gen. Chwoszczyńskiego.

Inaczej zareagował na raport gen. Chwoszczyńskiego książę Paskiewicz, który, jak powszechnie wiadomo, nigdy nie był przychylnie usposobiony ani względem Kościoła katolickiego, ani względem Polaków. Dyrektor kancelarji namiestnika otrzymał rozkaz odpisania gen. Chwoszczyńskiemu, że książę „uważa za nieprzyzwoite (nieprilicznym) dawać podobne ogłoszenie i wogóle nie chce brać w tej sprawie udziału". Korzystając zaś z pobytu Mikołaja I w Warszawie książę Paskiewicz przedstawił cesarzowi w dn. 12 października całą sprawę gen. Chwoszczyńskiego, wskazując na niewłaściwość projektu oraz na możliwość powstania wśród ludności katolickiej, zamieszkałej w Królestwie Polskiem, bardzo niepożądanych dla rządu pogłosek w razie dojścia do skutku projektu gen. Chwoszczyńskiego. Ze swojej zaś strony namiestnik wysunął inny projekt, a mianowicie: całe mienie jezuitów połockich przekazać namiestnikowi, obrazy gratis, a za resztę zapłaci Rada Administracyjna Królestwa Polskiego po uprzedniem urzędowem oszacowaniu powyższego mienia przez biegłych, delegowanych przez władze. Mikołaj I uznał wywody księcia Paskiewicza za słuszne i już w dniu 29 października namiestnik zakomunikował gen. Chwoszczyńskiemu decyzję cesarza, żądając nadesłania do Warszawy mienia pojezuickiego z wykazem oszacowania każdej rzeczy zosobna. W dniu 6 lutego 1843 r. porucznik Wisznianow z polecenia gen. Chwoszczyńskiego doręczył Gumbuttowi, intendentowi zamku królewskiego w Warszawie, cały transport mienia pojezuickiego wraz z wykazem oszacowania, otrzymując wzamian z kasy Królestwa Polskiego 3539 rubli srebrem.

A więc transakcja doszła do skutku: katolicka ludność Królestwa Polskiego zapłaciła rządowi rosyjskiemu za mienie skonfiskowane Polakom - katolikom, zamieszkałym na ziemiach niegdyś należących do Rzeczypospolitej Polskiej. Zdawało się, że teraz, po uiszczeniu powyższej sumy, już niema żadnych przeszkód dla wykonania pozostałej części raportu namiestnika, jak wiemy zaaprobowanego przez cesarza, mianowicie dla przekazania cenniejszych rzeczy do kościoła katedralnego w Warszawie i do budującego się kościoła na Woli, reszty zaś biedniejszym kościołom w „Księstwie Łowickiem". Tymczasem sprawa stanęła na martwym punkcie. Dopiero po 6 latach 23 listopada 1849 r. ks. Marcin Zarzecki kwituje z odbioru relikwjarza pojezuickiego dla kościoła św. Karola Boromeusza w Warszawie. Z przekazaniem reszty mienia pojezuickiego nie spieszono się. Po złożeniu przez ks. Antoniego Leśniewskiego w dniu 11 sierpnia 1856 r. podania do namiestnika z prośbą o udzielenie z mienia pojezuickiego dla kościoła parafjalnego w Jargorzewie archidiecezji warszawskiej krzyża — sprawa znowu stała się aktualną. Aczkolwiek ks. Leśniewski otrzymuje z kancelarji namiestnika odpowiedź odmowną, jednakże przypomniano sobie przy tej sposobności, że sporo pojezuickich przedmiotów kościelnych znajduje się jeszcze w składach zamku królewskiego w Warszawie. Muchanow, główny dyrektor Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, podaje Platonowowi, dyrektorowi kancelarji namiestnika, wykaz pozostałego mienia pojezuickiego, zaznaczając, że w dniu 23 grudnia 1856 r. ojcowie Kapucyni w Warszawie otrzymali monstrancję wartości 1000 rubli (dar króla Stefana Batorego OO. Jezuitom), mszał w srebrnej oprawie, krzyż, używany w czasie procesji, wysadzany kamieniami oraz obrazy św. Franciszki i św. Kazimierza. Poza tem kościół w Niegowie archidiecezji warszawskiej otrzymał krzyż i kielich z pateną.

Jednocześnie Muchanow występuje z projektem przekazania pozostałych rzeczy, a mianowicie obrazów: Trójcy św. ze św. Ignacym oraz św. Jana Chrzciciela — kościołowi katedralnemu w Janowie, diec. podlaskiej; św. Tekli — kościołowi w Mokotowie; Ostatniej Wieczerzy — kościołowi na

Woli oraz św. Barbary — kościołowi w Niegowie; naczynia zaś liturgiczne proponuje podzielić między kościołami Warszawy. Książę Gorczakow, nowy namiestnik Królestwa Polskiego, dn. 12 listopada 1858 r. zatwierdza projekt Muchanowa i poleca wykonanie go odpowiednim władzom administracyjnym. Czy polecenie księcia Gorczakowa zostało wykonane i kiedy — w aktach kancelarji namiestnika niema żadnej wzmianki, oprócz jednej, a mianowicie, że proboszcz kościoła na Woli w Warszawie odmówił przyjęcia obrazu „Ostatnia Wieczerza", ponieważ jakoby w „kościele niema odpowiedniego miejsca na zawieszenie tego obrazu". Wtedy z rozkazu namiestnika dn. 24 stycznia obraz ten przekazano do kaplicy policyjnej na Ratuszu w Warszawie.

Tem zarządzeniem władz administracyjnych Królestwa Polskiego została zakończona sprawa konfiskaty mienia OO. Jezuitów połockich, rozpoczęta w roku 1830.

Nie mniej smutny los spotkał i zbiory bibljoteczne Jezuitów połockich. Nie przytaczając już znanych szczegółów, zawartych w artykule Bolesława Brežgo p. t.: „Losy bibljotek jezuickich kolegjów w Połocku i Witebsku", ograniczamy się do zanotowania danych, opartych na aktach archiwalnych, ogłoszonych drukiem przez autorów jubileuszowego wydawnictwa z powodu obchodu stulecia istnienia Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu.

Mianowicie od maja do grudnia 1830 r. pracował w bibljotece jezuickiej w Połocku, bibljotekarz Popow, delegowany przez zarząd Cesarskiej Bibljoteki Publicznej dla dokonania wyboru najcenniejszych druków i rękopisów. Skutkiem tej pracy było wywiezienie do Petersburga 177 tomów książek oraz 106 rękopisów. Dalszego „wyboru" dokonały Uniwersytety: Petersburski, który otrzymał 6.260 tomów oraz Moskiewski 454. Następnie Departament Wyznań Obcych otrzymał 3056 tomów, które potem przechowywał do r. 1862, kiedy to stały się one ofiarą płomieni. Bardzo nieznaczną część zbiorów pojezuickich uratowano, ale zato część ich trafiła do antykwarjuszy petersburskich. Od nich naprzykład zbiór cennych dokumentów jezuickich, ujętych w pokaźny tom in folio pod tytułem: *Liber privilegiorum collegii Societatis Iesu rigensis de anno 1585,* nabył zbieracz Piotr Goetz,

po którego śmierci spadkobiercy sprzedali ten cenny rękopis za znaczną cenę do Bibljoteki Miejskiej w Rydze.

Wogóle trzeba zaznaczyć, że w sprawach konfiskaty mienia kościelnego Departament W. O. odgrywał dominującą rolę. Wywiezienie do Rosji najcenniejszych książek i rękopisów bibljotek klasztornych przypisać należy bowiem jedynie zarządzeniom dyrektorów tego departamentu, chociaż stały one w jaskrawej sprzeczności z przepisami prawa rosyjskiego, co zresztą, jak zobaczymy, uzna sam Departament W. O. dopiero w roku 1909 w piśmie do kancelarji Warszawskiego gen. gubernatora z dn. 11 marca za Nr. 449. Akta archiwum Departamentu W. O. w Petersburgu zawierają bardzo obfity materjał, dotyczący podobnej działalności hr. Emanuela Sieversa (1856—1878), Aleksandra Mosołowa (1879—1882 i 1894—1904) oraz ks. Michała Kantakuzina — hrabiego Sperańskiego (1882—1894). Dyrekcja Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu należycie oceniając tę działalność ks. Kantakuzina, powołała go w r. 1888 na swego członka honorowego za wydatną pomoc przy przekazaniu bibljotece „druków i rękopisów ze skasowanych klasztorów Priwiślinskich gubernij".

Trudno pogodzić tę troskliwą opiekę dyrektorów Departamentu W. O. nad polskiemi bibljotekami poklasztornemi, których rzadkiemi i cennemi drukami oraz rękopisami hojnie obdarzali rosyjskie instytucje naukowe, a przedewszystkiem Cesarską Bibljotekę Publiczną — z tem lekceważeniem i niedbalstwem w zachowaniu dla historji bieżących akt i dokumentów swego departamentu, które niemniej hojnie od czasu do czasu sprzedawali na wagę, na makulaturę, jako rzecz nie mającą żadnej wartości. A jednak wśród tych sprzedanych na makulaturę materjałów często znajdowały się bardzo ważne akta, dotyczące historji Kościoła pod zaborem rosyjskim. Tak np. w roku 1911 znany antykwarjusz petersburski Kotow ogłosił w jednym ze swoich katalogów, że ma do sprzedania „180 dieł po rimsko-katoliczeskoj religii" za lata 1852—1871, wśród których były wyjątkowego wprost znaczenia akta o zesłaniu księży za okres lat 1853—1869 oraz akta dotyczące klasztorów katolickich za lata 1852—1868.

Skasowanie paruset klasztorów po powstaniu listopadowem było bezpośrednią przyczyną bliższego zetknięcia się Departamentu W. O. z urzędu ze zbiorami bibljotek poklasztornych. Jednak dla ścisłości musimy zaznaczyć, że Ministerstwo Spraw Wewn. roztaczało czujną opiekę nietylko nad bibljotekami klasztorów już skasowanych przez rząd, lecz starało się przy każdej nadarzającej się sposobności skontrolować zawartość zbiorów bibljotecznych klasztorów jeszcze istniejących, w celu zbadania czy nie zawierają one dzieł zakazanych przez cenzurę.

Tak np. w r. 1833 gubernator grodzieński Murawjew, głośny w 30 lat później wileński gen. gubernator, otrzymuje poufną drogą wiadomość o posiadaniu przez bibljotekę OO. Bernardynów w Grodnie kilkunastu egzemplarzy dzieła w języku polskim pod tytułem *Głos Obywatela* b. m. dr. 1785. Murawjew niezwłocznie wydaje miejscowej policji zlecenie przeprowadzenia najściślejszej rewizji w klasztorze, gdzie rzeczywiście znajdują w bibljotece aż 194 egzemplarze tej książki. Murawjew donosi o tem gen. gubernatorowi wileńskiemu, ten zwraca się do ministra spraw wewn. po ostateczną decyzję. W raporcie do ministra gen. gubernator zaznacza, że uważa pozostawienie dzieła *Głos Obywatela* nadal w bibljotece klasztornej za niewłaściwe i że „jako całkiem zbyteczne i na obecne czasy nieprzyzwoite (nieprilicznoje) dzieło" należy je zniszczyć. Minister hr. Błudow aprobuje propozycję gen. gubernatora i dnia 1 lutego 1834 r. w obecności gwardjana klasztoru OO. Bernardynów, radcy zarządu guberjalnego oraz policmajstra grodzieńskiego powyższe 191 egzemplarze zostają spalone w Grodnie, trzy zaś egzemplarze wysłane do Petersburga do Departamentu Wyznań i Obrzędów.

Jak wiadomo, ukaz Mikołaja I z dnia 19. VII. 1832 r. dotyczący kasaty klasztorów, między innemi zarządzeniami wymagał od gubernatorów gubernij zachodnich sporządzenia szczegółowych wykazów ruchomości oraz nieruchomości należących do klasztorów w chwili ich kasaty. Te wykazy były sporządzone w dwóch egzemplarzach: jeden dla Izb Skarbowych, drugi zaś dla Departamentu W. O. Ministerstwa Spraw Wewn.

Zgodnie z pismem ministra spraw wewn. hr. Stroganowa z dnia 20 lipca 1839 r. za Nr. 1681 w okresie od roku 1832 do 1839 włącznie do Departamentu W. O. w Petersburgu nadesłano sporządzone w językach polskim i rosyjskim wykazy mienia poklasztornego, w tej liczbie i spisy książek 191 skasowanych przez rząd klasztorów katolickich.

Jak można sądzić na podstawie doniesień odpowiednich urzędów miejscowej administracji do władz centralnych oraz pism urzędowych Rz. Kat. Kolegjum Duchownego w Petersburgu, władze administracyjne wydawały niejednolite zarządzenia w sprawie dalszych losów ruchomości poklasztornych, co zwłaszcza i najczęściej dotyczyło księgozbiorów. W niektórych miastach były one pod wyłączną opieką Izb Skarbowych, w innych pozostawiono je w dawnych gmachach poklasztornych pod opieką miejscowej policji. Gdzie indziej znów jak np. w Szczucinie, bibljotekę pijarów, składającą się z 2856 tomów gubernator grodzieński przekazał dyrekcji szkół ludowych tejże gubernji i t. d.

W dodatku w ciągu prawie 8 lat Ministerstwo Spraw Wewn. interesowało się bardziej dla siebie aktualnemi sprawami, jak zdecydowaniem o przeznaczeniu gmachów oraz kościołów poklasztornych i kwestją sprzedaży ruchomości poklasztornych. Dopiero gdy sprawa gmachów poklasztornych została mniej więcej załatwiona, ruchomości rozsprzedane z licytacyj, Departament W. O. zajął się księgozbiorami poklasztornemi, które tymczasem ucierpiały bardzo wskutek kilkuletniego zaniedbania i braku dozoru. Tak np. w jednym ze swoich raportów gubernator miński Suszkow zaznacza, że wskutek tego uległa całkowitemu zniszczeniu przez niewykrytych sprawców bibljoteka podominikańska w Ziembinie, następnie w r. 1839 również w takich okolicznościach spaliła się bibljoteka pobernardyńska w Mozyrzu. Rozlokowani w gmachach poklasztornych żołnierze niszczyli książki też, używając ich na opał; niemałe spustoszenie w nich szerzyli miejscowi zbieracze, uzupełniając swe zbiory tanim kosztem, nawet bez łapówek, o czem jeszcze będzie mowa.

Gdy w r. 1839 miały się ostatecznie rozstrzygnąć losy uszczuplonych bibljotek poklasztornych, zarówno ducho-

wieństwo katolickie jak i władze cywilne wystąpiły z szeregiem projektów i postulatów.

Rz. Kat. Kolegjum Duchowne w Petersburgu domagało się od ministra spraw wewn. bezwarunkowego przekazania sobie bibljotek wszystkich bez wyjątku skasowanych klasztorów w celu dalszego ich podziału według własnego uznania pomiędzy seminarja duchowne poszczególnych diecezyj.

Natomiast minister oświaty Uwarow, ze względu na to, że zakony utrzymywały dla osób świeckich zakłady naukowe, posiadające poważne zbiory bibljoteczne oraz inne pomoce naukowe, któreby z wielką korzyścią mogły być spożytkowane w rosyjskich zakładach naukowych, żądał przekazania powyższych zbiorów poklasztornych rosyjskim instytucjom naukowym, a zwłaszcza mającym powstać w myśl ukazu z dn. 59. V. 1834 r. w rosyjskich miastach gubernjalnych bibljotekom publicznym.

Znów minister skarbu uważał, że wysunięty przez niektóre Izby Skarbowe projekt sprzedaży książek poklasztornych z licytacyj publicznych nie przyniesie skarbowi rosyjskiemu znacznych korzyści, a więc winien być zaniechany.

Po uzgodnieniu projektów władz administracyjnych w tej sprawie hr. Stroganow po porozumieniu się z ministrem oświaty Uwarowym i ministrem dóbr państwowych gen. Kisielewym, wydał zarządzenie, nakazujące gubernatorowi utworzenie w miastach gubernjalnych specjalnych komitetów, składających się z dwóch przedstawicieli władz cywilnych i jednego — od duchowieństwa katolickiego. Zadaniem komitetu było przejrzenie już sporządzonych spisów bibljotek poklasztornych wrazie zaś ich niedokładności, sporządzenia nowych, a następnie przeprowadzenie podziału książek między duchowieństwo katolickie a świeckie zakłady szkolne oraz bibljoteki publiczne.

Trzeba jednak zaznaczyć, że podczas pracy powyższych komitetów, Departament W. O., posiadający, jak już wiemy z wyżej wspomnianego pisma hr. Stroganowa, wykazy książek bibljotek poklasztornych, niejednokrotnie zwracał się do komitetów za pośrednictwem gubernatorów z żądaniem nadesłania do departamentu z poszczególnych bibljotek poklasztornych najcenniejszych druków, a zwłaszcza rękopisów.

Tak np. Departament pismem z dnia 5 lutego 1842 r. za Nr. 333 zażądał wysłania do Petersburga 79 druków, w tej liczbie 9 z XVII wieku. Część tych żądań przechowała się w aktach archiwum państwowego w Wilnie, lecz dla dokładnego określenia ilości wyłączonych w ten sposób druków i rękopisów polskich niezbędnem byłoby zbadanie odnośnych dokumentów w archiwum Departamentu W. O. w Petersburgu. Praca w komitetach postępowała nierównomiernie.

Najmniej trudności miał komitet w Grodnie, który składał się z urzędnika Dobrzyckiego, nauczyciela Wojakowskiego i ks. Balczewskiego. Już w grudniu 1840 r. zakończył on pracę, przyczem z 14 bibljotek poklasztornych wybrał dla świeckich zakładów szkolnych i dla rosyjskich bibljotek publicznych razem 3024 t., pozostawiając dla Seminarjum Duchownego w Wilnie 3620 tomów.

Więcej niepowodzeń i trudności w przeprowadzeniu prac swoich spotkał komitet miński, składający się z urzędnika Kobylińskiego nauczyciela Bieleckiego oraz prałata Dąbrowskiego. Wykazy książek 23 bibljotek poklasztornych były sporządzone tak niedokładnie, że komitet zaniechał pracy według nich, ale musiał po sprawdzeniu książek sporządzić nowe spisy, aby zgodnie z planem dokonać podziału między gimnazjum mińskie, bibljotekę publiczną w Mińsku oraz katolickie mińskie Seminarjum Duchowne. Jednak gubernator miński Suszkow, przesyłając sprawozdanie komitetu wileńskiemu gen. gubernatorowi, w celu przekazania go do Petersburga, dołączył swoje uwagi, zaznaczając w uwagach, że wśród książek uznanych przez komitet za odpowiednie dla Seminarjum Duchownego w Mińsku, znajduje się cały szereg książek treści politycznej z czasów Polski przedrozbiorowej, które byłoby o wiele odpowiedniej spalić, zaś książki treści teologicznej przekazać Prawosławnemu Seminarjum w Mińsku, a katolickiemu — oddać tylko to, co ma charakter ściśle obrzędowy katolicki, resztę zaś albo przesłać do Cesarskiej Bibljoteki Publicznej albo wprost zniszczyć. Jak na to zareagował Departament W. O. i jaka była jego decyzja — czy stanął po stronie uchwał komitetu, czy uznał rację Suszkowa, akta archiwalne niestety nie mówią.

Najdłużej, bo aż do r. 1849, pracował komitet w Wilnie, którego członkami byli: urzędnicy Lewensztern i Bartoszewicz oraz ks. dziekan Ignacy Charkiewicz. Z 10 bibljotek poklasztornych przeznaczył komitet dla użytku osób świeckich 1021 tomów, dla Seminarjum Katolickiego w Wilnie — 2892 tomy.

(Dokończenie nastąpi.)

Ks. Józef Ussas.

Zgorszenie Krzyża.

Okres Wielkiejnocy przypomina nam zawsze dwie wielkie prawdy chrystjanizmu: haniebną śmierć i chwalebne zmartwychwstanie. Obok zasadniczych artykułów wiary o Bogu w Trójcy św. Jedynym, Stworzycielu wszechrzeczy, należą one bezsprzecznie do najbardziej istotnych dogmatów katolickich. Równocześnie jednak najwięcej zawsze sprawiały trudności. Zwłaszcza pierwszy.

Syn Boży ukrzyżowany!? Nie, to nie do przyjęcia! Co za sens? Co za okropność! Podobny mit mógł powstać jedynie w umysłowości bardzo pierwotnej i barbarzyńskiej, u ludzi, którzy nie wzdrygali się zabijać swe pierworodne dzieci, by ich krwią przebłagać zagniewane bóstwo. Człowiek nowożytny może tylko ubolewać, że podobne wyobrażenia, przejęte i odpowiednio przekształcone przez chrześcijaństwo, mogły dochować się aż do naszych czasów.

Chrystus ukrzyżowany był zresztą od początku *zgorszeniem dla żydów a głupstwem dla pogan* (I Kor. 1, 24—25). Pierwsi nie mogli w żaden sposób pojąć, by Mesjasz, oczekiwany jako wielki król z rodu Dawida, władca świata, ten który miał zaprowadzić na ziemi ład i szczęście, mógł skończyć tak haniebną śmiercią, powieszony na krzyżu jako buntownik przeciw władzy duchownej i niebezpieczny nowator. Nie, ten Jezus z Nazaretu nie może być oczekiwanym Mesjaszem czyli Chrystusem! Trzeba czekać na innego.

Jeżeli prawda o Chrystusie ukrzyżowanym była dla nich za trudna, by mogli ją pogodzić z nabytemi kategorjami i nawyknieniami myślowemi, to tembardziej dla pogan musiała ona wydać się czemś wręcz niemożliwem. „Jakto — mówili do chrześcijan — wasz Bóg to ten stra-

ceniec? On wszechmocny i dał się zabić? Powiadacie, że dobrowolnie przyjął mękę, by zbawić ludzi od grzechów; ale czyż nie mógł was zbawić inaczej? Jeżeli nie mógł, nie jest Bogiem; jeżeli mógł inaczej, to było nonsensem umierać na krzyżu. Nie, ten wasz Zbawiciel ukrzyżowany to głupstwo"!

Taką trudność stawiano jeszcze w pełnem średniowieczu, jak świadczy o tem św. Anzelm z Canterbury. Umysł ten niesłychanie głęboki podjął się przeto dania na ten zarzut ostatecznej odpowiedzi. W dziełku *Cur Deus homo?* stara się wykazać, że to wszystko, co w śmierci krzyżowej wydaje się tak niedorzecznem, było właśnie koniecznem a więc słusznem i mądrem. Rozumowanie jego jest krótkie i jasne. Na miejsce upadłych aniołów postanowił Pan Bóg zbawić odpowiednią ilość ludzi, którzyby zajęli ich miejsce w niebie. Inaczej królestwo to nie miałoby pełnej liczby obywateli. Tymczasem i ludzie zgrzeszyli już w swym praojcu Adamie. Cóż teraz? Zostawić ich własnemu losowi we wiecznem potępieniu? Nie można, bo plany Boże muszą być spełnione. Z drugiej strony nie można też odpuścić ludziom grzechów bez odpowiedniego zadośćuczynienia. Atoli jakże ludzie dać mogą takie zadośćuczynienie, któreby wynagrodziło Bogu wyrządzoną zniewagę? Cokolwiekby zrobili, to już i tak Bogu się należy, a zresztą żadne stworzenie nie jest zdolne do wynagrodzenia Bogu zniewagi wyrządzonej grzechem. „Nikt nie może dać takiego zadośćuczynienia, tylko sam Bóg; nikt nie jest obowiązany dać je, tylko człowiek — trzeba więc było, by je dał Bóg-człowiek". W takiem lapidarnem zdaniu streszcza swój pogląd na tę kwestję.

Rozumowania tego, które z żelazną logiką miało uzasadnić konieczność wcielenia Syna Bożego dla naszego zbawienia, nie przyjęli jednak w całości wielcy Doktorzy scholastyczni, pomimo ogromnego wpływu, jaki św. Anzelm wywarł na całą teologję średniowiecza. Stanowczo odrzucili zdanie, jakoby Bóg m u s i a ł zbawić upadły rodzaj ludzki, a przedewszystkiem odrzucili twierdzenie, jakoby nie mógł tego zrobić bez otrzymania pełnego zadośćuczynienia za grzechy.

Przyjęto jedynie twierdzenie, że o ile już Pan Bóg chciał zbawić ludzi nie inaczej jak tylko po otrzymaniu pełnego zadośćuczynienia, żadne stworzenie nie było w stanie go oddać i nie pozostawało nic innego, jak, by sama Osoba Boska przyjęła naturę ludzką i wynagrodziła Bogu wyrządzoną zniewagę.

Atoli i to twierdzenie nie jest bynajmniej dogmatem ani nawet pewnikiem teologicznym, tylko opinją choć dość powszechnie przyjętą, której zawsze sprzeciwiała się cała szkoła skotystyczna, twierdząc, że wogóle w żadnym wypadku ani w żadnej hypotezie wcielenie syna Bożego nie było konieczne dla zbawienia naszego.

Zresztą jakkolwiekby się ktoś upierał przy twierdzeniu, że wcielenie Syna Bożego było konieczne, aby Pan Bóg mógł otrzymać pełne zadośćuczynienie za grzechy, to i tak musi przyznać, że sama śmierć krzyżowa nie była do tego nieodzowna. Teolodzy wszystkich odcieni godzą się na to, że jakikolwiek inny akt Chrystusa wystarczał do tego zupełnie. Pocóż więc cała ta straszna tragedja? Jeżeli Syn Boży mógł zbawić ludzkość w sposób znacznie prostszy i łatwiejszy, bez poniesienia haniebnej śmierci, to naco Bóg obierał tę okropną drogę?

Staje więc umysł ludzki przed całą nietkniętą trudnością. Może on wprawdzie ukorzyć się przed niezbadanemi wyrokami Bożemi i powiedzieć sobie, że jest za mały, by móc zrozumieć jego wielkie dzieła i tajne zamiary. Może powtórzyć za Izajaszem (55, 8—9):

Albowiem myśli moje nie są myśli wasze,
Ani drogi wasze drogi moje, mówi Jahwe!
Bo jako podniesione są niebiosa od ziemi,
Tak podniesione są drogi moje od dróg waszych
I myśli moje od myśli waszych.

Ale czy taka odpowiedź zadowolni tych, co widzą w śmierci Jezusa, nie jakieś wielkie tajemnice, ale, jak im się zdaje, niedorzeczność? Czy zresztą takie zrezygnowanie ze zrozumienia wielkich dzieł Bożych zaspokoi umysł, który z zachwytem podziwiając mądrość Bożą jaśniejącą w całym świecie, nie może pogodzić się z myślą, że największe i naj-

wspanialsze dzieło Stwórcy pozostaje jakimś rozdźwiękiem w ogólnej harmonji? Poco haniebna śmierć Jezusa, skoro nawet dla zbawienia naszego nie była bezwzględnie konieczna, gdy Pan Bóg miał tysiączne inne sposoby ratowania rodzaju ludzkiego?

To też myśliciele katoliccy w przeciągu wieków wynajdywali w tem dziwnem dziele Bożem niejedną okoliczność, która miała wykazać, że jednak, mimo wszystko, ten właśnie sposób był nietylko dobry, ale nawet o wiele lepszy od innych możliwych.

Wskazywali więc i słusznie na to, że obecnie człowiek doskonalej poznaje, jak bardzo Bóg go kocha i przez to sam więcej się zapala do jego miłości. *Okazuje nam Bóg miłość swą ku nam, ponieważ gdyśmy jeszcze byli grzesznymi, Chrystus za nas umarł* (Rzym. 5, 8).

Ileż to w ciągu długich wieków rozważanie męki Pańskiej wywołało aktów skruchy, serdecznej miłości, bezwzględnego oddania! Ile wzniosłych zachwytów, poświęcenia!

Dał nam następnie Chrystus w męce swej niezrównany przykład posłuszeństwa, pokory, wytrwałości, sprawiedliwości i innych cnót, wskazując drogę, jaką mamy za nim podążać.

Wreszcie dobitnie i jasno pokazał, jak wielkiem złem jest grzech, jak więc starannie należy go unikać, skoro tyle kosztowało go nasze zbawienie; wykazał też jak wielkiem dobrem jest niebo, skoro nie zawahał się podjąć tyle trudów, byleby nam do niego dostęp zapewnić.

Wszystkie te względy i racje mają niemałą wartość, ale nie zaspokajają jeszcze całkowicie umysłu ni serca. Czyż bowiem dla okazania nam swej miłości Bóg musiał żądać od Zbawiciela aż takiej ciężkiej ofiary? Czyż i sam Chrystus nie miał innych tysiącznych sposobów okazania nam jej w całej rozciągłości? Pewnie, że niema większego dowodu miłości, jak oddać swe życie dla czyjegoś dobra, atoli zawsze o tyle tylko, o ile to jest naprawdę nieodzownem. Czy mógłbym pogodzić się z myślą, że dla oddania mi jakiejś przysługi mój przyjaciel traci dla mnie życie, skoro tę samą posługę może mi oddać bez takiej ofiary? Nie okazałżebyś nam, Boże, większej miłości, gdybyś zamiast całej

tej tragedji krzyża, wyrwał nas samych z tych cierpień i udręki, jakie mimo poświęcenia się Jezusa za nas znosić musimy? Czy nie byłoby lepiej, gdyby Syn Twój przyszedł z wielką potęgą i mocą, by zaprowadzić na ziemi ten ład i szczęście i dobrobyt, jakich ciągle szukamy i znaleźć nie możemy?

A zresztą, jeżeli już rzeczywiście lepiej dla nas było, by On przez mękę swoją, a nie innym, łatwiejszym sposobem nas zbawił, to czy przynajmniej ze względu na samego Chrystusa nie lepiej było obrać inną drogę, chwalebną i łatwą? Czyż wypadało, by dla pewnych naszych korzyści, — które można nam było przecież inaczej zapewnić, — nakładać taki ciężki krzyż na ramiona Zbawiciela? Przecież to okropność: Syn Boży ukrzyżowany! — I znowu stoimy przed tą samą trudnością, pomimo wszystkich poprzednich rozważań — jakby nietkniętą.

Zrozumieć i wyświetlić ją można jedynie na tle całokształtu planów Bożych, jakie ma w stworzeniu świata i prowadzeniu ludzkości. Otóż we wszystkich swych dziełach Bóg ma jeden cel: okazać swą doskonałość przez dobra udzielone stworzeniom.

Objaśnijmy to pokrótce.

Jak wiemy, Bóg jest Pełnią Bytu, nieograniczoną Doskonałością, która w jednej niepodzielnej Rzeczywistości jest nieskończoną Prawdą, samem Dobrem i niewymownem Pięknem i to nie w jakimś biernym stanie, ale tak, że cały jest najwyższą Czynnością, jednym wiecznie trwającym czyli zawsze świeżym Aktem rozumu, żywą nieustanną Myślą, w której zawiera się i wyraża całe bezmierne bogactwo jego Boskiej Istoty. Wobec tego bezmiernego oceanu Bytu, Dobra, Prawdy i Piękna najdoskonalsza Istota nie może być obojętną, ale oczywiście kocha to wszystko bezwzględnie i całkowicie. Jak więc Bóg jest cały jedną odwieczną Myślą, zawsze świeżą i niezmienną o nieskończenie bogatej treści i najwyższej intensywności, tak też równocześnie i identycznie jest najpotężniejszym Aktem ekstatycznej Miłości, ukochania wszystkiego, co się w tej całej Myśli zawiera, jest błogosławionym Zachwytem wobec Prawdy i Piękna, którem jest on sam.

Otóż przenikając te niewyczerpalne bogactwa Bytu, jakie istnieją w jego niezłożonej, lecz również nieskończonej Doskonałości, Bóg widzi, że doskonałość tę możnaby przedstawiać i niejako naśladować w niezliczonych podobieństwach. Jego Myśl, bezgranicznie twórcza, pojmuje i kształtuje owe różnorodne światy, z których każdy jest jakby jednym promykiem wielkiego Słońca Prawdy, cząstkowem odzwierciedleniem jednego Bytu. Ponieważ Bóg kocha całą przepiękną treść swej Myśli, dlatego chce, by jej niewyczerpalne bogactwo wyraziło się w najrozmaitszy sposób w istotach stworzonych. Chce ją niejako wypowiedzieć choć częściowo — i dlatego z pomiędzy nieskończonej ilości najrozmaitszych światów wszechmocną siłą twórczej woli stwarza ten nasz realny wszechświat a w nim niezliczone mnóstwo istot żyjących i nieżywotnych, roślin, zwierząt i ludzi, któremi zaludnia ziemię, jak zapełnia bezmierne przestworza tysiącami tysięcy mgławic i gwiazd. Daje stworzeniom najróżnorodniejsze doskonałości, przymioty, siły i działania, a we wszystkich tych dobrach im udzielonych objawia się jego przedziwna moc, mądrość i dobroć.

Pięknym uczynił ten świat, bo przygotował go na mieszkanie dla swego wybranego stworzenia, dla człowieka. Stworzył też człowieka w całkiem szczególny sposób na obraz i podobieństwo swoje, gdyż tchnął w niego duszę nieśmiertelną, wyposażoną władzami rozumu i wolnej woli i oddał w jego ręce wszystkie rzeczy, aby mu służyły ku dobremu; uczynił go panem świata. Ale to był dopiero początek hojności. Coś więcej bowiem zamierzał dać człowiekowi, w jeszcze wyższy sposób objawić w nim doskonałość swej wszechmocnej dobroci. W odwiecznych swych wyrokach zaznaczył mu cel, o jakim nigdy nawet marzyć nie śmiał. Przeznaczył człowieka do posiadania dóbr większych niż wszystkie skarby świata. Oto po pewnym okresie pobytu na ziemi miał człowiek połączyć się bezpośrednio ze swym Stwórcą i wspólnie z nim zażywać tego szczęścia, którem sam Bóg jest szczęśliwy. Miał człowiek uczestniczyć w życiu i radości samego Boga, być nasyconym nieskończoną Prawdą i Pięknem i w ten sposób stać się jeszcze wspanialszem odzwierciedleniem Boga. Gdy bowiem w błogosławionem

życiu wiecznem Bóg sam sobą napełni całe jego poznanie i połączy się z nim w niewymownie błogim uścisku ekstatycznej miłości, wtedy to w przebóstwionym człowieku zajaśnieje doskonały obraz Boży, a najwyższe szczęście stworzenia będzie zarazem i identycznie największą chwałą Stwórzyciela.

Cel ten osiągnąć ma człowiek razem z innymi, nie odosobniony czy izolowany od podobnych sobie ludzi. Od wieków bowiem postanowił Bóg utworzyć z ludzi i aniołów jedno olbrzymie królestwo, jedną wielką rodzinę dzieci Bożych, którzyby wspólnie żyli życiem Jego i odzwierciedlali doskonałość Jego.

Temu zaś wspaniałemu królestwu postanowił również od wieków dać jedną widzialną głowę, jednego króla. Miał nim być właśnie Jezus Chrystus, prawdziwy Syn Boży ale i prawdziwy syn człowieczy. Czyli Pan Bóg w ten sposób chciał dopuścić rodzaj ludzki do udziału w swem własnem życiu i szczęściu, żeby równocześnie jeden człowiek, największy wśród wszystkich, najlepszy i najwspanialszy, był żywym ośrodkiem wszystkich błogosławionych, głową tej całej społeczności, życiodajnem źródłem ich szczęścia, jako Bóg-człowiek, jako jeden z nich a jednak równocześnie jako jeden, któremu wszyscy byliby poddani, do którego wszystkoby należało, do którego wszystko zmierzałoby jako do swego celu. Innemi słowy: Pan Bóg postanowił stworzyć świat i wszystkie rozumne istoty nato właśnie, aby temu Chrystusowi dać na własność jedno wielkie, wspaniałe królestwo. Wszystko uczynił dla Chrystusa, zostaliśmy stworzeni dla Niego.

Upadł rodzaj ludzki w swym praojcu Adamie. Grzech pogrążył ludzi w ciemności i nędzy moralnej i fizycznej, oddalił człowieka od Boga, ale nie zmienił łaskawości Boga ani nie przekreślił planów jego. Byłoby naiwnością przedstawiać sobie, że upadek Adama pokrzyżował jakieś pierwotne plany Boże. Żadne nieprzewidziane wypadki nie mogą Go zaskoczyć. To wszystko może wydarzyć się człowiekowi, choćby najmądrzejszemu i najpotężniejszemu, ale nie Bogu, od którego zawsze w zupełności zależy cały rozwój wypadków. On wszystko przewidział i ułożył od wieków i nie

potrzebował wcale zmieniać ani poprawiać swoich planów zależnie od jakichś niespodziewanych okoliczności. On wiedział o upadku człowieka, nim jeszcze wogóle go stworzył, i dlatego od wieków postanowił, żeby ten Jezus, który miał być królem nad całą ludzkością, owszem nad całym wszechświatem, był równocześnie i zbawicielem upadłego rodzaju ludzkiego. Ten, dla którego zostaliśmy stworzeni miał według tegoż planu Bożego całkowicie poświęcić się dla naszego dobra. Król nieba miał być zbawicielem tych, co mieli zaludnić niebiosa.

Innemi słowy: jedynym i pierwotnym planem Bożym było i jest doprowadzić do wiecznego życia ludzkość upadłą wprawdzie i błądzącą, ale z upadku i błędu wybawioną przez Chrystusa, odkupiciela swego i króla. Zamiarem jego było okazać swe nieprzebrane miłosierdzie, zrobić niejako wielki gest przebaczenia. Chciał uszczęśliwić nas, lecz nie inaczej tylko jako synów marnotrawnych. Dlatego właśnie pozwolił, by człowiek upadł, bo od wieków postanowił, że w ten a nie inny sposób okaże na niewdzięcznem stworzeniu wspaniałość i bogactwo swej dobroci, dając mu swego Syna, który miał całkowicie poświęcić się dla ludzi, tak jak oni całkowicie mieli należeć do niego, jako jego własność i królestwo.

Otóż w świetle tych planów Bożych i dla samego Chrystusa jest lepiej, że nie został odrazu królem chwały, lecz musiał iść najpierw po cierniowej drodze poświęcenia się dla braci swej. Większym jest właśnie przez to, że musiał wiele wycierpieć dla tych, co mieli stanowić królestwo jego.

Dwa są do tego powody. Pierwszy to podstawowa prawda w całej działalności Bożej, że Bóg chcąc objawić swą doskonałość przez doskonałości dane stworzeniom, pragnie objawić się nietylko jako przyczyna pierwsza, sama sprawująca wszystko własną mocą, ale przez to też, że stworzeniom swym udziela sił i możności, by w swoim zakresie również były przyczynami. Wszechmocna Energja niezmierzonego Ducha udziela swym dziełom najróżnorodniejszych władz i sił, aby przez swą własną działalność były pewnem podobieństwem Boga jako Przyczyny. Dlatego i ludzkie

stosunki tak urządził, że jedni mogą i muszą oddziaływać na drugich i w ten czy inny sposób służyć bliźnim. W im większej mierze kto staje się przyczyną dobra drugich i pomyślności powszechnej, tem większa jego wartość, zwłaszcza jeżeli go to dużo kosztowało. Czy nie czcimy w szczególny sposób tych, którzy działalnością swą przysłużyli się narodowi czy całej ludzkości? Przedstawmy sobie człowieka, któryby w dzisiejszych czasach poświęceniem swem zdołał usunąć trudności, z jakiemi borykają się narody, usunąć wojny i nieporozumienia, zaprowadzić ład i dobrobyt, być wogóle przyczyną powszechnej zmiany na lepsze. Jak wielkim stałby się w oczach całego świata! Czy taka osobistość nie byłaby stokroć razy większa od jakiegoś króla dziedzicznego, który bez żadnych zasług ze swej strony posiadłby wielkie państwo? Otóż i Chrystus, który według planów Bożych miał być Królem wszechświata i całej ludzkości, nie miał przyjść niejako do gotowego, lecz musiał zapracować sobie to królestwo i dlatego to otrzymał misję zbawiciela i musiał nawet dać życie swe za tych, nad którymi miał panować.

W ten sposób zostaliśmy związani z nim nowemi, najsilniejszemi węzły. Odtąd przez wszystkie wieki błogosławieni w niebie będą z wielką miłością wpatrywać się w swego króla, bo jemu zawdzięczają swe szczęście. On oddał za nich nawet życie swoje, by im zdobyć królestwo niebieskie. Gdyby nie ciężkie trudy, jakie poniósł dla zbawienia, nie byliby mu t y l e zobowiązani. Teraz kupił sobie królestwo krwią swą i ono podwójnie doń należy, bo nietylko jego j e s t ale i przezeń zostało n a b y t e.

Tutaj przechodzimy właśnie do drugiego powodu, dla którego nawet dla samego Chrystusa lepiej było, że nie odrazu i łatwo został królem chwały, lecz doszedł do niej po cierniowej drodze poświęcenia aż do śmierci. „Szlachetniej i doskonalej jest posiadać jakieś dobro przez własną zasługę, niż posiąść je bez zasługi" powiada św. Tomasz (3 q 19 a 3). My szanujemy ludzi, co własną pracą doszli do wielkości, jednostki, które osobistym trudem zdobyły wawrzyny chwały, nie zaś takich, co bez swego wysiłku we wszystko opływają, może nawet kosztem drugich! Otóż Chry-

stus musiał być pod każdym względem wielkim. Uczynił go Bóg królem, ale takim, który zdobył swych poddanych ofiarą własnego życia, królem bohaterem, który wykazał niesłychaną szlachetność i hart charakteru, bo został wiernym swemu posłannictwu aż do śmierci, walczył o prawdę do końca! Tragiczne było jego życie. Głosił najwznioślejsze prawdy o jedynym Bogu, jego wielkich względem nas planach, o sprawiedliwości i miłości powszechnej i powinien był zostać z radością przyjęty przez tych, co się uważali za jedynych stróżów prawdy religijnej. Ale nie spodobał się On ciasnym umysłom, które prawdziwy kult Boga żywego zamieniły na skostniałą kazuistykę i formalizm. Żydzi wysoko sobie cenili śmieszne drobiazgi a gwałcili zasady sprawiedliwości i dlatego nie mogli ścierpieć nauczyciela, który nie chodził do ich szkoły i nie trzymał się ich wymysłów i ludzkich tradycyj. Nie mogli ścierpieć, że On coraz więcej dusz prawych porywał ku sobie i głoszonej przez się prawdzie i postanowili za wszelką cenę zgładzić niewygodnego im a wpływowego proroka. Bolesnem to było dla najszlachetniejszego serca. *Do swoich przyszedł a swoi go nie przyjęli* (Jan 1, 11). Nie ucierpiał On od pogan ani od celników ani od rozpustników, ale od tych przedewszystkiem co przekonani o swem nieskazitelnie ascetycznem życiu, przywłaszczyli sobie monopol posiadania ducha Bożego. I zwyciężyli w końcu! Podłość i oszczerstwo wzięły górę! Ukrzyżowali niewygodnego głosiciela prawdy.

Mógł był Pan Bóg uchronić go od takiego losu, naznaczyć Mesjaszowi lżejszy sposób zbawienia świata, niekonieczna była do tego aż śmierć na krzyżu — ale Pan dziwny i wielki jest w dziełach swych. Im większym chce kogo zrobić, tem cięższe mu daje zadanie, bo tylko tak powstają bohaterzy! W zmaganiu się z nieprzezwyciężonemi trudnościami, wśród sprzeciwów ze strony tych nawet, co powinniby ich poprzeć a przynajmniej zrozumieć, pośród cierpień na jakie narażają się dla swoich ideałów, w tragiźmie życia, gdy plany ich niweczą podłość i głupota — te wielkie dusze jaśnieją w całej swej okazałości. Może niezawsze już tutaj na ziemi, gdzie często do końca panuje złość choćby pod płaszczykiem dobra, ale w każdym razie w nieskończonej

wieczności jaśnieć będą chwałą, której bez tej walki nie mielibyśmy wcale.

To wielcy zwycięzcy, do których tenże Chrystus zwraca się w Objawieniu św. Jana (3, 21) temi zachwycającemi słowy: *Kto zwycięży, dam mu siedzieć ze sobą na tronie moim, jak ja też zwyciężyłem i usiadłem z Ojcem moim na tronie Jego.*

Otóż teraz jako heroicznemu zwycięzcy mogą śpiewać Mu na wieki:

Jesu, Rex admirabilis
Et triumphator nobilis!

Nie miałby tej wielkości, gdyby nie tragizm krzyża. Miał wejść do chwały, ale *per aspera ad astra!* Dla niego samego było to dobrem, *było potrzeba, aby to ucierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały swojej* (Łuk. 24, 26).

Gdy rzucimy okiem na dzieje ludzkości, możemy przedstawić ją sobie jako jedną wielką procesję. Wszystkie pokolenia, jakie kiedykolwiek żyły w dawnych odległych wiekach, wszystkie narody zebrały się razem i idą... idą w jednym, ogromnym pochodzie. Na ich czele kroczy jakaś wspaniała postać. To też prawdziwy człowiek, a jednak jest w nim coś więcej niż człowiek. To Jezus Chrystus, jednorodzony Syn Boga żywego, który przyjął naszą ludzką naturę i stał się człowiekiem, bratem naszym. Kroczy z triumfem jako wielki król. Widać, że on nietylko całą tę wielką rzeszę prowadzi, ale jest także jej Panem. Ona do niego należy jako własność. Ci wszyscy ludzie to jego dziedzictwo. Kroczy otoczony chwałą i czcią, jakiej nikt inny nie posiada, chociaż w tych nieprzeliczonych zastępach widać wiele sławnych, wybitnych osobistości. Ale jakiż to dziwny król! On dźwiga krzyż! Na jego skroniach korona cierniowa.

Czy może powiemy: nie chcemy wcale takiego?

Czekajmy, patrzmy dalej. I dokądże prowadzi on tę ogromną procesję? Do nieba, do domu Ojca swego, do błogosławionej wieczności. Tam powołał Bóg synów i córy Adamowe. Nie poprzestał Bóg na tem, by nam dać ziemię na mieszkanie doczesne. Chciał z nas uczynić dziedziców nieba. Postanowił jednak, że mamy tam dojść po ciężkiej próbie życia, abyśmy dobrowolnie okazali, czy pragniemy Jego sa-

mego i abyśmy walcząc i zdobywając własnym wysiłkiem tę ojczyznę wieczności, posiedli niebo jako wielcy bohaterzy. Bóg wiedział, że niejeden odwróci się od tego wysokiego celu i jak już nasz pierwszy rodzic, okaże się niewiernym. Czy może dlatego zaniechał swoich planów? Wcale nie. Chciał on okazać miłosierdzie swoje w całej okazałości przez to właśnie, że synowie marnotrawni mieli zapełnić wiekuiste przybytki. Dlatego też od wieków postanowił, że tej ludzkości da takiego króla, który równocześnie będzie jej zbawicielem. Ten Chrystus, dla którego chwały cały ród ludzki został stworzony, musiał według planów Bożych wpierw dużo natrudzić się w całem swem doczesnem życiu, by w ludzkości przeprowadzić boski plan ocalenia. Musiał nawet życie swe oddać i to przez bolesną śmierć na krzyżu. Za cenę krwi swojej kupił nas! Nie zawahał się, choć go to dużo kosztowało. Teraz kroczy pełen chwały na czele tych zastępów przez siebie zbawionych. Korona cierniowa przemieniła się w koronę wesela i sławy. Krzyż stał się sztandarem zwycięstwa!

Czy Chrystus ukrzyżowany to głupstwo? Nie! On przez to właśnie zdobył wielkość bohatera i wszedł do swej chwały jako wielki triumfator. *Sam się uniżył stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej. Dlatego Bóg go wywyższył i darował mu imię, które jest nad wszelkie imię* (Fil. 2, 8—9), mianowicie imię Pan, *Kyrios.*

Stosunek Chrystusa do ludzkości, która mu zawdzięcza zbawienie, przedstawiony jest w Piśmie i tradycji jako stosunek oblubieńca do oblubienicy. (II Kor. 11, 2; Efez. 5, 23—27; Mt. 9, 15; Jan 3, 29; Objaw. 19, 7—10) i stawiany jest jako mistyczny pierwowzór małżeństwa chrześcijańskiego. Idea ta wyraża nierozerwalny związek wiernej miłości, wspólnotę życia i dóbr, wzajemne oddanie się. Otóż właśnie bolesna śmierć nadała temu stosunkowi swoistego blasku i nowej wartości, której nie posiadłby wcale, gdyby Chrystus łatwym sposobem dokonał zbawienia. Dla zyskania tej oblubienicy On oddał krew swą! Obecnie przez całą wieczność będzie mu ona wdzięczna za tę ogromną miłość i z dumą będzie patrzała na niego jako na wielkiego bohatera, który własnym wysiłkiem, kosztowną ofiarą zdobył ją i wszedł do

chwały swej jako rzeczywisty triumfator, który pokonał olbrzymie trudności, wycierpiał dużo i okazał niewyczerpany zasób szlachetnej siły i poświęcenia.

W ten sposób Chrystus ukrzyżowany jest wprawdzie dla żydów zgorszeniem a dla pogan głupstwem, ale dla tych co wierzą w wielkie dzieła Boże i starają się je zrozumieć, jest on dowodem mocy i mądrości Bożej. Niekonieczna była taka ciężka śmierć dla naszego zbawienia; nieodpowiednia przedewszystkiem zdawać się mogła dla samego Chrystusa, a jednak Bóg wybrał tę drogę, bo przez ten właśnie sposób, napozór niedorzeczny, nowe i niewymownie piękne zadzierzgnął więzy miłości między nami a naszym Królem, który całkowicie poświęcił się dla nas aż do ostateczności. Przez Krzyż sprawił, że Chrystus wszedł do królestwa swego w niezrównanej aureoli zwycięzcy i bohaterskiego triumfatora. Bez cierpień byłby jej nie miał. *Czyż więc nie było potrzeba, aby to ucierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały swojej?* (Łuk. 24, 26).

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Niedoszły projekt z czasów Komisji Edukacyjnej.

Nauczanie języka tureckiego w Kamieńcu Podolskim.

Gdy w czasach Stanisława Augusta żywiej rozwijać się zaczęły stosunki tak handlowe jak i polityczne z Turcją, odczuwać równocześnie zaczęto potrzebę osób znających języki wschodnie dla służby handlowej czy innej. Poprzednio język ten znali na pograniczu głównie kupcy, Ormianie, Grecy, Żydzi i na nich opierały się wszelkie pograniczne stosunki z naszym wschodnim sąsiadem, co stwarzało stałe niedogodności. Z tej sfery pochodzili też zwykle dragomani czy tłumacze pograniczni, z których jeden rezydował zwykle w Kamieńcu. Ich rekrutaż i kształcenie odbywały się zwykle dorywczo i dopiero za Stanisława Augusta ustanowiono w Konstantynopolu Szkołę Orjentalną,[1]) rodzaj zakładu naukowego, w którym na koszt Rzeczypospolitej kształcić chciano przyszłych dragomanów; rezultatów większych ta szkoła jednak nie dała i na pograniczu brak osób znających języki wschodnie odczuwał się w dalszym ciągu.[2]) Celem zaradzenia temu powstał projekt, aby język turecki wprowadzić jako jeden z języków obcych do szkoły wydziałowej jednego z miast polsko-tureckiego pogranicza. Oczywiście miejscem przeznaczonem do tego był Kamieniec Podolski. Położony na samem pograniczu, stanowił on

[1]) Smoleński: *Polska Szkoła Orjentalna w Stambule.* Pisma Histor., II/1901.

[2]) O niedostatecznej znajomości języków wschodnich na naszem pograniczu Ant. Dzieduszycki w memorjale o stosunkach polsko-tureckich, przeznaczonym dla króla. Arch. Gł., Zbiór Popielów 203, oraz Wal. Dzieduszycki w sprawozdaniu ze swej podróży Dniestrem, ogłosz. w *Przyjacielu Ludu*, 1845.

w tym czasie jedno z centrów naszych stosunków z Portą Ottomańską. Zamieszkiwało go sporo przybyszów ze Wschodu: Ormian, Greków, Mołdawian (t. j. Rumunów), Turków, a i wśród mieszkańców Kamieńca nie brakło takich co władali językami wschodniemi. [1]) W Kamieńcu była szkoła wpierw jezuicka, potem teatyńska, wkońcu ustanowiona przez Komisję Edukacyjną szkoła wydziałowa później podwydziałowa, należąca do wydziału wołyńskiego, później do szkół przygłównych Akademji Krakowskiej. [2])

Na Kamieniec jako na miejsce, gdzieby można nauczyć języków wschodnich, wskazywał już Antoni Dzieduszycki były agent polski w Turcji, w przedstawionym królowi po swoim powrocie z Turcji memorjale o stosunkach polsko-tureckich. W memorjale tym proponuje Dzieduszycki ustanowienie w Kamieńcu dwuch nauczycieli języków: jednego dla języka tureckiego i drugiego dla greckiego i mołdawskiego (t. j. rumuńskiego). Nauka miała być bezpłatna, tylko państwo płaciłoby nauczycieli. Jak widzimy projekt ten nic nie mówi o stosunku tych nauczycieli do szkoły byłyby to więc jak gdyby kursy publiczne. Stanisław August, który sprawą stosunków ze Wschodem a specjalnie kwestją nauczania języków wschodnich szczególnie się interesował, zaakceptował zasadniczo myśl Dzieduszyckiego, podniósł tylko dwie objekcje: skąd i jak wziąć tych nauczycieli i czy Rada Nieustająca uchwali na ten cel potrzebne fundusze. [3])

Sprawą nauczania języków wschodnich w Kamieńcu interesowało się również miejscowe obywatelstwo, ono myślało o ustanowieniu w Kamieńcu jakiejś uczelni języków wschodnich. [4])

---

[1]) Antoni J.: *Zameczki Podolskie,* I (1880), i tegoż *Nowe Opowiadania Historyczne* (1880), 154—159.

[2]) Łukaszewicz: *Historja Szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem,* IV (1851) 84—87; Antoni J.: *Oświata na dawnych Kresach* (*Przew. Nauk. Liter.* 1876, IV); Prusiewicz: *Kamieniec Podolski* (Litwa i Ruś, nr. 4—5, 1913, 28—29).

[3]) Memorjał Dzieduszyckiego, w fascyk. 123 Arch. Król. Pols. (Arch. Gł.), własnoręczna zapiska króla o poszczególnych punktach memorjału tamże w Zbiorze Popielów 203.

[4]) W planie do ustanowienia szkół w województwach ruskich, bez daty (ok. 1776) uwaga: „desiderat województwo podolskie, aby w Kamieńcu była szkoła na języki orjentalne" i dopisek: „approbatur". Arch. Gł. Edukac. A. 29.

Realizację tych wszystkich postulatów zapragnął przeprowadzić zajmujący od lata 1781 roku stanowisko rektora szkoły kamienieckiej ex-jezuita ks. Jan Wrzeszcz. [1]) Poradziwszy się miejscowych obywateli zaniósł on prośbę do Komisji Edukacyjnej, aby język turecki wprowadzić jako przedmiot wykładowy do szkoły w Kamieńcu. W Komisji Edukacyjnej projekt ks. Wrzeszcza został życzliwie przyjęty; polecono szukać mu w najbliższem mołdawskiem mieście Jassach nauczyciela, zaś do spisu nauczycieli i przedmiotów wykładanych wstawiono pozycję nauczyciela („metra") języka tureckiego w Kamieńcu. [2])

Jako nauczyciela języka tureckiego zaproponował ks. Wrzeszcz miejscowego tłumacza języków wschodnich Giulianiego. Piotr Giuliani, syn dawnego tłumacza Rzeczypospolitej w Stambule w czasach Augusta III, Franciszka Giulianiego, był wychowankiem stambulskiej szkoły orjentalnej i od r. 1779 pełnił funkcję tłumacza pogranicznego w Kamieńcu. Ponieważ Giuliani pobierał jako tłumacz pensję ze skarbu Rzeczypospolitej, proponował ks. Wrzeszcz, aby Komisja coś jeszcze mu dodała za wykładanie języka tureckiego a on sam, rektor szkoły kamienieckiej będzie pierwszym jego uczniem.

Odtąd aż do r. 1786/87 pozycja 800 złotych na „metra" języka tureckiego w Kamieńcu figurowała w budżetach szkół w Koronie, ale faktycznie myśl Ks. Wrzeszcza nie została zrealizowana i nauka języka tureckiego nie weszła do przedmiotów wykładanych w szkole kamienieckiej. [3]) W Kamieńcu nauczano wówczas z obcych języków, niemieckiego, potem na żądanie oby-

---

[1]) Nominacja ks. Wrzeszcza 9 czerwca 1871, por. W i e r z b o w s k i, *Protokuły posiedzeń Komisji Eduk. Narod.* (1915), 32.

[2]) Ks. Wrzesz do króla, bez daty (ok. jesieni 1781), fascyk. 123 Arch. Król. Pols. W spisie wykładowców wydziału kamienieckiego z ok. 1780 (Arch. Gł.. Edukac. IV. 36) w rubryce „Kamieniec" podano: metr języka niemieckiego, a na potym i tureckiego". Jedyną dotychczas wiadomość o niedoszłem wprowadzeniu języka tureckiego do szkoły w Kamieńcu podał K o r n i ł o w: *Uczebnyja zawiedieńja w zapadnich gubernjach do uczreżdieńja wileńskawo uczebnawo okruga* 1783—1803) Sbornik Mater. dla Istor. Proswieszcz. w Rosji t. I (Petersburg 1893, 694. Brak natomiast o tem jakiejkolwiek wzmianki u innych historyków szkolnictwa na kresach (Antoni J., Prusiewicz, Krzyżanywskyj).

[3]) Budżety szkół z lat 1783—1789, w Arch. Gł., Edukac. B. 56, f. 74, 90, 169, 223, 250, 295.

wateli i niemieckiego i francuskiego; być więc może, że fundusze asygnowane na nauczyciela tureckiego, obracano na naukę jednego z tych dodatkowych języków. [1])

Porzucenie myśli nauczania języka tureckiego w szkole kamienieckiej pozostawało też niechybnie w związku z dążeniami do ześrodkowania studjów języków wschodnich. Jeszcze w okresie korespondencji ks. Wrzeszcza z Komisją Edukacyjną o wykład języka tureckiego, Komisja Edukacyjna aprobując jego projekt zwróciła mu uwagę, że nauka języków wschodnich w Polsce należy do bezpośredniej kompetencji króla. [2]) Rzeczywiście stambulska szkoła orjentalna nie podlegała Komisji Edukacyjnej, ale bezpośrednio gabinetowi królewskiemu, potem Departamentowi Interesów Cudzoziemskich Rady Nieustającej; bezpośrednią nad nią pieczę miał sam król. W okresie kiedy powstały wyżej wspomniane projekty nauczania języka tureckiego w Kamieńcu, w funkcjonowaniu szkoły stambulskiej była pewna przerwa. Wszakże koło r. 1782 szkoła została znów uruchomioną, a król zwrócił na nią baczną uwagę, wysyłając tam w r. 1783 dla bezpośredniej nad nią kontroli autora znanego opisu Turcji, Józefa Mikoszę. [3]) Był to więc powrót do koncepcji nauczania tureckiego tylko w Stambule. Projekt kamieniecki został bezpowrotnie pogrzebany.

---

[1]) O wykładzie jęz. tureckiego żadnej wzmianki w raportach z wizytacyj: szkół ukraińskich i podolskich ks. Adama Czartoryskiego z roku 1780, Arch. Gł. Edukac. rewind. 888, 35156, północno południowo wschodnich wydziałów Szkolnych ks. Hołowczyca z 1782, w *Archiwum do dziejów literatury i oświaty*, t. I (1878), 49 i szkół przygłównych krakowskich ks. Wrzeszcza z 1789. Edukac. A. 34.

[2]) Rachunki kasowe szkoły kamienieckiej z lat 1781—1783 w fascyk. 216 i 218 rewindyk. z rosyjs. Minist. Rolnictwa. Według Korniłowa: *Uczebnyja zawiedienja*, j. w. na miejsce projektowanego języka tureckiego wprowadzono język niemiecki; był on jednak nauczany i przedtem.

[3]) Smoleński: *Polska Szkoła Orjentalna w Stambule*, j. w.

Jan Reychnan.

Przegląd piśmiennictwa.

Wacław Borowy: Dziś i wczoraj. Warszawa, Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Str. 269.

O ile w *Kamiennych rękawiczkach* Wacław Borowy zgromadził studja i szkice odnoszące się do dalszej przeszłości naszej literatury, tej, która zdołała już „skamienieć", spetryfikować się (od Kochanowskiego do Mickiewicza) o tyle w nowym swym tomie zebrał rzeczy odnoszące się do chwil znacznie nam bliższych, do chwil, które niemal każdy z czytelników uważać będzie jeżeli nie za współczesność, to przynajmniej za epokę o jedno tylko pokolenie starszą od obecnej. Stąd wymowny tytuł *Dziś i wczoraj.*

Tytuł ten jest odwrotnością tytułu *Wczoraj i dziś*, figurującego na dwóch serjach utworów Żeromskiego. Jeżeli kto, to Borowy miał prawo posłużyć się taką parafrazą — on, który dał wzorową edycję pośmiertnych pism Żeromskiego (*Elegje*) i który temu pisarzowi poświęcił szereg ważnych i ważkich prac krytycznych. Dwie z nich, najwcześniejsze — *O Przepióreczce,* tudzież *Żeromski i świat książek* — ukazały się w swoim czasie jako oddzielne publikacje, teraz zaś zostały wcielone do niniejszego zbioru.

Charakterystyczna jest ta droga, jaką zbliżył się najpierw do Żeromskiego Borowy, długoletni bibljotekarz, a zczasem profesor uniwersytetu: droga przez „świat książek" i przez ten świat profesorski, który Żeromski z taką przepyszną znajomością środowiska odtworzył w *Przepióreczce.* Ale myliłby się, ktoby w pierwszej rozprawce szukał suchego katalogu bibljotecznego, w drugiej zaś przysłowiowego „profesorskiego" wykładu. Myliłby się choćby dlatego, że dziś (a może i wczoraj) wiedza bibljoteczna niezawsze musi być suchą, a przysłowie o profesorach nadaje się już dawno do tego samego lamusa, w którym spoczywają odwieczne dowcipy o teściowej. Powtóre zaś Borowy umie o każdej rzeczy pisać zajmująco, co więcej, pisać w sposób nowy. To też, choć rzecz o *Przepióreczce* związana była ściśle z premjerą tej sztuki, a ponadto znaczną jej część zajmują dyskusje na temat sądów ówczesnej krytyki o samej premjerze,

jednakże nie czujemy tu wcale „przedawnienia" i nie mamy za złe autorowi, że po dziesięciu latach wydrukował swą rzecz niemal niezmienioną. Mówię: „niemal" — bo, choć tego w przypisach nie zaznaczono, pewne zmiany są, drobne coprawda, ale nie bez znaczenia. Tak np. skreślono zdanie o ironicznym jakoby zwrocie Ciekockiego: „Mów, jak ci serce dyktuje". Zwrot ten nie był ironiczny, skoro prototyp Ciekockiego, a Żeromskiego doradca i przyjaciel, prof. K. Nitsch istotnie głosił i głosi podobną zasadę tolerancji językowej.

O ile studjum o „świecie książek" autor rozszerzył ze względu na przyrost nowego materjału (zwłaszcza listów pisarza), którego część przelała się do rezerwoaru przypisów, to kierując się zapewne względem na przebrzmiałą już nutę dawnej aktualności, skrócił z całą surowością inne swoje artykuły o Żeromskim. We wspaniałej zwartości — przy jednoczesnym tonie lirycznym — artykułu „Po śmierci Żeromskiego" oczekiwałby może ktoś jakiegoś panegiryku, jakiejś *laudatio funebris*. A tymczasem wśród wszystkich artykułów pośmiertnych o Żeromskim badaj tylko dwa znalazły się takie, które przy całym pietyzmie — a właśnie może dzięki temu pietyzmowi — były bezstronną, niepozbawioną nawet surowych zarzutów, oceną: jednym był artykuł Z. Wasilewskiego, drugim Borowego. Od Wasilewskiego wzięły początek — pod jego egidą początkowo drukowane — szkice J. E. Skiwskiego o „żeromszczyźnie", wcielone następnie do książki *Poza wieszczbiarstwem i pedanterją*. Książką tą zajął się Borowy kilkakrotnie — ekstrakt uwag na jej temat włączył do swego zbioru; wykazał tu, że pewne poglądy młodego krytyka nie są tak nowe, jakby się zdawało, powtóre zaś, że w sądach jego są chwyty niezupełnie trafne. Natomiast pochwałami mimo wszelkich zastrzeżeń — obdarzył książkę *Serce nienasycone* Adamczewskiego, która napewno była bliższa niedawnemu autorowi studjum o Chestertonie.

Po Żeromskim idą w książce Borowego korowodem inni niedawno zmarli poeci doby „wczorajszej". Z nich na pierwszem miejscu Kasprowicz — nietylko dlatego, że największy, ale i dlatego, że z powojenną dobą tylko on równie silnie jak Żeromski (a jakże inaczej!) związany. Po Wasilewskim i Kołaczkowskim (początkowo nawet potrosze idąc śladem pierwszego z nich) dał Borowy trzeci „zarys wizerunku" tego poety. I uzupełnił obu swych świetnych poprzedników: nakreślony przez pierwszego obraz psychologiczny i charakterystykę dzieła artystycznego, ukazaną przez drugiego, obrysowując wyrazistą syntezę konturem linji chronologicznej, która w konsekwentnie rozwijającej się psychice i twórczości poety jest linią całkowicie naturalną. Tak naturalną, że jej zachowanie nie kłóci się bynajmniej z tematyczną kolejnością omawiania zagadnień. „O czemkolwiek pisał, był to zawsze poeta rzeczy pierwszych i ostatecz-

nych. Kosmogonja i eschatologja stanowiły najnaturalniejsze tereny jego wyobraźni. Życie i Śmierć, Stworzenie i Stwórca, Dobro i Zło, Wola i Los, to jego tematy zasadnicze". A formą najczęstszą, „przyrodzoną" tych rozmyślań była modlitwa, akompanjamentem zaś do nich — spółżycie z przyrodą. Do tych uwag dodał wreszcie Borowy spostrzeżenia o języku i wierszu — zwięzłe, a przecie tak dokładne, jakich nikt nie dał przed nim. Przyznając im we wszystkiem słuszność najzupełniejszą, pozwolę sobie tylko na drobną uzupełniającą wzmiankę. Dotyczy ona toku wierszowego znacznej części *Księgi ubogich*. Tok ten (zachowanie trzech stałych przycisków przy nierównomiernej ilości zgłosek) nie jest wynalazkiem Kasprowicza: nasz poeta przejął go ze znanej mu doskonale poezji niemieckiej, gdzie Goethe, a nadewszystko Heine używa go pospolicie.

A potem mówi Borowy o trzech zgasłych poetach warszawskich, z których pierwszy, Lange, należy do epoki minionej, drugi, Słoński, jest poetą okresu wojennego, trzeci, Perzyński, wchodzi najsilniejszemi swemi utworami w epokę powojenną. I jeszcze jedna kolejność: popularności. Lange był poetą samotnikiem, jak niegdyś jego mistrz Felicjan; Słoński miał chwile zbliżania się do społeczeństwa; Perzyński utrzymywał zawsze ścisły kontakt z publicznością. Borowy tłumaczy tajemnicę zarówno owego odosobnienia, jak i owej wziętości nader poprostu, lecz zgoła odmiennie od powszedniego, prostego sposobu myślenia. U Perzyńskiego wskazuje melancholję, wskazuje urok poetycki — więc to, czego szara czy błyszcząca publiczność podobno nie pożąda (chyba w nieujawnionej skrytości serca).

W dniach „wczorajszych", przedwojennych, Warszawa miała jeszcze innych poetów, których życie i twórczość dotarły do upragnionej przystani: Polski niepodległej. Nie poświęcił im Borowy szkiców specjalnych, wspomniał tylko przygodnie jednego z nich: Gomulickiego. Nie odmawiając im zalet artystycznych, osądził ich twórczość jako *Kleinmalerei* i przeciwstawił ją dziełu monumentalnemu przygodnego gościa w Warszawie: *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego. Dziełu temu poświęcił obszerne i sumienne studjum, które (podobnie jak dawniej wydana *Wisła w poezji polskiej* czy *Nowogródczyzna mickiewiczowska*) zająć powinno nietylko miłośnika literatury, ale i krajoznawcę. Bystre utarczki z sądami Grzymały Siedleckiego i prof. Sinki widocznie przekonały antagonistów, skoro prof. Sinko później lojalnie uwzględnił uwagi zawarte w tej rozprawie. Powinni je uwzględniać także wszyscy kierownicy wycieczek po Łazienkach.

Ostatnim szkicem w omawianej książce jest doskonale nakreślona sylweta wielkiego uczonego i najgenjalniejszego z polskich tłumaczów, Edwarda Porębowicza. Do szczegółów tu rozwiniętych jednobym tylko miał do dodania: chodzi o kwestję asonansu. Zajął się tą kwestją Porębowicz po raz pierwszy nie

w r. 1913, ale już w przedmowie do znakomitego przekładu *Dramatów* Calderóna (1887). Praktycznego zaś zastosowania asonansów próbował już dawniej nie kto inny, ale Mickiewicz — i to, rzecz ciekawa, zawsze tam, gdzie naśladował mowę rosyjską (w *Dziadach* drezdeńskich, w *Panu Tadeuszu* — tam Ryków asonuje „kamrat" — „armat", a także w niektórych bajkach). Ale to już inna historja, jakby powiedział angielski miłośnik asonansu, Kipling.

Jeszcze świetniejszy portret literacki innego profesora, a mianowicie Stanisława Windakiewicza, dał nam Borowy niedawno na kartach *Pamiętnika literackiego*. Nie będzie z mej strony pochlebstwem, gdy powiem, że portrety te nie ustępują wcale w swej żywości i wyrazistości tym konterfektom profesorskim, jakie dał w swej *Przepióreczce* Żeromski.

Józef Birkenmajer

Academia Polona Litterarum et Scientiarum. Commentationes Horatianae, Cracoviae, 1935, Pag. 222+209.

Choć Polska jest krajem, gdzie najwięcej ludzi nosi tytuł „mecenasa", jednak ostatniemi czasy widocznie zapomniano, że tytuł ów pochodzi od nazwiska słynnego protektora sztuk i literatury, który był przyjacielem i powiernikiem największego z liryków rzymskich, Horacjusza. Oto bowiem 2000-na rocznica narodzin Horacjusza nader słabem echem odbiła się w naszym kraju. Nie wspomniały o niej wcale nasze czasopisma literackie; z pism codziennych warszawskich tylko jedno ją zauważyło — inne widocznie uznały, że twórczość wielkiego wieszcza wtedy najlepiej „obejdą", gdy ją uczczą — *sacro silentio*. Może i miały rację; zawsze z dwojga złego było to lepsze od przeróżnych *insani praemia scribae*, jakiemi przed pięcioma laty niektóre pisma obdarzyły jubileusz drugiego świetnego poety rzymskiego, Wergiljusza.

Tak więc ironja losów chciała, że jeden z tych wielkich poetów, którzy najsilniej zaważyli na dziejach naszej literatury, poeta, który nietylko kształtował natchnienia i artystyczną formę Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Asnyka, Sienkiewicza, Tetmajera, ale przez całe pokolenia urabiał w nas powszechne upodobania, nawyki i poglądy w silniejszym stopniu, niż w jakiemkolwiek innem społeczeństwie Europy środkowej i wschodniej, miał w Polsce obchód jubileuszowy skromniejszy niż w któremkolwiek z owych społeczeństw. Była to jakby uroczystość kameralna, w której wzięły udział nie szersze kręgi kulturalne, nawet nie rzesze poetów, marzących niejednokrotnie, że „niezupełnie umrą" (z głodu), ale zaprzysięgłe cechy fachowych filologów klasycznych.

Należy to powiedzieć na pochwałę filologów naszych, że stanęli do apelu z wielką gotowością, że nie szczędzili sił i pracy,

by mistrzowi lutni rzymskiej hołd złożyć. Natomiast niepomyślną jest okoliczność, że w wyrażaniu tego hołdu nie było „jedności większej od dwóch", innemi słowy, że przy wspólności celu zapanowała w kołach hołdowników niezgoda — *lupis et agnis quanta sortito obtigit*. Stąd to ku upamiętnieniu jubileuszu Horacjusza ukazują się jednocześnie dwie księgi, różne od siebie nastrojem, formą, przeznaczeniem. Jedną z tych ksiąg jest nieukończony jeszcze cykl zeszytów *Przeglądu klasycznego*, drugą *Commentationes* Akademji Umiejętności.

Tak więc spełniło się proroctwo Horacego: jako *vates bifformis* poleciał między Gelonów i Hiberborejczyków. W tym kształcie, w jakim go unaocznił *Przegląd klasyczny* (tudzież inne wydawnictwa redaktora, prof. Ganszyńca) dotrze on i między *profanum vulgus*, a przynajmniej między tę młodą generację narodu, która wieszcza rzymskiego *dignatur inter amabiles vatum ponere choros*. Natomiast w tej postaci, w jakiej nam Horacego ukazała księga Akademji Umiejętności, będzie on *paucorum hominum et mentis bene sanae*. Służyć będzie ta księga tylko uczonym, nie szerszemu ogółowi. Z drugiej jednak strony znaczenie jej pod pewnym względem będzie szersze: dostanie się ona bowiem na arenę międzynarodową. A to dzięki językowi międzynarodowemu, którym od wieków jest i po dziś dzień być nie przestał język łaciński.

W języku łacińskim napisanych zostało dla tej księgi 14 rozpraw; w części polskiej *(pars Polona)* znajdują się tylko dwie rozprawy, ale jedna z nich, najdłuższa zresztą w całej księdze, ma streszczenie łacińskie. Mógłby zatem niemal całe dzieło czytać sam Horacy, jeśliby z grobu zmartwychwstał; a czytałby napewno z zajęciem, bo dowiedziałby się o sobie samym bardzo wielu ciekawych rzeczy.

Przedewszystkiem z radością stwierdziłby prawdziwość swoich przepowiedni. Przekonałby się najpierw, że miał uznanie wśród następnych pokoleń poetów rzymskich. Mógłby i on powtórzyć o sobie słowa swego młodszego kolegi Owidjusza: *utque ego maiores, sic me coluere minores*. Do tych starszych, których czcił, należy m. in. Terencjusz. P. Lidja Winniczukówna wykazała, że Horacy dobrze znał dzieła tego komedjopisarza i nieraz z nich korzystał. Z tych, którzy jego samego z kolei za mistrza sobie obrali, spotykamy tu dwóch: Senekę i Prudencjusza. Pierwszym z nich zajął się główny nasz specjalista od dramatu rzymskiego, prof. Przychocki, roztrząsając kwestję, czy istotnie Seneka lekceważył przepisy „Sztuki poetyckiej"; „chrześcijańskim Horacym", zaś, za jakiego uważano Prudencjusza (nb. dawano ten zaszczytny przydomek później i innym poetom, także i naszemu Sarbiewskiemu), zajął się Wł. Strzelecki.

Z rozprawą Jerzego Schnaydra wychodzimy poza Italję i państwo starożytne rzymskie: dowiadujemy się o Horacjuszowej etno-

grafji ludów barbarzyńskich, do których *tempore illo* i my też mieliśmy przyjemność się zaliczać. Niestety brak nam jeszcze wyczerpującego studjum o tem, co Polska — nietylko literatura polska — zawdzięcza Horacemu. Kiedyś pisał Chrzanowski o tem, czem był Wergiljusz dla Polaków po utracie niepodległości; podobne zagadnienie możnaby postawić w stosunku do Horacego, skoro już samo hasło naczelne Sejmu Czteroletniego *nil desperandum* było powtórzeniem słów tego poety. Nad temi i podobnemi kwestjami może się kiedyś kto u nas zastanowi; także i nad wpływem, jaki Horacy wywarł na ukształtowanie się twórczości, że przytoczymy słowa naczelnej dedykacji księgi *omnium fere lyrycorum Poloniae inde a saeculo XVI usque ad tempora recentissima*. Narazie podziwiać musimy skrzętność i ogrom pracy Wincentego Ogrodzińskiego, który nie poprzestając na materjałach zebranych dawniej przez Sinkę czy Ganszyńca, przejrzał, zestawił i ocenił setki najróżnorodniejszych przekładów Horacego, dokonanych różnemi czasy przez jego powołanych czy mniej powołanych tłumaczy. Plon jest imponujący, bo napewno żadnego z pisarzy świata tak często u nas nie tłumaczono, jak wieszcza wenuzyjskiego. Wobec tej przytłaczającej masy przekładów nie będzie to żadną ujmą dla arcysumiennego badacza, jeżeli dokonany przez niego rejestr da się jeszcze uzupełnić kilkoma pozycjami bibljograficznemi, z których dwie wspomnę tutaj dla przykładu: pierwszą będzie rozdział p. t. „Poetica" w *Popiołach* Żeromskiego, gdzie mieści się przekład ody *Lydia dic per omnes* (Carm. I 8) prozą poetycką, drugą zaś będzie turniej poetycki na przekład *Vides ut alta* (Carm. I 9) na łamach pisemka uczniowskiego *Życie szkoły* (1929).

Prócz przekładów były inne jeszcze dowody zainteresowania się Horacym w Polsce. Najważniejszych wiadomości dostarczył nam tu prof. Oko w rozprawce *Horacjusz w wykładach G. E. Grodka*; wykłady owe bowiem były dla filomatów, a przedewszystkiem dla Mickiewicza źródłem nietylko sumiennej wiedzy filologicznej, ale i wielu natchnień poetyckich. S. Skimina zajął się dawniejszym filologiem-horacjanistą, T. Treterem, który w swych utworach łacińskich hojnie się zasilał wyrażeniami swego mistrza. W pewnej mierze o promieniowaniu poezji Horacego na ziemię polską jest też mowa w szkicu Benziona Katza: *Deo utitia Horatii apud scriptores Hebraeos*. Dowiadujemy się z niego szczegółów naprawdę mało znanych, np. takich, że *Nuchman Krochmal, philosophus praeclarus, qui in oppido Brody natus et Tarnopoli mortuus est, magno studio Horatium legebat*. Ale Brody widocznie leżą blisko zdrojów kastalskich, skoro z nich wyszli, prócz przesławnego filozofa Krochmala, także inni wybitni mężowie. Ma takich mężów zresztą i Zgierz i inne niebardzo podłe miasta: sami nie wiemy co posiadamy! Każdy z tych mężów to przecież *poeta nobilis*

ingeniosus, clarus scriptor, etc. Trudno to sprawdzić dla braku innych danych. *Credat Iudaeus Apella.*

Inni badacze, reprezentowani w księdze, zajęli się szczegółami z dzieł Horacego. Bajką o wronce, która stroiła się w cudze piórka, zajął się sumiennie prof. Sternbach. Prof. Witkowski wyjaśnił wyrażenie *rimosa auris*, prof. Sinko szerzej ujął słynny obraz *monstrum* z pierwszych wierszy *Ars poetica*; à propos pozwolimy sobie na zapytanie, kiedy autor ukaże nam nareszcie oczekiwane od lat piętnastu wydanie trzech poetyk starożytnych — po rozprawce tu wspomnianej oczekiwanie to powinno stać się jeszcze gorętsze! Prof. Kowalski i Dziech zajęli się szczegółami obyczajowemi satyr Horacego, prof. K. F. Kumaniecki podjął bystrą próbę objaśnienia treści niektórych epodów. Ale z największą satysfakcją i zaciekawieniem czyta się opowiadanie prof. Zielińskiego o Lydji, Lalage i innych imionach kobiecych w pieśniach Horacego. Autor staje na stanowisku, że nazwiska te odpowiadają osobom rzeczywistym i to zawsze tym samym; w konsekwencji stara się nawet odgadnąć ich dzieje. Największą (że się tak wyrazimy) sensacją jest tu to, że owa *dulce ridens et dulce loquens Lalage*, ta Szczebiotka, okazuje się w tej opowieści — żoną Horacego! Jeżeliby tak miało być istotnie, to naprawdę możnaby dorzucić dalsze spostrzeżenia: że oto Horacjusz, idąc za obyczajem starych Rzymian, (wśród których byli też Horacjusze, ale nie... wyzwoleńcy!), wziął sobie za żonę Sabinkę, a zatem mógł do siebie stosować słowa Alfjusza:

quodsi pudica mulier in partem iuvet...
Sabina qualis aut perusta solibus
pernicis uxor Apuli...

Wszak Apulczykiem był i sam poeta. A żwawy (*pernix*) też być potrafił... nietylko podczas ucieczki z pod Filippi...

Tak czy owak, rozprawkę Zielińskiego czyta się jak najpiękniejszą nowelę. Natomiast w sferę prawdziwej nudy spadamy, biorąc się do czytania rozprawy Jana Smereki o słownictwie Horacego. Autor, który kiedy indziej umiał tak zajmująco pisać o polskich humanistach i tak dobrze ich tłumaczył, wszedł tym razem w temat bynajmniej nieponętny. Skrupulatne obliczanie, ile w jakim utworze zawiera się rzeczowników, ile przymiotników etc., przypomina mi staroświeckie ćwiczenia szkolne: „w ustępie tym a tym podkreślić wszystkie rzeczowniki, wszystkie zaimki osobowe i dwadzieścia pięć liczebników, w których pisze się rz". W podobną statystykę gramatyczną bawił się kiedyś Bolesław Prus, chcąc „udowodnić" na podstawie *Farysa*, że Mickiewicz był wielkim poetą. W tej jednak statystyce wyczuwałem zawsze jeżeli nie ironję, to przynajmniej przekorę wielkiego powieściopisarza, który — niedostrzegając w sobie samym usposobienia poety — uważał się przedewszystkiem za matematyka.

Umyślnie wspomniałem Prusa, bo i on należał do Horacjonistów; pamiętamy, że Wokulskiemu wypisał: *non omnis moriar*... Ale to już inna sprawa, którą (oraz innemi) prędzej czy później powinien się zająć prof. Sinko lub jeden z jego uczniów, będący w jednej osobie filologiem i polonistą, a przytem wielbicielem Horacego.

Józef Birkenmajer.

Bogdan Hutten-Czapski: Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego. Warszawa 1936. Nakładem Księgarni F. Hoesicka., Tom pierwszy — 652 strony; tom drugi — 685 stron.

Hr. Bogdan Hutten-Czapski, syn hr. Józefa Napoleona i Eleonory z hr. Mielżyńskich, wnuk po ojcu i po matce generałów wojsk polskich, urodzony w 1851 r., ma obecnie lat 85. Licząc na pełnię sił fizycznych i umysłowych napisał on niniejsze pamiętniki z swojego długiego i wielostronnego życia, zawierające niewątpliwie ważne przyczynki do wyjaśnienia licznych wydarzeń polityki wewnętrznej i zewnętrznej kilku państw, a zwłaszcza do historji okupacji niemieckiej w Warszawie, której, jak wiadomo, *magna pars fuit*. „Posługując się owemi papierami — pisze autor — dziennikiem prowadzonym od r. 1872, opisałem te wspomnienia w ciągu długich lat pracy. Starałem się przedstawić wydarzenia zgodnie z prawdą, nie przemilczając moich ówczesnych zapatrywań osobistych, nawet jeśli je potem uznałem za mylne, albo też porzuciłem w miarę zmiany warunków. Żywię nadzieję, w której umocnili mnie przyjaciele i historycy, że pamiętniki moje — choćby ze względu na zbliżenie polsko-niemieckie — mogą być nietylko zajmujące, lecz nawet pożyteczne". Wstęp ten niewątpliwie najlepiej świadczy o intencjach autora. „Nikomu nie schlebiając, nikogo nie krzywdząc, jedynie prawdzie hołdując" — oto jego dewiza. „Szlacheckie pochodzenie, narodowość polska, przynależność państwowa pruska, wyznanie katolickie, liberalne przekonania polityczne, niezależność materjalna, wychowanie kosmopolityczne, radość życia, pęd do wiedzy, zamiłowanie do pracy, lubowanie się w podróżach" — tak charakteryzuje on czynniki rozstrzygające w jego długiem życiu, „poprzez wszelkie przemiany ludzi i pojęć". Młodość jego przypadła „na czas wznoszenia się Prus na przodujące stanowisko w Niemczech, na porę narodowego przebudzenia się ludów Europy, zwłaszcza Polaków i Węgrów". Kształcił się on w Berlinie, w Szwajcarji, w Paryżu. Jako absolwent „Lycée Imperial Bonaparte" oglądał on cesarstwo francuskie w jego ostatnim blasku. Był on obecny, „gdy watykański Portone di Bronzo zawarł się za wkraczającym w okres niewoli papieżem Piusem IX, którego przyjechał bronić, i który udzielił mu niejednej audjencji. Doczekał się on „po pięćdziesięciu ośmiu latach... ziszczenia się najśmielszych i najdalej sięgających nadziei... gdy Pius XI, wolny i niezawisły, z zewnętrznej loggji katedry

św. Piotra udzielał błogosławieństwa pojednania upojonemu radością ludowi Wiecznego Miasta". Przeżył „założenie cesarstwa niemieckiego i jego upadek..." koniec dynastyj niemieckiej i rosyjskiej i doczekał się wkońcu „niepodległego, silnego państwa polskiego". Po krótkiem „referendarstwie" autor został oficerem w 2-gim pułku dragonów gwardji, co nie przeszkadzało mu w corocznych podróżach. To też mimo swojego stanowiska wojskowego występował on w okresie Kulturkampfu jako mile widziany pośrednik. Ciekawe są opisy jego audjencji u Leona XIII i Wilhelma I, jego rozmowy z Bismarckiem, z kardynałem Hohenlohe i biskupami niemieckimi, z ministrami, ambasadorami i t. d. Używano autora i później jako pośrednika wobec Watykanu, jak np. w 1891 r. w sprawie obsadzenia strasburskiej diecezji. Podane przez autora poglądy Leona XIII na sytuację w Niemczech, na rolę centrum i t. d. nietylko są bardzo ciekawe lecz wobec współczesnej sytuacji nabierają szczególnych cech aktualności. W 1895 r. wyszedł on z wojska, zostawszy na życzenie wielkiego swojego przyjaciela, kanclerza ks. Hohenlohe członkiem pruskiej izby panów. Były to początki Wilhelma II. Opisuje autor swoją walkę z ustawą wywłaszczeniową, forsowaną przez *Ostmarkenverein*, i uchwaloną wkońcu wbrew zastrzeżeniom najpoważniejszych mężów stanu i ziemian pruskich! Ciekawe są szczegóły o walce pomiędzy rządem a arcybiskupem Stablewskim za kanclerstwa Bülowa i o zagadnieniach obsadzenia diecezji poznańskiej. U papieża Piusa X autor był tylko na „jedynem posłuchaniu", opis jego jest jednak interesujący. Skończyły się wówczas nareszcie wpływy świeckie na Konklawe. Autor znalazł nawet czas na udział w projekcie osuszania błot pontyjskich i był w tej sprawie przyjęty przez króla włoskiego: sprawa jednak nie doszła do skutku. Ilość sylwetek mężów stanu, biskupów, polityków i t. d., przesuwających się przed oczami czytelnika przez cały czas czytania tomu pierwszego jest tak obfita, że trudno byłoby je choć w przybliżeniu wyliczyć. Autor zachowuje w szczególnie wdzięcznej pamięci ks. Hohenlohego, słynnego „szarą eminencję" barona Holsteina, alter'ego Bülowa, wreszcie Bethmanna-Hollwega. Z Włochów przyjaźni się on szczególnie z Giolittim.

Tom II pamiętników hr. Hutten-Czapskiego już przez to samo jest ciekawszym, że opisuje wydarzenia, które sami pamiętamy, bądź jako świadkowie naoczni, bądź jako bliscy obserwatorowie. Jest to opis lat bezpośrednio poprzedzających wojnę światową, następnie dziejów okupacji niemieckiej w Polsce; wreszcie lat powojennych. Autor liczył na to, że wojna światowa, przecinając tak zaborczą dla Polski przyjaźń niemiecko-rosyjską, doprowadzi do spełnienia jego „zadania życiowego"(!), a mianowicie do „pojednania narodów polskiego i niemieckiego", gdy „wewnętrzna logika dziejowa doprowadzi do wskrzeszenia Polski" przy „rozstrzygającym udziale Niemiec"(?). Przyznaje, że myślał

o „związanem z Rzeszą Niemiecką(!) państwie polskiem, jako przedmurzu kultury zachodniej". Nie udało mu się jednak poglądów tych „zaszczepić niemieckim mężom stanu".

Hr. Hutten-Czapski pojawił się w Warszawie jeszcze w czasie ostrzeliwania miasta od strony Pragi przez Rosjan i nawiązał kontakt z hr. Zdzisławem Lubomirskim, z kardynałem Kakowskim i z innemi wybitnemi polskiemi osobistościami. Jako doradca Beselera i następnie jako kurator nowoutworzonych wyższych uczelni polskich, jako stały pośrednik pomiędzy rządem niemieckim a polskimi mężami stanu starał się on lojalnie i z poświęceniem, acz z częściowem tylko powodzeniem spełniać, co uważał za swój obowiązek wobec Polski i Niemiec. Wykorzystał on wszystkie możliwe i niemożliwe możliwości, zaczynając od prób wpływania na cesarza Wilhelma II, który początkowo szedł mu na rękę, zwłaszcza w przededniu wojny, m. i. w sprawie obsadzenia archidiecezji wielkopolskiej i w sprawie zasadniczej orjentacji w kierunku tworzenia państwa polskiego. Mimo całej lojalności dla tego dziwacznego monarchy nie szczędzi mu autor krytyki, opisując m. i. jego operetkowe przyjazdy na rzekomy „front". Omawia on szczegółowo wszystkie fazy polityki okupantów, wszystkie próby okrojenia „królestwa" na rzecz „wyprostowania granic" pruskich, wszystkie perypetje z Piłsudskim i Radą Stanu, a następnie z Radą Regencyjną, od której członków Prusacy daremnie domagali się gwarancji łączenia sprawy polskiej z losem Niemiec i zadowolenia się granicami królestwa. Autor, nie zapierając się swojej bezwzględnej lojalności wobec władz okupacyjnych, którym służył, oddaje wiele hołdu patrjotyzmowi i charakterowi tych polityków polskich, którzy potem przez szczęśliwszych od nich w powodzeniu, okrzyczani zostali jako „ugodowcy". Oddaje on jednak przedewszystkiem hołd genjuszowi marszałka Piłsudskiego. Bardzo interesujące są również relacje rozmów autora z Nuncjuszem Rattim, który mu i później jako Papież zachował życzliwość.

Hr. Hutten-Czapski nie zapiera się bynajmniej swojego „germanofilstwa". I to jest niewątpliwie nader sympatyczną cechą jego książki. Oczywiście opisani przez niego generałowie, i mężowie stanu i książęta niemieccy wychodzą z pod jego pióra w zbyt różowem zabarwieniu, zwłaszcza o ile chodzi o ich stosunek do sprawy polskiej. Przyznaje on zresztą, jak pisze do Beselera, że „ojczyzna niemiecka nie zrozumiała" swojego własnego interesu. Rozstał się on z Niemcami bez zgrzytu, jak stary przyjaciel. Zachował dawniejsze kontakty i sympatje. Zawsze przecież wyznawał zasadę, że obowiązkiem każdego obywatela mniejszości narodowej jest „lojalnie służyć całości państwa, którego zrządzeniem Opatrzności stał się poddanym". Polsce służył on następnie wiernie w charakterze Mistrza polskiej prowincji Zakonu Maltańskiego, którą sam zorganizował. Zasłużył się on niezmiernie ojczyźnie, oddając swój rodzinny Smogulec, a więc majątek olbrzy-

miej wartości, jako fundację Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej. Zawsze był on dobrym synem Kościoła.

Spełnieniem dążenia swojego życia nazywa on zgodę polsko-niemiecką, zawartą pod auspicjami „wodzów obu narodów", Piłsudskiego i Hitlera. Jest on, w przeciwieństwie do tylu rodaków przekonanym o jej trwałości jako dziejowej konieczności dla dobra Europy: Chrześcijaństwa. Trudno w obecnych warunkach o podzielanie tej płomiennej wiary. Dla autora ideałem pozostanie jednak „związek polsko-niemiecki".

Autor pomimo tak bogatego w wydarzenia polityczne życia i tak przodującego niekiedy w nich udziału, nie pretenduje do miana męża stanu. Jest on zato niewątpliwie grand seigneur w najlepszem tego słowa znaczeniu, któremu ta publiczna spowiedź nietylko z zasług lecz i z błędów własnych przynosi zaszczyt. Żadnemu zaś z bliźnich nie zrobił krzywdy. Nikt z opisanych przezeń działaczy napewno niczem nie będzie się czuł dotkniętym. *Il aurait tort.*

A. Romer.

Tadeusz Nowak: Oblężenie Torunia w roku 1658. Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Toruń 1936. Str. 254, 9 ilustracyj i 1 mapa.

Oblężenie Torunia w r. 1658 należy do najpoważniejszych akcyj bojowych z okresu „potopu". Opisał je dosyć dokładnie Hoburg i Kubala, a w ostatnim czasie dr. Karol Górski w jubileuszowych dziejach Torunia. Pierwsze jednak fachowe studjum historyczno-wojskowe dał nam uczeń prof. Konopczyńskiego i gen. Kukiela. Toruń, jako miasto graniczne między krajem morskim a lądowym, stanowił ważny punkt strategiczny, to też Jan Kazimierz, pragnąc opanować dostęp do Bałtyku, musiał zdobyć „gród Kopernika". Trudności były wielkie. Miasto otoczone rowem, murami, basztami i bastjonami, należało do największych twierdz polskich, a dzielna załoga szwedzka (2.500 ludzi) pod wodzą znakomitego Bartolda Hartwiga von Bülowa długo, bo przeszło pół roku, od początku lipca do końca grudnia stawiała niezwykle zacięty opór. Walny szturm udał się tylko częściowo — zgodzono się wkońcu na bardzo dla Szwedów zaszczytną kapitulację.

Wodzem ze strony polskiej był Jerzy Lubomirski, gdyż Jan Kazimierz nie mieszał się w szczegóły oblężenia. Miał do dyspozycji 20 tysięcy żołnierza i kilkadziesiąt dział różnego kalibru. Między oficerami wybijał się Grodzicki, sławny obrońca Kudaku i Getkant, którego Kochowski podejrzywa o rzucanie do Torunia bomb gazowych i pocisków roznoszących zarazę.

Autor opiera się na szerokiej podstawie źródłowej. Brak źródeł szwedzkich wobec obfitości akt zachowanych w toruńskiem archiwum, zapewne wcale nie wpłynął ujemnie na całość pracy. Piękny styl, przejrzystość w układzie i opowiadaniu, plan inży-

niera Affaity, bardzo dobrze odbity i praktycznie w książkę wklejony, czynią *Oblężenie* miłą i pożyteczną lekturą naukową.

Osobny rozdział omawia ustosunkowanie się mieszczan do oblężenia. Polak z ulgą dowiaduje się, że wszyscy obywatele toruńscy sympatyzowali z Polakami. Stało się to dlatego, że Toruńczycy (wtedy mówiono Toruńczanie) czuli się bardziej kupcami aniżeli Niemcami czy protestantami. Wiadomo jednak, że to filopolskie nastawienie nie było bardzo głębokie, czego dowodem jest fakt pominięty w pracy, mianowicie entuzjastyczne otwarcie bram Szwedom w r. 1655.

Autor jest wielbicielem Lubomirskiego, to też przy każdej niemal sposobności stara się podkreślić jego zdolności i zasługi. Ściera się z tego powodu z dr. K. Marcinkowskim, który zarzuca marszałkowi „zdradę" czyli przejście do obozu Karola Gustawa. Kwestję zapewnie rozstrzygnie historyk, który ją gruntownie zbada w Riksarkivet.

Pod Toruniem stała też pokaźna armja sprzymierzonych wojsk cesarskich pod wodzą gen. de Souches'a. Autor, jakoby z satysfakcją uwydatnia jej niepowodzenia. Czy jednak sąd o tej armji przynajmniej częściowo nie jest niesprawiedliwy? Biła się ona — zdaje się — niewiele gorzej od Polaków, w czasie walki poniosła największe straty (dwie trzecie pierwotnego stanu liczebnego). A trzeba pamiętać, że trzy tysiące żołnierzy padło nie dla Austrji i cesarza, ale dla poratowania Polski!

„Blokada Malborga i Elbląga" — dosyć luźnie z tematem złączona, wydobywa na światło dzienne bohatera pomorskiego, Michałka, którego Sienkiewicz uwiecznił w *Potopie*.

Drobne usterki: wody do rowów fortecznych zgodnie z nachyleniem terenowem i wzniesieniem dostarczała Mokra a nie Wisła. Nieustalona pisownia w deklinacji obcych nazw p. Souchesa i Soches'a i t. d. Trudno dominikanów nazwać „męskimi kolegami" Benedyktynek. Miejscowości na mapie należało podzielić na miasta i wioski, gdyż niektóre wyrysowane nie są wcale miastami, lecz osiedlami. Praca K. Marcinkowskiego została wydana w Krakowie (nie w Częstochowie).

Autor, opisawszy oblężenie, dochodzi do wniosku, że stanowi ono wielki czyn polskiego wojska, a to dzięki niepoślednim jego zaletom i talentowi naczelnego wodza, mianowicie Lubomirskiego. Czytelnik, który jednak nie da się zasugerować pochwałami, jakich autor nie szczędzi hetmanowi, dojdzie do zupełnie przeciwnego wniosku. Można bowiem polskiej armji wybaczyć, że nie zdobyła Torunia w pierwszych miesiącach oblężenia, ale, iż go nie opanowała szturmem w piątym lub szóstym miesiącu, to z pewnością zawiniło niedołęstwo naczelnej komendy. Kto zważy, że w tym czasie załoga szwedzka stopniała do garstki żołnierzy (300—500), rozstawionych po murach rozległej twierdzy, opuszczonych przez króla, szykanowanych przez mieszczan, tra-

pionych przez głód i choroby, ten przyzna, że 20 tysięcy wojska polskiego powinno było zdobyć twierdzę bez uciekania się do tak honorowej dla Szwedów kapitulacji. Trudno w każdym razie na podstawie „zdobycia" Torunia nadawać Lubomirskiemu tytuł „polskiego Poliorketesa!"

W rozprawie otrzymaliśmy pierwszy obszerny i prawdziwie fachowy opis oblężenia, oparty na wszystkich ważniejszych źródłach. Poprawione zostały mylnie ujęte szczegóły poprzednich opisów (autor ze szczególną predylekcją podkreśla niedociągnięcia Kubali). Historja walki o Bałtyk zyskała przeto cenną pozycję. Dzieło pod względem formy zewnętrznej zostało wydane wprost wzorowo.

Ks. Ludwik Fraś.

Stefan Baley: Zarys psychologji w związku z rozwojem psychiki dziecka. Lwów—Warszawa, Książnica „Atlas", bez daty (książka wyszła w r. 1935), str. 424, zł. 6·40. Bibljot. pedag.-dydaktyczna Nr. 15.

Znany profesor psychologji pedagogicznej na Uniw. J. Piłsudskiego w Warszawie daje nam w powyższej książce doskonały i możliwie najpełniejszy zarys psychologji ogólnej, o tyle ciekawszy, że, prócz statycznej analizy stwierdzonych dotąd zjawisk psychicznych, oznacza czas i formę pojawienia się oraz proces ich rozwoju, od pierwszych dni niemowlęctwa aż po kres dziecięctwa (12—13 rok życia). To wszystko jest tem żywsze, że ilustruje je i popiera bogaty eksperyment obcy i własny (autora i jego uczniów), wykonany w Zakładzie Psychologji Wychowawczej Uniw. J. Piłsudskiego, którego dyrektorem jest prof. Baley. Książka więc tętni opisem doświadczeń, prób, badań mechanicznych i testowych, podaje ich wyniki w obliczeniach liczbowych i wykresach graficznych. Autor zaś proponuje czytelnikowi przeprowadzanie samodzielnych badań na sobie lub innych. Prof. B. chciał w pierwszym rzędzie opracować introdukcję psychologiczną do prac nauczania i wychowania, to też swoje wywody opatrzył w liczne uwagi i zastosowania dydaktyczno-pedagogiczne (m. i. linja fizycznego rozwoju dziecka, kształcenie zmysłów, fantazji, nauka czytania, kształcenie pamięci, uczuć społecznych, rozwój osobowości, charakteru i t. d.). Choć książce odjęto rozmyślnie aparat naukowy, to jednak podaje ona wyniki badań naukowych, i bacznie rozróżnia pewniki od przypuszczeń. Zakres treści odpowiada naogół dotychczasowym zarysom psychologji, zagadnienia zaś, ułożone według postępu od najprostszych do wyższych i złożonych zjawisk psychicznych, wpadają zręcznie jedne w drugie. Dla prof. B. psychologja jest właśnie opartą na eksperymencie nauką o zjawiskach psychicznych, natomiast wywody o duszy substancjalnej odsyła on do filozofji ścisłej. Z tego, co autor pisze o rozwoju osobowości i charakteru, wynika, że uznaje duszę substancjalną. Wywody

prof. B. cechuje wybitna jasność i styl niemal w całości narracyjny: znać, że pisze samodzielny wielu z tych rzeczy badacz, rozporządzający dogłębnem ich rozumieniem i swobodą przedstawień słownych (podkreśiić też trzeba udatną terminologję polską...). Wydaje mi się, że wyliczając teorje praktycznego powstania zjawisk religijnych, autor niesłusznie pominął twierdzenie katolickiej filozofji religji o wrodzonych dyspozycjach religijnych.

Z przyjemnością, a napewno już z pożytkiem dla swej ogólnej humanistycznej kultury przeczyta *Zarys* każdy myślący osobnik. Rodzicom, nauczycielom i wychowawcom przyniesie lektura jego zrozumienie niemowlęcia, dziecka i człowieka wogóle, oraz uzdolni ich do nauczania i wychowania domowego, szkolnego, oraz współpracy domu ze szkołą. Dla nauczyciela propedeutyki filozofji *Zarys* będzie co najmniej źródłem pomocniczem, a podręcznikiem stać się może w Zakładach kształcenia nauczycieli. Zaznaczę wkońcu, że łącznie z wydaną już dwa razy *Psychologją wieku dojrzewania* (Lwów—Warszawa 1933), dał nam prof. B. zarys psychologji ogólnej na tle rozwoju psychiki człowieka od pierwszych dni niemowlęctwa, aż po krańce pełnej dojrzałości duchowej.

Ks. Z. Goliński.

J. E. Georg: Z tajników pożycia małżeńskiego i jego społecznych powikłań. Przekład z niemieckiego przez L. S. Poznań, Księg. św. Wojciecha. Str. XXIII+191.

Dr. Aleksander Zajdlicz: Odkrycie Dr. Ogino. Rozwiązanie zagadnienia regulacji urodzin ze stanowiska katolickiego. Wyd. 2. Poznań 1936. Str. 51.

Jan Marski: Małżeństwo wierne naturze. Kalendarz małżeński metody Smuldersa, według teorji Knaus-Ogino. Poznań 1935. Str. 31.

Rozpoczęte stosunkowo niedawno badania nad okresową niepłodnością rozrosły się w ciągu ostatnich kilku lat do niebywałych rozmiarów, a nazwiska lekarzy, prof. H. Knaus'a (Graz, Austrja) i K. Ogino (Japonja) są dziś znane w całym świecie. Sprawa nie jest wprawdzie bezsporna i o ile chodzi o praktyczne jej zastosowanie, ma wśród lekarzy dziś jeszcze przeciwników, wszystko jednak przemawia za tem, że zwolennicy „teorji Ogino-Knaus" wyjdą zwycięsko. A kiedy przyrodnicy i lekarze pracują nad wyświetleniem tajemnic z zakresu fizjologji poczęcia, równocześnie moraliści zastanawiają się, jakie stanowisko wypada zająć wobec nowej metody regulacji urodzeń, która ma tę wielką rację za sobą, że nie jest, jak inne, przeciwna naturze.

Na teorji Knaus-Ogino i opracowanej na jej podstawie praktycznej metodzie dra J. Smulders'a (Holandja) oparł się dr. med. J. E. Georg (Praga) w swej pracy p. t. *Ehelelen und Kindersegen.* Praca ta, tłumaczona już na kilka języków, ukazała się w ubiegłym roku także w polskim przekładzie, pod niekoniecznie szczęśliwie zmienionym tytułem *Z tajników pożycia małżeńskiego i jego*

społecznych powikłań i stanowi w tej chwili w języku polskim publikację na ten temat, przeznaczoną dla najszerszych sfer inteligentnych czytelników. Zasługą autora jest, że nie poprzestał na wyłuszczeniu procesów fizjologicznych i sposobu ich wykorzystania, ale poświęcił także sporą część książki zagadnieniu małżeństwa i rodziny. Instytucja ta jest dla niego święta, to też odrzuca wszelkie praktyki niezgodne z prawami natury, a pragnie na ich miejsce wprowadzić inne, które stosowane należycie przyczyniałyby się do fizycznego i duchowego dobra małżonków. Z prawdziwą satysfakcją czyta się też rozdziały, w których autor, rozwijając fizjologiczną stronę pożycia małżeńskiego, stara się wykazać harmonję, jaka zachodzi pomiędzy fizyczną a duchową stroną małżeństwa. [1])

Stanowisko autora jest rozumne i chrześcijańskie. Pierwsze zadanie rodziny, to dzieci i ich wychowanie; stąd stan małżeński „wymaga charakterów i wysokiego poczucia moralnego". Gdzie warunki na to pozwalają, powinno się dążyć do „rodziny normalnej", mającej 4—5 dzieci (str. 50; możemy tu nadmienić, że znany biolog, H. Muckermann żąda więcej dzieci dla rodziny „normalnej"); a w każdym razie, podkreśla autor, „małżonkowie prawdziwie chrześcijańscy nie pozostaną bezdzietni bez ważnych powodów" (str. 132). Jeśli wszakże takie powody zachodzą, pragnie dać im możność wyjścia zgodnego z naturą i najlepsze widzi właśnie w metodzie Knaus-Ogino-Smulders, której poszczególne punkta przedstawia jasno i praktycznie, tak że osoba inteligentna może zawartemi tu wskazówkami kierować się sama; oczywiście korzystanie z porady dobrego lekarza będzie zawsze lepszem, a w pewnych wypadkach nawet koniecznem.

Książkę poprzedza przedmowa doskonałego znawcy tych zagadnień, prof. dra P. Gantkowskiego, który podaje kilka cennych uwag i poleca pracę dra Georg'a jako bezpieczny drogowskaz wśród delikatnych a tak trudnych do rozwiązania problemów życiowych.

Na książce dra Georg'a oparł się, o ile chodzi o fizjologiczną stronę zagadnienia, dr. Aleksander Zajdlicz (pseudonim, pod którym nie ukrywa się jednak, jak sądzili niektórzy, ksiądz, lecz jeden z polskich socjologów). Pierwsze wydanie jego, obecnie rozszerzonej, broszury p. t. *Odkrycie Dr. Ogino,* było przed paru laty niemałą sensacją. Zagadnienie to było wówczas mało jeszcze znane, a przytem temperament autora i entuzjazm, z jakim głosił „rozwiązanie zagadnienia regulacji urodzin", przyczyniały się do zrobienia „ruchu" i wywołały dość żywą dyskusję.

[1]) Nie zgadzamy się jednak z powiedzeniem autora na str. 30, jakoby „świadomy zamiar płodzenia" był „przeszkodą w chwili oddania". Chyba wręcz przeciwnie! Jeżeli dzieci są pierwszym celem małżeństwa, jak autor sam uznaje, to świadomość spełnienia tego twórczego zadania powinna właśnie ułatwić oddanie się i podnieść jego znaczenie w świadomości i w sercach małżonków.

Temperamentu nie brak i nowemu wydaniu, tam zwłaszcza, gdzie autor pragnie uwypuklić moralne i społeczne znaczenie odkrycia czasowej niepłodności. Kierując się najlepszą chęcią uzgodnienia w życiu problemu płciowego z wymaganiami etyki chrześcijańskiej, poświęca wiele miejsca rozważaniom natury ogólnej, przyczem — w przeciwstawieniu do dra Georg'a, który skupia się głównie na odcinku małżeństwa i rodziny — przebiega różne tereny pokrewne i nie może dlatego żadnego z nich gruntowniej omówić. Tu i ówdzie trafią się przytem i pewne nieścisłości, z których parę chcielibyśmy tu zaznaczyć. Przedewszystkiem „posłuszeństwo małżeńskie" (w rozumieniu autora; str. 20 i 24 nota) nie było nigdy jednostronnem i dlatego nowy Kodeks prawa kan. nic tu nie zmienił. Poza tem niezupełnie jest prawdą, że im bardziej pierwotne są ludy, tem większa panuje wśród nich swoboda płciowa (str. 12); nieścisłem jest również powiedzenie, że o przyszłości narodu decyduje „nie ilość, lecz jakość", w rzeczywistości bowiem jedno i drugie jest potrzebne (str. 16). Niedomówienia powyższe czy omyłki nie dotyczą jednak istotnego tematu, który ujęty jest spokojnie i rzeczowo, tak że broszura dra Zajdlicza będzie mogła z pożytkiem spełniać tę rolę, jaką autor, o ile go zrozumiałem, sam jej wyznacza, t. j. przedewszystkiem propagandową. Jako podręcznik dla celów praktycznych jest ona bowiem stanowczo za szczupła, zawarty w niej treściwy materjał i dołączone do niego tablice (podług Ogino - Smulders) zrozumie tylko ten, kto już skądinąd zapoznał się z temi sprawami.

Tę samą uwagę zastosować możemy i do broszury *Małżeństwo wierne naturze,* którą — w oparciu o teorję Ogino-Knaus i metodę Smulders'a — napisał Jan Marski. W najogólniejszym zarysie przechodzi on zagadnienia fizjologji zapłodnienia i czasowej niepłodności, poczem zatrzymuje się nieco dłużej nad praktycznem zastosowaniem tych wiadomości, wyjaśnia nowoskonstruowany „kalendarz małżeński" i załącza jego egzemplarz wraz z pouczeniem użycia. Autor stara się być ścisłym, pracę swą dał zresztą do przeglądnięcia lekarzowi i dba bardzo o uwzględnienie społecznej i moralnej strony zagadnienia. W metodzie Ogino-Knaus widzi nie tyle środek do „regulowania" urodzeń, ile pomoc dla małżonków, zarówno pragnących mieć dzieci, jak chcących uniknąć ich dla ważnych powodów. Myli się jednak autor, jeśli sądzi, że z pomocą jego wyjaśnień, — które są jeszcze szczuplejsze niż w broszurze dra Zajdlicza, — kobieta zorjentuje się dostatecznie w zagadnieniu i będzie umiała sama posługiwać się załączonym kalendarzykiem. W tej sprawie przechylamy się do zdania dra Smulders'a, że w początkach przynajmniej zwrócenie się po radę do lekarza jest zawsze wskazanem; są to bowiem rzeczy trudne i nawet lekarze, o ile nie zapoznali się szczegółowo z powyższą metodą, mylili się czasem w jej stosowaniu.

Ks. St. Podoleński T. J.

Dr. Siegfried Behn: Das Ethos der Gegenwart. Bonn, Peter Hanstein Verlagsbuchhandlung, 1934, in 4⁰, str. 77. RM 2·50.

Pod redakcją prof. T. Steinbüchel'a z Giessen wychodzi zbiorowy cykl rozpraw p. t. *Die Philosophie, ihre Geschichte und ihre Systematik*. Z 15 zeszytów-części, — XII-tym (z działu systematyki) jest rozprawa, o której dajemy tu skromną informację. Praca prof. Behna z Bonn nie jest podręcznikiem aktualniejszych współcześnie zasad etyki szczegółowej, lecz podaje w syntezie, jakie cele, wartości i normy postępowania przyświecają młodemu pokoleniu, którego starsze roczniki biorą już czynny udział w życiu zbiorowem. Jest to więc pokolenie, które pod wpływem filozofji egzystencjalnej *(Philosophie des Lebens)*, a może nawet jeszcze bardziej pod obuchem trudnej rzeczywistości gospodarczej, — przeku upowszechnieniu dobrobytu materjalnego. Załatwienie życiowych potrzeb: pożywienia, ubrania i dachu nad głową, urasta do wymiarów wielkich zadań państwa, które, nie znosząc prywatnej inicjatywy jednostek i zrzeszeń, stwarza szerokie możności pracy, kieruje polityką racjonalnego odżywiania się obywateli, ruchem budowlanym, i wogóle opiekuje się życzliwie każdą dziedziną życia ludzkiego. Temu państwu, urządzonemu na zasadach zbliżonych do Rzeczpospolitej Platona, przewodzi idea sprawiedliwości, — nie ta, bezdusznie wszystko równająca, ale indywidualizująca w obowiązkach i przywilejach. Etos młodej myśli chętnie widzi na czele państwa wodza lub elitę, domaga się dużego uspołecznienia i ofiarności jednostki, podkreśla posłuszeństwo władzy i cześć dla starszych. Etos to nie dozwala na samolubne i zmysłowe przeżywanie dobrobytu, natomiast podciągać zaleca każde poziome przeżycie na wyżynę wzniosłości: *Gemeinwert* przemieniać trzeba w *Edelwert!* Bo też za swój własny uważa etos XX w. system etyki wartości — *Wertethik*, a jej podstawowy problem — to: *Edel oder Gemein?* Zapytanie to, jak i uznanie dla twórczej roli walki w życiu, wzięła współczesna młodzież niemiecka od Nietschego, odrzucając jednocześnie na rzecz platońskiego uspołecznienia anarchiczny jego indywidualizm. Autor, jako Niemiec, wpatrzony jest przedewszystkiem w środowisko młodzieżowe niemieckie, i dlatego nie mógł nie podać momentów, któremi tę młodzież przejął narodowy socjalizm niemiecki. Są to myśli o wyższości pewnych ras, o eugenice, o nieuniknionej między rasami walce, a w związku z nią o wodzu, nadziei, odwadze, bohaterstwie i bezwzględnem posłuszeństwie dla wodza i państwa.

Poddane krytyce w świetle encykliki *Quadragesimo anno*, — szlachetnie wyglądają społeczno-ekonomiczne tendencje etos'u współczesnej młodzieży. Całość wykazuje jednak poważne braki. I tak, choć młode pokolenia mają duże zrozumienie dla przeżyć religijnych a uznanie dla świętych, to jednak życiopogląd ich uzupełnić należy nadprzyrodzoną treścią teologiczną. W ten sposób wyłoniłby się ostateczny, ponaddoczesny cel życia, a *Heiligkeitswert*

weźmie przez to słusznie górę nad *Edelwert*. Jednocześnie etyka normatywna stanie się szczęśliwą przewodniczką dla niewystarczającej sobie etyki wartości. Nie da się również zaprzeczyć, że wzniośle pojęty dobrobyt materjalny nosi tu jednak na sobie piętno biologicznej jednostronności, że kultywuje krew, instynkt, siłę fizyczną i gotowość do walki, podczas gdy dobra kultury duchowej, artystycznej, tradycja, czysta nauka schodzą do rangi dóbr mniej wartościowych. Naogół jednak sąd autora jest optymistyczny; to wykazujące pewne braki etos XX w. w swoich założeniach kryje przecież poważną i wzniosłą troskę o jakość życia ludzkości. Wywody prof. Behna, za którym już stoi związana z obecną praca p. t. *Philosophie der Werte* (München 1930), są głębokie, i, jako krytyczna w świetle chrześcijańskiej ideologji synteza myśli i dążeń współczesnych, — ciekawe.

Ks. Z. Goliński.

Wilhelm Stekel: Wychowanie rodziców. Warszawa, bez daty, Renaissance-Ars Medica, str. 215. Thom. dr med. T. Fajans.

Zgodzimy się na to wszyscy, że poza nielicznemi wyjątkami, nasi rodzice ze wszystkich warstw społeczeństwa, mimo dozy dobrej woli, nie są przygotowani do skutecznego spełniania roli wychowawców wobec własnych dzieci. Poprostu sami nie są wychowani, im samym brak charakterów oraz zdolności organizowania własnej psychiki i własnego życia, to też nie mogą pokierować procesem wychowania drugich. Jedynem tu wyjściem jest uzupełniające braki samowychowanie, którego ideę i postulat tak wyraźnie stawia powyższa książka. Dzieło o wychowaniu rodziców pod kątem przysposobienia ich do wychowania swych dzieci jest nam bardzo potrzebne, ale Stekel nie zadośćuczynił tej potrzebie: wiele obiecał poważnym tytułem, a dał tylko cząstkę zagadnienia, — omówił mianowicie (poza nerwowością i lekkomyślnością) same braki, nieregularności i zboczenia seksualne rodziców, o ile paczą życie im samym i nieszczęśliwie wpływają na osobowość dzieci. Książka jest pracą popularną, a poruszając szereg mniej lub więcej powiązanych tematów nie wykazuje ani jedności tematyczno-metodycznej ani światopoglądowej. Autor, lekarz-psycholog, ulega monizmowi seksualnemu Freuda (stosuje też szeroko psychoanalizę, jako metodę leczniczą), i miesza wiele słusznych uwag oraz szlachetnych tendencyj z błędem i aprobującą rezygnacją wobec niektórych ujemnych faktów życia współczesnego. Słusznie zaznacza, że osobowość człowieka składa się z treści dziedziczonej od przodków i nabytej od środowiska oraz przez wpływ wychowawczy: jemu też przyznaje decydującą rolę w ostatecznem ukształceniu osobowości etycznej. Poza tem jako warunki zwiększenia wychowawczych wartości rodziców radzi dobrane i wszechstronnie zdrowe małżeństwo, wierność małżeńską i opanowanie płciowe, większą ilość dzieci, bezpośredni udział matki w ich

karmieniu i wychowaniu, trzeźwość i t. p. Mimo tego Stekel przecenia rolę instynktu i życia płciowego, uznaje ostatecznie rozwody i sztucznie bezpłodne małżeństwa na próbę do czasu, aż przestanie grozić rozwód z powodu niedobrania się.

Dla wielu trafnych uwag i bezpośrednich spostrzeżeń z psychologji harmonji i konfliktów życia rodzinnego książkę mogłyby odczytać z pewnym pożytkiem osoby duchowo dojrzałe, kulturalne i krytyczne. Z tej racji, że Stekel ilustruje swe wywody przykładami psychopatologicznych przeżyć płciowych, książka (zapewne wbrew zamierzeniom autora) odziaływać będzie pobudzająco na dojrzewającą młodzież i nadwrażliwych płciowo dorosłych (może dla tego posmaku, wydała ją firma „Renaissance"?). Lekturę Stekla trzeba uzupełnić tą większą resztą zagadnień psychologiczno-pedagogicznych z dziedziny ducha, a więc z podręczników psychologji pedagogicznej i pedagogiki, z rozpraw poświęconych osobie wychowawcy i współpracy domu ze szkołą.

Ks. Z. Goliński.

Stefan Baley: Zarys psychologji w związku z rozwojem psychiki dziecka. Lwów-Warszawa, Książnica-Atlas. Str. 424, z 87 rycinami w tekście i 1 barwną tablicą.

Książka prof. St. Baley, stanowiąca 15 tom wydawanej przez Książnicę-Atlas „Bibljoteki pedagogiczno-dydaktycznej", może służyć za wzór jasnego i przystępnego wykładu zagadnień naukowych. Bez trudu, w formie niemal lektury, wprowadzony zostaje czytelnik w dziedzinę psychologji ogólnej (doświadczalnej), poznaje jej przedmiot i poszczególne problemy. Książka przeznaczona jest głównie dla tych, których interesuje psychologja dzieci i młodzieży, dlatego też teren psychologji ogólnej przedstawiony jest krótko, z szczególniejszem uwzględnieniem wieku młodego i rozwoju psychiki ludzkiej. W związku z tem porusza też najważniejsze wiadomości o rozwoju cielesnym, o ile dane te wchodzą w zakres nauki o dziecku i łączą się z jego rozwojem duchowym. Tym sposobem „Zarys", jakkolwiek nie jest opracowaniem psychologji pedagogicznej, może jednak oddać duże usługi wychowawcom, gdyż zawiera sporo wyjaśnień i wskazówek praktycznych; z drugiej strony, ze względu na swą przystępność, mógłby on również służyć jako podręcznik, zaznajamiający uczniów klas wyższych z podstawowemi pojęciami psychologji eksperymentalnej. Liczne ilustracje i przykłady ułatwiają zrozumienie wykładu i zapoznawają nas z najnowszemi metodami badań i przyrządami pomocniczemi. Dwie wszakże uwagi pragnęlibyśmy podnieść. Pierwsza jest natury czysto praktycznej: szkoda, że autor nie zaopatrzył swej książki alfabetycznym spisem rzeczowym, który byłby bardzo pomocnym w wyzyskaniu jej treści. Druga jest poruszeniem pewnej wątpliwości i dotyczy ustępu o uczuciach religijnych

(str. 360); nie o to nam chodzi, że jest on niezwykle krótki w porównaniu z innemi, lecz, na tle całości książki i zamieszczonych tu i ówdzie przykładów, trudno nam zrozumieć, dlaczego autor — skoro już poruszył błędne teorje przeżyć religijnych i ich źródła — nie dotknął ani słowem prawdziwej?

S.

Fryderyk Wilhelm Foerster: Wychowanie obywatelskie. Wyd. 2. Przełożył i przedmową zaopatrzył Józef Mirski. Lwów - Warszawa, Książnica-Atlas. Str. 320.

Dzieła F. W. Foerstera cieszą się ustaloną sławą, jako owoc pracy głębokiego myśliciela i pedagoga, który poglądy swe stara się zawsze opierać na zasadach etyki chrześcijańskiej. Ta jego właściwość poróżniła go z obecnemi Niemcami, ale tem bardziej podniosła jego autorytet poza niemi, m. i. w Polsce, do której przyjaciół się zalicza. Jak dużą wartość posiada wymieniona powyżej praca, świadczy już sam fakt powtórnego jej wydania, które zostało przełożone podług ostatniego wydania oryginalnego i zaopatrzone przedmową J. Mirskiego. Dzieli się ona na dwie główne części: istota kultury państwowej i wychowanie państwowo - obywatelskie. Pierwsza z nich została w obecnem wydaniu powiększona o trzy nowe, o aktualnej treści rozdziały: demokracja i arystokracja, państwo a prawo moralne, ideowe podstawy zagadnienia ras; w drugiej części autor porobił pewne przesunięcia i dodał kilka ustępów: o harcerstwie, wychowaniu w duchu rycerskim, przysposobieniu wojskowem, pedagogice pokojowej, niebezpieczeństwach wychowania obywatelskiego. Spodziewać się należy, że w epoce aktualności zagadnienia wychowania państwowego książka powyższa, jako gruntowna pod względem rzeczowym i na zdrowych oparta podstawach, spotka się z ogólnie życzliwem przyjęciem.

S.

Przemysław Marjański: O urodę życia polskiego. Poznań 1935. Str. 67. małe 8⁰.

Cały szereg myśli trafnych, choć bynajmniej nie popularnych, dość dużo wątpliwych, trochę zupełnie błędnych, rzuconych z rozmachem w nieladajakim celu, bo dla całkowitej niemal przebudowy polskiego życia. W skonstruowanej przez siebie duszy zbiorowej Polski upatruje autor nieprzebraną kopalnię prawdy i prawa, obyczajów i religijności i dlatego pragnie tę duszę uwolnioną od wszystkiego, co ją rzekomo zniekształca lub krępuje, wziąć za źródło i normę nowego, pełnego urody, narodowego rozwoju. Nie potrzeba dodawać, że bardzo wiele problemów tej przebudowy przedstawia się w rzeczywistości nie tak prosto, jak się autorowi wydaje.

S. K.

Ks. Dr Franjo Szanc T. J.: Stvoritelj svijeta. Njegova egzistencija i marov i njegov odnos prema svijetu. (Stwórca świata, Jego istnienie i natura oraz Jego stosunek do świata). Sarajevo 1935. (XXIV + 320 str.). Cena 7 złp.

W ostatnich dziesięcioleciach, zwłaszcza po wojnie, filozofja scholastyczna w Jugosławji wykazuje szybki i piękny rozwój. Trzy są główne ogniska jej krzewienia się: w Lublanie Ks. Dr Aleksy Uszenicznik, prof. filozofji na wydz. teol., w Zagrzebiu, gdzie rzecznikiem ruchu filozoficznego jest Ks. Dr Stefan Zimmermann, prof. filoz. na wydziale teol. tamtejszego uniwersytetu, oraz w Sarajewie, gdzie autor niniejszego dzieła, znany już poprzednio ze swej pracy: *Sententia Aristotelis de compositione caporum e materia et forma* jest profesorem na Instytucie filozoficzno-teologicznym.

Obecna praca autora znalazła pochlebną ocenę w kilku poważniejszych czasopismach naukowych (por. *Orientalia Christiana Periodica* 1936 I-II str. 285—287, *Scholastik* 1936, I str. 109), w ojczyźnie zaś swojej zyskała jednogłośną pochwałę i uznanie nie tylko ze strony katolickiej, ale również i innowierczej. Akademja zaś teologiczna w Zagrzebiu przyjęła autora do swego grona.

W dziele tem zajmuje się autor — jak sam zaznacza — problemem najdonioślejszym, który jest kluczem do rozwiązania obecnego kryzysu pokoju i chleba, problemem najżywotniejszym chwili obecnej, problemem Bóstwa. Za pomocą psychologicznego wglądu wskazuje drogę do Boga, odrzuca panteizm i pozytywizm a przyjmuje pierwszy naukowy teizm Arystotelesa. Za pomocą zasady przyczynowości, którą wyjaśnia w sposób naprawdę klasyczny, wznosi się z przypadłościowości świata do jego przyczyny i Stwórcy — bytu osobowego i nieskończonej doskonałości.

W drugiej części maluje stosunek, jaki łączy i powinien łączyć Stwórcę ze światem. Jest On Królem i Ojcem świata, obdarzył człowieka wielkim skarbem wolności. Pojęcie zaś wolności autor bardzo jasno ze św. Bellarminem wyjaśnia jako „naukę godną świętego i doktora Kościoła". (str. 134). Rozważając zaś i porządek prawny określa Boga jako surowego i wszechmocnego jego stróża. Bóg jest również w porządku moralnym miarą moralności i dostateczną jej sankcją, która się opiera na nieśmiertelności duszy. Po mistrzowsku przedstawia autor (w rozdz. 7) zagadnienie stosunku kultury do Stwórcy. Kultura niemożliwą bez Boga. Ponieważ „wszelka kultura, jeśli ją wedle jej własnych dodatnich (pozytywnych) składników rozważamy... koniecznie zmierza do czegoś wiecznego", dlatego to cały świat jest przepełniony pożądaniem Bóstwa. (str. 262). To samo się odnosi i do kultury współczesnej, „chociaż ta wiele dziś odstąpiła od prawdziwej drogi". (str. 262). W ostatnim zaś rozdziale daje dobrą odpowiedź na zagadnienie: jaki cel wyznaczył Stwórca sercu ludzkiemu

i całej kulturze zarazem. Cel człowieka to zadośćuczynienie pragnieniu prawdy niezmierzonej, dobra i miłości nieskończonej w nieskończonym Stwórcy nieskończenie miłującym siebie i nas. Niespokojne serce ludzkie, ma tu „problem szczęśliwy, który powinien pochłonąć nas" (str. 293) i nie odstraszać nas od siebie problemem zła.

Książka niniejsza to teodycea, w ujęciu bardzo oryginalnem; przedstawia ona główne zagadnienia teologji przyrodzonej i etyki, a częściowo również dotyka niektórych kwestyj wchodzących w zakres kryterjologji, ontologji i psychologji. Wiąże je bardzo zgrabnie i do całości wplata. Służą one autorowi do celu postawionego.

Często też i do głębszych zagadnień filozoficznych zstępuje, wyjaśnia je z wielką jasnością i prostotą, mimo tego naukowo. Nawet niewtajemniczeni w wiedzę filozoficzną bez wielkiego trudu mogą książkę przeczytać. Dzieła tego nie można zaliczyć do grupy polemicznych i apologetycznych; jest ono ściśle filozoficznem. Autor nie walczy ze zdaniem przeciwników, lecz zagadnienia postawionego jasno i mocno broni dowodami rzeczowemi, działając równocześnie na rozum i wolę.

Objektywność sądu, szczere umiłowanie prawdy z jednej strony, styl i sposób pisania prawdziwie naukowy są niemałą zaletą książki, ułatwiają do niej dostęp również i nieobeznanym z metodą scholastyczną.

Wielka znajomość współczesnej literatury filozoficznej czynią dzieło aktualnem. Autor również doskonale poznał i wielkie powagi światowe Arystotelesa i św. Tomasza. Św. Tomasza pięknie wyjaśnia i zgrabnie korzysta zeń w dowodzeniu, tak, że nawet współcześni, którzy nie znają św. Tomasza, łatwo mogą się z nim zapoznać. To należy uważać za niemałą zasługę tej książki.

Dla lepszego oświetlenia zagadnienia korzysta w dowodzeniu i z Pisma św. i nauki Kościoła i pisarzy katolickich. Dlatego w ocenie książki umieszczonej w *Katoliczki list* (Zagrzeb) recenzent taką jej daje kwalifikację: „Pracę ks. Szanca należy zaliczyć nietylko do najlepszych w naszej litteraturze, ale i całej literaturze świata odnoszącej się nauki o Bogu" (1935 n. 18).

Książka jest przeznaczona dla wszystkich, którzy szukają rozwiązania tych problemów najdonioślejszych, niemałą odda przysługę profesorom i słuchaczom nauk filozoficznych i teologicznych. Dla świeckich zaś studentów uniwersytetów może służyć za nieodzowny przewodnik. Można też tam znaleźć i podniety dla życia wewnętrznego.

Ks. Jan Zoré T. J.

Ks. Bolesław Szopiński T. J.: 32 Pieśni na 3 głosy różne, lub 4 mieszane.

Pierwszą zaletą tych pieśni jest, że nie eksperymentują na modernizmie. Utrzymane są w stylu harmonicznym ze szkoły

Szumana, Szuberta czy Mendelsobna. Układ łatwy, a więc dla zespołów chóralnych choćby najskromniejszych, dostępny. Pieśni te mogą rozniecić uczucie religijne i bardzo są odpowiednie przy odprawianiu rekolekcyj, na zebraniach sodalicyj marjańskich, na zakończenie Wystawienia Najświętszego Sakramentu, przy odprawianiu nowenny i t. p.

Ks. H. Nowacki.

Z literatury rosyjskiej.

Z przedjubileuszowej literatury o Puszkinie.

Niewiele chyba poetów może poszczycić się tak olbrzymią literaturą, jak Puszkin. Mimo to jednak wciąż ukazują się prace na tematy — zdawałoby się — już dawno wyczerpane i wszechstronnie, dokładnie zbadane. Czasem są to niewiele znaczące drobiazgi, rozdmuchiwane ponad miarę, jak we wszystkich zresztą badaniach, dotyczących przedmiotu, otoczonego szczególnym kultem, czasem jednak zawierają bogaty materjał, ciekawe uwagi i spostrzeżenia. Ten dwojaki charakter posiada również olbrzymi tom sowieckiego pisma, wydawanego w Moskwie p. t. *Litieraturnoje Nasledstwo*,[1]) poświęcony życiu i twórczości Puszkina z okazji zbliżającej się, stuletniej rocznicy jego śmierci.

Jedną z najbardziej uderzających cech tego zbioru jest nierówność naukowego poziomu jego prac. Obok pozycyj o charakterze popularyzacyjno-propagandowym, ujmujących istotę i znaczenie Puszkina jedynie z aktualnego, klasowego stanowiska współczesnej Rosji, znajdziemy również świetne, wzorowe rozprawy, niemal całkowicie pozbawione specyficznie sowieckiego charakteru, nauki na usługach teoryj marksizmu. Najwięcej prac słabych zgrupowano w pierwszym rozdziale tomu. Zamiarem redaktorów było skupić tu prace, charakteryzujące aktualne znaczenie Puszkina w życiu Sowietów, oraz wysuwające główne wskazówki dla badań nad twórczością i biografją poety. Założenia takie musiały odbić się na charakterze większości umieszczonych tu rozpraw, które z jednej strony obfitują w polityczno-społeczne akcenty i marksistowskie rozważania na temat przynależności klasowej Puszkina, oraz stosunku jego do cara, „dekabrystów" i ustroju dawnej Rosji (jest to zresztą motyw, który w różnej formie przewija się poprzez znaczną większość artykułów całego zbioru), — z drugiej zaś strony nabierają mentorskiego tonu strofowań i pouczeń, nie wychodzących naogół poza granice ogólnych metodycznych wskazówek, bądźto oczywistych dla każdego badacza literatury (np. nie upraszczać zjawisk, nie wpadać w schematyzm i t. p. — por. Siergijewskij *O niektórych zagadnieniach nauki o Puszkinie*), bądźteż

[1]) *Litieraturnoje Nasledstwo*, nr. 16—18, Moskwa 1934, str. 1184 ilustr. 327.

konsekwentnie wynikających z podstawowych założeń marksizmu (np. postulat łączenia analizy literackiej z biografją poety, traktowanie jego życia na tle stosunków i prądów socjalnych epoki i t. p. — por. D. Błagej: *Zagadnienie budowy naukowej biografji Puszkina*).

Ale obok typowo marksistowskiego stanowiska znajdziemy tu to, czemu przed dziesięciu niespełna laty badacze marksistowscy wypowiedzieli wojnę na śmierć i życie, to, co możnaby nazwać wołaniem o estetyczną postawę krytyka w stosunku do przedmiotu badań. Oto słowa A. W. Łunaczarskiego, który w artykule p. t. *Puszkin-krytyk*, stwierdziwszy konieczność wyjaśnienia takich zagadnień, jak konstrukcja utworu, kompozycja jego poszczególnych części, jedność stylu, budowa zdania, słownik pisarza, różnorodne funkcje artystyczne słowa i in., w ten sposób powiada: „W tem wszystkiem jesteśmy bardzo słabi, bodaj słabsi nawet od krytyków epigonów poprzedniej epoki. Za mało zwracaliśmy na to uwagi... Dla nas ważniejsze było określenie: wróg, czy przyjaciel stoi przed nami..." (str. 44). Echo tych słów odezwie się także w artykule D. Mirskiego, który we wstępie do swych rozważań stwierdza z naciskiem, że „nieumiarkowany historyzm, próbujący związać każdy utwór pisarza z aktualnemi zdarzeniami jego czasów i krzywemi (linjami) cen chleba... wytwarza przepaść między czytelnikiem i pisarzem dawnych czasów" (str. 91) i chociaż jego własny artykuł nie mógłby w całości służyć za przykład właściwego ustosunkowania się uczonego do przedmiotu badań, niemniej jednak spostrzeżenia jego, dzięki inteligencji autora i większej kulturze literackiej są bez porównania głębsze niż syntetyzujące, ale płytkie uwagi A. Cytlina (*Spadek Puszkina*), lub Iwana Winogradowa (*Droga Puszkina do realizmu*). Wśród tych marksistowskich uogólnień pierwszego rozdziału tomu na szczególne wyróżnienie zasługuje artykuł *O stylu Puszkina* Wiktora Winogradowa, który, oparłszy swe wywody na bogatym materjale porównawczym i wnikliwej analizie literackiej, omawia cztery zjawiska „poetyckiej semantyki", mające — jego zdaniem — zasadnicze znaczenie dla ukształtowania stylu Puszkina.

Ozdobą już niejednego rozdziału, ale całej „księgi Puszkinowskiej możnaby nazwać oba artykuły B. Tomaszewskiego, zamieszczone w drugim rozdziale wydawnictwą, zawierającym „badania z zakresu historji twórczości i biografji Puszkina". Tak pierwsza rozprawa Tomaszewskiego, poświęcona badaniom nad tekstem kilku odrębnych utworów lirycznych, jak też i druga — omawiająca sprawę dziesiątego rozdziału *Eugenjusza Oniegina*, stanowią doskonały wzór badań nad rękopiśmiennemi tekstami poetyckiemi, które z luźnych fragmentarycznych notatek pod pracowitą, a umiejętną ręką uczonego powoli zaczynają nabierać swych własnych barw, powracają do życia i zespalają się w całość, na której znać już pewną konsekwencję logiki artystycznej, pozwalają

na podstawie rękopisu odtworzyć w pewnym stopniu proces twórczy poety. W środku między rozprawkami Tomaszewskiego umieszczono równie cenny artykuł innego wyznawcy i teoretyka formalizmu, J. Tymianowa (*Puszkin i Küchelbekier*), który dał nowy, konkretny obraz intelektualnego rozwoju poety w liceum i rzucił nowe światło na stosunek jego do poety i „dekabrysty" Küchelbekera. Ten ostatni — według interesującej hipotezy Tymianowa — został w pewnej mierze sportretowany w postaci Lenskiego z *Oniegina*. Solidna, edytorska praca S. Boudiego o dwu historycznoliterackich artykułach Puszkina, rozprawki Oksmana i Popowej o historycznych studjach poety nad dziejami Pugaczewa i Piotra I, oraz artykuł T. Zenger o Mikołaju I jako cenzorze Puszkina dopełniają drugi, najciekawszy bodaj, rozdział zbioru.

W trzecim — umieszczono cztery niewydane listy Puszkina i część korespondencji, pisanej do poety. Czwarty rozdział przynosi nieogłoszone dotąd „wspomnienia o Puszkinie" Katienina, Rajewskiego i Ługinina, oraz mnóstwo urywków, informujących o Puszkinie z listów i dokumentów, znalezionych w archiwach M. P. Pogodina, S. A. Sobolewskiego, wśród korespondencji krewnych poety, oraz w listach P. A. Wiaziemskiego do żony. Pewna część tego materjału, zajmującego wraz ze szczodremi komentarzami około 200 stron druku, była już swego czasu opublikowana, to też wydawcy starają się tym razem bądźto o uzupełnienie braków i opuszczeń, bądźteż o skorygowanie mimowolnych lub świadomych (Pawliszczew!) przeinaczeń. Piąty rozdział zawiera „komunikaty" o najnowszych zdobyczach nauki o Puszkinie, wśród których na szczególną uwagę zasługuje rozprawka L. Modzalewskiego o poemacie satyrycznym *Cień Fonwizina*, oraz informacje Tomaszewskiego o znalezionym w Jugosławji *Zeszycie Wsiełożskiego* z pierwszemi redakcjami wierszy Puszkina do r. 1820. Z wielu pozostałych prac większe zainteresowanie budzą także uwagi Tomaszewskiego o stosunku Puszkina do powieści francuskich na podstawie rysunków poety, oraz uzupełnienia L. Modzalewskiego do spisu książek bibljoteki Puszkina, powiększające jej katalog o 187 nowych pozycyj. W szóstym rozdziale tomu omówiono wydanie spuścizny literackiej poety oraz opracowania jego biografji. „Kronika", która stanowi siódmy — i ostatni — rozdział księgi, przynosi szereg informacyj o nowych pracach i wydawnictwach, dotyczących Puszkina i podjętych w celu uczczenia stuletniej rocznicy jego śmierci.

Nierówność poziomu naukowego prac, zamieszczonych w puszkinowskim tomie *Litieraturnogo Nasledstwa*, przytłaczająca przewaga studjów i przyczynków biograficznych nad badaniami ściśle literackiemi, pewien przerost komentarzy w dziale niedrukowanej korespondencji, wreszcie brak indeksu, który ułatwiłby orjentację w obfitym materjale, zamieszczonym w tym pokaźnym tomisku — oto ujemne strony omawianego tu zbioru studjów o Puszkinie.

Tem bardziej jednak należy podnieść i jego zalety: szereg wzorowych rozpraw pióra najwybitniejszych „puszkinistów" sowieckich, umiejętne rozłożenie całego materjału, udostępnienie mnóstwa cennych źródeł rękopiśmiennych i wreszcie piękna szata graficzna oraz dobór około 340 ilustracyj (portrety Puszkina, jego rysunki, portrety znajomych i krewnych poety, facsimile rękopisów, ilustracje do dzieł Puszkina z wydań w Rosji i zagranicą i in.), które nietylko ozdabiają książkę, ale też jak najściślej łączą się z tekstem, służąc nieraz jako podstawa do wywodów poszczególnych rozpraw — czynią z omawianej tu publikacji reprezentacyjne, przedjubileuszowe wystąpienie sowieckiej nauki o Puszkinie.

Badaczy literatury i historji polskiej zainteresują zapewne „polonica" zrzadka rozsiane wśród korespondencji i materjałów księgi. Kartka, przesłana Mickiewiczowi przez Sobolewskiego z paru słowami zaproszenia na obiad, i krótka odpowiedź naszego poety (str. 730—731, oba teksty pisane po francusku, tu przytoczone tylko w przekładzie rosyjskim) nie są nowością, gdyż kilka lat temu zostały opublikowane i wykorzystane przez A. K. Winogradowa w pracy p. t. *Merimé w piśmach k Sobolewskomu.* [1]) Więcej ciekawych wiadomości znajdziemy tu o Karolinie Sobańskiej i jej stosunku z Puszkinem, [2]) największe jednak zainteresowanie wzbudzi chyba albumik Sobańskiej, znaleziony przez W. Bazilewicza w Ukraińskiem Historycznem Muzeum w Kijowie i zawierający 93 autografy znanych osobistości, między którymi znajdują się rękopisy Mickiewicza, Puszkina, Chateaubrianda, Constant, Pitta, Wellingtona, Felińskiego i in. [3]) W. Bazilewicz zapowiada specjalny artykuł, poświęcony autografom w albumie Karoliny Sobańskiej.

* * *

Wniosek, jaki może nasunąć się czytelnikowi po pobieżnem nawet zapoznaniu się z zawartością olbrzymiego tomu *Litieraturnogo Nasledstwa* w taki oto sposób został sformułowany w odniesieniu do całej dotychczasowej nauki o Puszkinie w maleńkiej, ale interesującej książeczce, [4]) poświęconej zbadaniu metryki Pusz-

[1]) Moskwa 1928, por. artykuł: *Mickiewicz — Puszkin — Sobolewskij...*, ib. str., 229—261; facsimile listu na str. 235.

[2]) Facsimile i przedruk listu Sobańskiej do Puszkina — str. 569—571 i 616, wzmianka o niej w liście P. A. Wiaziemskiego do żony — str. 804—805, artykuł Bazilewicza o Sobańskiej jako adresatce jednego z wierszy Puszkina — str. 876—879 i zapowiedź artykułu T. Zenger o Puszkinie i Sobańskiej w wydawnictwie p. t. *Rukoju Puszkina* — str. 1132.

[3]) Album ten oglądał swego czasu J. I. Kraszewski i wzmiankę o nim zamieścił w *Wspomnieniach z Odessy, Jedyssanu, Budżaku...*, Wilno 1846, III, str. 229—230.

[4]) N. W. Łapszina, I. K. Romanowicz, B. I. Jarcho: *Nietriczeskij sprawocznik k stichotworienijam A. S. Puszkina*, Academia 1934, str. 144.

kina zapomocą statystycznych obliczeń, zestawień i wykresów: „Współczesna literatura o Puszkinie jest niezwykle obszerna, ale posiada tę właściwość, że o wiele bardziej zajmuje się Puszkinem jako człowiekiem, niż jako poetą, t. j. biografji udziela więcej miejsca niż historycznemu i teoretycznemu zbadaniu twórczości. Z jakiegobyśmy punktu widzenia podchodzili do tej twórczości, zawsze okaże się ona o wiele ważniejsza niż pozaliteracka działalność Puszkina i dlatego w powyższym stanie współczesnej nauki o Puszkinie trudno nie zaznaczyć pewnej dysproporcji" (str. 9). A zatem coś jakby echo wyżej cytowanych nawoływań Łunaczarskiego i Mirskiego, tem cenniejsze, że nie ograniczające się tylko do wskazania luki, ale też starające się w miarę możności zapełnić ją własnemi badaniami.

Podstawową część książeczki stanowi jej statystyczna część, w której chodziło autorom a) o podanie ogólnej charakterystyki wiersza Puszkina, b) ukazanie poszczególnych jego właściwości we wzajemnym proporcjonalnym stosunku, oraz c) nakreślenie zasadniczych linji rozwoju metrycznych form Puszkina. W tym celu zbadano dokładnie całą jego twórczość w ilości 39.589 wierszy, rozpatrując ją z rozmaitych punktów widzenia. Badania te ujęte w szereg cyfr, tablic i statystycznych zestawień w połączeniu z lapidarnem, ale jasnem i prostem sformułowaniem wniosków, wynikających z przedstawianych obliczeń, rozpadają się na dwa zasadnicze działy: Pierwszy — charakteryzujący wiersz Puszkina wogóle i drugi — odnoszący się do poszczególnych okresów jego twórczości. O ile ostateczne rezultaty badań pierwszego działu nie są bezwzględne i zyskają na znaczeniu dopiero wtedy, gdy podobne badania zostaną przeprowadzone również w stosunku do twórczości innych poetów, o tyle wyniki drugiego działu dadzą się już teraz ująć w szereg ważkich i bardzo interesujących wywodów. Najciekawsze bodaj jest stwierdzenie, że poszczególne okresy rozwoju Puszkina w technice wiersza przypadają mniej więcej na główne etapy życia poety: r. 1825 dzieli wyraźnie całą wersyfikację Puszkina na dwa etapy, w których wydzielają się jako osobne okresy: czas pobytu poety w liceum (do r. 1816), oraz twórczość jego po r. 1830. Ten ostatni okres stanowi jednocześnie rozkwit talentu Puszkina, zaznaczający się po pierwsze — we wprowadzeniu szeregu form nowych, oraz rozwoju dawnych — wpierw zrzadka tylko używanych, i po drugie — w porzuceniu miar, poprzednio najczęściej uprawianych. „Wśród tego wspaniałego rozkwitu dosięgła poetę śmierć" (str. 66).

W następnej części książki znajdziemy, krótki, ale dokładny i przejrzysty przegląd stanu badań, szereg tablic i wykresów, odnoszących się do poszczególnych systemów i miar wierszy Puszkina z prac Tomaszewskiego, Szongeli i autorów książeczki, oraz bardzo pożyteczne indeksy utworów Puszkina, ich form stroficznych i miar wiersza.

Chociaż badania, przeprowadzone w omawianej tu książeczce nie obejmują bynajmniej całości zagadnienia, gdyż eliminują takie np. kwestje, jak eufonikę, rymy, cezurę, enjebement, stosunek składni do rytmu wiersza i t. p., i chociaż całość nosi charakter suchych, statystycznych obliczeń, nazbyt oderwanych od tekstu utworów, niemniej jednak ta niewielka książeczka, wypełniona po brzegi cyframi, może bez wstydu stanąć obok swego olbrzymiego rówieśnika, imponującego foljału *Litieraturnogo Nasledstwa* — już choćby ze względu na ogromnie interesujący materjał statystyczny, oraz ostateczne wnioski o ewolucji techniki wierszowej Puszkina i charakterze poszczególnych jej etapów. Jest to niewątpliwie skutek zainteresowań i prac badawczych zagłuszonego dziś „formalizmu". Przy przeglądaniu tej niewielkiej książeczki trudno jest opędzić się pewnym refleksjom o stanie badań nad tem samem zagadnieniem w naszej nauce o literaturze: coraz natarczywiej nasuwa się pytanie, kiedyż wreszcie i my potrafimy wyjść poza ciasny zakres uprawianych dotąd zagadnień i spróbujemy np. uchwycić istotę i poszczególne fazy rozwojowe wiersza Mickiewicza, Słowackiego i t. d.

Bieły o Gogolu.

Sowieccy badacze literatury coraz częściej przypominają zdanie Lenina, w którem wyraził się, że o wiele łatwiej jest wyjaśnić pochodzenie greckiej sztuki, niż wykryć, w czem mianowicie kryje się jej piękno. To trudne, ale też i najbardziej istotne zagadnienie postawił sobie w stosunku do literackiej twórczości Gogola znany pisarz i poeta rosyjskiego symbolizmu, Andrzej Bieły w jednej z ostatnich swych książek p. t. *Mistrzostwo Gogola.*[1])

Rozważania swe nad specyficznemi właściwościami stylu Gogola i charakterem poszczególnych etapów jego twórczości poprzedził Bieły wstępnemi uwagami, w których po przeprowadzeniu paraleli między Puszkinem i Gogolem próbuje uzasadnić dość wątpliwą analogję między poszczególnemi momentami procesu twórczego wogóle, a głównemi okresami ewolucji literackiej Gogola, dostrzegając i tu i tam trzy zasadnicze fazy: pierwszą, organizowaną przez dźwięk, rytm i melodję, drugą — troszczącą

[1]) Andriej Biełyj: *Masfierstwo Gogola,* OGIZ, Moskwa—Leningrad, 1934, str. XVI+322. Bieły już niejednokrotnie występował jako krytyk literacki. Znana jest zwłaszcza jego metoda, którą stosował w badaniach rytmiki rosyjskiej (por. A. Biełyj: *Simwolizm*, Musaget, Moskwa 1910) i chociaż dziś już odrzuca się naogół jego rytm (por. W. Zimunskij: *Wwiedienije w metriku,* Leningrad 1925, str. 33—45), a nawet sam autor pod wpływem marksizmu zmienił stanowisko dziś zasadniczo (w pracy *Ritm kak dialektika,* Fiedieracija, Moskwa 1929), niemniej jednak nie da się zaprzeczyć ani wpływu jego na szereg późniejszych prac z tego zakresu, ani też pewnych pozytywnych rezultatów, do których doszedł, stosując swą pierwotną metodę.

się przedewszystkiem o plastykę obrazów i trzecią — opartą o tendencję utworów. Następny rozdział poświęcony jest t. zw. „sjużetowi" utworów Gogola. Weszły tu zatem rozważania nad tematyką Gogola, poszczególnemi właściwościami jego fabuły, oraz sposobem prowadzenia opowiadania w związku ze zmianami jakie zachodzą we wszystkich tych dziedzinach, zależnie od ewolucji pisarskiej autora. Wywody swe ilustruje Biały szczegółową analizą *Strasznej zemsty* i obu tomów *Martwych dusz*. Tematem następnego rozdziału jest szereg zagadnień, ujętych przez Biełego pod tytułem „obrazowości Gogola". Znajdujemy tu więc szczegółowe i wszechstronne omówienie kolorystyki, perspektywy, tła i kompozycji obrazów, przyczem sprawy te potraktowano tu także w zależności od zmian zachodzących w przejściu od jednej fazy do drugiej. Do rozważań tegoż samego rozdziału włączył Biały analizę charakteru i znaczenia gestów postaci, oraz przegląd typowych cech ludzi, ich mieszkań, dworu ziemiańskiego, wsi, miasta i Petersburga jako literackich motywów Gogola. Rozdział zamykają ryzykowne nieco uwagi o zależności bohaterów od przeżyć psychicznych samego autora.

Najciekawszy i najbardziej przekonywujący materjał zgrupował Biały w czwartym rozdziale, poświęconym stylowi prozy Gogola. Rozpoczyna od wykazania szeregu cech w budowie zdań, potem zaś rozważa kolejno rolę czasowników, epitetów i rzeczowników, oraz przeprowadza bardzo interesującą analizę rytmu Gogola, w której, wysunąwszy słowo, jako podstawową cząstkę rytmu prozy, próbuje wyróżnić w nim pewne typy toku mowy, zależnie od miejsca akcentów w zdaniu. Następnie idą niemniej ciekawe uwagi o instrumentacji Gogola oraz o powtórzeniu, hiperboli i porównaniu, które wraz z t. zw. „figurą fikcji" stanowią — zdaniem Biełego — podstawowe właściwości stylu Gogola. Ostatni rozdział książki omawia wpływ Gogola na pisarzy XIX i XX w. Sensacją jego jest to, że obok Turgieniewa, L. Tołstoja, Dostojewskiego, Sołoguba, Błoka i Majakowskiego przedmiotem badań autora staje się także twórczość A. Biełego, który — jak wynika z analizy — wiele zawdzięcza Gogolowi.

Przesadnie obrazowy styl pracy Biełego, wyszukane i zbyt liczne metafory, dziwaczna składnia krótkich zdań, bezlitośnie hamowanych przez średniki i dwukropki, denerwują czytelnika i ogromnie zaciemniają sens wywodów autora. Niewiele też wyjaśniają naiwne rysuneczki i wykresy graficzne Biełego, których celowość — z wyjątkiem tablic, opartych o statystyczne obliczenia — wydaje się wątpliwa. Nie są także ozdobą książki nader ostre, polemiczne wypady autora przeciw jego poprzednikom; gorzkie słowa padają tu z jednaką siłą tak na szkołę formalistów, jak też i na prawowiernych wyznawców marksizmu. Jasny i konsekwentny układ całej rozprawy załamuje się często w szczegółowej analizie: autora ponosi temperament i zmusza do

kroczenia poza ramy tematu nakreślonego w tytule danego rozdziału, wskutek czego rozważania jego wybiegają nieraz daleko naprzód, lub nawracają do zagadnień, omówionych już poprzednio. Duże wątpliwości nasuwają te ustępy książki, które usiłują przeprowadzić pewne tezy z zakresu socjologji lub psychologji twórczości. Wszystko prawie, co powiada autor o zależności Gogola od klasy i środowiska, jak też ogólne jego wywody na temat procesu twórczego artysty należy przyjąć raczej jako domysły i przypuszczenia. Trafne, bardzo ciekawe i zadziwiająco wnikliwe wydają się natomiast uwagi Bielego o stylu i kompozycji Gogola, które są tu tem cenniejsze, że oparte na niezmiernie obfitym materjale, hojną ręką czerpanym z analizowanych utworów. Przytem autor, mimo iż operuje drobiazgami, przecie nie ugania się za mało ważnemi ciekawostkami, a cały swój wysiłek kieruje na wydobycie typowych właściwości techniki pisarskiej Gogola. To też uwagi Bielego w związku ze szczególną skłonnością autora *Martwych dusz* do t. zw. „figury fikcji", powtórzenia, hiperboli i porównania należą niewątpliwie do najbardziej istotnych zdobyczy jego rozprawy.

Czesław Zgorzelski.

Literatura podróżnicza.

Uwagi ogólne. — Arkady Fiedler: Ryby śpiewają w Ukajali i Zwierzęta z lasu dziewiczego (wyd. Roju). — Aleksander Janta-Połczyński: Ziemia jest okrągła (wyd. Roju). Odkrycie Ameryki (wyd. Przeworskiego). Stolica srebrnej magji (wyd. Roju). Made in Japan (wyd. Tow. Polsko-Japońskiego). — Bronisław Krystyn Wierzejski: Forty na piasku (Trzaska, Evert, Michalski).

Zjawiskiem uderzającem nawet powierzchownego obserwatora naszego życia kulturalnego, zwłaszcza ruchu wydawniczego i czytelniczego, jest olbrzymi rozkwit literatury podróżniczej. W Roczniku Literackim za rok 1934 notuje sprawozdawca literatury podróżniczej, Kazimierz Wyka, że ilość książek podróżniczych za rok 1934 jest cztery razy większa niż za rok 1933, a do tejże literatury z roku 1932 pozostaje w stosunku 40 do 18.

Nie mam danych statystycznych za rok 1935 i początki roku 1936, ale już „z oka" widać, iż ruch ten nie słabnie, lecz przeciwnie, rozwija się i wzmaga. Wystawy księgarskie założone są książkami podróżniczemi, katalogi pełne ich ogłoszeń. Największym barometrem współczesnego czytelnictwa są wypożyczalnie. Wydawcy mówią, że w kalkulacji książki jedynie wypożyczalnie (jest ich około 2000) biorą pod uwagę. Nabywca prywatny się nie liczy. Jeżeli jest przypuszczenie, że wypożyczalnie kupią książkę, los jej handlowy jest zapewniony. Otóż wypożyczalnie stwierdzają sukces literatury podróżniczej. Większe mają po kilka

i kilkanaście egzemplarzy celniejszych jej okazów, a wszystkie są zawsze „w czytaniu", dostać ich niepodobna. W większych wypożyczalniach porobiono specjalne katalogi książek podróżniczych, bo czytelnicy nietylko chcą tej lub innej głośnej książki, lecz wogóle książki z tego zakresu i wyszukują ją sobie z pośród nieznanych nawet autorów i tytułów. To świadczy niewątpliwie o zainteresowaniu tym właśnie „rodzajem literackim". Takie mody na pewne typy książek są zjawiskiem znanem. Pamiętamy modę z przed kilku lat na biografje. Moda ta wytworzyła nawet pewien nowy typ książki: *vie romancée*. Moda ta jednak była żywsza na Zachodzie, w Anglji i Francji, niż u nas. Tam wydała szereg znakomitych prac z tego zakresu. U nas nie objawiła się ożywieniem ani twórczości oryginalnej, ani przekładowej. Mam wrażenie, że z modą książek podróżniczych jest naodwrót, t. zn., że silniej wystąpiła jako objaw u nas, w Polsce, niż na Zachodzie. Jest to zrozumiałe: na Zachodzie istniał i kwitł ten rodzaj już bardzo dawno siłą warunków politycznych. U nas jest objawem lat zupełnie ostatnich.

Takie mody w literaturze a raczej w produkcji książek i ich konsumcji nie są nigdy przypadkowe. Mają zawsze swoje głębokie, psychologiczne podłoże. Jakie są powody tego rozkwitu literatury podróżniczej u nas i zainteresowania się nią?

Powodów jest oczywiście wiele, są skomplikowane i o siebie zazębione.

Stanisław Rogoż, pisząc swego czasu o tem zjawisku (zdaje mi się w *Pionie*), upatrywał w niem reakcję przeciwko naszemu zamknięciu paszportowemu. Jest to spostrzeżenie trafne i wydaje mi się słuszne. Głoszone hasła autarchji ekonomicznej, gospodarczej, finansowej obejmują siłą rzeczy hasła samowystarczalności kulturalnej i literackiej, zacieśniają możliwości podróżnicze człowieka, a tem samem stawiają zaporę jego ciekawości i zainteresowaniom. Przeciwko temu buntuje się człowiek, którego ciekawość i żyłka podróżnicza rozbudziła się i rozwinęła przez mechanizację środków lokomocji. Strowski w swej niezmiernie ciekawej książce *L'homme moderne* podkreśla, że ze wszystkich wynalazków jest to ten, który najbardziej radykalnie zrewolucjonizował nasze życie, zwłaszcza dlatego, że na przestrzeni całych dziejów ludzkości był to właśnie pierwszy postęp w tym kierunku. I tak jest istotnie: między sposobem podróżowania Faraonów i Odyssa a sposobem podróżowania Napoleona czy Kolumba nie było właściwie zasadniczej różnicy. Różnice szybkości były minimalne, zależne tylko od lepszej organizacji. Nie mogło być wielkiej różnicy w szybkości podróżowania, póki motorem ruchu były siły przyrody: zwierzę na lądzie, wiatr na morzu. Różnica dzieląca junkersa od towarowego pociągu jest mniej zasadnicza, niż ta, która dzieli konia od pierwszej lokomotywy. Siłą rzeczy nie możemy tu brać pod uwagę przewrotów ekonomicznych, wpływów

na psychikę człowieka, na jego np. artystyczną wizję świata (kubistyczna wizja natury z pędzącego samochodu); tu interesuje nas podróżnicza żyłka człowieka, jego rozbudzona przez umożliwienie poruszań ciekawość świata. Świat stanął otworem przed człowiekiem. Podróż, która wymagała dawniej lat całych, wielkiej odwagi, trudów a także prawie majątku, teraz odbywa się w parę tygodni, wygodnie, bez ryzyka i za stosunkowo skromne środki pieniężne. Człowiek skorzystał z tej okazji i korzystał ciągle więcej, w miarę udoskonalania się środków lokomocji. Poczuł się obywatelem świata. Kursował po nim swobodnie jak po własnym domu, zaglądając w każdy zakątek. Zagospodarował się na świecie całym interesami ekonomicznemi, politycznemi, naukowemi i t. d.

Teraz, po wojnie, gdy udoskonalają się coraz bardziej wszelkie komunikacje lądowe, powietrzne i wodne, przed ciekawością Europejczyka stanęły nagle inne przeszkody: powznosiły się niewidzialne a potężne mury paszportów, zakazów, utrudnień wszelkiego rodzaju, przeszkód politycznych i narodowościowo-społecznych. Hasło autarchji zaczęło nakładać przedewszystkiem swoje wędzidło na zaintresowania i ciekawość człowieka, na jego żyłkę globtreterską. Wiele państw miało interes w politycznej i społecznej ostrożności, nie chciało swoim obywatelom ukazywać świata i jego rozmaitych form bytowania. U nas w Polsce, którą tu się zajmujemy, działała głównie bieda, chęć zatrzymania w domu nielicznych pieniędzy. Tymczasem w Polsce ciekawość ta przybrała może jeszcze ostrzejsze formy niż gdzie indziej: przez 100 lat z górą staliśmy za kulisami europejskiej sceny. Wzrok nasz i marzenia nie wybiegały dalej jak za tę ścianę, która nas dławiła, chcieliśmy stanąć w szeregu, obalić ten dławiący mur, który nam drogę do wszystkiego zagradzał. Trzy ościenne państwa były ograniczeniem naszego horyzontu i zainteresowań. Dziś, gdy szczęśliwie stoimy w poczesnem miejscu wielkiej widowni świata, obejmujemy okiem całość jego spraw i interesów, jego sprawy są mniej lub bardziej bezpośrednio i sprawami naszemi. I rozumiemy doskonale, że tam, za tym pięćsetzłotowym murem właśnie, rozgrywają się najważniejsze nasze sprawy i interesy; tuż o miedzę nasze najważniejsze sprawy państwowe i ekonomiczne, za morzami najważniejsze sprawy naszej europejskiej ojczyzny. Jeżeli mamy ochotę wyjechać na szeroki świat, to interesuje nas nietylko jego egzotyka, jego *couleur locale*; wiemy, że w różnych dalekich i bliskich krajach rozgrywają się największe eksperymenty dziejowe, jakie świat widział, wiemy, że te eksperymenty nie są dla nas obojętne. Wiemy również, że węzły różnych zawikłań, zawikłań, które i nas dotyczą i dotyczyć mogą, tkwią bardzo daleko, może nad żółtemi wodami chińskiego morza, może w państwie wschodzącego słońca. Wiemy, że u stóp Himalajów kipi garnek, którego wybuch może ruszyć z posad potęgę brytyjską, a w konsekwencji zburzyć tak wątłą równowagę europej-

ską. Wiemy, że pożar ogarniający czarny ląd może groźnym płomieniem objąć nas wszystkich. Wiemy, że wartość jednostki monetarnej na antypodach może pchnąć w ruinę lub w *prosperity* pół Europy. Wiemy, że cały świat związał się nićmi interesów handlowych, przemysłowych i ekonomicznych, że cały został wciągnięty w krąg europejskich namiętności, kalkulacji, apetytów i trwóg. Rozumiemy, że hasło autarchji, o ile wogóle słuszne, przyszło o 100 lub więcej lat zapóźno, że nie da się obronić ani ekonomicznie ani życiowo, wiemy, że wielkie regulatory, wielkie motory, wielkie niebezpieczeństwa i nadzieje naszego życia nie znajdują się wyłącznie w Europie, że przeciwnie rozsiadły się i rozpełzły po całym ziemskim globie. Do ciekawości człowieka, do tęsknot grających od wieków po lądach i morzach dołączyła się ciekawość polityka, ekonomisty, socjologa, dołączył się niejako interes osobisty. A i powszechne zubożenie i paszporty i szereg innych trudności zabraniają mu zwiedzać, zabraniają na własne oczy oglądać te rozliczne kuźnie jego losów. Więc jednostki śmielsze, bardziej przedsiębiorcze biorą na siebie rolę wywiadowców, rolę emisarjuszy. Ci, co zostają, czekają z upragnieniem na ich raporty. Nie wszyscy, którzy podróżują są ekonomistami czy politykami, ale rozumiemy, że nawet ci, którzy włóczą się po świecie jako turyści i sportsmeni, odkryją przed nami cząstkę wielkiej prawdy świata i życia, że poprzez egzotyczność pejzażu i folkloru dojrzeć będzie można także egzotyczność nowych prądów i kształtów wykuwającego się życia.

Że te mody książkowe, to zainteresowanie czytelnika pewnym typem książki ma swe podłoże w chęci zrozumienia kształtującego się naokoło nas życia, dowodzą pewne fluktuacje tej mody. Teraz np. u nas trochę minęła moda na książki o sowieckiej Rosji. Temu kilka lat co druga książka była o Rosji. Potem przyszła fala na zaiteresowanie się Niemcami. Dziś, gdy węzły naszego europejskiego życia zdają się coraz wyraźniej tkwić jeszcze o wiele dalej, stanowczo przyszła silniejsza moda na zupełną egzotyczność.

Przyczyną z tą złączoną rozwoju rodzaju podróżniczego jest olbrzymi rozwój dziennikarstwa. Każdy dziennik potrzebuje korespondencji z zagranicy, korespondencyj mniej lub więcej egzotycznych. To z jednej strony zachęca do pisania podróżników, z drugiej pisarzom ułatwia podróżowanie, gdyż w odpowiednich redakcjach znajdują pomoc finansową. Przytem wbrew wszelkim hasłom autarchji, wbrew wszelkim utrudnieniom i ograniczeniom świat pokrywa się coraz gęściej siecią przeróżnych międzynarodowych organizacyj. Organizacje te są wszelkiego rodzaju: społeczne, naukowe, religijne, literackie, a przedewszystkiem sportowe. Te organizacje są i częstym powodem czy pretekstem podróży dla członków organizacji udających się na zjazdy, kongresy, zawody i t. p., są także i wielkiem ułatwieniem: podróżnicy znajdują w odpowiednich organizacjach pomoc i oparcie, nieraz

w miejscowościach najbardziej nieoczekiwanych. U nas w Polsce działa tu niewątpliwie i fakt naszej niepodległości: Polak ma oparcie w swoich poselstwach i konsulatach, nie jest już, jak tyle lat, jakimś pół-emigrantem, pół-zesłańcem: coś przedstawia, coś reprezentuje. Wskutek tego pewnego poczucia dumy i ambicji narodowych chce przykładać swoją cegiełkę do ogólnoludzkich wysiłków cywilizacyjnych, prac odkrywczych, wyczynów sportowych. I choć nie ma interesów handlowych (przynajmniej mało) tak jak państwa kolonjalne, ma na świecie interesy naukowe, sportowe i dziennikarskie.

Może zresztą to rzucanie się czytelników na każdą nową podróż ma i inne podłoże, niż zainteresowania polityczno-społeczne: może ma też swe źródło w pewnym przesycie powieściową fikcją, w pewnej potrzebie rzeczywistości, w pewnem znużeniu własną i książek komplikacją psychologiczną, w pewnej potrzebie odpoczynku od własnych zajęć, własnych kłopotów i własnego otoczenia. Czytelnik towarzyszący młodemu człowiekowi jadącemu poprzez ocean żaglówką, wspinającemu się na szczyty Atlasu, kołyszącemu się na grzbiecie wielbłąda na przestrzeniach Sahary, jest o wiele więcej oderwany od swej, nietyle szarej ile właśnie bardzo denerwującej i skomplikowanej, rzeczywistości, niż człowiek śledzący wewnętrzne załamiania powieściowego bohatera, jego rozmyślania społeczne, jego walkę o byt.

I myślę, że działa tu też w pewien sposób zawiła kwestja popytu i podaży. Gdy popyt na książkę, na lekturę, był znacznie mniejszy, mogły go zadowolić prawie w zupełności dzieła kilku czy kilkunastu wielkich talentów. Gdy człowiek czytał dwie książki na rok, miał w czem wybierać. Dziś, gdy potrzebuje książkę na dzień lub dwa dni, sprawa jest trudniejsza. Jakiś pan, któremu zarzucono blagowanie, odpowiedział: „skąd tyle prawdy nabrać". Dziś możnaby odpowiedzieć: skąd tyle fikcji nabrać, a właściwie skąd tyle talentów, tyle książek pierwszorzędnych nabrać. A książka jest potrzebna. W typie książki podróżniczej, tak ostatecznie rzadki dar twórczości, twórczości przez wielkie T., da się zastąpić skutecznie wieloma innemi, częstszemi darami: naprzód działa tu temat sam przez się (zupełnie przeciwnie niż np. w powieści), po drugie, aby taką książkę uczynić miłą i zajmującą wystarczy inteligencja piszącego, pewna kultura pisarska, pewne zalety stylu i języka, które, jak się okazuje, nie są tak rzadkie. Człowiek inteligentny, władający poprawnym językiem i stylem, umiejący patrzeć i rozumieć, napisze podróż zajmującą i do czytania ciekawą. Powieść natomiast człowieka o tych samych zaletach, może być bardzo łatwo zupełnie nieudana i do czytania wprost przykra. Tego dowody możnaby zacytować bardzo liczne z naszej beletrystyki. Jakżeż często dziwimy się, że człowiek tak oczywiście zdolny i inteligentny napisał tak marną powieść! Wiadomo, że epoki bardzo się interesujące poezją były epokami wielkich poe-

tów, epoki zajmujące się malarstwem wydawały wielkich malarzy. Trudno dociec co było skutkiem a co przyczyną. W każdym razie zachodził tu stosunek współzależności. Działało prawo popytu i podaży. W epoce popytu na książkę, na lekturę, zjawiła się ta cała olbrzymia wytwórczość książek, które może nie są w ścisłem tego znaczeniu wielką twórczością, ale które są dobrą, zajmującą i pociągającą lekturą; ludzkość powiedziawszy sobie „skąd tyle fikcji nabrać" sięgnęła do niewyczerpanych pokładów prawdy.

Jakkolwiek podróże interesują nas często już przez sam temat i mniej jesteśmy wymagający co do t. zw. ich wartości literackiej, zadawalając się pewną poprawnością formy — to jednak talent pisarski, talent przez wielkie T., nie szkodzi i tej dziedzinie. Nie wadzi nam, gdy autor jest nietylko bystrym obserwatorem, ale także myślicielem, gdy jest przedewszystkiem artystą i dzieło swe czy swój opis umie komponować wedle twardych a nieuchwytnych reguł prawdziwej sztuki. Takim właśnie pisarzem jest Arkady Fiedler. To też obie jego książki: *Ryby śpiewają w Ukajali* i *Zwierzęta z lasu dziewiczego* wybijają się na czoło całej naszej literatury podróżniczej, dystansując ją o całą długość, i zupełnie specjalne zajmują w niej miejsce. Fiedler jest podróżnikiem-przyrodnikiem. Jego tęsknota za dalekim światem, ciekawość egzotycznej fauny zagnała go w obszary południowej Brazylji, gdzie żył w lasach i puszczach, polując na ptaki i zwierzęta, zbierając owady, potem chwytając też żywcem różne ryjkonosy, jaszczurki i małpy. Tę część swoich podróży opisał w książce *„Bichos*, moi brazylijscy przyjaciele", która stanowi pierwszą część świeżo wydanych *Zwierząt z lasu dziewiczego*. Przywiózł też z tej wyprawy wiele cennych zbiorów. W parę lat później wyruszył Fiedler w północne dorzecze Amazonki, głównie nad rzekę Ukajali, w Peru, i tam znów polował, kolekcjonował, obserwował. Ta podróż dała też napewne masę cennego materjału naukowego, a oprócz niego dała drugą część jego książki o zwierzętach, a przedewszystkiem prześliczną poprostu książkę *Ryby śpiewają w Ukajali*. Trudno opisać przedziwny urok tej książki, trudno określić na czem on polega. Książka jest dziwnie prosta. Autor nie pozwala sobie na liryczne dygresje, na entuzjazm, prawie że na poetyczne opisy. Nie daje nam żadnych konstrukcji myślowych, politycznych czy społecznych, jak to czyni przeważna ilość podróżników, omawiając kwestję ludów kolorowych, czy kwestję polityki kolonjalnej. A jednak konstrukcja ta wychodzi z całej książki, tak samo jak wychodzi z niej najczystszy liryzm, najczystsza poezja i postać samego autora. Jak u wszystkich dobrych pisarzy dzieje się to jakby mimo ich woli. Autor nie opowiada siebie, a mówi o sobie wszystko; nie narzuca nam swych wzruszeń i wizji, ale zaraża nas niemi. Mamy wrażenie, że same w nas przy zetknięciu z książką powstają. Książka

pozornie epiczna, chłodna i daleka, wibruje życiem, wzruszeniem i subjektywizmem. Fiedler kreśli nam szereg kapitalnych ludzkich sylwetek, czy to będzie półdzika dziewczyna Dolores, czy konsul angielski w Iquitos, czy kapitan niemieckiego statku na wodach Ukajali. To tylko takie obrazki, ale te obrazki mówią nam o skomplikowanych zagadnieniach politycznych, kolonjalnych i rasowych więcej, niż długie rozprawy. Kreśli nam sylwetki zwierząt, opowiada o ich życiu i zwyczajach. Temi prostemi konstatacjami wchodzi w sam głąb tajemniczego bytowania tych wszystkich naszych sióstr-jaszczurek i mrówek, braci-tapirów i wężów. Z naszej literatury o zwierzętach są to może karty najbardziej wzruszające, a zdaje mi się i najbardziej prawdziwe. Opowiada nam poprostu i rzeczowo o puszczy południowo-amerykańskiej, o życiu potężnej Amazonki, o jej niezmiernych rozlewiskach, o tonących w wodzie przestrzeniach leśnych, o niesamowitem wspaniałem życiu tych niezgłębionych obszarów. Z tych prostych opisów układa się przed nami obraz puszczy tropikalnej niezwykle sugestywny, przepojony i życiem i poezją. Fiedler na oglądane zwierzęta i ludzi, pejzaże i kraje patrzy jakby z odcieniem lekkiej i dobrotliwej ironji, z jakimś dobrym uśmiechem człowieka, który wszystko rozumie, wszystko kocha, wszystkiemu wybacza i niczemu się nie dziwi, bo poprzez pozory i kształty świata patrzy ustawicznie w jego najistotniejszą zagadkę. Może jest to mądrość wszystko rozumiejącego człowieka, może wszystko podziwiającego artysty. Książki Fiedlera pełne głębokiej, melancholijnej zadumy, pełne zarazem umiłowania życia, zawsze rozświetlonym uśmiechem, czynią nam bliską nietylko puszczę wodną, podzwrotnikowe papugi i motyle, ale także autora. Zachwycają nas nietylko pejzaże i zwierzęta egzotyczne, ale także — a może przedewszystkiem — ten kształt artystyczny, który umiał widzianym i przeżytym rzeczom nadać pisarz. Trudno i ryzykownie jest stawiać horoskopy przyszłości nietylko ludziom ale i książkom, ale wydaje mi się, że z pośród mnóstwa książek podróżniczych, które z biegiem czasu zamienią się siłą rzeczy już tylko w dokument epoki (jakkolwiek dziś mogą być żywe i zajmujące) książki Fiedlera przetrwają, zdaje mi się, że z dziedziny literatury podróżniczej przejdą poprostu w dziedzinę literatury, bo dają to, co stanowi istotę książki-dzieła sztuki: kształt świata okiem artysty zorganizowany, duszę człowieka w artystyczny kształt zamkniętą.

Całkiem innym typem pisarza jest najpłodniejszy u nas pisarz-podróżnik Aleksander Janta-Połczyński. W ostatnich czasach wydał cztery książki: *Odkrycie Ameryki, Stolica srebnej magji, Ziemia jest okrągła* i *Made in Japan*. Połczyński jest typowym reporterem, reporterem na skalę europejską. Interesuje go w egzotycznych krajach nie to, co je od nas dzieli, ale to, co je z nami łączy. Połczyńskiego mniej interesują gejsze, więcej ja-

pońskie fabryki, mniej stara mądrość chińskich mandarynów, więcej plany polityczne zdobywców Mandżuka. O ile w książkach Fiedlera spotykamy poezję życia w dorzeczu Amazonki, sugestywny obraz jej puszcz, zadumę nad losem człowieka kolorowego, nad metodami życia człowieka białego — wszystko trochę z punktu filozoficznego i artystycznego oddalenia — o tyle w książkach Połczyńskiego spotykamy wartki prąd życia współczesnego, jego zawiłe wypadki, walkę ekonomiczną, intrygi polityczne. Każdy kraj, każdy człowiek widziany jest z tego punktu współczesnego życia, jako jego cząstka i komórka. Ta wielka i żywa aktualność książek Połczyńskiego może będzie kiedyś powodem ich szybkiego zwiędnięcia i zejścia jedynie do roli dokumentu epoki, dziś jest ich zaletą i decyduje o ich wielkim dla nas interesie. Na to, by kreślić obraz życia współczesnego, ma Połczyński jedną wielką i nieocenioną zaletę: wejdzie — ma się ochotę powiedzieć wlezie — wszędzie. Niema dla niego zamkniętych drzwi, niedostępnych osobistości, niema niemożliwości, niema niebezpieczeństw. Zwiedzanie muzeów i ruin nie przedstawia trudności, ale dostanie się na chiński front, do szefa sztabu, czy do obozu Chunchuzów, nie są to rzeczy proste. Ale Połczyński jest nieprawdopodobnie ciekawy, jest odważny, wytrwały, przedsiębiorczy i umie się pchać. To też był wszędzie, widział wszystko, rozmawiał z wszystkimi. Jak to robi, to ostatecznie jego tajemnica; o epopejach swych „wkręcań" wspomina czasami z humorem i nie bez chełpliwości, ale ostatecznie rozmawiał z Rooseveltem, był na święconem u króla prasy Hearsta, był w obozie Chunchuzów, na chińskim froncie, w sztabie japońskim, mówił z japońskimi ministrami, z cesarzem Mandżurji Pu Yi. Zwiedził tak niedostępne dla cudzoziemców fabryki japońskie, dostał się do zamkniętego dla wszystkich więzienia Sing-sing. Nie przepuścił nawet elektrycznemu krzesłu... Zapewne, ani Roosevelt nie zwierzył mu się ze swych projektów, ani żaden chiński generał nie odkrył mu planów wojennych, ani żaden minister japoński sekretów dyplomatycznych. Ale jednak to wszystko jest ciekawe. W każdym z nas ostatecznie pokutuje pewna dziecinna ciekawość, rada wiedzieć, jak była ubrana królowa, co jadł na obiad król, i z przyjemnością słuchamy, jak nam to wszystko opowiada świadek naoczny. To też z wielką przyjemnością czytamy historję posłuchania u Roosevelta i rozmowę z mandżurskim cesarzem. Bawi nas, że wchodzimy z nimi prawie w kontakt osobisty. Przytem z tych książek Połczyńskiego, które nie są ani poetyczne, ani opisowe, których literacką zaletą jest prostota i żywość stylu, stylu trzeba dodać o dużej kulturze, stylu rasowego pisarza, dowiadujemy się poprostu mnóstwa ciekawych i bardzo doniosłych rzeczy, mnóstwo faktów, dotąd nam nieznanych, lub mętnie tylko zasłyszanych. Pod tym względem najciekawszą książką Połczyńskiego jest *Ziemia jest okrągła.*

Książka ta, jak wiele zresztą książek wydawanych w „Roju", cierpi na fatalną stronę graficzną. Niema zwyczaju w tej firmie dawać na końcu książek spisu rozdziałów (czyżby taki spis był rzeczą aż tak uciążliwą i tak podrażającą koszta wydania?). Wskutek tego trudno jest orjentować się w materjale, zwłaszcza, że oszczędność papieru nie pozwala także jednej części od drugiej oddzielić czystą stroną z tytułem, a odstępy między rozdziałami są rozmaite, też nie pozwalające na zmarnowanie pół strony cennego materjału... Ten zamęt graficzny rzuca cień na przejrzystość samej książki, składającej się z reportaży, powiązanych jednak treścią w pewne całości. Nieuprzedzony czytelnik widzi, że nagle w środku kiążki, urywa się jej wątek, a rozpoczyna drugi; jest tem zdezorjentowany i tę konfuzję materji przypisuje autorowi. Zrobiwszy sobie rozkład książki na własną rękę, widzimy, że składa się z trzech zasadniczych części: z części o państwie Mandżuko, o Chinach i Sachalinie.

Dwie pierwsze części są najciekawsze, bo dotykają zagadnień doniosłych, mało naogół znanych a niezmiernie skomplikowanych. Widzimy naprzód jak powstaje nowe cesarstwo Mandżuko, a właściwie nowa Japonja. Widzimy tu cały celowy i rozumny wysiłek wielkiego japońskiego narodu, wyprowadzającego się ze swych trzęsących wysp. Widzimy i rozumiemy, że jest to nieodwołalna t. zw. konieczność życiowa, konieczność dziejowa. Widzimy dalej niepojęty zamęt i zamieszanie panujące w niebieskiem cesarstwie. Widzimy niezliczone grupy, partje, koterje, zwalczające się nawzajem. I patrząc w tę historję i jej komplikacje rozumiemy jedno, że nie rozumiemy ich nigdy, tak jak nie rozumiemy do głębi tej istoty tak nam bliskiej, a tak dalekiej: żółtego człowieka. Drobny przykład: autor wybiera się na front, na linję bojową. Informują go jak się ma wyekwipować, jak zabezpieczyć. Połczyński zapytuje, czy ma też zabrać maskę gazową. „Poco — odpowiada ze zdziwieniem jego żółty opiekun — tam niema żadnych gazów, przecież to nie wojna, tylko konflikt". Te subtelne rozróżnienia będą się zawsze wymykać naszym z gruba ciosanym umysłom! Ale jest jednak rzecz, którą Europejczycy rozumieją doskonale: w tym kotle, gdzie niema wojny tylko „konflikty", można jednak bardzo korzystnie sprzedawać wojenny materjał, a raczej wojenny szmelc. Roi się na dalekim wschodzie od Francuzów, Włochów, Holendrów, Portugalczyków a przedewszystkiem Niemców, którzy zajmują się tym lukratywnym handlem. Są kupcami i są wojennymi i politycznymi doradcami wszystkich grup i stronnictw. Przecież porozumienie się doprowadziłoby ich przedsiębiorstwa do ruiny...

Trzecia część o Sachalinie przedstawia mniej interesu polityczno-aktualnego, góruje tu strona opisowa i narodowa. Na Sachalinie wyszukuje autor Polaków. Żyją tu teraz dzieci i wnuki dawnych zesłańców. Są to już przeważnie zupełnie... japończycy.

Po polsku mówią źle, tylko stare wymierające pokolenie pielęgnuje jeszcze polską tradycję. Na Sachalinie a także w Japonji żyje jeszcze w pamięci wielu piękna postać Bronisława Piłsudskiego. Wszyscy wspominają go ze czcią i miłością. Na Sachalinie żyje jego wdowa, syn i córka. Z pudełek lakowych wyciągają tubylcy jego zżółkłe, z pietyzmem chowane fotografje. Połczyński daje jego sylwetkę i opowiada historję jego romantycznego małżeństwa z córką plemienia Ajnów. Część o Sachalinie jest mniej reportażowa, bardziej literacko komponowana. Jest ładna i wzruszająca. Drugą książką o dalekim wschodzie Połczyńskiego jest broszura *Made in Japan*. Jest to książka ściśle ekonomiczna, pełna cyfr, statystyk i zestawień. Niemożliwe sprawdzić wartość istotną tych informacyj, nie żebym podawała w wątpliwość wiarogodność informacji autora, lub posądzała go o blagę, (Połczyński jest fenomenem: reporterem, który n i e blaguje); lecz wiadomo: prawda jest rzeczą trudną i skomplikowaną i wiadomo także, że cyfry i statystyki są najbardziej giętkim, najbardziej ludzkiej woli podlegającym miernikiem wartości. Ale o ile te cyfry są prawdziwe, co stwierdzić mogą tylko specjaliści, to dają nam obraz istotnego żółtego niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa ekonomicznego. Ciekawe też szczegóły podaje Połczyński o kwestji robotniczej w Japonji, o robotniczych organizacjach, nastrojach, potrzebach.

Mniej i egzotycznego uroku i mniej żywotnego interesu przynosi *Odkrycie Ameryki*. Amerykański krajobraz, *couleur locale* New Yorku z jej kolorowemi dzielnicami i kolorowym problemem, potężny park narodowy, klasyczne opisy chicagoskich rzeźni i amerykańskiego gangsterstwa — to wszystko sprawy o wiele bardziej znane, i niewiele nowego dowiadujemy się o nich z książki Połczyńskiego. Mamy nawet wrażenie pewnego ślizgania się po wierzchu zawiłych społecznych i ekonomicznych zjawisk amerykańskich. Może jest to wina zbyt wyeksploatowanego przedmiotu, i może sam autor, czując to, trochę nas zbywał. W całej książce zajmuje nas właściwie tylko kilka ludzkich sylwetek: sylwetka Roosevelta na konferencji prasowej, sylwetka Teodora Dreisera, pijanego w sztok na bankiecie wydanym na jego cześć, sylwetka Aimée Semple, założycielki cudacznej sekty religijnej.

Ciekawszą, dla braku ogólników, jest *Stolica srebrnej magji* t. zn. Hollywood. Wielcy królowie filmu, wielkie gwiazdy ekranu to jedyni ludzie, do jakich nawet Połczyński nie mógł dotrzeć. Ich policja jest lepsza od policji strzegącej królów i prezydentów, bardziej są znudzeni sławą, bardziej strzegą swej tajemniczej *splendid isolation*. Ale i tak ciekawy reporter podpatrzył wiele rzeczy. Najciekawszy jest opis próby, a raczej sceny, nagrywanej do filmu. Widzimy jaki nakład pracy i nudy i piły i zmęczenia leży u dna codzień oglądanych scen „spontanicznego" wy-

buchu śmiechu, „przelotnego" uśmiechu... Choć głównych tuzów Hollywood Połczyński nie widział, oprócz wielkiego Charlie Chaplina, poznał i tak sporo ludzi. Główny jego entuzjazm wzbudził nie żaden aktor ani reżyser, lecz... Lindsey. Widzi w nim Połczyński prawie zbawcę ludzkości, zestawia go z Boyem, którego jak się przekonywujemy, program reform obyczajowych jest ideałem młodego reportera. To też wolimy, gdy się trzyma w zakresie zagadnień ekonomicznych i politycznych. — Obecnie przebywa Połczyński w Addis Abebie i wkrótce należy się spodziewać książki o Abisynji. Nie wątpię, że Połczyński jadł co drugi dzień śniadanie z Negusem.

Trochę inny charakter mają książki młodych podróżników-sportsmenów, chłopców, których w świat pędzą nie zainteresowania polityczne czy naukowe, lecz żyłka zdobywania świata na własną rękę. Wielu z nich, pomijając zdobycze komunikacji udoskonalonej, woli wracać do pierwotnych form podróżowania. Dzieje się to i naskutek sportowych zamiłowań i trochę naskutek ograniczonych środków finansowych.

Takim bardzo sympatycznym podróżnikiem „na własną rękę", pędzonym w świat czystą tęsknotą za przestrzenią, czystą ciekawością włóczęgi, sportowcem *sui generis* i z przymusu, jest Bronisław Krystyn Wierzejski, który opisał nam swoje *voyages* w książce p. t. *Forty na piasku.* Wierzejskiego zaprosił przyjaciel, Włoch, do swej posiadłości w Trypolisie. Młody Polak skorzystał z zaproszenia skwapliwie. Dostawszy się na afrykańską ziemię, chciał oczywiście zobaczyć jej jak najwięcej. Zwiedzanie przez Cooka jest kosztowne, trzeba było podróżować taniej własnym przemysłem. Bliższe okolice Trypolisu zwiedza więc Wierzejski na rowerze, dalsze na wojskowych samochodach ciężarowych. Jakiegoś włoskiego pułkownika zabawił zapał podróżniczy młodego chłopca, poklepał go po ramieniu i dał polecenie, aby wojskowe samochody brały go za darmo, i aby po cenach „kosztów własnych", mógł korzystać z wojskowych magazynów i wojskowej kuchni. Na tych więc samochodach, to ciężarowych, to pocztowych, objeżdża Wierzejski całą włoską Afrykę, dociera wgłąb pustyni. Jest mile widzianym gościem oficerów stacjonowanych w odległych fortach Sahary. Rozrywek jest tam mało, to też oficerowie chętnie grają w bridża z przybyszem, gadają z nim chętnie, uprzejmie oprowadzają go po swoich terytorjach, polują z nim i ułatwiają mu wycieczki na wielbłądach. Wierzejski ma więc sposobność przypatrzeć się życiu kolonjalnemu na codzień, w jego beznadziejnej nudzie i samotności, w jego trudach, w jego cywilizacyjnej pracy. Wierzejski jest chłopcem inteligentnym, umie patrzeć, rozumie co widzi, a co widział i zrozumiał, umie opowiedzieć w słowach prostych, miłych do czytania i plastycznych. Książka Wierzejskiego jest jedną z najlepiej i najinte-

ligentniej napisanych książek w tym rodzaju. Przenosi nas naprawdę w to tak egzotyczne życie fortów na piasku.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Notatki bibljograficzne.

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: Roczniki katolickie na rok Pański 1936. T. XIII. Poznań 1936. Str. XII+449. (Skład gł. u autora, Poznań. przy Kościółku P. Jezusa).

Roczniki katolickie stanowią cenne i jedyne u nas wydawnictwo, które perjodycznie informuje nas o ruchu katolickim w całym świecie, a tem samem staje się koniecznem dla duchowieństwa i wszystkich działaczy na terenie Akcji Kat., a pożytecznem i pouczającem dla ogółu. Tom obecny jest obszerniejszy, ponieważ obejmuje lata 1934 i 1935 i zawiera omówienie stosunków religijno-kościelnych w Meksyku, w Stanach Zjedn. A. Pn., Anglji, Belgji, Czechosłowacji, Francji, Hiszpanji, Jugosławji, Niemczech, Rosji i Polsce, co do której podaje całokształt ruchu religijnego i sekciarskiego. Nadto mamy rozdział o masonerji i o misjach katolickich, przyczem szczegółowiej mowa jest o Abisynji. W zakończeniu zastajemy dodatek o ruchu naukowym w zakonach św. Franciszka i spory dział recenzyjny nowych wydawnictw.

Popularne wydawnictwa religijne Wydawnictwa Księży Pallotynów, Warszawa 1936.

Z pośród mniejszych publikacyj tego znanego Wydawnictwa wspomnieć możemy broszurę *Sam na sam z Bogiem* (str. 27 in 16^0; 30 gr.), w której Elżbieta Łubieńska podaje garść rozważań, lub raczej materjałów do nich, pociągających ku Bogu i przeplatanych licznemi, dostosowanemi do treści cytatami z Pisma św. — *Nabożeństwo do św. Antoniego* (str. 66 in 16^0; 30 gr.) to zbiór modlitw do św. Antoniego, zawierający m. i. nabożeństwo 13 wtorków i nowennę. — Niewielka rozprawka *Kiedy mówić, kiedy milczeć?* (str. 67; 60 gr.) opracowana przez ks. A. Majewskego P. S. M. na podstawie niem. broszurki ks. J. Lukasa, stara się dać odpowiedź na powyższe pytania, w sposób popularny i zapomocą przykładów; rzecz wskazana zwłaszcza dla dorosłych. — Miłą książeczkę, głównie da młodzieży napisał Antoni Radecki p. t. *Dzieje żydowskiego dziewczątka* (str. 63 z ilustr.; 50 gr.). Mała Leńka wychowana w dobrobycie, dowiaduje się od służby i koleżanek o P. Jezusie, zaczyna uczęszczać do kościoła i wreszcie, mimo trudności ze strony rodziców, przyjmuje chrzest. — Wreszcie dwa utwory sceniczne. Jeden z nich aktualny ze względu na obchodzony w tym roku jubileusz 400-ej rocznicy urodzin wielkiego ks. Piotra Skargi, to *Prorok narodowy*, dramatyczne przedstawienie jego przepowiedni o upadku i powstaniu Polski, w trzech aktach, napisane przez S. Marję Alicję;

rzecz nadaje się do obchodów narodowych i skargowskich (str. 47; 80 gr.). Drugi utwór to sztuczka misyjna w 2 odsłonach, *Krzyż Indjanina*, napisany przez Józefa Sikorskiego (str. 41; 60 gr.); jest to historja nawrócenia plemienia Indjan przez misjonarza, który gotów jest życie położyć dla ich zbawienia.

Ks. Dr Stefan Grelewski: Kościół Narodowy w Polsce, jego zasady, organizacja i rozwój. Wyd. 2 rozszerzone. Sandomierz 1936. Diec. zakład Graf. Drukarski. Str. 36.

Z pośród sekt, jakie w okresie wojny światowej rozwinęły propagandę w Polsce, najłatwiejszy przystęp do ludności wiejskiej miał „Kościół narodowy", gdyż starał się zacierać nazewnątrz różnice dogmatyczne między nim a Kościołem katolickim, a jako jedyną przyczynę oderwania się wskazywał na potrzebę polskiej, niezależnej od Rzymu organizacji religijnej. Znajomość tej sekty, jej organizacji i pracujących w niej ludzi jest niezmiermie ważna do walki z nią, wielką przysługę oddał więc sprawie autor, wydając obecnie po raz drugi i z uzupełnieniem swą broszurę na ten temat.

Dr Adolphus Tymczak, Doc. Univ. Leopol.: Quaestiones disputatae de Ordine. Historico-dogmatica disquisitio. Premisliae 1936. Str. 397.

Czy święcenia niższe mają charakter sakramentalny? — W sprawie tej zdania teologów są podzielone, a choć zdanie przeczące uchodzi za bardziej prawdopodobne i naogół przyjęte, to jednak nie brak poważnych teologów, z których jedni trzymają się opinji przeciwnej, drudzy zaś szukają wyjścia pośredniego. Wyświetleniu tego zagadnienia poświęca autor, znany już z innych prac, niniejszą rozprawę i w tym celu przechodzi w pierwszej części ewolucję doktryny o sakramentalności święceń niższych w świetle źródeł historycznych, w drugiej zaś poddaje analizie racje, wysuwane przez obie strony przeciwne. Nie zamierza oczywiście rozstrzygać zagadnienia, ale sądzi, że osiągnie już dużo, jeśli wykaże, że zdanie twierdzące bynajmniej nie zostało porzucone i jeśli uda mu się przedłożyć jakieś nowe materjały i ich tłumaczenia. Równocześnie z powyższą omawia autor jeszcze dwie inne kwestje: o materji sakramentu kapłaństwa i o władzy Kościoła nad istotą sakramentów. (Książka do nabycia u autora: Przemyśl, Seminarjum Duch. obrz. Łać.)

Friedrich Muckerman T. J.: Heiliger Frühling. Münster 1935, Regensbergsche Buchhandlung. Str. VI+275.

Ze zdumieniem czytamy w przedmowie o „największem od-odkryciu, jakiego dokonał człowiek, stojący u szczytu wieku techniki" — odkryciu istnienia szatana. Tak jest, powiada wydawca — powołując się na jednego z ostatnich odkrywców, zna-

nego pisarza z zakresu nauk socjalnych, Wernera Sombart'a — jest to znakiem czasów, jakie przeżywamy, że szatan przestaje być legendą i postacią sceniczną, że ludzie odczuwają rzeczywistość jego istnienia, kiedy patrzą na to, co się dzieje na świecie. Jest to zaś objawem dodatnim, kiedy przestępca słyszy głos „szatana", bo widocznie ma jeszcze sumienie, można więc mówić do niego, można liczyć na opamiętanie się, na poprawę, powrót do światła — na ową „świętą wiosnę", o jakiej mówi autor książki, znany w Niemczech konferencjonista i świetny stylista, ks. Muckerman. W szeregu krótkich, głęboko treściwych i tchnących siłą opowiadań, porusza on różne zagadnienia życiowe, wiążąc je z aktualnemi wydarzeniami z lat ostatnich, pokazuje, gdzie tkwi w nich dzieło szatana, a skąd nadejść może świeże tchnienie wiosny. Rzecz tylko dla osób inteligentnych.

Janusz Stępowski: Na morskich szańcach Rzplitej. Kronika historyczna 1635 roku, w 6 odsłonach. Warszawa 1935, Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Str. 143.
Janusz Stępowski: Gdynia. Deklamacje, śpiewy, tańce i pieśni kaszubskie. Tamże, str. 64.

Jak żywo rozwija się u nas propaganda „Morza polskiego", świadczy m. i. ukazanie się powyższych utworów scenicznych, których zadaniem jest popularyzacja tą również drogą zagadnień morskich i budzenie zainteresowania się niemi wśród najszerszych sfer, a zwłaszcza młodzieży. Pierwszy z nich *Na morskich szańcach Rzplitej*, to utwór sceniczny znanego poety-marynisty, Janusza Stępowskiego, który wskrzesza tu wizję zapowiadającej się świetnie potęgi Polski na morzu za panowania Władysława IV, udaremnionej niestety z powodu niedoceniania tej sprawy przez ówczesne społeczeństwo. Druga książka *Gdynia*, to zbiór materjałów do urządzenia akademji lub wieczornicy morskiej, przeznaczony dla szkolnych i amatorskich zespołów teatralnych. Na czoło wysuwają się znowu wiersze J. Stępowskiego, w których jak w obrazie przesuwa się historja Gdyni, od biednej wioski rybackiej do dzisiejszego wspaniałego portu. Wiersze te — a poza niemi także dwa inne utwory kaszubskie — zostały podane w inscenizacji Wandy Tatarkiewicz-Małkowskiej i z ilustracją muzyczną Władysława Macury. Obie te książki wydane są bardzo starannie i w pięknej szacie graficznej, a *Gdynia* ozdobiona jest nadto wielokolorową akwarelą art. malarza Bol. Surałło.

Leonard Turkowski: Żegnajcie druhowie-rekruci! Bibljoteka wieczornicowa nr. 46. Poznań 1936, „Ostoja". Str. 96 (1.80 zł.).

Ponieważ rok rocznie tysiące młodzieży męskiej idą na służbę wojskową, tomik niniejszy będzie z pewnością przyjęty jak najlepiej przez młodzież. Zawiera on bowiem materjał do wieczornicy pożegnalnej i to starannie dobrany, mianowicie: dobry

wykład o wojsku polskiem, miłą pogadankę o życiu wojskowem, kilka deklamacyj okolicznościowych, interesujące obrazki sceniczne, kilka humorystycznych urozmaiceń i kilka mów pożegnalnych. Niektóre z tych rzeczy mogą się przydać także do innych wieczornic.

Józef Nałęcz: Prawda zwycięża! Sztuka w 3 aktach. Poznań 1936. „Ostoja". Str. 32 (0.80.).

Jest to sztuka dla teatrów młodzieży męskiej, osnuta na tle prześladowania wiary w Meksyku. Zawiera kilka scen pełnych napięcia, przenoszących widza w środowisko bohaterów meksykańskich.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Nakładem różnych:

Pola Gojawiczyńska: Rozmowy z milczeniem. Warszawa, Gebethner i Wolf. Str. 172 z ilustr.

Ks. Antoni Zawistowski: Boska nauka Jezusa Chrystusa. Lublin 1936. Str. 140.

Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata. Zbiorowy zarys monograficzny. Z niemieckiego przełożył Józef Birkenmajer. Tom I i II. Kraków 1935, Wyd. Ks. Jezuitów. Str. 326+237.

Juljusz Stefan Petry: Lwie serca (Warwas). Widowisko heroi-komedjowe w 4 częściach. Lwów 1936. Wyd. „Reduta - Tydzień Polski". Str. 89.

Franciszek Herczeg: Poganie. Powieść. Z węgierskiego przełożył Stanisław Pazurkiewicz. Warszawa 1936, Bibljoteka Węgierska. Str. 282.

Życie sztuki pod redakcją Z. L. Zalewskiego. Rocznik drugi. Warszawa 1935, skład gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. VI+375.

Henryk Życzyński: A. Mickiewicz. I. Młodość. Lublin 1936, T-stwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lub. Str. 169.

Konstanty Troczyński: Elementy form literackich. Poznań 1936, Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka. Str. 72.

Fr. I. M. Bocheński O. P: De cognitione existentiae Dei per viam causalitatis, relate ad fidem catholicam. Poznań 1936, Studia Gnesnensia XIV. Str. XVI+244.

Prace historyczno-literackie. Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego. Kraków 1936 (skład gł.: Warszawa, Kasa im. Mianowskiego). Str. 646.

Adrjan Divéky: Dziejowe wskazania polskiej i węgierskiej racji stanu. (Odbitka). Warszawa. Str. 35.

Marja Friedrich-Brzozowska: Zawiłe drogi. Szkice z życia. Warszawa 1936, Wydawnictwo Ks. Pallotynów. Str. 463.

F. Antoni Ossendowski: Puszcze polskie. (Cuda Polski). Poznań, Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Str. 240 z licznemi ilustracjami.

Tomasz Janowicz: Czesi. Studjum historyczno-polityczne. Kraków 1936. Str. 158.

Apostoł młodzieży, ks. Edward Szwejnic. Wydał Związek Senjorów S. K. M. A. „Iuventus Christiana". Poznań, Księgarnia św. Wojciecha. Str. 215 z ilustr.

Kalista. Powieść historyczna z III-go wieku. Według W. O. Newmana opracowała Wanda Grochowska. Wyd. 2. Warszawa 1936; Wydawn. Ks. Pallotynów. Str. 218.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Głos Prymasa o katolickie zasady moralne. — Jubileusz korporacji publicystów chrześcijańskich we Francji.

Ze stolicy prymasowskiej w Poznaniu idą od czasu do czasu w naród orędzia, które doniosłością tematów i siłą akcentów zdolne są poruszyć do głębi duszę społeczeństwa. Takim był list pasterski J. E. Kardynała-Prymasa „O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem", takim list „O chrześcijańskie zasady życia państwowego" (oba ogłoszone były w r. 1932). Obok tych dwóch listów należy postawić tegoroczne orędzie postne Ks. Kardynała Hlonda, zatytułowane: „O katolickie zasady moralne". Urzędowo zwrócone jest ono tylko do wiernych obu wielkopolskich archidiecezyj, jednak zarówno treść jego, jak i Dostojna osoba Autora i stanowisko w Kościele polskim zniewalają wszystkich katolików Polski do posłuchu temu orędziu i przyjęcia go z głęboką wdzięcznością.

Społeczeństwa współczesne, w ich liczbie i nasze, stoją na jakiemś moralnem rozdrożu. Wiele się mówi o etyce, nawet o potrzebie posłuchu dla etyki chrześcijańskiej, obmyśla się sposoby uzdrowienia, to znowu reformy obyczajów, zakłada się nawet ligi wychowania etycznego, przy tem wszystkiem istnieje jakby jakaś cicha zmowa przeciwko etyce, głoszonej przez Kościół katolicki, jakby ją uważano już za przestarzałą, za wysłużoną emerytkę, niezdolną do zorjentowania się w nowych problemach życia, krępującą uprawnione porywy ludzkiego ducha. I oglądają się ludzie za nowem jakiemś światłem, za nowym jakimś systemem, któryby zadowolił aspiracje życiowe nowoczesnego człowieka. Jednym wystarcza do tego „poczucie honoru", poczucie godności naturalnej człowieka. Inni za kanon najwyższy postępowania postawią „egoizm" jakiejś grupy, narodu, rasy, proletarjatu.

Jeszcze inni przypuszczają, że dostatecznym regulatorem życia będzie wykształcony zmysł estetyczny, poczucie piękna czynów. Ostatecznie ci, co domagają się etyki świeckiej zamiast tradycyjnej katolickiej, nie są zdolni porozumieć się między sobą co do tego, jak ta etyka świecka ma wyglądać, na jakich podstawach się opierać. Etyką świecką jest etyka krańcowego nacjonalizmu, etyką świecką jest hitlerowska etyka rasy i krwi, świecką jest etyka bolszewicka — a jakże niepodobne są one jedna do drugiej!

W tym rozgardjaszu systemów etycznych jakże potrzeba jasnego wykładu etyki katolickiej, nie w znaczeniu tylko skatalogowania codziennych powszednich obowiązków chrześcijanina i popełnionych przezeń grzechów, ale wskazania jej podstaw, jej metafizycznej podbudowy, rozpatrzenia w jej świetle tych przeróżnych zagadnień, jakie rozwój życiowy przed sumieniem człowieka stawia. Przy głębszem wniknięciu w zasady etyki katolickiej rozprasza się niejedno nieporozumienie, upada niejeden zarzut; z drugiej strony poznaje się, że niejedno hasło, uchodzące popularnie za wskazanie katolickie, w rzeczywistości jest wprost sprzeczne z duchem katolicyzmu.

Takie zadanie postawił przed sobą Dostojny Autor tegorocznego orędzia „O katolickie zasady moralne". W części pierwszej swego orędzia wskazał, że etyka katolicka nie jest etyką dowolności, ale na naturze człowieka się opiera, że nie jest etyką dla jednego jakiegoś tej natury składnika, ale całego żywego człowieka obejmuje, że nie jest etyką bierności i niedołęstwa, ale wezwaniem do twórczego wysiłku i źródłem potrzebnej do niego siły. Iluż nieporozumień i zarzutów bezpodstawnych uniknęliby ludzie, gdyby te zasady etyki katolickiej poznać i zrozumieć chcieli! W części trzeciej Ks. Kardynał wykazuje jak niedostatecznemi są inne głoszone dzisiaj systemy etyczne, etyka honoru, etyka rasy, etyka materjalizmu bolszewickiego. Zwłaszcza ta ostatnia, jak ona kaleczy naturę człowieka, jak poniża jego godność, zamieniając go na jakiegoś „bezdusznego robota" w świecie techniki. Ks. Kardynał energicznie wzywa do przeciwstawienia się temu niebezpieczeństwu. „Z walk duchowych wieku dwudziestego — czytamy w tej części orędzia — wyróść powinien nowy człowiek, z człowieczeństwem nieskaleczonem, z człowieczeństwem uporządkowanem, człowiek pełny, wolny, z inicjatywą, z obowiązkami i prawami, złączony ze swym Stwórcą i ze stworzonym światem, złączony ze swoim Odkupicielem i jego prawem, złączony z duchem Świętym i jego łaską... prawdziwy władca świata, pan siebie samego, a sługa boży". Jakże stare są te prawdy katolickiej etyki, a jak nowocześnie przez Autora orędzia wypowiedziane!

Środkowa część orędzia pomaga do zrobienia pokutnego rachunku sumienia w świetle wyłożonych zasad etyki katolickiej. Najczęstsze grzechy naszego społeczeństwa są zgrupowane około czterech punktów: zbyt mała odporność na wpływy bezbożnictwa, owszem flirtowanie z niem; uczucia sprzeciwiające się pojętej po katolicku miłości bliźniego; niesumienność w sprawach i interesach materjalnych; rozluźnienie obyczajności i osłabianie wstydliwości. Mówiąc o miłości bliźniego, Dostojny Autor dotknął uczuć nienawiści narodowych, w szczególności także antysemityzmu. Z przestrogą przed wpływami żydowskiemi — połączył także potępienie wzywania do gwałtów. W imię miłości bliźniego wzywa także do energicznej akcji przeciwko bezrobociu, do walki z bezdomnością i nędzą.

Streściliśmy tylko szkicowo orędzie prymasowskie, by podkreślić jego wagę. Szczegółowe omawianie jego nie byłoby tu na miejscu. List ten trzeba czytać w oryginale i całkowitej osnowie — i innym do czytania dawać. Notatkę niniejszą chcemy zakończyć wyrażeniem pewnego żalu do dzienników polskich. Niektóre z nich — i to z pod różnych znaków politycznych — w orędziu pasterskiem szukały nie tego przedewszystkiem, co mogłoby się odnosić do ich sumień, ale tego, co mierzyło w ich politycznych przeciwników. Stąd orędzie porozrywano na strzępy, i temi strzępami ciskano na sąsiedzkie podwórka. Trochę to niewłaściwy użytek z tak poważnego dokumentu. I to wtedy, kiedy każdy z nas z łatwością znajdzie w samym sobie coś, co domaga się pokornego *mea culpa.*

Pięćdziesięciolecie swego istnienia obchodziła w Paryżu w połowie marca r. b. Korporacja publicystów katolickich. Z tej okazji O. Ives de la Brière podaje w *Etudes* trochę szczegółów z jej historji i zasług.

Pisarze francuscy o przekonaniach katolickich zawiązali w r. 1886 swe zrzeszenie nietyle z myślą wyodrębnienia się od innych kolegów po fachu, jak raczej w celu urzeczywistnienia we własnych szeregach hasła korporacyjności, propagowanego już wówczas przez katolicyzm społeczny pod wodzą La Tour du Pin'a i Alberta de Mun. Ich uczeń i przyjaciel, hr. Wiktor Marolles, zgromadził wtedy około siebie pierwsze grono kierowników opinji katolickiej, zarówno dziennikarzy, jak literatów i uczonych. Zrzeszenie przybrało odrazu charakter związku zawodowego, ale ideologja, jaka członków łączyła, nadała mu znamię wyraźnie religijne, można rzec, zbliżające je poniekąd do bractwa religijnego. Członkowie Korporacji raz na miesiąc brali udział w nabożeństwie wspólnem, raz do roku wybierali się gre-

mialnie do bazyliki na Montmartre, by w wotach Sercu Jezusowemu składanych zaczerpnąć sił i zapału do służenia sprawie Bożej w swym zawodzie. Raz na miesiąc także urządzali wspólny obiad, przy którym mogli w niewymuszonej wymianie zdań ustalać wytyczne dla swej publicystycznej działalności.

Tak trwało lat osiemnaście, dopóki w r. 1904 nie przeprowadzono gruntownej reorganizacji Korporacji. W tym to roku — w czasie ostrej walki republiki z Kościołem — uznano za potrzebne dokonać pewnego zróżnicowania w szeregach znacznej już liczby członków Korporacji w celu wydatniejszego wyzyskania ich sił, tudzież możliwości, jakie stwarzały ustawy państwowe o stowarzyszeniach. Korporacja pozostała Korporacją, jako bratnie zrzeszenie ludzi pióra, mających te same ideały religijne i moralne, członkowie jej atoli podzielili się na dwa syndykaty, legalnie zarejestrowane, o różnych bliższych celach, mianowicie na „Związek dziennikarzy francuskich" i „Związek pisarzy francuskich". Chodziło przedewszystkiem o wyodrębnienie katolickich dziennikarzy zawodowych, w jedno ciało mogące korzystać z prerogatyw, jakie zrzeszeniom tego zawodu przyznawało prawo. Podkreślono zatem więcej cele praktyczne zrzeszenia. Członkowie Związku korzystają naprz. ze zniżek kolejowych, Związek ma prawo do wydawania opinji o projektach ustawodawczych dotyczących prasy, i t. p. Związek nadto postarał się o zorganizowanie dla swoich członków porady i obrony prawnej (11 adwokatów) tudzież opieki lekarskiej (7 lekarzy), wreszcie pomocy materjalnej i emerytur. Do „Związku dziennikarzy" należą jedynie pracujący w prasie codziennej, podczas gdy współpracownicy tygodników, miesięczników i pracujący na terenie czysto naukowym należą do „Związku pisarzy", który nie posiada tych wszystkich przywilejów, jakiemi się cieszy związek pierwszy. Cała tak zróżniczkowana Korporacja liczyła na początku tego roku 540 członków, z których 365 należało tylko do Związku dziennikarzy, 153 tylko do Związku pisarzy, wreszcie 22 do obydwu związków. Syndykat dziennikarzy liczył w ten sposób 387 członków, a syndykat prasy 175.

Korporacja, której przez ćwierć wieku przewodniczył jej założyciel, hr. de Marolles, następnego prezesa miała w osobie znakomitego powieściopisarza René Bazin'a, a obecnie stoi na jej czele wybitny uczony historyk, członek Akademji francuskiej Georges Goyau. Doradcą duchownym i jakby kapelanem Korporacji jest kaznodzieja O. Janvier, dominikanin. Kierowana przez wybitnych ludzi, Korporacja położyła dla Francii i Kościoła niemałe zasługi. Podczas wojny wypracowała (właściwie opracował jej prezes

ówczesny René Bazin) instrukcję, która miała nadawać kierunek całej katolickiej publicystyce. Poruszone są w niej zagadnienia kościelno-polityczne, społeczne, wychowawcze, literackie i artystyczne. Program ten uzyskał aprobatę papieża Benedykta XV. Niejeden z postulatów tam nakreślonych i przez prasę katolicką zgodnie potem omawianych i bronionych stał się już rzeczywistością. Do takich np. należy nawiązanie stosunków dyplomatycznych między republiką a Stolicą św. i statut legalny Kościoła w ramach ustawy o rozdziale Kościoła i państwa. Inne jeszcze wciąż stanowią przedmiot rewindykacyj katolickich. Po wojnie Korporacja starała się o nawiązanie bliższego kontaktu z katolicką publicystyką zagraniczną, przyjmując u siebie gości, wysyłając swoich członków z odczytami zagranicę.

Te krótkie wiadomości o Korporacji publicystów katolickich francuskich uważaliśmy za rzecz pożyteczną podać u nas wobec usiłowań zorganizowania pisarzy na naszym gruncie. Od lat już czterech czynione są wysiłki w tym kierunku, a dotąd sprawa niezupełnie wyrosła ze stadjum organizacyjnego. Może doświadczenia obce mogłyby posłużyć i nam, jako wzór i zachęta. U nas trudnością niemałą do zrzeszenia pisarzy katolickich zdaje się być ta paradoksalna okoliczność, że pisarzy katolickich mamy zbyt wielu i równocześnie zbyt mało. Przed kilku laty lansowano usilnie potrzebę założenia „dziennika katolickiego". Oczywiście musiano suponować, że dziennika takiego dotąd nie było. Lecz o dziwo! Na zjazd prasy katolickiej w Warszawie stawili się przedstawiciele kilkunastu dzienników katolickich! „Katolickiemi" uznały się i takie, po których tego najmniej się spodziewano. Ale czy dałoby się tych wszystkich dziennikarzy zrzeszyć w jednej organizacji o marce wyraźnie katolickiej? Okazałaby się natychmiast rozbieżność między nimi w pojmowaniu samego katolicyzmu, w oznaczeniu granic, gdzie się katolicyzm zaczyna i gdzie się kończy. To też na zjeździe prasowym tegorocznym w Warszawie, w marcu, przewodniczący mu Ks. Biskup Adamski postawił już rozróżnienie między publicystyką katolicką a publicystyką tylko sympatyzującą z postulatami katolickiemi i udzielającą im niekiedy poparcia. Otóż, jeśli chodzi o stworzenie zwartej organizacji publicystyki katolickiej, tylko ci mogą być brani w rachubę, którzy ideologji katolickiej nie przykrawają do swoich politycznych lub ekonomicznych programów, biorąc z niej jedynie to, co im odpowiada, ale przyjmują ją całkowicie dla jej wewnętrznej prawdy, spodziewając się po niej najlepszego rozwiązania wszystkich piekących problemów życiowych. W zrzeszeniu publicystów katolickich można

skupić z pożytkiem jedynie ludzi, do głębi przejętych katolicką prawdą i żyjących katolicką religją. A takich znaleźć większy zastęp jest u nas nieco trudniej.

Ks. J. Urban T. J.

Zjednoczenie Polskich Inżynierów Katolików.

Jest objawem niezwykle dodatnim, że wśród polskiej inteligencji rośnie uświadomienie katolickie i odczucie potrzeby uzgodnienia życia, nietylko prywatnego ale także publicznego i zawodowego, z wyznawanemi przez siebie zasadami. Prąd ten, który w ostatnich latach tak silnie zaznaczył się u młodzieży wyższych uczelni, ogarnia też stopniowo dzielniejsze jednostki, stojące już na odpowiedzialnych stanowiskach i jakie skupiały się dotychczas w nielicznych stowarzyszeniach religijnych, a zwłaszcza w Sodalicjach Marjańskich, z jakich wyszła pokaźna liczba dzisiejszych działaczy i kierowników Akcji Katolickiej. Obok założonego z początkiem 1934 r. „Zjednoczenia Polskich Lekarzy Katolików“ [1]) powstała świeżo nowa i rokująca najlepsze nadzieje organizacja „Zjednoczenia Polskich Inżynierów Katolików“, nawiązująca do istniejących już od dłuższego czasu i doskonale się rozwijających podobnych instytucyj *L'Union d'Ingénieurs Catholiques de France* i *L'Association des Patrons et d'Ingénieurs Catholiques de Belgique.*

Jakie jest zadanie Zjednoczenia P. I. K., mówi dostatecznie jasno § 6 statutu: „Celem Z. P. I. K. jest szerzenie światopoglądu katolickiego i zasad katolickich, ich obrona i wprowadzenie w życie w zakresie pracy zawodowej inżyniera“. Naprzód więc uświadomienie własne, dokonywane głównie przez referaty i dyskusje na zebraniach członków, a następnie staranie o szerzenie znajomości zdrowych wskazań i wcielenie ich w czyn. Że zadanie to nie jest łatwe w dzisiejszych stosunkach, wobec nieposzanowania zasad chrześcijańskich ze strony jednych, a wrogiej agitacji przeciw Kościołowi wśród drugich, jest rzeczą zrozumiałą i dlatego zgóry należy być przygotowanym, że praca członków Zjednoczenia będzie musiała być wytrwałą i energiczną, jeżeli mamy oglądać jej owoce.

Założenie organizacji poprzedziły dłuższe staranne przygotowania. Statut Zjednoczenia P. I. K., opracowany przez członków założycieli, został zatwierdzony przez Komisarjat Rządu st. m. Warszawy dnia 24 lipca 1935 r., poczem w październiku odbyły się zebrania informacyjne, a dnia 3 listopada I Walne Zgroma-

[1]) Por. *Przegląd Powszechny* z czerwca 1934 r., str. 385 i lipca-sierpnia 1935 r., str. 264 (sprawozdanie z rocznej działalności).

dzenie Koła Wárszawskiego, poprzedzone nabożeństwem w kościele św. Anny. Zebranie to uchwaliło przygotowane poprzednio regulaminy i wybrało pełny Zarząd Koła, z inż. Romanem Brelewskim jako Przewodniczącym.

Rozwój nowej placówki zapowiada się pomyślnie. Zaledwie cztery miesiące upłynęły od chwili jej otwarcia, a już liczba członków Warszawskiego Koła wzrosła z 47 do 57, w tem: inż. mechaników — 21, architektów — 7, elektryków — 7, inż. komunikacji — 7, budowniczych — 5, rolników — 4, górników — 2, chemik — 1, geodetta — 1. Nadto zawiązało się Koło Zjednoczenia P. I. K. w Katowicach (z końcem lutego b. r. 15 członków), a w przygotowaniu są dalsze Koła w Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Lwowie i t. d. Warszawskie Koło prowadzi już systematyczną pracę, odbyło szereg zebrań z referatami, posiada kilka wydziałów i trzy sekcje.

Nie potrzeba dodawać, że nowa organizacja spotkała się z najprzychylniejszem przyjęciem i poparciem ze strony Episkopatu polskiego i została włączona do Akcji Kat. jako Stowarzyszenie Pomocnicze. Teraz pozostaje tylko życzyć jej, by zdołała objąć jak największą liczbę członków, mogła zdobyć się zczasem na własny organ i rozwinąć pracę, która, dobrze prowadzona, może niemało przyczynić się do wprowadzenia w świecie pracy zasad sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej, a tem samem do rozwiązania kwestji socjalnej. Będzie to wówczas zarazem prawdziwie praca — dla Kościoła i państwa!

W.

Perjodyki w ZSSR.

Od kilku lat przedsiębiorstwo sowieckie *Mieżdunarodnaja Kniga* w Moskwie ogłasza katalog wszystkich perjodycznych publikacyj, jakie ukazują się na całem terytorjum Związku Sowieckiego. Katalog ten jest przeznaczony dla zagranicy. Drukuje się podwójnym alfabetem: grażdanką i łacinką — ta ostatnia oddaje rosyjskie wyrazy w transkrypcji częściowo niemieckiej, częściowo angielskiej. Przy każdym perjodyku zaznaczona jest częstość jego ukazywania się i wysokość abonamentu w dolarach amer.

Mamy pod ręką katalogi z lat 1935 i 1936. Z nich dowiadujemy się, że w ZSSR dzienniki i czasopisma wydawane są, oprócz języka rosyjskiego, jeszcze w 29 innych językach. Są to języki zarówno krajów pozarosyjskich (angielski, francuski, niemiecki, polski, włoski, łotewski i t. d.), jak i języki różnych narodowości i plemion, z jakich składa się ZSSR (gruziński, ormiański, kirgiski, kazacki, tadżycki, czuwaski i t. d.). Najwięcej, rozumie się, ukazuje się perjodyków w języku rozyjskim. Katalogi za ostatnie dwa lata podają cyfrę ich:

	Rosyjskie	w innych językach	razem
r. 1935	666	311	977
r. 1936	683	292	975

Z cyfr powyższych okazuje się, że ogólna liczba perjodyków wydawanych w Rosji, wziąwszy pod uwagę cyfrę ludności ZSSR i wielość języków, jest stosunkowo mała. Polska, przy ludności pięć razy mniejszej, a większej koncentracji językowej, posiada perjodyków dwa razy więcej, niż ZSSR, bo około 2000. Następnie okazuje się, że czasopiśmiennictwo w Rosji bolszewickiej osiągnęło już swój zenit rozwoju i dalej nie postępuje, a nawet się cofa. Wprawdzie wykaz perjodyków w języku rosyjskim podaje ich o 17 więcej w roku bieżącym, niż w ubiegłym, ale są to cyfry nieścisłe, bo przy 40 tytułach pism w katalogu tegorocznym znajdujemy uwagę: „nie wychodzi". Zatem ilość wychodzących czasopism zmniejszyła się przeszło o 20. Co się tyczy perjodyków, wydawanych w językach innych, tych wykaz z roku bieżącego podaje o 19 mniej, niż w r. ubiegłym, z czego narzuca się wniosek, że budzenie świadomości narodowej u różnych plemion, którem tak chełpiono się, uległo zahamowaniu. Charakterystycznem jest, że pismo, poświęcone specjalnie zagadnieniu „oświecania narodowości" (*Proświeszczenje nacjonalnostiej*) w tym roku przestało wychodzić.

Po języku rosyjskim największą ilość publikacyj perjodycznych posiada język ukraiński, bo 76 wobec 216 w 28 innych językach. Białoruskie publikacje zamykają się w skromnej liczbie 17. Co się tyczy perjodyków polskich, to w roku 1935 było ich 8, w roku bieżącym już tylko 5. Są to następujące publikacje: *Bądź gotów* (Kijów), *Kultura mas* (Moskwa), *Orka* (Mińsk), *Sierp* (Kijów) i *Trybuna Radziecka* (Moskwa). *Orka, Sierp* i *Trybuna* są gazetami wychodzącemi co drugi dzień, *Bądź gotów* — co trzeci dzień, a *Kultura mas* — to dwumiesięcznik. Znikły w tym roku: *Bezbożnik wojujący, Głos młodzieży* i *Poradnik oświaty*. Oczywiście ze stanowiska polskiego i katolickiego nie mamy powodu żałować upadku tych pism komunistycznych i bezbożnych.

Powracając do perjodyków w języku rosyjskim, katalog rozróżnia wśród nich dzienniki („gazety") i czasopisma („żurnały"). Na 683 wszystkich tytułów 101 przypada na dzienniki, reszta 572 na czasopisma. Ale do kategorji „gazet" zaliczono wiele takich, co wychodzą rzadziej niż codzień, owszem, mniej niż 100 razy na rok, jedna ukazuje się tylko co drugi tydzień. Wielkiemi dziennikami są *Izwiestja, Prawda, Krasnaja Gazieta, Ekonomiczeskaja Żyzń* i kilka innych. W geograficznym rozkładzie publikacyj sowieckich uderza wyraźna ich koncentracja w stolicy, Moskwie, gdzie z ogólnej cyfry 101 „gazet" wychodzi ich 38, podczas gdy stolica dawna Petersburg, dziś Leningrad, zadawala

się skromną cyfrą 9 „gazet". Gdzie indziej, nawet po miastach znanych, wychodzi ich po dwie, najczęściej jedna. Z „żurnałów" także blisko połowa wydawana jest w Moskwie. Perjodyki ukraińskie także są mocno skoncentrowane: na 76 wszystkich perjodyków („gazet" i „żurnałów") w Kijowie wychodzi 36, w Charkowie 25, w Odesie 7; na wszystkie inne miasta pozostaje 8. W takiej Połtawie np. nie ukazuje się żadne czasopismo ani gazeta.

Tytuły czasopism mówią o ich treści i przeznaczeniu. Odnosi się to przedewszystkiem do „żurnałów". Otóż najpierw uderza wprost rażąca dysproporcja między ilością pism ogólno-kulturalnej treści a ilością pism specjalnych na korzyść tych ostatnich. Tu każda gałąź nauki, każdy odłam przemysłu, każdy niemal przedmiot handlu posiada swoje czasopismo, a nawet parę. Więc są np. pisma dla węgla, nafty, bawełny, hodowli bydła, trzody, pszczelnictwa i t. d. Natomiast pism, poświęconych kulturze ducha, literaturze, sztuce jest niezmiernie mało, podobnież skromnie się przedstawia kategorja zabaw i sportu. Rozumie się, że religijnych publikacyj niema żadnych, natomiast są publikacje, przeznaczone do walki z religją, jak rosyjskie *Bezbożnik* (dziennik), *Bezbożnik* (miesięcznik), *Antyreligjoznik* (co dwa miesiące), ukraiński *Bezwirnyk* i ich odpowiedniki w paru innych językach. Trzeba tu stwierdzić, że w porównaniu do stanu z przed kilku lat lista tych pism bezbożnych zmalała o kilka tytułów, nieostrożny byłby jednak wniosek, że walka z religją łagodnieje. Tłumaczy się ten fakt raczej większą centralizacją tego rodzaju prasy, a także tem, że religja faktycznie, jako organizacja, w wielkiej mierze uległa już likwidacji. O faktycznem napięciu propagandy antyreligijnej mogłyby nam coś powiedzieć dane, dotyczące wysokości nakładów czasopism bezbożniczych, tych danych jednak katalogi nam nie dostarczają.

Ks. Jan Urban T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 30 marca 1936 r.

Nasz Kościół — Kościołem męczenników.

I.

Poza obrębem Rzeszy sądy o położeniu Kościoła katolickiego w Niemczech zazwyczaj bywają mętne, niejednokrotnie zaś pozostają pod jawnym wpływem nieprawdziwych przeważnie twierdzeń i opisów, szerzonych w świecie przez państwową propagandę niemiecką. Jakże często możemy nawet w sferach katolickich spotkać się z mniemaniem, że z chrześcijańskiego stanowiska rządy hitleryzmu zasługują na najgorętsze powitanie. Słyszymy np. takie zdania: Czyż bowiem z nastaniem tych rządów nie usunięto niebezpieczeństwa komunizmu, a tem samem i ruchu bezbożniczego? Wspominane raz po raz przez prasę codzienną zatargi między Kościołem a państwem są to jedynie godne pożałowania wypadki sporadyczne, których znaczenia nie należy przeceniać".

I dalej mówią tacy optymistyczni sędziowie stosunków niemieckich, że zamiary Führera przecież są jak najlepsze, jak to przyznał nawet jeden z arcybiskupów niemieckich. „Kościół potrafi zczasem równie dobrze dojść do ładu z socjalizmem narodowym, jak kiedyś umiał dać sobie ostatecznie radę z nieżyczliwym mu napewno pruskim rządem Hohenzollernów. Dla Europy i wogóle dla kultury chrześcijańskiej jest to szczęściem, że w centralnem państwie kontynentu powstał rząd o silnym autorytecie, stojący świadomie na gruncie „pozytywnego chrześcijaństwa". Jeżeli coprawda nie brak wrzodów w postaci najróżnorodniejszych przejawów nowoczesnego pogaństwa, to przecie Kościół upora się z niemi równie łatwo, jak dawniej uporał się z innemi ru-

chami wrogiemi chrześcijaństwu, które znalazły szerszy oddźwięk w społeczeństwie".

Podobne sądy są niestety powierzchowne, a wypływają z niedostatecznej znajomości systemu narodowo-socjalistycznego oraz z niewiedzy o istotnej sytuacji chrześcijaństwa w Niemczech, stworzonej przez konsekwentną realizację doktryn narodowo-socjalistycznych. Sądy te nie uwzględniają także i tego, że narodowi socjaliści posługują się chętnie hasłami, które wydają się zgoła możliwemi do przyjęcia, ale które oni sami rozumieją zupełnie w innym sensie, niż je zwykł rozumieć katolik czy wierzący protestant. Kto chce należycie zdać sobie sprawę z dzisiejszego położenia chrześcijaństwa w Niemczech, musi przedewszystkiem sobie uświadomić, do czego właściwie dąży narodowy socjalizm w dziedzinie religijnej. Dopiero po zbadaniu tych celów będzie można odpowiedzieć na pytanie, czy może być mowa o przyjaznych stosunkach między chrześcijaństwem a narodowym socjalizmem.

II.

Byłoby omyłką, jeśliby ktoś w różnych „ruchach religijnych", szerzonych (przy życzliwej tolerancji narodowego socjalizmu) przez Reventlowa, Hauera, Dintera, Bergmana czy wreszcie (jedynie na patologicznem podłożu dającego się wytłumaczyć) Ludendorffa, chciał widzieć wyraz narodowo-socjalistycznych poglądów religijnych. Owe „ruchy religijne" są w walce narodowego socjalizmu przeciwko Kościołowi jedynie jakgdyby partyzantami. Hitler i jego adherenci tolerują je, owszem, gdyż działalność tych kierunków okazała się pod względem taktycznym pożyteczną dla narodowego socjalizmu. One służą jedynie do tego, by odwrócić uwagę sfer kościelnych od głównego przedmiotu walki ku mniej ważnemu placowi boju. Poza tem Hitler nieraz wyzyskuje je do tego, by za obietnicę ograniczenia ich działalności wytargować od biskupów niemieckich pobłażliwość w ważniejszych kwestjach. Tak czy owak, wszystkie te ruchy nie grożą Kościołowi poważniejszem niebezpieczeństwem, jako że faktycznie ich liczebność jest nader słaba. Nawet bowiem najhałaśliwsza grupa Hauera i Reventlowa skupia

ledwie parę tysięcy zwolenników. Z całą słusznością Hitler sprzeciwiał się utożsamieniu teoryj socjalizmu narodowego z poglądami tych odłamów. Kto chce poznać zapatrywania narodowego socjalizmu na zagadnienia religji, winien poprzestać na tem, co głosił w swych mowach i książkach bądź sam Führer, bądź ci zaufani jego powiernicy, którym on zlecił dzieło przetworzenia poglądów i sposobów myślenia w niemieckim narodzie.

Jak wiadomo, program partji w danym względzie ograniczał się do frazesu, głoszonego, że partja stoi na gruncie „pozytywnego chrześcijaństwa". Zdanie to okazało się nadzwyczaj skutecznem dla propagandy w czasie przed pochwyceniem władzy przez Hitlera, w praktyce jednak dopuszczało wieloraką możliwość interpretacji, przeto bywa i dzisiaj chętnie powtarzane przez Hitlera i jego zwolenników. Jak jednak w rzeczy samej rozumiał to hasło sam Hitler, można było poniekąd odgadywać przed rokiem 1933 na podstawie jego książki *Mein Kampf,* stanowiącej jeszcze dzisiaj uznany podręcznik partyjny. Swoją drogą w książce tej wywody autora w stosunku do chrześcijaństwa (jak też i w stosunku do wielu innych kwestyj) są dosyć zagmatwane i wieloznaczne, to zaś niepomału przyczyniło się do tego, że nietylko wśród protestantów, ale i w kołach katolickich jawiły się złudzenia co do rzekomo chrześcijańskich sympatyj Hitlera. Ludzie hołdujący tym złudzeniom powoływali się na to, że sam Führer określił jako wielki błąd wszelką walkę społeczną przeciw katolicyzmowi czy wogóle chrześcijaństwu. Cytowano też powiedzenie Hitlera, że religja nie może istnieć bez dogmatów, albo jego przygodne napomknienie, że przywódca polityczny powinien zawsze uważać religijne zasady i zwyczaje swego ludu za rzecz nietykalną. Przy tem wszystkiem nie zwracano uwagi na zasadnicze tezy, z których wychodził Hitler we wszystkich swoich wypowiedziach na tematy religijne. Dla niego najwyższą, wiekuistą wartością, przewyższającą wszystkie inne, jest naród. „Bezgranicznej" miłości narodu domaga się przecie Hitler ustawicznie od każdego ze swoich wyznawców. Państwo, jako organ, przez który tak ubóstwiany naród oznajmia swą wolę, musi być totalne t. j. władać nad cia-

łami i duszami wszystkich, którzy do niego należą, wobec czego nie może w swych granicach ścierpieć żadnej niezależnej od niego potęgi, mającej własne prawa i przywileje. Te w swej istocie nawskróś materjalistyczne idee Hitler wyraził chyba najjaśniej temi słowy, wypowiedzianemi na wiecu partyjnym w Norymberdze w r. 1935:

„Ponieważ w narodzie uznajemy czynnik trwały i prawdziwie istniejący, więc widzimy też w nim cel nasz jedyny. Jego utrzymanie wytwarza dopiero istnienie i działalność tych czy innych idei. Naodwrót, jego unicestwienie czyni wszelkie idee nieistotnemi i bezwartościowemi. Także i religja tylko wtedy ma sens jakiś, gdy przyczynia się do utrzymania żywej substancji ludzkości".

Co zaś ma się przyczyniać do „utrzymania żywej substancji ludzkości", o tem, wedle tegoż wyznania wiary, winien decydować jedynie „Führer", który otrzymał misję od narodu. A jakże to ten „decydujący czynnik" ocenia zdatność religji wogóle, a chrześcijaństwa w szczególności, do powyżej nakreślonego jej zadania? W książce swojej uznaje on jeszcze religję za środek, mający na celu umocnienie ziemskiej egzystencji narodu oraz ułatwienie wytrwania, zwłaszcza na froncie ojczystym podczas wojny. Wszelkie środki mające na tem polu zastąpić religję, nie okazały się w rezultacie tak skuteczne, by miano w nich widzieć zluzowanie dotychczasowych wyznań religijnych (*Mein Kampf*, s. 293). Ale religja — głosi dalej Hitler — tylko wtedy może spełniać powierzone zadania, jeśli ograniczy się do kultywowania spekulacyj metafizycznych i budzenia podniosłych uczuć nabożnych. Natomiast wszystko, co dotyczy stosunku człowieka do bliźniego i społeczności, jest wyłącznie sprawą państwa. Kerrl, hitlerowski minister wyznań religijnych, ubrał to w następującą formułę: „Kościół nie ma nic wspólnego z praktycznemi zagadnieniami życia". Jeżeli jednak jakaś społeczność religijna ustosunkowuje się tak czy inaczej do owych zagadnień, tedy — zdaniem Hitlera — wdaje się w politykę, temu zaś należy zapobiegać z całą stanowczością, jako wykraczaniu poza właściwy zakres uprawnień. Z tego punktu widzenia także i przykazanie boskie „Nie zabijaj" staje się polityką — i biada duchownemu, któryby

z ambony odważył się mówić o tem przykazaniu, dajmy na to, w związku z zabójstwami z 30 czerwca 1934 r.

Z biegiem lat Hitler zaczął z coraz to większym sceptycyzmem oceniać wartość chrześcijaństwa w stosunku do zadań, jakie mu był postawił. Już w dniu 27 sierpnia 1933 oświadczył na wiecu partyjnym w Godesberg, że chrześcijaństwo nie ma danych po temu, by zjednoczyć naród niemiecki: tego dokonać mógłby tylko jakiś nowy światopogląd! Nawiązując do cytowanych poprzednio oświadczeń zaznaczył jednakże na wiecu partyjnym w r. 1935, iż wyznania chrześcijańskie „zawiodły" w walce przeciwko marksizmowi i judaizmowi, a także i w tem, że nie trzymały się wytyczonych im przez niego granic: nie wtrącania się do ziemskich spraw człowieka. Rezultatem tego potępienia wyznań chrześcijańskich jest niewątpliwie ta okoliczność, że członkowie hitlerowskiego „sztandaru przybocznego" *in gremio* wystąpili z Kościoła.

Można, oczywista rzecz, wierzyć Hitlerowi, że nie pragnie jawnego *Kulturkampfu* w stylu bolszewickich wystąpień antychrześcijańskich. Jak w polityce zagranicznej byłoby dla niego rzeczą najbardziej pożądaną, gdyby mógł cele swe osiągnąć bez wojny, jedynie przez stosowanie silnej presji, tak też pewno życzyłby sobie, by wyznania chrześcijańskie bez walki podporządkowały się jego wskazówkom. Od chwili, gdy zrozumiał, że życzenie to się nie spełni, podjął usilne starania, by jego walka z wyznaniami chrześcijańskiemi wydać się mogła walką o „oczyszczenie chrześcijaństwa z niegodnych elementów", walką o „chrześcijaństwo oczyszczone" *(geläutertes Christentum)*. Czem jednak winno być to oczyszczone chrześcijaństwo, o tem ma w ostatecznej instancji decydować znowu sam Hitler, podobnie, jak on też ma określać, w jaki sposób należy wcielać wyznania chrześcijańskie w organizm trzeciej Rzeszy. Do przeprowadzenia tej inkorporacji, czyli „ujednostajnienia administracyjnego" *(Gleichschaltung)*, jak to się dziś w Niemczech nazywać zwykło, powołał ministra wyznań religijnych, Kerrla. Jaki jest ostateczny cel tej roboty, o tem najjaśniej mówi powiernik ideowy Adolfa Hitlera, Rosenberg, w swej osławionej książce *Mit XX wieku*, gdzie propaguje stworzenie t. zw. Trzeciego Ko-

ścioła, czyli Kościoła narodowego, w którego ramach zmieściłyby się wszelkie odcienie wierzeń religijnych, od katolicyzmu do wyznawców Wotana, a którego zawartość ideową autor tak określa:

„Przy zakładaniu niemieckiego Kościoła narodowego chodzi przeto nie o obronę tych czy innych twierdzeń metafizycznych, nie o postulat uznawania za prawdę historycznych czy legendarnych opowieści, ale o stworzenie wysokiego poczucia wartości, t. j. o wybór takich ludzi, którzy przy całej różnorodności przekonań religijnych czy filozoficznych zdobyli sobie własną drogą głębokie zaufanie wewnętrzne, wywalczyli sobie heroiczne poglądy życiowe. Właśnie ten przewrót duchowo-umysłowy wydaje mi się szczególnie rewolucyjny, jako że jedynie w nim uznano za rzecz nieistotną wszelkie metafizyczne normy wiary (dogmaty), które dotąd stanowiły główny przedmiot wszelkich walk religijnych... Walki o stosunek Boskości i człowieczeństwa w Chrystusie, spory na temat łaski i miłości, śmiertelności i nieśmiertelności duszy, są usunięte całkowicie za nawias germańsko-niemieckiego odrodzenia religijnego".

Atoli ewolucja ku wymienionemu tu celowi nie powinna być zbyt pospieszna. Naród nie powinien dostrzec, że zabiera mu się dotychczasową jego wiarę i zastępuje się ją religją namiastkową. Nasamprzód trzeba wytworzyć niejako „elitę duchową" tej nowej religji państwowej, a przedewszystkiem młodzież w kadrach młodzieży hitlerowskiej winna być wychowana w tym duchu. „Droga Rosenberga jest drogą młodzieży niemieckiej!" woła Schirach, ustanowiony przez Hitlera kierownikiem tej młodzieży. Jakiej przytem używa taktyki, by zwolna odstręczyć naród od chrześcijaństwa, najlepiej widać z informacyj pewnego słuchacza teologji, który brał udział w studenckim kursie przeszkoleniowym w Darmstadzie w dniach 28 VIII — 9 IX 1935. Pierwszy wykład wygłoszony wobec studentów na tym kursie miał temat: „Nasza krew — nasz światopogląd". Przytoczymy z tego wykładu zdania następujące:

„Führer oznajmił na wiecu partyjnym, że socjalizm narodowy jest światopoglądem, który stopił się w jedno w *Micie XX wieku* Rosenberga... i to w duchu i z wolą

Führera... W Niemczech istnieją dziś trzy światopoglądy: chrześcijański, marksistowski i narodowo - socjalistyczny. Każdy z nich w sposób bezkompromisowy przeczy dwom pozostałym. Pogląd chrześcijański i marksistowski są w równej mierze liberalizujące. Germańska nabożność nie jest niczem innem, jak tylko szacunkiem dla praw Germanów i praw piękna... System narodowo-socjalistyczny jest przeznaczony wyłącznie dla rasy germańskiej, a nie — jak chrześcijaństwo — dla wszystkich ras. Artykuł 24 w programie partyjnym omawia tylko pozytywną religijność; ponieważ chrześcijaństwo było religją panującą w kraju, przeto terminu „chrześcijaństwo" użyto w tym artykule jedynie gwoli zrozumiałości... Musi dojść do walki z wyznaniami, oczywista rzecz, w walce tej nie potrzeba używać przemocy: one i tak wymrą same z siebie. Odrzucamy nietylko sto różnych postaci chrześcijaństwa, lecz nawet i samo chrześcijaństwo. Także i chrześcijan, którzy mają uczciwą wolę służenia narodowi (a takich nie brak), trzeba będzie zwalczać. Referent podkreśla przytem raz po raz, że nie jest to jego mniemanie osobiste, ale oficjalne stanowisko partji i Führera".

Gdy po tym wykładzie dwaj słuchacze teologji prosili kierownika szkoły o zwolnienie ich z kursu, gdyż za powinność swoją uważają odrzucić „mit" Rosenberga, a ze względu na hasło „pozytywnego chrześcijaństwa" czują się rozczarowani w stosunku do narodowego socjalizmu, kierownik starał się ich zatrzymać i pytał młodych teologów (cytujemy słowa ich własne):

„Czy nie zastanowił was fakt, że Führer powierzył Rosenbergowi funkcję ideowego kształcenia narodu? Przytaczał wielką ilość przykładów (np. usunięcie teologów z SS., wystąpienie drużyny przybocznej z Kościoła), z których widać najwyraźniej, że Führer stoi całkowicie po stronie Rosenberga i w zupełności pochwala jego zamiary. Na naszą wzmiankę o wprowadzeniu nas w błąd przez art. 24 programu partyjnego oznajmiono nam, że ciężko choremu nieraz nie należy mówić prawdy, ażeby nie odejmować ostatniej ochoty do życia. Naród (tłumaczono nam dalej) jeszcze nie dojrzał do nowego światopoglądu".

Występujący w dalszym ciągu urzędowy kierownik studenckiego związku NSDAP potwierdził te zapatrywania i dodał:

„Dla nas, narodowych socjalistów, jest tylko jedno dowództwo i jedna kuźnica rozkazów, nawet przeciwko Rzymowi i Wittenberdze".

Taki to jest cel i taktyka narodowego socjalizmu w dziedzinie religijnej. Czyny odpowiadają im najzupełniej.

III.

Światopogląd szerzony przez narodowych socjalistów jest mieszaniną materjalizmu i przesadnego nacjonalizmu, a przez ubóstwienie narodu oraz (będącego tegoż organem) państwa stanowi istotną odwrotność ustanowionego przez Boga porządku. Że taki światopogląd pozostaje w nieprzejednanej sprzeczności ze światopoglądem chrześcijańskim, przekonano się już dawno w niemieckich sferach katolickich. Od r. 1930 począwszy, biskupi poczynają przestrzegać swych diecezjan przed niebezpieczeństwem narodowego socjalizmu. Arcybiskup moguncki najpierw zakreślił jasną granicę między katolicyzmem i narodowym socjalizmem: dn. 30 sierpnia 1930 zabronił katolikom należenia do partji narodowo-socjalistycznej i rozporządził, że członkom tej partji należy odmawiać Sakramentów św. Wkrótce potem biskupi bawarscy w listach pasterskich oświadczyli, że stanowisko przyjęte zdawna wobec socjalizmu obowiązuje również w stosunku do socjalizmu narodowego, a należycie orjentując się co do istoty nowego prądu, wypowiedzieli już wówczas zdanie następujące:

„O ileby (czego nie przypuszczamy) narodowy socjalizm miał kiedyś dojść do metod bolszewizmu, tedy wogóle nie będzie można mówić o jakiejś *bona fides* u jednostek".

Po tych i innych podobnych oświadczeniach biskupów niemieckich, stanowisko niemieckiego katolicyzmu zdawało się mieć cechę jednomyślności. Atoli gdy Hitler w dniu 30 stycznia doszedł do władzy, w postawie episkopatu zaszła pewna zmiana, która nie pozostała bez niekorzystnego wpływu na katolików świeckich, przyczyniając się do skomplikowania nieuchronnej walki Kościoła z narodowym socja-

lizmem i do rozbicia jedności w katolickiej części narodu. W marcu 1933 r. gazety hitlerowskie zaczęły wywierać nacisk na biskupów, by zajęli inne stanowisko w stosunku do narodowego socjalizmu. Gdy zaś Hitler dn. 23 marca 1933 r. oświadczył wobec parlamentu, że wyznania chrześcijańskie są najważniejszemi czynnikami utrzymania narodowości niemieckiej i że nowy rząd uszanuje ugody zawarte między wyznaniami a krajami niemieckiemi, ukazało się dnia 28 marca wspólne orędzie biskupów niemieckich, w którem czytało się co następuje:

„Nie cofając potępienia określonych błędów religijnych i moralnych, wyrażonego w naszych poprzednich pismach, episkopat wierzy, że wolno mu żywić ufność, iż wskazane ogólne zakazy i przestrogi nie będą musiały być uważane za konieczne".

W tem oświadczeniu episkopat wyrażał zaufanie dla wypowiedzi Hitlera i przyszłej ewolucji narodowego socjalizmu, jakkolwiek Hitler nie odwołał żadnego ze swych dawniejszych poglądów w sprawie religji. Choć i orędzie biskupów nie zawierało formalnego cofnięcia dawniejszych przestróg i zakazów, to jednak tak właśnie niestety zrozumiała je przeważnie ludność katolicka, do czego przyczyniło się i to, że w takim to duchu tłumaczyła je cała prasa; natomiast protest biskupów bawarskich przeciwko tej interpretacji nie mógł dotrzeć do wiadomości publicznej, gdyż władze nie pozwoliły go ogłosić w dziennikach.

Wspólne orędzie biskupów niemieckich w tej wykładni, jaką nadano mu w kołach czytającej publiczności, jest odtąd na czas dłuższy jedynym wskaźnikiem co do praktycznego ustosunkowania się katolików względem narodowego socjalizmu. Proboszczowie nie stawiali wiernym żadnych przeszkód w sprawie wstępowania do partji hitlerowskiej lub pokrewnych organizacyj, co więcej, w wielu diecezjach nawet polecili im wstępowanie do tychże, w nadziei uzyskania wpływu na wspomniane organizacje. To zachowanie się duchowieństwa w znacznej mierze ułatwiło socjalizmowi narodowemu dostęp nawet do tych krajów katolickich, które jeszcze przeciwstawiały mu się zwartym frontem. Gdy uwzględnimy tę postawę duchowieństwa oraz tę okoliczność,

że i dotychczas nie ukazał się ze strony biskupów wyraźny zakaz uczestnictwa w ruchu narodowo-socjalistycznym, tedy wypadnie nam wydać nieco łagodniejszy sąd o tych katolikach, którzy jeszcze i dzisiaj biorą czynny udział w działaniach partji narodowo-socjalistycznej i niezawsze zdają sobie sprawę, że taki udział nie da się pogodzić z przekonaniami katolickiemi.

Pierwszy okres konfliktów między socjalizmem narodowym a Kościołem katolickim sięga mniej więcej do czasu „niemieckiej nocy św. Bartłomieja", dn. 30 czerwca 1934 r., znamienną zaś jego cechą jest to, że socjaliści narodowi — pod osłoną różnych haseł — wnoszą zamęt w zastępy katolików, rozbijają wszelkie posterunki katolicyzmu, a nawet starają się zachwiać jednością niemieckiego episkopatu. Po stronie katolickiej jest to okres nietylko ostrożnego wyczekiwania, ale niejednokrotnie także (i to niezawsze jedynie u świeckich) okres różnorodnych złudzeń co do celu zamierzonego przez Hitlera, okres płynącej stąd niepewności i niezdecydowania wobec wzmagających się ustawicznie ataków narodowego socjalizmu przeciwko Kościołowi.

Oto już wnet po pojednawczem oświadczeniu biskupów z dn. 28 marca 1933 zaczęło się (w myśl zarządzenia Hitlera, iż tylko „religijny katolicyzm" zasługuje na opiekę, natomiast wszelkiemi środkami należy tępić dziwoląg „katolicyzmu politycznego") rozbijanie wszelkich organizacyj katolickich, nie mających bezpośrednio kościelnego charakteru, ale służących do tego, by katolikom zapewnić odpowiedni do ich liczebności wpływ na życie gospodarcze, społeczne, kulturalne i polityczne. Były to organizacje, z których pomocą katolicy niemieccy do owego czasu wiedli skuteczną walkę przeciwko liberalizmowi i marksizmowi — organizacje, których działalność była chlubą ludności katolickiej i które w znacznej mierze przyczyniły się do tego, że w tej części narodu, czującej się przez czas tak długi jeno uciśnioną i ograniczoną w prawach mniejszością, zbudziła się świadomość, iż i oni są równouprawnionymi obywatelami państwa, będącego także ich państwem. Tak więc hitlerowcy rozbijali chrześcijańskie gwarectwa, organizacje zawodowe, związek ludowy i t. d. Ostatnie zebranie ogólne katolickich

związków rzemieślniczych zwołane w Monachjum, zakończyło się krwawem pobiciem jego uczestników przez „brunatne koszule" — i nawet uczestniczący w tem zgromadzeniu zastępca kanclerza, v. Papen, nie mógł go zabezpieczyć przed podobnym epilogiem. Bez rozgłosu dokonało się rozwiązania politycznego przedstawicielstwa katolików, t. j. partji centrowców oraz bawarskiej partji ludowej. Prasa katolicka musiała wyrzec się charakteru katolickiego i stać się trybuną myśli narodowo - socjalistycznej. Koła katolickie, które wpierw miały tę prasę w swych rękach, niestety nie zdobyły się zawczasu na zawieszenie wydawnictwa *glajchszaltowanych* gazet, co przez swą nową treść jeno mogły siać zamęt wśród swych czytelników. Wszystkie te zdarzenia rozwijały się szybko, nie napotykając na silny opór w katolickiej części narodu. Co więcej, należy wyznać, że w niektórych sferach katolickich, zwłaszcza wśród t. zw. inteligencji, hitlerowska pobudka przeciwko „politycznemu" katolicyzmowi znajdowała oddźwięk i uznanie. Tak silne były złudzenia co do celów hitleryzmu!...

Mniemanie, jakoby między Kościołem a socjalizmem narodowym mogły zapanować przyjazne stosunki doznało szczególnie silnego impulsu, gdy w dniu 20 lipca 1933 r. między rządem Rzeszy a Stolicą Apostolską stanął konkordat, którego postanowienia zdawały się zapewniać nietylko Kościołowi, ale i organizacjom katolickim upragnioną swobodę ruchów. W wielu kołach katolickich widziano w tem dowód, że Hitler istotnie pragnie ugruntować pokój między Rzeszą a Kościołem. Nie dostrzegano, że rządowi szło tylko o to, by wobec całkowitego odosobnienia Niemiec na polu polityki zagranicznej pokazać światu, że taki autorytet, jak cieszący się powszechnem poważaniem, Ojciec święty, uważa Hitlera za kontrahenta zasługującego na zaufanie. Że o to tylko szło rządowi Rzeszy, okazało się rychło po zawarciu konkordatu. Wbrew danym w konkordacie zapewnieniom rząd zabronił publikowania pasterskiego listu biskupów zebranych w r. 1933 w Fuldzie, uniemożliwił głoszenie nauki chrześcijańskiej, ilekroć pozostawała ona w sprzeczności z ustawami państwowemi (np. ustawą o sterylizacji) i pozwalał partji rządzącej występować bezwzględnie przeciwko orga-

nizacjom katolickim, które na mocy konkardatu miały być otoczone opieką!

Wobec rozczarowań, jakie niebawem przyniosło niedotrzymanie zobowiązań przyjętych przez państwo, nieraz w Niemczech roztrząsano pytanie, czy nie lepszą byłoby rzeczą zrezygnować z konkordatu z tak niepewnym kontrahentem, jakim się okazał rząd Rzeszy; akt ów tylko zwiększył niejasność sytuacji w obozie katolickim, nie dając katolikom żadnych korzyści. Na to winniśmy odpowiedzieć, że Stolica Apostolska nie mogła odrzucić sposobności do próby zabezpieczenia Kościołowi i organizacjom katolickim w Niemczech pewnej swobody ruchów, chociażby nawet nie miano już wtedy żadnych złudzeń, że próba prawdopodobnie się nie uda. Próbę podjąć należało tem bardziej, że wszystkie urządzenia, stworzone przez katolików niemieckich dla własnej obrony, były już rozbite, albo spodziewały się lada chwila tego losu.

Zawarcie konkordatu było punktem kulminacyjnym złudzeń, jakie żywili ci z pośród katolików, którzy byli skłonni do kompromisu. Był to czas, kiedy jeden z arcybiskupów niemieckich mógł oświadczyć publicznie, że staje bez zastrzeżeń po stronie rządu i nowej Rzeszy Hitlera, gdyż wie, iż Hitler dąży do założenia państwa zbudowanego na podstawie chrześcijańskiej, a opartego na sile etycznej i moralnej. Był to też czas, w którym jeden z biskupów niemieckich przyjął powołanie do pruskiej Rady państwowej, gdzie po dziś dzień zasiada obok różnych osobistości, które miały aż nazbyt bliską styczność z zamordowaniem wielu katolików za ich przekonania religijne. W tym to czasie powstała pod kierownictwem wicekanclerza v. Papena *Arbeitsgemeinschaft deutscher Katholiken*, zbiorowisko „niezadowolonych intelektualistów, wyższych urzędników, oraz teologów, idących na lep pseudo-chrześcijańskiej terminologji", jak wszystkich „łączników" trafnie określił Gurian w cennej książce *Der Kampf um die Kirche in dritten Reich* (Luzern, nakł. Vita nova). Był to też czas, kiedy pewien profesor teologji w Brunsberdze, by „nie zaniedbać łączności" z duchem nowych czasów, uznawał światopogląd narodowo-socjalistyczny za przyrodzony światopogląd niemiecki,

dostępny działaniom łaski. *Den Anschluss nicht versäumen* — tak brzmi wogóle hasło wszelkich słabych charakterów — przeto widzimy, że w owych latach nawet poza obrębem Rzeszy wielkie niestety zastępy katolików szukały owego *Anschlussu* z narodowym socjalizmem.

Optymizm kół katolickich wyzyskiwały rząd i partja, by swemu światopoglądowi utorować dostęp do jak najszerszych warstw ludności. Na rozkaz najwyższych czynników sławetne dzieło Rosenberga *Mit XX wieku*, pełne urągowisk pod adresem papieża i Kościoła, musiało znaleźć się we wszystkich bibljotekach szkolnych i publicznych. Szczególnie wielką zawziętość okazywano w zdobywaniu młodzieży dla haseł narodowego socjalizmu. Zapomocą wyszukanego w swych metodach terroru, wzmagającego się jeszcze po dziś dzień, zmuszano rodziców, by zapisywali swe dzieci w szeregi młodzieży hitlerowskiej, której przywódca Schirach zdobył sobie złą sławę swemi mowami, zionącemi nienawiścią i wzgardą w stosunku do Kościoła i chrześcijaństwa, a która w swych urzędowych organach czyni wszystko, by obrzydzić Kościół i chrześcijaństwo podległym sobie młodym czytelnikom. Przeciwko organizacjom młodzieży katolickiej stosuje się najrozmaitsze szykany, ażeby — nawet bez formalnego zakazu — uniemożliwić im zwolna wszelką działalność.

Wszelkim tym napaściom na teren religji niewzruszeni optymiści, jacy jeszcze byli między katolikami, przeciwstawiali przez dłuższy czas twierdzenie, jakoby we wszystkich tu wymienionych sprawach miało się do czynienia jedynie z nadużyciami zbyt gorliwych podkomendnych, których postępowania jednakże sam Führer wcale nie pochwala. Złudzenia te zachwiały się poważnie dopiero wtedy, gdy Hitler w dniu 24 stycznia 1934 zamianował Rosenberga swym pełnomocnikiem w zakresie ideowego kształcenia zwolenników partji oraz wszystkich podległych im organizacyj. Nie można chyba było mieć oczywistszego dowodu, że kierownik Rzeszy sam uznaje i podziela ideologję tego człowieka, którego osławione dzieło Watykan zmuszony był umieścić na indeksie ksiąg zabronionych. Pomimo że w tej nominacji kryło się *de facto* bojowe wyzwanie, jednak rokowania

w sprawie warunków wykonania konkordatu trwały w dalszym ciągu. Ze strony Kościoła powołani zostali do tych rokowań trzej biskupi niemieccy; wśród komisarzy Rzeszy znajdowali się tacy wrogowie religji, jak wspomniany już Schirach i przywódca „frontu robotniczego", dr Ley. Układy dobiegały końca, gdy w grę wszedł incydent 30 czerwca 1934 r. — kiedy to naskutek samowolnego rozporządzenia Hitlera i Goeringa, bez żadnego dochodzenia sądowego zastrzelono w ciągu trzech dni w sposób bestjalski, tak jak się strzela do wściekłych psów, wielką — nigdy zresztą nieujawnioną — liczbę ludzi, podobno przewyższającą tysiąc... Wśród ofiar tej krwawej kąpieli, która przez całe wieki pozostanie haniebną plamą historji Niemiec, padło też wielu wybitnych katolików, którzy z powodu swej działalności katolickiej i odwagi w wierze byli niedogodni narodowym socjalistom; tak np. zginął wówczas kierownik berlińskiej Akcji Katolickiej Klausner, przywódca katolickiego ruchu młodych Propst, oraz wielu innych, których nazwiska, jako męczenników wiary, pozostaną na zawsze w pamięci ludności katolickiej w Niemczech. Po dokonaniu swego postępku mordercy kazali spalić ich ciała — i jedynie popioły wydano ich najbliższym.

Jak to straszliwe zdarzenie, wstrząsające opinję całego świata, oddziałało na naród niemiecki, podobno trudno odrazu ocenić ze względu na panujący w Trzeciej Rzeszy ucisk, tłumiący wszelką myśl wolną. W każdym razie plebiscyt z sierpnia 1934 r. przyniósł — pomimo niesłychanych represyj ze strony wszystkich czynników rządowych i partyjnych — podwójną liczbę głosów z napisem „Nie" w porównaniu z plebiscytem z listopada 1933 r. Ten przyrost opozycji zaznaczył się szczególnie silnie w kilku zachodnich okręgach zamieszkałych przez ludność katolicką. Od tegoż czasu zaczyna się rzucać w oczy słabnięcie oportunizmu w kołach katolickich. Współpracująca z hitleryzmem *Arbeitsgemeinschaft deutscher Katholiken* rozwiązała się jesienią 1934; jej założyciel, v. Papen, jedynie dzięki pomocy Reichswehry zdołał uniknąć śmierci z rąk siepaczy Goeringa, ratując się ucieczką na terytorjum Saary. Dwaj najbliżsi jego współpracownicy padli ofiarą mordu w dn. 30 czerwca.

Omówione tu zdarzenia wykazały, na jakie niebezpieczeństwo narażają się katolicy, pojmujący swoją wiarę poważnie i nie lękający się być katolikami także i poza obrębem Kościoła. Teraz stało się oczywistością, że socjalizm narodowy nie czuje się związany żadnem prawem Boskiem czy ludzkiem i że sprawuje w Niemczech rządy najzupełniej despotyczne. Coraz to wyraźniejsze stawały się dążenia Hitlera, wobec czego episkopat musiał też wyraźniej i bardziej zdecydowanie określić swoje stanowisko. Coprawda i poprzednio ze strony biskupów stale odpierano błędne nauki szerzone przez narodowych socjalistów. Nieustraszony biskup monachijski w swych kazaniach adwentowych w r. 1933 potępiał ataki skierowane przeciwko Staremu Testamentowi; list pasterski, wydany w Fuldzie w r. 1934, zwalczał nowoczesne pogaństwo i ostrzegał przed hasłem kościoła narodowego, zrywającego łączność z Rzymem; prowadzono też udatną kampanję przeciwko *Mitowi* Rosenberga zapomocą oficjalnego pisma kościelnego *Studien zum Mythus*, które można było dawać w rękę szerokim kręgom wiernych. Atoli w tych środkach obrony zawsze starano się nie budzić wrażenia, że zwalczane błędne nauki są wpływem socjalizmu narodowego; wskutek tego brakło też i wskazówek, jak mają się ludzie świeccy ustosunkować do organizacyj narodowo-socjalistycznych.

Po wzburzeniu wywołanem zdarzeniami 30 czerwca zapanowało w walce przeciwko Kościołowi katolickiemu zrazu jakby pewne uciszenie, gdyż wobec zbliżającego się głosowania w okręgu Saary rząd i partja uznały za rzecz wskazaną powstrzymać swe ataki do czasu, póki głosowanie nie będzie rozstrzygnięte, gdyż głosy katolików miały właśnie zadecydować w sprawie przyszłej przynależności wspomnianego okręgu. W związku z tem zdarzyła się rzecz charakterystyczna. W książce swojej Hitler obrzucał najgorszemi obelgami („draby bez sumienia", „łobuzy", „obłudni gwałciciele prawdziwego, wewnętrznego chrześcijaństwa" i t. p.) tych duchownych, którzy zajmowali się sprawami politycznemi pod kątem widzenia moralności chrześcijańskiej; mimo to tym razem nie miał nic przeciwko temu, że arcybiskupi Trewiru i Spiry publicznie wzywali katolików w Zagłębiu Saary do

oddania głosów na rzecz Niemiec, a tem samem zadawali śmiertelny cios szerzącej się wśród katolików saarskich propagandzie za utrzymaniem tymczasowego reżimu Ligi Narodów. Ogłaszając swoje pismo, biskupi widocznie nie uzyskali zawczasu żadnych zapewnień co do wolności religji w okręgu Saary po włączeniu tegoż do Rzeszy — albowiem ledwie dokonało się to włączenie, rozpoczęły się tu takie same prześladowania religijne, jakie miały miejsce w innych prowincjach państwa. Nawet dziekan Schlicht z Saarbrücken, który najsilniej agitował za powrotem Saary do Niemiec, tylko dzięki ucieczce zdołał uchronić się od przeznaczonego mu zgóry losu — t. j. od zamknięcia i powolnej śmierci męczeńskiej w obozie koncentracyjnym, jak to się stało z dzielnym jezuitą, ks. Spickerem z Kolonji.

Po ukończeniu głosowania w Zagłębiu Saary walka narodowego socjalizmu przeciwko katolicyzmowi wzmogła się na nowo, przybierając niespotykane wpierw rozmiary. W jej służbę narodowi socjaliści zaprzęgli wszystkie swe siły. Mistrzowie propagandy Trzeciej Rzeszy dokonali wynalazku, który miał im umożliwić dyskredytowanie Naczelników Kościoła oraz zakonników wobec narodu, przyczem narodowi socjaliści nie potrzebowali narażać się na zarzut prześladowania religji. Pod pretekstem, iż należy wyświetlić wszelkie wykroczenia przeciwko zarządzeniom dewizowym, zaczęto nagle w styczniu 1935 r. na rozkaz policji państwowej napadać gromadnie klasztory, urządzać brutalne, po całych dniach trwające rewizje, w których nie oszczędzano nawet cel zakonnic, potem zaś poczęto aresztować zakonników i księży świeckich, którzy mieli pieczę nad majątkiem kościelnym. Następnie całemi tygodniami — grając komedję największego oburzenia moralnego — rozwlekano owe rzekome wykroczenia, określano je jako zdradę przeciwko narodowi, aż nakoniec odbyło się przed trybunałem specjalnym, złożonym z zaufanych narodowych socjalistów w charakterze „sędziów ludowych", t. zw. postępowanie sądowe, które skończyło się w znacznej ilości wypadków zasądzeniem rzekomych „winowajców" na wiele lat więzienia, a o którem społeczeństwo dowiadywało się tylko z urzędowych komunikatów, zredagowanych tendencyjnie, a nie-

rzadko kłamliwie. Te trwające zgórą rok procesy dewizowe, pomimo ustawicznego ich użytkowania pod względem propagandowym, nie przyniosły wynalazcom upragnionego i spodziewanego wyniku, albowiem ludność już zdążyła się przekonać, że wszelkie wiadomości urzędowe, im głośniej bywają roztrąbiane przez czynniki rządowe, tem mniej zawierają w sobie prawdziwej treści. Przeto obmyślono nowe środki propagandowe celem podburzenia ludności i podkopania autorytetu kościelnego. Przedewszystkiem młodzież hitlerowska zajęła się na większą skalę agitacją antykatolicką. Podczas biskupich wizytacyj diecezjalnych młodzi hitlerowcy poczęli przeszkadzać obrzędom bierzmowania i utrudniać młodzieży katolickiej udział w powitaniu biskupów. Z całego kraju nadeszły skargi na demonstracje urządzane przed plebanjami, na prowokacyjne śpiewanie wrogich i bluźnierczych pieśni. By tej kampanji przeciwko „politycznemu" katolicyzmowi nadać pożądaną skuteczność, ministrowie Rzeszy Frick i Goering wystosowali osobiście wezwania do ludności, nawołując do jednomyślności w walce i do całkowitego zeświecczenia życia publicznego. Teraz dano już upust wszelkim sztuczkom i sposobom propagandowym: nawet w najmniejszych wioskach jawiły się samochody ciężarowe pełne umundurowanych socjalistów, którzy przemowami i chóralnemi okrzykami podżegali ludność przeciwko Kościołowi i duchowieństwu, oraz rozdawali ulotki, pełne złorzeczeń przeciwko „politycznemu katolicyzmowi". Mnożyły się także i aresztowania duchownych na podstawie byle wzmianki w kazaniach, które były stale szpiegowane przez ajentów policji politycznej. Zdarzył się też wypadek podpalenia i zbezczeszczenia jednej ze świątyń westfalskich przez legjonistów austrjackich, nasłanych przez urzędowe czynniki narodowo-socjalistyczne. Nad Mozelą przywódca „młodzieżowy" zastrzelił jednego z młodych hitlerowców za to, że wbrew jego zakazowi brał udział w procesji Bożego Ciała. Około dwutysięczny tłum pielgrzymów, powitany w Rzymie przez Ojca świętego słowami ojcowskiej miłości i troski, został na granicy niemieckiej napadnięty, wśród drwin i szyderstw, przez policję państwową i ograbiony z całego mienia, nie wyłączając instrumentów muzycznych, namiotów, odzieży

oraz wywiezionych z Rzymu i poświęconych przez papieża pamiątek. Niepodobna wyliczyć choćby same najjaskrawsze wydarzenia ubiegłego lata, niejednokrotnie nie ustępujące bynajmniej w brutalności haniebnym postępkom bolszewików w pierwszych latach ich reżimu w Rosji. Ilekroć biskupi wnosili do władz państwowych zażalenia z powodu wypadków, jakie zachodziły w ich diecezjach, nie otrzymywali na skargi swe wogóle żadnej odpowiedzi!

Obrona wobec tej kampanji przeciwko Kościołowi i katolicyzmowi była początkowo mało skuteczna. Arcybiskup wrocławski, który w swem oświadczeniu o procesach dewizowych wzywał do zachowania postawy spokojnej i wyczekującej, musiał pod presją czynników rządowych pominąć w drugiem oświadczeniu sprawę prześladowania zakonów, zanim choćby jeden z rozpoczętych procesów został ukończony. Oświadczenie to, narówni z podobnem oświadczeniem arcybiskupa kolońskiego, wywarło na ludności katolickiej przygnębiające wrażenie. Małoduszności społeczeństwa, jaka dała się zauważyć po tych wszystkich przejściach, tamę w pewnej mierze położyły dwa śmiałe artykuły, drukowane w *Osservatore Romano* dn. 26 lipca i 4 sierpnia, a zwracające się bez ogródek przeciwko narodowemu socjalizmowi w samej jego istocie. W kilku diecezjach udało się odczytać je publicznie z kazalnic.

Wkrótce potem ukazał się list pasterski biskupów niemieckich, wydany w Fuldzie 20 sierpnia 1935, a zawierający konkretne sprzeciwy względem rozporządzenia ministrów Rzeszy, Fricka i Goeringa, ponadto zaś wskazówki w sprawie praktycznego postępowania wiernych tudzież zakaz czytania pozostających na indeksie książek narodowo-socjalistycznych i uczestniczenia w zgromadzeniach, w których ośmiesza się wiarę i Kościół. Co najważniejsza jednak, w liście tym położono na sercu rodzicom obowiązek posyłania dzieci tylko do takich stowarzyszeń, „w których szanuje się przekonania religijne, nie zagraża się czystości obyczajów, daje się zasadniczą i faktyczną sposobność do spełnienia obowiązku niedzielnego, nie drażni się honoru katolickiego przez obelgi pod adresem dostojników kościelnych oraz przez fałszowanie historji Kościoła i zapewnia się swobodę sumie-

nia". W zdaniu tem z dostateczną jasnością wyrażono, że związki młodzieży hitlerowskiej, idące torem Rosenberga, nie należą do tych stowarzyszeń, do których rodzice katoliccy mogą zapisywać swe dzieci. Można było przypuszczać, że rodzice, którym zależy na tem, by ich zaliczano do grona katolików, wycofają swe dzieci ze związków młodzieży hitlerowskiej i że nie będzie się już wprowadzało katolickich dzieci do owych organizacyj. Niestety nigdzie, nawet w kołach duchowieństwa, nie wyciągnięto z zakazu biskupów należytych konsekwencyj i wszystko zostało po staremu...

Niedostateczna i niezbyt zdecydowana obrona katolicyzmu rozzuchwaliła zarówno rząd, jak partję — i jesienią 1935 r. rozpoczęły się coraz ostrzejsze i coraz bardziej zajadłe ataki. Jeżeli dotychczas rząd nie odważał się jeszcze wtrącać biskupów i prałatów do więzień, to obecnie pozbył się wszelkich skrupułów i obaw. W październiku 1935 r. uwięziono najpierw biskupa Miśni wraz z jego wikarjuszem generalnym. Jako powód tego postąpienia podano, jak zwykle w podobnych wypadkach, wykroczenie przeciwko przepisom dewizowym. Pod innym pretekstem uwięziono w miesiąc później prałata Banascha, kierownika kościelnego Biura Informacyjnego w Berlinie; w tem, że ksiądz ten zgodnie ze swoją powinnością zawiadomił za pośrednictwem nuncjatury berlińskiej Stolicę Apostolską o zajściach dotyczących dziedziny kościelnej, dopatrzył się Hitler i jego powiernicy zdrady kraju. Dopiero dzięki energicznej interwencji Stolicy Apostolskiej uwolniono prałata Banascha po trzymiesięcznem więzieniu i zaniechano dalszego prześladowania, nie zaprzestając jednakże podniecania przeciwko niemu nienawiści.

Gdy rokowania rządu z biskupami niemieckimi w sprawie uregulowania stanowiska związków młodzieży katolickiej, podjęte w pierwszych dniach stycznia 1936 r., nie doprowadziły do żadnych rezultatów, gdyż biskupi sprzeciwili się manewrom sprzecznym z dążeniami Stolicy Apostolskiej, wówczas nastąpiła nowa serja prześladowań zwróconych przeciwko wspomnianym organizacjom młodzieży. W całym kraju uwięziono kierowników owych związków, z prałatem

Volkerem na czele, a to na podstawie śmiesznego twierdzenia, jakoby młodzież katolicka spiskowała z komunistami przeciwko państwu. Ta nowa, trwająca jeszcze do dziś dnia, akcja narodowych socjalistów wywołała wszakże tym razem wyraźniejszy i silniejszy opór. Stanowcze słowa jakiemi przemówił biskup Monasteru, Galen, w kazaniu wygłoszonem w Xanten dn. 9 lutego, winny zapalić serca katolików niemieckich i pobudzić ludzi świeckich do tak dziś potrzebnej aktywności. Słowa biskupa monasterskiego nie pozostaną napewno zjawiskiem odosobnionem, ale staną się sygnałem, że już przeminął czas wszelkich kompromisów.

IV.

W obecnej walce o swą egzystencję w Niemczech, Kościół katolicki ma (zupełnie inaczej, jak za lat bismarkowskiego Kulturkampfu) pewne jakby ubezpieczenie boczne w tych kołach protestanckich, które przeciwstawiają się czynionym przez narodowy socjalizm staraniom „zglajchszaltowania" protestanckich kościołów. Obraz sytuacji chrześcijaństwa w Niemczech byłby niezupełny gdybyśmy nie naszkicowali najważniejszych cech charakterystycznych w walce między narodowym socjalizmem a protestantyzmem.

Równolegle z zabiegami, mającemi na celu podporządkowanie katolicyzmu państwu oraz światopoglądowi narodowo-socjalistycznemu, szły analogiczne usiłowania narodowych socjalistów w stosunku do protestantyzmu. Widoki powodzenia na froncie protestanckim wydawały się przytem zgóry niekorzystne dla Hitlera, gdyż protestantyzm wskutek swego historycznego rozwoju był tak ściśle zrośnięty z państwem, w którego granicach żył i działał, iż jego czynniki rządzące uchodziły niejednokrotnie za rodzaj państwowego resortu. Szczególnie w Prusiech powiodła się już Fryderykowi Wilhelmowi III w r. 1817 próba złączenia w jedno obu głównych wyznań protestanckich; unja ta w zasadzie nie nie miała wpływać na stosunki wyznaniowe w poszczególnych gminach, w rzeczywistości jednak doprowadziła do takiego zmieszania wyznań, iż duchowni luterscy wedle uznania mogli być przenoszeni do gmin kalwińskich — i naod-

wrót. Do tego dołączyło się i to, że w kościołach protestanckich już oddawna utożsamiano protestancką przynależność kościelną z nacjonalizmem w polityce. Myśl kościoła narodowego, jaki odpowiada planom narodowego socjalizmu, była przeto niezbyt oddaloną od świata pojęć panujących w protestantyzmie. Również wiara w rasę, propagowana przez Hitlera i jego zwolenników, nie mogła być wedle powszechnego mniemania decydującą przeszkodą, skoro przecie pod wspólnym dachem „kościołów krajowych" *(Landeskirchen)* gnieździły się oddawna najprzeróżniejsze, najzupełniej nieraz z sobą rozbieżne poglądy w sprawie zasadniczych prawd chrześcijańskich, dochodzące nawet do zaprzeczenia czyto Boskiej natury w Chrystusie, czy Zmartwychwstania czy Zbawienia. Wobec takiego stanu rzeczy Hitler istotnie nie miał potrzeby lękać się, że wprowadzenie jakiegokolwiek nowego ujęcia chrystjanizmu — choćby nawet w tak materjalistycznej postaci, jaką było ubóstwienie narodu, lub wiara w „krew i ziemię" *(Blut und Boden)* — przyniesie rozbicie organizmu protestanckiego albo spotka się z jakimkolwiek poważniejszym oporem. Tu jednak zdarzyło się, coś takiego, co nietylko przyniosło rozczarowanie narodowym socjalistom ale i cały świat napełniło zdumieniem:

Oto z jednej strony dokoła drobnej w porównaniu z innemi kwestji: jak postępować z wychrzczonymi Żydami, z drugiej zaś strony dokoła zagadnienia organizacji protestanckich kościołów krajowych oraz ich stosunku do państwa — wszczął się w łonie protestantyzmu niemieckiego silny ruch, który obu wspomnianym kwestjom nadał takie znaczenie, iż odważył się nawet stanąć w ostrej opozycji w stosunku do rządu, nazywającego się rządem narodowym. Opozycja ta, nadająca sobie nazwę kościoła wyznaniowego, jest w dziejach protestantyzmu niemieckiego czemś zgoła nowem — a Hitler i jego zausznicy stanęli wobec niej bezradni. Liczebnie oceniając, trzecia część pastorów protestanckich należy do kościoła wyznaniowego *(Bekenntniskirche)*. Sama ta liczba świadczy, że tym razem nie chodziło o utworzenie jakiejś nowej małoznaczącej sekty w łonie protestantyzmu, ale że tworzył się nowy, głęboko idący rozłam,

którego trwałych następstw żadną miarą nie można było lekceważyć. Przyszły rozwój tej sprawy o tyle jeszcze trudno przewidzieć, że ów nowy rozłam dokonał się na zgoła innej płaszczyźnie, niż te, na których dotąd zachodziły wszelkie różnice w obrębie protestantyzmu. Wskutek tego kościół wyznaniowy musi przejąć do swych szeregów wszystkie te wewnętrzne tarcia i dążności, jakie są dziedzictwem protestantyzmu; wśród jego wyznawców znajdują się zarówno lutrzy, jak kalwini, zarówno liberali wszelkich odcieni, jak najsurowsi ortodoksi, co więcej, znaleźli tu się w pokaźnej liczbie nawet członkowie partji narodowo-socjalistycznej. Jedność polega tu jedynie na przeciwstawianiu się treści i formie regulowania spraw religijnych przez socjalizm narodowy. Przy tem wszystkiem nie da się zaprzeczyć, że ruch cały kierowany jest zasadniczo przez teologów protestanckich; o poważniejszym udziale ludzi świeckich można mówić tylko w kilku prowincjach, gdzie już dawniej życie religijne rozwijało się z większą bujnością.

Niepodobieństwem byłoby zobrazować tu szczegółowo przebieg walki na protestanckim froncie wyznaniowym. Widok, jaki przedstawia ta walka, jest tak zamącony przez najrozmaitsze zakusy narodowego socjalizmu, pragnącego coraz to innemi drogami dojść do jednego celu, przez nader chwiejną niekiedy postawę zwierzchników kościelnych i różnorodne prądy w obrębie protestantyzmu, iż nakreślenie wszystkich szczegółów zajęłoby zbyt wiele miejsca i czasu. Najlepsze — jak dotąd — przedstawienie wszystkich tych spraw znaleźć można we wspomnianem już dziele W. Guriana. W każdym razie winniśmy wspomnieć z uznaniem, że w szeregach protestanckich pastorów znalazło się sporo wybitnie odważnych i zręcznych bojowników. Wielu z nich bez wahania zgodziło się na utratę urzędu, a nawet więzienie, by nie pozostawać w konflikcie z sumieniem. Walkę na froncie protestanckim prowadzą hitlerowcy z równie wielką zajadłością, jak i bój przeciwko katolikom. Jeżeli jednak nikt nie wątpił, że w walce przeciwko katolicyzmowi Hitler spotka się z nieugiętością granitu, to mało kto spodziewał się, że protestantyzm w Niemczech okaże tyle siły żywotnej, jaką ma on jeszcze w dzisiejszej chwili.

V.

Walka socjalizmu narodowego o ujarzmienie Kościoła i zmedjatyzowanie Boga jest dziś w pełnym toku i wszystko przemawia za tem, że jeszcze nie osiągnęła swego punktu kulminacyjnego. Dorywcze przerwy, na jakie od czasu do czasu pozwala sobie napastnik, nie powinny nikogo mylić — sytuacja bowiem jest wciąż poważna. Przerwy te wynikają niekiedy ze względu na politykę zagraniczną (głosowanie w okręgu Saary czy rokowania z Anglją w r. 1935) albo pochodzą stąd, że narodowi socjaliści zdają sobie dobrze sprawę, iż nawet najsurowszy terror traci swą skuteczność, jeżeli co pewien czas nie przeplata się go spokojniejszemi napozór okresami. W każdym razie na podstawie trzech pierwszych lat walki można już teraz ustalić pewne wnioski, jakie narzucają się uważnemu obserwatorowi dotychczasowych wydarzeń.

Do wniosków tych należy przedewszystkiem to, że wobec takiego świadomego swych celów i bezwzględnego przeciwnika, jakim jest narodowy socjalizm, błędem jest wszelka połowiczność i kompromisowość. Dziś jeszcze ma wagę to, co pisało w sierpniu 1935 roku szczerze katolickie pismo *Der Deutsche in Polen:*

„Właśnie ustępliwość katolików dodaje narodowemu socjalizmowi śmiałości do coraz to bezwzględniejszego prowadzenia walki przeciw katolicyzmowi. Dziś nie wystarcza wskazywać na znikomość i niedorzeczność światopoglądu narodowo-socjalistycznego, jeżeli jednocześnie przeciwko temu światopoglądowi nie wystąpi chrześcijaństwo, stawiające jasno i niedwuznacznie swe żądania, a dowodzące swej słuszności czynami, nadewszystko zaś ofiarą. Albowiem pochopność do kompromisów i płynąca stąd nasza słabość wynika przedewszystkiem z braku odwagi wyznawczej i z braku ofiarności".

Rozbudzenie tej odwagi i ofiarności wśród ludzi świeckich, jest naglącem zadaniem społeczeństwa i jego zwierzchników w obecnej sytuacji. Wprawdzie nie można zaprzeczyć, że u wielu katolików daje się coraz to wyraźniej zauważyć wierność i przywiązanie w stosunku do biskupów i księży,

gorliwość w spełnianiu obowiązków kościelnych, oraz częstsze przystępowanie do Sakramentów św. Rozpowszechnia się też już w szerszych kołach prawdziwych katolików to przekonanie, że bolszewizm i narodowy socjalizm są sobie pokrewne nietylko w metodach działania, ale i w swej istocie. Ale obok tych szczerych wyznawców jest wielu i takich, którzy wprawdzie chcieliby uchodzić za dobrych katolików, a jednakże pozostają bez skrupułu czynnymi członkami partji narodowo-socjalistycznej i jej organizacyj, wzmacniając przez to front nieprzyjacielski; są i tacy, którzy bez zastanowienia — wbrew listowi pasterskiemu z r. 1935 — wprowadzają swoje dzieci do grona młodzieży hitlerowskiej, narażając ich serca na najgorsze niebezpieczeństwa. Jeżeli obserwatorowi dzisiejszych stosunków w Niemczech wyda się to rzeczą zastanawiającą, że ludzie świeccy okazują tak mało aktywności katolickiej i małą jakoby ofiarność, tedy pod uwagę winien wziąć dwie okoliczności:

Po pierwsze katolicy niemieccy nawykli do tego, by na terenie życia publicznego występować w ramach organizacyjnych. Okres rozkwitu organizacyj katolickich mających na celu stwierdzenie katolickiej żywotności w różnych dziedzinach, wzmocnił wprawdzie niezwykle ducha kolektywnego wśród katolików, ale nie wykształcił w równej mierze odwagi do indywidualnych wystąpień świadomie katolickich. Ponieważ dziś zostały zwinięte wszelkie organizacje, w których rozwijało się życie katolickie poza obrębem murów kościelnych, i ponieważ przeciwko wszechpotężnym i bezwzględnie tłumiącym wszelki opór organizacjom narodowo-socjalistycznym stoi przy każdem starciu z niemi zawsze tylko jednostka katolicka, przeto tym jednostkom tak odosobnionym aż nazbyt często brak odwagi i chęci oporu, który w danej proporcji sił wydawać się musi bezcelowym. Gdzie natomiast możliwe jest jeszcze ukazywanie się zbiorowe, jak np. w czasie pielgrzymek i procesyj, wówczas udział staje się silniejszy niż był kiedykolwiek dawniej. Pilnem jest przeto zadaniem, by jednostce katolickiej odjąć to poczucie osamotnienia, wlać w nią pewność, że nie jest bynajmniej zdana na własne tylko siły, ale że wiedzie ją wielka i wcale nie bezsilna gromada współwiernych; jeżeli

to się uda, tedy i wróg, wierzący przecie tylko w masę ludzką, nabierze respektu...

Drugim powodem dającej się aż nazbyt często zauważyć chwiejności ludzi świeckich jest brak jasnych i niedwuznacznych dyrektyw co do praktycznego ustosunkowania się względem partji narodowo-socjalistycznej oraz jej odgałęzień. Niezdecydowani katolicy, co to nie chcieliby niczego stracić ani po tej ani po tamtej stronie (Panu Bogu świeczka i djabłu ogarek!), powołują się na to, że Kościół nie zabronił przynależności do ruchu narodowo-socjalistycznego, że więc nie można im brać tego za złe, jeżeli stają się czynnymi uczestnikami tego ruchu i dążą do uzyskania urzędów i godności w partji. Ze strony prawdziwych katolików słyszy się jednak coraz częściej życzenie, by w stosunku do tak niebezpiecznej herezji, jaką zawiera w sobie narodowy socjalizm, Kościół zajął stanowisko równie ostre i wyraźne jakie zajął był oddawna wobec marksizmu czy wobec *Action Française*. Niejasna sytuacja, jaka nastała po oświadczeniu episkopatu niemieckiego z dn. 28 marca 1933 r., nie może się utrzymać zbyt długo. Zasada „Kto nie jest za mną, jest przeciwko mnie", winna obowiązywać i tutaj. Mniemanie, że przez uczestnictwo katolików w partji narodowo-socjalistycznej sama partja zczasem nasiąknie duchem przyjaznym Kościołowi, przeocza tę ważną okoliczność, że w systemie opartym na zasadzie „kierownictwa" *(Führerschaft)* niższe czynniki żadną miarą nie mogą mieć własnego zdania, oraz że *Nazi-Katholiken* są wystawieni na ustawiczne oddziaływanie niestrudzonej a kłamliwej propagandy, której rozkładowemu wpływowi tylko nader nieliczne jednostki mogą się oprzeć przez czas dłuższy. Im wcześniej episkopat niemiecki będzie miał daną możność ogłosić jasny i nieuchronny już odtąd zakaz należenia do partji narodowo-socjalistycznej, tem lepiej dla wiernych, a tem samem i dla Kościoła.

VI.

By wprowadzać w błąd powszechną opinję świata, rząd niemiecki i partja rządząca będą nadal zaprzeczać, jakoby zwalczały Kościół i katolicyzm. Wobec tego wystarczy jed-

nak z bilansu pierwszych trzech lat panowania narodowo-socjalistycznego wskazać następujące wymowne fakty:

Setki księży i zakonników pozamykano w domach poprawy, więzieniach i obozach koncentracyjnych za to, że za przykładem św. Jana Chrzciciela wzbraniali się uznać niesprawiedliwość za sprawiedliwość —

głoszenie nauki Chrystusowej poddano cenzurze policyjnej —

zerwano łączność biskupów z wiernymi —

zawiadamianie Stolicy Apostolskiej o sprawach kościelnych uznano za zdradę państwa —

organizacje życia katolickiego rozbito, wielu naczelników tych organizacyj uwięziono, majątek organizacyj skonfiskowano —

duchowieństwo i wiernych pozbawiono wszelkiej opieki prawnej i wystawiono na wszelką samowolę policji państwowej —

najwymowniejszym jednak faktem będą świeże mogiły licznych męczenników, począwszy od ofiar 30 czerwca 1934 r., a skończywszy na wielu bezimiennych ofiarach nieludzkiego okrucieństwa, jakie padły wszędzie po całym kraju i o których nawet głośno wspominać nie wolno...

Czy w obliczu tych wszystkich faktów odważy się ktoś jeszcze głosić, że rządy narodowych socjalistów są błogosławieństwem dla kultury chrześcijańskiej? Zali raczej nie ma słuszności mężny biskup Monasteru, godny następca i rodak niezapomnianego biskupa v. Kettelera, gdy w kazaniu swojem, wygłoszonem w Xanten, zastosował do Kościoła w Niemczech owe słowa:

„Nasz Kościół — jest Kościołem męczenników?"

Jan Karol Hulczyński.

Ruch korporatywny w Portugalji.[1])

Niesposób zrozumieć organizację korporatywną w Portugalji, jeżeli się jej nie umieści w ramach nowego ustroju wprowadzonego przez Salazara, i jeśli samego tego ustroju nie oprze się na tle Portugalji i jej dziejów.

Geograficznie Portugalja stanowi część półwyspu Iberyjskiego, którego ośrodkiem jest centralne płaskowzgórze, surowe i pustynne, lecz otoczone oazami. Jedną z tych oaz jest Portugalja, pokrewna Hiszpanji, lecz nigdy przez nią nie zdobyta ani pochłonięta, tak jak pomimo rasowego pokrewieństwa, różni się Holandja czy Szwajcarja od Niemiec, albo Szwecja od Norwegji. Portugalja zwrócona całym swem wybrzeżem do Atlantyku jest krajem o cechach wybitnie oceanicznych, tak pod względem klimatu, jak obyczajów, charakteru i historji. Cały ten kraj strukturą swoją pochylony do Oceanu odczuwa w najdalszych swych zakątkach atrakcję tych morskich przestworzy, czem tłumaczą się więzy łączące go z innemi krajami nad tymże Oceanem położonemi, jak z Francją, Anglją, Belgją, Holandją i Skandy-

[1]) Postać i dzieło wielkiego dyktatora Portugalji, który pocichu a z ogromną konsekwencją wprowadza w swym kraju ustrój, do jakiego dąży już wiele państw Europy, budzi coraz większe zainteresowanie chrześcijańskiego świata. Niniejsza praca pochodzi z pod pióra znanego autora książki *L'Europe tragique* i obecnego prezesa Unji katolickiej badań międzynarodowych hrabiego Gonzague de Reynold. Autor, który przygotowuje obszerniejsze dzieło o Portugalji, wygłosił tę rzecz jako odczyt dn. 15. II. b. r. w Fryburgu Szwajcarskim, wśród serji konferencyj poświęconych aktualnym zagadnieniom współczesnym. Jesteśmy bardzo wdzięczni czcigodnemu Autorowi za powierzenie owego odczytu naszemu pismu. *(Przyp. Red.)*

nawją. Stąd charakter Portugalji europejski, zachodni, w odróżnieniu od Hiszpanji, o cechach więcej afrykańskich. Dzięki tej atrakcji Oceanu, powstał w tym małym kraju naród wielkich żeglarzy i kupców, kolonizatorów i zdobywców, który pierwszy dał sygnał do wielkich zamorskich zdobyczy i wyzwolił Europę ze zbyt ciasnych ram, w które ją zamknął świat rzymski i w których zaczynała dusić się i kurczyć. Portugalczycy pierwsi odkryli drogę do Indyj przez Przylądek Dobrej Nadzieji, zdobyli Brazylję i pierwsi okrążyli kulę ziemską. Do dziś dnia posiadają wielkie imperjum kolonjalne, trzecie po Anglji i Francji; dość przypomnieć, że jedna tylko ich kolonja, Angola, jest tak wielką jak Niemcy, Polska i mała Ententa razem wzięte.

Portugalja nie jest krajem przemysłowym; wielki przemysł stawia tu dopiero pierwsze kroki, ale rozwija się jednak dość szybko o ile pozwala na to niedostateczny rozwój ekonomiczny kolonij. Coprawda Portugalja będzie miała znaczne trudności w rozwinięciu wielkiego przemysłu, ze względu na silną konkurencję zagraniczną i na rozdrobnienie warsztatów. Tak np. Portugalja posiada duże bogactwa mineralne, jak złoto, cynk, miedź, ołów, żelazo, wolfram, węgiel, ale nie może ich odpowiednio wyzyskać i skoncentrować z powodu rozproszenia kopalń i małej zasobności. To też Portugalja importuje prawie dwa razy więcej jak wywozi. W tych warunkach przemysł portugalski ma raczej cechy rzemieślnicze i jest ściśle związany z handlem i rolnictwem. Na ogólną ilość mieszkańców 6.400.000 około 1.300.000 pracuje w przemyśle o charakterze rzemieślniczym. Handlem zajmuje się 370.000 ludzi, a rolnictwem 3.200.000, czyli rolnictwem zajmuje się połowa ludności, a nawet więcej, jeżeli weźmie się pod uwagę, że wielu rzemieślników i drobnych kupców jest ściśle związanych z rolą. Sposobem pracy, obyczajami Portugalja pozostaje o jakie 50—80 lat poza zachodnią Europą, a dyktatura obecna nastąpiła w chwili, gdy kraj zaczynał się budzić do ogólnych przeobrażeń, znamionujących obecny stan świata.

Lecz każdy naród zależny jest od własnej historji, jest takim jakim go historja stworzyła i tworzy. A ponieważ w dziejach Portugalji jak w dziejach innych narodów dzia-

łają pewne siły czy charaktery o cechach stałych, należy je tu przedewszystkiem odnaleźć.

Pierwsza z tych cech jest konsekwencją geografji i położenia, które Portugalja zajmuje w półwyspie iberyjskim, i którą możnaby nazwać negatywną wolą narodu. Portugalja zawsze dobrze wiedziała czego nie chce, i tak miała zawsze głębokie poczucie niepodległości, nieraz stwierdzone bohaterstwem np. wobec Rzymu w początkach swych dziejów w II. w. przed Chr., wobec Francji w czasie wielkiej rewolucji i cesarstwa, a zwłaszcza wobec Hiszpanów. Portugalja zrodziła się tak jak Hiszpanja, wśród walk Wizygotów przeciwko Muzułmanom, ale wygnała tych ostatnich o przeszło dwa wieki wcześniej, bo między 1147 a 1249 r. Portugalja i Hiszpanja wyrosły z tego samego pnia dziejowego, ale Portugalja odłączyła się od wspólnej historji, tak jak Szwajcarja oderwała się od dziejów Świętego Cesarstwa wyswobodzając się z pod jarzma Habsburgów. Od XII do XVIII w. prowadziła Portugalja dziesięć wojen z Hiszpanją, prawie zawsze w obronie swej niepodległości.

Lecz jeżeli Portugalja dobrze wiedziała czego nie chciała, to rzadko zdawała sobie sprawę z tego, czego pragnęła i tę wolę narodu musieli rozumieć i wskazywać, nieraz wbrew chwilowym nastrojom ogółu, królowie i dyktatorzy. Stąd niezależność wobec obcych, ale zależność od własnych wad i narowów. Historja Portugalji wykazuje stałą chorobę, jaką są wieczne niesnaski, brak ładu i dyscypliny. I to jest niestety druga cecha tego narodu. Jest jeszcze trzecia, która zbliża Portugalję do Szwajcarji i która zawsze uderzała historyków, t. j. tak zwany federalizm. W tem określeniu zatrzymuję znaczenie łacińskiego źródłosłowu „*foedus*", przymierze, umowa, która zobowiązuje przez przysięgę na wiarę i honor. Jest to pojęcie średniowieczne, chrześcijańskie, to też w rzeczywistości jak Szwajcarja tak Portugalja jest zabytkiem średniowiecza. Jest ona, znów wzorem Szwajcarji, krajem stworzonym z oddzielnych komórek. Za wyjątkiem południowej równiny Alemtejo, jest krajem gór, przedzielonych dolinami. W tych warunkach podstawą narodu portugalskiego jest ustrój społeczny, przedewszystkiem rodzina. Duch rodzinny jest tam do dziś dnia bardzo mocny, zwła-

szcza u włościan, lecz także u robotników. Tradycje rodzinne są silnie zakorzenione, a rodziny mają naturalną dążność do łączenia się w związki rodzinne, które są liczne u górali i u rybaków. Z rozmaitych powodów, zwłaszcza z powodu licznej emigracji mężczyzn, autorytet rodzinny przybiera nieraz formę matrjarchatu i pochodzenie po linji żeńskiej ma większe znaczenie niż descendencja męska. Przytem zaznaczyć należy, że jeżeli Portugalczyk nie jest ani organizatorem, ani oszczędnym ani przezornym, nie mniej posiada wrodzony zmysł wzajemnej pomocy i solidarności. Ponieważ skądinąd naturalne warunki podniosły znaczenie portów i targowisk łatwo zrozumieć wagę, jakiej tu nabierają stowarzyszenia i gminy. To też w Portugalji gmina jest drugim po rodzinie czynnikiem tworzącym naród. Ustrój municypalny posiada tam dawne tradycje, sięgające do czasów rzymskich, później królowie Wizygoci dostosowali go do ustroju feodalnego, a Maurowie pozostawili nietkniętym. Królowie portugalscy szukali poparcia w gminach tak przeciwko szlachcie feodalnej, jak i przeciwko Kastylji i dlatego obdarzali gminy przywilejami tak hojnie, że z końcem XVI w. wszystkie znaczniejsze wsie i miasta posiadały autonomiczny ustrój.

Pojęcie gminy wiąże się ściśle z pojęciem korporacji, to też Portugalja posiadała do XIX w. bardzo starą i silną organizację korporatywną, której pierwsze ślady znajdujemy już w r. 1383, choć niewątpliwie rzecz sama jest znacznie starsza. W Lizbonie 12 cechów głównych wybierało każdy po dwóch przedstawicieli do Głównej Rady Korporatywnej, zwanej „Domem dwudziestu czterech", ci zaś wybierali sędziego ludu, który miał wolny dostęp do króla i który przy uroczystych aktach stawał zawsze po lewej stronie tronu. Ustalił się też zwyczaj, że gdy król spotykał sędziego ludu na ulicy, zawsze zatrzymywał się przy nim na chwilę rozmowy, co daje miarę znaczenia, jakie posiadał przedstawiciel korporacyj rzemieślniczych. Pierwszym sędzią ludu był bednarz. W 1552 było w Lizbonie 335 cechów męskich i 49 kobiecych liczących razem 20.500 członków. Wyjątek stanowili rzeźnicy, którzy nie byli dopuszczani do korporacyj, gdyż z ich grona obierano zastępcę kata. W archi-

wach miasta Oporto, które miało także swój „Dom dwudziestu czterech" znajdują się ciekawe dane co do organizacji zawodów; przebija w nich surowość dyscypliny korporacyjnej i przezorność przepisów.

W Portugalji korporacje miały z początku charakter religijny jako rodzaj bractw, ale były one zarazem organizacjami wzajemnej opieki i ubezpieczeń, przyczem gwarantowały uczciwość zarobków i wartość roboty. Istniała w nich hierarchja trzystopniowa: uczniowie, wyzwoleni towarzysze i majstrowie. Żaden towarzysz nie mógł otwierać warsztatu o ile uprzednio nie był robotnikiem przez cztery lata, chyba, że był synem majstra. Dostęp do cechu był wzbroniony włóczęgom i przestępcom a także uczniom, którzy opuścili swego majstra. Żeby móc być wybranym do Rady dwudziestu czterech trzeba było być Portugalczykiem, katolikiem, umieć czytać, pisać i rachować, być żonatym i udowodnić, że się przeszło przez wszystkie szczeble hierarchji cechowej. Cudzoziemcom, Żydom jako też t. zw. „nowym chrześcijanom", t. j. żydom nawróconym przemocą, były cechy zamknięte. W korporacjach portugalskich nauka była mniej długą i mniej kosztowną jak gdzie indziej. Skarb królewski nie miał prawa nakładać na korporacje jakichkolwiek podatków. Mimo to nie dosięgły one nigdy wspaniałego rozwoju korporacyj flamandzkich, niemieckich, czy włoskich, ale ich ustawy były uważane za najmądrzejsze w Europie. Ostatnie organizacje korporatywne zostały zniesione 7 maja 1834 r. co dowodzi, że tradycje tego ustroju nie są jeszcze w Portugalji odległą przeszłością. Wprawdzie obecny ustrój korporatywny jest zasadniczo odmiennym od dawnego, ale Salazar i jego współpracownicy starają się nawiązać go do dawnej tradycji narodowej.

Wreszcie jest jeszcze jedna cecha charakterystyczna dziejów Portugalji a mianowicie naturalne dążenie tego małego kraju do wyzwolenia się z ciasnych ram istnienia i do przedsiębrania wielkich zadań. Ta naturalna potrzeba jest natchniona ideą misyjną, która ma swoje źródło w wojnach krzyżowych, w walce chrześcijan przeciwko Muzułmanom. Gdy Portugalczycy wygnali Maurów ze swej ojczyzny, poszli oni walczyć z niewiernymi w ich własnych krainach, w Maroku

i dalej wzdłuż wybrzeży afrykańskich. Po zaniku myśli zdobycia miejsc świętych na najbliższej drodze poczęto szukać sposobów dopięcia celu drogą okrężna, przez Indje. Gdy jednak przekonano się, że i ta droga nie doprowadzi do wygnania Muzułmanów z Palestyny, ani do ich uchrześcijanienia, zdano sobie sprawę, że są inne pogańskie ludy do nawrócenia: na dalekim Wschodzie, w Afryce i Ameryce. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że wielkie odkrycia, jakich Portugalja dokonała miały podłoże mniej romantyczne: były one starannie obmyślane w politycznych i ekonomicznych celach. Lecz gdyby nie ideał wojen krzyżowych i nawracania niewiernych nie byłyby one przeprowadzone z takim zapałem i z takiem bohaterstwem. Nie można o tem wątpić, gdy się zna ducha, jakim był natchnionym Infant Henryk, asceta w duchu średniowiecza, a zarazem wielki uczony i umysł ciekawy w stylu czasów Odrodzenia, któremu Portugalja zawdzięcza inicjatywę wielkich swoich zamorskich zdobyczy. Zresztą sama Portugalja zrodziła się z idei walki z niewiernymi, gdy w r. 1085 Rajmund i Henryk Burgundzcy nie mogąc dostać się do Ziemi Świętej, przybyli walczyć z Maurami na półwyspie Iberyjskim i dali początek niepodległości portugalskiej.

Śledząc przeszłość dziejową Portugalji widzimy w niej ten sam pierwiastek ideowy, którym jest natchniony i obecny dyktator Salazar, to jest pragnienie dokonania wielkiego i trudnego dzieła, które byłoby zarazem dziełem zbawienia, oraz dążność do wypełnienia narodowego i chrześcijańskiego posłannictwa. Ta ideologja jest duszą obecnych, bardzo śmiałych a zarazem ostrożnych i naukowo przygotowanych reform, wprowadzonych stopniowo a konsekwentnie przez Salazara.

* * *

Jednakowoż Portugalja była krajem zbyt słabym i małym, żeby móc długo wytrzymać rozmach wielkich odkryć. Liczyła ona w XV i XVI w. 1.200.000 mieszkańców. Kraj się wyludniał, ziemia leżała odłogiem, prócz tego ruch antysemicki Inkwizycji pozbawił Portugalję tych kupców i bankierów-żydów, którzy mieli do odegrania tak ważną rolę

w zamorskiej ekspansji. Do tego klęska w 1578 w bitwie z Hiszpanami pod Alcazar-Quivir spowodowała zupełne załamanie, które wyzyskali rywale Portugalji, głównie Holendrzy, burząc imperjum indyjskie, podczas gdy niesnaski wewnętrzne doprowadziły do 60-o letniej okupacji hiszpańskiej. Wprawdzie, dzięki tej sprężystości, jaka leży w charakterze Portugalczyków, Hiszpanie zostali wygnani i kraj oswobodzony pod berłem dynastji Braganzów, ale wówczas już rozpoczął się długi okres stopniowego upadku Portugalji, który dopiero obecnie został powstrzymany przez Salazara. Wystarczy krótko streścić główne etapy tej dekadencji: hegemonja angielska narzucona traktatem w Methwen (1703), wpływ i rozwój idei filozoficznych i liberalnych XVIII w., dyktatura margrabiego de Pombal na pozór reformatorska, ale w skutkach destrukcyjna, gdyż dała początek antyklerykalizmowi i zerwaniu z tradycjami narodowemi; trzy najazdy francuskie (1807, 1809 i 1810—1811), które zniszczyły i zdemoralizowały kraj doszczętnie; utrata Brazylji w 1822, która pociągnęła za sobą chroniczny deficyt skarbu; niesnaski między dwoma linjami rodziny królewskiej, których skutkiem była wojna domowa i liberalna konstytucja z r. 1826, która znowu stała się przyczyną politycznego upadku, przy niestałości partyjnych rządów; zamordowanie króla Karola I. (1908) i wreszcie nastanie skandalicznych rządów republikańskich. Samo się przez się rozumie, że od XVIII w. wpływy masonerji stały się w Portugalji wszechpotężne. Żeby dobrze pojąć, czem była rewolucja narodowa z r. 1926, stworzenie nowego ustroju i reformy Salazara, a zatem żeby sobie zdać sprawę czem jest organizacja korporatywna, należy sobie uprzytomnić, do jakiej ruiny materjalnej, do jakiego upadku moralnego, do jakiego stanu bezładu i nawet anarchji doprowadził Portugalję najprzód ustrój parlamentarny a potem demokratyzm republikański.

Parlamentaryzm i republikanizm potrafiły tylko niszczyć, a były niezdolne do odbudowy czegokolwiek. Portugalja stała się pastwą partyj, które pokolei zdobywały rządy kraju, a przez przekupstwo wyborcze i faworytyzm zagarniały posady dla swoich zwolenników, tuczyły ich i znieprawiały. Ustrój republikański miał tylko jeden cel na oku

to jest antyklerykalizm: środkami były konfiskaty i prześladowania, zmierzające do zupełnej dechrystjanizacji kraju. Od uchwalenia konstytucji w 1911 r. do rewolucji narodowej w 1926 ustrój republikański zużył 8 prezydentów, z których jeden, najlepszy, Sidonio Paes został zamordowany i 44 rządy. Przez tych 15 lat żaden minister nie utrzymał się u władzy dłużej jak miesiąc, a rewolucyj i zamachów stanu było 20. Fala strejków tak się wzmogła, że od 1852 do 1891 było ich 54, a od 1920 do 1925 liczba ich dosięgła 158. Teroryzm panował wszechwładnie; zabójstwa polityczne, rzucanie bomb były na porządku dziennym. Co do finansów, już w 1891 waluta złota została porzuconą, a po wojnie światowej dewaluacja postępowała gwałtownie. Deficyty budżetowe wynosiły do 1893 sumę 134 miljonów milreisów. W 1926 długi bieżące wynosiły już 400 miljonów, a dług wewnętrzny skarbu wzrósł do 2 miljardów 600 miljonów. Ustrój republikański tak zaprzepaścił skarb publiczny, że w rezultacie zdawało się nie być innego wyjścia, jak oddać się pod opieką i kontrolę Ligi Narodów.

* * *

Z tem dochodzimy do nowego ustroju i reform przeprowadzonych przez Salazara. Ażeby móc sprawiedliwie i bezstronnie je osądzić, nie można zapominać o stanie rzeczy poprzednio opisanym. Nie należy też zapominać o zupełnej klęsce zasad demoliberalnych i ustroju parlamentarnego, które doprowadziły Portugalję do stanu bodaj gorszego, jak rewolucja bolszewicka Rosję przed wprowadzeniem pięcioletniego planu. Oczywiście bolszewizm rosyjski jest ohydą, w każdym razie jednak coś stworzył i coś zbudował, t. j. przynajmniej potężną armję i silny przemysł, które zrobiły z Rosji potęgę nielada.

Patrząc na Portugalję należy zawsze mieć przed oczyma charakter narodowy, który, jak u wszystkich południowców, zwłaszcza iberyjskich, odznacza się rodzajem niedbałej nieprzezorności i wybujałym indywidualizmem. Wprawdzie ten indywidualizm jest osłabionym przez naturalny instynkt solidarności społecznej i przez głęboko zakorzenione tradycje

rodzinne, a wrodzona nieprzezorność znajduje przeciwwagę w tych nagłych heroicznych reakcjach ostatniej chwili, których liczne dowody dają dzieje Portugalji. Ale jeśli Portugalczykowi nie brak energji, to brak mu wytrwałości i inicjatywy. Muszą inni, u władzy będący, lub państwo mieć tę wytrwałość i brać te inicjatywy, których on nie chce się podjąć. Jest on z natury inteligentny i pojętny, a przez to łatwo go wychować, ale sam siebie wychować nie umie. Nerwowy, sentymentalny do najwyższego stopnia, jest zdolny do dużego wysiłku fizycznego, ale pod warunkiem, żeby ten wysiłek nie trwał za długo; zato jest mniej zdolnym do wysiłku moralnego i nie umie znosić cierpień moralnych. Naród artystów i poetów, o wiele mniej myślicieli, posiada umysł błyskotliwy, ale powierzchowny. Portugalczyk zapatruje się na naukę jako na pewien zespół abstrakcyjnych wiadomości, bez związku z życiem praktycznem; jak wszystkie narody łacińskie, ma pociąg do pojęć ogólnych, ale nigdy nie myśli o ich zastosowaniu i ich związku z faktami. I tu także trzeba, żeby inni za niego myśleli. Trzeba też, żeby ten człowiek, we wszystkiem niedokładny, nauczył się, że czas to pieniądz i to pieniądz nietylko jego, ale i całego narodu. Pomimo spustoszeń dokonanych przez liberalizm i republikę zachował on przywiązanie do tradycji i pozostał w gruncie religijnym, ale nie nadążył za innemi narodami i ma cały wiek do odłapania. Z drugiej strony posiada on naturalną kulturę, która nadaje się do rozwoju, lecz wymaga wielkiej ostrożności w zastosowaniu oświaty powszechnej do narodu, w którym pozostało jeszcze trzy czwarte analfabetów. Portugalczyk musi jeszcze nauczyć się szanować Państwo, a nie wyłącznie na nie się spuszczać; musi pojąć, że własność państwa jest jego własnem dobrem, a nie zdobyczą do rabowania; musi nauczyć się współpracować z Państwem, szanować prawa i przepisy, organizować się i pracować. Lecz pomimo swych wad jest łatwym do rządzenia, można dużo po nim się spodziewać, jeśli zrozumie o co chodzi i jeśli kto umie wyzyskać jego miłość własną. Jest gorącym patrjotą, któremu potrzeba ideału wielkości i chwały i posiada jeszcze rycerskie poczucie honoru. Nie jest zdolny do niczego bez autorytetu, któryby go podtrzymał i kierował

ale nie należy mu gwałtu zadawać; władza winna działać na niego stanowczo i konsekwentnie ale niezbyt pospiesznie.

* * *

Rewolucja narodowa była dziełem armji, która oddała władzę kilku generałom i pułkownikom, pełnym dobrej woli, ale niekompetentnym do objęcia rządów. Mieli oni wprawdzie kilka myśli wytycznych, jak ratunek ojczyzny, a następnie zniesienie parlamentaryzmu i partyj, ale byli bez nauki, niezdolni do opracowania nowej konstytucji, a zwłaszcza zupełnie nie znali się na finansach państwowych. Ale za to jednak zdobyli sobie wielką i niespożytą zasługę, zwłaszcza generał Carmona, obecny prezydent rzeczypospolitej, wielki patrjota, energiczny a skromny zarazem, że przywołali i utrzymali u władzy Salazara.

Antonio Oliveira Salazar nie jest wojskowym, lecz profesorem, który zachował metody naukowe swego fachu, zamiłowanie do pracy samotnej w ciszy swego gabinetu, gdzie nie wolno mu przeszkadzać. Ścisły aż do pedanterji, zrównoważony, ostrożny, nieco powolny, a niezłomny w zasadach, Salazar posiada wszystkie zalety, których brak jego współziomkom i które są niezbędne do dzieła narodowego odrodzenia. Ten specjalista w dziedzinie ekonomicznej rozpoczął wyższe studja od teologji, otrzymał nawet pierwsze święcenia i miewał kazania w swojej parafji. Pomimo, że powołania duchownego nie poczuł, zachował pełnię wiary i pobożności. Ze swych studjów teologicznych zachował poczucie powszechności, sprawiedliwości i moralności, a także metodę polegającą na wyciąganiu z zasad praktycznych zastosowań. Pozatem jest on chłopem, góralem z pochodzenia; z tego skromnego początku i twardego wychowania, jakie od matki otrzymał, zachował realizm, zmysł praktyczny, zrozumienie i pociąg do oszczędności, przywiązanie do ziemi i gorący patrjotyzm, a jednocześnie ostrożność połączoną z wytrwałością. Ten profesor, teolog, Portugalczyk najlepszego gatunku, jest przedewszystkiem administratorem, nie ma nic z polityka. Nie wyszedł z polityki, a to jest niezbędnym warunkiem, by tworzyć na nowych podstawach, być wodzem, zmienić atmosferę i poglądy. Nigdy

władzy nie pożądał i nigdy jej nie szukał, przeciwnie, wszystko robił, żeby jej uniknąć. Wziął władzę w swe ręce z obowiązku, dla kraju, ale o nią nie dba i ciężar jej znosi, jak chrześcijanin dźwiga swój krzyż. Sposób jego życia nad wyraz skromny, kryształowa czystość i abnegacja zaskarbiły mu autorytet moralny jeszcze większy niż polityczny. Ten człowiek czterdziesto-sześcioletni jest w dzisiejszych czasach bezwzględnie najwyższą moralnie postacią wśród mężów stanu.

* * *

Przystąpmy już do samego ustroju, jaki stworzył. I tutaj znowu, żeby móc należycie go osądzić, trzeba podkreślić zwłaszcza dwa fakty: pierwszy jest historyczny, że w Portugalji dyktatura nie jest objawem wyjątkowym, lecz tradycją, dawniejszą od ustroju parlamentarnego. Jeżeli w ciągu XIX w. nie wszystko było w Portugalji negatywne, jeżeli pewne reformy zostały przeprowadzone i pewien postęp osiągnięty, to nigdy sposobem konstytucyjnym, ale metodami dyktatorskiemi. Drugi fakt dotyczy obecnego ustroju: Salazar był wprawdzie ministrem skarbu od 1928 r., ale szefem rządu dopiero od 1933, konstytucja zaś, którą opracował, weszła w życie w r. 1934. Ustrój więc obecny jest dopiero w swych zaczątkach, a Salazar dyktatorem z konieczności, wbrew swemu temperamentowi i upodobaniom. Nie należy także zapominać, że Salazar jest przedewszystkiem wychowawcą, a celem jego jest zreformować wychowanie narodu, wychowanie polityczne, społeczne, ale przedewszystkiem moralne. Jeżeli niezwłocznie narzucił krajowi pewne instytucje, jak system korporacyjny, nie czekając, aż sam się wytworzy, co byłoby zresztą w Portugalji niemożliwem, to dlatego, że widział w niem potężny środek wychowawczy i zbudowanie gmachu szkolnego, zanim się uczniów do niego powoła.

Salazar zaczął od najpilniejszego zadania, jakiem było uzdrowienie finansów. Od chwili, gdy 27 kwietnia 1928 r. zasiadł przy biurku ministra skarbu, w ciągu kilku miesięcy, bez mów i publicznych występów przywrócił równowagę budżetową, spłacił bieżące zobowiązania zagraniczne, wy-

kupił bony skarbowe, zmniejszył dług państwa z półtora na pół miljarda skudów a zobowiązania skarbu wobec banków o 400 miljonów. Dopiął tego bez żadnych cudów, lecz jedynie klasycznemi metodami surowej kontroli wydatków, ścisłą oszczędnością i regularnem pobieraniem podatków. Od 1928 r. Portugalja jest jedynym krajem w Europie, który może się pochwalić — stałą nadwyżką dochodów. Wyniosła ona w 1935 r. przeszło 900 miljonów. Przyczem należy zaznaczyć, że Salazar widzi w organizacji korporacyjnej najskuteczniejszy sposób sanacji finansów publicznych zwalniający państwo od kosztownych przedsiębiorstw i interwencyj.

Po załatwieniu tej najpilniejszej konieczności, szef rządu poświęcił się całkowicie dziełu rekonstrukcji samego Państwa. Ten wielki specjalista od spraw ekonomicznych i finansowych zdaje sobie bowiem dobrze sprawę, że na to aby utrwalić ład w finansach trzeba zacząć od zaprowadzenia ładu w polityce i że zagadnienia ekonomiczne są podporządkowane politycznym. Kraj winien być rządzony w taki sposób i obdarzony takiemi instytucjami, żeby wzbudzał zaufanie tak zagranicy, od której jest zależny jako naród importujący, jak i własnych obywateli. A niema mowy o zaufaniu, gdzie niema stabilizacji władzy państwowej oraz porządku społecznego, zdolnego oprzeć się indywidualizmowi z jednej, a walkom klasowym z drugiej strony. Ustrój wprowadzony przez Salazara nie jest ani cezaryzmem, ani totalizmem państwowym, ale także nie jest ani liberalnym, ani zwłaszcza etatystycznym. Nie przypomina on zgoła ani faszyzmu, ani tem mniej socjalizmu narodowego, ale także nie demokracji. Charakterystyczną cechą tego ustroju jest dążenie do tego, do czego dąży demokracja, t. j. wolności i suwerenności ludu, ale na podstawie innych zasad i innemi sposobami. Do Salazara było w Portugalji dwóch niewolników: państwo i naród. Za wszelką cenę należało ich wyswobodzić. Najprzód państwo należało uwolnić od parlamentu, partyj, klanów, klienteli, interesów prywatnych. A następnie sam żywy kraj, od kraju legalnego, który go dusił i demoralizował. Nowy ustrój jest umową narodową między państwem i narodem dla wzajemnego wyzwolenia. Zwrócić państwu możność rządzenia, a ludowi

możność życia i w tym celu zjednoczyć jak najściślej lud z życiem i odpowiedzialnością państwa; dać temu ludowi gwarancję, że państwo istnieje tylko dla niego i nie ma innego celu, innej racji bytu jak niepodległość, ład, bezpieczeństwo, dobrobyt narodu — na tem zawisła cała konstytucja portugalska. Dźwiga się ona na zasadniczych prawach istoty ludzkiej, na prawach i autonomji tych środowisk historycznych i naturalnych, w których ta istota ludzka obraca się, na rodzinie, gminie, korporacjach. Nowe państwo dąży w istocie do zastąpienia wszędzie ustroju partyjnego przez ustrój stowarzyszeniowy.

Gdy Salazar obejmował władzę, Portugalji groziły dwa niebezpieczeństwa, które grożą zawsze słabemu, zrujnowanemu państwu i rozbitemu narodowi, a są niemi uszczuplenie terytorjalne i niemoc władzy rządowej. W istocie kolonjom groziły a może grożą jeszcze, cudze pożądliwości, a autorytetu rządu nie było już żadnego. Celem konstytucji było określić na nowo, czem jest naród i czem jego suwerenność. Określiła ona naród przez włączenie doń kolonij, wiążąc je ściślej z życiem metropolji, tworząc z nich niepodzielną całość: imperjum portugalskie. I w tem organizacja korporatywna gra rolę pierwszorzędną, gdyż w tym kraju kupców, włościan i emigrantów praca narodowa winna być zorganizowaną w ten sposób, żeby stopniowo utworzyć jedną całość z pracą kolonjalną, ale do tego jest niezbędnem, by system korporacyjny rozciągnął się powoli także i na kolonje. Konstytucja wreszcie określa samo pojęcie suwerenności, dzieląc je sprawiedliwie pomiędzy władze publiczne, rząd a naród, zorganizowany korporatywnie. Korporatywność portugalska jest więc w państwie władzą, elementem suwerenności, jest zatem formą w którą się obleka odtąd suwerenność ludu.

Portugalja potrzebowała więc koncentracji rządu i zjednoczenia politycznego około zasady autorytetu. Ale ponieważ nowy ustrój nie chciał być ani totalizmem, ani etatyzmem, należało stworzyć przeciwwagę, właśnie w organizacji korporacyjnej. Winna ona być dla Portugalji tem, czem jest federalizm dla Szwajcarji, w której istnieje w zasadzie równowaga między kantonami a ich Konfederacją. Podobnież

konstytucja portugalska stara się stworzyć równowagę między jednolitem państwem a korporacjami. To też głosi art. 5 Konstytucji że: „Państwo portugalskie jest rzeczpospolitą jednolitą i korporatywną".

Część suwerenności, która przypada Państwu, rozdziela się między Prezydenta Rzeczypospolitej, Prezesa Rady Ministrów i Zgromadzenie Narodowe. Prezydent Rzeczpospolitej bywa wybranym na 7 lat przez plebiscyt w którym biorą udział głowy rodzin, mężczyźni czy kobiety. Prezydent jest odpowiedzialnym tylko przed narodem. Zgromadzenie Narodowe jest ściśle utrzymane w tych granicach, które stanowią właściwe podstawy ustroju parlamentarnego, a mianowicie ma prawo uchwalania ustaw i czuwania nad ich wykonaniem. Liczba posłów jest ograniczoną do 86, wybranych na podstawie jednej listy sporządzonej przez Związek Narodowy, który nie jest partją, lecz ciałem zorganizowanem w taki sposób, by było wyrazem żywych sił narodu. Zadaniem jego jest zabezpieczenie podstawowych zasad sformułowanych w Konstytucji. Zgromadzenie Narodowe posiada władzę prawodawczą tylko w czasie trzechmiesięcznej sesji. W pozostałych 9 miesiącach władza prawodawcza należy do rządu, który jest organem prawodawczym stałym lecz ograniczonym. Wreszcie wszystkie prerogatywy, które Konstytucja portugalska odbiera powszechnemu głosowaniu, są przeniesione na sądownictwo, które posiada prawo kontroli i interwencji nawet w stosunku do rządu. Nikt więc w Portugalji nie jest bardziej skrępowanym w swej wolności jak poseł, minister, a nawet Naczelnik Państwa, którzy są szczególnie ograniczeni w staraniu o swe interesy osobiste. To też Konstytucja przewiduje ośm zbrodni (tak się ona wyraża) za które mogą być odpowiedzialni ministrowie i podsekretarze Stanu i inni urzędnicy.

* * *

W ten sposób powoli zarysowało się nam miejsce, które w państwie portugalskiem ma zająć system korporatywny. Widzieliśmy również jakim szczególnym warunkom tego kraju, tak psychologicznym jak historycznym, ekonomicznym, politycznym i społecznym odpowiada korporatyzm

i jaką rolę odgrywa w nowym ustroju państwa. Było to oczywistą niemożliwością, by ten system sam się utworzył od dołu do góry, owszem było niezbędnem, aby państwo nadało mu byt od góry do dołu.

Jakież więc są zamysły i zasady, których rząd trzyma się w tej mierze? W wyczerpujących rozmowach, które miałem tak z p. Pereirą, wówczas podsekretarzem stanu w departamencie Opieki Społecznej, jak i z samym Salazarem, jeden i drugi ze szczególnym naciskiem podkreślał, że nie chcą etatyzmu. Dążą więc do stworzenia korporatyzmu stowarzyszeń a nie korporatyzmu państwa. Lecz równocześnie zaznaczali, że budowa korporatyw w Portugalji jest dopiero w zaczątkach, a zatem, że jeszcze obecnie interwencja rządu jest konieczną. Przytem mówili, że kierunek, który pragną nadać korporatyzmowi w Portugalji ma na oku przedewszystkiem cel moralny. I oto co oświadczył Salazar w swojej mowie 16. maja 1933 r.: „Życie ludzkie ma rozliczne wymagania i należy sobie życzyć, żeby miało ich jeszcze więcej, ale w tem stopniowem wzmaganiu się potrzeb i gromadzeniu bogactw nie wolno zapominać, że niema prawdziwego postępu tam, gdzie życie ludzkie staje się tylko bogatszem, lecz tam jedynie, gdzie staje się wyższem, szlachetniejszem w swej wewnętrznej wartości i w swem promieniowaniu. Dla dobra cywilizacji i dla społeczeństwa ważną jest produkcja rzeczy prawdziwie pożytecznych i pięknych i rozpowszechnienie korzystania z nich na wszystkich ludzi, co powinno być stawianem wyżej niż wyłączny interes materjalizmu osobistego. Punkt widzenia czysto utylitarny obniżyłby życie społeczne i nie stałby na wyżynie godności ludzkiej". Duch korporatyzmu zapatruje się na pracę, nie jako na przymus ale jako na obowiązek, nie jako na karę, ale jako na radość życia, nie jako na sposób zabezpieczenia egoistycznych interesów i użycia, ale jako na udział każdego i wszystkich w wielkiem dziele społecznem, jako na codzienną lekcję solidarności klas, współpracy społecznej i jedności narodowej, a nawet więcej: jako na dzieło cywilizacyjne, natchnione przez wiarę.

W art. 4 Konstytucji jest wyraźnie podkreślone, że posłannictwo dziejowe Portugalji, które jest racją bytu jej

niepodległości i umiarkowanego nacjonalizmu, o którym ciągle wspomina Salazar, polega na: „współpracy z innemi państwami w celu przygotowania i zastosowania takich środków, które zapewnią pokój ludom i postęp ludzkości". W ten sposób przez korporatyzm państwo odnowione wychodzi z siebie samego, żeby się wcielić w powszechną cywilizację. I tutaj odnajdujemy w innej formie tradycyjną ideę wojen krzyżowych: „za wiarę i za króla". Taki jest ideał, ale jeżeli się go kiedykolwiek osiągnie to nie nastąpi to odrazu. Oto co mi Salazar sam oświadczył: „Żeby zorganizować korporatyzm, należy postępować powoli, a przedewszystkiem należy rozwinąć ducha współdzielczości, gdyż bez tego mógłby korporatyzm zdegenerować się albo w kartele, albo w biurokratyczny etatyzm. Niestety rząd jest jeszcze zmuszonym do ciągłej interwencji, gdyż natykamy się wciąż na indywidualizm i lekkomyślność Portugalczyków. Nie chcemy odrazu wszystkiego przeistoczyć. Postępujemy powoli, zaczynamy robotę przy samej ziemi, rachując się z miejscowemi warunkami. Z zasady unikam sztywnych formułek i trzymając się przyjętych zasad, staram się empirycznie je zastosowywać".

* * *

Inicjatywa państwa polegała na stworzeniu kadrów organizacji korporatywnej. Jakież one są? Przedewszytkiem jest sekretarjat stanu korporacyj i opieki społecznej pod dyrekcją p. Pereiry; dawniej podlegał on Prezydjum Rady Ministrów, obecnie gdy p. Pereira został ministrem handlu, został włączony do tego ministerstwa. Cechą tego departamentu jest, że nie jest biurokratycznym, jest to sztab przywódców, a nawet apostołów. Składał się, gdym go zwiedzał, z 12 młodych ludzi, wybranych z pośród elity intelektualnej, pracujących bezinteresownie, pełnych zapału i oddania sprawie, której się całkowicie poświęcili. Oczywiście dodano im do pomocy odpowiedni zespół urzędników i pracowników. Podzielony jest na pięć wydziałów: akcja społeczna, wydział pracy i korporacyj, opieki społecznej, tanich mieszkań i życia rodzinnego. Ten podsekretarjat stanowi mózg i sztab generalny Instytutu Narodowego Pracy i Opieki Społecznej. Instytut

zaś ma za zadanie zapewnić wykonanie ustawom odnoszącym się do produkcji, do pracy i wogóle ustawom charakteru społecznego. Podział jego na 5 wydziałów odpowiada podziałowi Podsekretarjatu. Raz do roku zwołuje się zebranie członków Podsekretarjatu z 20 powiatowymi delegatami Instytutu i sędziami trybunałów Pracy na rodzaj kursów socjalnych w celu wyrobienia elity przywódców i wychowawców działaczy społecznych.

Ponad tem stoi Rada Korporacyjna, której zadaniem jest zapewnienie jednolitego kierunku wszystkim urzędom działającym w dziedzinie korporacyjnej, badanie i dyskutowanie zasadniczych zagadnień i nadawanie organizacji korporatywnej odpowiedniej orjentacji ogólnej. W skład tej Rady wchodzą: Prezes Rady Ministrów, jako przewodniczący, ministrowie Sprawiedliwości, Robót publicznych i Komunikacji, Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, podsekretarz Stanu Korporacyj, 2 profesorów prawa korporacyjnego z Uniwersytetów w Lizbonie i Coimbrze. Inni ministrowie biorą też udział o ile sprawy dotyczą ich kompetencji. Wreszcie został stworzony ośrodek Studjów korporatywnych.

A teraz w jaki sposób ukonstytutowane zostały same korporacje?

Jest ich pięć typów: organizacje korporacyjne pracodawców, czyli związek patronalny, organizacja korporatywna pracowników, czyli syndykaty narodowe, związki rolnicze, wolne zawody i korporacje ideowe.

Korporacje pracodawców tworzą związki *(gremios)* jednoczące przedsiębiorstwa, towarzystwa albo firmy indywidualne czy spółkowe, które mają te same pola działania w handlu, przemyśle i rolnictwie. Są one zobowiązane do trzymania się w swej działalności planu narodowego i do bezwzględnego uszanowania interesów ogólno narodowych. Nie wolno im wchodzić do organizacyj międzynarodowych, ani wysyłać delegatów na manifestacje i kongresy międzynarodowe bez upoważnienia rządu. Są one przedstawicielami wszystkich specjalności danej kategorji handlu, przemysłu czy rolnictwa, bronią swoich interesów wobec państwa i innych organów korporacji, zawierają zbiorowe umowy z syndykatami narodowemi, robotniczemi, wypowiadają swoją

opinję o sprawach wchodzących w zakres ich działalności i posiadają wreszcie prawo pobierania od swoich członków opłat niezbędnych dla prowadzenia swej działalności. Ale te związki pracodawców nie mają prawa wydawania ustaw obowiązujących wszystkich członków danego zawodu, za wyjątkiem tych, które są przewidziane w umowach zbiorowych.

Syndykaty narodowe, robotnicze mają te same kompetencje i te same prawidła postępowania, lecz ściślej jeszcze określone. Przedewszystkiem przewidziane są wszelkie środki zapobiegawcze, żeby uchronić syndykaty od wpływu socjalistycznych, czy komunistycznych agitatorów. W tym celu, narazie, cała ich działalność poddana jest kontroli rządowej. Każdy syndykat jest zobowiązany do uczestniczenia w Instytucie Narodowym Pracy, do którego wysyła dwóch delegatów i musi złożyć zobowiązanie, że przyjmuje zasady, któremi się rządzi organizacja korporatywna, i że stoi na gruncie narodowym. W praktyce każdy syndykat narodowy, na to, żeby być uznanym, musi posiadać przynajmniej 100 członków. Państwo uznaje jako organizację użyteczności publicznej tylko jeden syndykat narodowy danego zawodu na powiat, a w razie potrzeby tworzy się oddzielne sekcje syndykatu w siedzibie zarządów gminnych. Syndykaty narodowe mają za zadanie badanie i obronę interesów zawodowych z punktu widzenia moralnego, ekonomicznego i społecznego. Mają one prawo zakładania instytucyj syndykalnych opieki, organizacyj biur pośrednictwa pracy, oraz zakładania i utrzymania szkół zawodowych, zawsze jednak pod kontrolą rządową.

Korporacje rolnicze mają zupełnie odmienny charakter, z powodu odmiennej natury życia wiejskiego. Nie są one podzielone, jak korporacje pracodawców i syndykaty narodowe, na różne zawody, gdyż rolnictwo pomimo różnorodności zajęć i produkcji tworzy jedną całość, a przytem mają one charakter rodzinny i lokalny. Ogniskiem, w którem się skupia ich praca są Domy Ludowe, które muszą być zakładane we wszystkich osadach wiejskich, czyli polem działania Domu ludowego jest gmina. Do Domu Ludowego należą wszyscy, którzy żyją z uprawy roli, a więc tak wła-

ściciele ziemscy, jak dzierżawcy i robotnicy rolni. Pozatem prawo głosu na zebraniach ogólnych Domu Ludowego mają jedynie głowy rodzin, nie wyłączając kobiet, które, jeżeli są głową rodziny, mają prawo być członkami Domu Ludowego. Zakres działania takich Domów Ludowych obejmuje sprawy opieki społecznej i pomocy, jako też fachowego wykształcenia i meljoracyj lokalnych.

Czwarty typ korporacji obejmuje wolne zawody. Zostały stworzone z centralą w Lizbonie stowarzyszenia narodowe adwokatów, lekarzy i inżynierów pod nazwą stanów.

Statut Pracy Narodowej w § 40 oświadcza, że: Organizacja zawodowa ma zastosowanie nietylko do dziedziny ekonomicznej, ale także do wykonywania zawodów wolnych i artystycznych; w tym wypadku działalność ta jest ograniczoną do doskonalenia się moralnego i intelektualnego, które winno służyć podniesieniu duchowego poziomu narodu". Stąd ten piąty typ, bynajmniej niemniej doniosły, korporacji moralnej.

U podstaw więc systemu korporatywnego znajdują się stowarzyszenia pracodawców i syndykaty narodowe. Na następnym szczeblu pośrednim są związki pracodawców i syndykaty narodowe, które są złączone w federacje czyli w grupy większych, pokrewnych gałęzi zawodowych. Wreszcie na najwyższym szczeblu są związki czyli federacje pracodawców i pracowników, które tworzą razem właściwe korporacje. Koroną struktury korporacyjnej jest Izba Korporacyjna, organ rządowy, a zatem organ suwerenności narodowej.

Według Konstytucji Izba Korporacyjna ma zadanie przedstawiać żywe siły narodu wobec instytucji prawodawczej, jaką jest obok niej Zgromadzenie Narodowe. Wobec tego Izba ta nie jest rezerwowaną wyłącznie dla korporacyj lecz także dla autarchij lokalnych i wszystkich interesów społecznych, tak z dziedziny administracyjnej, jak moralnej i ekonomicznej a nawet kulturalnej. Izba Korporacyjna wyraża na piśmie swoją opinję co do wszystkich projektów praw, jak i konwencyj i traktatów międzynarodowych, które są przedkładane do uchwał Zgromadzenia Narodowego. Izba

nie posiada prawa inicjatywy, lecz jeżeli odrzuci lub zmieni dany projekt, tak rząd jak każdy poseł może zmusić Zgromadzenie Narodowe do podjęcia nad nim dyskusji. Posiedzenia Izby nie są publiczne. Narazie więc Izba ma kompetencje prawie tylko doradcze. Zresztą jest ona dotąd tylko próbą, zaczątkiem pełnego organu. Składa się z 24 sekcyj, z której każda może się zbierać i obradować osobno. Ilość członków każdej sekcji zależy od jej wagi; najliczniejszą, z 8 członków złożoną jest sekcja administracyj lokalnej. Cała Izba składa się z 80 członków. Skład jej dowodzi, że prawodawca nie chciał w niej mieć organizacji czysto zawodowej, lecz reprezentującej ogólnie wszystkie interesy społeczne całego narodu, przeciwstawiając zagadnieniom politycznym zagadnienia społeczne.

Taki jest plan i ramy ustroju korporatywnego w Portugalji. Chodzi jeszcze o to, żeby zdać sobie sprawę jak w tych ramach i według tego planu organizacja ta działa.

Organizacja zawodowa nie jest w zasadzie obowiązkową, za wyjątkiem pewnych specjalności indywidualnych o określonych zadaniach. Ale w dniach ostatnich rząd wydał dekret znoszący wszelkie organizacje ekonomiczne, które pozostały jeszcze poza ramami korporacyj. W ten sposób postąpiono wielki krok naprzód.

Funkcjonowanie systemu korporacyjnego w Portugalji napotyka jednak na poważne trudności, jak np. na niedostateczne wykształcenie zawodowe, a także na brak kultury ogólnej u techników a nawet i u ludzi nauki. Przytem dużo jeszcze trzeba będzie wysiłków, żeby doprowadzić pracodawców do należytego zrozumienia pracowników, a także żeby robotnicy przestali uważać pracę za przeszkodę w swem życiu ekonomicznem. Co zaś dotyczy ściśle ekonomicznych rezultatów osiągniętych przez korporacje, dają się one już odczuć w eksporcie, ale jeszcze nie na rynku wewnętrznym. Jednakowoż warto zaznaczyć, że jeżeli w 1935 r. spadek handlu światowego wyniósł 34 % w porównaniu do 1929, to w Portugalji spadek ten wyniósł tylko 15 %. Przypisuje się to organizacji korporatywnej i warte jest podkreślenia.

Za to widoczniejsze są skutki na terenie społecznym: dzięki systemowi umów zbiorowych wiele trudności zostało

załagodzonych i wiele zagadnień rozwiązanych, nawet bez interwencji rządowej. Pracodawcy i robotnicy przyzwyczajają się do wspólnej pracy i powoli zaczynają się czuć solidarnymi. Nie byłoby to możliwem, gdyby nie otwarto im oczu na ideał wyższy nad interesy czysto ekonomiczne i nawet nad samą pracę, ideał dający cel życiu i wytknięty wspólną wolą narodu.

Reasumując zasadnicze cechy organizacji korporatywnej w Portugalji, jej charakter jest wybitnie anty-etatystyczny. Interwencja państwa, niezbędna z początku, ma ustępować stopniowo w miarę jak korporacje będą się wzmacniać i w miarę, jak duch korporacyjny będzie się rozszerzał i pogłębiał.

Salazar wprowadza obecnie w Portugalji ustrój społeczny stowarzyszeń w miejsce ustroju czysto politycznego partyj. Jakież konkluzje wyłaniają się z tego doświadczenia?

Zdaje się stąd wynikać, że na to, by organizacja korporatywna była możliwą, należy ją ująć w ramy ogólnej reformy państwa. Trudno przypuścić, by dała się ziścić bez interwencji władzy politycznej. Organizacja korporacyjna jest niezdolną do życia dopóki się jej nie uwolni od wszystkich mikrobów walki klasowej; w przeciwnym wypadku ruch ten będzie spaczonym w zarodku i stanie się tylko nowym ośrodkiem agitacji socjalistycznej czy komunistycznej. Socjalizm i komunizm a korporatyzm są pojęciami, które się wzajem wykluczają. Muszą się one wzajemnie niszczyć. Organizacja korporacyjna jest narazie, przynajmniej w swoich początkach, organizacją obrony ekonomicznej i narodowej w epoce kryzysu. Później trzeba będzie ją przekształcić w nową metodę koncepcji życia ekonomicznego i tę koncepcję w czyn wprowadzić. By tego celu dopiąć, musi ona przejść ze stadjum ustaw pisanych w obyczaje i organizacja musi zrodzić nowego ducha. Innemi słowy: korporatyzm zakorzenia się wolno i trzeba będzie dwóch do trzech generacyj zanim korzenie głęboko zapuści. Wymaga on bowiem zupełnego przekształcenia się umysłów, innego sposobu patrzenia najpierw na samą pracę, a na-

stępnie na resztę spraw ogólnych, nie wyjmując polityki. Ale ten nowy duch jest tylko nową formą narodowego i chrześcijańskiego ducha.

Taka oto jest nauka, jaką nam daje dzisiaj Portugalja Salazara.

G. de Reynold.

(Tłumaczył Władysław Sobański).

Z dziejów grabieży i niszczenia

polskiego mienia kościelnego przez Rosjan w świetle świadectw rosyjskich. (1655—1925).

(Dokończenie).

Powyższe skąpe wiadomości dotyczą losu zaledwie 47 bibljotek poklasztornych, o 144 zaś pozostałych w aktach archiwów państwowych w Wilnie i Grodnie nie zachowało się bliższych danych. Bibljoteki te częściowo uległy zagładzie i przypadkowemu zniszczeniu albo były poprostu wywiezione do Rosji w całości lub w pewnej części, wobec czego dokładne ustalenie ich losu jest możliwe tylko na podstawie zbadania odpowiednich akt w archiwum Departamentu w Petersburgu.

O pracy dokonanej przez inne komitety nie posiadamy urzędowych sprawozdań. Jednak pismo ministra spraw wewn. hr. Wałujewa z dn. 7. VIII. 1864 r. za Nr. 1611 do gen. Murawjewa rzuca pewne światło na dalszy przebieg całej tej sprawy. Mianowicie dowiadujemy się stąd, że po otrzymaniu w Petersburgu w r. 1850 od komitetów wileńskiego, grodzieńskiego oraz mińskiego wykazów książek bibljotek poklasztornych, Departament długo i bezskutecznie musiał czekać na nadesłanie podobnych wykazów przez gen.-gubernatora witebskiego, mohylowskiego i smoleńskiego. Jeszcze w r. 1853 Ministerstwo Spraw Wewn. dopominało się pismem z dn. 28. II. za Nr. 456 u gen.-gubernatora przyspieszenia załatwienia sprawy, sporządzenia wykazów książek zbiorów poklasztornych. Wybuchła wkrótce wojna z Turcją, następnie śmierć cesarza Mikołaja I, nowa polityka Aleksandra II w stosunku do katolicyzmu w Rosji — wszystko

to wpłynęło na to, że zdecydowanie ostateczne losu bibljotek poklasztornych zostało narazie wstrzymane. W dodatku groźny pożar w Petersburgu w r. 1862, podczas którego spłonął gmach Ministerstwa Spraw Wewn., spowodował zniszczenie pewnej części materjałów, nadesłanych przez poszczególne komitety, niemała zaś część tych materjałów, jak zaznacza hr. Wałujew, zaginęła przy ratowaniu podczas pożaru akt ministerjalnych.

Dopiero powstanie 1863 r. znowu zaktualizowało całą tę sprawę i Departament gorliwie nią się zajął. Tymczasem bibljoteki poklasztorne pozostając w ciągu kilku lat bez należytej opieki, ulegały stopniowo zagładzie. Naprzykład w materjałach specjalnie sporządzonych dla ministra spraw wewn. przez kancelarję wileńskiego gen.-gubernatora czytamy: „... Już po sporządzeniu wykazów znikła („izczezła") cała bibljoteka klasztoru OO. Dominikanów w Połonce, pow. Nowogródzkiego gubernji Grodzieńskiej. Również zginęło kilkaset książek z bibljoteki klasztorów Buchowieckiego i Drohiczyńskiego; prowadzone w tej sprawie energiczne śledztwo nie wykryło winnych tej kradzieży... Z bibljoteki klasztoru Mareckiego z ogólnej ilości 865 tomów zginęło tomów 538, jak również — wiele książek z klasztoru Kanoników Regularnych w m. Sołokach pow. Nowoaleksandrowskiego... W Mińsku zaś, dokąd z rozkazu gubernatora z całej gubernji Mińskiej były zwiezione książki ze skasowanych klasztorów... wszystkie one spłonęły podczas pożaru w r. 1842..." Powyższe urzędowe oświadczenie wyższych urzędników kancelarji wileńskiego gen.-gubernatora wyraźnie stwierdza, że pewna część zbiorów poklasztornych i nadal ulegała zagładzie i zniszczeniu dzięki niedbalstwu władz administracyjnych.

Kilka tysięcy książek poklasztornych przekazanych przez powyższe komitety do bibljoteki Rz. Kat. Seminarjum Duchownego w Wilnie niedługo tam zostawały. W r. 1870 bowiem kurator okręgu szkolnego Siergiejewskij zwrócił się do wileńskiego gen.-gubernatora Potapowa z propozycją wyłączenia stamtąd części książek po skasowanych klasztorach bardziej nadających się do zbiorów Bibljoteki Publicznej w Wilnie, aniżeli dla tak specjalnego zakładu jak Se-

minarjum Duchowne. Potapowa prosi zarazem o zezwolenie dyrekcji Bibljoteki Publicznej na przejrzenie zbiorów poklasztornych w bibljotece seminaryjnej oraz na wydzielenie z nich druków według uznania dyrekcji. Potapow po porozumieniu się w tej sprawie z ówczesnym administratorem diecezji wileńskiej prał. P. Żylińskim, który wcale nie zaprotestował przeciwko temu nowemu zamiarowi grabieży mienia kościelnego — oczywiście chętnie przychylił się do wniosku.

A. Władimirow, kierownik Wileńskiej Bibljoteki Publicznej, wybrał ze zbiorów seminaryjnych kilka tysięcy książek nieodpowiadających ściśle charakterowi tego zakładu i włączył je do Bibljoteki Publicznej. Lecz jednocześnie nie ominął sposobności wzbogacenia tanim kosztem również wydziału rękopisów Bibljoteki, zabierając z Seminarjum szereg cennych klasztornych rękopisów średniowiecznych, wśród nich piękne pergaminowe kancjonały, które po dziś dzień znajdują się w Wileńskiej Bibljotece Uniwersyteckiej.

A. Władimirow pozostawił niedrukowaną dotychczas bardzo ciekawą historję założenia i pierwszych lat istnienia Bibljoteki Publicznej w Wilnie, poświęcając wiele miejsca opisowi fatalnych w niej nieporządków. Mówiąc o dokonywanej w tym czasie masowej kasacie klasztorów, wspomina, że wtedy urzędnicy „zajęci byli grabieżą przedmiotów więcej praktycznych jak powozów, koni, futer, zegarów i t. p. nawet klasztorne bramy i drzwi były wywożone przez amatorów nabytków". Nie brakuje w rękopisie Władimirowa również szczegółów co do przebiegu pakowania książek skonfiskowanych klasztorom przy przewiezieniu ich do Wileńskiej Bibljoteki Publicznej. „Pewnego razu — powiada Władimirow — oglądałem klasztor Bernardyński w Wilnie, który w tym czasie przerabiano na koszary. Przechodząc galerją obok klasztornych cel, nagle usłyszałem stuk, jakby coś zrzucano z góry. Wchodzę we drzwi, skąd ten stuk pochodził i znajduję się w klasztornej bibljotece. Dwóch żołnierzy siedzi na szafach jak na koniu i zrzucają z górnych półek książki na kupy, leżące na podłodze. Więc stare książki, szczególnie oprawne w drewniane deski, rozsypywały się przy tej operacji. Zapytuję ich tedy: Po co to wy

robicie? — Wszystko to musi być usunięte, tutaj będzie zbrojownia. Zwalimy to w worki i wywieziemy na Dominikańską... Dalej ci ludzie mówili o składzie i rzeczywiście niezadługo książki tam przewieziono. Najprawdopodobniej — dodaje Władimirow — w taki sposób zabierano książki i z innych miejsc".

Po przewiezieniu do lokalu Bibljoteki Publicznej — zbiory poklasztorne przez dłuższy czas leżały w nieładzie aż nareszcie wzięto się do ich porządkowania, przyczem stwierdzono znaczną ilość książek dubletów. Zamiast planowej ich wymiany z innemi instytucjami krajowemi lub zagranicznemi, ówczesny kierownik Bibljoteki Hołowacki zarządził sprzedanie ich znanemu antykwarjuszowi lwowskiemu Iglowi, który specjalnie w tym celu kilkakrotnie przyjeżdżał do Wilna dla przeprowadzenia tak korzystnej dla niego tranzakcji: kupował za bezcen rzadkie druki, które później sprzedawał zagranicą.

Czasem udawało się duchowieństwu katolickiemu w bardzo zresztą nielicznych wypadkach, ratować przed zagrabieniem zbiory bibljoteczne po skasowanych klasztorach, jak np. w r. 1844 w Wilnie dzięki roztropności ostatniego bibljotekarza Księży Misjonarzy ks. Tołwińskiego. Złożona na strychu katedry wileńskiej św. Stanisława znajdowała się tam bibljoteka aż do r. 1865, kiedy utworzono przez wileńskiego gen.-gubernatora specjalną komisję. Weszli do niej dyrektor szkoły żeńskiej Bezsonow, archiwarjusz Horbaczewski, redaktor Howorski oraz kanonik Waszkiewicz; przekazała ona znaczną część książek pomisjonarskich w ilości 1772 tomów Bibljotece Publicznej w Wilnie.

Ciekawe szczegóły o smutnym losie zbiorów bibljotecznych, zabranych klasztorom katolickim i oddanych przez rząd rosyjski duchowieństwu prawosławnemu, znajdujemy w licznych raportach kuratora wileńskiego okręgu Korniłowa, który z urzędu swego był doskonale poinformowany o stanie wszystkich bibljotek i archiwów, znajdujących się na terenie gubernij zachodnich. Tak np. w raporcie z dnia 8 marca 1865 r. za Nr. 1714 złożonym gen. gubernatorowi wileńskiemu, Korniłow skarży się, że zbiory poklasztorne, przekazane duchowieństwu prawosławnemu, nietylko nie są

wykorzystane przez popów, lecz nawet przeważnie pozostają opieczętowane i niedostępne szerszej publiczności, a nawet badaczom naukowym. Jako jaskrawy przykład wskazuje na konsystorz prawosławny w Mińsku litewskim, który przechowuje byłą unicką bibljotekę i archiwum w stanie „zupełnego lekceważenia" („sowierszennago preniebreżenija"). Również w podobnym stanie znajduje się bibljoteka pobazyljańskiego klasztoru w Berezweczu, oraz cenne zbiory Borúńskiego klasztoru pobazyljańskiego, otrzymane przez mnichów prawosławnych w Oszmianie. W innym zaś raporcie z dn. 31 lipca 1867 r. za Nr. 7640 Korniłow donosi gen.-gubernatorowi, że delegowany przez niego do Nieświeża urzędnik Hildebrant znalazł w gmachu skasowanego klasztoru św. Krzyża resztki bibljoteki poklasztornej w ilości do 500 tomów, w nieładzie, wprost na podłodze jednej z cel.

W podobnej poniewierce znalazły się i archiwa klasztorne. Zdarzały się wypadki, że troska i dbałość władz duchownych o przechowywanie akt archiwum kościelnego w odpowiednich warunkach, zgodnie z wymaganiami nauki, stały się bezpośrednim powodem konfiskaty przez rząd rosyjski większej części dokumentów kościelnych danego archiwum. Taki fakt miał np. miejsce w Wilnie.

Mianowicie w r. 1883 konsystorz diecezji wileńskiej za pośrednictwem Rz. Kat. Kolegjum Duchownego w Petersburgu zwrócił się do Departamentu Wyznań Obcych, ze względu na nieodpowiedni dotychczasowy lokal archiwum, kapitulnego oraz konsystorskiego — z prośbą o udzielenie zezwolenia na przewiezienie akt do odpowiedniejszego lokalu w murach klasztoru pobernardyńskiego. Miejscowy gubernator wileński, na zapytanie gen.-gubernatora, nie znalazł żadnych przeszkód do zadośćuczynienia prośby konsystorza. Ale gen.-gubernator Kochanow odpisując ministrowi spraw wew., zaproponował przebiegle, by właśnie skorzystać ze starań konsystorza i utworzyć specjalną komisję w celu zbadania akt archiwum konsystorskiego. Min. Spraw Wewn. wyraził swą zgodę i gen. Kochanow powołał komisję, do szczegółowego zbadania zawartości archiwum w następującym składzie: urzędnicy Szołkowicz, Sprogis, Czyrikow oraz

rz. radca stanu Muchin jako przewodniczący. Delegatem od duchowieństwa katolickiego został archiwarjusz konsystorski Klimkowicz. Komisja w ciągu kilku posiedzeń zbadała dotychczasowe lokale archiwum konsystorskiego na strychu katedry św. Stanisława i w gmachu konsystorza, obydwa te uznała, zwłaszcza pierwszy za nieodpowiedni i zadecydowała, że nawet rozpatrzenie akt jest niemożliwe; wobec czego postanowiła prosić gen.-gubernatora o zezwolenie na przeniesienie wszystkich cenniejszych akt za wyjątkiem z w. XIX do lokalu Wileńskiej Komisji Archeograficznej, gdzie już nastąpi dokładne ich zbadanie. Po zatwierdzeniu tej uchwały przez gen. Kochanowa, akta konsystorskie przewiezione partjami zostały 11 XII 1884 r. oraz 19 X 1885 r. do lokalu Komisji Archeograficznej. Praca Komisji trwała 4 lata, jej prezes Kraczkowski złożył gen.-gubernatorowi 16 X 1889 r. bardzo szczegółowe sprawozdanie, w którem uznano za konieczne przekazanie wszystkich cenniejszych akt do działu rękopisów Bibljoteki Publicznej w Wilnie oraz do tamtejszego Centralnego Archiwum, konsystorzowi zaś, proponowano zwrócić tylko akta z XIX wieku. Ministerstwo Spraw Wewn. długo zwlekało z zatwierdzeniem tej uchwały. Dopiero w r. 1892 zapadła decyzja ministra, aprobująca wnioski Komisjj Archeograficznej i polecająca gen.-gubernatorowi dopilnowanie ich wykonania.

Władze duchowne parę razy, mianowicie ówcześni administratorzy w r. 1887 prałat Zdanowicz i w r. 1897 kanonik Zwierowicz, energicznie występowały do władz administracyjnych z żądaniem zwrotu zagrabionych dokumentów, lecz bezskutecznie: na pierwszy protest nie otrzymano żadnej odpowiedzi, kanonikowi zaś odpisał kierownik kancelarji gen.-gubernatora, że los dokumentów kapitulnych i konsystorskich jest zdecydowany ostatecznie przez władze wyższe, wobec czego on nie może w tej sprawie wchodzić w żadne pertraktacje z administratorem.

Jeszcze boleśniejszy los spotkał inne archiwum kościelne tejże diecezji wileńskiej, mianowicie archiwum archidiakonów białostockich, które zostało w całości spalone przez wojska rosyjskie podczas powstania, na początku 1863 roku. Archiwum to znajdowało się w Działkowicach i zawierało

akta archidiakonatu, założonego jak wiadomo, w r. 1808 po przyłączeniu obwodu białostockiego do Rosji. Cały obwód, obejmujący cztery dekanaty: białostocki, brański, drohiczyński oraz bielski, został pod względem hierarchji kościelnej przyłączony do archidiecezji Mohylowskiej, do której należał aż do r. 1849, kiedy to dopiero przyłączono go diecezji wileńskiej. Archidiakonatem rządził archidiakon z ramienia arcybiskupa metropolity mohylowskiego, posiadając dosyć obszerną jurysdykcję, wskutek czego archiwum zawierało wiele ważnych akt, zwłaszcza z lat 1806—1850. Wobec ucieczki ks. archidiakona Radziszewskiego przed aresztowaniem, wojsko rosyjskie przez zemstę spaliło całe archiwum mieszczące się w wieży kościelnej w Działkowicach. Fakt powyższy i jego przyczyny dwukrotnie stwierdzają urzędowe akta rosyjskie.

Ostatnia ofensywa Departamentu mająca na celu ostateczne zlikwidowanie nielicznych, pozostałych jeszcze na terenie Królestwa polskiego bibljotek klasztornych, miała miejsce już w wieku XX. Pełniący obowiązki warszawskiego gen.-gubernatora tajny radca Podgorodnikow, 15 października 1902 r. zażądał od gubernatorów „Priwisłańskago Kraja" nadesłania do kancelarji gen.-gubernatora wykazów cennych oraz rzadkich druków i rękopisów, przechowywanych w bibljotekach poklasztornych. Odpowiedzi dały następujący obraz: bibljoteki poklasztorne w gubernji kieleckiej, jak ustalono, nie posiadają już cennych i rzadkich druków (gubernator kielecki z dn. 22 kwietnia 1903 r.); w gubernji siedleckiej niema bibljotek poklasztornych, (gubernator siedlecki z dn. 23 stycznia 1903 r.); w gubernji piotrkowskiej obecnie niema już bibljotek poklasztornych, gdyż książki i rękopisy ze skasowanych klasztorów były wysłane do Petersburga do Departamentu w chwili kasaty, w pewnej zaś części przekazano je miejscowemu seminarjum duchownemu (gubernator piotrkowski z dn. 12 kwietnia); w gubernji lubelskiej również niema już bibljotek poklasztornych; ostatnią bowiem ojców Dominikanów z Lublina na zarządzenie Departamentu niezwłocznie w 1887 wysłano do Petersburga.

Inne źródła wskazują nam, że ostatnią wywiezioną z Królestwa do Petersburga bibljoteką poklasztorną były

zbiory klasztoru ojców Reformatów w Liutomiersku. Dyrekcja Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu w swoiem sprawozdaniu za rok 1902 zaznacza, że otrzymała od gubernatora piotrkowskiego 6 rękopisów z bibljoteki powyższego klasztoru oraz dodaje, „że te 6 rękopisów stanowią ważny materjał dla historji zakonu OO. Reformatów w Polsce".

Wśród tych negatywnych informacyj znajduje się kilka pozytywnych, jedną z nich jest raport gubernatora radomskiego, że poza bibljoteką poklasztorną OO. Dominikanów z Wysokiego Koła, wysłaną do Departamentu do Petersburga dn. 31 maja 1893 r., obecnie oczekuje decyzji władz bibljoteka skasowanego w dn. 1 maja 1902 r. klasztoru Dominikańskiego w Klimontowie. Otrzymawszy katalog bibljoteki klimontowskiej kancelarja gen.-gubernatora przesyła go za pośrednictwem Departamentu do dyrekcji Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu; ta zaznacza czerwonym atramentem w katalogu 238 tytułów, pożądanych dla siebie, co Departament 23 grudnia 1903 r. komunikuje kancelarji warszawskiego gen.-gubernatora z jednoczesną prośbą o wysłanie do bibljoteki Departamentu dwóch książek z klimontowskich zbiorów podominikańskich. Po pewnej zwłoce w załatwieniu sprawy kancelarja gen.-gubernatora dwukrotnie upomina gubernatora radomskiego, aby „przyspieszył wysłanie książek podominikańskich z Klimontowa do Petersburga". Aż wreszcie ten ostatni donosi, że 26 listopada 1904 r. wysłano do Petersburga ostatni transport książek z Klimontowa.

W międzyczasie, kiedy sprawa wywiezienia bibljoteki podominikańskiej z Klimontowa była już zdecydowana, kancelarja gen.-gubernatora przesyła do Cesarskiej Bibljoteki Publicznej, znaną już nam drogą, katalog bibljoteki świeżo skasowanego klasztoru PP. Benedyktynek w Sandomierzu. Dyrekcja bibljoteki, zwracając katalog prosi o nadesłanie do Petersburga książek oznaczonych niebieskim ołówkiem. Gubernator radomski narazie nie może jednak zadośćuczynić żądaniu, ponieważ z powodu remontu gmachu poklasztornego, bibljoteka PP. Benedyktynek została czasowo złożona w korytarzu klasztornym, dokąd również później przeniesiono na czas remontu całą bibljotekę Seminarjum Du-

chownego. Przebudowa trwa dłuższy czas, aż kiedy rok 1905 sprowadza pewne zmiany w polityce wewnętrznej Rosji, dzięki czemu bibljoteka pobenedyktyńska pozostaje w Sandomierzu.

Niespodziewane przeszkody w wywiezieniu bibljoteki pobenedyktyńskiej, kancelarja gen.-gubernatora chciała powetować sobie na bibljotekach poklasztornych warszawskich, które zgodnie z doniesieniem gubernatora Martynowa zapowiadały bogaty plon w postaci cennych objektów. Już w raporcie z 21 marca 1903 r. gubernator zwracał uwagę kancelarji gen.-gubernatora na bibjoteki poreformackie w Miedniewicach, w Siennicy oraz w Szczawinie kościelnym, poza tem — na pokamedulską na Bielanach pod Warszawą i na podominikańską w powiecie włocławskim. W bibljotece poreformackiej przy kościele w Miedniewicach 600 cennych druków pozostawiono jakoby bez żadnej opieki, radził zatem Martynow sprowadzenie z Warszawy specjalisty-teologa w celu wydzielenia najcenniejszych książek oraz rękopisów. Kancelarja gen.-gubernatora wzięła tę radę pod uwagę. Gen.-gubernator M. Czertkow wystosował pismo do profesora Szwarca, kuratora okręgu szkolnego w Warszawie, z zapytaniem, czy który z profesorów Uniwersytetu Warszawskiego nie podjąłby się zbadania zawartości powyższych bibljotek i skatalogowania najcenniejszych druków. Profesor Szwarc w odpowiedzi zakomunikował, że profesorowie Zigiel i Wierzbowski oraz docent Tarnowski gotowi są podjąć się tej pracy za zwrotem kosztów i wynagrodzeniem. Jednak po dwóch dniach prof. Ziegel i docent Tarnowski wycofali się, prof. Wierzbowski przedstawił kosztorys wydatków w sumie 1000—1500 rubli. Zanim zapadła decyzja gen.-gubernatora, w tym samym czasie Cesarska Bibljoteka Publiczna w Petersburgu zwróciła drogą służbową wykaz książek bibljoteki pobernardyńskiej z Kazimierza Biskupiego z prośbą o sporządzenie dokładniejszego z oznaczeniem daty i miejsca druku. Prof. Wierzbowski jako rzeczoznawca stwierdza, że, aczkolwiek nie jest zestawiony kompletnie, jednak można zeń wnioskować, że w bibljotece pobernardyńskiej znajdują się książki z XV i XVI wieku, wobec czego uważa on, iż najwłaściwiej byłoby sprowadzić całą bi-

bljotekę do Warszawy, gdzie personel Bibljoteki Uniwersyteckiej sporządziłby wzorowy katalog. Ponieważ jednak, jak wynika z dalszej korespondencji, ten księgozbiór pobernardyński wynosi około 1000 tomów, których przewiezienie pociągnęłoby spore wydatki, gubernator kaliski proponuje delegowanie na miejsce warszawskiego specjalisty. Zadecydować o tem miał Petersburg. Po paru miesiącach sprawa przybrała tam nieoczekiwanie pomyślny obrót: 11 marca 1905 r. Departament komunikuje za Nr. 449, że wobec braku w zbiorze praw rosyjskich wzmianki o przekazaniu rządowi bibljotek skasowanych klasztorów wysyłanie ich do Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu obecnie uznano za nieodpowiednie („niesootwietstwiennym"). Decyzja ta uratowała bibljoteki: poreformackie w Miedniewicach, Siennicy oraz Szczawinie kościelnym, pokamedulską na Bielanach pod Warszawą, podominikańską w powiecie włocławskim, pobernardyńską w Kazimierzu Biskupim i pobenedyktyńską w Sandomierzu.

Decyzja ta jest tem znamienniejsza, że przecież nie zawierała właściwie nic nowego, poza wyraźnem stwierdzeniem faktu i tak dobrze znanego biurokracji rosyjskiej, że wywożenie bibljotek było aktem bezprawia — nawet z punktu widzenia prawa rosyjskiego. A jednak w ciągu prawie stu lat wywożono bez żadnych skrupułów bibljoteki poklasztorne do Rosji i z całą pewnością można stwierdzić, że gdyby nie polityczne zmiany w Rosji w r. 1905, rząd nadal ogołacałby z najcenniejszych druków i rękopisów resztki bibljotek poklasztornych, wzbogacając niemi zbiory rosyjskie.

Interesującem będzie zbadanie, jak reagowało duchowieństwo katolickie na wywiezienie najcenniejszych objektów z bibljotek poklasztornych: czy spoglądało na to obojętnie, czy też czyniło pewne wysiłki dla pozostawienia tych skarbów w kraju.

Ogłoszona kilka lat temu drukiem praca ks. dr. L. Zalewskiego czyni pod tym względem ciężkie zarzuty księżom diecezyj lubelskiej i podlaskiej. Wnioski do których doszedł w swej pracy ks. dr. Zalewski dały prof. Juljanowi Krzyżanowskiemu sposobność wypowiedzenia poglądu, że „opiekunem dawnej książki polskiej okazał się rząd" (sic!) i że „pod

wyraźną presją rządu księża godzili się na zbadanie wnętrz bibljotek poklasztornych, służących normalnie za kurniki i gołębniki". Zarówno sąd ks. dr. Zalewskiego jak i prof. Krzyżanowskiego wydaje się zbyt jednostronnym i subjektywnym. Opinja ks. dr. Zalewskiego o przeważnie negatywnym stosunku księży lubelskich i podlaskich w tej sprawie nie da się żadną miarą zastosować do duchowieństwa całego Królestwa Kongresowego i Litwy. W archiwach mamy bowiem niezbite dowody, świadczące o tem, że nawet w najcięższych chwilach, w czasie reakcji po powstaniu 1863 r., pewna część duchowieństwa polskiego stanęła energicznie w obronie zagrożonych bibljotek kościelnych. Z licznych tego rodzaju wypadków przytaczamy dwa najważniejsze.

Po skasowaniu w r. 1867 Warszawskiej Akademji Duchownej, władze rosyjskie powzięły zamiar wywiezienia bibljoteki akademickiej do Petersburga celem wcielenia jej do bibljoteki petersburskiej Rz. kat. Akademji Duchownej. Całych lat jedenaście toczy się walka o wykonanie tego zarządzenia, mianowicie od r. 1868 do 1878 włącznie. Gra na zwłokę oraz umiejętne postępowanie kilku księży z archidiecezji warszawskiej z ówczesnym asesorem konsystorza, późniejszym biskupem sandomierskim, ks. Ant. Sotkiewiczem na czele, sprawiło, że w dn. 19 czerwca 1878 r. gen. Timaszew, minister spraw wewn., decyduje się na pozostawienie w Warszawie bibljoteki byłej Akademji Duchownej. Zasługa grona księży z archidiecezji warszawskiej jest tem większa i tem bardziej zasługuje na uznanie, że walka ta toczyła się w czasie, gdy administratorem archidiecezji warszawskiej był prałat Stanisław Zwoliński, znany ze swego serwilizmu względem władz rosyjskich.

Również nie brakuje nam faktów, że i po powstaniu 1831 r., w czasie przeprowadzenia przez rząd rosyjski planowej niszczycielskiej akcji w Królestwie Polskiem i na Litwie, nie brakło ideowych jednostek, zarówno wśród duchowieństwa katolickiego, jak wśród osób świeckich, z powodzeniem przeciwstawiających się systematycznemu wywożeniu pamiątek polskich do Rosji albo całkowitemu niszczeniu ich na miejscu. Na wdzięczną pamięć potomności zasługuje np. ks. Albin Szymański, proboszcz w Druskiennikach, który

umiejętnem postępowaniem uratował od zagłady zabytkowy ołtarz z kaplicy zamkowej króla Stanisława Augusta w Grodnie, przeznaczony przez władze administracyjne na zniszczenie. Z powodu przebudowy zamku w Grodnie, ołtarz ten wraz z całem urządzeniem kaplicy został usunięty. Urząd gubernjalny nie wiedział o miejscu jego przechowania w chwili, kiedy ks. Szymański czynił u gubernatora starania o odzyskanie ołtarza dla kościoła w Druskiennikach. Gubernator, przekonany, że ołtarz już został zniszczony, przyrzekł swoją zgodę, z zastrzeżeniem, że ks. Szymański będzie przeprowadzał poszukiwania na własną rękę. Ks. Szymański, jak sam zaznacza w raporcie do gubernatora, po długich i uciążliwych staraniach odnalazł ołtarz wśród rozmaitych rupieci w magazynach kompanji inwalidów w Grodnie i po uzyskaniu zgody gubernatora przewiózł go do Druskiennik.

Nie można zaprzeczyć, że były wśród duchowieństwa również nieliczne jednostki, które dopomagały rządowi w ogołoceniu zbiorów klasztornych na korzyść rosyjskich instytucyj naukowych, ale takich księży naliczymy zaledwie kilku. Byli to duchowi spadkobiercy smutnej pamięci ks. arcybiskupa Stanisława Bohusza-Siestrzeńcewicza, pierwszego metropolity mohylowskiego, który „swojem życiem i przykładem zaszczepił w duchowieństwie prowincji mohylowskiej poczucie serwilizmu". Na to smutne wyróżnienie zasługują: arcybiskup Wacław Żyliński, metropolita mohylowski (1856—1863), administrator diecezji wileńskiej ks. prałat Piotr Żyliński (1866—1883), długoletni proboszcz w Goniądzu, b. dziekan Sokólski, ks. kanonik Józef Małyszewicz [1]) oraz proboszcz po benedyktyńskiego kościoła w Horodyszczu koło Pińska ks. Dobrowolski.

Metropolita Żyliński, nigdy nie uważał się za Polaka, sam sobie wystawił świadectwo w jednym z raportów do

[1]) Chwalewik (t. I, str, 311) mówiąc o niszczycielskiej działalności X. M. zaznacza, że był on archidjakonem białostockim i dziekanem w Grodnie, złożonym z urzędu i pozbawionym kapłaństwa w r. 1885, przez bisk. Hryniewieckiego. Archidjakonem białostockim był J. M., który pozostał i nadal na stanowisku dziekana dzięki wstawiennictwu rządu ros. aż do r. 1891, kiedy udał się do klasztoru w Agłonie; umarł zaś jako proboszcz w Głębokiem w r. 1900. „Ofiarodawca" zaś książek do C. B. P. w Petersburgu miał imię Józef i umarł jako proboszcz goniądzki w r. 1889.

ministra spraw wewn.: „jestem Rosjaninem i uczucia moje są rosyjskie. Śmiało powiem, że za cesarza Wszechrosji gotów jestem życie swoje oddać, jednocześnie zaś jako wierny poddany uważam stale za swój najgłówniejszy obowiązek bezwzględne wykonanie najwyższej woli I. C. Mości". Po takiem oświadczeniu oczywiście trudno spodziewać się od metropolity Żylińskiego obrony mienia polskiego. A więc nic w tem dziwnego, że z lekkiem sercem zezwolił on Cesarskiej Bibljotece Publicznej w Petersburgu w osobie jej bibljotekarza Antoniego Iwanowskiego na wybranie najcenniejszych rękopisów oraz druków ze zbiorów b. jezuickich, obecnie podominikańskich przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Ten sam los spotkał także zbiory posiestrzeńcewiczowskie przy kościele św. Stanisława, które były pod opieką księży Pijarów. Dyrekcja Cesarskiej Bibljoteki Publicznej „za bezinteresowne obdarowywanie bibljoteki znaczną ilością rzadkich druków" w roku 1857 mianuje arcybiskupa swym członkiem honorowym.

Również nie mniejszą obojętnością w stosunku do polskiego mienia kościelnego odznaczał się administrator diecezji wileńskiej ks. prałat Piotr Żyliński, kreatura hr. Murawjewa, na którego rządy przypada bodaj największa ilość konfiskat mienia kościelnego, zwłaszcza zaś bibljotek klasztornych. Prałat Żyliński nigdy nie sprzeciwiał się zarządzeniom władz administracyjnych, nietylko niema mowy o jakichkolwiek protestach z jego strony, ale nawet nie odważa się on nigdy, śladem swoich poprzedników, prosić o pozostawienie chociażby pewnej części mienia ulegającego konfiskatom w posiadaniu duchowieństwa katolickiego. Częstokroć nawet sam ułatwia tę czynność rządowi. Tak np. gdy władze administracyjne, po powzięciu decyzji zburzenia kościoła pobernadyńskiego w Trokach, zwróciły się do administratora z zapytaniem, czy materjał budowlany ze zburzonego kościoła w ilości 150.000 cegieł nie jest diecezji potrzebny, Żyliński bez żadnego wahania wyraził swoją zgodę na przekazanie powyższego budulca poklasztornego na budowę cerkwi prawosławnej. Za jego też rządów, po licznych konfiskatach zbiorów poklasztornych, które stały się podwaliną nowopowstałej w Wilnie Bibljoteki Publicznej, przypada

również pozbawienie bibljoteki seminaryjnej kilku tysięcy książek i wielu cennych rękopisów na rzecz tejże bibljoteki rządowej, co również stało się bez żadnego sprzeciwu ze strony prałata Żylińskiego.

Nieporównanie większą krzywdę wyrządził ks. kanonik Józef Małyszewicz, który od r. 1850 w ciągu kilkunastu lat corocznie wysyłał do Cesarskiej Bibljoteki Publicznej w Petersburgu rzadkie druki i rękopisy, zabierane przezeń przeważnie ze skasowanych klasztorów w Grodzieńszczyźnie przy gorliwem poparciu miejscowych władz administracyjnych. Cesarska Bibljoteka Publiczna nietylko zaszczyciła go nominacją na swego członka korespondenta, ale niejednokrotnie, za wstawiennictwem dyrekcji bibljoteki, kanonik Małyszewicz, otrzymywał za swoje „dary" ordery oraz inne nagrody w rodzaju pierścienia z drogiemi kamieniami z inicjałem cesarza i t. d. Ilość rękopisów „ofiarowanych" w ten sposób przez kanonika do Cesarskiej Bibljoteki Publicznej sięga kilkuset, co zaś do druków to przekracza ona kilka tysięcy. Nic więc dziwnego, że dyrektor bibljoteki baron Korff wymienia nazwisko kanonika, jako jednego z „najgorliwszych mecenasów bibljoteki".

Po założeniu w Wilnie Bibljoteki Publicznej ks. Małyszewicz w r. 1868 zgłasza się do kuratora okręgu szkolnego z propozycją ofiarowania pewnych rękopisów, ale pod warunkiem, że otrzyma order św. Stanisława II klasy. Wileński gen.-gubernator pismem urzędowem zawiadamia kuratora okręgu, że akceptuje warunek kanonika.

W jakich łaskach u rządu rosyjskiego był ks. Małyszewicz, świadczy następujący fakt. Będąc już 85-letnim starcem, pozostając i nadal na intratnem stanowisku proboszcza parafji Goniądz, jednej z najbogatszych na Grodzieńszczyźnie, zwraca się z najpoddańszą prośbą do cesarza o udzielenie mu jednorazowej zapomogi na przeprowadzenie kuracji. Na zapytanie Ministerstwa Spraw Wewn. gubernator grodzieński daje opinję nieprzychylną, wskazując na to, że kanonik ma dobrą parafję i że wogóle jest w dobrych warunkach materjalnych. Ale vice-minister komunikuje gubernatorowi, że, aczkolwiek kanonik, opływając w dostatki, nie zasługiwałby na przyznanie mu zapomogi, to je-

dnak ze względu na to, że Małyszewicz „w ciągu długich lat wzbogacał Cesarską Bibljotekę Publiczną cennemi drukami i rękopisami" ministerstwo ze specjalnych sum przyznało mu jednorazową zapomogę.

Po za wyżej wymienionemi wypadkami akta archiwalne zachowały nam fakt jeszcze haniebniejszy: dobrowolnego darowania przez księdza katolickiego mienia poklasztornego duchowieństwu prawosławnemu. Mianowicie po skasowaniu w r. 1869 klasztoru benedyktyńskiego w Horodyszczu koło Pińska, miejscowy proboszcz ks. Dobrowolski, chociaż władza administracyjna kazała oddać naczynia liturgiczne ze skasowanego klasztoru do kościoła parafjalnego w Pińsku, wyraził chęć „ofiarowania" duchowieństwu prawosławnemu następujących poklasztornych aparatów liturgicznych: 1 krucyfiks, 1 puszkę, 9 kielichów, 6 paten, 2 tacki, 14 ornatów, 3 kapy oraz 18 lichtarzy. Naczelnik powiatu zaskoczony tą niezwykłą propozycją, zwrócił się niezwłocznie do gubernatora mińskiego z zapytaniem, jak ma na to zareagować. Gubernator, po uprzednim porozumieniu się z prawosławnym biskupem Aleksandrem oraz z gen.-gubernatorem w Wilnie, zezwala na przekazanie powyższych rzeczy pobenedyktyńskich duchowieństwu prawosławnemu, jako „dobrowolnej ofiary ze strony księdza na rzecz cerkwi prawosławnej".

Mówiąc o krzywdach uczynionych zbiorom polskim przez niektórych przedstawicieli duchowieństwa katolickiego, nie możemy pominąć milczeniem faktu sprzedaży cennych polskich pamiątek religijnych przez ks. Juljana Astromowa, Rosjanina-konwertyty, długoletniego rektora kościoła świętego Stanisława w Rzymie. Potrzebując pieniędzy na przeprowadzenie odnowienia kościoła, ks. Astromow sprzedał za 1500 franków antykwarjuszowi Niemcowi Hamburgerowi dwa haftowaneartystycznie kobierce z XVII w., przedstawiające cuda św. Stanisława biskupa, a darowane kościołowi w Rzymie przez biskupa Załuskiego. Hamburger odsprzedał je muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie za 6000 marek.

Były poza tem niefortunne próby niektórych księży uratowania pamiątek poklasztornych, którym to niezręcznym usiłowaniom możnaby zarzucić i lekkomyślność. Mianowicie

zamiast poczynienia starań w celu odesłania tych cennych rzeczy do zbiorów polskich w Krakowie lub we Lwowie, księża oddawali je na własność osobom prywatnym. Tak postąpił np. jeden z pozostałych w Klimontowie po skasowaniu klasztoru dominikanów Ojciec Korneljusz Mikusiński, doręczając Aleksandrze Pawlikiewicz, przełożonej pensji żeńskiej w Sandomierzu, szereg bardzo cennych dokumentów z archiwum klasztornego. Akta te stanowiły część archiwum Jerzego Mniszka, wojewody sandomierskiego za Zygmunta III i zawierały między innemi skrypt, podpisany własnoręcznie dn. 21 sierpnia 1604 r. przez Dymitra Samozwańca. A. Pawlikiewicz powyższe dokumenty przekazała siostrzeńcowi swemu Piotrowskiemu, ziemianinowi ze wsi Lutobrok pod Pułtuskiem, ten zaś odstąpił je Rosjaninowi kapitanowi Piotrowi Bieławieńcowi, autorowi kilku prac historycznych. Bieławieniec, jak zaznacza A. Kraushar w r. 1915 „pragnąłby spieniężyć ów dokument za znaczną stosunkowo cenę". Obecnie, wobec zagrabienia zbiorów Bieławieńca w Petersburgu przez rząd sowiecki, los tego cennego dokumentu z archiwum klasztornego — jednego z dwóch wogóle znanych historykom pism Dymitra Samozwańca w języku polskim, jest nieznany.

Wśród bolesnych krzywd wyrządzonych zbiorom i nauce polskiej, badaczom historji Kościoła w Polsce, mało znana jest strata spowodowana przez Fryderyka Bacciarellego, byłego „konsiljarza tajnego" króla Stanisława Augusta.

Fr. Bacciarelli, pracując od r. 1779 w departamencie włoskim kancelarji królewskiej pod zwierzchnictwem ks. Kajetana Chigiottiego, w r. 1788 został mianowany przez króla po Chigiottim szefem tego departamentu, u którego wtedy za 1800 florenów nabył archiwum „departamentu włoskiego" za lata 1764—1788. Pozostając na tem stanowisku do r. 1795, Bacciarelli znacznie powiększył archiwum, uporządkował je, część pojedyńczych akt i dokumentów oprawił w tomy według treści oraz sporządził dwa inwentarze: jeden w porządku liczbowym, drugi alfabetycznym. Archiwum to, w głównej swej części zawierające 38 pudeł z 1136 aktami za okres czasu 1764—1801, składa się nietylko z korespondencji urzędowej prowadzonej przez urzędy polskie ze Sto-

licą Apostolską, z nuncjuszami i przedstawicielami Rzeczypospolitej polskiej w Rzymie, ale również dotyczy wielu innych spraw Kościoła katolickiego za panowania króla Stanisława Augusta. Z innych materjałów tegoż archiwum zasługuje na uwagę: 24 tomy dokumentów kardynała Antici; 7 tek akt nuncjuszów w Polsce: Ant. Visconti, Mar. Durini, J. Garampi, A. Archetti, F. Saluzzo i W. Zitta; 3 tomy korespondencji osobistej króla Stanisława Augusta z kardynałem Albani, Antici i t. d.

Bacciarelli pragnąc w r. 1818 objąć stanowisko przedstawiciela rządu rosyjskiego przy Stolicy Apostolskiej, celem pozyskania względów rządu ofiarował cesarzowi Aleksandrowi I powyższe archiwum departamentu włoskiego kancelarji królewskiej. Aczkolwiek posady agenta w Rzymie nie otrzymał, jednak archiwum powyższe pozostało nadal w Petersburgu, Bacciarellemu zaś wypłacono tytułem gratyfikacji 2500 rubli, którą to sumę uważał on za niewystarczającą i kilkakrotnie zwracał się z podaniami do cesarza o wypłacenie mu dodatkowo „przynajmniej jeszcze 360 rubli". Składając archiwum w darze cesarzowi, Bacciarelli doskonale zdawał sobie sprawę, że jego tytuł posiadacza nie jest całkowicie legalny, prawo zaś uważania archiwum za swoją własność Bacciarelli uzasadniał w następujący sposób:

1) za pewną jego część zapłacił ks. Chigiottiemu 1800 flor.,

2) ilość dokumentów podwoił własną zabiegliwością,

3) konserwacja archiwum kosztowała go dużo pracy i wydatków,

4) od zapoczątkowania archiwum do r. 1818, t. j. w ciągu 52 lat, nikt nie zadeklarował archiwum jako własności publicznej.

Przed zwróceniem się do cesarza Aleksandra I, Bacciarelli w r. 1816 proponował kupno archiwum Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Prezes komisji hr. Potocki, znany ze swojej niechęci do Kościoła katolickiego odpisał Bacciarellemu, że Komisja Rządowa nie posiada „funduszu na zakupienie" jego archiwum. Wówczas dopiero „właściciel" zaproponował Aleksandrowi I ofiarowanie zbioru rządowi rosyjskiemu za zwrotem pewnych kosztów. „Dar" Bacciarellego zostaje chętnie przez Rosjan

przyjęty, Polskę zaś nieprzychylność hr. Potockiego pozbawiła nadzwyczaj cennych materjałów do historji Kościoła katolickiego z epoki króla Stanisława Augusta. Archiwum znajduje się obecnie w Petersburgu i jako „dar" nie podlega rewindykacji na podstawie artykułu XI Traktatu Ryskiego; pozostanie więc nadal na obczyźnie o ile rząd polski nie uzyska go za inne polonica, które z pewnych względów Traktat Ryski pozostawia Sowietom.

Konfiskata przez rząd mienia kościelnego miała jeszcze tę złą stronę, że dawała ludziom nieuczciwym możność wzbogacenia się niem. Zwykle po ogłoszeniu ukazu kasacyjnego majątek poklasztorny przez czas dłuższy oczekiwał decyzji odnośnych władz co do dalszego jego przeznaczenia. Bardzo często ruchomości pozostawiano bez dozoru, więc były one dostępne, nawet bez łapówek, miejscowym zbieraczom. Z tego źródła, zwłaszcza na kresach wschodnich, bogaciły się liczne zbiory prywatne.

Trudno byłoby wyliczyć wszystkie w ten sposób powstałe czy pomnożone kolekcje, jako przykład zacytujemy jedną, biskupa prawosławnego w Mohylowie nad Dnieprem, Pawła Dobrochotowa, który w latach 1859—1863 był jednym z najgorliwszych współpracowników metropolity - renegata Józefa Siemiaszki oraz gen.-gubernatora wileńskiego. Zbiory te w Polsce są zupełnie nieznane, nawet Chwalewik o nich nie wspomina, w Rosji zaś cieszyły się dużym rozgłosem.

Paweł Dobrochotow, zajmując w ciągu lat kilkunastu stanowisko profesora, a następnie rektora seminarjum prawosławnego, a wreszcie biskupa na kresach wschodnich i będąc *persona gratissima* u ówczesnych gen.-gubernatorów, bezkarnie grasował i szperał po bibljotekach i archiwach skasowanych klasztorów katolickich, zabierając stamtąd najcenniejsze rękopisy, druki oraz inne godne uwagi rzadkie akty i dokumenty. Jeszcze za życia swego — w r. 1897 ofiarowuje pewną część swoich zbiorów bractwu św. Ducha w Wilnie, po śmierci zaś biskupa, spadkobiercy jego z protojerejem A. Woskreseńskim na czele w latach 1903 i 1908 część tych „wyjątkowo cennych" druków i rękopisów sprzedali, w części zaś ofiarowali do Bibljoteki Cesarskiej Akademji Nauk w Petersburgu. Zbiory powyższe biskupa, jak

zaznacza oficjalne wydawnictwo akademji z r. 1914 — „prawie w całości dotyczą historji Kościoła w XVI—XVII wieku, Wśród dyplomów oraz innych akt w ilości dochodzącej do 3000, znajduje się oryginał aktu synodu biskupów ruskich w Brześciu z r. 1591, szereg dyplomów królów polskich, bulle papieskie i t. d. Wiele pojedyńczych akt oprawiono w jedną całość; razem z tomami inwentarzy oraz innemi oficjalnemi dokumentami stanowią one starannie dobrane archiwa niektórych klasztorów katolickich.

Ta wzmianka jest wiele mówiącą opinją urzędową, świadczącą o niebywałych nawet jak na Rosję, sposobach korzystania z bezprawia. Wśród tych rękopisów zasługują na szczególną uwagę niedrukowane pisma św. Jozafata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego, o których treści ks. dr. Piotr Kremer informuje w styczniowym zeszycie *Ateneum Kapłańskiego* za r. 1911 (str. 75—77). Wśród licznych materjałów dotyczących św. Jozafata w zbiorach biskupa Dobrochotowa specjalnie cennym jest tom zatytułowany: *Processus in causa beatificationis et canonizationis servi Dei Iozephat Kuncewicz, archiepiscopi polocensis, expeditus an. 1637 et in audientia illustrissimorum iudicum lectus, tumque illorum, quam notariorum apostolicorum, ad id designatorum authoritate, manu et sigillas declaratus, quod est consentiens suo originali et ab illustrissimo Antonio Sielawa archiepiscopo metropolitano kijowiensi pro tali recognitus.* Zawiera on akta procesu, który odbył się w Połocku od 31 lipca do 4 grudnia 1637 r., przyczem zeznania świadków są przez nich własnoręcznie podpisane. Rękopis ten stanowi pierwszorzędny materjał dla biografji św. Jozafata.

Ks. Józef Ussas.

Zagadnienie „pacyfizmu słowiańskiego"

Do zagadnień zawsze aktualnych, wobec których każde pokolenie musi swoje własne ustosunkowanie znaleźć, należy i kwestja „pacyfizmu słowiańskiego". Postępy socjologji jak i modne dziś teorje rasizmu dają tu pewne nowe punkty widzenia, które umożliwiają jeśli nie rozwiązanie ostateczne, to w każdym razie lepsze znacznie wyświetlenie problematów, które zarówno dla interpretacji historji i faktów społecznych, jak i dla konstrukcji programów politycznych niemałe mają znaczenie.

I. Mit o pokojowości słowiańskiej.

Przekonanie o pokojowem usposobieniu ludów słowiańskich w przeciwieństwie do wojowniczo usposobionych Germanów jest równie powszechne jak dawne. Idee te głosi już w XV w. czeski filozof chłopski, Piotr Chelčický, a Amos Commenius ogłasza Słowian za „naród gołębi". Jego tezy spopularyzowali w Czechach Józef Dobrovsky i Jesuej Kopitar, a do poezji wprowadził je Słowak Jan Kollar (1793—1852), twórca panslawizmu, swym cyklem sonetów *Slavy dcera* (1824). Rozbudował te idee inny Słowak, Paweł Józef Szafařik (1795—1861). Wielki autorytet Palackyego poparł w całej pełni te tezy, a podtrzymali je w polemice z Rosjaninem Sobestjanskim Masaryk i Niederle.

Popularyzację międzynarodową tej ideologji słowiańskiej zawdzięczamy idealiście niemieckiemu, którym był nie kto inny jak J. G. Herder. Jego *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit* (1784—1791) rozpowszechniły

szeroko, przejęte niewątpliwie od Komenjusza, poglądy na pokojowość Słowian.

Do Polski, rzecz niezmiernie charakterystyczna, te w Czechach i Słowacji zrodzone idee dostały się dopiero za pośrednictwem niemieckiego filozofa. Przejął je jako pierwszy od Herdera Wawrzyniec Surowiecki. Wygłosił on swoje poglądy na te sprawy poraz pierwszy na odczycie publicznym w r. 1809. Surowiecki dodał do stwierdzenia faktu pokojowości i wytłumaczenie jego przyczyn, które się wkrótce przyjęło wśród zwolenników pokojowości słowiańskiej. Wskazał on mianowicie na r o l n i c z y c h a r a k t e r Słowian jako przyczynę pokojowego usposobienia. Z historyków polskich przyjęli te tezy W. B. Maciejowski,[1]) Szujski, [2]) Bobrzyński, [3]) W. Bogusławski. [4]) Wyraźne echa tych poglądów spotykamy w systemach filozoficznych Wrońskiego, Trentowskiego, Libelta, a przedewszystkiem Cieszkowskiego. Do świadomości powszechnej weszły one jednak dopiero przez naszą wielką literaturę doby romantycznej, zwłaszcza przez Mickiewicza, który w swej „Historji Polskiej", pierwotnie jedynie do Polski odnoszone, pojęcia o braterskim stosunku do bliźnich i odrzucaniu przemocy, rozszerzył na wszystkich Słowian. Polscy myśliciele zawsze przytem uważają Polskę za najprzedniejszą, przodującą nację słowiańską, a misję narodową Polski za misję całej Słowiańszczyzny. [5])

Ciekawą jest rzeczą, jak ustosunkuje się do idei „pacyfizmu słowiańskiego" myśl rosyjska. Jeślibyśmy uznali pacyfizm za idealizację własnej słabości, to nie mogło to w żaden sposób dotyczyć Rosji, która wyrosła na podbojach i miała interes najwyżej w tem, by obronić słuszność swego postępowania. Otoż mimo tej naturalnej, z interesu wypływającej, tendencji do obrony dopuszczalności imperjalizmu, myśl rosyjska naogół poszła po tej samej linji, co większość

[1]) *Historja prawodawstw słowiańskich*, 1832, s. 72 i n.

[2]) *Dzieje Polski według ostatnich badań*, Lwów 1862.

[3]) *Dzieje Polski w zarysie*, II wyd. 1890, s. 68 n,

[4]) *Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII w.*, Poznań 1889.

[5]) G a r f e i n - G a r s k i: Zagadnienie polskiej filozofji narodowej *Polska Filozofja Narodowa* — praca zbiorowa pod redakcją M. Straszewskiego, Kraków 1921, s. 9.

myślicieli, historyków i poetów słowiańskich. Tezę o pokojowości Słowian akceptuje ostatecznie, mimo przytoczenia i przeciwnych przykładów, wielki historyk Karamzin. [1]) Po tej samej linji idą: Bodjanskij, Pogodin, Chomiakow, W. Aksakow, Leszkow, O. Miller, Hilferding, Kotlarewskij, Sołowjew, Karelin, Bestuszew, Rjumin, Petrow i Osokin. Również i w literaturze rosyjskiej zaznacza się silnie idealizacja tych cech i postaw, szczególnie u Tołstoja i Dostojewskiego. [2]) Są oczywiście i przeciwnicy „pacyfizmu słowiańskiego", jak cytowany Sobastjanski. Są to jednak opinje dosyć odosobnione. Naogół stwierdzić można, że pokojowość została i przez Słowian i przez obcych uznana za cechę wybitnie słowiańską i jako taka wyidealizowana, co dopiero wtedy zyskuje na znaczeniu, gdy sobie uprzytomnimy, że i „wojowniczość" germańska jest i była zawsze przedmiotem idealizacji. Przejawia się to już w relacjach Tacyta, który nam podaje, że u Germanów pokój uchodził prawie za rzecz niemoralną, jako okres „zniewieściałej gnuśności". Odbiciem pojęć i wartości plemiennych Germanów jest ich nawskróś wojenna mitologja. Tę postawę antypacyfistyczną można śledzić w rozwoju myśli niemieckiej aż do chwili obecnej jako ton dominujący. Luter uznał wojnę i wyniszczanie się wzajemne (*Kriegen und Würgen*) za rzecz przez Boga ustanowioną. Clausewitz, W. v. Humboldt, Zschokke i Moltke uznali wojnę za czynnik wychowawczy. Prutz starał się wykazać, że pacyfizm jest zawsze fałszywą grą, a chrześcijaństwo wcale nie głosiło pokoju między narodami, lecz jedynie pokój wewnętrzny [3]). I dziś jeszcze wychowuje się w Niemczech młodzież w przekonaniu, wyrażonem w znanych słowach Moltkego, że „wieczny pokój jest snem i to nawet nie pięknym" [4]). Są oczywiście i w Niemczech szcze-

[1]) *Historja państwa rosyjskjego* tłum. Buczyńskiego I (1824) 15n, 48n.

[2]) Patrz Seifert: *Die slavische Friedfertigkeit, Völkerpsychologische Charakterstudien. Forschungen zur Völkerpsychologie u. Soziologieher* v. Thurnwald t. III, Lipsk 1927.

[3]) H. Prutz: *Die Friedensidee ihr Ursprung, anfänglicher Sinn und allmählicher Wandel.* München u. Leipzig 1917.

[4]) Na ten temat w szkołach niemieckich w okresie wojny zadawano dziewczętom wypracowania szkolne. Niedwuznacznie głosi te zasady książka prof. dr H. Wolfa *Angewandte Geschichte. Eine Erziehung zum po-*

rzy pacyfiści. Czy jednak jest to rzeczą przypadkową, że najwybitniejszy z nich, F. W. Foerster przebywać musi na wygnaniu?

Możemy więc stwierdzić jako fakt, że mamy tu do czynienia z dwojakim stosunkiem do wojny i, że granice tego ustosunkowania pokrywają się naogół z granicami plemiennemi Słowiańszczyzny i ludów germańskich. Oczywiście zachodzą tu odchylenia. Tak np. najmniej przychylne echo znalazł pacyfizm słowiański wśród ludów bałkańskich, co zresztą jest zrozumiałe ze względu na toczące się podówczas wojny o ich niepodległość. (Pod koniec naszych rozważań nasuną nam się i inne przyczyny, głębiej tkwiące). Również i germańskie narody skandynawskie, niegdyś znane z wojowniczości, dziś należą do najbardziej pokojowych. Trudno też dziś i Anglo-sasów uważać jeszcze za lubujących się w wojnie jako wartości dla siebie. Najsilniej zaznacza się ta postawa dziś jeszcze u Niemców. W przeszłości można ją było jednak w dużej mierze odnieść do innych narodów germańskich.

Cała ta faktyczna idealizacja nie daje nam jeszcze odpowiedzi na pytanie, czy rzeczywistość historyczna potwierdza istnienie tej postawy, czy chodzi tu może tylko o ideały albo i jedynie sugestje społeczne, chociażby i z rzeczywistości wyrastające, lecz niezdolne do wywarcia większego wpływu na realną rzeczywistość? Faktem niezaprzeczalnym jest jedynie istnienie „mitu". Spróbujemy w dalszych naszych rozważaniach dać odpowiedź na pytanie, w jakim sensie i w jakim zakresie chodzi tu jeszcze i o coś więcej niż mit.

II. Wyjaśnienie antropologiczne.

Na pierwsze wejrzenie powiedzieć można, że fakty tego rodzaju, jak postawa wojownicza lub pokojowa, proszą się wprost o wytłumaczenie antropologiczne. Toć chodzi tu o cechy psychiczne, względnie proste i powszechne i, jeśli wogóle istnieją właściwości psychiczne, z fizjologicznych wy-

litischen Denken und Wollen. Lipsk 1910 s. 19 z. „Autor ten wpaja swym czytelnikom przekonanie, powołując się zresztą na Klopstocka, że naród niemiecki choruje na zbyt wysubtelnione poczucie sprawiedliwości, które krępuje jego wolę polityczną(!) (str. 196).

nikające, to należałoby się spodziewać, że zaznaczą się one w tej dziedzinie.

Nim zapytamy się, co nam wyjaśnić może antropologja, musimy sobie uprzytomnić założenia, na których ta odpowiedź oprzeć się musi.

Zgóry zaznaczyć musimy, że chodzi nam narazie o zbadanie przyczyn powstanie „mitu", a nie o kwestję, czy „pacyfizm" słowiański istniał w realnej rzeczywistości historycznej. Do tej sprawy wrócimy jeszcze.

Założeniem zasadniczem, na którem oprzeć się musi wszelkie wyjaśnienie antropologiczne, (które zresztą będzie jedynie sprowadzeniem faktów z dziedziny humanistycznej do faktów przyrodniczych i niczem więcej) jest odpowiedź na następujące pytania:

1) czy istnieją różnice rasowe pomiędzy obu grupami plemiennemi?

2) czy istnieje związek przyczynowy lub chociażby stwierdzona empirycznie korelacja między danemi cechami rasowemi, a wchodzącemi w grę właściwościami psychologicznemi?

Już odpowiedź na pierwsze pytanie nastręcza trudności niepokonalne. Zaczynają się one od smutnego faktu, że antropologja narazie nie dała nam jeszcze zadawalającej i powszechnie przyjętej odpowiedzi na pytanie podstawowe: co to jest rasa? Pojęcie rasy jest wciąż jeszcze bardzo niejasnem.[1]) Istnieją najróżniejsze pojęcia rasy. Zależą one od tego, jakie dany antropolog cechy bierze za podstawę klasyfikacji. Im większa ilość ras tem zawilsza klasyfikacja. Zawiodłoby nas to za daleko, gdybyśmy tu chcieli omawiać poszczególne kierunki antropologiczne. Naukowa, na antropometrji oparta antropologja, której twórcami są Anders Retzius, Vacher de Lapouge, Otto Ammon, Francis Galton i K. Pearson, a współczesnymi przedstawicielami na gruncie polskim prof. Czekanowski, Talko-Hryncewicz, Jan Mydlarski i docent Karol Stojanowski, posługuje się przedewszystkiem pojęciami, opartemi na wymiarach czaszki (t. zw. wskaźnik główny czyli stosunek szerokości czaszki do jej

[1]) Walter Goetz: *Rasse und Geschichte.* W pracy zbiorowej: *Rasse und Geist.* Vier Vorträge. Leipzig 1932. S. 72.

długości), pigmentacji i wzroście. Oparte na tych podstawach pojęcia rasy nordycznej, subnordycznej, alpejskiej, śródziemnomorskiej i t. d. absolutnie nie pokrywają się z granicami plemiennemi słowiańsko-germańskiemi. Tak np. w niektórych częściach Polski zawartość nordyckich elementów rasowych jest bez porównania większa, niż w niektórych częściach Niemiec. Pomijając już zupełne i szybko wzrastające przemieszanie typów rasowych, wynikające z kolonizacji, podbojów i innych ruchów ludnościowych, granice pierwotnego osiedlenia ras w okresie, dostępnym naszym badaniom, zupełnie nie zgadzają się z granicami plemiennemi. Możnaby tu z wielką chyba trudnością mówić o przewadze pewnych elementów. Do tych bardzo zresztą niewyraźnych faktów p r z e w a g i pewnych czynników możnaby jedynie nawiązać jakieś próby antropologicznej interpretacji kwestji pokojowości słowiańskiej.

Większe jeszcze trudności nastręcza odpowiedź na drugie pytanie. I tu istnieje jeszcze u samych antropologów wielka rozbieżność poglądów. Peters stwierdza istnienie w antropologji dzisiejszej następujących dylematów: 1) istnieją doniosłe różnice psychiczne między rasami — niema takich różnic 2) różnice są niezmienne — ich plastyczność jest bardzo wielka 3) przewagę ma rasa nordyjska, długo i wąskogłowa — przewaga jest po stronie krótko i szerokogłowych Mongołów.[1]) Dodamy tu, że teza, na której opiera się cały rasizm hitlerowski, jakoby czystość rasowa była warunkiem wartości rasy, została już przez naukę obalona. Również sprawa dziedziczności cech nabytych jest nadal otwarta.[2]) W takich warunkach możnaby najwyżej obrać jedną teorję i na niej się opierając próbować jakiejś odpowiedzi na postawione przez nas pytania. Tak np. znajdziemy u Lapouge'a cechę wojowniczości jako cechę rasową nordyjską.[3]) Niestety musieliśmy właśnie przed chwilą stwierdzić, że i Słowianie posiadają dużą ilość nordyjskich elementów rasowych. I o ten fakt ostatecznie rozbija się próba antropologicznej interpre-

[1]) W. Peters: *Rassenpsychologie. Rasse und Geist.* s. 33.

[2]) Mc. Dougall: *Psychologja grupy.* (1930) s. 344, patrz też: s. 221.

[3]) Dr T. Szczurkiewicz: *Kierunek rasowo-antropologiczny w socjologji.* Przewodnik społeczny. 1635, s. 280.

tacji interesujących nas tutaj faktów świadomości. Nie wykluczamy oczywiście, że kiedyś antropologja będzie mogła wykazać istnienie w poszczególnych grupach plemiennych przewagi takich czy innych składników rasowych o mniej lub więcej ściśle określonych właściwościach. Narazie jednak nie możemy się z tej strony spodziewać odpowiedzi, któraby nas poważnie przybliżała do wyjaśnienia naszego problematu.

III. Pokojowość słowiańska w świetle faktów historycznych.

Nie mogąc ustalić podłoża rasowego pokojowości słowiańskiej, nie możemy z tego wyciągać wniosku, że pokojowość ta jest tylko mitem i niczem więcej. Może ona przecież opierać się na różnego rodzaju fundamentach przyczynowych. Nim jednak zapuścimy się w dalsze dociekania na ten temat, spróbujmy dać w granicach zakreślonych krótkiej rozprawce, odpowiedź na pytanie zasadnicze: na ile rzeczywistość historyczna potwierdza istnienie takiej pokojowości słowiańskiej, w antytezie do wojowniczego usposobienia ludów germańskich. Z uznania tej pokojowości za swój ideał, nie wynika jeszcze, że ideał ten był wcielany w życie. Pesymiści twierdzą nawet, że ideały właśnie dlatego są ideałami, że ich nigdy urzeczywistnić nie można. Takie postawienie sprawy jest jednak o tyle błędne, że istnieją też ideały, polegające jedynie na sublimacji (uwznioślenіu) pewnych dążeń czy postaw i pozbawione pierwiastka nieosiągalności. Zresztą i najtrudniejsze ideały, jak świętość, bywały w całej pełni realizowane. To też ideał pokojowości, którego istnienie u ludów słowiańskich zdołaliśmy stwierdzić ponad wszelkie wątpliwości, mógł, choć nie musiał być realizowany.

Jak było jednak w rzeczywistości?

Chcąc dać pełną i ścisłą odpowiedź na to pytanie, musielibyśmy przeprowadzić analizę szczegółową historji wszystkich narodów słowiańskich. Byłoby to zadanie, nietylko przekraczające nasze możliwości, ale i wogóle siły jednego człowieka. Wystarczyć musi nam tutaj pewna ogólniejsza orjentacja.

Przedewszystkiem musimy sobie tu postawić pytanie, które ludy należy wogóle uznać za przynależne do słowiańskiej grupy plemiennej? Pytanie nie jest tak proste, jakby się zdawać mogło, gdyż mamy kilka ludów, u których domieszki obce są tak silne, że trudno rozstrzygnąć, do której grupy plemiennej zaliczyć je należy. Plemiennie czystych narodów niema wogóle. Każdy naród powstał z mieszania się różnych elementów plemiennych i rasowych. O ile chodzi o Słowian, to rozróżniamy dwie główne kategorje domieszek obcych, germańską i turańsko-mongolską. Stwierdziliśmy jednak, że punkt widzenia rasowy narazie trzeba wyeliminować. Jak w dalszych naszych wywodach jeszcze wykażemy, istotnem będzie nie rzeczywiste pochodzenie, lecz to, które sobie dana grupa przypisuje. I o tyle będziemy mogli ustalić przynależność grupową poprostu na podstawie faktu zaliczania się danej narodowości do jakiejś grupy plemiennej. I o tyle i Rosjanie i Bułgarzy mogą uchodzić za Słowian, choć, być może, przeważa u nich krew mongolska. Przy takiem postawieniu sprawy nie potrzebujemy się też liczyć z różnemi infiltracjami krwi obcej. Jedynie przy takiem socjologicznem podejściu można wogóle posługiwać się pojęciami plemiennemi w odniesieniu do narodów cywilizowanych, u których stopień przemieszania jest naogół tak duży, że możnaby mówić jedynie o przewadze tego lub innego elementu. Biorąc natomiast jako punkt wyjścia fakt, przynależności kulturalnej, wyrażającej się przedewszystkiem w języku, na czem się właśnie w głównej mierze opiera owa świadomość przynależności plemiennej, możemy mówić o grupie plemiennej, jako o czynniku realnym.

Ustaliwszy w ten sposób pojęcie grupy plemiennej, możemy teraz spróbować odpowiedzi na pytanie, na ile grupa plemienna słowiańska w odróżnieniu od germańskiej a częściowo mongolskiej (inne tu pozostawić musimy na uboczu) odznaczała się w ciągu swej dotychczasowej historji pokojowością, t. j. brakiem skłonności do prowadzenia wojen zaczepnych i podbijania orężnego innych plemion.

Faktem jest, że Słowianie, którzy pierwotnie stanowili niewątpliwie jednolitą grupę plemienną, ukazują się na widowni dziejowej jako masa etniczna, mało aktywna pod

względem politycznym, ulegająca stale władzy innych plemion, bardziej agresywnie nastawionych, pochodzenia germańskiego i mongolskiego. Charakterystyka Słowian, podana przez Nestora i pisarzy bizantyńskich, rozróżnia wyraźnie dwie grupy słowiańskie: zupełnie dzikich plemion leśnych, protoplastów dzisiejszych Rosjan, i plemion rolniczych „polańskich", które miały obyczaje łagodne i wysoki stosunkowo poziom moralności.[1])

Trudno nam tu analizować szczegółowo pierwsze relacje historyczne o Słowianach. Niewątpliwie i owe relacje greckie o posłach słowiańskich, którzy miast broni mieli gęśle, odpowiadają wyobrażeniom, które musiały być odbiciem pewnej rzeczywistości. W okresie wczesnohistorycznym obserwujemy proces stopniowego wciągania Słowian w wir rozgrywek wojennych. Pierwsi porywają ich za sobą Awarowie[2]), a od zachodu zaczyna się powoli germańskie parcie na wschód, fala powrotna wędrówki ludów, która umożliwiła i Słowianom pewne przesunięcia na zachód, a przynajmniej pewną emancypację z pod wiekowego jarzma. W każdym razie jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że pierwsze państwo słowiańskie Samona powstaje jako inicjatywa cudzoziemca. (VII w.) Pomocy obcej potrzebowała i Ruś, a także i Bułgarja. Jedynie państwo czeskie, serbskie i — najpóźniej utworzone, polskie — powstały samodzielnie. Z chwilą powstania państw słowiańskich kończy się w każdym razie okres rzekomo „sielski i anielski". Powiemy „rzekomo", gdyż w rzeczywistości i w prehistorycznych czasach niewątpliwie znali już dobrze i Słowianie, nawet ich wyłącznie i czysto rolniczy odłam, użytek oręża. Że nie używali go dla celów wojskowych, lecz raczej w sporach o charakterze mniej lub więcej domowym, to trudno uważać za dowód łagodności usposobienia. Wciągnięci raz w wir wojennych rozgrywek, zasmakowali Słowianie rychło i w najazdach łupiezczych,[3]) i państwo wschodnio-rzymskie miało

[1]) Por. też *Karamzin*, l. c. 1253 n. oraz Moraczewski: *Dzieje Rzeczypospolitej Polski*. I Poznań 1862 s. 6.

[2]) A. Szelągowski: *Dzieje powszechne i cywilizacji*. IV, 404, Warszawa 1918.

[3]) A. Brückner: *Eintritt der Slaven in die Geschichte*. Pflugk-Hartung Weltgeschichte. Mittelalter s. 560.

w nich może mniej groźnych sąsiadów, niż zachodnio-rzymskie w ludach germańskich i dlatego zdołało się ono przed nimi obronić, lecz w każdym razie nie bez ciężkich walk. Również Słowianie zachodni i północni ulegają stopniowej aktywizacji militarnej. Wytwarza się u nich powoli organizacja wojskowa społeczeństwa, powstaje warstwa zawodowego rycerstwa, która powoli zamienia się w warstwę panującą. Wojna i tu staje się drogą do awansu społecznego i wzbogacenia. Narody słowiańskie poczynają przeżywać swoje okresy wzmożonej aktywności wojskowej, swoje okresy ekspansji zdobywczej. Jest to wprawdzie najczęściej walka o zjednoczenie szczepu i wyzwolenie z pod obcego jarzma, lecz nabiera ona nieraz charakteru wybitnie ofensywnego. Okres taki przeżywają najpierw Słowianie południowi w walkach swych z cesarstwem i najeźdźcami mongolskimi jak Hunowie, Awarzy, Węgrzy. Ma swoje okresy wojownicze zachodnia Słowiańszczyzna, mają je i Czesi, już za Brzetysława, a później w formie żywiołowej erupcji sił narodowych, jakich niewiele historja pamięta — w okresie wojen husyckich. Ma i Polska liczne dosyć okresy ekspansywności militarnej: za Chrobrego, i dwóch następnych Bolesławów, szczególnie za czasów Krzywoustego, który był może jedynym władcą polskim, który umiłował wojnę jako cel dla siebie, i potrafił swym drużynom, a może i w pewnej mierze całemu narodowi, choć nie na długo, to zamiłowanie wpoić. Nie przyjęła się u nas nigdy na dobre idea wypraw krzyżowych, jako obca postawie duchowej Polaków,[1]) lecz przyszły jeszcze okresy, w których w narodzie polskim duch rycerski i ofensywny na dobre się rozbudził — szczególnie w czasach wojen krzyżackich, a później i tureckich.

W wojnach tych Słowianie wykazali nieraz dużo nietylko męstwa i dzielności, lecz ujawnili oni też niejednokrotnie w całej pełni właściwe ludom pierwotnym, okrucieństwo. „Gołębia natura" potrafiła nieraz zamienić się w wilczą.

Teza o pokojowości Słowian nie da się utrzymać, o ile postawimy sprawę w płaszczyźnie faktów bezwzględnych. Inne będą jednak wyniki, gdy całe zagadnienie po-

[1]) R. Grodecki: *Polska wobec idei wypraw krzyżowych.* Przegląd Współcz. VII (1923).

traktujemy porównawczo. Wtedy istotnie, w zestawieniu z Germanami i Mongołami różnych szczepów, uwypukli się niedwuznacznie mniejsza znacznie skłonność Słowian do podbijania innych narodów. Ich, pojawiająca się okresowo, wojowniczość zawsze wydaje nam się mieć charakter naśladowczy, jak np. udział w najazdach awarskich, lub najczęściej, odruchowy. Odruchy te zwykle narastały w formie żądzy odwetu przez długie nieraz okresy, aż uzbierały się potencjalne siły w ilości dostatecznej, by przełamać inercję i pokojowość, i wyładować się jakimś potężnym, choć zwykle krótkotrwałym, wybuchem. Typową taką erupcją były wojny husyckie. Momentem decydującym dla wyzwolenia zbierającej się przez wiekowe zatargi kumulowanej siły odruchu, było złamane słowo cesarskie i męczeństwo Husa, poniesione wprawdzie za błędne doktryny, lecz tem tragiczniejsze, że w ten sposób idee te stały się ideami narodowemi całej nacji czeskiej. Dynamika tego ruchu tłumaczy się splotem sił religijno-moralnych i socjalnych.

Inny nieco, choć również typowy charakter miały wojny polsko-krzyżackie. I tu mamy do czynienia z odruchem, wywołanym przez wiekowe krzywdy. Zachodzi tu t. zw. w socjologji „negatywna zmiana". Polega ona na tem, że skoro na działanie, po którem podmiot spodziewał się reakcji pozytywnej, niespodziewanie nastąpiła reakcja negatywna, postawa pierwotnie życzliwa wobec przedmiotu akcji, zmienia się na nieżyczliwą.[1]) Takiej pozytywnej reakcji mieli Polacy prawo spodziewać się po Zakonie krzyżackim, który przez polskiego księcia został tak hojnie uposażony.[2]) Tymczasem, jak to świetnie oddaje Paweł Włodkowic w przedmowie do traktatu *De potestate Papae et imperatoris respectu infidelium,* ci, których sobie Polska wzięła jako tarczę, przez swą dzikość zamienili się w bicz na nią.[3]) Reakcja ze strony polskiej narastała bardzo powoli. Mimo zaboru Pomorza, dokonanego zdradą, niektórzy książęta polscy nadal utrzymują przyjazne stosunki z Zakonem. Sam Łokietek próbuje

[1]) Znaniecki; *The laws of social psychology.* Warszawa 1925 s. 141.

[2]) Nie chodzi tu o motywy tego uposażenia, ani o to, jak je rozumieć mogli Krzyżacy, lecz o to, czego spodziewali się Polacy.

[3]) *Starodawne prawa polskiego pomniki.* V. 162.

z początku rokowań, potem jeczcze rozjemstw, nim sięgnie on po „ostatnią rację" oręża. Jego następca, Kazimierz Wielki, odkłada, po pewnych próbach dyplomatycznych, całą rozgrywkę na następny okres, i pozostawia Zakonowi Pomorze jako „wieczystą jałmużnę", zachowując sobie jedynie tytularną zwierzchność. Trzecie dopiero pokolenie miało dożyć czasów, gdy Polska, wzmocniona przez połączenie z Litwą, nietylko materjalnie, ale i w samopoczuciu narodowem, poczęła się zapędzać do rewindykacji utraconych na rzecz Zakonu ziem. Niezmiernie charakterystyczną jest historja tego rewindykowania i dlatego zatrzymamy się przy niej nieco dłużej.

Wczytując się w dzieje owych czasów, natrafiamy na takie mniej więcej typowe rozumowanie: krzyżacy nas krzywdzą na każdym kroku, lecz my nie chcemy przelewu krwi chrześcijańskiej. Takie było przedewszystkiem stanowisko samej królowej Jadwigi, która za swego życia do wojny nie dopuściła. Lecz i po jej śmierci Jagiełło, choć rozumiał wyśmienicie, że walna rozprawa z Zakonem jest nieodzowna, i — przyznać to trzeba — niczego nie zaniedbał, czego roztropność wymagała, każdej chwili był gotów schować wyciągnięty już z pochwy miecz i nawiązać rokowania lub powierzyć sprawę rozjemcy, choćby tak niepewnemu, jak Zygmunt Luksemburczyk, byle uniknąć rozlewu krwi chrześcijańskiej, który był dla niego zbrodnią, przed którą cofał się nawet w obliczu tak niespornych celów, jak odzyskanie Pomorza, za co go zresztą miał spotkać gorzki zarzut Długosza. Ostatecznie nie byłoby prawdopodobnie wogóle doszło do wojny, choć była i w Polsce „partja wojenna", która rozumiała konieczność odebrania Pomorza — jej najwybitniejszym przedstawicielem był Paweł Włodkowic — gdyby nie to, że krzyżacy sami wojnę wypowiedzieli, łudząc się do ostatniej chwili, że uda im się rozerwać Unję. Ten sam Jagiełło nie umiał jednak w chwili powodzenia zadowolnić się tem, co mu pokonany przeciwnik sam ofiarował i co właśnie było celem i to maksymalnym — odbiorem ziem zabranych, które Plauen ofiarowywał pod murami Malborga. Z drugiej strony nie umiał on wyzyskać zwycięstwa przez niezwłoczne następowanie, nie liczące się ze zwycza-

jami rycerskiemi, które wymagały „utrzymania pobojowiska". Gdy zaś pod Malborgiem najemnicy czescy po stronie krzyżackiej, porozumiawszy się z polskimi Czechami, chcieli twierdzę za pieniądze wydać, polska rada wojenna odrzuciła z oburzeniem „niegodny" honoru rycerskiego projekt. Potem zaczynają się niepowodzenia i dochodzi do zmarnowania owoców Grunwaldu w pokoju toruńskim. Teraz jednak narosły już siły dotąd uśpione woli narodu, która pokój ten odrzuca. Pod presją tej opinji Jagiełło szykuje się do nowej wojny, która po nieudanem rozjemstwie dochodzi do skutku w r. 1414. Tym razem jest to wojna rzeczywiście zaczepna. Ta agresywność pojawia się właśnie w tej chwili, gdy agresywny — możnaby powiedzieć: z urodzenia — Zakon zerwał z agresywnością, obalając wojowniczego, nie liczącego się jednak z siłami Plauena. Wynikałoby z tego, że p o c z u c i e s i ł y jest wprawdzie warunkiem agresywności, ale n i e j e d y n y m ani z pewnością nie dostatecznym. U Polaków postawa ta pojawiała się w wyjątkowych jedynie chwilach i nigdy na długo. Przerwana rozgrywką ideologiczno-dyplomatyczną na soborze konstancjeńskim wojna polsko-krzyżacka wybuchła jeszcze ponownie w r. 1419, lecz rozpęd tej polskiej agresywności już wtedy się załamał. Świadczy o tem najlepiej właśnie owa „odwrotowa" wojna, jak i następna z r. 1422, t. zw. „gołubska", która była wynikiem knowań Zygmunta i dojścia do władzy nowego, bardziej wojowniczego mistrza, a nie już agresywności polskiej. Inicjatywa przechodzi znowu w ręce Zakonu, który bunt Świdrygiełły wyzyskał dla straszliwego, politycznie bezsensownego najazdu odwetowego 1431 r. Ten potworny i zdradziecki napad wywołał, wbrew przestrogom dalekowzrocznym genjalnego Włodkowica, jedynie odwet, zakończony niewielkiemi sukcesami i nową rezygnacją z Pomorza. Wyładowały się tu jedynie siły irracjonalne zemsty i nie szczędzono teraz i ze strony polskiej nikogo, lecz nie było tu żadnej myśli przewodniej.

Ostatecznie powrót Pomorza nastąpił wtedy dopiero, gdy poddani Zakonu sami się zbuntowali; wprawdzie wymagało to jeszcze trzynastoletniej wojny. W ostatecznym wyniku jednak, jak wiemy, pozwolono utrzymać się samodziel-

nemu państwu niemieckiemu nad Bałtykiem i nie skorzystano z żadnej sposobności, by to ciało obce przemocą usunąć. W ciągu dalszej swej historji Polska, pomijając chyba wyprawę moskiewską, nigdy już nie występowała agresywnie i liczne jej wojny miały zawsze charakter obronny.

Że ten niewojowniczy charakter Polski nie był tylko wynikiem słabości, o tem świadczy najlepiej cała struktura polityczna kraju. Obowiązek opłacania pospolitego ruszenia poza granicami kraju, istniejący już za Jagiełły, choć może wtedy jeszcze nie tak pilnie przestrzegany, uniemożliwił w praktyce wojny zaborcze. Lepszą jeszcze gwarancją było, że gdy u innych narodów o pokoju i wojnie decydowały nieraz humory i zachcianki monarchy, to w Polsce już od roku 1496 sejm decydował o wypowiedzeniu wojny, a nawet o zwołaniu pospolitego ruszenia. Zgubna zresztą w następstwach obawa przed wprowadzeniem stałego wojska, wreszcie cała historja, wolna od zaborów cudzej własności (pomijając okres „jednoczenia szczepu" za Bolesławów), a nienajmniej i sposób oceniania monarchów (przyznanie tytułu wielkości jedynie pokojowemu Kazimierzowi) i wiele innych faktów stwierdza niezbicie, że pokojowość Polski, dobrze dająca się pogodzić z jej skłonnościami do bronienia wiary i słabszych, nie jest jednak jedynie mitem.

Również analiza historji innych narodów słowiańskich wskazuje na istnienie w każdym razie mniejszej niż u innych, na ogół raczej odruchowej, niż z stałych nastawień wynikającej, wojowniczości.

Podkreślić trzeba tu jednak szczegół niezmiernie ważny: pokojowość ta jest cechą g r u p o w ą, a nie zaznacza się ona u o d e r w a n e j jednostki. Polak jako taki jest żołnierzem z zamiłowania. Czescy najemnicy słynęli przez długie wieki. Południowi Słowianie są szczepem niezwyle walecznym i miłującym może nawet — żołnierkę, choć w gruncie rzeczy nie imperjalistycznie nastawionym, lecz jedynie, jak wszyscy Słowianie, rozmiłowanym w wolności (co zresztą może dziś, po nasyceniu dążeń niepodległościowych poważnym zmianom ulegać).

„Mit" okazuje się więc nie zupełnie pozbawionym realnej treści, choć zawiera on niewątpliwie dużo idealizacji i daleko idących uogólnień.

IV. Socjologiczny charakter „mitu".

Doszliśmy do wniosku, że mit o pacyfizmie słowiańskim, ma pewne podstawy w rzeczywistości historycznej, o tyle przynajmniej, że ludy słowiańskie istotnie wykazują o wiele mniejszą, niż ich sąsiedzi, skłonność do prowadzenia wojen zaczepnych i podbijania innych plemion. Z drugiej strony przekonaliśmy się, że dotyczy to raczej całych grup plemiennych, niż jednostek, które przynajmniej znacznie częściej wykazują wyraźne zamiłowanie do wojny jako zawodu, a okrucieństwem często nie ustępują „wojowniczym" plemionom, co — wbrew „mitowi" stwierdzić trzeba jako fakt historyczny. Ta niezgodność postawy jednostek z postawą grupową jest dalszym wskaźnikiem, że nie chodzi tu o różnice, oparte na odrębności fizjologiczno-rasowej, gdyż w tym wypadku postępowanie jednostki musiałoby zależeć od przynależności do typu rasowego i być niezależne od postaw grupowych.

Sprzeczności te wytłumaczy nam socjologiczne ujęcie zagadnienia.

Ze stanowiska socjologicznego *istnieje* „pacyfizm słowiański" jako realny *fakt świadomości* zbiorowej, zupełnie niezależnie od tego, czy i jak przejawia się on w rzeczywistości. Faktem jest, że grupy plemienne słowiańskie uznały pokojowość za *swoją* postawę grupową, podobnie jak ludy germańskie idealizują wojnę, jako stan naturalny i pożądany. Ta różnica ideałów wyraża się nienajmniej i w mitologji. Mitologja germańska opiera się zupełnie na kulcie wojny. Z sił przyrody uformowała ich wyobraźnia wojowniczych herosów.[1]) Przeciwnie mitologja słowiańska, choć i ona zna boga najwyższego, który jest pogromcą nieprzyjaciół, wiąże wszystkie inne personifikacje z porami roku, płodnością, pięknością i życiem przyrody, a brak tu zupełnie aluzji do życia wojennego. Wojna będzie dla Sło-

[1]) v. Pflugk - Hartung l. C. 12.

wian zawsze „potrzebą“, a nie ideałem ani stanem normalnym lub drogą do polepszenia bytu zbiorowego.

Postawa grupowa wyraża się w spólnych pojęciach, wartościach, obyczajach i normach społecznych, a nienajmniej i w formach językowych, w sposobie wyrażania, terminach, przysłowiach i wreszcie w literaturze i folklorze, a na wyższych szczeblach rozwoju i w refleksji teoretycznej. Pierwszą taką refleksją nad zagadnieniami, związanemi z uprawnieniem moralnem wojny są doktryny Włodkowica, a zwłaszcza jego list do Oleśnickiego z r. 1432.[1]) Jakoby materjalizacją tych „systemów idealnych“ — są różne instytucje społeczne, formy ustrojowe, prawa i materjalne urządzenia. Jednostka zastaje te rozwojem wieków wytworzone systemy już w formie gotowej i może najwyżej jakiś przejaw własnej twórczości dołączyć, opierając się na osiągniętych już wynikach, dziełach i formach bytowania zbiorowego. Rozwój duchowy człowieka polega przedewszystkiem na „wchodzeniu“ w istniejące już systemy kulturalne. Im bogatsza jest dana kultura, tem większy będzie wybór możliwości zatem i indywidualizacja. W społeczeństwach prymitywnych ilość tych alternatyw będzie bardzo niewielka, a zatem i zróżnicowanie typów małe. Kultura będzie więc na ogół tem bardziej jednolita — im niższa. W dalszym rozwoju uwypukla się jednak pewne świadome już dążenie do zapobiegnięcia zbyt gwałtownej indywidualizacji i zachowania pewnej ilości cech wspólnych wszystkim członkom danej grupy. Z tej właśnie dążności rodzi się postulat kultury narodowej i idealizacja cech, wspólnych jakiejś większej grupie i wyróżniających ją — rzeczywiście lub chociażby rzekomo, od innych grup. Taki ma też niewątpliwie charakter i idealizacja „pacyfizmu słowiańskiego“.

„Wchodzenie“ jednostki w gotowy system kulturalny tłumaczy całą jednolitość postawy zbiorowej bez uciekania się do hipotezy jednolitości typu rasowego. Jednolitość taka oczywiście mogłaby ułatwić stworzenie jednolitej kultury, lecz nie jest ona bynajmniej konieczna i jednolita kulturalnie

[1]) W rękopisie Kodeks Czartoryskich nr. 232.

grupa może istnieć i przy wielkiej różnorodności typów rasowych. Ponieważ jednak każda grupa zawsze do konformizmu dążyć będzie, więc wytwarza się i w dziedzinie typu rasowego pewien wzór, uznany przez grupę za idealny. Jak widzimy na przykładzie hitleryzmu, taka idealizacja typu może się odbywać i na poziomie wyższym cywilizacji, przybierając wtedy charakter doktryn naukowych czy — pseudonaukowych. Od jednolitości wzoru do jednolitości realnego typu jest droga daleka, a może nawet niema jej wogóle. Można wprawdzie popierać pewne typy, a innym życie utrudniać, lecz nie bardzo sobie możemy wyobrazić, by na tej drodze można było osiągnąć rzeczywistą jednolitość rasową. Osiągalny jest jedynie taki stan, że pewnej kategorji rasowej zapewni się określone przywileje, co zresztą może się okazać drogą, wiodącą prosto do degeneracji tego uprzywilejowanego i sztucznie protegowanego elementu.

Fakt, że mentalność kształtuje się przez wzrastanie w jakiś gotowy system kulturalny, tłumaczy nam niezrozumiałe inaczej wyjątki i odchylenia typu indywidualnego. Chodzi tu poprostu o wejście jednostki w obręb innego systemu. Tak np. Słowianin, który staje się żołnierzem najemnym, zaczyna powoli myśleć kategorjami nowego środowiska i przestaje odczuwać pojęcia, normy moralne i wartości swej grupy rodowej czy nawet i plemiennej jako swoje. Nie musi to nawet bynajmniej oznaczać zupełnego wynarodowienia, gdyż może on przytem zachować przywiązanie do swej grupy plemiennej i większą część narodowych obyczajów, lecz w tej jedynie dziedzinie, związanej z jego nowym zawodem żołnierskim, normy i ideały dawnego środowiska przestają dla niego istnieć. W ten sposób staje się zrozumiałym fakt, że najemnicy słowiańscy nie wiele się różnią od innych, co wobec tego dobrze pogodzić można z istnieniem pokojowości jako „normalnej" postawy grupowej.

V. Geneza pokojowości słowiańskiej.

Pozostaje nam teraz najtrudniejsze może zadanie wyjaśnienia genezy ideału pokojowości u ludów słowiańskich. Trudność leży przedewszystkiem w tem, że niełatwo

uzgodnić zasięg ideału pokojowości ze słabością więzi wspólnoty plemiennej ludów, zamieszkujących tak olbrzymie przestrzenie i różnorodnością warunków, w których kształtować się musiały ich postawy zbiorowe. Więź ta była jednak może silniejsza, niż nam się dziś wydaje. Nowoczesny panslawizm nawiązał jedynie do dawnej świadomości wspólności pochodzenia, której odbiciem jest podanie o Lechu, Czechu i Rusie, obejmujące wprawdzie tylko te trzy narody północno-słowiańskie. Świadomość wspólności krwi istnieje już w czasach przedhistorycznych. Kształtuje się ona w zetknięciu z obcymi, a zwłaszcza z „niemymi", których mowy Słowianin nie rozumie, czyli Niemcami. W okresie soboru konstancjeńskiego istnieje już wyraźne poczucie solidarności słowiańskiej, a nawet dążenie do zjednoczenia przynajmiej Czech i Polski w jedno państwo na drodze unji personalnej. Ruch panslawistyczny XIX w., to renesans a nie narodziny tej ideologji. Inną jest kwestja, jaki był zasięg tej solidarności plemiennej. Najżywsze jej odczucie stwierdzić można i dziś jeszcze w Czechach, pomimo, że, kto wie, czy nie właśnie Czesi przejęli najwięcej cech obcych. Uleganie obcym wpływom i idealizowanie własnej postawy da się jednak bardzo dobrze pogodzić. Przedmiotem idealizacji są zawsze albo te cechy, które grupa sobie przypisuje, albo te, których pożąda.

Mimo wszystko niełatwo pogodzić fakt tak szerokiego zasięgu ideologji pokojowej z różnorodnością losów i styczności, które na przestrzeni wieków kształtowały mentalność poszczególnych narodów słowiańskich. Trudno będzie wobec tęgo obyć się bez hipotezy istnienia wspólnej, a więc sięgającej do czasów rzeczywistej wspólnoty plemiennej, przyczyny tej wspólnej postawy.

Nie mogąc tej wspólnej przyczyny znaleźć na terenie antropologicznym — co zresztą nie przesądza, czy tu również i takie przyczyny nie współdziałały (toć jednolitość rasowa była w czasach prehistorycznych niewątpliwie znacznie większa), musimy tu uwagę zwrócić na inną jeszcze, dotąd przez nas nie uwzględnioną kategorję zjawisk. Chodzi nam o ekonomiczne warunki, jako czynnik kształtujący mentalność.

Możemy przyjąć że ludy słowiańskie, jak zgodnie stwierdza historja i filologja porównawcza, dzieliły się na dwie główne grupy, leśną i rolniczą. Jak już zaznaczyliśmy, istniała między obu wielka różnica poziomów moralnych i kulturalnych. Kultura Słowian prehistorycznych była stosunkowo wysoka. Mieli oni swoją sztukę, wierzyli w nieśmiertelność duszy, prawdopodobnie nawet znali oni pismo obrazowe.[1]) Wiadomą jest rzeczą, że pług Germanie wzięli od Słowian. Słowianie byli temi, od wieków osiadłemi, rolnikami w przeciwieństwie do koczowniczych ludów myśliwsko-pasterskich jak Germanie i Mongołowie różnych szczepów. To zajęcie było — zdaniem naszem — główną przyczyną wspólną wytworzenia się pewnych cech charakteru i postaw zbiorowych, charakteryzujących całą słowiańszczyznę. Brückner daje taką charakterystykę Słowian: byli oni dobroduszni i gościnni, beztroscy i kochający radość życia, żywego ale niestałego usposobienia, bez inicjatywy i energji, leniwi i powierzchowni, trzymający się tego, do czego przywykli, gdyż tak było najwygodniej; przed wszelkim naciskiem uchylali się, do wszelkiej zwierzchności odnosili się z nieufnością; byli oni zawsze urodzonymi demokratami a nawet anarchistami; zwycięskich wodzów mordowali, by zapobiec zawczasu powstaniu silnej władzy. Takie plemię oczywiście nie nadawało się na zdobywców; tem bardziej, że, mając niewielkie wymagania życiowe, zadawalniali się tem, co mieli i nie szukali podbojów, co nie przeszkadza, że odznaczali się w boju niezwykłą odwagą i wytrzymałością.[2])

Analizując tę charakterystykę, dojdziemy do wniosku, że cechy te proszą się wprost o wytłumaczenie ich rolniczym charakterem Słowian. Gościnność i dobroduszność to właściwości, dziś jeszcze charakteryzujące rolnika, dla którego obcy[3]) jest tym, który przynosi wieści ze świata i przerywa monotonję rolniczego życia, albo też sąsiadem, wobec którego obowiązuje solidarność, oparta na wspólności doli

[1]) W. Smoleński: *Dzieje Narodu Polskiego.* Warszawa, wyd. V. 1919 s. 3 n.

[2]) Brückner l. c. 559.

[3]) N. t. obcości patrz F. Znaniecki: *Studja nad antagonizmem do obcych.* Poznań 1931. Odb. z Kwart. Socjal. 1930/31.

i niepodważona żadną kolizją interesów ani współzawodnictwem. Przeciwnie u ludów myśliwsko-koczowniczych, o organizacji wojennej, obcy jest zasadniczo wrogiem; uważa się go za szpiega, konkurenta lub napastnika. Późniejsza racjonalizacja rozszerzy i pogłębi pojęcie sąsiedztwa i obcości.[1]) Beztroski, swobodny sposób życia łączy się z tem, że rolnik zależny jest nietyle od własnej zabiegliwości, ile od sił przyrody, które najwyżej na drodze magicznej lub religijnej przebłagać można, ale nigdy zabiegliwością okiełznać. Z tej zależności od sił wyższych wyrasta owo niefrasobliwe zdanie się na łaskę losu, ale rownież i niezdolność do systematycznego wysiłku, który jedynie tam zrodzić się może, gdzie istnieje świadomość zależności własnego losu od własnego trudu i możności postępu. Rolnictwo z jego regularnością nawrotu tych samych czynności wytwarza postawę zmechanizowaną i konserwatywną i nie rozwija ani inicjatywy ani energji. Brak silnych przeżyć nie stwarza też skłonności do głębszej refleksji. Zrozumiałą jest też obawa rolnika przed silną władzą. Toć siła ta przejawia się zawsze prawie przedewszystkiem w nakładaniu ciężarów, które z natury rzeczy przedewszystkiem na stan żywicielski spadają, choć stan ten najmniej naogół z wyników działalności tych silnych rządów korzysta, gdyż wychodzą one najprędzej na dobro miast i administracji, a zwłaszcza stanu rycerskiego. Rolnik jest zawsze tym, który najwięcej płacić musi za ten postęp czy też ambicje polityczne. Jego zajęcie wytwarza zamiłowanie do wolności, choć właśnie dla swej bierności musi on ją aż nazbyt często, jeśli nie zwykle, tracić na rzecz zewnętrznych najeźdźców lub wewnętrznych gnębicieli.

Dodać tu jeszcze trzeba, że pragnienie zdobycia oręż-nego nowych ziem mogłoby się u rolników jedynie wtedy rozbudzić, gdyby nie było już ugorów, które zdobyć można na drodze pracy. Jedynie zdobycie jeńców mogło — w tych czasach — być rzeczą ponętną.

Z całej tej charakterystyki wyniknie pokojowość jako cecha wprost konieczna. Ze stanowiska rolnika wojna jest zawsze wytrąceniem z równowagi, przerwą w jego natural-

[1]) Por. dyskusje konstancjeńskie — gdzie Włodkowic widzi w poganach bliźnich, a teologowie krzyżaccy tylko wrogów.

nym trybie życia, nawet wtedy, gdy wytworzył się już osobny stan wojowników. W Polsce, rzecz niezmiernie charakterystyczna, odrębność tego stanu nie utrzymała się i drużyny wojenne z okresu Bolesławów ustąpiły stanowi rycerskiemu, który był jednak równocześnie stanem ziemiańskim. — W wyniku dalszego rozwoju, podobnie jak w państwie krzyżackiem „rycerz pokonał mnicha", tak w Polsce ziemianin odniósł zwycięstwo i to zupełne, nad rycerzem. Inna rzecz, że z chwilą dokonania się tego procesu Polska była już bezbronnym objektem, przedmiotem a nie podmiotem gry politycznej, istniejącym jedynie przez pewien jeszcze okres dzięki zasadom „równowagi politycznej" między rywalizującemi potęgami. Brak agresywności zamienił się w niezdolność do obrony. Lecz to nie leżało bynajmniej w naturze tego rolniczego pacyfizmu. Przeciwnie, właśnie z przywiązania do własnej ziemi wynika niezwykła zaciekłość w jej obronie. Brak zdolności do obrony powstał dopiero w wyniku przerostu indywidualizmu, dochodzącego do anarchji. Skłonność taką mieli Słowianie już wcześnie, jak wynika z charakterystyki Brücknera, przez nas podanej, lecz właśnie w okresie ich wejścia na arenę historyczną zdołali oni ją naogół przezwyciężyć, niestety nie bez recydywy.

Dalszy moment dużej doniosłości to dekoncentracja rolników w przeciwieństwie do plemion o organizacji wojennej lub nomadów, żyjących w dużych gromadach i utrzymujących się z hodowli trzód lub rabunku. Na związek między rodzajem hodowli a wojowniczością zwraca uwagę Denison. [1]) Za najmniej wojowniczych uważa on hodowców owiec i świń, gdyż to istotnie nie wymagało zdobywania coraz to nowych pastwisk. Posiadanie koni w dużych ilościach samo w sobie może pobudzać do używania tychże do wypraw wojennych. Istotnem wydaje nam się jednak to, że rozproszenie, powiązane z zajęciem, w którem każdy jest sam na siebie skazany, nie sprzyja wytworzeniu się woli zbiorowej. Na tem właśnie podłożu psychicznem, utrwalonem przez wiekowe atawizmy, wyrasta i ten, znany nam już indywidualizm, dochodzący aż do anarchji.

[1]) J. H. Denison: *The enlargement of personality*. New York 1930 s. 90.

Dochodzi tu jeszcze inny czynnik, na który uwagę zwraca przytoczony już powyżej Denison. Podkreśla on, że charakter ludu pierwotnego zależy w dużej mierze od tego, czy zajmował on się przedewszystkiem oswajaniem zwierząt czy uprawą roślin. Zajęcia hodowlane wytwarzają, zwłaszcza o ile chodzi o konie, bydło i wielbłądy, postawę wojowniczą, przeciwnie uprawa roślin wytwarza usposobienie pokojowe.[1])

Nie przesądzając, czy oprócz tych przyczyn psychologiczno-gospodarczych działały tu jeszcze i inne o charakterze głębiej jeszcze osadzonych różnic rasowych, możemy jednak całą różnicę postawy wydedukować z tej różnicy zajęć, która niewątpliwie istniała w ciągu długich okresów prehistorycznych, a również po wejściu w okres historyczny aż do czasów obecnych zachowała swoje znaczenie, mimo zmienionych do gruntu warunków. W miarę rozwoju zanikała pierwotna ścisłość podziału i jednostronność, lecz do dziś Słowiańszczyzna wykazuje przewagę rolnictwa. W Polsce wciąż jeszcze ziemia jest najwyższą miarą pozycji społecznej i dlatego wzbogacony mieszczanin, chcąc uzyskać pełnię nietyle może rzeczywistego uznania, ile subjektywnego samopoczucia „pańskości" — pragnie koniecznie nabyć majątek, możliwie „dobra rycerskie", niezależnie od tego, czy może z tego źródła przewidywać dochód czy też deficyt.

Te zajęcia rolnicze są podłożem, na którem wyrasta cały system wartości i pojęć, obowiązujących w danej grupie. Z nich wytwarza się też „wzór moralny", narzucany przez grupę i kształtujący w ciągu stuleci mentalność plemienną.

Możemy tu wyrazić przypuszczenie, że żywotne ruchy ideologiczne zawsze nawiązać muszą do wzorów moralnych obowiązujących w grupie, nadając im jedynie pewną dynamikę. Pierwszym takim ruchem był bułgarski ruch Bogumilów z X w., głoszący radykalną zasadę nieodpowiadania na gwałt. W początku XIII w. wystąpił polski książe Leszek Biały z projektem pokojowego pozyskiwania pogan pruskich dla chrześcijaństwa przez zakładanie ośrodków

[1]) Niewątpliwie i rodzaj pokarmu wpływa na charakter.

handlowych. Projekt ten, który był odpowiedzią na papieski pomysł blokady gospodarczej, zyskał aprobatę Stolicy Apostolskiej [1]) i w połowie w. XIII Polska zyskała przywileje papieskie Innocentego IV i Aleksandra IV na przyłączanie ludów, które wiarę przyjmą dobrowolnie, w przeciwieństwie do tych, które Zakon mieczem podbije. [2]) Jest niezmiernie charakterystyczne, że pierwsza na terenie słowiańskim ideologja polityczna, sformułowana przez Pawła Włodkowica na soborze konstancjeńskim, a później pogłębiona w liście do Oleśnickiego, pomimo, że jej sensem politycznym jest uzasadnienie wojny zaczepnej, jaką Polska wyjątkowo — dla odzyskania ziem przemocą sobie wydartych — wtedy prowadzić musiała, zawiera przedewszystkiem potępienie wszelkich wojen o charakterze zaborczym i wogóle odrzucenie — w późniejszem ujęciu listu — wszelkiego samosądu w stosunkach międzynarodowych, gdy ideolog krzyżacki, Falkenberg, uważał, że dla sprawiedliwości wojny wystarczy, by była formalnie wypowiedziana.

W ramach zakreślonych naszej rozprawce, nie mogliśmy ani w przybliżeniu wyczerpać tak ogromnego tematu. Zadaniem naszem było wykazać i istnienie pokojowości słowiańskiej jako faktu, przedewszystkiem socjologicznego, i wytłumaczyć, w miarę możności, jego genezę. Jest ona zupełnie pozbawiona cech romantycznych — i mocno obnażona z idealizacji. Staraliśmy się spojrzeć na sprawę na trzeźwo. Brak miejsca nie pozwolił nam na dodanie rozpatrzenia ujemnych stron „pokojowości". Mimo wszystko nie można zaprzeczyć, że w tej postawie pokojowej, na ataviźmie opartej, kryją się wielkie możliwości wyprowadzenia świata z tej sytuacji bez wyjścia, w której się dzisiaj znalazł z powodu wyścigu zbrojeń, nieuniknionego następstwa imperjalizmu. Chcemy wierzyć, że przyszłość mimo wszystko należy do narodów, które siły swe zużyją na twórczość, a nie na rabunek i niszczenie słabszych.

[1]) Tymieniecki: Znaczenie polityczne sprowadzenia Krzyżaków. Prusy Wschodnie. (praca zbiorowa) — Poznań 1932. — S. 91.

[2]) E. Meschke: *Der deutsche Orden und die Preussen.* S. 51, 94.

Dr. Andrzej Niesiołowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata. Zbiorowy zarys monograficzny. Z niemieckiego przełożył Józef Birkenmajer. Tom I, II. Kraków 1935. 8°. Str. 324, nlb. 1, 235.

Imponujące rozmiarami dzieło jest książką — jak mało która — na czasie. Wobec usilnej reklamy, czynionej literaturze wrogiej katolicyzmowi, szczególnie u nas, wobec tendencyjnego przemilczania i poniżania twórczości pisarzy katolickich, niezmiernie pożytecznym wydaje się ten bilans, jaki leży przed nami. Wartość informacyjna książki jest znaczna. Nawet dobrzy katolicy nie orjentują się naogół, jaka jest właściwa przynależność ideowa tych czy owych zachwalanych pisarzy zagranicznych. Obraz literatur zagranicznych jaki wytwarza się u nas dzięki jednostronnym informacjom tygodników literackich i jeszcze bardziej jednostronnemu doborowi przekładów, obliczonych na zysk, jest najzupełniej skrzywiony. To też należy się szczera wdzięczność wydawnictwu OO. Jezuitów za podjęcie i doprowadzenie do skutku wydania tak ważnego dzieła. Mamy wreszcie to, na co czekaliśmy długo: charakterystykę literatury katolickiej pisaną na poziomie. Dobrze, że, choć w dziele tłumaczonem, wyszło się wreszcie poza ciasne podwórko, w jakiem obracała się u nas służba informacyjna w zakresie twórczości katolickiej.

Książka wyszła pierwotnie po niemiecku w r. 1934. Redaktorem był znany pisarz i krytyk, Otto Forst Battaglia. Wydanie polskie nie jest prostym przekładem, ale dziełem opracowanem pod wielu względami niemal na nowo. Skrócone zostały partje obchodzące mniej polskiego czytelnika, jak przedewszystkiem rozdział obejmujący literaturę niemiecką. Zato literatura polska opracowana została znacznie obszerniej i poświęcono jej cały tom drugi. Pan J. Birkenmajer, nie ograniczył się nadto do roli biernego tłumacza. W wielu wypadkach uzupełnił i poprawił wywody p. Forst Battaglii, oczywiście nietylko w porozumieniu z nim, ale i na jego życzenie. Uzupełnił również bi-

bljografję, doprowadzając ją niemal do ostatnich czasów, oraz dodał informacje dotyczące przekładów na język polski. W ten sposób książka staje się źródłem informacyj nietylko podstawowych, ale do wysokiego stopnia aktualnych i wartość swą zachowa na długo.

Jak każde dzieło zbiorowe zawiera *Udział* rozdziały niezawsze jednolicie opracowane w zależności od indywidualności poszczególnych autorów. Niejednakowe są przedewszystkiem rozmiary artykułów. Najwięcej miejsca — cały tom drugi — poświęcony został literaturze polskiej i jest to nietylko usprawiedliwione ale i bardzo pożądane. Odnośnie do literatur zagranicznych za obszernie wypadł rozdział, poświęcony Niemcom, mimo, że skrócony w stosunku do oryginału. Jest wprawdzie bardzo interesujący, zawiera wyjaśnienia stosunku do katolicyzmu czołowych pisarzy, głosi wiele sądów rewizjonistycznych — ale też uwzględnia mnóstwo pisarzy drugorzędnych. Razi to szczególnie w porównaniu z opracowaniem literatury francuskiej, w którem właściwej literaturze poświęcono bardzo mało miejsca. Również sposób ujęcia jest odmienny. Obok mnóstwa materjałów, całych szeregów nazwisk i tytułów dzieł, zgromadzonych przez Forst Battaglię w artykułach o Polsce i o Niemczech, ubogo wygląda syntetyczny artykuł o literaturach skandynawskich, którego autor, P. H. Perch, poprzestał na scharakteryzowaniu czołowych pisarzy: Sigridy Undset i Jana Jörgensena. Również i uczuciowy stosunek autorów do omawianych zjawisk jest — rzecz naturalna — różny. Obok objektywnych historyków literatury, przemawiają twórcy zainteresowani blisko tym lub owym kierunkiem, do którego sami należą. Obok zdecydowanych przeciwników modernizmu formalnego, do jakich należy przedewszystkiem Forst Battaglia, odzywają się autorzy, usposobieni przyjaźnie dla postępu jak Zsolt Alszeghy, omawiający piśmiennictwo węgierskie, w którem poeci katoliccy, ba księża!, opanowali nowe zdobycze formalne twórczości. Obok sprawozdawców, referujących spokojnie, przemawia zgryźliwie twardy, bezkompromisowy Robert Vallery - Radot, patrzący na współczesną twórczość i wogóle rzeczywistość francuską przez czarne okulary, albo Matylda Pomés, nie wahająca się zaznaczyć w swych świetnie pisanych artykułach o piśmiennictwie katolickich krajów iberyjskich, wyraźnie i niemal namiętnie swych przekonań politycznych. Różnorodność ta nie szkodzi jednak książce. Pozbawia ją piętna suchego schematyzowania, nadaje jej barwę życia. Wszystkie bowiem artykuły pisane są z dużym, nieraz bardzo wybitnym talentem literackim, żywo i pociągająco, a doskonały, jak zwykle u Birkenmajera, przekład, sprawia, że czyta się to olbrzymie kompedjum z zainteresowaniem od początku do końca,

Zresztą różnolitość wspomniana obraca się w zakreślonych granicach i wszystkie artykuły pisane były wyraźnie na podsta-

wie jednego ogólnego planu. Granicą, od której rozpoczyna się omawianie literatur, jest rok 1918, stanowiący dla większości krajów również przełom polityczny i społeczny. Omówione jest przejście od czasów dawniejszych do nowszych, scharakteryzowana twórczość nowych pisarzy, następnie osądzone znaczenie literatury katolickiej w piśmiennictwie danego narodu, a wreszcie rola literatury katolickiej danego narodu w ogólnym obrazie piśmiennictwa katolickiego świata. Większość autorów uwzględnia również tło polityczne i ogólne prądy ideowe, panujące w danym kraju. Jako zasadę przyjęto jak najszersze ujęcie piśmiennictwa, bez ograniczenia się do literatury „pięknej".

Rezultatem rozważań, ujętym w posłowiu redaktora, jest stwierdzenie świetnego rozwoju literatury katolickiej w ostatnich czasach. Staje się fakt ten „przekonywującym dowodem płodności myśli katolickiej także i w dziedzinie literackiej". „Katolicy nie potrzebują wstydzić się swego plonu literackiego. Wszak oni właśnie przodują w obrębie literatur romańskich, następnie także w literaturze flamandzkiej oraz słowieńskiej, a wreszcie w — nieuwzględnionych niestety na kartach tej książki — literaturach: irlandzkiej i litewskiej. Znaczenie wielkie, znacznie przewyższające ich procentową liczebność, mają katolicy w literaturze angielskiej i skandynawskiej. W piśmiennictwie niemieckiem, polskiem, czeskiem, słowackiem, chorwackiem, węgierskiem i holenderskiem zajmują miejsca poczesne. Literatura światowa dzisiejszej doby byłaby bez udziału świadomych katolików znacznie uboższa". Lista wielkich pisarzy, katolików z przekonania i z ducha, wyliczona w „Posłowiu" jest imponująca nietylko liczbą, ale i wagą. Potwierdza się więc i w dzisiejszych czasach zdanie, zawarte w bardzo interesującym wstępie tłumacza: „Że wśród ludzi wyznających wiarę katolicką, a biorących się do pióra, trafi się sporo miernot czy grafomanów, tego ani przeczyć ani wstydzić się niema potrzeby. Zjawisko to nie jest wcale wyłącznym przywilejem piśmiennictwa katolickiego. Policzywszy procentowo, znaleźlibyśmy taką samą miarkę w każdem innem piśmiennictwie — niekiedy znacznie większą... Natomiast nie w każdem innem znaleśćby można równie imponującą liczbę pisarzy wielkich, i to we wszystkich dziedzinach literatury. Jeżeli niejedna literatura w świecie, niejeden rodzaj literacki początek swój zawdzięcza religji, to ze źródeł katolicyzmu już przez dwadzieścia wieków zasila się literatura — a źródła nietylko się nie wyczerpały, ale raz po raz wzbierają na nowo, w coraz to liczniejsze napływając łożyska, coraz to innym przemawiając gwarem i dźwiękiem, coraz to innemi mieniąc się blaskami i tęczami".

Wśród różnorodnych literatur — a ilość ich jest w książce bardzo duża, bo uwzględniono nawet literatury południowo-amerykańskie, o których przeważnie nie wie się nic — najbardziej interesuje nas oczywiście obraz literatury polskiej w ujęciu re-

daktora książki Ottona Forst Battaglii. Jest to przedewszystkiem jedno z najobszerniejszych ujęć piśmiennictwa Polski powojennej i już przez to samo zasługuje na uwagę. Oczywiście obraz jest niezupełny, ponieważ autor pomija prawie całkiem pisarzy, którzy, jego zdaniem, nie przystają do kryterjum ideowego katolickiego. Nie wdając się w uzasadnienie uprawnień krytyki ideowej, autor charakteryzuje krótko kryterja, według których zalicza autorów do grupy katolickiej. „Literatura katolicka — pisze — jest to sztuka słowa płynąca z ducha katolickiego i w duchu katolickim. Przeto o zaliczeniu do niej jakiegoś pisarza lub dzieła decyduje kwestja czy poglądy i zamiary autora zgodne są z nauką Kościoła, oraz czy zgodność ta dochodzi do głosu w danem dziele". Autor ujmuje więc rzecz bardzo szeroko. Zupełnie słusznie nie wyklucza nawet tych pisarzy, którzy popadali z różnych względów w konflikty z Kościołem i nawet takich, których pisma i dzieje żywota niezawsze były budującym wzorem dla młodzieży. Albowiem chodzi mu nie o co innego jak o „całokształt wyznawania wiary i ducha, który wieje z całości dzieła". Stanowisko to, zupełnie słuszne w zasadzie, niezawsze wystarcza przy bardzo trudnem, szczegółowem rozgraniczaniu autorów i dzieł. Powodów do nieporozumień może być mnóstwo. Chyba że znajdzie się każdorazowe zastrzeżenie w razie, jeśli zastrzeżenie to jest potrzebne. Tymczasem w zarysie Forst Battaglii zastrzeżeń takich niestety często brak. Trudno np. zgodzić się na taką charakterystykę Perzyńskiego: „nigdy nie przestał być szermierzem sprawy narodowej oraz uczciwej etyki społecznej, zgodnej z moralnością chrześcijańską" bez dodania, że w zakresie etyki indywidualnej, zwłaszcza seksualnej, poglądy jego odbiegają niejednokrotnie od zasad moralności chrześcijańskiej. Nieporozumienia tego rodzaju spotyka się przypuszczalnie z tego powodu, że autor niezawsze przeprowadza wyraźną linję graniczną między religją a tradycjonalizmem i poglądy zachowawcze tego czy innego pisarza utożsamia z etyką katolicką. Z drugiej strony jednak, trzeba przyznać, że dzieje się to rzadko. Częściej autor trzeźwo ocenia i wyraźnie piętnuje pseudokatolickich pisarzy. Pisze np. o *Tyranie* Kleszczyńskiego: „Trudno o większe zakłamanie jak to rzekomo chrześcijańskie postawienie zagadnienia". Trudno byłoby omawiać tu wszystkie sądy ideowe i estetyczne autora zarysu. Obok niezmiernie trafnych ujęć, jak A. Górskiego, Szaniawskiego, spotykamy oceny przesadnie pochlebne, jak np. Morstina (brak zastrzeżeń ideowych!) lub Waśkowskiego, albo niedocenienie i brak wniknięcia w głębie religijności takiego np. Małaczewskiego lub Konopki. Przy olbrzymim materjale i szerokich poza tem zainteresowaniach autora znać niekiedy pewien pośpiech: nie zawsze zostało wydobyte to istotne, co nadaje wartość ideom tego lub innego twórcy. Stanowczo inaczej powinna była być potraktowana twórczość Gojawiczyńskiej, a zupełne pominięcie Marji Dąbrowskiej nie jest może słu-

szne. Jakkolwiekbądź zaliczenie różnych autorów do obozu katolickiego może budzić poważne wątpliwości (np. Morstina, Czachowskiego), jakkolwiek pragnęłoby się przybliżyć do niego niejednego z pominiętych, opracowanie Battaglii jest do pewnego stopnia nitką Arjadny w labiryncie nowszej literatury, jest przezwyciężeniem niejednego z przesądów, sprowadzeniem do właściwej miary niejednej rozdmuchanej wielkości.

Obok bowiem ocen ideowych autor nie skąpi ocen estetycznych. I tu nie na wszystko można się zgodzić. Stanowczo przesadnem jest uprzedzenie autora względem nowości formalnych i negowanie zdobyczy z tego zakresu. Opracowanie jest więc niecałkiem równe. Zaciążył tu subjektywizm autora, który zaznaczał się i w dawniejszych jego pracach jak np. w forsownem windowaniu na wyżyny literatury niemieckiej takiego Nestroya. Z drugiej strony żywa wrażliwość estetyczna, pewna świeżość odczuwania, dziennikarski zmysł aktualności wreszcie szersze tło literackie, obecne zawsze w świadomości autora, pozwala mu na formułowanie spostrzeżeń uderzających oryginalnością i ciekawych zestawień. Należy do takich np. wyprowadzenie *Marchołta* Kasprowicza i twórczości Wyspiańskiego z ducha baroku.

Całość ujęcia, choć wywołała napewno sprzeciwy, zwłaszcza naturalnie w obozie przeciwników, stanowi, dzięki silnej indywidualności autora, opracowanie nowszej literatury polskiej wcale ciekawe, oryginalne i żywe, choć nierówne i jednostronne, ale dalekie od szablonu, cechującego niektóre z naszych opracowań ostatniego okresu. Wartoby może, by autor zajął się również drugą stroną medalu, to jest tą grupą pisarzy, którą wyłączył z obozu katolickiego w tem znaczeniu, jak go rozumie.

Wniosek ostateczny: całość dzieła *Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata* jest zjawiskiem zasługującem na uwagę; bogate w treść, o szerokim horyzoncie, interesujące, aktualne, godne jest rozpowszechnienia w kołach inteligencji. Nie powinno braknąć go w żadnej bibljotece, na żadnem biurku redakcyjnem. Zadanie swe spełni dobrze.

Dr Z. Ciechanowska.

Dr Stefan Dąbrowski: Eugenika ze stanowiska katolickiego. Poznań, Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. 58.
Dr Józef Petermann: Pożycie małżeńskie wierne naturze. Tamże, Str. 29.
Ks. Henryk Weryński: Z psychologji pożycia małżeńskiego. Tamże. str. 31.

W czasie, kiedy ważą się u nas losy polskiego projektu ustawy eugenicznej, która chce ratować społeczeństwo nasze zapomocą środków — częściowo sprzecznych z chrześcijańską moralnością i godnością człowieka, a przytem nie wiodących do celu

i nie uzasadnionych dostatecznie naukowo — warto przeczytać niewielką ale treściwą broszurę, zawierającą wygłoszony w Poznaniu, we wrześniu 1935 r. referat profesora uniwersytetu poznańskiego, dra Stefana Dąbrowskiego. Autor dał mu wprawdzie tytuł *Eugenika ze stanowiska katolickiego,* ale omawia rzecz naukowo i tylko okazyjnie zaznacza, jak do teoretycznych i zwłaszcza praktycznych na tem polu poczynań ustosunkował się Kościół katolicki. Doskonałą jest charakterystyka dzisiejszej eugeniki i głęboko uzasadnione są zastrzeżenia natury moralnej, które wszędzie i zawsze muszą być uwzględnione, ilekroć chodzi o człowieka, a które niestety pomija zupełnie negatywna eugenika obecna, oparta na założeniach „hodowlanych" i chcąca je żywcem przenieść na ludzi. Ten ostatni rys widzimy najlepiej na niemieckiem ustawodawstwie sterylizacyjnem, któremu autor poświęca więcej miejsca ze względu na podobne ujęcie go w projekcie polskim. W krótkich ale przekonywujących słowach stara się wykazać, że przymusowa sterylizacja, barbarzyńska sama w sobie i niezgodna z wolnością jednostki, jest równocześnie niezdolną do zrealizowania celów dobra ogólnego, owszem pociągnie za sobą wiele nadużyć i przyczyni się do obniżenia poziomu moralnego.[1])

Małżeństwo wierne prawom natury — podług których głównym celem związków są dzieci — jest najszczęśliwsze i najlepiej służy dobru ogółu. Mogą jednak zajść i zachodzą dziś liczne wypadki, że małżonkom trudno się podjąć zadania wychowania 3—4 dzieci, owszem ze względu na stan zdrowia lub nędzę mogą być nawet obowiązani do daleko idących ograniczeń. Wówczas nie niedozwolone i szkodliwe środki zapobiegawcze, lecz — obok możliwej, choć dla wielu zbyt trudnej wstrzemięźliwości zupełnej — znowu prawo natury daje im dozwoloną drogę wyjścia, w postaci wstrzemięźliwości okresowej. Zasady i praktykę tej ostatniej, podług metody Ogino-Smulders'a wyjaśnia zwięźle i przystępnie dr. Józef Petermann w broszurze *Pożycie małżeńskie wierne naturze.* Broszurę jego uważamy za cenny nabytek dla popularyzacji nowej „drogi wyjścia"; o ile bowiem chodzi o praktyczne tejże zastosowanie, powtarzamy nasze zastrzeżenia przy omówieniu innych podobnych wydawnictw (w zeszycie kwietniowym *Przeglądu*), że dla przeciętnego ogółu sama książka nie wystarczy i dla pewności wskazanem jest zasięgnięcie porady u kompetentnej osoby, najlepiej u znającego dobrze tę metodę i uczciwego lekarza.

Dokoła problemu małżeństwa i rodziny obracają się obie powyższe publikacje; nim zajmuje się również ks. Henryk We-

[1]) O niemieckiej ustawie sterylizacyjnej pisaliśmy już obszerniej w *Przeglądzie Powszechnym* w zeszycie styczniowym 1934 r. (strona 46), a o projekcie polskiej ustawy eugenicznej w zeszycie grudniowym 1934 r. (strona 387).

ryński w broszurze *Z psychologji pożycia małżeńskiego*. Kryzys rodziny, o którym się dziś tak często mówi, jest bezwątpienia w dużej mierze następstwem kryzysu małżeństwa i będzie mógł ustąpić dopiero wtedy, gdy zreformujemy wciskające się dziś fałszywe pojęcia o małżeństwie i powrócimy do zdrowych, na chrześcijańskich podstawach opartych zasad. Zagadnienie to oczywiście bardzo obszerne; w broszurze niniejszej autor ogranicza się do jednego tylko jego odcinka — psychologji pożycia małżeńskiego i wskazuje na kilka bardziej charakterystycznych jego rysów, od których zawisł wzajemny stosunek małżonków i szczęście domowe.

Ks. St. Podoleński T. J.

Literatura podróżnicza.

J. A. Szczepański: W śniegach i słońcu Afryki (wyd. Roju). — A. Bohomolec: Wyprawa jachtu „Dal" (wyd. Roju). — Fryderyk Kulleschitz: Rejs dookoła świata (wyd. Roju). — Leon książę Sapieha: Wulkany Kivu (wyd. Gebethnera). — Janusz Meissner i Tadeusz Milewski: W krainie lęku i pragnienia (wyd. Altas). — Aldous Huxley: Drwiący Piłat, tłumaczenie Marji Godlewskiej i Stanisławy Kuszelewskiej (wyd. Roju). — Richard Katz: Włóczęga dookoła świata i Pogodne dni wśród brunatnych ludzi tłumaczenie Zofji Petersowej (wyd. Przeworskiego). — Peter Fleming: Przygoda brazylijska, tłumaczenie Aleksandra Dobrota (wyd. Przeworskiego). — Zakończenie.

Już wyłącznie t. zw. „wyczynem" sportowym zajmuje się książka Jana A. Szczepańskiego *W śniegach i słońcu Afryki*. Książka ta niema żadnych pretensji literackich, jest pisana prosto, rzeczowo, niemal sucho. Opowiada o wyprawie dziewięciu polskich alpinistów (czy może taterników?) w góry Atlasu, mało jeszcze znane i zbadane. To też jest to nietylko wyprawa wysokogórska, ale także wyprawa eksploracyjna. Turyści docierają na szereg „niezdobytych" dotąd szczytów, w okolice znaczone dotąd na mapach białemi plamami. Do wysiłków wszechludzkich poznania ziemi przynoszą materjał cenny. Plon wyprawy bowiem jest bogaty; oto jak go streszcza autor: „Wywozimy więcej niż zamierzaliśmy: dokładną znajomość wszystkich trzech Masywów tych gór; zwiedzonych szczytów i turni 72, przełęczy 40, 2 szkice topograficzne nieznanych terenów, szereg pierwszorzędnych dróg sportowych w Masywie Centralnym i Zachodnim. Ponadto spory materjał naukowy (geologiczny i gleboznawczy) do opracowania w kraju, materjał do *Przewodnika po Atlasie*, odkrycie źródeł Rzeki Pragnienia." Niema co mówić, przyjemnie jest pomyśleć że są w Atlasie szczyty odkryte przez polską ekspedycję, mapy robione przez polskich eksploratorów. Pierwsza część książki opisuje te górskie wyprawy, pełne niebezpieczeństw, trudów, a tak wielkich rozkoszy dla serca sportowca. Opisuje niezró-

wnane piękno tych groźnych gór, równych najwyższym alpejskim szczytom, opisuje ciekawe dzikie plemiona, wiecznie zbuntowane, wiecznie wojujące z wojskami francuskiemi. Druga część opisuje Marokko wogóle, które autor przejechał wzdłuż i wszerz, już po powrocie do kraju innych towarzyszy podróży. Charakterystycznem jest, jak człowiek ulega często wpływom otoczenia i jak kąt jego patrzenia za własny przyjmuje. Szczepański mówi z największem uznaniem i podziwem o mądrej i ludzkiej polityce kolonjalnej Francji, przeciwstawiając ją fałszywej, jak twierdzi, polityce włoskiej. Niedawno czytaliśmy jak Wierzejski z równym podziwem mówił o mądrych i skutecznych sposobach postępowania Włochów w kolonjach, przeciwstawiając ich znakomite systemy niedobrym i fałszywym systemom francuskim!...

Książka A. Bohomolca *Wyprawa jachtu „Dal"* jest też książką czysto sportową. Tu znowu trzech młodych żeglarzy wybiera się małym jachcikiem w drogę z Gdyni, ni mniej ni więcej tylko na wystawę do... Chicago! W tej książce rzeczywiście więcej nas interesuje strona sportowa, niż strona odkrywcza czy opisowa. Młodzi śmiałkowie przeżywają ciężkie chwile na swym stateczku bezmotorowym. Najgorszą — zdaje się, że ostatnią w życiu — jest cyklon, w który się dostają o paręset mil od wysp Bermudzkich. Jacht jest zupełnie zdemolowany, cudem wogóle jeszcze istnieje on i młodzi żeglarze. Nadludzkim wysiłkiem docierają do wysp Bermudzkich. Dalsza droga, przynajmniej narazie, jest niemożliwa. Jacht trzeba naprawić gruntownie, tymczasem zachodzi zima, ciągłe sztormy i cyklony na specjalnie niebezpiecznym, bo prowadzącym poprzez Golfstrom szlaku, zmuszają podróżników do przezimowania na Bermudach. Nie skarżą się zbytnio. Znajdują miłą i serdeczną gościnność, Dotarłszy szczęśliwie następnej wiosny do Nowego Yorku, płyną dalej przez rzeki, kanały i jeziora aż do Chicago. Ta część podróży, opisy przebywanych krajów, przyjęć i owacji, jakiemi amerykańska Polonia wita bohaterów dnia, są mniej ciekawe. Urokiem książki jest morze, dnie spędzane na szerokim oceanie, wglądnięcie z pokładu małej łupinki w tajniki tej wielkiej, zakonspirowanej masonerji morskiej, tej międzynarodówki okrutnej i groźnej, jaką jest marynarka całego świata. My, szczury lądowe, mało o tych rzeczach wiemy. To też tajemniczy urok ma dla nas kabalistycznemi znakami bander i świateł przeprowadzana konwersacja jachtu „Dal" z potężnym parowcem. Dziwi nas ucieczka jachciku, miotanego straszliwą burzą, przed statkiem, dążącym mu najwidoczniej z pomocą. Czyż człowiek nie jest bratem człowiekowi w tej pustce rozhukanego żywiołu? Owszem jest bratem, ale bardzo słono płatnym... Bo wielka morska konspiracja człowiecza jest nietylko bardzo poetyczna, jest też niezwykle wyrachowana. Nie jest bezpiecznie wzywać pomocy brata-okrętu, bo brat-okręt jest

istotą bardzo drapieżną i chciwą: drobna pomoc może się okazać zbyt rujnująca, można jej wzywać tylko, jak się już nic niema do stracenia. Wiadomo, że okręt, który da sygnał S. O. S. gdy jeszcze ma choćby najlżejszą szanse niezatonięcia, musi tę swoją zbytnią ostrożność opłacać sumami, które do naszych sum lądowych są w stosunku cyfr ziemskich do cyfr astronomicznych. A czyż w morskiej katastrofie można tak napewno wiedzieć czy ta istniejąca nitka ratunku nie urwie się za moment i czy wówczas nie będzie zapóźno? Dookoła morskich katastrof, ich możliwości i wszelkich gatunków wytworzył się szereg towarzystw bardzo rentownych, które z nich ciągną zyski wprost lichwiarskie. To też uprzytamniając to sobie już się mniej dziwimy tą niezrozumiałą ucieczką jachtu „Dal" przed „poczciwym" parowcem, chcącym mu przyjść z pomocą w bardzo krytycznej chwili. Młody, ale doświadczony kapitan wie dobrze, że tej poczciwości nie opłaciłby całym swym majątkiem. To też woli ratować się na własną rękę...

Z tym pełnym powabu i groźnej tajemniczości życiem morskiem spotykamy się w innej, bardzo a bardzo sympatycznej książce *Rejs dookoła świata* Fryderyka Kulleschitza. To już nie sportowe przedsięwzięcie jednostki, to podróż dookoła świata naszego szkolnego statku „Daru Pomorza". Młody adept polskiej marynarki, który skreślił tę książkę, jest zdaje się bardzo młody. Jego „opisy" tchną pewną szablonowością, pewnym obowiązkowem szkolnictwem. Nie są też rewelacyjne. Mówią rzeczy dość powszechnie znane — z powagą młodości. Trudno zresztą było młodemu podróżnikowi zbierać obserwacje oryginalne: o zwiedzanych krajach wiedział głównie to, co wyczytał w książkach *ad hoc* wertowanych (lektura zresztą, jak widać, starannie i trafnie dobierana), co słyszał na oficjalnych przyjęciach i wspólnie organizowanych wycieczkach. Obserwacje bardziej osobiste i samodzielne zbierał w sposób, dla niego napewno bardzo miły, ale może dla starszego czytelnika nie tak bardzo przekonywujący; na dancingach, na romantycznych spacerach i przyjemnych rozmowach z miłemi i ładnemi panienkami wszelkich kontynentów. Te miłe Angieleczki i Francuzeczki, gościnnie przyjmujące i uprzejmie obwożące samochodami uczniów polskiego statku, były dla nich niewątpliwie najbardziej charakterystyczną *couleur locale*, były źródłem poważnych wiadomości o stosunkach kolonjalnych i życiu w krajach egzotycznych. Niech się młody autor nie gniewa na mnie, o ile ta recenzja wpadnie mu w ręce, że tak pozornie lekceważę jego ścisłe i sumiennie zbierane informacje, że tak sceptycznie odnoszę się do jego doskonałego wywiadu z przeróżnymi czarno i niebieskookimi *interwiewerami* — dał nam bowiem informacje o wiele ciekawsze i cenniejsze, niż wszystko, co mógłby nam powiedzieć o handlu Chin i polityce kolonjalnej Anglji: dał

nam informacje o naszem polskiem życiu na morzu, a to nas nietylko interesuje, ale także nas wzrusza. Bo wzruszeni jesteśmy od samego początku. Naprzód samym faktem, że na wodach dalekiego wschodu powiewa polska bandera, bandera polskiego statku szkolnego. Ale to jest zasługa nie pana Kulleschitza, to zasługa kogoś innego... Zasługą osobistą p. Kulleschitza jest, że nam pokazał jak mądrze i celowo jest prowadzone szkolenie polskich marynarzy, jak wysoki jest ich poziom kulturalny, jak szerokie zainteresowania, jak pojmują swój zawód, jak bardzo pod każdą geograficzną szerokością czują się już nietylko Polakami, ale reprezentantami polskiego państwa, Polski-mocarstwa. To jest nietylko wzruszające, ale napełnia nas dumą i ufnością. Polskie społeczeństwo, mimo Lig morskich i kolonjalnych, mimo jej balów, koncertów i propagandy — wie bardzo mało o naszem morskiem życiu, i jest raczej skłonne lekceważyć naszą marynarkę, jej znaczenie i doniosłość. Myśli się naogół, że wpływ tej marynarki, tego otwarcia przez Gdynię drzwi na szeroki świat, zostaje w prostym stosunku do stosunku małej ilości kilometrów naszego wybrzeża do kilometrów reszty granic Polski. Nie tu miejsce sprawę tę rozważać. Należy tylko stwierdzić, że chociaż *Rejs dookoła świata* nie przynosi nam wyczerpujących wiadomości na tem polu, otwiera jednak okno na bardzo dalekie i szerokie horyzonty w tej dziedzinie. Czytając tę inteligentną książkę rozumiemy nagle, chociażby to, jakie nowe spojrzenie na świat i jego sprawy otwiera się przed tymi młodymi chłopcami, którzy mądrze kierowani, podróż taką odbywają, jak rozszerza nietylko ich wykształcenie, ale jak umacnia w nich poczucie państwowe, narodową godność i ambicję. W jakimś porcie (nie pamiętam jakim) polscy marynarze rozmawiali z przedstawicielem wielkich przedsiębiorstw handlowych. Na pytanie, czy mają interesy także z Polską, odpowiedział ten przedstawiciel, że z Polakami nie można prowadzić interesów, bo... nie odpowiadają na listy! Kiedy indziej znów, w jakimś innym porcie, też przedstawiciel jakichś wszechświatowych interesów pytał polskich marynarzy, co Polska produkuje, w jakim kierunku ma zamiar „iść", co eksportować, co jest tą cegiełką, którą przynosi i ma zamiar przynieść na wielki międzynarodowy rynek, co jest jej kulturalną specjalnością i jej własnym dorobkiem. Są to rozmowy pozornie błahe, ale bardzo charakterystyczne, a jeszcze bardziej charakterystyczne jest to, że Kulleschitz, w powodzi tylu silnych wrażeń, w olśnieniu wspaniałej podróży, te właśnie rozmowy zanotował! Tak, to na kilometry szczupłe polskie wybrzeże jest jednak wielką bramą kultury, bez tych płuc nie moglibyśmy oddychać wielkimi prądami świata. To pozornie proste i bezpretensjonalne opowiadanie Kulleschitza, mówi nam bardzo wiele o mocarstwowem znaczeniu Gdyni, i mówi, że wielki nasz wysiłek stworzył nietylko dobry port, ale także kadry pierwszorzędnej marynarki, że piękny żaglowiec „Dar Po-

morza" jest najważniejszą najdonioślejszą naszą „reklamą" i „propagandą". A że to wszystko zrozumieliśmy z tego prawie szkolnego opowiadania, to już jest zasługą wyłącznie młodego autora, jego inteligentnego, kulturalnego i poważnego spojrzenia na świat. Wystawił piękne świadectwo naszej marynarce i swoim przełożonym.

Sportem, który przez swą istotę złączony jest z wędrowaniem, ze zmienianiem terenów i odkrywaniem ich, jest polowanie. Żyłka myśliwska dała u nas wiele pięknych kart literaturze, dała wiele książek „krajoznawczych", w dziedzinie jednak literatury egzotycznej mniej była obfita. Myślę, iż poprostu dlatego, że polowania egzotyczne są niezmiernie kosztowne. (Katz wylicza z dużym humorem skomplikowane trudności biurokratyczne, a przedewszystkiem bajońskie koszta polowań w Sudanie). Polska jest krajem biednym, to też tylko bardzo nieliczni ludzie na luksus egzotycznych polowań pozwolić sobie mogli. Z tych łowieckich ekspedycyj, których jednak było kilka, chcę zwrócić uwagą na ostatnią, bo choć opis jej nie jest całkiem nowy (książka wyszła w r. 1934), jednak dla omawianego tu cyklu literatury jest zbyt znamienny, by go pominąć można. Chcę mianowicie mówić o książce Leona Sapiehy *Wulkany Kivu*. Leon Sapieha na polowanie do Afryki wyprawia się po raz drugi (pierwszą swą ekspedycję opisał w książce *Lasy Ituri*). Jest już więc poniekąd doświadczonym fachowcem. Wraz z żoną, która dzielnie towarzyszyła mu w tej męczącej i pełnej niewygód wyprawie, jedzie Sapieha w górę Nilu, a potem przechodzi przez samo serce Czarnego Lądu, kończąc swą wędrówkę w porcie Zanzibaru. Wyprawa ta trwała półtora roku, a miała na celu polowanie na bawoły, głównie na trudno dostępnego zwierza, goryla. (Przy okazji strzelało się do pomniejszej zwierzyny, jak antylopy i hipopotamy...) Książka tak ślicznie wydana i ślicznie ilustrowana (zdaje się, że żona Sapiehy była doskonałym operatorem filmowym i fotograficznym), jest jak wspomniałam bardzo charakterystyczna. Nie żeby Sapieha był wyjątkowo dobrym pisarzem, czy wyjątkowo bystrym obserwatorem. Tam gdzie chce być literatem i podróżnikiem jest najmniej ciekawy. Wiadomości historyczne, uwagi i refleksje ogólne, do których czuje się od czasu do czasu zobowiązany, mniej przedstawiają interesu i trącą pewną banalnością. Natomiast tam, gdzie autora unosi pasja myśliwska, gdzie mówi nam o technicznych trudnościach swej wędrówki, o swojem z konieczności bliższem współżyciu z murzynami, jest bardzo ciekawy i tam pisze bardzo dobrze. Historja podchodzenia i tropienia goryla jest nawet po literacku „zrobiona" bardzo dobrze. Te wszystkie części książki, gdzie autor nie jest ani nie chce być podróżnikiem, lecz gdzie jest człowiekiem wszczepionym w prawdziwe życie Afryki, gdzie „na serjo" walczy z jej klimatem i trudnościami, gdzie żyje jej

nie odświętnem, lecz codziennem życiem, gdzie posuwa się wzdłuż tropów zwierzyny, a nie wzdłuż turystycznych szlaków, tam wszędzie jest zajmujący i o tem wszystkiem pisze bardzo dobrze. Zdarzyła mu się w tym egzotycznym kraju przygoda może jeszcze ciekawsza, niż zabicie goryla (który pięknie wypchany zdobi warszawskie muzeum zoologiczne): żyjąc życiem Afryki, w ciągłej styczności z jej ludźmi i ziemią, zapragnął zapuścić głębsze w niej korzenie: kupił sobie kawał dżungli, 500 ha nieprzebytych haszczy i pustkowia. Od tego amatora-farmera dowiadujemy się znowu mnóstwa ciekawych rzeczy o istotnych warunkach gospodarczych, ekonomicznych, klimatycznych i rolniczych centralnej Afryki. Bo całkiem co innego wie o jakimś kraju ktoś, kto skrzętnie zapisuje wszystkie obserwacje w reporterskim notesie, a całkiem co innego ktoś, kto sam hodował sadzonki kawy, pilnował trzebienia dżungli, siał wielkie herbaciane ziarna. Co innego wie ktoś, kto zachwyca się grą świateł na żółtych piaskach i czerwonych skałach, a co innego ktoś, kto łopatą mierzy urodzajną warstwę gleby. Zwłaszcza o autochtonach afrykańskich dużo i inteligentnie opowiada nam Sapieha. I znowu w ten sam nie teoretyczny, lecz doświadczalny sposób. Już w swych włóczęgach myśliwskich, żyjąc z nimi całe miesiące w głębi odludnych pustkowi, poznał ich doskonale. Wiedział, że Pigmejowie, jakkolwiek tępi, są doskonałymi tropicielami zwierza, i że w puszczy nagle odzyskują niedopisującą im gdzie indziej inteligencję. Jako myśliwy, wiedział o murzyńskich zwyczajach, wierzeniach, wadach i zaletach więcej, niż niejeden etnolog. Teraz dowiaduje się jeszcze więcej. Styka się z robotniczą kwestją afrykańską. Musi werbować robotników, robić z nimi kontrakty, uśmierzać ich strajki, dbać o ich aprowizację, licząc się z gustami i religijnemi zabobonami. Te wszystkie egzotyczne sprawy są sprawami jego własnemi, a wiadomo, że to zmienia kąt patrzenia... I ten właśnie kąt jest w książce Sapiehy cenny i ciekawy, jest przytem dla nas, nie posiadających kolonji, do pewnego stopnia zabawny. Bo nie może nas trochę nie bawić fakt, że ten afrykański ziemianin leci strzelać antylopy dla wyżywienia swoich robotników, zamiast posłać po mięso do najbliższego miasteczka, że na fasolę czeka z upragnieniem, jak na najlepszy specjał, że dla swoich „fornali" stawia w jeden dzień szałasy z trzciny, zamiast studjować ustawę o przepisowych czworakach. Te afrykańskie kłopoty gospodarcze opisuje Sapieha z dużą swadą, żywością, stylem potocznej mowy, nie troszczącym się o literackie zwroty. Ale to właśnie jest wdziękiem jego książki i jej literacką zaletą. Przez ten brak podróżniczej rutyny, przez dawanie przekroju dnia codziennego jest książka Sapiehy ciekawa i charakterystyczna. Ciekawem byłoby wiedzieć jak rozwija się dalej jego farma, czy i z jakiemi trudnościami walczy nasz afrykański ziemianin...

W krainie lęku i pragnienia Janusza Meissnera i Tadeusza Milewskiego jest dalszym ciągiem wydanej w zeszłym roku ich książki p. t. *Przez Ergi Hammady Sahary*. Jest to w przeciwieństwie do książek poprzednich typowa „podróż". Autorów na dalekie piaski Sahary nie pchnął ani żaden cel sportowy, ani wyłącznie naukowy czy polityczny. Ciągnęła ich klasyczna ciekawość człowieka, chcącego wiedzieć jak gdzie indziej wygląda ziemia i jak żyją ludzie. Książki ich mają dużo więcej siebie świadomej literatury, niż książki myśliwych, żeglarzy i włóczęgów. Nie jest to zresztą literatura zła. Opisy pustyni, ciemnych wygwiażdżonych nocy, pełnych czaru i cienia oaz, są pełne poezji i sugestywności. Ale najciekawszą stroną tych książek zwłaszcza ostatniej, są obrazy z życia koczowniczych plemion pustynnych. Autorowie przecinają płowe piaski wzdłuż i wszerz wraz z kupieckiemi karawanami, wraz z ekspedycjami wojsk francuskich. Podczas tych wędrówek poznają ludzi miejscowych. Uczą się rozróżniać różne ich odmiany. Umieją odróżnić ciemną szatę Tuarega od niebieskiego burnusa Araba. Poznają rywalizację różnorodnych plemion, poznają ich stosunek do białych. Książka jest pełna historji wojennych i miłosnych, dziwnych przygód, ponurych tragedji. Historje te mają posmak starych epopei, posmak opowiadań biblijnych. Oczywiście ci podróżnicy, jak i wszyscy spotykają w swych wędrówkach Polaków. Polacy są wszędzie. „Dar Pomorza" spotyka polski jacht (nie „Dal") w kanale Panamskim. Wierzejski dowiaduje się, że pan Nowak objechał na rowerze forty włoskiej Afryki. Czystą polszczyzną z „Nalewek" zagadała do Fiedlera w Rio portugalska szlachcianka! I nietylko Polacy, ale i polski język, znajomość Polski spotyka się coraz częściej. O Pińsku rozmawiał Połczyński z japońskim generałem, po polsku zagadał uczony do załogi „Daru Pomorza" na wyspach Galapolos. Wojna wstrząsnęła garnkiem świata i porzucała ludzi w najmniej prawdopodobne strony i miejsca. To też może nie bardzo się zdziwili pp. Meissner i Milewski, gdy w ciężarowem aucie między Oranem a Langhut usłyszeli z ust szofera ciepłe słowa, skierowane do czarnego szofera, nie dającego się wyminąć auta: „Bodaj cię nagła krew zalała". Był to Felek Zawada. Na zapytanie, zresztą zbędne, czy jest Polakiem, odpowiedział poprostu „Sie wi!" Interesująca historja Felka Zawady, członka legji cudzoziemskiej, zajmuje dużą część ich książki. Z wzruszeniem spotykamy w niej także miejscowości, w których swego czasu żył, myślał i pisał Psichari.

Produkcja literatury podróżniczej u nas jest tak wielka w latach ostatnich, że stosunkowo (mówię wyraźnie stosunkowo) mniej jest w tej gałęzi tłumaczeń. Produkcja oryginalna nasyca rynek. Jednak z pośród dzieł tłumaczonych trzeba wymienić kilka najważniejszych. W pierwszym rzędzie zwraca na siebie uwagę książka

świetnego pisarza angielskiego Aldous Huxleya *Drwiący Pilat*. Jest to podróż odbiegająca daleko od utartych kanonów. W krótkich ustępach, datowanych z Bombaju, Delhi, Jawy, Japonji, Ameryki daje autor cały szereg refleksji, czy rozmyślań, na najprzeróżniejsze tematy. Mówi o polityce, kwestjach społecznych, kierunkach naukowych, dużo o muzyce i sztuce, o kwestji władzy, o cywilizacji, o psychologji człowieka. Oczywiście zwiedzane kraje z ich osobliwościami, z ich problemami, pobudzają jego myśl, odgrywają rolę drożdży. „Cóż jest prawda?" oto hasło tej ciekawej książki, hasło tłumaczące jej dziwaczny tytuł. A oto jaki bilans swych podróży daje Huxley, jak rozumie jej cel i znaczenie: „Filozofja i cywilizacje, które zdaleka wydają się o wiele wyższe od tych, co mają kurs we własnej ojczyźnie, okazują się przy bliższem zbadaniu tak samo na swój sposób beznadziejnie doskonałe. Ta świadomość, którą nabyć można jedynie podróżując, opłaca według mnie, wszystkie kłopoty, niewygody i koszty wędrówki naokoło świata". To jest bilans negatywny, a bilans pozytywny jest taki: „...odwieczne prawdy, w które się wierzy starym zwyczajem, mogą nabrać smaku objawienia, jeśli staną się rezultatem nowych doświadczeń". Tym właśnie doświadczeniem, tym sprawdzianem podróży, szuka Huxley prawdy na świecie i w sobie. Poszukiwania nie wychodzą na korzyść naszej kultury i cywilizacji. Autor patrząc na nią zboku, starając się patrzeć oczyma Hindusów, czy Malajów, odkrywa jej słabe strony, jej fałsze, zakłamania i płytkości. Jednak daleki jest od przychylenia się do mądrości Wschodu. Mimo wszystko tkwi mocno w kulturze Zachodu, dba o nią i myśli jej kategorjami. Te kategorje są ściśle materjalistyczne i mocno zabarwione antychrześcijańskim humanitaryzmem. I tu w tem nastawieniu umysłowem Huxleya tkwi błąd jego skądinąd świetnej inteligencji i świetnego rozumowania. Huxley, który wie wszystko, przenika wszystko, zgłębia wszystko, nie jest w stanie przeniknąć i zrozumieć całego najwyższego porządku życia, najwyższego porządku rzeczy ludzkich, tego wszystkiego, dzięki czemu człowiek jest właśnie człowiekiem. Świetne jego myśli, ujęte w formę lapidarnych powiedzeń o błyskotliwym kształcie mądrych paradoksów — stają się często płytkie i jakby niedomyślane, gdy chodzi właśnie o te kwestje. „Sztuka jest jedną z rzeczy, które zapełniły pustkę utworzoną w duszy ludu przez upadek ustanowionej religji". Oto typowy przykład takiego aforyzmu, na pierwszy rzut oka fałszywego i tendencyjnego. Najmniej z historją obeznany człowiek wie, że właśnie bardzo często sztuka była jakby funkcją religji, że w niej najczęściej źródeł sztuki szukamy, i że sztuka chętnie i bujnie rozkwitała w epokach bardzo religijnych. Ta nuta płytkiego fałszu, zawsze zabarwiona wyraźnem uprzedzeniem, odzywa się u Huxleya ile razy dotyka spraw religji i kultu. Ta dziedzina jest mu wroga, obca i niezrozumiała. Na innych polach zadziwia jego myśl świetno-

ścią, giętkością i oryginalnością. *Drwiący Piłat* mógłby służyć za intelektualny bedecker podróżniczy, wskazując podróżnikom, jak mają na oglądany świat spoglądać, jak ma w tem zetknięciu wibrować ich myśl, jak ma pracować twórczo i samodzielnie. Oprócz wielkiego materjału intelektualnego daje książka Huxley jakby migawkowe zdjęcia oglądanych przez niego krajów. „Po dokładniejszem rozejrzeniu się dostrzegliśmy, że ta dolina śni szalony sen o palmach i storczykach, a powietrze jest tam gorące jak krew". Oto przykład lapidarnego obrazowania, obrazowania godnego mistrzowskiego pióra wielkiego pisarza. — Tę, bogatą i ciekawą książkę przetłumaczono na polskie w bardzo dziwny sposób. Przed każdym ustępem zaznaczone litery M. G. lub S. K. pouczają nas, czy dany ustęp tłumaczyła Marja Godlewska czy Stanisława Kuszelewska. Ta spółka nie wychodzi książce na dobre, psuje jej jednolitość stylową; monogramy przed ustępami są zbyteczne, odrazu tłumaczkę można poznać, bo różnica jest duża i sama w oczy się rzuca. U nas, gdzie publiczność łyka spokojnie tłumaczenia najgorsze, a krytyka zadawala się narzekaniem na nie, za mało podkreśla się tłumaczenia naprawdę dobre. Nie dość się podkreśla, gdy na horyzoncie zjawi się tłumaczka tej miary co Marja Godlewska. Jest to z pewnością dziś jedna z tłumaczek najlepszych. Oby tłumaczyła jak najwięcej.

Wielkiem powodzeniem cieszą się dwie książki niemieckiego dziennikarza Richarda Katza. Są to *Włóczęga dookoła świata* i *Pogodne dni wśród brunatnych ludzi*, starannie i dobrze przetłumaczone przez p. Zofję Petersową.

Katz jako dziennikarz ma wielkie finansowe oparcie w swej redakcji. To pozwala mu odbyć kosztowną, kilkuletnią podróż dookoła świata. Szlak jego wiedzie poprzez Egipt, pustynię Nubijską, Aden, Indje, wyspy Malajskie i Polinezyjskie, Australję, Nową Zelandję, Japonję i Amerykę. Jego *Pogodne dni wśród brunatnych ludzi* poświęcone są wyłącznie Jawie i drobniejszym sąsiadującym z nią wyspom dominium holenderskiego, a najciekawsze ustępy *Włóczęgi* dotyczą pobytu na wyspach polinezyjskich, w Australji i Nowej Zelandji. To co nam mówi o Indjach, Ameryce czy Japonji, mniej przedstawia interesu. Traktowane jest pobieżnie i jakby dla zbycia. Jakby czując niemożność czy niechęć do mówienia o krajach, o których mówiono już tyle, i które przedstawiają tak skomplikowany materjał, ratuje się Katz dowcipem. Wogóle dowcip tych dwóch ciekawych książek jest ich słabą stroną. Autor sili się na niego ustawicznie, sili się na feljetonową lekkość, miałoby się ochotę powiedzieć, że chce robić Nowakowskiego... ale są to usiłowania próżne. W tej lekkości jest jakaś niedająca się przezwyciężyć niemiecka ciężkość, naciskanie już naciśniętego guzika, czasami nawet pewien brak smaku. Tam natomiast, gdzie autor jest „serjo", zwłaszcza gdzie

mówi nam o życiu Malajczyków czy Polinezyjczyków, o sztuce Balijczyków, o stosunkach politycznych na archipelagu Tonga — tam wszędzie opowiadania jego są niezwykle zajmujące. W przedmowie do obydwu książek zastrzega się autor, że w swej włóczędze nie miał absolutnie żadnego celu, że w tem co pisze nie ma absolutnie żadnej przewodniej myśli, żadnego ustalonego poglądu, któremu chciałby służyć. Tem bardziej uderza w nich jeden rys bardzo charakterystyczny: Katz przebywając na wyspach południowych mórz, czy Australji lub Nowej Zelandji, widzi przedewszystkiem jedną rzecz: odrazu oblicza ilość zaludnienia na kilometr kwadratowy! Ilu ludzi zmieściłoby się jeszcze w Australji czy na Borneo? To jest bolesny punkt tego niemieckiego podróżnika. I choć polityką nie zajmuje się naprawdę, jednak myśl o niemieckiej ekspansji nie opuszcza go ani na chwilę, ani na chwilę nie opuszcza go żal za straconemi kolonjami niemieckiemi. Dziwnie fascynuje go każdy kraj słabo zaludniony, tak jakby go ciągnęła pustka. Kraje przeludnione przestają go interesować. I trzeba przyznać, że słabe są jego sympatje do Anglików... Wogóle, oprócz do Malajów i Polinezyjczyków, mało ma Katz sympatji i życzliwości do ludzi, a już najmniej do misjonarzy i ich pracy. Nie opuszcza żadnej okazji, żeby im nie przypiąć łatki, aby nie skrytykować i ich i ich działalności. Uważając wszelkie zagadnienia etyczne i obyczajowe za zagadnienia wyłącznie klimatu i rasy, oburza się na podsuwanie ludom kolorowym pojęć chrześcijańskich. Kwestja stosunku białych do kolorowych bardzo go zajmuje. Oprócz szeregu fałszywych i z wyraźnej niechęci do chrystjanizmu płynących uwag na ten temat, robi i szereg spostrzeżeń trafnych, inteligentnych i bardzo zajmujących. Obie książki pisane są feljetonowo, t. j. składają się z szeregu krótkich rozdziałów, których każdy stanowi rodzaj w sobie zamkniętej całości. Czyta się je gładko i przyjemnie. Człowiek ma wrażenie, że sam jakiś czas spędził na Jawie czy Tahiti.

I jeszcze na jedno tłumaczenie trzeba zwrócić uwagę, a mianowicie na *Przygodę Brazylijską* Fleminga (dobrze bardzo przełożoną przez Aleksandra Dobrata). Jest to najdziwniejsza książka podróżnicza, jaką zdarzyło mi się czytać. Zwykle książka podróżnicza jest opisem wyprawy udanej (udanej przynajmniej w oczach autora). Autor choćby dyskretnie, chwali ją, siebie, swoich towarzyszy, podnosi dobrą organizację wyprawy, jej dodatnie rezultaty i osiągnięcia. Tu wszystko jest naodwrót. Autor nie przestaje ganić organizacji wyprawy w głąb Brazylji, wykazuje jej fatalne błędy, nieumiejętność, niezaradność, zajmuje się głównie kłótniami, które jej uczestników dzieliły, kierownika ukazuje nam jako ciemną, podejrzaną figurę, siebie nawet nie bardzo chwali, przyznając się do zupełnego braku przygotowania i tre-

ningu. W całej podróży marzy głównie o jej końcu i powrocie do „życia cywilizowanego"! Gdy się przeczytało kilkanaście tomów podróży pod rząd, staje się człowiek rodzajem fachowca i widzi odrazu, że angielska wyprawa była przygotowana i zrobiona po partacku, ale zabawne jest, że autor pisze ogromną książkę, by to udowodnić. Ta nieudolność wyprawy, spory jej uczestników, dodają książce posmaku powieści detektywistycznej. Czytelnik jest ciekawy, jak się to skończy, jak poradzą sobie młodzi ludzie, zostawieni w puszczy bez wszelkich środków (rzeczywiście głęboka dżungla jest źle wybranem miejscem dla robienia sobie „na złość"!) Książka Fleminga robi prawie wrażenie osobistego rozrachunku z partją przeciwną... Fleming jest korespondentem *Timesa*. *Times* nie ma napewno źle piszących korespondentów, to też Fleming pisze dobrze, ale *Times* także prawdopodobnie płaci im od wiersza. To też tych wierszy jest nieco za dużo. Książka niewątpliwie ciekawa, jest zbyt długa, miejscami rozwlekła, ma takie same jak książki Katza zbyt widoczne feljetonowe zabarwienie. — Romantycznego uroku dodaje także książce tajemnicza postać pułkownika Fawcetta. W r. 1925 zaginął w głębi brazylijskiego interioru, w kraju zupełnie niezbadanym i dzikim, pułkownik Fawcett, wraz z synem i jego młodym towarzyszem. Nikt nigdy nie dowiedział się, co się z nimi stało. Krążyły na ten temat najróżniejsze legendy. Wyruszały przeróżne ekspedycje na poszukiwanie zaginionych. Jedni twierdzili, że Fawcett zginął zabity przez Indjan, byli i tacy, którzy „go widzieli", twierdząc, że dostał pomieszania zmysłów po śmierci młodych ludzi, iż żyje jako obłąkany w głębi nieprzebytej dżungli, u Indjan. Właśnie ekspedycja nieudana, w której brał udział Fleming, miała na celu poszukiwanie Fawcetta. Teraz nie dziwimy się temu, co mówił Fiedler, że szukano nieszczęsnego Anglika źle, fałszywie i nieudolnie. Ta postać tajemnicza Fawcetta dodaje, jak mówiłam, romantycznego uroku opowiadaniu Fleminga, nie tylko sama przez siebie, ale przez pewną reminiscencję literacką. Widmo zaginionego, może obłąkanego, w głębi lasów żyjącego Fawcetta, dziwnie przypomina osnowę pięknej powieści Malraux *La voie royale*. Czyż jest niemożliwe, że ta tak głośna swego czasu historja, którą Malraux musiał znać, dała mu pomysł do jego powieści.

Ta też narzucająca się reminiscencja nasuwa nam jedną refleksję, w odniesieniu do całej literatury podróżniczej: nie żądamy od tej literatury, jak wspomniałam na początku, specjalnych zalet literackich. Wystarczy nam pewna poprawność, resztę robi sam temat. A jednak, to co wiemy, co wiemy naprawdę, co rozumiemy o dalekich egzotycznych krajach, ich życiu, uroku i ludziach — wiemy nie z książek podróżniczych, lecz z dzieł artystów, z dzieł wielkich pisarzy twórczych. Jedynie wielka, pra-

wdziwa sztuka kraje te przed nami odtwarza naprawdę, jedynie ona wprowadza je jako rzeczywistości w orbitę naszej świadomości. Gdy te znane nam z wielkiej literatury miejsca i okolice odnajdujemy w opisach podróżniczych, czytamy o nich ze zdwojoną ciekawością, czytamy jako o rzeczach nam znanych, bliskich, kochanych. Przekonałam się o tem, czytając w *Rejsie dookoła świata* opis Szanghaju. Przecież tu byłam u siebie. Tu w Astorji mieszkał Ferral, tu w St. George pił nędzny Clappique. Malraux raz na zawsze stworzył dla mnie Szanghaj, wprowadził go w moje życie, w mój własny świat. I to samo zjawisko spostrzegamy na każdym kroku. Czyż dźwięczne nazwy Adraru, Tafiletu, Timbuktu, nie śpiewają głosem Psicharego, czy nie jego myślą i słowem płonie ciemne niebo Sahary? Czyż rozumiemy wdzięk pogodnych dni na Nowej Zelandji, bogactwo jej rozkwieconych ogrodów, jeśli nie spędziliśmy razem z Katarzyną Mansfield upalnych dni *Nad zatoką*? Czyż przedewszystkiem miałyby ten urok i wdzięk i nieodpartą poezję płytkie południowe morza, malajskie sarongi i polinezyjskie wyspy, gdyby nie Conrad? Czy nie on je dla nas stworzył i wyczarował?

Tak czytając opisy podróży, nawet najlepsze, spostrzegamy się (napewno nie poraz pierwszy), że tylko sztuka organizuje nam świat w kształt dostępny i zrozumiały.

Ale konstatując tę odwieczną prawdę widzimy i rzecz drugą, jakby jej odwrotność: przeczytawszy kilkanaście tomów polskich książek podróżniczych nie znaleźliśmy ani jednej książki lichej, czy marnej, żadnej poniżej pewnego, dobrego poziomu. Narzeka się u nas ciągle, i nie bez słuszności, na niski poziom piśmiennictwa, na okropną klasę tych książek, których do arcydzieł zaliczyć nie można. Między arcydziełem a szmirą niema prawie klasy pośredniej. Skąd nagle wzięło się tyle dobrych, tyle bardzo dobrych piór i to wśród młodych chłopców, wśród nazwisk dotąd nieznanych? Bo te wszystkie książki są pisane dobrze, kulturalnie, więcej niż poprawnie. I nasuwa się pytanie: czy przypadkiem ten *genre* nie jest bardzo dobrą szkołą piśmienniczą? Czy opisywanie faktów, miejsc i ludzi konkretnych nie jest doskonałem ćwiczeniem literackiem, czy nie zmusza adeptów pióra do ścisłości, do precyzyjności słowa, do obserwacji, do „czystej" roboty? Wydaje się to dość prawdopodobne. Może wielkim genjuszom wolno palić etapy i zaczynać od szczytów, ale zawsze bezpieczniej, gdy młody pisarz za genjusza się nie uważa i zaczyna „od początku", gdy uczy się rysować, zanim przystąpi do kompozycji. Genjusza to nie zniszczy, a uratuje wielu, którzy wychodząc z założenia genjalności, kończą bardzo prędko na szmirze. Ta praca literacka, jakby od podstaw, daje możność wyrobienia się pisarzom utalentowanym, którzy przy odowiedniej kulturze, znajomości rzemiosła i pracy, mogliby dojść do rezultatów bardzo dobrych. Tę hipotezę potwierdza choćby

pobieżny rzut oka na literatury Zachodu, zwłaszcza na literaturę angielską, której wielką i doniosłą „szkołą“ był rodzaj książ e podróżniczych.

W tych też możliwościach pedagogicznych leży wielka doniosłość literatury podróżniczej i rozkwit jej należy powitać życzliwie. Jak widzieliśmy, dostarczyła już w samym swym początku łektury dobrej, zajmującej i kulturalnej naszej czytającej publiczności i ujawniła wiele nieznanych dotąd, a bardzo obiecujących piór.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Notatki bibljograficzne.

Z wydawnictw Instytutu Bałtyckiego, Toruń 1935.

Do aktualnych dla ogółu wydawnictw Instytutu Bałtyckiego należy obszerniejsza praca Wincentego Juljusza Piaseckiego p. t. *Tranzyt niemiecki przez Polskę* (str. IX+188). Nie wyczerpuje ona całości zagadnienia, gdyż naprz. dane statystyczne, dotyczące przewozów tranzytowych w komunikacji wschodniopruskiej, zostaną podane w osobnej nowej pracy, zestawia jednak dokładnie prawne przepisy, regulujące sprawę tranzytu niemieckiego przez Polskę. — Stosunek nasz do W. Brytanji na polu handlu węglem wyjaśnia szczegółowo i interesująco Andrzej Jałowiecki w książce *Konkurencja węglowa polsko-brytyjska na rynkach skandynawskich* (str. X+191 i 50 tabel). Autor przedstawia problem tej konkurencji od początku, t. j. w ciągu ostatnich 10 lat, podaje charakterystykę polskiego i brytyjskiego przemysłu węglowego, obecny stan porozumienia obu krajów i widoki na przyszłość. — Zbiorowa praca *Osadnictwo polskie na Pomorzu* zawiera rozprawy, zgłoszone na IV Nauk. Zjazd Pomorzoznawczy i omawia zwłaszcza zagadnienie osadnictwa współczesnego ze stanowiska gospodarczego, z uwzględnieniem rozwoju historycznego, oraz problem spółdzielczości rolniczej, polskiej i niemieckiej, i finansowego stanu drobnych gospodarstw na Pomorzu. — Wobec intensywnej rozbudowy Gdyni wzrosło u nas zainteresowanie innemi portami, zwłaszcza bałtyckiemi, w celu wyzyskania poczynionych tam doświadczeń. Jedną z takich pomocniczych prac jest *Port kopenhaski* Bolesława Leitgeber'a (str. X+256, 28 tabel i 7 map). Omawia ona wszechstronnie gospodarcze i polityczne znaczenie portu w Kopenhadze, jego urządzenia, organizację, ruch handlowy i plany dalszej rozbudowy.

Dr Feliks Hilchen: Porty morskie. Urządzenia przeładunkowe, organizacja i eksploatacja. Warszawa 1936, Wyd. Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Str. 267. (Skład główny „Bibljoteka Polska“).

Bardzo pouczająca i przy dzisiejszem naszem zainteresowaniu morzem ogromnie aktualna książka, która zajmuje zarówno

dorosłych, jak młodzież. Autor stara się zapoznać czytelników ogólnie z budową i wyposażeniem portów, a przedewszystkiem z ich administracją i eksploatacją, oraz rolą jaką odgrywają w gospodarstwie narodowem państwa. Całość podzielona została na siedem części, przyczem autor porusza daleko idące szczegóły i nie ogranicza się do teoretycznych wywodów, ale podaje konkretne przykłady urządzeń i eksploatacji najważniejszych portów różnych państw europejskich. Dla pragnących pogłębić te wiadomości dodaje autor na końcu specjalny wykaz literatury polskiej i obcej.

Dr Stefan Kotarski: Opatów w latach 1861—1864. Opatów 1935. Pol. Towarzystwo Krajoznawcze. Str. 218 z ilustr.

Opatów posiada wiele wspomnień z zamierzchłych dziejów i najświetniejszych wypadków, lecz najwyżej tkwią w nim ślady powstania styczniowego. Tym ostatnim okresem zajął się też autor i na podstawie skrzętnie zebranych, choć nie pozbawionych spornych luk, materjałów roztacza obraz tych paru lat, poprzedzając go opisem miasta i uzupełniając całą rzecz 30 ilustracjami, mapkami i planami.

Rocznik Gdański, tom VII i VIII. Gdańsk 1935. Str. 461 z ilustr.

Podwójny ten tom, za lata 1933 i 1934, wydany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, zawiera kilka rozpraw naukowych napisanych przez: Dr Z. Wojciechowskiego, J. Widajewicza, T. Lehr-Spławińskiego, M. Małuszyńskiego, O. Odložilika, K. Górskiego, K. Lepszego, K. Piwarskiego, J. Straszewskiego. Materjały, historyczne i literackie, oraz kronika Towarzystwa uzupełniają ten tom.

Kalista, powieść historyczna z III wieku. Według opisu W. O. Newmana opracowała Wanda Grochowska. Wyd. II Warszawa 1936. Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 218.

Nawrócenia niezwykłe i męczeństwa chrześcijan pierwszych wieków stanowią jeden z najpiękniejszych i najgłębiej do serca przemawiających tematów. Powyższa powieść jest właśnie osnuta na tem tle. Kalista, jeszcze będąca poganką, ale porwana przykładem chrześcijan, idących chętnie na śmierć męczeńską, nawraca się, wyznaje to śmiało i oddaje życie dla Boga, a przed śmiercią otrzymuje chrzest święty.

Apostoł młodzieży, ks. Edward Szwejnic. Poznań, księg. św. Wojciecha. Str. 215 z ilustr.

Książka powyższa to wyrazy przywiązania i wdzięczności dla jednego z najszlachetniejszych, najbardziej młodzieży oddanych i przez nią kochanych duszpasterzy, ks. E. Szwejnica, rektora

akademickiego kościoła św. Anny w Warszawie, zmarłego w lipcu 1934 r. Grono senjorów związku młodzieży akademickiej *Iuventus Christiana* skreśliło poszczególne obrazy i wspomnienia, które złączyły się na całość niniejszej książki. Oprócz pamiątki dla tych, którzy znali Zmarłego, będzie ona pożądaną wskazówką dla wszystkich duszpasterzy młodzieży, a młodych, z akademickich zwłaszcza sfer, będzie mogła pociągać do Boga.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków:

Korespondencja Metternicha w sprawie Uniwersytetu krakowskiego, 1820—1829. Wydała i wstępem poprzedziła Wanda Bobkowska. Str. LXXXI+165.

Etienne Batory, roi de Pologne, prince de Transylvanie. Str. VII+591.

Abracham Heschel: Die Prophetie. O istocie proroctwa. Str. VI+195.

Hermann Mojmir: Wörterbuch der deutschen Mundart von Wilamowice. Zweiter Teil: S-Z. Bearbeitet von Adam Kleczkowski und Heinrich Anders. Str. 353-640.

Marceli Handelsman: Rok 1848 we Włoszech i polityka ks. Adama Czartoryskiego. Str. 84.

S. J. Gąsiorowski: Le problème de la classification ergologique et la relation de l'art à la culture matérielle. Str. 66.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiej. R. 1935, t. XL, nr. 8—10; r. 1936, t. XLI, nr. 1—2.

Bulletin International de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres. Classe de Philologie, d'Histoire et de Philosophie. R. 1935, nr. 4—6, 7—10.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego (Katowice) r. 1936:
(Skład główny: Warszawa, Kasa im. Mianowskiego).

Józef Reiss: Ślązak Józef Elsner, nauczyciel Chopina. Z portretem i rycinami. Str. 58.

Aleksander Birkenmajer: Witelo, najdawniejszy śląski uczony. Str. 32.

Józef Kostrzewski: Przedhistoryczne związki Śląska z resztą ziem polskich. Z 8 mapkami i 18 rycinami. Str. 38.

Jan Maniak i Edward Stenz: Zarys klimatologji Śląska. Z 6 rycinami w tekście. Str. 54.

Marjan Książkiewicz: Zarys geologji Śląska. Z 16 rycinami w tekście. Str. 66.

Aniela Kozłowska: Szata roślinna województwa śląskiego. Z 28 rycinami w tekście. Str. 53.

Władysław Marchacz: Krajobraz Śląska Polskiego (z uwzględnieniem przyległych krain). Z 2 mapkami, 2 planami syntetycznemi i 46 rycinami w tekście. Str. 111.

Andrzej Battaglia: Górnictwo śląskie. Z 32 rycinami w tekście. Str. 77.

Wykaz literatury bieżącej o Śląsku. R. 1935 nr. 4.

Nakładem różnych:

Ks. Dr Michał Klepacz: Wartości życiowe religji. Konferencje radjowe. Kielce 1936, Wydawnictwo Sióstr Służebnic Najśw. Serca Jez., Kielce-Karczówka. Str. 165.

Władysław Orkan: Drogą czwartaków i inne wspomnienia wojenne. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 203.

Hanna Skarbek-Peretjatkowicz: Indje bez retuszu. Warszawa 1936, Instytut Wyd. „Bibljoteka Polska". 252 z ilustr.

Ks. Dr Jan Bączek: Podstawy wiary. Cz. I—III: Poznanie P. Boga; Ewangelje; cuda i nauka Jezusa Chr. Warszawa 1934—1935 „Kronika Rodzinna". Str. 130+152+268.

A. Kard. Bertram: Charyzmaty duszy i pracy kapłańskiej. W tłumaczeniu ks. Dr St. Grelewskiego. Z przedmową J. E. ks. Kard. Prymasa Hlonda. Poznań 1936, Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. XII+322.

Ks. Dr Franciszek Sawicki: Filozofja życia. Poznań 1936, tamże. Str. 172.

Historja Zgromadzenia Sióstr Pasterek od Opatrzności Boskiej. R. 1936; nakł. SS. Pasterek od Opatrzości B. w Jabłonowie Pam. Str. 148+XLI z ilustr.

Wanda Brzeska: U Strądu. Poezje. Warszawa 1936 (skład gł. Gebethner i Wolff). Str. 64.

Józef Spytkowski: Barwy, kształty i ruch w Królu-Duchu. Kraków 1936, str. 72. (Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego, Warszawa).

Ks. Dr Kazimierz Kowalski: Rekolekcje w systemie św. Tomasza z Akwinu. (Odbitka). Warszawa 1936. Str. 23.

Il. P. Carlo Odescalchi, Cardinale di S. R. Chiesa, morto religioso della Compagnia di Gesù (1785—1841). Insulae Liris, A. Macioce & Pisani, 1936. Str. 63 i 1 il.

Olgierd Górka: Optymizm i pesymizm w historjografji polskiej. Odwrócenie pojęć. Lwów 1936. Str. 32.

P. Siwek S. J.: La religion sans dogmes dans la philosophie Spinoziste. (Odbitka) Roma, Pontificia Università Gregoriana. Str. 27.

Paulus Siwek S. J.: L'unité de Dieu dans le système Spinoziste. (Odbitka). Tamże, str. 11.

Zofja Reut-Witkowska: Bojownik romantyzmu. Kraków 1936. Str. 33.

Taras Szewczenko: Poezje. W przekładach różnych autorów, pod redakcją Pawła Zajcewa. Warszawa 1936, Ukraiński Instytut Naukowy. Str. 407 z ilustr.

O. Leon Pyżalski, Redemptorysta: Dzwon na trwogę. Wezwanie do walki z bezbożnictwem i obojętnością religijną, w myśli Akcji Kat. Kraków 1936, nakł. OO. Redemptorystów.

Myśli Jenerała Wł. Zamoyskiego. I. Zebrał i wstępem poprzedził ks. Dr Stanisław Bross. Poznań 1936, Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. 211 in 16^0.

Ks. Dr Karol Mazurkiewicz: Wobec zgorszeń świata, tamże, str. 24.

Ks. Dr E. Dąbrowski: Królestwo Boże a Kościół, według nauki Chrystusa. Warszawa 1936, Uniwersytet-Theologicum. Str. 26.

Stanisław Brzozowski: Kultura i życie. Zagadnienie sztuki i twórczości w walce o światopogląd. (Dzieła wszystkie t. IV). Warszawa 1936, Wyd. Instytutu Literackiego. Str. 448.

Zygmunt Łempicki: Literatura, poezja, życie. Warszawa 1936, tamże. Str. 51.

F. Antoni Ossendowski: Iskry z pod młota. Powieść współczesna. T. I.: Kruszenie kamienia; t. II.: Ogień wykrzesany. Poznań, Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Str. 317+333.

Rudyard Kipling: Puk z Pukowej Górki. Przekład Józefa Birkenmajera. Bibljoteka Laureatów Nobla, t. 79). Poznań, tamże. Str. 347.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Świat pod grozą postępów bolszewizmu. — Tragedja Hiszpanji. — Na froncie religijnym polskim.

Kiedy w ostatnim lat dziesiątku mnożyły się dzieła i rozprawy na temat, jużto grożącej całemu Zachodowi zagłady, jużto tragedji Europy i upadku cywilizacji chrześcijańskiej, w tych głosach Kasandry dopatrywało się wielu silnej przesady. Dziś jednak pod wpływem rozwoju wypadków postąpiło zrozumienie. Dziś, nawet zdecydowani optymiści nie mogą obronić się wrażeniu, że cywilizowane zwłaszcza społeczeństwa stoją u progu straszliwej przepaści. Książce, która niebawem ma się ukazać na półkach księgarskich, nie zawahał się wybitny publicysta nadać tytuł: *Ginący świat.* W istocie bowiem jest w tej chwili coś z tej epoki, w której rozpadał się w gruzy świat starożytny; jest coś groźniejszego niż było wtedy, gdy kończące się średniowiecze ustępowało miejsca nowym czasom. Elementarne zasady ludzkiego współżycia są zwichnięte lub zapoznane; poszukiwanie nowych form uspołecznienia prowadzi przeważnie na bezdroża; jedna, bez porównania liczniejsza część ludzkości walczy daremnie z dotkliwą, czasem wprost rozpaczliwą, biedą, podczas gdy druga część nie umie sięgnąć myślą ni sercem poza ciasne koło osobistego czy zbiorowego egoizmu; jedne narody i klasy społeczne ogarnia formalny szał, pchający je do szaleńczych czynów, innemi owłada jakiś marazm i bezwład, który nie pozwala im stanąć w obronie burzonego publicznego porządku; w poglądach i dążeniach panuje taki zamęt, że, co jedni uważają za nieszczęście i zgubę, w tem upatrują inni jedyne zbawienie.

Na tem wszystkiem jednak nie kończy się tragizm obecnej chwili. Najgroźniejsze ze wszystkiego jest to, że na ten schorowany i skołatany organizm dzisiejszej ludzkości działają jeszcze wpływy wprost zabójcze. Jesteśmy ciągle

świadkami demonicznych doprawdy wysiłków, jakie podejmuje Rosja Sowiecka, by do żył chorych społeczeństw wprowadzać nową truciznę i potęgować ich rozstrój aż do zupełnego chaosu, ażeby potem na gruzach dawnego, budować od podstaw swój nowy świat.

Odkąd państwa Europy, głównie pod wpływem masonerji, popełniły tę niesłychaną nierozwagę, że podjęły z Moskwą normalne, międzynarodowe stosunki, a jeszcze bardziej od chwili, gdy otwarły jej dostęp do pałacu Ligi Narodów, znaczenie Rosji w świecie wzrastało stale i doszło dziś do rozmiarów, przechodzących wszelkie oczekiwania. Mimo wszystko, co dochodzi przecież do wiadomości Zachodu o wewnętrznych stosunkach, jakie panują w Radzieckich Republikach, nietylko pod względem duchowej kultury, ale i pod względem materjalnego dobrobytu ogromnej większości mieszkańców, Kreml imponuje dziś światu prawie tak, a poniekąd bardziej jeszcze niż imponowało niegdyś bezmierne imperjum carów pod Mikołajem I czy Aleksandrem III. Z niekłamanym podziwem a może i tajemną obawą spoglądają ludzie na olbrzymią sowiecką armję, schylają głowę przed udanem, przynajmniej w pewnej mierze, przedsięwzięciem gigantycznego uprzemysłowienia kraju, rozpisują się na temat nieprawdopodobnego rozwoju sowieckiej prasy, podnoszą nawet zdobycze uczonych rosyjskich w tej lub owej naukowej dziedzinie. A wszystkie te rzekome czy rzeczywiste powodzenia obraca natychmiast czerwona Moskwa na środek do celu, o który najbardziej jej chodzi, to jest na narzędzie propagandy. Bo Rosja Stalina, wbrew dawnym i pokonanym już ideom Trockiego, trzyma się tej tezy, że ona bynajmniej nie potrzebuje czekać na wybuch i pomoc rewolucji w innych krajach, ale że owszem ona sama potrafi, poczęści swoim przykładem, poczęści wpływem, olśnić, pociągnąć, zrewolucjonizować, a potem przebudować świat.

Puszczono więc w ruch olbrzymi aparat propagandowy. Radjo, filmy sowieckich wytwórni, beletrystyka czerwona, tłumaczona zaraz na różne języki, niezmierne ilości wielojęzycznych ulotek i broszur, nie mówiąc już o płatnej literaturze i publicystyce zagranicznej, cała armja wreszcie poczęści rosyjskich, poczęści wyszkolonych w Rosji agitatorów — to wszystko miało służyć i służy gloryfikacji sowieckich porządków, żeby uwierzył świat, że komunizm niesie ludzkości nie co innego, tylko postęp, kulturę, swobodę, wszechstronny rozwój, słowem, raj ziemski wszelakiego dobrobytu.

I nie da się zaprzeczyć, że rezultaty tej akcji uświadamiającej *á rebours* są mimo wszystko ogromne. We wszystkich kulturalnych krajach całego świata mnożą się zastraszająco jawni i ukryci sympatycy bolszewizmu, którzy —

najczęściej pod wpływem gniotącego ludzkość ekonomicznego kryzysu — bądźto niezachwianie wierzą, bądź przynajmniej próbują się domyślać, że byłoby jednak lepiej na świecie, gdyby komunistyczne zasady zdobyły sobie zwycięstwo. Liczba tych sympatyków i admiratorów czerwonej Rosji bardziej jeszcze wzrosła, odkąd na zeszłorocznym zjeździe Kominternu padło hasło łączenia się z innemi skrajnemi partjami w jeden obóz „ludowych frontów". Przez rozszerzenie bowiem sfer wpływu znalazło się daleko więcej nietylko odbiorców, ale propagatorów jużto bolszewickich, jużto półbolszewickich haseł i zasad. Bo doświadczenie wszystkich krajów pokazuje, jak dalece myli opinję żydowski *Nasz Przegląd*, kiedy świeżo próbował nas uspokajać, że front ludowy nie może być niebezpieczny, bo komuniści, w bardzo mieszanem towarzystwie innych partyj będą musieli w nim siedzieć „jak mysz pod miotłą". Całkiem przeciwnie! Jak ta odrobina kwasu, która, wedle Apostoła, całe ciasto zakwasza, tak w zespołach radykalnych, noszących nazwę ludowego frontu, wnet zaczynała i zaczyna ton nadawać bolszewicka ideologja, bolszewicka polityka, bolszewicka bezbożność, słowem, owe ugrupowania, rzekomo wielobarwne, zaczynały powoli stawać się tem, czem miały się stać po myśli swych twórców, t. j. pepinjerą mniej lub więcej zaawansowanych, ale szczerych zwolenników komunistycznego na świat poglądu.

Gdzie zaś byli zwolennicy, tam wnet pojawiała się i organizacja. Znajdowali się na zawołanie rosyjscy agenci, przypływały rosyjskie pieniądze, przychodziły z Kremlu praktyczne dyrektywy, tworzył się instrument, na którym Komintern wygrywał pożądane sobie melodje. Niema ani odrobiny przesady w agitacyjnej ilustracji, rozszerzanej przed wyborami przez prawicę francuską, a przedstawiającej polityków „ludowego frontu", trzymanych na sznurku i kierowanych dowoli przez niewidzialną rękę, usiłującą zawładnąć sterem spraw całego świata.

I niestety nie jest zbyt daleko od tego, żeby w Kremlu trzeba było szukać ostatecznego zbiegu nitek, które poruszają zdarzenia i ludzi na szerokiej widowni dzisiejszych dziejów świata. Wszakże całkiem świeżo byliśmy świadkami komunistycznych wstrząsów, najniewątpliwiej kierowanych z Moskwy, na obu półkulach naszego globu. Nie mówiąc już o zrewolucjonizowanych w ogromnej mierze „państwie środka" i Mongolji, ruchy bolszewizujące pojawiały się ostatniemi czasy w Indjach, a nawet Japonji, dały się odczuć w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zamąciły potężnie Brazylję i inne republiki Ameryki Południowej, odnosząc nawet w Paragwaju chwilowe zwycię-

stwo, stworzyły sobie w Meksyku nowe, dla nowego świata centrum bezbożnictwa i społecznego przewrotu. Co się zaś tyczy Europy, pozostawiając narazie na boku nieszczęśliwą Hiszpanję, której niebawem poświęcimy specjalne uwagi, któż nie wie, jak dalece owładnęły komunistyczne wpływy dzisiejszą Francją, jak zaznaczają się w Anglji, jak rozpanoszyły się w Czechosłowacji, jak mocno wzbierają w naszej Polsce. Byłoby to nad wyraz zgubną polityką, prawdziwie strusią, zamykać oczy na niewątpliwą prawdę, że w olbrzymiej walce, jaką wypowiedział chrześcijaństwu i całej chrześcijańskiej cywilizacji, komunizm odnosi, nie pełne wprawdzie i nie ogólne zwycięstwo, ale poważne sukcesy na wielu odcinkach ogromnego frontu. Jeżeli jeszcze temu lat dziesięć mało kto brał na serjo szumne zapowiedzi, rzucane na cały świat przez moskiewskie radjo, to dzisiaj nikt nie może oprzeć się tej rzeczywistości, że bolszewizm wyrósł na bardzo wielką potęgę, od której pada złowrogi jakiś cień na całe obecne i przyszłe dzieje świata.

Na karb czego położyć to względne powodzenie systemu, który przecież jest zagładą prawdziwego człowieczeństwa i ruiną wszelkiej rzeczywistej cywilizacji?

Możnaby oczywiście wymieniać cały szereg powodów, ale w samej głębi jest jeden tylko, t. j. ten wielki grzech nowożytnych społeczeństw, grzech, któremu bolszewizm zawdzięcza całą tę niezaprzeczoną cząstkę słuszności i prawdy, jaką zdobywa sobie zwolenników, a mianowicie ogólne niemal zapoznanie praw Bożych, rządzących przeznaczeniem i rozdziałem dóbr ziemskich. Zaledwie gdzie, nawet w łonie chrześcijańskich społeczeństw pamięta się praktycznie o tej prawdzie, która przecież jest podstawą chrześcijańskiej ekonomji społecznej, że dobra tej ziemi są zasadniczo przeznaczone dla wszystkich ludzi i że własność indywidualną nie na to ustanowił Bóg, by służyła egoizmowi jednostek, ale na to, by dobra materjalne, zasadniczo przeznaczone dla wszystkich, mogły za jej pomocą dojść do rąk wszystkich, a porządnie, organicznie i w dostatecznej mierze. Za mało się pamięta o obowiązkach na posiadaniu ciążących, nie dość się rozumie, że porządek rzeczy, w którym setki miljonów ludzkich istot nie mogą zdobyć sobie warunków prawdziwie człowieczego istnienia, podczas gdy inni opływają we wszystko nad wszelką miarę, że taki porządek jest krzyczącą niesprawiedliwością, która nie może nie wywołać społecznej burzy. Gruby materjalizm pojęć, patrzący na dobra tej ziemi, jak pisał Krasiński, „przeżydowszczonym chucią zysku wzrokiem", egoizm i brak elementarnej, nietylko już miłości, ale sprawiedliwości w odniesieniu do bliźnich — oto właściwe powody powodzenia komunizmu.

Jeśli wedle pięknych słów Piusa XI, był on od początku dzwonem, wzywającym ludzkość do rachunku sumienia, nad spełnieniem obowiązków sprawiedliwości względem biednych i wydziedziczonych, to musimy niestety przyznać się do tego, że ten rachunek sumienia zrobiono dotąd w mierze bardzo niedostatecznej, i że dlatego głos owego dzwonu wciąż się natęża, by przecież wyrwać ludzkość ze spoganienia myśli i z obojętnienia serc.

Stąd więc jako sposoby zwalczania komunizmu nie mogą wystarczyć ani represje państwowe, ani żadne wyroki potępienia, ani czysto słowne utarczki, czy perswazje, ale, jak to na nowo i tak przejmująco przypomnieli nasi Arcypasterze, z powodu świeżych zajść krakowskich i lwowskich, jedynie czynna miłość bliźniego, starająca się dopomóc tym, których spaczony porządek dzisiejszego świata dotkliwie pokrzywdził. „W r. 1931 — pisze znany i bardzo aktualny autor współczesny — zmarł w okręgu Ruhry prosty proboszcz. Był to człowiek dobry, wyzuty z siebie, dla biednych pomocny. Gdy rozeszła się wieść o jego zgonie, miejscowi komuniści zwołali zebranie, na którem przez dwuminutowe milczenie uczcili pamięć zmarłego kapłana. A potem tak wyraził się o nim jeden z mówców: Każdego innego bylibyśmy powiesili; tego nieboszczyka bylibyśmy na ramionach obnosili po mieście.“[1]) Bo prawdziwa miłość ma wymowę tak potężną, że zdobywa sobie serca, oddawna nawet zamknięte dla wszelkich dobrych uczuć.

Dla zwalczania więc komunizmu, którego fala wraz z rosnącą goryczą biedy niewątpliwie wzbiera i w naszej Ojczyźnie, są przedewszystkiem dwie rzeczy do zrobienia. Najpierw trzeba jak najszerzej i jak najjaśniej, choć oczywiście bez szkodliwej przesady, propagować prawdziwe, chrześcijańskie pojęcia o własności i ciążących na niej obowiązkach. Fałszywe, pogańskie pojęcia, któremi niegdyś zatruło świat Odrodzenie, a które w epoce liberalizmu ekonomicznego doszły do szczytu rozwoju, tak głęboko zwichnęły poglądy ogólne, że ogromna większość ludzi nie zdaje sobie wcale sprawy, że, jak pięknie mówi w świeżo wydanych „Myślach“ generał Zamoyski, „większe zasoby, szczęśliwsze warunki życia i wszelka osobista korzyść, winny jedynie być narzędziem do s ł u ż b y publicznej“, bo w przeciwnym razie stają się czynnikiem nieładu i rozstroju. Trzeba za wszelką cenę prostować w tym względzie fałszowane oddawna wyobrażenia i sprowadzać je do prostoty ewangelicznych zasad.

Ale powtóre trzeba te zasady wprowadzać w czyn, to znaczy ograniczać jak najbardziej własne potrzeby, aby móc

[1]) E. Fiedler: *Dobry Bóg*. Wydawnictwo Księży Jezuitów, 1935, str. 120.

dawać, wspomagać, dźwigać, leczyć i tak powoli zrównywać tę otchłań krzywdy, jaką w dzisiejszym świecie wykopały egoizm i chciwość. Jeśli w tym kierunku zacznie na serjo wyrabiać się i pracować nasze przedewszystkiem społeczeństwo, możemy, mimo wszystko, bolszewizmu się nie lękać. Jeżeli jednak przypominana tak usilnie nauka Kościoła pozostanie głosem wołającego na puszczy, jeżeli ekonomiczne życie świata będzie nadal rządzić się tylko interesem, a nie będzie brało w rachubę zasad chrześcijańskich, to możemy spodziewać się tego obrotu rzeczy, jaki 9 lutego 1858 roku zapowiada w liście do Trentowskiego Krasiński: „Czy nie widzisz, że wyższe, złożone organizmy społeczne i polityczne wszędzie trawione rozkładem chemicznym, rozrabiają się? że narody, państwa, ustawy, podania, wiary, stronnictwa nawet, dążą do rozwiązania się i ulotnienia? że z onego rozkładu dwa tylko wobec siebie najniższe, najprostsze, a najsilniejsze żywiołowe pierwiastki pozostaną, sprzeczne, zażarte, do bójki gotowe: ubodzy i nieubodzy? Na tem chce się za dni naszych skończyć historja świata! Jest to oznaka najolbrzymiejszego materjalizmu, że te dwa obozy, choć pałają ku sobie nienawiścią, jednakże goreją zapałem ku wspólnemu bożyszczu, a tem bożyszczem: jadło, rozkosz, używanie, wygoda — słowem materjalny cel. Wszystkie inne, idealne odleciały z piersi ludzkich, on jeden je zastąpił i powtarzam, on dowodem, że rozkład chemiczny społeczeństw, czyli śmierć epoki wypracowywa się w jej wnętrzach... Nie myl się! Ponad tą otchłanią stoi Polska. Jeden katolicyzm jej przegrodą od onych głębokich, śmiertelnych fal; gdyby nie on, jużby jej ciało po nich się rozbijało i powoli, topniejąc, zstępowało w głąb". Że zaś ta złowroga wróżba może się spełnić, tego dowodem jest straszliwa tragedja, jaka rozgrywa się w tej chwili w starej, katolickiej Hiszpanji.

Jeszcze w połowie lutego b. r., w korespondencji z Madrytu donoszono dosłownie, co następuje: „Organizacje katolickie w Hiszpanji zdają się obecnie przeżywać nowy okres rozkwitu, który zaznacza się w każdej dziedzinie, zarówno społecznej, jak politycznej i gospodarczej. Świadczy o tem wymownie poważna liczba członków chrześcijańskich syndykatów robotniczych, która wynosi obecnie przeszło 290.000, świadczy też rozwój Akcji Katolickiej, której cztery główne zrzeszenia skupiają w swych szeregach 273.000 członków, mimo że istnieje w Hiszpanji cały szereg związków, stowarzyszeń i grup o identycznych celach, które działają samodzielnie. Rozwój organizacyj katolickich i pogłębienie myśli katolickiej jest w dużym stopniu wynikiem doskonale

prowadzonej propagandy i t. d. i t. d. Jak widać z powyższego, życie katolickie w porewolucyjnej Hiszpanji wre w całej pełni, rokując dla kraju jak najlepsze nadzieje i gromadząc siły, które przy najbliższych wyborach odegrają pierwszorzędną rolę."

Ta korespondencja ukazała się u nas pod datą 12 lutego, a już 16-go tego samego miesiąca wybory do parlamentu dawały blokowi lewicowych stronnictw t. j. znów „frontowi ludowemu" bardzo znaczną większość; w trzy dni później tworzył Azana rząd, złożony z samych lewicowych ministrów, a niebawem posypały się radykalne, sekciarską nienawiścią tchnące uchwały, przy akompanjamencie rozruchów i strzelanin ulicznych, przy masowych aresztowaniach prawicowych działaczy, przy trzasku rozbijanych i płonących kościołów.

Cóż się więc stało? Czy cały, powyżej naszkicowany rozwój katolickiego życia był wymysłem lub iluzją? Czy w pracy katolickiej zadawalniano się lada jakim wysiłkiem, rozdymając po klerykalnych pismach rzekomo osiągnięte sukcesy?

Nie. Katolicy hiszpańscy dokonali w ostatnich dwóch latach prawdziwie wielkich i pięknych rzeczy. Wybitnie rozszerzyli prasę katolicką, zwłaszcza dziennik *El Debate,* w swoim rodzaju jeden z najlepszych na całym świecie; wyszkolili setki instruktorów Akcji Katolickiej dla warstw pracujących i poruszyli do pracy dla Kościoła wszystkie niemal klasy społeczne; otwarli, prócz dawniej istniejących, nowy dom rekolekcyjny w Madrycie i zorganizowali stałe wysyłanie bardziej obiecującej młodzieży zagranicę, dla zapoznania się tam z metodami katolickiej pracy.

Ale to wszystko i inne jeszcze piękne dzieła oraz wysiłki tak wyjątkowo dzielnych przywódców, jak Gil Robles, nie mogło zrównoważyć dawnych zaniedbań. Za długo tolerowano, zwłaszcza w południowych prowincjach kraju, zbyt głęboką przepaść między nieliczną klasą zamożnych i bardzo bogatych, a całą rzeszą proletarjatu, żyjącego nieraz w prawdziwej nędzy; za długo pozwalano u dołu, żeby apostołowie wywrotu podszeptywali głodnym tłumom rewolucyjne hasła, a u góry pozostawiano pełną swobodę destrukcyjnym wpływom lóż masońskich; za długo kler zadawalniał się rutyną zewnętrznych religijnych obrzędów i nieporównanym splendorem swych świątyń. Do tych wszystkich dawnych grzechów przyłączyła się jeszcze niezręczna, nietaktowna dyktatura Primo de Rivery, która umiała tylko łamać i ograniczać, zamiast leczyć i dźwigać, a wreszcie, nawet po pierwszej rewolucji, wbrew ostrzegawczym głosom Kardynała Pry-

masa Arcybiskupa Toledo, katolicy byli do ostatniej chwili tak niezgodni, tak rozbici na różne stronnictwa i obozy, tak niezdolni do tego, żeby na czoło swych dążeń wysunąć religijną sprawę, że nie mogli nie przegrać w walce wyborczej. A kiedy lewica raz znalazła się w większości i zdołała złożyć gabinet taki, jaki odpowiadał jej życzeniom, zaczęła się formalna orgja antyreligijnych, antyspołecznych i antynarodowych występów. Z Moskwy zaczęły płynąć pieniądze i zaczęli nadjeżdżać agitatorzy z krwawym Belą Kuhnem na czele, by wedle dyrektyw Kominternu zamącić do samej głębi nieszczęśliwy kraj, a wewnątrz wypuszczeni z więzień zbrodniarze oraz przeróżne męty społeczne zaczęły wzniecać rozruchy i pożary. Jakby czując, że ma przed sobą krótki tylko czas, rząd Azanji na gwałt odrabia, co po poprzedniej rewolucji zdziałano dla uspokojenia i podźwignięcia kraju. Jednym z pierwszych dekretów była ponowna konfiskata wszelkiego mienia, należącego do zakonu Jezuitów, uchylona przez poprzedni parlament.

To wszystko jednak, czem blok lewicowy wysługuje się dziś loży i innym zwolennikom „postępu", to tylko „kiereńszczyzna" wobec pełnej „Leninjady". Mnożą się już na to dowody, że ambicje moskiewskich reżyserów sięgają dużo dalej, niż plany, mieszanego bądź co bądź „ludowego frontu". W Hiszpanji, zupełnie jak w Rosji, ma być do szczętu wygładzona religja; wszelka własność prywatna, przedewszystkiem nieruchoma, ma być upaństwowiona; niema być żadnych stronnictw, prócz jednych komunistów, jak niema być innych dzienników poza oficjalną czerwoną prasą; wychowanie młodzieży ma być prowadzone od początku w bezbożnym i krańcowo bolszewickim duchu; Hiszpanja wreszcie ma się stać na południowym zachodzie Europy, drugą po Rosji twierdzą komunizmu, aby mogła nieść żagiew rewolucji tak na północ, do Francji i do francuskich w Afryce kolonij, jak do sąsiedniej Portugalji, by w niej zburzyć założone tak pięknie podwaliny chrześcijańskiego korporatywnego ustroju.

Nie wątpimy ani na chwilę, że planowany w powyższy sposób przewrót w małej tylko mierze stanie się rzeczywistością. Przekonani jesteśmy, że stara, zaniedbana wprawdzie i wybujałym indywidualizmem rozstrojona, ale w gruncie głęboko katolicka Hiszpanja, zrzuci niebawem jarzmo, które jej wojujący komunizm gotuje, ale jakie po tej burzy pozostaną ruiny! Ile przepadnie na zawsze bezcennych pamiątek, jaki zamęt pozostanie w społecznem i ekonomicznem życiu narodu, ile dzieł katolickich trzeba będzie rozpoczynać od nowa, ile pójdzie na marne i czasu i grosza, ile zdziczenia nagromadzi się w tych sercach, w których znowu rozpętano barbarzyńskie, zwyrodniałe instynkty!

To wszystko sprawia, że mimo najlepszych widoków na pomyślną przyszłość, czcigodna ziemia bohaterów i świętych przeżywa dziś prawdziwą tragedję. Oby wyniosła z tych gorzkich doświadczeń tę naukę, jaką niegdyś, na chwilę przynajmniej wyniosły Węgry i Austrja, jaką obraca dziś na ogromną korzyść sąsiednia Portugalja. Inne zaś społeczeństwa katolickie powinny z wypadków hiszpańskich tę podwójną lekcję wyciągnąć, że jest rzeczą bardzo niebezpieczną tak długo odwlekać dzieło naprawy społecznej, aż nazbiera się tyle problemów do rozwiązania naraz, że nawet przy najlepszej woli sprostać im nie można, a powtóre, że wobec tak zawziętego i potężnego nieprzyjaciela, jakim jest komunizm, wszelka niezgoda katolików jest zgubą, a uratować ich może jedynie mocne zespolenie około tego, co wbrew wszystkim różnicom poglądów, może i powinno jednoczyć, t. j. około oczywistych interesów Chrystusa i Kościoła.

Życie polskie w ostatnich dwóch miesiącach nie płynęło spokojnie. U góry czuć było jakąś niedecyzję i wyczekiwanie zmiany; do wiadomości publicznej przenikały nawet pogłoski o poważnych w łonie rządu rozdwojeniach; u dołu, potęgowała się, przeważnie niestety bezkarnie, wywrotowa działalność lewicowych ugrupowań, podczas gdy wśród ludu wiejskiego i rzesz bezrobotnych po miastach, skrajna, nieprawdopodobna nędza gromadziła w sercach coraz to rosnące fale goryczy. Ta bardzo zarozumiała gorycz znalazła sobie ujście na kilka sposobów. W pewnych okolicach kraju, głównie na wołyńskich kresach, ale nie tylko na kresach, bez żadnych zresztą zaburzeń, wybitnie wzrosły na sile komunizujące lub jawnie komunistyczne zrzeszenia, przy równoczesnem spotęgowaniu bezbożności, czy też sekciarskiego fanatyzmu. Gdzie indziej, jużto na skutek niegodziwych podżegań, jużto poprostu jako ślepy wybuch rozpaczy, pojawiły się rozruchy antyżydowskie, tu i ówdzie z przymieszką przeciwrządowych wystąpień. Gdzie indziej jeszcze, głównie w Krakowie i we Lwowie doszło do zaburzeń o zupełnie przeciwnym charakterze. Pod wyraźnym wpływem komunistycznych, w wielkiej mierze żydowskich menerów, zbałamucony tłum stawił czoło władzy, a potem oddał się bezmyślnemu niszczeniu publicznego mienia i prywatnych, głównie katolickich, sklepów. Dość obficie niestety polała się krew, a nadto wypełniły się więzienia i poszły nowe transporty ludzkie do koncentracyjnego obozu.

To wszystko jest wprawdzie bardzo smutne, ale w naszych warunkach zrozumiałe. Przy tej niesłychanej ciężkości ekonomicznej, jaka gnębi i nęka szerokie koła warstw pracujących, dziwić się można raczej nieprzebranej cierpliwości

naszego ludu, który dotąd w ogromnej większości nie poddaje się wywrotowym prądom, trzyma się po dawnemu Kościoła i wiary, obowiązki swoje względem państwa, o ile tylko może, wypełnia. Co jednak może prawdziwie zastanawiać, to fakt, że wśród tych, którym przedewszystkiem powinno leżeć na sercu utrzymanie ludu w odporności na bolszewickie wpływy, znajduje się bardzo wielu takich, co wprost lub ubocznie torują drogę do naszych wiosek i przedmieść komunistycznej propagandzie.

O ogólnie wziętej infiltracji bezbożnictwa i związanych z niem bolszewickich doktryn do umysłowości polskiej pisaliśmy obszernie w poprzednim zeszycie naszego pisma. Teraz pragniemy zwrócić uwagę tylko na jedno, t. j. na opłakaną rolę, jaką w religijnem a pośrednio i społecznem życiu naszego kraju odgrywa instytucja, która mogła była i powinna wywierać wpływ bardzo zbawienny.

W genezę i rozwój ideologji Związku Nauczycielstwa Polskiego nie będziemy się tu wdawać. Nie analizując źródeł, a jest ich kilka, z których Związek zaczerpnął właściwego sobie ducha, musimy stwierdzić niezaprzeczony fakt, że ten duch bardzo daleko odchodzi od całego systemu pojęć chrześcijańskich i że dlatego nie może nie stać w jaskrawej sprzeczności z zasadami i dążeniami Kościoła. A mówiąc tu o „duchu" Związku jako takiego, bynajmniej nie chcemy przeczyć, że niemała liczba związkowych tego ducha nie uznaje, a może nawet nie pojmuje jego natury. Wiadomo nam bowiem z wszelką pewnością, że duży procent nauczycielstwa płci obojej przynależy do Związku, jużto dla materjalnych i intelektualnych korzyści, jużto ze względu ludzkiego, już wreszcie z obawy prześladowania, bo jest rzeczą aż nadto dobrze znaną, na jakie sekatury i przykrości naraża się nauczyciel czy nauczycielka, gdy nie chce do Związku się zapisać, i to tak ze strony kolegów, jak ze strony władz szkolnych, na usługach Związku stojących. Ale pomijając te jednostki, zewnętrznie tylko ze Związkiem złączone, wszyscy ci, począwszy oczywiście od Zarządu, którzy całemu zrzeszeniu ton nadają, trzymają się ideologji, której Kościół katolicki, nietylko pochwalać, ale żadną miarą tolerować nie może. To też od wielu lat jesteśmy świadkami ustawicznych tarć i nieporozumień między Związkiem, a przedstawicielami Kościoła w naszym kraju, nieporozumień, w których ogółem mówiąc, nie katolicka strona występowała zaczepnie. I owszem na kilka zawodów próbowano ze strony kościelnej wyciągać rękę do zgody, próbowano brać za dobrą monetę, ponawiane nieraz, ale nigdy nie dotrzymane zapewnienia dobrej woli, próbowano na dobre sobie tłumaczyć różne poczynania Związku, takie nawet, które

mogły wywołać aż nadto zastrzeżeń. Kiedy jednak zaczęły się mnożyć niezliczone wprost dowody, że Związek ani myśli zmieniać raz obranej drogi, z zasadami chrześcijańskiemi niezgodnej, nie mógł Kościół, bez sprzeniewierzenia się swemu posłannictwu, nie stanąć w defensywie i nie ostrzegać głośno społeczeństwa, że wychowaniu naszej młodzieży zagraża od Związku Nauczycielstwa bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Ale na czem wreszcie to niebezpieczeństwo polega?

Oto w ideologji Związku jako takiej niema prawdziwego miejsca ani na jeden dogmat katolicki. Nie wchodzi w nią ani wiara w osobowego Boga, ani w Boga-Człowieka Jezusa Chrystusa, zbawcę i twórcę królestwa Bożego na ziemi, ani uznanie jednego, powszechnego, nieomylnego Kościoła, przewodnika i pomocnika na drogach zbawienia, ani życie nadprzyrodzone i wieczne szczęście lub wieczna zguba poza grobem. Wszystko, jednem słowem, czem chrześcijaństwo jest i bez czego w niwecz się rozpada, to jest dla ideologji Związku czemś zupełnie obcem i obojętnem, czemś czego brać na serjo nie można i czem zajmować się nie warto, owszem czemś, czemu trzeba się przeciwstawić, gdyby cokolwiek z tego świata pojęć chciało normująco wkraczać w dziedzinę przyrodzonego życia. Religja, wedle poglądów Związku, może sobie być jakąś sumą naiwnych, nikogo nie obowiązujących wyobrażeń o zaświecie, może też być zbiorem niewinnych zresztą obrzędów i praktyk, jakiemi bawią się księża i trzymający się duchowieństwa, pobożni ludzie, ale żeby ta religja miała być czemś nad wszystko poważnem, czemś, co w imieniu Boga może ogłaszać i nakładać obowiązki tak pojedyńczym ludziom, jak wszystkim instytucjom ludzkim — o, to nie! Przeciw takiemu pojęciu i takim pretensjom religji do kształtowania ludzkiego życia, trzeba najusilniej protestować w imię postępu, swobody, kultury i Bóg wie jeszcze czego, bo to wszystko to tylko „klerykalizm", wstecznictwo, obskurantyzm, zachłanność kleru, zguba wreszcie prawdziwej myśli państwowej polskiej. Stąd to w Związku jako takim, już nie niechęć, ale rodzaj nienawiści do duchowieństwa, czego dowodem było np. zalecenie takiego zbioru kłamstw i oszczerstw, jakim była osławiona książka Janiny Baryckiej; stąd nieżyczliwe odnoszenie się do nauki religji, do praktyk kościelnych, do zrzeszeń religijnych młodzieży, takich, jak Krucjata Eucharystyczna czy Sodalicja Marjańska; stąd wreszcie, bądźto wyraźna i głośna, bądźto przynajmniej cicha lecz wytrwała opozycja do wszystkiego, co szczerze katolickie, co kościelne, co mogłoby w samem nauczycielstwie czy młodzieży rozbudzić ducha żywszej pobożności i oddania się sprawie Bożej.

I tem też tłumaczy się niezaprzeczone powinowactwo ideologji Związku Nauczycielskiego z rosyjskim bolszewizmem. Bo nie o to w gruncie chodzi, czy ten lub ów artykuł *Płomyka* zachwalał dzieciom porządki sowieckie i nie o to czy ta lub inna enuncjacja była echem bolszewickich doktryn. Cała platforma ideowa, na której stoi Związek Nauczycielski jako taki, ma wyraźne powinowactwo z komunizmem, dlatego wbrew wszystkim oficjalnym zaprzeczeniom — wiadomo zresztą, że sporo nauczycieli wyznaje komunizm całkiem otwarcie — musimy uważać, że Związek należy w pierwszym rzędzie do tych stowarzyszeń, które czerwonej zarazie ze Wschodu torują u nas drogę. Nie darmo Związek wzoruje się we wszystkiem na analogicznem zrzeszeniu nauczycielstwa francuskiego. Jak tam organizacja nauczycieli szkół powszechnych stała się rozsadnikiem i pionierem bolszewickich zasad, tak z pewnością będzie i u nas, jeżeli zdecydowana postawa społeczeństwa nie wpłynie na zmianę tego zgubnego kierunku myśli i dążeń.

I o to właśnie chodzi, ażeby społeczeństwo uświadamiało sobie coraz poważniej jak wygląda duch, który przez Związek Nauczycielski nie może powoli nie przesączać się w nasze młode pokolenie. Bo Związek nietylko skupił w swych kadrach ogromną część nauczycieli polskich, ale przez katastrofalną politykę kilku poprzednich ministrów, zdobył sobie tak przemożne wpływy w Ministerstwie Oświaty i tak szczelnie obsadził swoimi ludźmi wyższe i średnie w szkolnictwie urzędy, że ma dziś nieomal w swojem ręku kierunek wychowania naszej młodzieży.

Związek, jak świeżo jeszcze w *Głosie Nauczycielskim* z 18 kwietnia b. r., lubi rzucać wielkie słowo, że walka z nim jest walką ze „szkołą polską"! Trudno o większą niedorzeczność i nieprawdę. Wzywając społeczeństwo do stworzenia jednolitego frontu przeciw Związkowi takiemu, jakim jest dzisiaj, stajemy właśnie w obronie szkoły polskiej, przeciw zrzeszeniu, które może jej wszczepić ducha zupełnie sprzecznego z całą tradycją narodową i sprzecznego z prawdziwym interesem polskiego państwa. Rzecz jest bardzo poważna i dlatego leży nam jak najbardziej na sercu, by te uwagi znalazły oddźwięk w jak najszerszych kołach naszego katolickiego społeczeństwa. Nietylko Związek, ale i Rząd musi zdać sobie sprawę, że społeczeństwo polskie gotowe jest całą mocą stanąć w obronie zdrowego kierunku wychowania swych dzieci i że dlatego nie może tolerować u wychowawców ideologji zapożyczonej od największych wrogów chrześcijańskiej kultury.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

W walce z handlem kobietami i dziećmi.

„Istnieje dziwna niewspółmierność między wspaniałym zaiste zjawiskiem najwyższego komfortu technicznego, który nas otacza i przenika już dziś do najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej a nikłemi postępami w dziedzinie dóbr moralnych ludzkości".

Taką głęboką refleksję robi autor broszury *Handel kobietami* [1]), b. min. Dr W. Chodźko, po przytoczeniu kilku przykładów, świadczących, że handel „żywym towarem", jak kwitnął w starożytności, tak mimo całego postępu kultury rozwija się i dziś i objął wszystkie niemal kraje cywilizowane. Udało się prawie zupełnie zwalczyć jedną hańbę ludzkości jaką było niewolnictwo, wyzyskujące człowieka dla celów pracy, ale nie zdołano dotychczas usunąć owego „okropnego stanu niewolnictwa, w jakim pozostawała i pozostaje dotąd kobieta biała, będąca przedmiotem handlu w celach rozpusty".

W wielu krajach ukrócono wprawdzie wydatnie zło przez zniesienie systemu reglamentacji prostytucji, związanego z utrzymywaniem domów publicznych. W r. 1886 zniesiono ustawę reglamentacyjną w Anglji, w r. 1902 odbyła się w Paryżu pierwsza oficjalna Konferencja Międzynarodowa w tej sprawie, która doprowadziła do zawarcia w r. 1904 „Układu międzynarodowego w przedmiocie karania za handel białemi kobietami", pogłębionego w r. 1910 nową Konwencją Międz., podpisaną przez delegatów 13 państw. Pod wpływem tego ruchu zaczęły się tworzyć w poszczególnych krajach Komitety Narodowe walki z handlem kobietami i dziećmi, które znalazły poparcie ze strony istniejących już innych stowarzyszeń społecznych, zwłaszcza organizacyj ochrony dziewcząt i kobiet. Wreszcie całą tą sprawą zainteresowała się Liga Narodów, która w czerwcu 1921 zwołała do Genewy Konferencję Międzynarodową 34 państw (między niemi Polski), doprowadziła do podpisania we wrześniu tegoż roku nowej Konwencji Międz., w r. 1922 stworzyła w swem łonie stałą Komisję Doradczą dla spraw walki z handlem żywym towarem, a w roku 1927 przedłożyła obszerne sprawozdanie rzeczoznawców o stanie tego niegodziwego procederu na terenie Europy, Ameryki i Afryki południowej. [2])

Wynikiem tego sprawozdania było m. in. stwierdzenie, że w niektórych krajach Polki stanowią spory odsetek ogólnego

---

[1]) Warszawa 1935, Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi. Str. 24 i mapa.

[2]) O wynikach tych badań i wogóle o całem zagadnieniu handlu kobietami i dziećmi pisaliśmy obszerniej w *Przeglądzie Powsz.* ze stycznia 1931 r., str. 53 i n. — W r. 1933 Liga Narodów wydała dalsze obszerne sprawozdanie o stanie handlu kobietami i dziećmi na wschodzie.

kontyngentu prostytutek, czyli że — mimo wprowadzenia od r. 1925 kadr policji kobiecej dla walki z sutenerstwem i domami schadzek, oraz mimo zorganizowania specjalnych Misyj Dworcowych, czuwających nad podróżującemi kobietami i dziewczętami — niemała stosunkowo ich liczba padała ofiarą niegodziwych handlarzy. Postanowiono więc wzmocnić czujność władz i ochronę ustawową. Dn. 29 lipca 1927 r. ukazało się Rozporządzenie Prezydenta Rzplitej, które obostrzyło kary, przewidziane dotychczas za przestępstwa handlu kobietami i dziećmi, oraz za popieranie nierządu. Zakończenia jednak ustawodawczej akcji na tym terenie spodziewamy się po ostatecznem zredagowaniu i przyjęciu przez ciała ustawodawcze projektów: ustawy przeciwwenerycznej i ustawy o walce z nierządem, przygotowanych już przez Ministerstwo Opieki Społecznej.

Akcja ustawodawcza nie jest jednak rozwiązaniem sprawy, lecz daje dopiero podstawy do właściwej pracy, która musi potem nastąpić. W tej zaś pracy obok czynników publicznych powinno wziąść udział także społeczeństwo, przez moralne i czynne poparcie istniejących już organów działania, w celu wzmocnienia i rozszerzenia ich zasięgu. Może ono to uczynić tem łatwiej, że posiadamy już gotowy aparat i centralną instytucję, koło której skupia się szereg organizacyj pomocniczych i która czternasty rok z powodzeniem kieruje tą pracą i położyła duże zasługi. Jest nią, wspomniany przez nas niejednokrotnie „Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi", mający główną siedzibę w Warszawie (ul. Chocimska 24) i którego prezesem jest autor wspomnianej na początku broszury, Dr W. Chodźko. [1])

Ponieważ dla wielu osób, uznających zresztą w pełni chlubną działalność Komitetu, ten dział pracy społecznej wydaje się „drażliwym" i mniej odpowiednim, pragniemy rozproszyć ich obawy przez wyjaśnienie, że nie każdy ze współpracowników musi się stykać osobiście z prostytucją i handlem żywym towarem. Wprost przeciwnie, tylko niewielka stosunkowo liczba osób ma do czynienia bezpośrednio z temi zagadnieniami, ogół zaś pozostałych oddaje sie pracy opiekuńczej i wychowawczej, która nie ma w sobie nic drażliwego, a jest w wysokim stopniu humanitarna i chrześcijańska. Praca ta polega nietylko na „leczeniu" złego, ile na „zapobieganiu" mu, ma charakter profilaktyczny i dlatego obraca się głównie koło elementu moralnie dobrego, w celu ochronienia go przed złem. Tu należy przedewszystkiem opieka nad podróżującemi i poszukującemi zajęcia dziewczętami i kobietami, udzielanie im potrzebnych wskazówek, umieszczanie w bezpiecznem schronisku i t. p. Jeśli w latach od 1 (31 ?) marca 1933 r. do 1 kwietnia 1935 r. „Misje Dworcowe" udzieliły

[1]) O Komitecie i jego działalności pisaliśmy w *Przeglądzie Powsz.* nieraz, ostatnio w zeszycie z września 1935 r., str 386.

w ten sposób doraźnej pomocy 226.873 osobom, to nie były to przecież prostytutki, ale — poza wyjątkami — emigrantki, kobiety i dziewczęta poszukujące pracy lub podróżujące z różnych przyczyn, nad któremi roztoczono opiekę, by przez nieświadomość nie wpadły w ręce niegodziwych ludzi, zwłaszcza handlarzy żywym towarem.

Powtóre, nie należy zapominać, że Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, podobnie jak inne Komitety narodowe, nie pojmuje swego zadania tylko w tym ciasnym zakresie, na jaki wskazywałaby jego nazwa, ale — wychodząc z najsłuszniejszego założenia, że zagadnienie to „wiąże się z natury rzeczy z zagadnieniem moralności publicznej wogóle" — wciąga w orbitę swej pracy to wszystko, co przyczynia się do podniesienia poziomu moralnego w społeczeństwie i zapobiegania czynnikom rozkładowym. IX Międz. Kongres dla spraw walki z handlem żywym towarem, odbyty w Berlinie w r. 1933, uchwalił też następującą rezolucję:

Kongres zaleca organizowanie we wszystkich krajach Komisyj Ekspertów, które na żądanie policji, władz sądowych i in. występowałyby z głosem doradczym w sprawach spornych, dotyczących pornografji i określały granicę między dziełami naukowemi lub dziełami sztuki a pornografją. Kongres zaleca również, aby organizacje społeczne, zajmujące się zwalczaniem literatury pornograficznej współpracowały z policją, władzami sądowemi i innemi.

Opierając się na powyższej rezolucji Polski Komitet postawił na Konferencji Przygotowawczej, odbytej w Kastel Hemmen w maju 1935 r., m. in. wniosek:

Zważywszy, że prostytucja, będąca główną przyczyną i bodźcem handlu kobietami i dziećmi, uwarunkowana jest nietylko stosunkami ekonomicznemi, lecz także, i to w wysokim stopniu stanem umoralnienia ludzkości, Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi stawia wniosek, by X Międzynarodowy Kongres Komitetów Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi zechciał położyć jak największy nacisk na kwestję zwalczania demoralizacji publicznej, a w pierwszym rzędzie walki z pornografją i temu zagadnieniu w obradach swoich przyznał możliwie najobszerniejsze miejsce.

Praca Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi oraz współdziałających z nim organizacyj i osób jest więc wielostronną i obok czynnej ingerencji w wypadkach stwierdzonych lub podejrzanych, obejmuje szeroko pojętą pracę społeczną, opiekuńczą, wychowawczą i naukową, z którą łączy się pomoc ciałom ustawodawczym i stały kontakt z pokrewnemi instytucjami zagranicą i Ligą Narodów. Tem tłumaczy się, dlaczego pożądane są tu przedewszystkiem jednostki inteligentniejsze, dlaczego członkami Komitetu są m. in. liczne organizacje chrześcijańskie, „Ca-

ritas", Katolicki Związek Polek, Narodowa Organizacja Kobiet, Opieka Polska nad Rodakami w Obczyźnie, Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek, Zgromadzenie Panien Kanoniczek i t. d. Tem tłumaczy się poparcie, jakiego Komitetowi udzielili J. E. Ks. Biskupi, dzięki któremu Komitet mógł rozesłać do szeregu diecezyj przeszło 11 tysięcy ulotek ostrzegawczych dla kobiet i dziewcząt, udających się w drogę dla poszukiwania pracy.

Wszystkich wreszcie interesować powinno to zagadnienie tak żywotne dla społeczeństwa polskiego, którego ambicją powinno być doprowadzenie w najkrótszym czasie do takiego stanu, by jego członkinie nie padały ofiarą haniebnej roboty rodzimych i obcych handlarzy, by imię Polski zostało raz wreszcie skreślone z katalogu tych państw, które służą za najobfitsze „źródło eksportu".

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 29 kwietnia 1936 r.

John Henry Newman.

(W stulecie „ruchu oxfordzkiego").

I.

Teologja w Anglji XIX wieku, taksamo jak filozofja i dziejopisarstwo, rychło musiała zająć stanowisko zasadnicze wobec dojścia do władzy politycznej liberalizmu mieszczańskiego z wszystkiemi poza-politycznemi zastosowaniami jego doktryny. Państwowy kościół anglikański, ten „katolicyzm bez papieża", zachowujący w swym ustroju wszystkie główne cechy hierarchiczne organizacji kościoła rzymskiego, popadł był w XVIII wieku w bierniejszą niż kiedykolwiek zależność od władzy państwowej na zewnątrz, a w bezwład i bezmyślność dosytu materjalnego na wewnątrz. Z drugiej strony radykalny protestantyzm z jego wybitnym udziałem elementu świeckiego w życiu kościelnem, wyznawany w różnych sektach dyssydenckich przez szeroki ogół drobnomieszczaństwa i robotników, potężnie się ożywił i pogłębił przez powstały w XVIII wieku ruch odrodzenia religijnego, ujęty niebawem w ramy osobnej organizacji wyznaniowej pod nazwą metodyzmu.

Po reformie wyborczej r. 1832 ustawodawstwo nowej ery w swej pierwszej gorliwości wśród innych zastarzałych nadużyć staroszlacheckiego świata zaatakowało także synekuryzm i sybarytyzm, rozpanoszony w wyższych warstwach hierarchji kościelnej. Osobne grono komisarzy rządowych energicznie zreorganizowało rażące nierówności w wyposażeniu duchowieństwa i rozkładzie majątku kościelnego. Zarazem ogólne hasła wolnościowe epoki liberalnej sprzyjały dążeniom różnych mniejszości wyznaniowych do równo-

uprawnienia: powstał Uniwersytet londyński (1827), a niebawem i inne nowe uniwersytety po miastach prowincjonalnych, dla umożliwienia młodzieży wszystkich wyznań zdobycia wykształcenia akademickiego poza Oxfordem i Cambridge, monopolizowanemi narazie wciąż jeszcze przez anglikanizm; wisiała w powietrzu idea zniesienia przywilejów kościoła państwowego w tych krajach korony brytyjskiej, w których anglikanizm jest w mniejszości, a więc w katolickiej Irlandji i dyssydenckiej Walji; w Szkocji w r. 1843 powstała schizma, i od tamtejszego państwowego kościoła prezbiterjańskiego odłączył się znaczny odłam duchowieństwa jako „Zjednoczony Wolny Kościół" (*United Free Kirk*) pod hasłem niezależności kościoła od Państwa, oraz większej swobody dogmatycznej.

W łonie samego kościoła anglikańskiego ten rozwój wypadków musiał wytworzyć poważne fermenty, które w ostatecznym wyniku okazały się ożywczemi dla religji. Nowy liberalizm głosił nietylko wolność wyznania, ale wolność myśli badawczej w ogóle, także w sferze religijnej. Wobec potężnych postępów nauk przyrodniczych z jednej strony, a krytycznych badań nad historją kościołów i religij z drugiej, kościół musiał się czuć coraz bardziej odosobnionym i odciętym od prądów duchowych, przenikających wykształcone sfery społeczeństwa. Zarazem w swej tradycyjnej organizacji arystokratyczno-hierarchicznej poczuł się odosobnionym od szerokich mas narodu z przejmującemi je żywiołowo nowemi prądami demokratycznemi i dążeniami do zrównania społeczno-gospodarczego. W tych warunkach światlejszym umysłom w kościele jako środki do ratowania żywotności kościoła w systemie społecznym przedstawiać się musiały z jednej strony liberalizacja myśli dogmatycznej w duchu stworzenia pomostu między nią a myślą naukową, z drugiej strony demokratyzacja myśli społecznej kościoła w duchu zrozumienia i sympatji dla skarg i żądań robotniczych. A więc nawet teologowie „ewangeliczni" (*Evangelicals*), czyli obrońcy ortodoksji dogmatycznej zarówno w kościele państwowym jak w sektach dyssydenckich, gorąco się ujmują — właśnie w imię czystej nauki Ewangelji — za reformami społecznemi i za równouprawnieniem uciśnionych i wyzyski-

wanych. Obok nich zaś jako przedstawiciele liberalizmu dogmatycznego pojawiają się „noetycy" czyli intelektualiści religijni: ci w przeciwieństwie do ciasnoty ideowej zarówno „wysokiego kościoła" anglikańskiego (*High Church*) jak i „niskiego kościoła" dyssydenckiego (*Low Church*) starają się stworzyć „kościół szeroki" (*Broad Church*), mieszczący w sobie ludzi o znacznej rozpiętości przekonań i poglądów.

Racjonalizm tych teologów liberalnych — który w skojarzeniu z krytyką historyczną i wiedzą przyrodniczą miał wydać jeszcze pamiętne owoce literackie i wywołać gwałtowne spory — miał ten niedostatek wszelkiego racjonalizmu, że nie uwzględniał należycie pierwiastku uczucia w życiu duchowem człowieka. Do uczucia zarówno jak do rozumu przemówić usiłują teologowie grupy trzeciej, szukający pogłębienia swej ideologji dogmatycznej w studjach nad idealistyczną filozofją niemiecką, a zarazem okazujący sympatje dla mistycyzmu. Oni też najgorętszym tonem przemawiają za postulatami socjalnemi nowej demokracji robotniczej: jeden z ich przywódców, F. D. Maurice, staje się twórcą ruchu społecznego, który znany jest w historji jako „socjalizm chrześcijański" *(Christian Socialism),* który jednak w rzeczywistości jest filantropijnym liberalizmem o chrześcijańskiem podłożu.

Daleko donioślejszym od wszystkich wspomnianych kierunków myśli teologicznej anglikańskiej w epoce liberalizmu stał się kierunek inny, który poza granice anglikanizmu wyszedł. Protestantyzm, jak dawno zauważono, robiąc sumienie jednostki trybunałem w sprawach religji i moralności, zawiera w samej swej osnowie zarodek rozlicznych odmian i rozłamów; tę dążność jeszcze spotęgował liberalizm XIX wieku przez swój kult swobody osobistej we wszystkich dziedzinach. Kościół anglikański, zawsze gotowy do kompromisów między ortodoksją a swobodą, znalazł się w samem zaraniu ery liberalnej na otwartej drodze do zupełnej anarchji dogmatycznej: i taksamo jak wielu poważnych ludzi po reformie wyborczej r. 1832 obawiało się rozpętania anarchji w sferze społecznej, tak widmo anarchji religijnej i moralnej niepokoiło niektóre wybrane umysły w kościele. Z tej troski zrodził się „ruch oxfordzki",

którego bohaterem i wielkim klasykiem literackim jest Newman.

II.

Przyszły przywódca wielkiego ruchu katolickiego w Anglji urodził się w r. 1801 jako syn bankiera londyńskiego, sam jednak wcześnie objawił skłonność i uzdolnienie do nauk humanistycznych, a rychło szczególne powołanie do teologji. Po świetnem ukończeniu studjów w Oxfordzie otrzymał stanowisko pracownika naukowego (*fellow*) przy temsamem kolegjum (*Oriel College*), do którego należał jako student, a niebawem jako młody duchowny został wikarym przy uniwersyteckim kościele Panny Marji w Oxfordzie. Już w czasach uniwersyteckich zaprzyjaźnił się z kolegami, jak on sam, religijnie myślącymi, i jak on, przejętymi serdeczną troską o przyszłość kościoła narodowego; najwybitniejsi wśród nich byli Pusey i Hurrell Froude, a drogę wskazywał im starszy od nich John Keble, autor cyklu poezyj religijnych *The Christian Year*. Newman sam rozpoczął karjerę literacką od tomu drobnych wierszy lirycznych, pisanych podczas podróży wakacyjnej po Morzu Śródziemnem i znamiennie zatytułowanych *Lyra Apostolica* (1834). Już wtedy nawiedzają go przeczucia, że czekają go burze i walki. „Nie marzyć mi więcej o życiu spokojnem!" (*Oh dream no more of quiet life!*) — woła w jednym ze swoich wierszy. Już wtedy też, niepokojony wraz z przyjaciółmi myślą o ostatecznych konsekwencjach nowych doktryn liberalnych, pragnie wzmożenia pierwiastka autorytetu w życiu religijnem Anglji; ta idea panuje nad jego naukowym traktatem historyczno-teologicznym o powstaniu starej herezji arjańskiej; ona też już w tym okresie znajduje doskonały wyraz poetycki — jakby w proroczym rzucie oka na przyszłość samego autora — w pięknym wierszu lirycznym *Lead, kindly Light*, który znalazł miejsce w księdze hymnów kościoła anglikańskiego. [1])

[1]) „O prowadź mię przez mroki, światło Boże,
O prowadź mnie!
Daleko dom, wokoło noc, bezdroże,
Więc prowadź mnie!

Już w Rzymie Newman i Froude konferowali z kardynałem Anglikiem, Wisemanem, o warunkach, na jakich anglikanie mogliby być przyjęci napowrót do kościoła rzymsko-katolickiego. Po powrocie do Oxfordu ideologję młodych entuzjastów do dojrzałości doprowadziło pamiętne kazanie Keble'a „O odstępstwie narodów", w którem bronił on autorytetu kościoła przeciw liberalnej polityce kościelnej rządu; i niebawem jako wspólna praca Newmana i grona jego przyjaciół poczęła wychodzić serja broszur pod ogólną nazwą *Tracts for the Times* (1834—1841). Ich myśli przewodnie najlepiej ujmują takie określenia jak te oto zdania wyjęte z późniejszych pism Newmana, głównie z jego autobiografji:

„Duch anarchji wszedł między nas z Reformacją, a liberalizm jest jego płodem... Racjonalizm, oto wielkie zło naszych dni... Przedewszystkiem chodziło mi o zasadę dogmatu; walkę toczyłem z liberalizmem; pod liberalizmem rozumiałem zasadę anty-dogmatyczną i jej wytwory. Powtóre, byłem przeświadczony o prawdzie pewnych określonych nauk religijnych, opartych na fundamencie dogmatu; mianowicie że istnieje kościół widzialny z sakramentami i obrzędami, przez które spływa na nas niewidzialna łaska".

Te zasady chcieli „traktarjanie" stosować przedewszystkiem do obrony podupadłego autorytetu kościoła anglikańskiego. Dowodząc jego związku z tradycją apostolską, na-

---

Ty kieruj mną; nie chcę zapuszczać wzroku
W odległą dal; na jednym dość mi kroku.
Nie zawszem tak do Ciebie wznosił modły,
Byś chciał wieść mnie!
Kochałem blask, błąd mnie i pycha wiodły,
Dziś Ty wiedź mnie!
Nie pomnij lat, gdym chciał wybierać drogę,
I widzieć ją, choć czułem w sercu trwogę.
Chroniła mię Twa moc, i pewnie dalej
Powiedzie mnie
Przez głaz i cierń, aż zorza się zapali,
Noc skończy się,
I ujrzę znów aniołów orszak biały,
Którem tak czcił, choć z oczu mi znikały".

(Tłum. M. E.).

legali na ściślejszą dyscyplinę i ortodoksję w kościele; podnosili znaczenie sakramentów i domagali się przestrzegania rytuału. To wszystko jednak równało się akcentowaniu tego, co kościół anglikański ma wspólnego z katolickim; i ostatecznie sam Newman w rozprawce Nr. 90 wystąpił z twierdzeniem, że ten fundamentalny dokument anglikanizmu, który stanowią „39 artykułów wiary" z r. 1563, jest katolicki w swym duchu, zgodny z uchwałami soboru trydenckiego i skierowany tylko przeciwko różnym nadużyciom, ale nie przeciw dogmatom katolicyzmu. Występując z tem twierdzeniem, Newman był w zgodzie z tradycją prawicowego skrzydła anglikanizmu, które zawsze nazywało kościół narodowy „katolickim" i „apostolskim", nie uznając tylko supremacji Rzymu i dążąc do federacji równouprawnionych kościołów chrześcijańskich. Świadomie natomiast rzucał rękawicę lewicy protestanckiej w kościele, która pod tym względem miała — i ma — u swego boku sekty dyssydenckie, i która mogła zresztą powołać się na zdecydowanie anty-katolickie brzmienie niektórych z 39 artykułów.[1])

To też burza przeciw Newmanowi musiała wybuchnąć. Poddał się wprawdzie zaleceniu biskupa i przestał wydawać *Tracts*; ale przez trzy lata z rzędu był potępiany w listach pasterskich i stopniowo tracił grunt pod nogami w kościele anglikańskim, choć jeszcze przez dłuższy czas się łudził, że będzie mógł w nim się utrzymać. W r. 1841 usunął się do wsi Littlemore pod Oxfordem, gdzie ufundował kościółek, i skąd spodziewał się jeszcze wrócić w triumfie; ale w r. 1843 już musiał zrzec się swojego stanowiska przy kościele Panny Marji w Oxfordzie. Z tą ukochaną placówką duszpasterską w świecie akademickim pożegnał się sławnem kazaniem *On Development in Christian Doctrine,* wydanem później w obszerniejszej formie jako książka. Studjum to niezależne

[1]) Np. art. 6 (Pismo Święte jedynem źródłem prawd wiary); art. 11 (usprawiedliwienie przez wiarę tylko); art. 19 (błędy kościołów jerozolimskiego, aleksandryjskiego, antiocheńskiego i rzymskiego); art. 22 (potępienie wiary w czyściec, odpustów, czci relikwij i obrazów, modłów do świętych); art. 25 (chrzest i komunja jedynemi sakramentami); art 28 (odrzucenie dogmatu transsubstancjacji). Newman tłumaczy to wszystko jako typowo angielski kompromis polityczny z radykalizmem reformacyjnym.

od całości rozwoju myśli religijnej Newmana stanowi jedną z najpamiętniejszych i dziś jeszcze aktualnych jego enuncjacyj. Zasadniczą jego treścią jest myśl, pokrewna doktrynie Hegla o procesie kosmicznym jako coraz pełniejszem objawianiu się ducha Bożego w świecie. Oto dowodzi tu Newman, że wiele dogmatów nie istniało w dzisiejszej swej postaci w pierwotnym depozycie wiary ale rozwinęło się, pod wpływem Ducha Bożego z pewnych rudymentarnych form, danych w źródłach objawienia. W ten sposób Newman umiejętnie odparł argument protestancki, że Rzym wprowadził wiele innowacyj dogmatycznych, nie mających podstawy w początkach chrześcijaństwa; według Newmana właśnie w tych rzekomych innowacjach przejawia się twórcza siła nieprzerwanej tradycji. Ale wypowiadając tę swą tezę, spełnił Newman daleko więcej niż zadanie czysto apologetyczne: ideę ewolucji, kiełkującą wówczas w całej atmosferze duchowej epoki, wprowadził w dziedzinę myślenia religijnego i zmodernizował w ten sposób naukę teologiczną właśnie po stronie katolickiej w przeciwieństwie do skostniałych protestanckich doktryn o wyłącznym autorytecie Pisma Świętego. Zbliżając się jako ewolucjonista do przyrodników, stał się zarazem zwiastunem całej rozległej pracy, dokonanej od jego czasów na polu religjonistyki historyczno-porównawczej.

Jeszcze dalsze dwa lata pozostawał Newman w Littlemore jako członek kościoła anglikańskiego. Były to lata obfite w pracę naukową i znaczone niepospolitemi płodami jego pióra. Tłumaczył pisma Atanazjusza, Ojca Kościoła; zainicjował wydawnictwo „Żywotów świętych angielskich", w którem wzięło udział wielu młodych historyków i teologów angielskich różnych kierunków myślowych. Sam w traktacie *Via Media* usiłuje wykazać, że wiara anglikańska w tej postaci, w jakiej ją wyznają wielcy teologowie XVI i XVII w. (Hooker i inni), jest najlepszą „drogą pośrednią" między protestantyzmem, który musi prowadzić do liberalnej samowoli rozumu, a religją Rzymu, która w nowszych swych fazach nie ma za sobą powszechnego konsensu świata. Zaś *Essay on Miracles* domaga się dla cudów z pierwszych wieków historji kościelnej tej samej wiary, jaką protestanci darzą cuda, opowiedziane w Piśmie Świętem.

Zbliżając się w ten sposób z różnych stron coraz bardziej do ideologji dogmatycznej katolicyzmu, Newman jednak przed krokiem ostatecznym długo się wzdragał, — po części może dlatego, że do niektórych dogmatów katolickich — np. do kultu świętych łącznie ze czcią Matki Boskiej — nigdy naprawdę przekonać się nie mógł, przedewszystkiem zaś dlatego, że wierność wobec anglikanizmu uważał za obowiązek tej dyscypliny kościelnej, którą jako zasadę wciąż głosił, a zmiana wyznania przedstawiała mu się jako jaskrawy objaw tej indywidualistycznej anarchji duchowej, którą w protestantyźmie potępiał. Ostatecznie szalę przechylił wypadek polityczny, mianowicie pakt między rządem angielskim a luteranami w sprawie utrzymania wspólnego biskupa w Jerozolimie. W tym akcie solidarności z niewątpliwą historyczną schizmą Newman widzi naruszenie tej apostolskiej tradycji, którą dotąd w anglikaniźmie za zachowaną uznawał. Rozstaje się teraz z dawnemi marzeniami o Unji federacyjnej kościołów chrześcijańskich i dochodzi do jasnego wniosku, że droga prawdziwej religijności prowadzi do Rzymu. „Są tylko dwie alternatywy: droga do Rzymu i droga do ateizmu. Anglikanizm, to pół drogi w kierunku pierwszym, a liberalizm — w kierunku drugim".

W myśl tego rozumowania Newman po ciężkich i długotrwałych zmaganiach ze sobą powziął wreszcie swe epokowe postanowienie: zaprosił do siebie dominikańskiego misjonarza, Włocha, i pod jego duchownem kierownictwem przeszedł w r. 1845 na wiarę rzymsko-katolicką. Około stu pięćdziesięciu uczestników „ruchu oxfordzkiego" niebawem poszło za jego przykładem.

III.

Ostateczne rozstanie się z ukochanym akademickim Oxfordem, — który wtedy jeszcze był twierdzą anglikanizmu — było dla Newmana niewątpliwie przeżyciem tragicznem i głęboko bolesnem. „*Obliviscere populum tuum et domum patris tui:* te słowa dźwięczały mi w uszach przez ostatnie dwanaście godzin", — tak pisze Newman w liście do przyjaciela w krytycznym okresie swej decyzji. Ale też powzięcie heroicznego postanowienia przyniosło ulgę

i odprężenie duchowe. Newman, który wkrótce po swym stanowczym kroku spędził półtora roku w Rzymie, czuje się po wielkim przełomie jakby uwolnionym od dręczącego ciężaru i tworzy swobodnie i obficie. W opowieści *Loss and Gain*, przedstawiając historję innego współczesnego nawrócenia na katolicyzm w Oxfordzie, podaje zarazem wiele zajmujących szczegółów z życia uniwersyteckiego tego Oxfordu, którego jako siedziby wysokiej kultury nigdy gorąco kochać i z utęsknieniem wspominać nie przestał. Ambitniejszym, ale mniej udałym utworem jest *Callista*, powieść z III wieku po Chrystusie. Bohaterka jej, młoda grecka rzeźbiarka, zrazu w imię wyidealizowanej kultury helleńskiej broni się przeciw chrześcijaństwu, ale później zostaje jego męczennicą. Sceną jest Afryka północna, znakomicie przedstawiona w swej przyrodzie i w swem ówczesnem życiu społeczno-obyczajowem, w którem mieszały się i ścierały się ze sobą pierwiastki kultury klasycznej, tubylczego pogaństwa i nowej wiary chrześcijańskiej. *Quo Vadis* Sienkiewicza swą zasłużoną światową sławą tak później przyćmiło wszystkie inne dokonania literackie w tym zakresie, że *Callista* razem z *Hypatją* Kingsleya (której tłem jest Aleksandrja w V w. po Chr.), z *Fabiolą* wspomnianego już Wisemana i z *Ostatniemi dniami Pompei* Bulwera spoczęła ostatecznie w zapomnieniu.

Jeszcze w Littlemore koło Oxfordu, zanim przeszedł na katolicyzm, Newman pragnął założyć rodzaj klasztoru za wzorem katolickim, i gromadził tam wkoło siebie młodych ludzi, trapionych podobnemi wątpliwościami jak on sam. Teraz, już jako katolik, otrzymał w r. 1847 *breve* papieskie za założenie w Anglji katolickiego zgromadzenia duchownego, a raczej braterstwa modlitwy pod wezwaniem św. Filipa Neri. Założył je w Edgbaston, przedmieściu Birminghamu, i tam, w sąsiedztwie hałaśliwego i zadymionego centrum przemysłowego, spędził wiele z najbardziej skupionych i twórczych dni swego odtąd nawskróś ascetycznego żywota. Już w pierwszym roku swego istnienia zresztą nowe zgromadzenie wyszło z zacisza nabożnej kontemplacji na arenę czynnej służby społecznej, uczestnicząc z poświęceniem w walce z cholerą, co srożyła się wtedy po zachodzie Europy.

Na arenę polemiki teologicznej także wypadło Newmanowi nieuchronnie niebawem wystąpić. W *Anglican Difficulties* (1850) z wykwintną ironją polemizuje przeciw obrońcom separatyzmu anglikańskiego; drugą zaś stronę tego samego problemu ukazuje w następnej publikacji *Catholicism in England*. Za tę książkę skarżył go do sądu o potwarz pewien Dominikanin angielski, którego przejście na anglikanizm Newman potępiał; i mimo świetnej obrony, Newman sprawę sądową przegrał. Nie brakło mu zresztą w tym czasie także przykrości ze strony katolickiej. Miał z polecenia Rzymu organizować nowy katolicki uniwersytet w Irlandji, ale musiał zaprzestać pracy, bo irlandzkim biskupom katolickim nazbyt liberalnym się wydał jego ideał uniwersytetu, przedstawiony w świetnej rozprawie *The Scope and Nature of University Education* (1852) i ujęty tam w klasyczną, godną najlepszych oxfordzkich tradycyj formułę: „połączenie dogmatycznej nauki z liberalnem wykształceniem". Znowuż, gdy Newman miał wydawać nowe angielskie tłumaczenie Biblji dla katolików, katolicki prymas Anglji, — kardynał Wiseman — który jeszcze w roku 1836 wygłaszał kazania w Londynie przeciw „ruchowi traktarjańskiemu" — okazał się obojętny, i plan upadł. Wreszcie, gdy Newman przejął od znakomitego historyka Dalberg-Actona redakcję czasopisma literackiego *The Rambler*, które miało jednoczyć wkoło siebie elitę katolickiej inteligencji angielskiej, zaskarżono go do Rzymu o herezję, i musiał znowu porzucić swe przedsięwzięcie. Wszystkie takie przeciwności jednak więcej niż równoważyło błogie poczucie znalezionego pokoju duchowego. W dwudziestą rocznicę założenia swego bractwa pisze Newman: „Znalazłem w kościele katolickim obfitość uprzejmości, ale bardzo mało sympatji u ludzi na wysokich stanowiskach, z wyjątkiem niewielu; jednakże jest w religji katolickiej głębia i potęga, jest pełnia zadowolenia duchowego w jej wierzeniach, jej teologji, jej obrzędach, jej sakramentach, jej dyscyplinie, jest w tem wszystkiem taka wolność i ostoja zarazem, że wobec tego lekceważenie lub niezrozumienie mojej osoby ze strony pojedynczych jednostek, jakkolwiek wysoko postawionych, waży jak pyłek na szali. To

co znalazłem w Kościele katolickim, jest zadatkiem i początkiem pokoju wiekuistego".

IV.

Zanim odszedł po nagrodę „pokoju wiekuistego", miał Newman jeszcze zaznać najboleśniejszego z tych „niepokojów ziemskich", któremi znaczona jest cała heroiczna droga jego religijnego żywota.

W r. 1864 popularny powieściopisarz Charles Kingsley, duchowny anglikański o szlachetnej ideologji społecznej, ale fanatycznie protestanckich poglądach na katolicyzm, pisząc o dziejach Anglji renesansowej Froude'a w jednym z miesięczników, użył wyrazów, że „prawdomowność dla prawdy samej nigdy nie była cnotą duchowieństwa rzymsko-katolickiego", i dodał jeszcze, że „ksiądz Newman nas uczy, iż nią być nie potrzebuje i naogół być nie powinna", gdyż zdaniem Newmana chytrość jest bronią wybrańców Opatrzności. Gdy na żądanie Newmana, by to oskarżenie poparł cytatami, Kingsley odpowiedział wykrętnie i lekceważąco, Newman, by wykazać konsekwencję i konieczność swego duchowego rozwoju i szczerość swego postępowania, zdobył się na postanowienie niemniej heroiczne w swoim rodzaju, niż niem było samo przejście na katolicyzm; oto w poważnym już wieku lat 63 nie zawahał się w *Apologia pro Vita Sua* odsłonić przed całym światem tajniki swych osobistych przeżyć duchownych, które go ostatecznie powiodły do Rzymu. W pierwszem wydaniu tego największego z jego dzieł jest jeszcze wiele polemiki z Kingsleyem; w drugiem (1865) i dalszych, starannie przerabianych i poprawianych, ten efemeryczny pierwiastek znika, i pozostaje w formie czystej i uogólnionej to, co zapowiada pod-tytuł *A History of my Religious Opinions*. „Apologja" jest jedną z wielkich autobiografij literatury powszechnej, i jako taka godnie staje obok „Wyznań" św. Augustyna, będąc im pokrewna i treścią i duchem. Z ogniem szlachetnego oburzenia, obudzonego w Newmanie przez napaść Kingsleya, przedziwnie się tu łączy dojrzała harmonja prawdziwie cycerońskiej prozy autora, któremu oxfordzkie wykształcenie klasyczne dopomogło stać się jednym z pierwszych stylistów Anglji nowoczesnej. Jako

jedyny ślad rudy życiowej wśród czystego złota tego pomnikowego dzieła pozostają uczone teologiczne ekskursy o starych herezjach z pierwszych wieków chrześcijaństwa — reminiscencje z dawniejszych dzieł naukowych Newmana. Poza tem jednak nie trzeba bynajmniej być teologiem, by z największem przejęciem śledzić drogi duchowe autora aż do jego dramatycznej decyzji, a w szczególności by z najgłębszem wzruszeniem czytać prosty i serdeczny opis rozstania z umiłowaną ciszą gajów akademickich oxfordzkiej *Almae Matris.*

W rok po „Apologji" Newman ogłosił drukiem inne artystyczne wcielenie swych religijnych ideałów — poemat wizyjny *The Dream of Gerontius,* pisany zresztą o wiele lat wcześniej. Ukazując nam w snach konającego Geroncjusza widzenie zaziemskiego świata z chórami aniołów, autor sam wyzywa porównanie z zakończeniem Drugiej Części *Fausta,* i porównania tego utwór Newmana okazuje się godnym przedewszystkiem przez klasyczną piękność swego białego wiersza i przez melodyjną rozmaitość rytmów, użytych w chórach za wzorem tragedji greckiej. Doskonałość muzyczna poematu natchnęła w nowszych czasach znakomitego kompozytora Edwarda Elgara do jednego z najlepszych jego dzieł; a zawarty w utworze hymn „Chwała Najświętszemu na wysokościach" mimo katolicyzmu autora, wszedł do księgi hymnów kościoła anglikańskiego. Jeżeli „Sen Geroncjusza" jest szczytnym dowodem na to, iż Newman — wielki mistrz prozy — był zdolny do niemniejszej doskonałości formy w mowie wiązanej, to tembardziej zastanawiać nas musi ta skromność czy rezerwa, z jaką podaje w lekceważenie własną poezję i wyrzeka się duchowej potrzeby lirycznych wynurzeń. Trzeba sięgnąć do samej głębi jego rdzennie religijnej natury, by znaleźć wytłumaczenie tej dziwnej postawy w zdumiewającem powiedzeniu: „Poezja, to schronienie tych, co nie mają w Kościele katolickim ucieczki i oparcia".

W posiadaniu owego wewnętrznego spokoju, który wielbi jako najwyższy dar wiary katolickiej, Newman przez długą swą starość trwa niezmiennie na raz zajętem stanowisku filozoficzno-teologicznem. Gdy Rzym wywołuje

burzę w świecie religijnym przez dogmat o nieomylności papieża, Newman, choć proklamację tego dogmatu uważa za niewczesną, samemu dogmatowi kornie się poddaje, popadając w tym względzie nawet w niezgodę z wielu wybitnymi konwertytami angielskimi, którzy, mimo szczerości, z jaką powrócili do wiary Rzymskiej, zachowali byli podświadomie jakąś resztkę ideologji protestanckiej. Pieczęć na swej karności katolickiej położył Newman przez najsporniejsze może swoje dzieło: *A Grammar of Assent* (1870), w którem krytycy protestanccy widzą ostateczną kapitulację jego wielkiego intelektu, a wybitni nawet myśliciele katoliccy, lubo nie bez pewnych kontrowersyj, upatrują bardzo wnikliwe studjum, dotyczące analizy aktu wiary. Dochodząc nieomal do sceptycyzmu w stwierdzeniu, że wiara jako taka nie może być wynikiem ścisłego dowodzenia, znajduje Newman w głębi ludzkich sumień jakby zmysł prawdy, któremu daje miano zmysłu wnioskującego (*illative sense*) i temu zmysłowi, skojarzonemu z dobrą wolą a wspartemu łaską Bożą przypisuje decydującą rolę w procesie wewnętrznego uznania za prawdę objawionych faktów czy nauk. Istnieniu objektywnych dowodów, doprowadzających umysł aż do progu aktu wiary Newman nie przeczy, ale sam ten akt jako taki, opiera raczej na moralnych niż na intelektualnych podstawach. Była to bardzo zbawienna reakcja przeciw pewnym tendencjom do przesadnego intelektualizmu w pojmowaniu nadprzyrodzonego poznania, tendencjom, które opierając wiarę na niewłaściwych i niedostatecznych fundamentach, mogły łatwo narazić ją na różne trudności i zarzuty. Nie da się zaprzeczyć, że to głębokie studjum wielkiego myśliciela doczekało się fałszywych interpretacyj ze strony pewnych modernistycznych lub modernizujących teologów, ale w gruncie rzeczy było z pewnością zupełnie zgodne z nauką katolicką i pełne tego zdrowego fermentu, którego owocem bywa naukowy postęp.

V.

„Gramatyka wiary" (tak przetłumaczył newmanowski tytuł prof. Zdziechowski) była ostatecznem słowem Newmana w długoletniej walce z tym duchem liberalizmu, w któ-

rym od początku widział główne niebezpieczeństwo dla religji dogmatycznej. Ale uwagę ogółu ludzi współczesnych zaprzątał inny front walki o religję: przez całe środkowe dziesięciolecia wrzał konflikt między biblijnym obrazem świata i zbudowanemi na nim dogmatami a tem ewolucyjnem ujęciem procesów kosmicznych i historji życia na ziemi, które właśnie się kształtowało w naukach przyrodniczych od astronomji i geologji do biologji i fizjologji. Temi starciami ideowemi, roznamiętniającemi nawet mężów stanu jak Disraeli, dziwnie mało zajmował i przejmował się Newman, szczególnie w późniejszych fazach swej twórczości. W r. 1855 — a więc jeszcze na kilka lat przed wielkiem dziełem Darwina, które rozpętało burzę w tej dziedzinie — Newman poświęcił zagadnieniom stosunku wiary chrześcijańskiej do nauk przyrodniczych dwa studja: *Christianity and Physical Science* i *Christianity and Scientific Investigation.* W obydwóch z całym spokojem i bez wszelkich zastrzeżeń uznaje prawo nauki, zarówno przyrodniczej jak historycznej, do swobodnych badań w całym zakresie doświadczenia ludzkiego i nie widzi w nich żadnego powodu do konfliktu z teologją, jako że jej dziedziną jest nie badanie doświadczalne, lecz abstrakcyjna spekulacja. Uderza nas więc tutaj u rzekomego „reakcjonera katolickiego" ta sama nowoczesność i postępowość poglądów, z którą spotkaliśmy się już we wcześniejszych latach Newmana, w jego historycznem kazaniu o ewolucji dogmatów. Ale ten światły syn Oxfordu posuwa się jeszcze dalej po drodze do pogodzenia wierzeń religijnych ze zdobyczami nauki. Dowodzi mianowicie, że tam, gdzie nauka i religja się w swych przedmiotach stykają, trzeba uznać potrzebę nowego sformułowania prawd religijnych w zastosowaniu do nowego stadjum intelektualnej kultury ludzkości; i że nowe sposoby wyrażenia starej istocie religji nie zaszkodzą. Warunkiem zaś takiego nowego sformułowania musi jego zdaniem być nowy stosunek duchowieństwa katolickiego do świeckiego społeczeństwa: stosunek ten już nie może być wyłącznie stosunkiem duszpastersko-mentorskim, lecz winien być stosunkiem porozumienia i współpracy; i taka zmiana stosunku będzie jedyną drogą do koniecznego, w opinji Newmana, uznania społeczeństwa świeckiego jako czynnego,

a nietylko biernego elementu w rozwoju nauki katolickiej, przynajmniej w tych dziedzinach, w których objawienie styka się z przyrodzoną wiedzą, ma niewątpliwie coś wspólnego ze znaną Newmanowi dobrze z życia angielskiego organizacją zborów w skrajnych formach protestantyzmu; ale ideowem swem uzasadnieniem sięga daleko wstecz poza reformację w historyczną tradycję katolicyzmu. Czujemy żywy jej powiew z dawnych wieków w myśli Newmana, gdy słyszymy, że zawsze wyznawał maksymę Wincentego z Lerinum: *Quod semper, quod ubique, quod ab omnibus;* gdy sam nam powiada, jak głęboko go jeszcze za czasów anglikańskich przejęła i do istoty katolicyzmu jako „Kościoła powszechnego" zbliżyła sentencja św. Augustyna: *Securus iudicat orbis terrarum.* Ale nietylko w dalekiej i wielkiej przeszłości korzeni się wzniosły apel newmanowski; zwiastuje także proroczo przyszłość, jest przedźwiękiem znacznie późniejszych przejawów nowoczesnej myśli katolickiej. Bo oto tę samą żywotną zasadę twórczej współpracy wszystkich społecznych składników organizmu kościelnego w kilkadziesiąt lat po uczonym kardynale z Oxfordu podejmuje uczony papież z Medjolanu, wielki humanista Pius XI, gdy całym autorytetem Stolicy Piotrowej opromienia rzucone na szeroki świat hasło „apostolstwa ludzi świeckich".

W roku 1878 światły i szlachetny syn Oxfordu doczekał się jeszcze tej pociechy, że jego stare kolegjum uniwersyteckie z wielkiemi honorami podejmowało go w swych wiekowych murach; ujrzały więc stare oczy raz jeszcze w rzeczywistości ziemskiej czarowne „żywe kamienie" owego umiłowanego Oxfordu, którego widoczek akwarelowy był jedyną świecką ozdobą artystyczną surowych ścian celi klasztornej w przedmieściu birminghamskiem.

W r. 1879 papież Leon XIII na prośbę ogółu katolików angielskich, wyrażoną przez księcia Norfolk, nadał sędziwemu Newmanowi kapelusz kardynalski. A gdy przeszło pół wieku później nastała setna rocznica zarania „ruchu oxfordzkiego" i przyniosła obfite żniwo studjów i rozpraw, nie było wśród rozlicznych i różnorodnych głosów ani jednego, coby nie mówił o Newmanie z najwyższą czcią jako

o jednym z najświetniejszych pisarzy, najfilozoficzniejszych myślicieli religijnych i najszlachetniejszych ludzi, jakimi dzieje kultury angielskiej pochlubić się mogą. Co zaś ważniejsze, w ślad za Newmanem drogą do Rzymu od jego dni podąża nieprzerwany nigdy szereg nawróconych jego rodaków — często jednostek tak niepospolitych, jak za naszych dni znakomity pisarz G. K. Chesterton; i wszyscy oni są ożywieni wiarą w to godło, które Newman kazał wyryć na nagrobku swoim: *Ex umbris et imaginibus in veritatem.*

Roman Dyboski.

Inflacja i deflacja.

Kilka uwag na temat polskich eksperymentów gospodarczych.

1. Tezy. — 2. Pojęcia. — 3. Doświadczenia.

I. Tezy.

Toczy się u nas poważna dyskusja w sprawie walki z kryzysem. Dotychczasowych metod bronią deflacjoniści, nowe wywalczyć usiłują inflacjoniści. Oba obozy prowadzą mężowie wybitni. Deflacjonistów — minister Ignacy Matuszewski, inflacjonistów — ambasador Tytus Filipowicz, wspierany publicystycznie przez Stanisława Grabskiego, Hipolita Gliwica i in. Niezadługo więc zapaść mogą brzemienne w następstwa decyzje. Jak brzmią tezy?

Stylem „telegraficznym" uda się może streścić je jak następuje:

Teza pierwsza, deflacyjna. „Bochenek" dochodu społecznego skurczył się u nas w czasie kryzysu przeszło dwukrotnie dlatego, że „linja podziału" bochenka pomiędzy miastem a wsią została przez kryzys przesunięta bardzo silnie na niekorzyść wsi. Spadek cen rolnych głęboko poniżej poziomu kosztów własnych oraz poziomu cen przemysłowych zniszczył rentowność gospodarstwa wiejskiego, i uczynił je w wielkiej mierze niewypłacalnem zarówno wobec skarbu, jak wierzycieli prywatnych. Co zaś najważsza, to że spadek ten zapewnił wprawdzie miastu niskie ceny żywności i niskie koszty utrzymania, oparte na głodzie wsi, ale zarazem zerwał obrót gospodarczy miasta ze wsią, redukując do minimum zdolność kupna wyrobów przemysłu przez ludność rolniczą. Stąd zawieszenie wewnętrznego zbytu

dla przemysłu, zastój i bezrobocie w miastach, z kolei kurczące rynek miejski dla zbytu rolnego i jeszcze silniej deprymujące ceny rolne. A zatem — błędne koło.

Żeby jego niszczący obrót powstrzymać i odwrócić w kierunku pozytywnym, należy z powrotem przesunąć „linję podziału" dochodu ogólnego na korzyść wsi, dostarczyć jej środków na zakup artykułów przemysłowych i spłatę podatków, włączyć zatem wieś ponownie w prawidłowy obrót gospodarstwa narodowego, z którego została przez kryzys wytrącona. Można ten cel osiągnąć dwiema drogami. Pierwsza to „równanie w górę" cen rolnych z przemysłowemi. Ale zwyżka cen rolnych wywoła zwyżkę miejskich kosztów utrzymania, a więc i płac robotniczych i kosztów produkcji przemysłowej, oraz cen przemysłowych. Wprawdzie te przemysłowe koszta i ceny będą równolegle także zniżkowały dzięki rozszerzonemu zbytowi i masowej produkcji, ale zapewne tendencja zwyżkowa naogół przeważy. Nastąpi zatem spadek wartości pieniądza w stosunku do towaru czyli dewaluacja waluty, jakoteż istniejącego, a w tej walucie wyrażonego kapitału. Ponieważ zaś Polska jest zarówno w kapitał, jak pieniądz niezmiernie uboga, przeto posiadanym jego zasobem nie zdoła obsłużyć zwiększonego obrotu przy wysokich cenach. Ceny te zaostrzą ciasnotę pieniężną i kapitalistyczną, która rychło ponownie zahamuje ożywienie obrotu.

Co więcej, bez obrotu, opartego na równowadze pomiędzy miastem a wsią, nie mogą powstawać zyski, dostatecznie przewyższające spożycie, by mogły być zaoszczędzane, czyli kapitalizowane. Ponieważ zaś jedynie tą drogą można normalnie wytwarzać nowy kapitał, ponieważ bez tego nowego kapitału nie można rozszerzać produkcji i obrotów, ponieważ wreszcie wysoki poziom cen tamuje eksport i ogranicza wzrost dochodu społecznego także od strony międzynarodowej, przeto błędne koło zamyka się tu ponownie, i przez „równanie w górę" cen rolnych z przemysłowemi rozerwać się nie da.

Zdaniem deflacjonistów można to osiągnąć jedynie przez „równanie w dół" cen przemysłowych na poziom dostępny dla katastrofalnie obniżonej siły nabywczej wsi.

Równocześnie należy zniżać obciążenia publiczne i płace zarobkowe, ażeby wywołać spadek kosztów produkcji tak rolnictwa, jak przemysłu. To rozszerzy rolniczą zdolność zakupu, a przemysłowi umożliwi zniżkę cen. Zniżka stopy procentowej, taryf przewozowych i celnych i t. p. ma oddziaływać w tym samym kierunku, podobnie jak walka kartelowa, ochroną wysokich cen, szczególnie surowców podstawowych; podwyższają one bowiem kalkulację kosztów produkcji w przemyśle przetwórczym. Kryzysowe zatem „nożyce" cen przemysłowych i rolnych zamknąć się dadzą jedynie przez nacisk ku dołowi ich ostrza górnego nie zaś odwrotnie. Równowaga, zwłaszcza w warunkach polskiego kapitalistycznego ubóstwa, jest do osiągnięcia tylko na niskim, nie zaś na wysokim poziomie cen, choć teoretycznie możliwe jest jedno i drugie. Dopiero zaś gdy równowaga ta nastąpi, wówczas rozwinie się obrót, odrośnie rentowność, odrodzi się kapitalizacja i dalszy tego obrotu rozrost umożliwi.

Dodajmy, że obóz, który te poglądy wyznaje, ze szczególną siłą akcentuje „dogmat" równowagi budżetu państwa, na możliwie najniższym poziomie, ale opartej o dochody stałe nie zaś pożyczki. Niemniejszy też kładzie nacisk na „dogmat" stałości kursu waluty w stosunku do złota. Mniej natomiast ceni stałość siły nabywczej pieniądza w stosunku do towaru, przeciwny jest bowiem jej zniżce, ale popiera zwyżkę. I nie zdaje się również zbyt bezwzględnie przestrzegać równowagi bilansu płatniczego z zagranicą, a w każdym razie domaga się zniżki taryf celnych. Ponadto obóz deflacji cen oraz wzrostu siły nabywczej pieniądza stwierdza, że wprawdzie polska polityka gospodarcza prowadzona była od pierwszej chwili kryzysu w duchu pokrewnym jego poglądom, jednak chwiejnie i połowicznie. Dlatego nie dała wyników pozytywnych. Domagają się przeto deflacjoniści odpowiedniej tej polityki radykalizacji.

A teraz teza druga, inflacyjna. Będziemy ją tak nazywać dla uproszczenia, aczkolwiek jej zwolennicy nie przyznają jakoby do inflacji wiodła. Teza ta wychodzi z założenia, że deflacja dotychczasowa, łącznie z kryzysem, którego opanować nie zdołała, do tego stopnia wyczerpała gospo-

darstwo narodowe, że nie zdoła ono wytrzymać dalszych, jeszcze radykalniejszych, w tym samym kierunku zabiegów. Ponadto infacjoniści utrzymują, że aczkolwiek „nożyce" przemysłowo-rolne stanowią w kryzysie czynnik ważny, to jednak nie najważniejszy, przynajmniej w Polsce, nie od nich przeto należy rozpoczynać nową przeciwkryzysową kampanję. Wieś bowiem obejmuje wprawdzie 70% ludności Polski, ale tylko skutkiem anormalnego tejże wsi przeludnienia. Poza tem jest sproletaryzowana, gospodarczo zacofana i uboga, tak iż w życiu ekonomicznem kraju waży daleko mniej niżli w jego statystyce ludnościowej. Wieś w czasie najlepszej konjunktury w r. 1929 spożywała zaledwie 25% produkcji przemysłowej miejskiej, obecnie zaś jeszcze mniej. Wieś ponosi tylko kilkanaście procent ciężarów utrzymania państwa. Ważniejszym przeto czynnikiem życia gospodarczego jest miasto, miejska produkcja przemysłowa i miejski rynek zbytu, tak dla produkcji fabrycznej jak i rolnej. Punkt ciężkości kryzysu spoczywa w zaniku siły nabywczej rynku miejskiego w obu tych kierunkach.

Przyczynę tego zaniku stanowi wynikłe z zastoju produkcji bezrobocie oraz niski poziom płac zarobkowych. Należy więc przedewszystkiem opanować bezrobocie. Trzebaby w tym celu przełamać zastój, rozszerzyć produkcję fabryczną. Ale nie znajdzie ona zbytu na zacieśnionym rynku. Przeto inflacjoniści radzą uruchomić roboty publiczne na tak wielką skalę, by zatrudnić conajmniej parę set tysięcy ludzi. Poruszyło by to przemysł budowlany oraz ciężki przemysł inwestycyjny, mają one zaś to do siebie, że ruch w nich wszczęty pociąga za sobą rzeszę przemysłów współdziałających, tak iż każdy robotnik świeżo zatrudniony w tych przemysłach, stwarza zatrudnienie mniej więcej dla ośmiu robotników w innych dziedzinach. Gdyby zatem rozpocząć taki ruch w dostatecznie szerokim zakresie, to znakomicie podniosłoby siłę kupna rynku miejskiego także dla przemysłu przetwórczego, oraz rolnictwa. I stąd zaczęłoby się powszechne odrodzenie.

Wreszcie rzecz najdrażliwsza. Trzeba na to kapitału, którego niema. Inflacjoniści radzą, ażeby zastąpić go wy-

tworzeniem dodatkowej siły kupna przez emisję krótkoterminowych „bonów pracy". Bony takie bank emisyjny musiałby oczywiście po upływie terminu konwertować, już to na nową serję krótkoterminową, już na pożyczkę państwową długoterminową. Ponieważ jednak takiej wielkiej pożyczki ubogi rynek kapitałowy polski by nie wchłonął, przeto koniec końców wypadłoby te bony wykupywać za złote polskie, w tym celu nadrukować odpowiednią liczbę banknotów, i zwiększyć obieg pieniężny niezależnie od jego pokrycia przez zasób złota i dewiz Banku Polskiego. Zwolennicy „klasycznej" polityki walutowej nazywają to już inflacją i obawiają się stąd spadku siły nabywczej pieniądza, a w dalszem następstwie również zachwiania stałości waluty wobec złotego jej parytetu.

Tak się przedstawiają w „telegraficznym" skrócie tezy obecnie dyskutowane.

II. Pojęcia.

Rozważmy nieco bliżej pewne podstawowe pojęcia i zestawmy doświadczenia, które ich dotyczą. Przedewszystkiem co to jest kapitał, co to jest pieniądz i jakie są lub mogą być ich funkcje społeczno-gospodarcze?

Zasada działalności gospodarczej przedstawia się u swego punktu wyjścia dość prosto. Człowiek, dla zaspokojenia swych potrzeb, wysiłkiem pracy, stwarza pewne dobra. Ten proces, nawet w najprostszej postaci, wykazuje jednak pewne doniosłe właściwości. Po pierwsze człowiek zdolny jest naogół wytwarzać więcej niźli doraźnie spożywa. Po drugie, potrzeby ludzkie i dobra, które dla ich zaspokojenia produkuje, układają się w pewną naturalną hierarchję nagłości. Przoduje tutaj żywność, którą się nieustannie spożywa i prawie nieustannie wytwarzać musi. Dalej następuje odzież, powolniejsza nieco w zużyciu i odnawianiu. Potem idzie dach nad głową, czyli dom, oraz narzędzia pracy. Człowiek pierwotny, rozpoczynający swą działalność gospodarczą od najprostszych punktów wyjścia, musi naprzód zdobyć sobie żywność na spożycie doraźne, potem wyprodukować ją powyżej spożycia doraźnego, czyli wytworzyć pewien jej zapas.

Dopiero wtedy, oparłszy się na nim, może obrócić swój wysiłek pracy na zaspokojenie potrzeb drugiego rzędu w postaci odzieży, najprostszych narzędzi oraz prowizorycznego szałasu nad głową. Aż wreszcie, znalazłszy się w posiadaniu dość już zróżniczkowanego zasobu dóbr, może zkolei zabrać się do wzniesienia jakiejś trwalszej niźli szałas budowli mieszkalnej.

W ten sposób, dzięki zdolności człowieka do wytwarzania dóbr powyżej doraźnego spożycia powstaje ich zasób zaoszczędzony, czyli kapitał rzeczowy.

Mówimy o gospodarce naturalnej, która nie zna jeszcze pieniądza. Nawet jednak w tych pierwotnych warunkach kapitał już się różniczkuje dzieląc się na część nieustannie spożywaną i odnawianą dla bezpośredniego podtrzymania życia, oraz na część zapasową, czyli zakładową, zużywaną powolniej, a służącą jako podstawa wytwarzania dóbr innych, mniej nagląco koniecznych, bardziej „luksusowych". Na podstawie tego szematu rozwinęły się później, w miarę społecznego postępu, pewne doniosłe zjawiska gospodarki pieniężnej, kapitalistycznej, opartej na złożonym podziale pracy, oraz intensywnej wymianie jej wytworów. Rozwinęła się mianowicie różnica pomiędzy dobrami bezpośredniego spożycia i „pierwszej potrzeby", a dobrami inwestycyjnemi, czyli powolnego zużycia. Pierwsze są zarazem dobrami szybkiego, drugie zaś powolnego obrotu gospodarczego. Rozwinęła się również różnica pomiędzy rolnictwem i przemysłem przetwórczym, które produkują dobra szybkiego obrotu, oraz przemysłem ciężkim, produkującym dobra inwestycyjne, czyli powolnego obrotu. Wreszcie różnica pomiędzy kapitałem obrotowym i zakładowym zrodziła różnicę pomiędzy kredytem krótko i długoterminowym. Różnic tych bezkarnie naruszać nie można, gdyż to by odpowiadało np. zamiarowi budowy domu, przy gospodarce naturalnej w gospodarce pieniężno-kapitalistycznej — bez zakładowego kapitału rzeczowego t. j. budulca.

W gospodarstwie narodowem współczesnem rolnictwo i przemysł przetwórczy mają przed ciężkim przemysłem inwestycyjnym pierwszeństwo nagłości „pierwszych", nieodzownych dla podtrzymania życia potrzeb, które zaspakajają

w szybkim obrocie wytwórczo-spożywczym. One więc w pierwszej linji powołane są do tego, ażeby nadwyżkę zysku odrzucać do rezerwy, którą gospodarstwo narodowe skierować, może jako zakładowy kapitał długoterminowy, w produkcję dóbr obrotu powolnego, przez ciężki przemysł inwestycyjny. Wprawdzie, gdy rezerwa taka została już zdawna wytworzona, a jeszcze nie zużyta, to może ona istniejący przemysł ciężki przez czas pewien podtrzymywać choćby szybko-obrotowa część narodowego gospodarstwa nie funkcjonowała rentownie i długoterminowego kapitału nie uzupełniała. Jednak *à la longue* taki stan rzeczy nie jest możliwy, gdyż właśnie rentowność przemysłu ciężkiego zbyt powolnie amortyzuje kapitał zużyty, aby zapewnić sobie w tym względzie samowystarczalność. Kapitałem więc subjektywnie obrotowym dla ciężkiego przemysłu musi być kapitał społecznie długoterminowy. Nie mogą go zastąpić pożyczki długoterminowe ze zbyt szczupłych zasobów kapitału społecznie obrotowego, niezbędnych dla produkcji dóbr bezpośredniego spożycia, gdyż to narusza równowagę gospodarstwa narodowego z uszczerbkiem zaspokojenia najbardziej naglących potrzeb elementarnych. Tembardziej nie może go zastąpić żadna mobilizacja „dodatkowej siły kupna" w pieniądzu.

Pieniądz bowiem jest postacią kapitału społecznie bardzo wyspecjalizowaną. Jako surowiec złoty stanowi kapitał rzeczowy na równi z każdym innym towarem. Wysoko-cenna koncentracja wartości rzeczowej powołała go wszakże do niezmiernie doniosłej funkcji społeczno-gospodarczej środka obrotu wymiennego wszelkich innych dóbr. Obrotu jedynie umożliwiającego rozwój podziału pracy, a wraz z nim doskonalenie produkcji, oraz ilościowy jej, a równoległy z konsumpcją — rozrost. Pieniądz upłynnia i wprowadza w obrót gospodarczy wszelkie inne postacie kapitału, wcielając je niejako w siebie podczas procesu obrotowego, aczkolwiek pieniądz tego wcielonego kapitału nie tworzy. Nie tworzy zwłaszcza tych jego wielkich złóż zapasowych, które nadwyżka zysku osiągana w całokształcie obrotu społecznego pozwala zaoszczędzać jako zbywające od bezpośredniej konsumpcji i w prowadzać w obrót powolny, jako kapitał za-

kładowy inwestycyj. Pieniądz może upłynniać wszelką, a więc i tę również postać kapitału, ale tylko o tyle, o ile ona już istnieje, o ile więc jest co upłynniać.

Mniej natomiast ostro zarysowuje się różnica pomiędzy pieniądzem, jako wyspecjalizowaną w charakterze środka obrotowego postacią kapitału, a wszelkim wogóle kapitałem obrotowym, szczególnie zaś szybko-obrotowym, tym więc, który zaspokaja elementarne potrzeby życia doraźną produkcją i doraźną konsumpcją. Tutaj pieniądz ujawnia zdolności występowania w roli kapitału obrotowego, inicjującego proces wytwórczo-spożywczy, mocą swojej wartości własnej, rzeczowej i społecznej, jako złoto i jako środek obrotowy. Dzieje się to wprawdzie dotąd głównie w najściślejszej sferze obrotowo-wymiennej, w emisji pieniądza poprzez krótkoterminowy weksel handlowy. Dzieje się to jednak, przy gospodarce kapitalistycznej, w tak szerokim zakresie, że pieniądz stał się poniekąd regulatorem całego życia gospodarczego, które może pobudzać lub hamować, przez swój przypływ lub odpływ.

Co więcej, ta rozszerzona funkcja społeczna pieniądza, nietylko jako środka, lecz także jako bodźca obrotu a w pewnej mierze wręcz narzędzia produkcji, rozwinęła się tak potężnie, iż niepodobna jej było wypełnić za pomocą bezpośredniego obiegu złota, gdyż ilościowo ono na to nie wystarczało. Dlatego głównie wprowadzono obieg banknotowy, częściowo już tylko pokryty złotem. Banknot zachował wprawdzie charakter weksla na złoto, niemniej jednak weksel ten stał się faktycznie fikcyjnym, o ile nie opierał się na podkładzie złotym, lecz jego „mocy emisyjnej". W ten sposób społeczna wartość pieniądza poczęła widocznie przeważać nad jego materjalną wartością rzeczową. Pieniądz oderwał się w pewnej mierze od złota. W tym samym zresztą kierunku zdążał równoległy rozwój obrotu czekowego i rozrachunkowego.

W okresie powojennym, a zwłaszcza pod naciskiem wielkiego kryzysu, tendencja ta wzmogła się jeszcze znacznie. Pieniądz jako weksel na złoto staje się coraz doskonalszą fikcją, przekształca się natomiast w znak obiegowy, będący już tylko wyobrażeniem pewnej ilości złota. Jego

wartość „odmaterjalizowuje się" coraz bardziej, koncentruje się natomiast w społecznej usłudze obrotowej. Oddawać ją może dzięki mocy gaszenia zobowiązań, ale już nie jako weksel na złoto, lecz jako specjalny mandat władzy państwowej regulującej obrót gospodarczy. Wymiar ilościowy wartości pieniądza w stosunku do towarów, do innych walut i do własnej równi złotej, nie zależy już w najmniejszej mierze od wysokości złotego pokrycia, od realnej zatem wartości rzeczowej. Niemiecki „end rentenmarki" z r. 1923, znajduje godny odpowiednik w dzisiejszym trzyprocentowym stosunku zapasu złota Reichsbanku do obiegu banknotów, przy niezachwianym jednak kursie waluty. Odwrotny ale niemniej wymowny jest równoległy spadek lub chwiejność wysoko złotem pokrytych funta, dolara i franka. Przestaje podlegać najmniejszej wątpliwości, że wartość, czyli kurs pieniądza w stosunku swym do innych wartości zależy wyłącznie od prawa podaży i popytu, tak samo w wypadku efektywnej waluty złotej, jak czysto papierowej. Jeśli się puści w obieg zwiększoną ponad potrzeby obrotu ilość złotych monet, lub banknotów stuprocentowo przez nie pokrytych, to ceny towaru pójdą w górę, a jeśli się zmniejszy poniżej potrzeb obrotu obieg czysto papierowy, to ceny spadną. *Ditto* w obrocie zagranicznym, z tą jedynie różnicą na korzyść złota, że trudno wypuścić je z kraju w takiej ilości, by aż wywołało wzrost cen światowych. Natomiast bierne saldo bilansu płatnicze, niepokryte ani złotem, ani obcemi walutami, ani kredytem, lecz walutą krajową, nieuchronnie podnosi jej podaż na rynku zagranicznym powyżej popytu i zniża automatycznie kurs. Można zatem uważać za rzecz już wyjaśnioną i stwierdzoną, że t. zw. stałość waluty, nie warunkuje się wysokością złotego pokrycia, lecz w piewszem rzędzie prawidłowym stosunkiem ilościowym do potrzeb obrotu wewnętrznego lub zagranicznego. Stąd zaś równowaga budżetu państwa oraz bilansu płatniczego słusznie poczytywane są za najważniejsze tej stałości filary, zabezpieczają bowiem przed przymusem nadmiernej emisji pieniądza.

Ewolucję powyższą wielki kryzys przyspieszył i zaostrzył, jednakże bynajmniej jeszcze nie doprowadził do wszystkich jej

konsekwencyj. Jego nacisk dopiero oddziaływuje w tym kierunku. Te zaś logiczne konsekwencje sięgają daleko i otwierają szerokie możliwości. Możliwości, którym przypaść winna doniosła rola w walce z kryzysem. Owe konsekwencje dają się sformułować jak następuje: 1° Każde państwo może dostarczyć swemu gospodarstwu narodowemu takiej ilości pieniędzy, jakiej ono potrzebuje, zupełnie tak jakby to państwo rozporządzało nieograniczoną ilością złota. 2° Ponieważ praktyczna funkcja gospodarcza gotówki w zakresie produkcji i wymiany dóbr szybkiego obrotu jest właściwie identyczna z funkcją kapitału obrotowego, przeto każde państwo może dostarczyć swemu gospodarstwu narodowemu takiej ilości kapitału obrotowego, jakiej ono dla tego swego dzieła potrzebuje. 3° Naturalną granicę tym pieniężno-emisyjnym możliwościom państwa stawia prawo podaży i popytu, chroni zaś od jego pogwałceń zasada równowagi budżetu i bilansu płatniczego. 4° Drugą naturalną granicę możliwościom tym zakreśla bezpośredni związek pieniądza z rubryką obrotu gospodarczego, której jest najważniejszem narzędziem. W charakterze tego narzędzia, czy usługi obrotowej, pieniądz posiada wysoką, ale nie nieograniczoną wartość własną, która nietylko może być wprowadzana w obrót, co jest właściwą jej funkcją, lecz może być również inwestowana. Wszelka jednak inwestycja wartości własnej pieniądza poza bezpośrednią potrzebą obrotu podnosi pieniężną podaż powyżej pobytu i musi być opłacona odpowiednim spadkiem siły nabywczej pieniądza. Spadek ten może nie nastąpić tylko wtedy, gdy popyt na środki obrotowe jest tak wygłodzony, że na ich przypływ z jakiejbądź strony reaguje dodatnio, aż do punktu doraźnego nasycenia. Powyżej tego punktu obrót wytrzymuje nadmierną podaż pieniądza reagując czysto mechanicznym, ale jeszcze proporcjonalnym wzrostem cen. Po przekroczeniu zaś pewnej miary, gdy podaż pieniądza staje się nieproporcjonalnie wysoką, ceny poczynają spadać szybciej niźli wzrost emisji i kurczy się siła nabywcza całego pieniężnego obrotu. Znaczy to, że „inwestycja" przekroczyła wartość własną narzędzia obrotowego i niweczy je...

Takie wydają się być granice naturalne swobody ruchów państwa w zakresie emisji pieniężnej, zwolnionej od zależ-

ności od złota. Granice tem szersze im bardziej ogłodzone zostało życie gospodarcze z środków obrotowych. Granice dość szerokie ażeby w ich obrębie można było znacznie poprawić stan gospodarczy kraju. Ale zarazem dość wąskie, by narzucić w tym względzie konieczność daleko posuniętej ekonomji i celowości posunięć.

III. Doświadczenia.

Jeżeli w gospodarstwie narodowem wzmaga się produkcja i wymiana, to oczywiście wzrasta również zapotrzebowanie środków obrotowych. Bank państwowy rozszerza wówczas emisję banknotów poprzez weksel handlowy bez najmniejszej obawy spadku siły nabywnej pieniądza, gdyż jego podaż dostosowuje tylko do wzrastającego popytu. Zwiększonemu obiegowi pieniężnemu odpowiada w tym wypadku zwiększona ilość towaru. Toż samo zachodzi w kierunku odwrotnym, jeśli produkcja i obrót się kurczy, a bank państwa równolegle zacieśnia obieg.

Gdy natomiast bank emisyjny z jakichbądź powodów naruszy równowagę podaży i popytu na środki obrotowe wówczas wytwarza stany anormalne. Jeśli emisja przewyższyła potrzeby obrotu to powstaje nadmiar gotówki, czyli *inflacja*. Jeśli przeciwnie skurczona została poniżej potrzeb obrotu to powstaje ciasnota pieniężna czyli *deflacja*. Stan pierwszy działa na życie gospodarcze pobudzająco, jak zastrzyk kamfory; ale obniża wartość pieniądza czyli podnosi ceny towaru, oraz deprecjonuje nagromadzony uprzednio kapitał, na czem traci zwłaszcza wierzyciel na rzecz dłużnika. Stan drugi działa na życie gospodarcze usypiająco, jak zastrzyk morfiny. Przez brak gotówki hamuje produkcję i obrót, tem samem zmniejsza ogólną kwotę osiąganego z niej zysku, a więc i kapitalizację tegoż zysku; aczkolwiek na pozór ją ułatwia przez spadek cen towaru i wysoką siłę nabywczą pieniądza.

W Polsce doświadczyliśmy już tych wszystkich własności inflacji i deflacji, aż do najbardziej krańcowych ich form. Nasza gospodarka narodowa weszła do wskrzeszonego państwa obciążona nietylko dziedzictwem zacofania i kapitalistycznego ubóstwa z czasów niewoli, ale ponadto jeszcze

potwornem, kilkomiljardowej wartości, zniszczeniem kraju przez wojnę. W pierwszych przeto latach niepodległości gospodarstwo nasze poprostu nie było w stanie utrzymać państwa. Państwo przeto poczęło czerpać środki swego utrzymania na koszt wartości własnej środka obrotowego, czyli pieniądza. Nie jego wartości rzeczowej w efektywnem złocie, którego nie było, lecz jego wartości społecznej, jako miernika i narzędzia wymiany. Skarb zaciągał dług w banku emisyjnym i coraz nowe sumy pieniężne wprowadzał w obrót gospodarczy, wzamian wyciągając zeń coraz nowe zasoby towaru. Ilość gotówki nie wzrastała więc równolegle ze wzmagającą się produkcją dóbr, jak być powinno, lecz przeciwnie wzrost ten był wyrazem konsumpcji dóbr przez państwo. Pieniędzy przybywało, a towaru ubywało. Rzecz jasna, że w tych warunkach musiała spadać wartość znaków obiegowych, a musiały wzrastać ceny. Dopóki jednak ten proceder nie przekroczył pewnej miary, dopóki nie zużył zbyt wielkich zasobów towaru, a w lukę stąd powstałą nie wprowadził szczególnie wielkich sum pieniężnych, dopóty dawał się on wytrzymać i przyniósł nawet pewne niezaprzeczone usługi. Zakredytował społeczeństwu koszta utrzymania państwa pokrywając je obniżką siły nabywczej pieniądza. To była poważna i konieczna wówczas ulga. Ponadto ta inflacja skarbowa przesunęła istniejący zasób kapitału z rąk wierzycieli do rąk dłużników, z krzywdą pierwszych a korzyścią drugich. Ta ulga i to przesunięcie pozwoliło odbudować zniszczenia wojenne, zmontować aparat przemysłowy, poprawić położenie rolnictwa, zwalniając je od ciężaru długów. Dzięki tym automatycznym „inwestycjom" wartości własnej pieniądza, oraz zużytego przez inflację kapitału, gospodarstwo narodowe zostało doprowadzone do stanu umożliwiającego normalną wytwórczość.

Gdyby tedy inflacja została przerwana w porę np. w r. 1922, gdy to usiłował przeprowadzić min. Michalski, to jej strony dodatnie zapewne by przeważyły nad ujemnemi. Ponieważ jednak przeciągnięto ją aż do końca roku 1923, przeto weszła ona w swoje stadjum ostateczne, gdzie znajduje się jej naturalny kres. Ten kres to zupełne zużycie wartości całego obiegu pieniężnego. Gospodarstwu zaś ka-

pitalistycznemu bez środka obrotowego grozi znieruchomienie produkcji i wymiany, zatem dosłownie śmiertelny paraliż.

To stadjum ostateczne i najkrytyczniejsze zwie się *hyperinflacją*. Z tej otchłani wydobyliśmy się, przerywając gwałtownie druk marek na spożycie skarbowe oraz waloryzując daniny publiczne t. j. podnosząc faktycznie podatki do takiego poziomu, który wystarczał na utrzymanie państwa. Gdy tylko mnożenie znaków obiegowych ustało, natychmiast marka polska ustabilizowała się ponownie, odzyskując zdolność miernika oraz środka wymiany wartości rzeczowych.

Nam to jednak nie wystarczyło. Społeczeństwo i rząd zarówno były steroryzowane grozą przeżytego niebezpieczeństwa i spragnione odgrodzenia się odeń przez jakąś niezwalczoną, bezwzględną gwarancję. Uwierzono, że takiej gwarancji dostarczyć może złoto. Nie równowaga budżetu państwa, której osiągnięcie położyło kres inflacji, lecz właśnie tylko złoto. Zgromadzono więc „skarb narodowy", utworzono nową instytucję emisyjną i nową jednostkę monetarną. To było oczywiście w porządku. Ale nie był w porządku fetyszyzm wysokiego pokrycia złotem tej jednostki. Inflacja bowiem skurczyła złotą wartość obiegu pieniężnego do jakichś 300 miljonów złotych. Poziom ten absolutnie nie wystarczał na potrzeby obrotu gospodarczego, i pomimo sukursu w obiegu wewnętrznym walut obcych, już za czasu inflacji działał deflacyjnie t. j. paraliżował produkcję. Otóż gwoli wysokiego pokrycia złotem nowej monety, Bank polski nie ośmielił się tego obiegu poważnie rozszerzyć, pomimo że po stabilizacji, produkcja poczęła wykazywać tendencję rozrostu i zapotrzebowanie na gotówkę wzmagało się. Kasując ustalony w kursie obieg markowy, zastąpił go Bank Polski stosunkowo niewiele odeń większym obiegiem złotowym. To też już w pół roku po opanowaniu inflacji poczęły w kraju występować jawne oznaki ostrej ciasnoty pieniężnej. Dławiła ona produkcję brakiem kapitału obrotowego, zmuszała do prób zniżki kosztów własnych przez zniżkę robocizny, prowokując zatargi z pracownikami, dławiła również konsumpcję zacieśniając rynek i nie pozwalając obniżyć cen przez zbyt masowy. Niedostateczny obrót gospodarczy, nie-

dostateczne dawał zyski, by mogły pokryć koszta utrzymania państwa. Wpływy skarbowe zaczęły znów niedopisywać, zjawiło się groźne widmo deficytu. W ten sposób, jednym niejako susem, ze śmiertelnej hyperinflacji markowej, pod wpływem wywołanej przez nią paniki, gospodarstwo narodowe polskie przerzuciło się w ostrą deflację złotową.

Fetyszyzm wysokiego pokrycia złotem, który ten przeskok z jednej ostateczności w drugą spowodował, nie pozwalał rozszerzać obiegu pieniężnego przez kredyty nieodzowne dla produkcji, ale pod groźnym naciskiem deficytu skarbowego dopuścić musiał rozszerzenie tegoż obiegu na rzecz państwowej konsumpcji. Wszczęto więc w r. 1925 t. zw. drugą inflację — bonami skarbowemi oraz nadmierną emisją bilonu. Wpompopywała ona w gospodarstwo środki obrotowe, których było spragnione, ale równocześnie wypompowywała towar, działała więc identycznie tak samo, jak inflacja banknotowa. Ponieważ jednak utrzymana była w dość ograniczonym rozmiarze, nie była by zapewne naruszyła stałości waluty, gdyby jej w tem nie dopomógł zabieg równoległy i równie irracjonalny od strony obrotu zagranicznego. Deflacja, dławiąc brakiem gotówki zarówno produkcję jak konsumpcję, nie dopuszczała do zniżki cen przez masowy zbyt. Pobudzała natomiast do pogoni za pieniądzem zarówno fabrykantów jak robotników, pierwszych skłaniając do walki o zniżkę, drugich o zwyżkę płac zarobkowych.

A wywołała ataki sfer socjalistycznych na producentów oraz domaganie się t. zw. „stawki na konsumenta". Osłaniając ochronę celną, oraz dopuszczając zwiększony import tańszego towaru zagranicznego, rząd premjera Wł. Grabskiego spodziewał się z jednej strony obniżyć koszta utrzymania, a więc i koszta produkcji, a z drugiej wywrzeć nacisk konkurencyjny na krajowych wytwórców, by zniżyli ceny do poziomu siły nabywczej spożywców. Była to rachuba zupełnie ignorująca obfitość i taniość kapitału, oraz doskonałość techniczną, któremi produkcja zagraniczna bezapelacyjnie górowała nad krajową. Mogła więc była snadnie ją zdruzgotać tembardziej wobec braku rezerw kapitału na pokrycie strat w okresie przejściowym obniżania cen. Na szczęście jednak brakło na to czasu. Najszybszym bowiem skutkiem

wzmożonego importu okazał się poważny deficyt bilansu handlowego. Złoty polski, względnie zaliczone do jego pokrycia waluty obce i złoto zagranicy w ilości większej niżli była potrzeba poczęły odpływać dla opłacenia wywozu z Polski. Zanosiło się na to, że podaż polskich środków płatniczych przewyższy zagraniczny na nie popyt. I „murowana" wysoko złotem pokryta, nowa waluta polska spadła wobec równi złotej mniej więcej o tyle, co później dolar, dostarczając nam rodzimego doświadczenia, że nie złoto, lecz równowaga budżetu i równowaga bilansu rozstrzyga o stałości pieniądza.

Pierwsza inflacja, pierwsza deflacja i druga inflacja — tak się kształtowały wahania polskiej polityki gospodarczej, czy walutowej w początkowym okresie naszej niepodległości. Tymczasem zagranicą wyrosła wysoka konjunktura międzynarodowa. Wyrosła naprzód na podłożu wzmożonego popytu na towar wobec „dziury w produkcji" spowodowanej przez zniszczenie wojenne. Następnie dostarczyły jej potężnego bodźca olbrzymie kredyty ładowane przez szereg lat w Niemcy, zwłaszcza z Ameryki. Wreszcie wywołało to dążność potężnych trade unionów górniczych angielskich do udziału w zyskach wzmagającego się obrotu międzynarodowego, a stąd w 1926 r. wielki kilkomiesięczny strejk węglowy w Anglji, który unieruchomił wywóz angielski a znakomicie poparł wywóz węgla polskiego. Wszystkie elementy tej wysokiej konjunktury w gospodarstwie światowem były wybitnie nietrwałe. „Dziura w produkcji" bowiem po paru latach musiała zostać pokrytą. Niemcy konsumowały kredyt amerykański w sposób wybitnie nieekonomiczny, aczkolwiek wybitnie polityczny, więc potok złota z za Oceanu musiał się w końcu urwać, a zwrot okazał się niemożliwy. Wreszcze szczególnie przelotnym był strajk angielski. Tem niemniej jednak, w tym okresie, polski obrót handlowy z zagranicą rozwinął się silniej niż kiedykolwiek. Stąd napływać począł do kraju inny kapitał obrotowy, nawet kredyt długoterminowy. Ożywienie gospodarcze wzbudziło nadzieję, że wzmożony udział Polski w gospodarstwie światowem okaże się tą drogą, która wyprowadzi nas z matni pomiędzy inflacją, a deflacją. Zaufano tej perspektywie tak

dalece, że forsować zaczęto inwestycje, zwłaszcza publiczne. Wśród tych inwestycyj były konieczne, jak Gdynia, ale i mniej konieczne, zwłaszcza samorządowe. Dług publiczny podniósł się poważnie; ogólna suma obciążeń publicznych wzrosła za rządów premjera Bartla do 5 miljardów złotych rocznie, czyli prawie $^1/_3$ części dochodu społecznego. Ten kierunek naszej polityki gospodarczej, któryby można nazwać „inwestycjonizmem" lub „stawką na gospodarstwo światowe" był niemniej żywiołowo - odruchowy i niemniej jednostronny, jak poprzednie. Przyrost kapitału obrotowego możliwy w okresie wysokiej konjunktury uwięził przez inwestycje w społecznym kapitale zakładowym. To też, gdy bankructwo Niemiec i spowodowany przez nie ostateczny paraliż międzynarodowego ruchu kapitałów w latach 1930 i 31 unieruchomiły z kolei handel międzynarodowy, redukując go do $^1/_3$ wartości przedkryzysowej, gdy jednem słowem wysoką konjunkturę światową złamał światowy kryzys gospodarczy, Polska popadła ponownie w stan drugiej z rzędu, szczególnie ostrej deflacji.

Ten czwarty i jeszcze nie zamknięty akt naszego ekonomicznego dramatu otwarty został jak wszędzie, katastrofalnym spadkiem obrotów z zagranicą a więc zastojem przemysłu i bezrobociem. Spadkowi cen towarzyszył jeszcze silniejszy spadek siły nabywczej oraz spożycia wewnętrznego. Ponieważ rolnictwo jest mniej elastyczne w ograniczaniu produkcji od przemysłu i nie zmniejszyło swej podaży w okresie kryzysu, przeto ceny rolne spadły znacznie niżej niżli przemysłowe i „nożyce" rozwarły się tak szeroko jak nigdy. Tem szerzej, iż przemysł zdołał się w znacznej części skartelizować, i przystosowując podaż do popytu, utrzymać ceny opłacalne. W następstwie zastoju wytwórczości dochód społeczny skurczył się do połowy i odpowiednio obniżyła się zdolność płatnicza na rzecz skarbu państwa. Ponad całą zaś tą klęską tem groźniej zawisł ciężki dług inwestycyjny oraz pięciomiljardowy budżet publiczny, wręcz niemożliwy w tych warunkach do zniesienia.

Nastąpił więc szereg gwałtownych odruchów obronnych przed deficytem, inflacją skarbową i spadkiem waluty jako jej następstwem. Odruchy te szły naprzód w kierunku re-

dukcji obciążeń publicznych, co jednak i z tej strony jeszcze zacieśniało wewnętrzny rynek zbytu. Szły dalej w kierunku drakońskiego przykręcania śruby fiskalnej przez egzekucje, oraz drenowania ubogiego rynku kapitałów przez pożyczki państwowo - konsumpcyjne. Zabiegi te dały wynik pożądany o tyle, że istotnie pozwoliły utrzymać równowagę budżetu i uniknąć inflacji oraz spadku waluty, a ponadto, przez ostrą deflację, zniżyły poziom cen i kosztów utrzymania. Zniżka ta ułatwiła redukcję budżetu i przeciwdziałała ciasnocie pieniężnej oraz ciasnocie zbytu, jednak w stopniu wysoce niedostatecznym. Zastosowano więc również środki inne. Przedewszystkiem t. zw. oddłużenie rolnictwa, dzięki któremu nieco wzrosła jego siła płatnicza na rzecz skarbu i banków państwowych, oraz zmniejszyła się deficytowość, ale kosztem prawie moratoryjnego zamrożenia ogromnego długu prywatnego. Było to posunięcie charakterystyczne, stwierdzało bowiem analogiczne do inflacyjnego, choć na razie jeszcze nie ostateczne — zniszczenie kapitału przez deflację. To też raczej dzięki innym jeszcze zabiegom, takim jak zwyżka rolniczych cen hodowlanych, osiągnięta przez wzmożony wywóz, oraz pożyczka inwestycyjna na roboty publiczne, zdołano w końcu osiągnąć pewne niewielkie paroprocentowe przyrosty produkcji w niektórych gałęziach przemysłu oraz lekką poprawę cen także zbożowych. Wszystkie jednak te paljatywy bezwzględnie wystarczyć nie mogły dla spowodowania rozstrzygającego pozytywnego zwrotu. Użyteczne były o tyle o ile hamowały zbyt szybkie tempo rozkładu. [1])

St. Szczutowski.

---

[1]) Ciąg dalszy tych rozważań w następnym zeszycie.

Na ideologicznym przełomie.[1])

Mówienie o ideologji współczesnej, jako o całości, jako o pewnym zdefiniowanym kierunku, jest rzeczą niezmiernie trudną, tak trudną, jak mówienie o kierunku wiatru, gdy się stoi w środku cyklonu, walcząc z jego sprzecznemi prądami. Ogólne kierunki cywilizacji i kultury, sztuki i ideologji danych epok w jasny i jednolity obraz układają się dopiero w perspektywie historji. Historja pomija drobne ich rozbieżności i jałowe, bezkonsekwentne odchylenia, historja wie, które z tych kierunków przetrwały, które stały się ważne i życiotwórcze. My patrząc ze zbyt bliska w otaczające nas życie nie tylko nie umiemy rozpoznać jego zasadniczych kierunków, ale częstokroć nie umiemy nawet dostrzec wielkości naszej epoki.

Ale mimo niemożności zdania sobie definitywnej sprawy z bezwzględnej wartości i doniosłości współczesnych kierunków kulturalnych i ideowych, pożyteczną rzeczą jest zastanawiać się nad niemi, aby badając otaczające nas zjawiska, starać się im nadać pożądany kierunek.

Otóż jedną z takich najciekawszych i najcharakterystyczniejszych cech doby obecnej wydaje mi się poszukiwanie ideału życia.

Na każdym niemal kroku, w każdej rozmowie, w każdem prawie piśmie znajdujemy narzekanie, że pokolenie dzisiejsze nie ma ideału, że nie ma myśli przewodniej, że nie wie ku czemu idzie, ku czemu chce iść, czego chce pragnąć i ku czemu dążyć w zamierzeniach ostatecznych.

---

[1]) Odczyt wygłoszony w Krakowie 6. II. 1936.

Jest to objaw zdumiewający. Były już w historji ludzkości epoki zmaterjalizowane, epoki sybarytyzmu i dosytu, ale te odznaczały się właśnie tem, że używanie, brak dążenia i wysiłku uważały za ideał i szukały innego. Dziś jest naodwrót. Ten brak ideału, o którym tak głośno się mówi uważany jest za klęskę. Za nim tęskni pokolenie bynajmniej nie zmaterjalizowane, przeciwnie, męczące się niemożnością zaspokojenia swego heroicznego głodu wielkości i bohaterstwa. Jest to stan rzeczy niewątpliwie paradoksalny, równie paradoksalny, jak stosunek dzisiejszej młodzieży do pracy. Zawsze pracowało się, żeby coś zrobić, dziś robi się mnóstwo rzeczy, żeby pracować. Zawsze poświęcali się ludzie, aby osiągnąć jakiś ideał, dziś raczej pytają w imię jakiego, dość wysokiego ideału, mogliby się poświęcać. Jest tu jakieś odwrócenie naturalnego stosunku przyczyny i skutku. Bo ostatecznie normalnem jest wyruszać w drogę, gdy się ma określony cel podróży, a nie, wyruszywszy, zastanawiać się nad celem; normalnem jest jeść obiad, gdy się jest głodnym, a nie starać się być głodnym na to, by móc zjeść obiad.

Otóż ciekawem jest, dlaczego epoka, która nie popadła ani w zmaterjalizowanie, ani w sybarytyzm, za ideałem życia się rozgląda, i czując w sobie siły do pracy, do tworzenia, celu tej pracy i twórczości poszukuje.

Powód tego dziwnego zjawiska zaczyna się przed nami rysować, gdy spojrzymy na otaczające nas życie na tle przeszłości.

Przez z górą sto lat, idea całego wielkiego narodu była jasna, prosta i w swej istocie nieskomplikowana: Odzyskanie niepodległości. Komplikacje zachodziły w wykonaniu, spory były sporami taktycznemi, nie zasadniczemi. Kwestja celu, kwestja wiary, była jedna, niewątpliwa i niepodlegająca dyskusji. Rzadko kiedy w dziejach ludzkości widzi się ideał do tego stopnia konkretny, namacalny i bezsporny. O ten pewnik niepodlegający dyskusji, niezbity i niezaprzeczalny zazębiały się wszelkie inne ideały, pewniki i dążenia wielu pokoleń. Z nim zrosły się ideały socjalne, z nim ideały i przekonania religijne, z niego wyrastały i ku niemu dążyły ideały kulturalne i artystyczne.

Rzadkim w dziejach życia człowieka i narodów fenomenem, ideał wypełnił się w całości. To co było snem, marzeniem, mistycznym wzlotem, artystyczną wizją pokoleń, stało się rzeczywistością, zwykłą, codzienną rzeczywistością. I tu musiało nastąpić ideowe załamanie, załamanie na różnych płaszczyznach. Naprzód między rzeczywistością a marzeniem musiała zaistnieć różnica, jaka zawsze te dwie dziedziny dzieli. Polska anielska, uskrzydlona, Chrystusowa, Polska Dziadów i Wesela musiała być inna, przynajmniej wydawać się inna, niż Polska podzielona na województwa i powiaty, Polska układająca konstytucję, prowadząca politykę celną, nakładająca podatki. To była ideowa katastrofa wielu, zwłaszcza starszych, którzy ciągle uniesieni spełnionym cudem, nie mogli się zorjentować w skomplikowanych wymaganiach rzeczywistości politycznej i organizacyjnej.

Katastrofą ideową pokolenia drugiego, tego, które brało udział w walkach o niepodległość, a w Wolną Polskę weszło jako pokolenie jeszcze młode, w pełni sił, było wysunięcie się namacalnego, konkretnego kośćca ideologicznego z ich światopoglądu.

Polska to wielka rzecz, ale jednak jej niepodległość nie wyczerpuje wszelkich zagadnień, jakie myślący człowiek musi sobie rozstrzygnąć. Przedewszystkiem obok kwestji politycznej, jaką było wskrzeszenie Polski, istnieje kwestja społeczna i kwestja religijna, które obydwie, mimo odzyskania niepodległości, zostały dla człowieka otwarte. Pomyłką ideową pokolenia poprzedniego, może zresztą pomyłką konieczną a nawet błogosławioną, było zidentyfikowanie tych kwestyj z kwestją niepodległości.

W myślach pokolenia romantycznego, i wszystkich pokoleń po rok 1914 — rozwiązanie kwestji Polskiej było rozwiązaniem i kwestji społecznej; dla bardzo wielu uczucie patrjotyczne było związane z uczuciem religijnem. Kwestja Unitów chełmskich, dzieci wrzesińskich, kwestja polskich nabożeństw, rozgrzewała uczuciem religijnem serca ludzi o przeróżnych religijnych przekonaniach. Ludzie szukający religji, szukali jej poprzez kwestję polską, w łączności z nią, ona była dla nich przewodniczką po drogach religijnej spekulacji i religijnej mistyki.

W roku 18 kwestje te rozpruły się od siebie.

Najjaskrawiej zaznaczyło się to w dziedzinie kwestji społecznej: Przez całe pokolenia pojęcie narodu i państwa, władzy i wolności, pozostawały do siebie w stosunku ognia do wody. Teraz nagle wróg idei państwa stał się państwowym dygnitarzem, wyznawca idei narodowościowej stanął oko w oko z kwestją narodowych mniejszości, społeczny radykał stał się stróżem społecznego ładu, anarchista stał się twórcą etatyzmu. Sprzeczne dotąd pojęcia, wolności i sprężystości rządu splotły się w całość chemiczną. To nie mogło nie wywołać pomieszania pojęć, niepewności i chwiejności posunięć.

Ale wobec największej może trudności ideowej stanęło pokolenie najmłodsze, stanęło bowiem wobec rodzaju pustki.

Prądy ideologiczne danych pokoleń pozostają zawsze w związku z prądami ideowemi pokoleń poprzednich. Ten stosunek może być stosunkiem tradycji — tak jak było u nas przez szereg pokoleń, może być stosunkiem reakcji — tak jak bywa u wszystkich pokoleń rewolucyjnych. Dla pokolenia dzisiejszego żaden z tych stosunków nie był aktualny. Stosunek reakcji był oczywiście nie do pomyślenia, mógł objawiać się w szczegółach i drobnych krytykach, nie mógł dotyczyć rzeczy zasadniczej: niepodległości. Nie było także stosunku tradycji. Pokolenie poprzednie spełniwszy swe zadanie, wypełniwszy ideał, nie miało co przekazać pokoleniu młodemu. Mogło co najwyżej chwaląc swe dzieło zalecać drobne w niem udoskonalenia, ale przedewszystkiem, musiało zalecać jego konserwację, spokojne i szczęśliwe mieszkanie w zbudowanym tak heroicznie domu. I tu leżało największe międzypokoleniowe nieporozumienie.

Istotą życia człowieka jest dążenie, wysiłek, marzenie pragnienie, nigdy używanie, jest zawsze budowanie, nigdy mieszkanie. Człowiek, by żyć, musi dążyć ku rzeczom pozornie nieosiągalnym, ku zamkom na niedostępnych osadzonych górach. Tego wysiłku, tej tęsknoty szaleńczej a mądrej potrzebuje człowiek jak ryba wody, bez tych tęsknot i wysiłków dusi się i obumiera.

Otóż pokolenie, które weszło triumfalnie do swego pałacu na szklannej górze, nie umiało pokoleniu następnemu,

wskazać drogi ku dalszym celom, nie umiało mu wskazać przedmiotu tęsknot i wysiłków.

Wprawdzie każde młode pokolenie lekceważy sobie wskazania pokoleń starszych, ale mimo wszystko, sugestji jego ideologji zawsze ulega, czy to, jak wspomniałam, drogą tradycji, czy reakcji. Pokolenie które wychowało się już w Polsce niepodległej odnosi się wprawdzie trzeźwo, często nawet pogardliwie i krytycznie do całej romantycznej i mesjanicznej przeszłości, ale jednak wie i rozumie, że młodość pokoleń poprzednich spalała się w bohaterskim trudzie, w służbie niewątpliwej Sprawie, Idei. Dziś tej jednej, konkretnej „Sprawy" czy „Idei" (w liczbie pojedynczej), tego bezspornego ideału młodzież nie ma. Otacza ją cały szereg spraw, idej i zagadnień, ale żadna z nich nie staje się jedną, wyłączną i wszystko ogarniającą, jak idea pokoleń poprzednich. Niema tej jednej wielkiej wiary, jednej wielkiej tęsknoty, która była ponad różnice zapatrywań politycznych i przekonań społecznych. I ten brak wspólnej bezspornej wiary jest tym momentem tęsknoty i niedosytu ideowego, który na każdym kroku się wyraża.

Wiara w Polskę, dążenie do niej, były ideą totalną, ideą wielką zbawczą i szlachetną, ale jak każda rzecz ludzka miała w sobie jeden błąd: uważała za cel ostateczny, absolutny, to, co było tylko środkiem, jeśli na zadanie człowieka, nawet na zadanie narodów spojrzymy pod kątem ostatecznych zadań człowieka, *„sub specie aeternitatis"*. A każde inne spojrzenie, musi z konieczności prowadzić do wniosków w rezultatach ostatecznych, mylnych i fałszywych.

Polska niepodległa musiała powstać nietylko dlatego, żeby być, żeby istnieć, ale musiała powstać, aby w niej wolnej, wielkiej i potężnej, mógł swobodnie żyć człowiek, dążący do spełnienia swych wielkich ludzkich przeznaczeń, musiała powstać, aby jako jednostka, spełniać swoje dziejowe przeznaczenie. Roślina gdy wybija się z trudem z twardej skorupy nasienia robi to nie dlatego, by oswobodziwszy się z pęt nasienia bujać w słońcu na wolnem powietrzu. Dopiero gdy tę pierwszą trudność zwalczy, zaczyna się jej praca życiotwórcza i tylko dlatego warto jej kruszyć więzienne okowy nasienia, by tę właśnie swoją pracę

w wszechświecie swobodnie wykonać mogła. Poza tę heroiczną pracę kruszenia oków wybiegało pokolenie poprzednie tylko niepewnie i chaotycznie, wierząc w głębi, że samo rozstrzygnięcię kwestji niepodległości tę misję wszechludzką i wszechżyciową spełni. Tymczasem nietylko narodzenie się na świat jest wysiłkiem: życie na tym świecie jest wysiłkiem stokroć większym a sprostać temu wysiłkowi nie można, jeśli się nie wie w imię czego ma się go podjąć i ku czemu on zmierza w celach najostateczniejszych.

Całe pokolenia polskie były w pewien sposób pozbawione tego wysiłku szukania ostatecznych celów życia człowieczego, gdyż cel bliższy, namacalny przesłaniał je im. Jeśli szukały go, to zawsze oparte o ten pewnik. Z tym pewnikiem złączony był cały nasz system myślowy, nasza polska filozofja i metafizyka. Ta nasza mentalność nawet bardzo nas odgrodziła od umysłowego życia Europy, stwarzając nietylko literaturę tak bardzo specyficznie narodową, że była dla cudzoziemców prawie niezrozumiałą, ale co dziwniejsze, specyficznie narodową filozofję, co jest właściwie rodzajem paradoksu, jeśli zważymy, że istotą filozofji jest poszukiwanie prawdy bezwzględnej, wszechludzkiej, wyższej ponad wszelką przypadkowość życia. Ten fakt też sprawia, że cała ta literatura o wierze potężnej, która dziś, spełniwszy się, wiarą być przestała, literatura rozbiorowa, stała się w pewien sposób dzisiejszemu pokoleniu daleka. Jest tu przytem i drugi moment: wiara stuletniego naszego życia i społecznego i artystycznego będąc celem idealnym, szlachetnym, wzniosłym, była celem przedziwnie konkretnym, ideałem jakby zmaterjalizowanym. Cały jej mesjanizm, romantyzm, nierealność, całe jej marzycielstwo, było jednak konkretne i namacalne.

Nie chciałabym, żeby to co piszę wyglądało na potępienie wielkiej bohaterskiej naszej przeszłości, dla której mam cześć i podziw najgłębszy. Ta ideologja potrafiła wydobyć z narodu najwyższe wartości moralne i to uważam za jej wielką zdobycz i najcenniejszą tradycję. Potrafiła wydobyć największą literaturę i sztukę, ale mimo wszystko, w swych konsekwencjach zwolniła ona w pewien sposób całe pokolenia od obowiązku czysto metafizycznych poszu-

kiwań, od obowiązku metafizycznego niepokoju i zbawczej niepewności człowieka, szukającego prawdy absolutnej. Bo ostatecznie ktoś, kto widzi przed sobą gołem okiem miasto, ku któremu dąży, nie potrzebuje odczytywać jego położenia z gwiazd. I jestem przekonana, że podświadomie brak nam tak jasnego, tak konkretnego celu, jaki przyświecał nam przez lat 100. Odwykliśmy od używania kompasu dla poszukiwania dróg ziemskich poprzez szlaki niebieskie.

Gonzague de Reynold, w ciekawej swej książce *„l'Europe tragique"* mówi, że wszelkie organizacje polityczne i społeczne, wypływają z pojęcia o człowieku i życiu. U nas ten naturalny proces był do pewnego stopnia odwrotny. Pojęcia o celu człowieka, i życiu, kształtowały się wedle politycznej i narodowej tęsknoty za niepodległością.

I tu mam wrażenie leży nasza choroba: paradoksem życia, nauczył nas wielki, szczery idealizm lat ostatnich, nawet jego pozornie w chmurach bujający mistyczny mesjanizm, myślenia jeśli nie materjalistycznego, to jednak rodzaju metafizyki praktycznej. Trudno nam — ideowo trudno — zapomnieć na chwilę o celach konkretnych i praktycznych, aby w bezinteresownej kontemplacji, w kontemplacji klerka doskonałego, poszukiwać prawdy o życiu i człowieku i dopiero z tej prawdy absolutnej, metafizycznej, bezwzględnej wysnuwać wnioski o naszych zadaniach bezpośrednich i konkretnych.

Ten niepokój, ta dezorjentacja, ten głód idei, a raczej powszechności idei, odbija się, tak jak wszystkie wielkie pulsowania ludzkości w literaturze, a może jeszcze bardziej, w stosunku społeczeństwa do literatury. Przez lat z górą sto książka była czytana, oblewana łzami, umiana na pamięć, była towarzyszką życia, pomocą w pracy, była uwielbiana i chłonięta. Dziś narzeka się powszechnie, że młodzież dla literatury zobojętniała, i faktycznie tego stosunku do pisanego słowa, które jeszcze z lat młodych pamiętam, niema dzisiaj. Nowa książka nie jest ewenementem doniosłym, ważnym, wstrząsającym, porywającym. Jest to całkiem zrozumiałe. Dawniej książka była narodową trybuną, narodowym i politycznym czynem, była narodowym hymnem i modlitwą, była i przewodniczką życia i wyrazicielką najgłębszych tę-

sknot i aspiracyj — była ze społeczeństwem głęboko zrośnięta, a była zrośnięta, bo wyrażała powszechną wiarę i powszechną tęsknotę, bo zawierała to coś, co tak trafnie i pięknie nazywa Roman Kołoniecki „Mitem". To pojęcie mitu rozróżnia w swej ciekawej broszurze „Społeczne zadania literatury" od haseł, programów, nawet od ideologji. Nazywa mitem wiarę powszechną, nie podlegającą dyskusji, zdolną uczuciowo zapalić i porwać. Tym mitem całej naszej wielkiej literatury była Polska, była nim od Mickiewicza do Wyspiańskiego, jakkolwiek różnie i rozmaicie mogła się ta wiara wyrażać. Dziś tego mitu literatura nie ma. I to jest właśnie tą jej bezideowością, na jaką się powszechnie narzeka. Nie jest bowiem literatura bezideową w tem znaczeniu, żeby poszczególni pisarze byli ludźmi pozbawionymi, czy uczucia czy myśli. Owszem, pełna jest haseł, programów nawet nazbyt konkretnych, ale właśnie brakuje jej mitu, a braknie go dlatego, że mitu nie ma i społeczeństwo.

Daleką jestem od mniemania, aby książka, dzieło sztuki, miała być praktycznym bedekerem po zawiłych sprawach życia, aby miała bezpośrednio służyć praktycznym celom propagandy, przekonań i idej, choćby najszlachetniejszych. Zadanie literatury jest inne. Ale o ile wielka literatura nie była nigdy praktyczną służką politycznych, społecznych, czy nawet wyznaniowych systemów i przekonań, była jednak zawsze pochodnią ludzkiej duszy w poszukiwaniu prawdy, była ogniskiem zapalającem ludzkie serca do czynu, była akumulatorem energji. Aby jednak być tem wszystkiem, musi sama płonąć od wewnątrz jakąś wielką siłą, wielkiem wierzeniem lub niepokojem, musi być sama poszukiwaniem i tęsknotą.

Dziś asystujemy w Polsce zjawisku odwrotnemu: społeczeństwo skarżąc się na brak ideologji żąda wprost od literatury, aby mu ją dała. Żąda aby ta literatura była społeczna, aby zajmowała się kwestjami współczesnej rzeczywistości, jak się to teraz nazywa. I tu leży pomyłka. Bo o ile literatura jest i być powinna służbą wielkiej prawdzie, służbą ludzkiej duszy, nie jest i być nie może służbą hasłom i programom.

Bo od literatury nie żądamy, aby nam wskazała, jak mają być urządzane kooperatywy, jak uregulowaną kwestja słusznej płacy, lub stosunek chlebodawcy do robotnika. Tego dowiemy się z dzieł ekonomicznych i fachowych. Od literatury żądamy, aby rozpalała nam serca umiłowaniem sprawiedliwości, umiłowaniem człowieka, aby wydobywała nas z przyziemnego egoizmu, aby właśnie pozwoliła nam poprzez nudne kooperatywne bilanse, poprzez suche teorje kwestji pracy i płacy, patrzeć stale w cel najwyższy, w ten cel, dla którego oddajemy się tym pracom i robotom; aby pozwalając nam zgłębić prawdę o życiu i człowieku pomagała nam w świetle tych prawd wiecznych wybierać słuszne i skuteczne drogi działania. Takie np. „Sny o potędze", które rozpaliły marzeniem o heroizmie i wielkości dusze całego pokolenia, były większą i skuteczniejszą służbą społeczną niż całe tomy, zajmujące się bezpośrednio omawianiem kwestyj społecznych.

I jeżeli przypatrzymy się uważnie współczesnej naszej literaturze, spostrzeżemy, że właśnie te wszystkie książki, które chcą być bezpośrednią służbą społeczną, które chcą nas pouczać o słusznych i skutecznych metodach działania, są książkami, które najmniej zawierają prawdziwie wielkiej ideologji, tej, która jest zdolna duszę narodu rozpalić, porwać i zaniepokoić.

I co przedewszystkiem uderza w tej olbrzymiej dzisiaj literaturze społeczno - politycznej tak w literaturze t. zw. prawicowej jak i radykalnej, komunizującej — to jest negatywność tej ideologji. Prawie cała jest literaturą piętnującą, smagającą, potępiającą, oburzającą się, krytykującą, literaturą dążącą do obalenia czegoś, ale nie spotykamy prawie w niej momentu pozytywnego, momentu wiary, dążenia do czegoś pozytywnego, nie dostrzegamy nawet tego światełka, w imię którego burzyć mamy.

Wyżej wspomniany autor, Gonzague de Reynold pisze tak: „Dzisiaj jakakolwiek kwestja natury praktycznej — kwestja płacy czy taryf, kwestja kooperacji czy mniejszości, przekształca się natychmiast w kwestję moralną. A każda kwestja moralna, przekształca się z konieczności w kwestję filozoficzną, ta zaś z kolei musi się stać kwestją religijną".

Otóż w naszej literaturze tego schodzenia w głąb nie widzimy. Badania zatrzymują się właśnie na kwestji moralnej, która jest jednak zagadnieniem praktycznem i domagającem się koniecznie uzasadnienia ogólniejszego. Bo moralność, która jest jakby regulaminem działania, musi mieć uzasadnienie i oparcie filozoficzne. Do kwestyj filozoficznych schodzi literatura u nas rzadko, a do relijnych prawie już nigdy. W ciekawy sposób w społeczeństwie katolickiem kwestja religijna jest jakby poza nawiasem zainteresowań. Nie mówię tu specjalnie o katolicyzmie ani nie chcę powiedzieć, że literatura nasza jest czy wroga katolicyzmowi czy specjalnie niekatolicka. Chcę tylko zwrócić uwagę, jak mało ma zainteresowań metafizycznych, jak nie przebija się w niej ani metafizyczny niepokój ani metafizyczne poszukiwanie, jak zadawalnia się rozstrzygnięciami praktycznemi, nie szukając ich źródeł światopoglądowych.

Ta jakby krótkofalowość ideologiczna naszej literatury, a nawet krótkofalowość naszych ideologicznych tęsknot, uwypukla się jeszcze wyraźniej gdy choć pobieżnie rzucimy okiem w wielką literaturę francuską. Cechą, która może najbardziej w niej dziś uderza, jest jej jakiś dziwny niepokój metafizyczny, jakieś, właśnie jakby oderwanie od zagadnień praktycznych, na rzecz zainteresowań absolutnych. Ten ferment metafizyczny spytykamy u pisarzy najróżniejszych typów i najróżniejszych przekonań i społecznych i religijnych, spotykamy go, jako rodzaj reakcji przeciw prądom materjalistycznym i pozywistycznym. Spotykamy go często u pisarzy akatolickich, komunistycznych, szukających jakiegoś metafizycznego absolutu.

Ale najsilniej i najcharakterystyczniej ujawnia się ten wielki metafizyczny prąd wiejący przez literaturę francuską w jej olbrzymiej literaturze t. zw. katolickiej. Mówi się u nas o niej dość dużo, ale i tak nie zdajemy sobie sprawy z jej rozległości i ważności. Mam wrażenie, że u nas często się podejrzywa, iż cytowanie katolickiej literatury francuskiej jest raczej rodzajem taktycznego działania katolików, że się z trudem wyławia kilku pisarzy, których się na budujący przykład stawia. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Claudel, Mauriac, Bloy, Psichari, Rivière, Péguy,

Bernanos, Malègue, Madaule, René Shwob, Bauman, James, Rops, Massis, Cazin, Ghéon, du Bos, Brémond to litanja imponująca już swoją liczbą, a napewno daleka od wyczerpania wszystkich katolickich pisarzy, to przedewszystkiem, prawie wszystko nazwiska, które doniosły wpływ na życie współczesne, na współczesną mentalność Francji wywarły. Że nie jest to także jakiś parnas odosobniony, zamknięty w *„splendid isolation"* specjalnej, od życia odciętej doktryny świadczy choćby ogromna żywotność pism, przeglądów i publikacyj wybitnie katolickich. „Kolekcja" *„la nef"* publikuje cały szereg dzieł mających za cel zgłębianie religijnych, katolickich kwestyj światopoglądowych; wybitnie religijny charakter miała sławna kolekcja *„Roseau d'or"* rzesze prenumeratorów skupiają się koło takiej *„Vie intellectuelle"* *„Etudes"* koło takiego *„Esprit"*, nie mówiąc już o dzienniku *„la Croix"* i całym szeregu publikacyj religijnych. Kwestje religijne, zagadnienia katolickiej doktryny, katolickiego światopoglądu, nawet katolickiej mistyki, są szeroko i poważnie omawiane na łamach przeróżnych publikacyj, skądinąd zupełnie akatolickich.

Bardzo charakterystycznem dla tej katolickiej literatury francuskiej jest także to, że stosunkowo bardzo mało zajmuje się kwestjami praktycznemi, kwestjami moralnemi i etycznemi. Jej problemem i zagadnieniem i zainteresowaniem jest daleko bardziej kwestja światopoglądu, kwestja doktryny, niż kwestja moralności. Chodzi o to, jak mówił Rivière, czy religja katolicka jest prawdziwa czy nie, wszystko inne jest już tylko naturalną konsekwencją odpowiedzi na to pytanie. Chodzi o to gdzie jest prawda absolutna, mówi cała wielka literatura. Bardzo rzadko nam mówi, jak mamy postępować, a ciągle i jedynie, co mamy myśleć i w co wierzyć. Z tego też powodu, iż cała ta literatura jest właściwie tak mało praktyczna w znaczeniu propagandy bezpośredniej i namacalnej, w znaczeniu budującego przykładu, słyszy się tak częste u nas kwestjonowanie jej katolickiej wartości. Ale patrząc na rozwój tego ruchu katolickiego we Francji widzimy już i jego skutki najbardziej praktyczne. Widzimy że właśnie to bezinteresowne poszukiwanie prawdy absolutnej wywierało i wywiera wpływ olbrzymi, widzimy jak ka-

tolicka myśl coraz szersze zatacza kręgi, jak od tęsknot, niepokojów, poszukiwań a nawet wątpliwości jednych, zapalają się tęsknoty drugich.

Oderwany niepokój metafizyczny, wydaje we Francji coraz bardziej widoczne skutki praktyczne, a katolicka idea, która jeszcze tak często uchodzi u nas za zacieśnienie i ograniczenie, stała się jednem z najświetniejszych źródeł, jednym z najbardziej ożywczych płomieni francuskiej literatury i ducha.

I nie mogło być inaczej. Literatura zacząwszy mierzyć człowieka miarą nadprzyrodzoną znalazła miernik jedynie godny ludzkiej natury, zaczynając szukać ludzkich celów, źródeł ludzkich tęsknot w aspiracjach wiecznych, dotknęła jedynie istotnych nienasyceń człowieczych, znajdując ludzką wiarę, znajduje w jej konsekwencji klucz i program ludzkich działań i poczynań.

Tego wielkiego niepokoju metafizycznego w naszej literaturze niema. Są wprawdzie książki stawiające nam doniosłe pytania, ale nie spotkałam książki stawiającej pytanie czem jest człowiek, z racji swej istoty, jakię jego dążenia i cele jego absolutne, książki szukającej ścieżek ziemskich poprzez przestrzenie wieczne. Jedynie w poezji spotykamy, i to dość często, nutę religijnych i wiecznych niepokojów, tęsknot i aspiracyj. Proza nie zajmuje się niemi zupełnie.

I wracając do założeń początkowych, tłumaczę to sobie naszą ideologiczną przeszłością, tem nawinięciem i zespoleniem wszelkich kwestyj i społecznych i religijnych i metafizycznych z ideałem niepodległości. Gdy ta najświętsza nasza tęsknota, najżywsza sprężyna życia nietylko aktywnego, ale i umysłowego, uczuciowego i artystycznego, przestała działać jako tęsknota i cel — stawszy się rzeczywistością — wszystkie, o nią dotąd oparte sprawy zawisły w próżni.

Czy ten stan rzeczy jest niepokojący? Nie; byłby nim gdybyśmy o nim nie wiedzieli. Nie znajdujemy w naszej literaturze zbawczego niepokoju metafizycznego, kręci się ona w swych najlepszych objawach dookoła kwestji ułamkowych, dookoła haseł i programów, ale niewątpliwie ten właśnie metafizyczny niepokój, który płynie tak wspaniałym blaskiem w literaturze francuskiej, istnieje już w duszach społeczeństwa, a przedewszystkiem w duszach młodzieży.

Bo czemżeż innem jest ta wzruszająca tęsknota za ideałem, to szukanie go, to marzenie o nim? Jest to napewno zbawienny niedosyt spraw ziemi, jest to wołanie, które wprowadza człowieka na drogi poszukiwań wiecznych.

Epoka, którą obecnie przeżywamy przypomina mi mocno duszną i męczącą epokę, jaką przeżywała młodzież francuska w ostatnich latach przedwojennych, tę epokę, w której z rozpaczą szukali prawdy, szukali ideału życia godnego człowieka Psichari, Péguy, Rivière. Naszą sytuację komplikuje nawyk do długoletniego zmaterjalizowanego, konkretnego, ideału życia. Podświadomie szukamy czegoś analogicznego, czegoś „w tym rodzaju". Powoli dojść musimy do zrozumienia tej prawdy, że jedynym ideałem godnym tej nazwy jest ideał prawdy absolutnej, że ten ideał, który w cichości przebudowuje każdą duszę od wewnątrz, jest także ideałem, który tworzy i kształtuje wszelkie systemy polityczne i społeczne, moralne, kulturalne i artystyczne, że jedyna prawda, która ukaże nam ideały życia, ideały które potrafią nas zaspokoić, może na nas spłynąć z źródła wszelkiej prawdy i z celu wszelkich zamierzeń — z Boga.

I wbrew wszystkim hasłom, chcącym zepchnąć religję do zakrystji, wbrew hasłom utrzymującym, że jest ona tamowaniem kultury, że jest wrogiem ideologji państwowotwórczej i ideologji sprawiedliwości społecznej, wierzę niezłomnie, że właśnie w religijnem, w katolickiem życiu coraz bujniej rozkwitającem wśród młodzieży, w katolickich ugrupowaniach i stowarzyszeniach, rodzi się i gruntuje wielki Mit naszego życia, wielka jego ideologja. Wierzę, że pokolenie teraz dorastające da wyraz tym swoim tęsknotom i przeczuciom i w literaturze i w życiu, bo wierzę, że wielkim, wszystko ogarniającym ideałem, ideałem za którym tak wzruszająco tęskni dzisiejsza młodzież, może być tylko metafizyczny ideał absolutnej prawdy i absolutnej miłości. Jedynie on najskuteczniej i najsłuszniej ukształtuje od wewnątrz całe nasze życie, on swem światłem wiecznem będzie nam wskazywał najsprawiedliwsze, najbardziej pełne miłości formy bytowania doczesnego, on będzie ukazywał cele jedynie godne objąć i porwać bez reszty duszę człowieka.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Biskupin, zatopiona wieś prasłowiańska z przed 2500 lat.

Historja odkrycia i dotychczasowe badania.

Jesienią 1933 r. kierownik szkoły w Biskupinie, p. Walenty Szwajcer, w czasie przechadzki nad brzegiem jeziora biskupińskiego zauważył na półwyspie tegoż jeziora sterczące z wody ukośne pale, które wziął za krokwie zatopionych domów. Gdy dowiedział się od właściciela gruntu, p. Jerchy, że przy kopaniu torfu znajdował on w pobliżu drzewo obrabiane i rozmaite zabytki przedhistoryczne, zawiadomił o odkryciu Dział Przedhistoryczny Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. Przybywszy na miejsce, stwierdziłem, że mamy do czynienia z osadą przedhistoryczną, pochodzącą z początku epoki żelaznej (t. zn. z czasu między 700 a 400 przed Chr.) i założoną przez prasłowiańską ludność cmentarzysk ciałopalnych typu łużyckiego, którą określamy krótko jako ludność kultury łużyckiej. Od większości innych współczesnych osad osiedle biskupińskie różni się tem, że założone zostało na gruncie wilgotnym, bagnistym i stąd mówimy tu o osadzie bagiennej. Ponieważ żadna podobna osada w Polsce nie została dotąd dokładniej zbadana, a wilgotne podłoże gwarantowało bezporównania lepsze zachowanie się różnych zabytków, przedewszystkiem zaś części istniejących tu ongiś budowli, niż w osadach na gruncie suchym, postanowiłem zbadać osadę biskupińską systematycznie. W r. 1934 przeprowadzono tu siedmiotygodniowe rozkopywania próbne przy udziale 30 robotników, które dały niezwykle cenne wyniki, a w r. ub. kopano tu już przez pięć miesięcy przy

udziale od 60 do 80 robotników, odkrywając w sumie około 4000 m.^{2} powierzchni osady. Nigdy jeszcze żadne badania w Polsce nie dały tak dokładnego obrazu wyglądu wsi przedhistorycznej, sposobu budowy domostw, urządzeń obronnych i całokształtu kultury materjalnej, gospodarczej i społecznej naszych przodków, jak rozkopywania w Biskupinie. Dopiero jednak odkrycie całego osiedla da nam możność dokładnego poznania jego rozplanowania i pozwoli wyjaśnić pewne wątpliwości, jakie się nasunęły w czasie dotychczasowych badań. To też badania w r. b. będą prowadzone dalej z zamiarem rozkopania jaknajwiększej części zamieszkanego ongiś terenu.

Obronny charakter osady.

Spostrzeżenia poczynione przy rozkopywaniach naszych dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że osada biskupińska założona została na dawnej powierzchni torfowiska, położonego w pewnych punktach o cały metr niżej od dzisiejszego poziomu półwyspu. Był to zatem grunt niehigjeniczny, wilgotny, pełen wyziewów malarycznych, zaludniony komarami i stanowiący poza tem nieszczególny teren budowlany. Tylko jakieś wyjątkowo ważne przyczyny mogły skłonić naszych przodków do osiedlenia się w tak niekorzystnem dla osadnictwa miejscu. Przyczyną decydującą był tu niewątpliwie wzgląd na obronność miejsca, położonego na długim półwyspie, wysuniętym w jezioro i otoczonym od strony lądu bagnami. To miejsce z natury już obronne, otoczono jeszcze w koło wałami ziemnemi, ujętemi w konstrukcję drewnianą. U nasady półwyspu, w południowej jego stronie, zachowały się do dziś ślady tego wału, który w innych miejscach uległ widocznie rozmyciu przez wody jeziora. Przy kopaniu znajduje się jednak wszędzie na linji dawnego wału, przy brzegach półwyspu, doskonale zachowane dolne części obronnych konstrukcyj drewnianych, t. zw. izbic, ongiś wypełnionych ziemią ubitą i wznoszących się do wysokości kilku metrów ponad ówczesny poziom półwyspu. Te drewniane „mury" obronne budowane były z układanych na sobie i krzyżujących się pod kątem prostym okrągłych belek, tworzących jakgdyby rząd skrzyń prostokątnych. Dla le-

pszego związania z sobą, belki zaopatrywane były w nacięcia na skrzyżowaniach, a z zewnątrz cała ściana muru podparta była potężnemi słupami pionowo wbitemi w ziemię. W ciągu zeszłorocznych rozkopywań stwierdzono, że takie drewniane wały obronne, wypełnione ziemią, wznoszono trzykrotnie na stronie północnej półwyspu. Najstarszy z tych wałów, najdalej wysunięty ku północy, uległ naporowi wody i został prawie zupełnie rozmyty przez fale jeziora, tak, że zachowały się z niego prawie same tylko podwaliny. Po jego zniszczeniu zbudowano, odsunięty nieco od brzegu, nowy wał, ok. 3 m. szeroki, który najwidoczniej na znacznej przestrzeni uległ zniszczeniu przez pożar, jak wskazują zwęglone belki, i został następnie zastąpiony trzecim wałem, nieco węższym (o szerokości ok. 2,50 m.), najlepiej do dziś zachowanym. Dla ochrony brzegu przed rozmywaniem i dla uniknięcia ponownej katastrofy podmycia wału, wzmocniono brzeg układanemi poziomo belkami, przytrzymywanemi w pozycji przez grube pale, ukośnie wbijane w brzeg jeziora. Ten falochron, który odkrywcy osady nasunął przypuszczenie, że są to dachy zatopionych domów, tworzy w niektórych miejscach bardzo szerokie pasmo, złożone aż z 10 rzędów pali. Nie cały falochron zbudowano naraz. Najstarszą jego część reprezentują dwa rzędy pali, najbliższe środkowego wału obronnego, znacznie niższe od reszty i oddzielone od nich wolną przestrzenią. Najwidoczniej niski pierwotnie łamacz fal podwyższono i wzmocniono naskutek podniesienia się poziomu jeziora. Z faktów powyższych wynika, że osada bagienna w Biskupinie była grodem warownym, założonym na miejscu obronnem już z natury, którego warunki naturalne umiejętnie wykorzystano, podnosząc obronność terenu przez wzniesienie wkoło półwyspu wałów drewniano-ziemnych. W wale tym musiały istnieć conajmniej dwie bramy: jedna od strony południowej, przy nasadzie półwyspu, druga zapewne na północy od strony jeziora. Zadaniem tegorocznych badań będzie m. in. odnalezienie tych bram.

Rozplanowanie osady.

O dokładnym planie całej osady tak długo nie będziemy mogli powiedzieć ostatniego słowa, dopóki nie roz-

kopiemy całej przestrzeni przez nią zajętej. Jednakże już dotychczasowe badania dały nam pewne pojęcie o bardzo planowem i oryginalnem jej rozplanowaniu. Odkryliśmy dotychczas na przekopanym terenie sześć prawie ściśle równoległych ulic, ciągnących się z zachodu na wschód i połączonych ulicą okrężną, biegnącą mniejwięcej półkolisto i równolegle do brzegu jeziora, na wewnątrz od wału. Ta ulica okrężna była jedynem połączeniem owych sześciu poprzecznych, równoległych ulic, tem niezbędniejszem, że wszystkie domy, zbudowane rzędami wzdłuż tych ulic, posiadały tylko jedno wyjście od strony południowej, a nie miały żadnego połączenia z ulicą sąsiednią, do której przylegały ich tyły. Chcąc się więc dostać na najbliższą ulicę równoległą, trzeba było dojść do końca tej, przy której mieszkano, a potem ulicą okrężną przejść do następnej. Takich ulic poprzecznych było zapewne na nierozkopanej jeszcze przestrzeni drugie tyle, tak, że ogółem było ich kilkanaście. Czy w dalszej, niezbadanej jeszcze części osady znajdowały się jakieś połączenia pomiędzy owemi ulicami równoległemi poza ową drogą okrężną, czy dalej istniał może w osadzie jakiś plac niezabudowany, służący jako miejsce zebrań, sądów czy targów, trudno na razie powiedzieć; mogą to wykazać dopiero przyszłe rozkopywania. W części zbadanej tylko w jednem miejscu znalazł się ślad uliczki, łączącej dwie ulice równoległe, jednakże uliczka ta została rychło zniesiona i wciągnięta w obrąb domu, powiększonego o jej szerokość. Brak uliczek łączących, konieczność wykorzystywania ulicy okrężnej dla przejścia z jednej równoległej do drugiej, stanowiły pewne utrudnienie dla mieszkańców, jednakże nie należy zapominać, że mamy przed sobą nie zwykłą osadę, lecz fortecę, gdzie należało wyzyskać każdy metr ziemi, gdzie względy na wygodę schodziły z konieczności na drugi plan. Tendencja do jaknajskrupulatniejszego wykorzystania miejsca wyraża się też w tem, że wszystkie domy, stojące przy jednej ulicy, przylegają bezpośrednio do siebie, stykając się szczytami, a nieraz mają wprost wspólne ściany szczytowe. Ulice są do 3 m. szerokie i wymoszczone grubemi balami dębowemi.

Budowa domów.

Na przekopanej dotąd przestrzeni odkryto ponad 30 domów, zbudowanych w technice łątkowej czyli sumikowej. Na rogach domu wbijano cztery słupy, t. zw. „łątki", zaopatrzone na całej długości w dwa żłobki pionowe, wycięte pod prostym kątem do siebie dla wpuszczania w nie leżących belek, t. zw. „sumików", układanych poziomo na sobie. Dla umożliwienia użycia krótszych belek, ustawiano w środku ściany, pomiędzy słupami narożnemi, podobne, ale płaskie słupy z analogicznemi i przeciwległemi wycięciami pionowemi. Podobnie płasko obciosane słupy stanowiły odrzwia, z tą tylko różnicą, że od strony drzwi miały ściany gładkie, a tylko od strony zewnętrznej zaopatrzone były w żłobki pionowe dla wsuwania sumików. Domy biskupińskie składały się z dwóch ubikacyj: izby głównej i przedsionka, zajmującego całą szerokość frontu domu, a wyjątkowo tylko (w dwóch wypadkach) stwierdzono istnienie domów trzyizbowych, złożonych z izby głównej i oddzielonej od niej komory i przedsionka. Największe domy dochodzą do 10 m. długości, a 9,50 m. szerokości. W każdej chacie znajdowała się podłoga drewniana, zbudowana z belek dębowych czy sosnowych, układanych na warstwie faszyny z drążków brzozowych, u których zachowała się doskonale kora. W izbie głównej, na prawo od wejścia, a więc na miejscu poczesnem, znajdowało się okrągłe ognisko, najczęściej ułożone z kamieni polnych, mające do 2,50 m. średnicy. Zarówno ognisko, jak i podłoga drewniana były pokryte warstwą gliny, zapewne dla izolacji od wilgoci. Ta warstwa gliny chroniła zarazem podłogę przed pożarem. Wejścia do domów zawsze znajdowały się od strony południowej i były dość szerokie, ze względu na to, że wobec braku okien, służyły one równocześnie do wpuszczania światła dziennego. Z tego też powodu otwór drzwi zewnętrznych (przedsionka) jest stale nieco szerszy niż drzwi izby głównej. O ile drzwi wewnętrzne dochodzą do 2 m., to drzwi przedsionka są nieraz do 2,50 m. szerokie. W jaki sposób i czem zamykano te drzwi, szczególnie w porze zimowej, trudno narazie powiedzieć, ponieważ samych drzwi dotychczas nie znale-

ziono. Latem zamykano domy zapewne furtkami. Taką furtką mogła być uszkodzona, prostokątna krata z trzech drążków pionowych, połączonych pięciu drążkami poprzecznemi, zaczopowanemi doskonałą stolarską robotą, jaką znaleziono w r. ub. na dawnej powierzchni torfiska, gdzie porzucono ją jako nieprzydatną już do użytku z powodu uszkodzenia. Odrzwia domów, a także łątki śródścienne umocowywano nieraz bardzo umiejętnie, żeby zapobiec grzęźnięciu ich w bagnie. Mianowicie wiercono otwór w dolnej ich części, przetykano przezeń drążek i podpierano go kilku poprzecznemi drążkami, opieranemi na powierzchni torfiska. W kilku domach odkryto doskonale zachowane progi drewniane. Ze ścian domów zachowały się oczywiście tylko części dolne, w najlepszym razie udało się odnaleźć trzy belki poziome i sumiki leżące ponad sobą. Mimo to możemy się pokusić o określenie wysokości ścian, dzięki tej okoliczności, że w kilku wypadkach zachowały się dawne słupy (łątki) z pionowemi żłobkami do wsuwania sumików, z rozebranych, starych domów, zużyte ponownie jako belki podłogowe lub sumiki. Jedna z takich łątek ma przeszło 4 m. długości, inna 3,24 m. Gdyby nawet przyjąć, że słupy te były pierwotnie do 1 m. zagłębione w torfisko, na którem osiedle zbudowano, to i tak jeszcze na wysokość ściany przypadałoby od 2,24 m. do 3 m. Oczywiście trzeba się liczyć z możliwością, że dłuższy z wspomnianych tu dwóch słupów, służył ongiś jako podpórka ślemienia, t. zn. belki środkowej, dźwigającej dach, i że tem tłumaczy się jego wysokość. Takie słupy do dźwigania ślemienia znajdowano wielokrotnie w domach biskupińskich, zarówno wbijane tuż przy ścianach szczytowych, mniejwięcej w środku szerokości izby głównej, jak i wewnątrz domów. Z umieszczenia tych słupów, przeznaczonych do dźwigania ślemienia wynika, że nad izbą główną wznosił się dach dwuspadowy, natomiast przedsionek musiał mieć osobny dach ukośny o innem nachyleniu. Najprawdopodobniej dachy poszczególnych domów, stojących w jednym rzędzie, łączyły się z sobą bez przerwy. Czy przedsionki miały stałe ściany sięgające aż do dachu, czy też należy je sobie wyobrażać częściowo jako otwarte podsienia, na to niepodobna dotąd z całą pewnością odpo-

wiedzieć. Przy jednem z ognisk znalazły się dwa ustawione ukośnie na krawędzi drążki drewniane, które razem z innemi niezachowanemi drążkami przytrzymywały ongiś rożen albo służyły jako oparcie dla sznura, na którym zwisał nad ogniem garnek do gotowania. Z urządzenia wewnętrznego domów zachowało się kilka pni, służących jako stołki oraz podwaliny zbiorowego legowiska (pryczy) w rogu jednego z domów.

Losy osady.

Wobec gęstego zabudowania osady i stykania się domów szczytami, wybuchające tu pożary musiały szerzyć straszne spustoszenia. Ślady takich pożarów widzimy w wielu chatach a także w środkowym wale obronnym. Po pożarze odbudowywano dom na tem samem miejscu, nie usuwając całkowicie szczątków dawnych ścian i podłóg i używając do nowej budowy zdrowych części dawnych domów. W niektórych więc wypadkach spotykamy tuż obok siebie podwójne odrzwia, słupy narożne i łątki śródścienne, pochodzące z dwóch różnych domów, budowanych kolejno po sobie na tem samem miejscu, a nieraz odnajduje się nawet szczątki trzech chat ponad sobą, szczególnie w niżej położonej części półwyspu. Jeszcze groźniejszym jednak wrogiem mieszkańców półwyspu, były wzbierające wody jeziora. Obok krótkotrwałych powodzi wiosennych, zalewających czasowo osiedle lub przynajmniej powodujących przesiąkanie od dołu wody gruntowej, w miarę podnoszenia się poziomu jeziora, trzeba liczyć się ze stałem podnoszeniem się wód w ciągu trwania osadnictwa. Wyraźnym dowodem tego stałego podnoszenia się wody w jeziorze, są podwyższane podłogi wielu chat, szczególnie w niżej położonej północnej części półwyspu. Mamy tu często dwie podłogi ponad sobą, oddzielone warstwą ziemi od 30 do 50 cm., oraz po dwa ogniska ponad sobą, a tak samo spotykamy tu podwójne nawierzchnie drewniane na drogach. Z reguły przytem zarówno w domach jak w ulicach warstwa dolna budowana jest solidnie z grubych bierwion dębowych, warstwa górna zaś ułożona mniej dbale, jakgdyby w pośpiechu, zazwyczaj z cienkich drągów brzozowych. Dalszym świadectwem tego zalewu, który zmu-

sił mieszkańców do podwyższania podłóg chat i poziomu ulic, jest rozmyty przez wodę najstarszy wał obronny, o którym wyżej wspominaliśmy. Wszystkie te zabiegi nie pomogły jednak, bo wobec stałego podnoszenia się wody w jeziorze, trzeba było się zdecydować wreszcie na opuszczenie osady. Z całego szeregu spostrzeżeń w Polsce i zagranicą wiemy, że wczesny okres żelazny, z którego pochodzi nasza osada, odznaczał się wybitnie wilgotnym klimatem. Kiedy zakładano osadę w początku tego okresu, poziom wody w jeziorze musiał być znacznie niższy niż obecnie, chociaż teraźniejsza powierzchnia jeziora i tak jest znacznie niższa niż kilka lat temu, opadła bowiem w związku z pogłębieniem koryta Gąsawki, przepływającej jezioro oraz z powodu suszy przeszłorocznej. Dowodem niższego ongiś poziomu wód jest fakt, że ogniska licznych chat w dolnej części półwyspu znajdują się obecnie poniżej poziomu wody gruntowej, a ostatni rząd domów przy północno-zachodnim brzegu półwyspu wraz z częścią wałów obronnych i falochronem, spoczywa obecnie pod wodą jeziora i może być zbadanym dopiero po odgrodzeniu tej części jeziora zaporą nieprzepuszczalną. Jak dalece zaś poziom jeziora wzrósł pod koniec istnienia osady, widać stąd, że osada została zamulona warstwą szlamu jeziornego, dochodzącą do 1 m. grubości. Tak daleko, jak sięgnęła woda, pokrywając dolne części chat i wałów oraz drogi, tak dalece zakonserwowały się w wilgotnym gruncie części budowli, reszta natomiast, wystająca ponad wodę i ponad naniesiony szlam i piasek, narażona na wpływy atmosferyczne, uległa oczywiście zniszczeniu. Katastrofa, która wypędziła naszych przodków z półwyspu, była więc błogosławieństwem dla nauki, tak samo jak wybuch Wezuwjusza, który zniszczył Pompei i Herculanum.

Gospodarka mieszkańców.

Tej samej katastrofie zawdzięczamy także znaczną część naszych wiadomości o życiu i kulturze mieszkańców osiedla biskupińskiego. W wilgotnym gruncie przechowały się doskonale rozmaite szczątki organiczne, jak np. wyroby drewniane, kościane, rogowe, włókna roślinne i nasiona roślin

uprawnych, umożliwiające nam dokładniejsze określenie zajęć i gospodarki mieszkańców. Niewątpliwie ludność osady żyła głównie z rolnictwa i hodowli bydła. Dowodem uprawy roli są licznie znajdowane ziarna zboża, zachowane w postaci zwęglonej szczególnie w pobliżu ognisk. W roku ub. stwierdzono przy przepłukiwaniu ziemi z pobliża ognisk ziarna pszenicy, żyta i prosa, dalej znaleziono dużą ilość maku, orzechy laskowe i nieokreślone jeszcze bliżej ziarna innych roślin. Dalszym dowodem znaczenia rolnictwa są spotykane w osadzie żarna kamienne oraz rozcieracze, służące do mielenia zboża, wreszcie narzędzia rolnicze, jak sierpy żelazne a także przybory kuchenne jak tłuczki i mątewki drewniane do rozmącania potraw mącznych, oraz krążkowate talerze gliniane, używane jako podkładki do pieczenia niskich chlebków, podobnych do naszych podpłomyków. Zbadanie znalezionych w osadzie kości zwierzęcych wykazało, że ludność półwyspu znała już wszystkie hodowane w dzisiejszych gospodarstwach zwierzęta ssące, a więc poza psem trzymała konie, krowy, świnie, owce i kozy. Polowanie i rybołówstwo odgrywały tylko drobną rolę w gospodarce, jak wynika z nikłego procentu kości zwierząt dzikich i ości rybich w stosunku do kości zwierząt domowych. Polowano przedewszystkiem na jelenie i sarny ze względu na rogi, z których wyrabiano rozmaite narzędzia, rzadziej na dziki, niedźwiedzie, wilki, bobry, zające oraz na ptactwo, jak kaczki dzikie i jastrzębie. Na jednem z naczyń glinianych, znalezionych w r. 1934 w Biskupinie, wyryta jest scena polowania, przedstawiająca myśliwych na koniach i ścigane przez nich jelenie. Na innem naczyniu znalezionem w r. ub., widzimy tylko kilku jeźdźców. Ponieważ ze współczesnych cmentarzysk kultury łużyckiej znamy także wędzidła żelazne, możnaby stąd wnioskować, że w początku epoki żelaznej upowszechnia się zwyczaj używania konia do jazdy wierzchem, przy łowach i na wyprawach wojennych, jako zwierzęta pociągowe bowiem po dawnemu pewnie służyły woły. Świadectwem rybołówstwa są obok ości rybich, przedewszystkiem pławiki z kory sosnowej, znalezione w kilku egzemplarzach w osadzie.

Rzemiosła.

Jakkolwiek podstawą utrzymania ludności biskupińskiej było rolnictwo i hodowla bydła, to jednak w grodzie badanym kwitnęły też rozmaite rzemiosła. Ciesiołkę, której świetną znajomość poświadczają nam zachowane szczątki domów i budowli obronnych, uprawiali zapewne wszyscy mężczyźni, jak do niedawna u nas w Tatrach czy na Huculszczyźnie. Natomiast inne rzemiosła, jak np. garncarstwo, wymagały już specjalizacji. Dotychczas nie udało się wprawdzie odkryć pieca garncarskiego w osadzie, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że olbrzymie ilości naczyń glinianych, których ułamki znajdujemy po chatach, nie mogły być sprowadzane z daleka, lecz były wyrabiane na miejscu. Naczynia są nieraz pięknie zdobione ornamentyką rytą i inkrustowane białą masą, częściowo zaś powleczone grafitem lub nawet barwione przy pomocy barw ziemnych. W chwili obecnej Biskupin jest punktem najdalej na północno-wschód wysuniętym w Polsce, który dostarczył naczyń malowanych. Ceramika z osady biskupińskiej niczem nie różni się od naczyń ze współczesnych grobów, co jeszcze wymowniej przekonywa nas, że nie było żadnej specjalnej ceramiki grobowej, lecz że dawano zmarłym do grobu naczynia używane przez nich za życia, jako zaopatrzenie na życie przyszłe. Z całą pewnością wiemy, że w obrębie grodu uprawiano odlewnictwo bronzowe, jak tego dowodzą znalezione w osadzie ułamki glinianych form odlewniczych do wyrobu naszyjników, szpil i innych przedmiotów. Dotychczas w jednej tylko miejscowości w Polsce mianowicie w Rydzynie (w pow. leszczyńskim), odkryto formę odlewniczo-kamienną. Obecnie Biskupin dostarczył dalszego dowodu istnienia rodzimego odlewnictwa, przyczem formy znalezione w Biskupinie są o tyle cenniejsze, że należą do kategorji t. zw. form niszczejących, które bardzo rzadko tylko zachowują się w wykopaliskach. Lepiono je bowiem z gliny naokoło woskowego modelu przedmiotu, który chciano odlać, wytapiano następnie wosk, w próżnię powstałą po wytopieniu wosku wlewano metal roztopiony i dla wydobycia przedmiotu rozbijano formę. Za każdym razem trzeba więc było

formę podobną lepić na nowo i niszczyć dla wyjęcia ulanego przedmiotu. Z innych rzemiosł uprawiano kołodziejstwo, które też chyba było zajęciem specjalistów. Dowodem istnienia tego rzemiosła jest odkryte w osadzie drewniane koło tarczowate z czworokątnym otworem dla osi i dwoma przeciwległemi półkolistemi otworami po obu jego stronach. Koło to, obracające się najprawdopodobniej wraz z osią, podobnie jak koła naszych wagonów kolejowych, jest pierwszym tego rodzaju okazem, znalezionym na północ od Alp, dotychczas bowiem znano koła podobne jedynie z Włoch. Że jednak w Biskupinie były znane także koła typu dzisiejszego z piastą i szprychami, dowodzi odkrycie w r. ub. minjaturowego, glinianego modelu podobnego koła o czterech szprychach. — Liczne mamy z Biskupina świadectwa tkactwa w postaci płaskich, glinianych ciężarków od wrzecion, t. zw. przęślików, dalej dużych glinianych ciężarków od krosien kształtu graniastosłupów oraz włókien roślinnych, używanych do przędzenia i tkania. We drzwiach jednego z domów odkryto większą ilość takich włókien, które widocznie suszyły się tu w chwili opuszczenia osady, niestety nie określono dotąd z całą pewnością, czy są to włókna lnu czy konopi. Wspomniana wyżej krata, służąca może jako furtka, z doskonale zaczopowanemi drążkami poprzecznemi, stanowi dowód znajomości rzemiosła stolarskiego, a znajdowane w osadzie narzędzia żelazne, dowodzą istnienia kowalstwa. Uderza częste posługiwanie się kością i rogiem przy wyrabianiu narzędzi i broni. Trudno to tłumaczyć ubóstwem ludności, której nie stać było na wyroby metalowe, bo przeczą temu znajdowane w osiedlu piękne ozdoby bronzowe i żelazne, paciorki szklane i zbytkowna ceramika. Poprostu trzeba przyjąć, że dla pewnych celów róg i kość lepiej się nadawały, a dla niektórych masowo używanych przedmiotów, jak groty strzał, żelazo czy bronz były za drogie.

Ustrój społeczny.

Najmniej z natury rzeczy powiedzieć możemy o ustroju społecznym mieszkańców grodu biskupińskiego. Niezwykle planowe założenie osiedla, zbudowanego według jednej myśli przewodniej, wyglądającego nieledwie tak, jakgdyby ob-

myślił je nowoczesny urbanista, dalej opisane wyżej potężne umocnienia brzegu i potrójne wały obronne, wzniesione wspólnym, karnym wysiłkiem, wskazują na istnienie silnej władzy naczelnej, która umiała sobie zapewnić posłuch bezwzględny. Z rozmaitych danych można wnioskować, że domy, ich urządzenie i inwentarz żywy były indywidualną własnością mieszkańców, już dawno wyjętą ze wspólnego władania. W tym samym kierunku wskazuje też istniejący w osadzie wyraźny podział pracy w postaci różnych rodzajów wykwalifikowanych rzemieślników — specjalistów. Zaznaczały się też prawdopodobnie pewne różnice majątkowe wśród ludności grodu, chociaż nie mogły one być zbyt duże, jak wynikałoby z zupełnie prawie równych rozmiarów domów, wśród których żaden dotąd nie wyróżnia się szczególnie dużemi rozmiarami. Istnienie zabawek dziecięcych, jak grzechotki, figurki ptaszków (służące może jako gwizdawki) oraz naczyńka minjaturowe, świadczy niewątpliwie o miłości, z jaką odnoszono się do dzieci. O wierzeniach religijnych nic dotąd bliższego powiedzieć nie możemy. Może tegoroczne badania doprowadzą do odkrycia jakiegoś miejsca kultu w osadzie. Czy znajdowane w osadzie przedziurawione kły zwierzęce służyły jako amulety, chroniące od uroku czy też były to zwykłe ozdoby, trudno powiedzieć na pewno.

Datowanie osady. Inne ślady osadnictwa na półwyspie.

Określenie wieku osady umożliwiają nam zabytki, typowe dla wczesnego okresu żelaznego, jak n. p. bronzowe i żelazne szpile z łabędzią szyjką, żelazne siekierki z tuleją, sierpy żelazne z odgiętemi końcami, a przedewszystkiem charakterystyczne formy ceramiki. Wśród wyrobów metalowych, szczególnie wśród ozdób, bronz jeszcze wyraźnie przeważa nad żelazem, zaczynającem się dopiero zadomawiać. Jeżeli chodzi o określenie wieku osady w cyfrach, to cenną wskazówką są znalezione w Biskupinie paciorki z niebieskiego szkła, importowane z Egiptu, które pozwalają nam datować osiedle na czas pomiędzy 700 a 400 przed Chr. Osada nasza jest współczesna z cmentarzyskiem ciałopalnem,

odkrytem w r. 1934 na jednem z wzgórz nad północno-zachodniem wybrzeżem jeziora na polu p. Rusta. Tutaj niewątpliwie mieszkańcy osady grzebali swych zmarłych, przewożąc ich łodziami przez jezioro.

Po opuszczeniu grodu przez prasłowiańską ludność kultury łużyckiej w związku z grożącem zalaniem półwyspu, przez długi czas miejsce opuszczonej osady było niezamieszkałe. Zapuszczali się tu ludzie — może w pogoni za zwierzyną — w okresie rzymskim, jak świadczy srebrny denar rzymski, znaleziony w r. 1934 na wale zamykającym półwysep. Następnie dopiero w jakimś VI w. po Chr. zjawili się tu bezpośredni nasi przodkowie: Polanie, którzy zamieszkali tu przez kilka wieków, jak świadczą pozostałe po nich szczątki naczyń, początkowo lepionych z wolnej ręki, później toczonych na kole, oraz rozmaite wyroby kościane i metalowe, np. żelazne noże, żelazna ostroga wykładana srebrem i miedzią, srebrny paciorek zdobiony filigranem i inne przedmioty. Ludność ta wykorzystała resztki istniejących tu wałów i zbudowała nowy, mniejszy znacznie gród, którego ślady zachowały się jeszcze w terenie i któremu do dziś półwysep zawdzięcza swą nazwę ludową: Grodzisko. Zagadkowe są dotychczas nieliczne zabytki z młodszej epoki kamiennej, odkryte na półwyspie, w postaci toporków i siekier kamiennych, narzędzi i odpadków krzemiennych, kamiennych płyt do polerowania i t. d. Wydaje się dość nieprawdopodobnem, żeby miały one stanowić pozostałość po osadzie istniejącej na półwyspie już w młodszej epoce kamiennej, a raczej przyjąć należy, że zabytki te dostały się tu z ziemią przywożoną z lądu celem podwyższenia poziomu osady.

Odsłonięta część osady wywiera na wszystkich zwiedzających niezapomniane wrażenie. Dzięki sprzyjającym okolicznościom zachowała się dalsza część osady w postaci jakgdyby skamieniałej, nieledwie w takim stanie, w jakim opuścili ją dawni mieszkańcy w chwili katastrofy, jaka ich stąd wypłoszyła. Prehistorycy zagraniczni, którzy zwiedzali wykopaliska w Biskupinie, nie mieli dość słów zachwytu dla jedynego w swoim rodzaju stanu zachowania drewnianych konstrukcyj obronnych, umocnień brzegu, dróg i samych

domów. Zgadzali się z nami w tem, że należałoby bezwzględnie dążyć do zachowania jaknajwiększej części odkrytej osady na wieczne czasy jako rezerwatu prehistorycznego, któryby stanowił olbrzymią atrakcję dla zwiedzających. Urzeczywistnienie tego zamiaru będzie oczywiście zależało od zdobycia potrzebnych na ten cel, dość znacznych funduszy. Na razie musieliśmy się niestety jesienią u. r. z ciężkiem sercem zdecydować na zasypanie odkrytej części osady na czas zimowej przerwy w pracach, aby ochronić budowle drewniane przed zniszczeniem przez mrozy i rozkradzeniem przez ludzi. Miejmy nadzieję, że w r. b. znajdzie się dostateczna ilość pieniędzy nie tylko na kontynuowanie rozpoczętych rozkopywań, lecz także na utrwalenie budowli drewnianych, na zabezpieczenie ich przed zniszczeniem i zachowanie tej cennej pamiątki po naszych przodkach dla przyszłych pokoleń.

J. Kostrzewski.

Kardynał Richelieu w świetle najnowszych prac historycznych.

Bezpośrednich impulsów do skreślenia kilku uwag o najnowszych pracach, poświęconych życiu i roli dziejowej Richelieu'go, dostarczyła nam książka C. J. Burckhardta, *Richelieu, der Aufstieg zur Macht* (Monachjum 1935). Autor, profesor uniwersytetu w Zurychu, przeznaczył swą książkę nie dla uczonych, lecz dla „szerszej publiczności". Pragnął w niej przedstawić, w jaki sposób, w jakich warunkach, poczęła i rozwijała się karjera życiowa i polityczna jednego z największych przywódców narodu *(Führergestalt)* w historji nowożytnej. Nie sięgał Burckhardt po nowe materjały archiwalne. Natomiast doskonale panuje nad źródłami drukowanemi, jaknajlepiej jest obeznany również z nowszemi monografjami historyków francuskich. Choć tedy starał się napisać książkę do czytania dla niefachowców, dając czytelnikowi pierwszorzędną narrację, obficie podmalowując tło epoki, pozwalając sobie przytem na częste (zawsze arcyciekawie ujęte) dygresje, chętnie posługując się materjałem anegdotycznym, — nigdy jednak nie traci gruntownej podstawy źródłowej. Wielka erudycja, głębokie wniknięcie w psychikę ludzką, świetna forma opowiadania i piękno stylu: łączą się w jedno w tej książce, dając w sumie niezwykłe przeżycie duchowe i artystyczne. Książka Burckhardta stoi tedy nierównie wyżej od tak modnej obecnie literatury biograficzno-historycznej, cieszącej się dzisiaj niezwykłą poczytnością. Na polskim rynku księgarskim roi się od przekładów tego typu wydawnictw obcych, których poziom jest bardzo nierówny; tematy historyczne traktuje się

nader często pod kątem widzenia wydobycia tanich efektów sensacji. Wydaje się, że pociąg publiczności czytającej do książki historycznej, przyzywającej z oddali wieków wielkie momenty dziejowe, szczególnie postacie tych ludzi, których działalność wycisnęła na rozwoju dziejowym swe piętno niezatarte, winni częściej, niż to ma miejsce, zaspakajać sami historycy — pod warunkiem, że mogą dać czytelnikowi książkę naprawdę dla niefachowca przystępną. Takie zaś książki dopiero przyczynią się rzetelnie do pogłębienia znajomości historji wśród szerszej publiczności. Książka Burckhardta może poniekąd posłużyć za wzór, jak można pisać przystępnie, nie porzucając ani na chwilę podstawy źródłowej, dając gruntowny obraz stosunków społecznych, kulturalnych, wyznaniowych i politycznych epoki, oraz wnikliwą, opartą na głębokiem znawstwie psychiki ludzkiej, charakterystykę działających osób.

I.

Na pierwszych kartach swej książki Burckhardt obszernie omawia środowisko, z którego wyszedł Armand du Plessis de Richelieu. Ojciec (Franciszek) z średnio zamożnej szlachty, dworzanin Henryka III, [1]) po tegoż tragicznej śmierci należał do tych katolików, którzy nie wahali się uznać w Henryku Bourbonie (choć jeszcze wtedy hugonocie) prawowitego króla Francji. Matka (Zuzanna de la Porte), z zamożnej rodziny mieszczańsko-urzędniczej (*noblesse de robe*). Przypadło jej w udziale ciężkie borykanie się z trudnościami finansowemi (majątek był obdłużony), gdy po przedwczesnej śmierci męża (1590) spadło na jej głowę wychowanie dzieci. Pięć lat przed zgonem ojca ujrzał światło dzienne (9 IX 1585) na zamku rodzinnym (w Poitou) Armand, dziecko wątłe i nerwowe. Mimo słabego zdrowia rozpoczął Armand za przykładem starszego brata wdrażać się do służby wojskowej, gdy nagle wzgląd na stosunki fi-

[1]) Tenże Franciszek Richelieu musiał w młodych latach z powodu zabójstwa, popełnionego na wrogu swej rodziny, opuścić Francję; przyłączył się następnie do orszaku Henryka Valois, bawił z nim w Polsce i zaskarbił sobie jego względy.

nansowe rodziny zmusił go do przywdziania szat duchownych (celem uratowania dla rodziny dochodów z biskupstwa Luçon). Oddał się teraz z zapałem studjom teologicznym w Paryżu, i w roku 1606 wybrany został biskupem Luçon. Nie miał jednak przepisanego wieku kanonicznego i udał się dla uzyskania dyspensy do Rzymu, poparty przez Henryka IV, który trafnie ocenił wybitne zdolności Armanda. W Rzymie wywarł Richelieu wrażenie jak najlepsze, uzyskał dostęp do kardynałów i do papieża Pawła V; wrócił z święceniami biskupiemi do kraju. Zakończenie studjów teologicznych, doskonała obrona tezy doktorskiej w Sorbonie — zamknęły ten pierwszy etap życia Richelieu'go. Teraz przyszło opuścić stolicę Francji i udać się do Luçon, „najmarniejszego biskupstwa Francji", skąd jedynie drogą korespondencji starał się utrzymać kontakt z wybitnymi przedstawicielami duchowieństwa francuskiego.

Burzliwe wtedy przyszły dla Francji czasy po śmierci Henryka IV. Regentka Marja Medici nadała polityce Francji kurs filo-hiszpański (w sprzeczności z polityką szczególnie lat ostatnich swego męża). W ten sposób uchroniła Francję narazie od niebezpieczeństwa wojny zewnętrznej, nie umiała jednak opanować wewnętrznego położenia; raz po raz podnosiły się rewolty książąt krwi i możnych, które trzeba było łagodzić rozdawnictwem pensyj i zarządów prowincyj, opłacając się na wszystkie strony. Jeśli mimo to taki np. Condé miał za sobą sympatje części opinji francuskiej, to dlatego głównie, że całą niemal nienawiść tejże opinji skupił na sobie faworyt Marji Medici, pyszałkowaty awanturnik włoski Concini, bezceremonjalny grabieżca dochodów państwowych. Obok opozycji możnych — opozycja hugonotów, zaniepokojonych hiszpańską i katolicką polityką dworu. Słaby rząd uległ powszechnemu wtedy życzeniu opinji i zwołał słynne Stany Generalne w r. 1614 — ostatnie przed wielką rewolucją. Burckhardt daje w swej książce doskonałą charakterystykę tych Stanów, które miast umocnić parlamentaryzm francuski, ostatecznie poderwały jego podstawy; zwołane na żądanie opinji, rychło zraziły tę opinję swą niezdolnością do twórczej pracy, zupełnym brakiem zmysłu dla idei wspólności narodowej, pochłonięte jedynie sporami

między duchowieństwem i szlachtą a stanem trzecim, przyczem każdy stan miał na oku jedynie obronę własnych interesów. W tych warunkach mógł rząd pozwolić sobie na zamknięcie obrad, a zawód, jaki sprawiły Stany z r. 1614, przygotował w opinji kraju grunt pod utrwalenie absolutyzmu. W życiu Richelieu'go były Stany Generalne momentem przełomowym, zdecydowały o jego karjerze politycznej. Jako mowca stanu pierwszego zwrócił na siebie uwagę; bo też mowa jego, w obecności regentki wygłoszona, była szczytem kunsztu oratorskiego i zręczności polityka na dorobku: mile słuchała tej mowy Marja Medici, duchowieństwo, szlachta. Rychło już los pozwolił Richelieu'mu zamienić pobyt w odległej diecezji na życie dworskie, gdy został w r. 1615 powołany na jałmużnika regentki. Otwarły się przed nim horyzonty karjery politycznej, do której parł go nakaz wewnętrzny, ambicja wyrosła na podłożu przekonania, że on właśnie lepiej niż inni potrafi pokierować sprawami państwa w tych ciężkich chwilach, jakie nastały po rozwiązaniu Stanów Generalnych. Możni podnieśli wtedy głowy bardziej jeszcze niż dotąd, upadek autorytetu rządu występował w barwach coraz jaskrawszych. Richelieu zapoznał się właśnie z nowym kierownikiem finansów Barbinem i dzięki tej znajomości, dzięki poparciu regentki i sfer wyższego duchowieństwa, wszedł w grudniu 1616 roku do rządu Barbin-Mangota, rządu silnej ręki (odważył się uwięzić Kondeusza w Bastylji!), jako kierownik spraw zagranicznych.

Pierwsze próby polityki praktycznej Richelieu'go nie były uwieńczone powodzeniem. W poczynaniach biskupa Luçon przebija dążność do przywrócenia Francji w polityce europejskiej mocnej pozycji, utraconej po roku 1610. Próbował Richelieu narzucić pośrednictwo Francji w ówczesnych konfliktach: hiszpańsko-sabaudzkim i austrjacko-weneckim, jakby wracając do dawnej polityki medjacyj i arbitrażów Henryka IV. W obu jednak wypadkach medjację Francji pominięto: niepowodzenie to otwarło oczy Richelieu'mu na istotną słabość ówczesnego położenia międzynarodowego Francji, nauczyło go mierzenia zamiarów według sił. Przynajmniej na terenie Rzeszy chciał utrzymać Richelieu wpływy

francuskie, na dworach książąt protestanckich, zrażonych wtedy hiszpańską i katolicką polityką regentki. Nie należy jednak zbyt uogólniać znaczenia misji Schomberga do Niemiec w roku 1616 i upatrywać w niej nawrotu do polityki Henryka IV. Wynikła ta misja z doraźnych potrzeb rządu francuskiego (chodziło o powstrzymanie książąt Rzeszy od użyczania pomocy hugonotom) i tak ją oświetlają najnowsze badania francuskie,[1]) których Burckhardt jeszcze nie uwzględnił, dając ocenę poselstwa Schomberga niezbyt jasną. Niełatwo jest zresztą zdobyć się na osąd tych pierwszych poczynań politycznych Richelieu'go (którym wypadki następne nie pozwoliły się rozwinąć) bez ulegania sugestji późniejszej działalności wielkiego męża stanu. Ulega jej w pewnej mierze Tapié, gdy już wtedy dostrzega w polityce Richelieu'go zarysy prawdziwej wielkości: zapewne skromniejby te poczynania sądzono, gdyby na nich skończyła się jego karjera polityczna!

Właśnie zaś wtedy zdawało się, że rola jego jest skończona. 24 kwietnia padł Concini, przebity szpadą oficera gwardji Vitry'ego, który był wykonawcą woli Ludwika XIII i jego ulubieńca, de Luynes'a. W odsuwanym przez matkę i Conciniego Ludwiku obudziła się żądza ujęcia władzy w swe ręce, i to zdecydowało o losie włoskiego awanturnika. Naprawdę rządzić będzie teraz jednak nie król, lecz jego faworyt, szlachcic prowansalski de Luynes. Ministrowie Barbin i Mangot aresztowani, Marja Medici wygnana do Blois. Richelieu opuścił w pośpiechu Paryż, ledwie uchodząc z rąk pospólstwa szukającego pomsty na stronnikach Conciniego. Zbyt późno zorjentował się, że gwiazda Conciniego gaśnie, a wschodzącą gwiazdą jest de Luynes. Do rządu wrócili starzy ministrowie, Sillery, Villeroy, Jeanin, doświadczeni fachowcy, ale bez prawdziwego talentu. Świetnie charakteryzuje ich Burckhardt, — podobnie i de Luynes'a, który nie dorósł do swego stanowiska, żyjąc wciąż

[1]) Tapié V. L., *La politique étrangère de la France et le début de la guerre de Trente Ans*, Paryż 1934. Dodać należy, że Richelieu miał w tym czasie opinję stronnika Hiszpanji. Rola zaś Schomberga tem była trudniejsza, że jednocześnie miał on werbować żołnierza w Niemczech właśnie przeciw hugonotom.

w obawie przed utratą nieoczekiwanie zesłanej mu przez fortunę pozycji u boku króla.

Dla Richelieu'go nastały teraz dni najgorsze, czasy przymusowej bezczynności. De Luynes chciał go odsunąć jaknajdalej od polityki. Po chwilowym pobycie przy boku królowej matki w Blois, musiał Richelieu udać się do Luçon; próbuje jeszcze odwrócić od siebie niełaskę, uniewinnia się w listach do króla i jego faworyta, i pogrąża się tem jeszcze bardziej, obnażając swą słabość. Wynik: edykt królewski, skazujący go na wygnanie do Awinjonu. W murach pięknego miasta papieskiego Richelieu oddaje się czytaniu, pisaniu i — rozmyślaniu nad swem losem. Świetnie maluje Burckhardt prostrację duchową Richelieu'go. Zgnębiony bezczynnością, przekreśleniem, zdawało się, całej swej karjery, nie umiał, jak człowiek przeciętny, szukać łatwego zapomnienia. Gnębiło go poniżenie, znikła odporność na dolegliwości fizyczne, nie umiał się zdobyć na walkę z chorobą, czuł blisko siebie tchnienie śmierci. Niespodziewanie przychodzi wyzwolenie z awinjońskiego wygnania: wezwanie królewskie, by natychmiast udał się do boku Marji Medici!

Regentka tymczasem weszła w porozumienie z możnymi, którzy niewiele przyjaźniej odnosili się do Luynes'a i przygotowywali nową rewoltę. Uszła z Blois do Angoulême, poddając się teraz wskazówkom intryganta, Włocha Ruccellai. W otoczeniu królewskiem uznano, że należy ją corychlej wyrwać z pod tego wpływu, zastępując Ruccellai'a dawnym doradcą, Richelieu'm. Wygnaniec z Awignonu natychmiast pośpieszył do boku swej dawnej protektorki; dowiódł też rychło, że wprowadzić pragnie i potrafi jej politykę na tory umiarkowane, klecąc swem pośrednictwem porozumienie między matką a królem. Dalsza jego taktyka przy boku królowej idzie wyraźnie w kierunku zapewnienia sobie stronników we wszystkich obozach. W porozumieniu z możnymi buntownikami, i z hugonotami zrewoltowanymi, zarazem stara się podkopać na dworze wpływy de Luynes'a, nie tracąc nadziei, że po tegoż upadku on właśnie będzie tym mężem opatrznościowym, bez którego usług nie obejdzie się Ludwik XIII. Król i de Luynes mieli siły militarne

wystarczające do pokonania wojsk opozycji możnych i Marji Medici: wykazało to dobitnie spotkanie pod Angers (lipiec 1620). Jeśli i teraz udało się Richelieu'mu doprowadzić do korzystnego dla pokonanej królowej pokoju, to dzięki temu, że wskazał on zręcznie na konieczność połączenia sił dla zwalczania wspólnego wroga, który podniósł głowę na południu i zachodzie Francji — hugonotów. Oddawna już sfery kierownicze duchowieństwa francuskiego nawoływały do zjednoczenia poważnionych katolików i skupienia się pod wspólnym sztandarem walki z hugonotami. Walkę tę podjął de Luynes (jako konetabl), ale prowadził ją bez powodzenia, nie wykazał ani talentów organizacyjnych ani militarnych. Śmierć jego (1621) pod murami Montauban otwarła Richelieu'mu drogę do władzy w państwie.

Trzeba było jednak przygotować grunt w opinji kraju i pozyskać króla, dotąd bardzo niechętnie odnoszącego się do tego powiernika królowej-matki, w którym Ludwik XIII nie dostrzegał jeszcze genjuszu politycznego, a widział tylko karjerowicza i intryganta: sądził go zresztą tylko miarą ludzi swego dotychczasowego otoczenia. Opinję kraju urabiali na rzecz Richelieu'go zdolni publicyści (rzecz znamienna jak rychło zorjentował się Richelieu w znaczeniu publicystyki dla życia politycznego!); na pierwszym planie zdolny pamflecista, umysł żywy i lotny, dobrze orjentujący się w polityce europejskiej, kanonik z St. Germain l'Auxerrois, Fancan. Rozpętała się ostra kampanja na pióra przeciw polityce zagranicznej z okresu rządów de Luynes'a, nie oszczędzono też i pozostałych przy władzy ministrów (jak Sillery). Określano politykę Francji jako zupełnie uległą Hiszpanji, wskutek czego została Francja zupełnie izolowana, straciła dawnych sojuszników w Niemczech i we Włoszech. Żądano powrotu do polityki Henryka IV, zgodnie z życzeniem wszystkich „dobrych Francuzów". W istocie, według najnowszych badań, polityka rządu francuskiego w latach 1619—1621 nie zasługuje na takie potępienie. Była nawskróś pokojowa, miała na celu zachowanie równowagi między Unją a Ligą w Rzeszy. Była ostrożna, ale czyż można było pozwalać sobie na hazardy w chwili, gdy sytuacja wewnętrzna była nader trudna? czyż można było popierać

obóz kalwinizmu niemieckiego i sprawę Fryderyka „króla zimowego", gdy główną troską rządu było opanowanie rewolty hugonockiej, zmierzającej wyraźnie do stworzenia w południowo-zachodniej Francji federacji nawpół niezależnych republik kalwińskich? Inna rzecz, że polityka równowagi rządu francuskiego oznaczała wydanie protestantów czeskich i Unji na łup cesarza i Ligi, wzmocnienie pozycji Habsburgów w Europie (przy równoczesnych sukcesach dyplomacji hiszpańskiej). Publicyści Richelieu'go podnieśli tedy alarm: trzeba ratować prestiż Francji w Europie, powstrzymać dalsze postępy Habsburgów. Potrafi tego dokonać tylko Richelieu, którego talenty zręcznie zachwalano. Tak głosiła publicystyka, to samo ustawicznie mówiła Ludwikowi XIII Marja Medici, tego samego zdania był już oddawna jeden z czołowych przedstawicieli świata duchownego, wpływowy na dworze i u możnych, kapucyn o. Józef. Król uległ i oddał Richelieu'mu (od r. 1622 był już kardynałem) w r. 1624 ster spraw zagranicznych państwa. Po usunięciu rywala La Vienville'a, był Richelieu faktycznym kierownikiem rządu francuskiego, często nazywany *„principal ministre"*, choć bez takiego tytułu oficjalnego.

Pierwsze posunięcia Richelieu'go w polityce zagranicznej nosiły już piętno późniejszej jego wielkiej polityki antyhabsburskiej. Sojusz z Anglją, połączony z małżeństwem Henryki Marji (siostry Ludwika XIII) z Karolem Stuartem, oraz interwencja francuska w Weltlinie, należały do tych kroków zapobiegawczych, które położyć miały tamę dalszym postępom domu Habsburgów. Od tej zasadniczej koncepcji wiele było jeszcze odchyleń, gdyż wewnątrz kraju miał do czynienia Richelieu z nieustanną niemal rewoltą hugonotów i z nową opozycją możnych, skierowaną wprost przeciw niemu, grupującą się koło Gastona Orleańskiego, brata Ludwika XIII, przypuszczalnego dziedzica tronu (wobec bezdzietności króla). Pozatem aljans angielski przyniósł kardynałowi rozczarowania: rywalem jego został teraz faworyt Karola Stuarta, Buckingham, pyszałkowaty dworak-światowiec i awanturnik, urażony niepowodzeniem swego romansu w czasie pobytu we Francji z zaniedbywaną przez Ludwika XIII królową-żoną, Anną Austrjaczką, oburzony, że

za staraniem Richelieu'go niepozwolono mu na ponowne przybycie na dwór francuski i zamknięto drogę do uwielbianej. W następstwie Buckingham podburza Karola I przeciw żonie Francuzce, uprzykrza jej życie, pozbawia orszaku francuskiego, dam dworu i księży, którzy mieli ją podtrzymać w gorliwości katolickiej i uchronić od wpływów protestanckich. W następstwie też popiera hugonotów francuskich, podsyca opór miasta Roszelli. Można mieć tylko zastrzeżenie, czy nie zanadto silnie podkreśla Burckhardt ten motyw, urażonej ambicji własnej, jako źródło polityki antyfrancuskiej Buckinghama. Nie można zapominać, że interwencję zbrojną Buckinghama na wyspie Ré i pod Roszellą spowodowały inne jeszcze, nader ważne przyczyny, jak zabiegi hugonotów emigrantów na terenie Anglji, jak dalej wzgląd na pozyskanie sobie nastrojów opinji angielskiej, dotąd wrogo do Buckinghama nastrojonej, którą pragnął faworyt królewski popularnem hasłem obrony interesów protestanckich dla siebie pozyskać.

Natomiast doskonała jest charakterystyka tej opozycji francuskiej, jaka tworzy się dla obalenia rządów kardynała. Gaston Orleański, lekkoduch i rozpustnik, płytki umysł, marny charakter, przytem żądny władzy; pani de Chevreuse, wdowa po de Luynes'ie, niezmordowana intrygantka, której rękę dostrzec można we wszystkich spiskach przeciw Richelieu'mu; ponadto Vendôme, Ornano i inni, książęta krwi, możni i damy dworu z otoczenia królowej-żony Anny i królowej-matki Marji, coraz bardziej niechętnej kardynałowi, którego jej łaska wydobyła na powierzchnię życia politycznego, a który teraz odsuwa ją od wpływów, sam zagarniając wszystko w swe ręce! Książęta krwi i kobiety z arystokracji chętnie posługują się w walce z kardynałem (same chowając się w półcień) pionkami, jak ten młody hr. Chalais: który, ofiara pani Chevreuse i Gastona, oddał swą głowę pod miecz katowski w roku 1626. Jest to moment zwrotny w dziejach wewnętrznych Francji — słusznie pisze Burckhardt. Dotąd rebelizantów przekupywano, obecnie jeden z współwinnych przypłaca udział w spisku na życie kardynała śmiercią. Silna ręka ujęła ster rządów we Francji, postrach padł na butnych panów feudalnych, choć jeszcze nie-

rychło dadzą za wygraną. Do najlepszych kart książki Burckhardta należą niewątpliwie te, na których autor snuje swe uwagi o przemianach w psychice szlachty francuskiej w ciągu XVII wieku: od swawoli i buty, zwykłych jeszcze cech panów feudalnych za Henryka IV i regencji Marji Medici, — do uległości wobec dworu i nieustannej troski o pozyskanie sobie łaski królewskiej za Ludwika XIV. Za Henryka IV jeszcze wyjazd z dworu obrażonego feudała był gestem opozycji, napawał króla obawą, że gotuje się nowa rewolta; za Ludwika XIV było opuszczenie dworu dowodem niełaski królewskiej. Konetabl Montmorency sprzeciwiał się małżeństwu swego syna z córką naturalną Henryka IV; za czasów Ludwika XIV bastardzi królewscy byli najlepszą partją dla książąt! Zuchwała i niesforna wyższa szlachta francuska przemieniła się na szlachtę dworską. Proces ten rozpoczął właśnie Richelieu, w nieustannej walce o podniesienie autorytetu królewskiego a poskromienie pychy możnych.

Szczęściem a zarazem siłą Richelieu'go było — i trafnie to podkreśla Burckhardt, — że nie miał w sobie nic z doktrynera, lecz umiał, obdarzony nieporównanym zmysłem realizmu politycznego, ograniczać się, miarkować, wyznaczać sobie cele według środków, jakiemi dysponował. Tylko dzięki temu mógł Richelieu przebrnąć przez wszystkie trudności przełomowych lat swej karjery politycznej, 1628—1630. Najpierw uznał Richelieu za najpilniejsze zwalczenie rewolty hugonotów, szczególnie ich ogniska — Roszelli, zachęconej do oporu zbrojnego nadzieją pomocy angielskiej, która zresztą zgotowała im przykre rozczarowanie. W akcji przeciwko Roszelli miał Richelieu za sobą sfery katolickie Francji ówczesnej, nietylko o. Józefa i kardynała Bérulle'a. Zanim jeszcze skruszył Richelieu opór mieszczan Roszelli, już z pod murów tej twierdzy śledził w najwyższem napięciu rozwój wypadków we Włoszech i nad Bałtykiem, które kształtowały się wyraźnie ku chwale i potędze domu Habsburgów. Z pod Roszelli tedy wysyła nad Bałtyk bar. Charnacé'go, który swemi negocjacjami z Danją, Hanzą, Polską i Szwecją, przygotowywał grunt pod interwencję

Gustawa Adolfa w Niemczech.[1]) Ważniejszym był jednak dla Richelieu'go teren włoski, gdzie interesy francuskie były bardziej bezpośrednio zagrożone. Sprawa sukcesji mantuańskiej musiała być rozstrzygnięta po myśli Francji, jeśli nie miała ona wogóle skapitulować na tym terenie. Richelieu przeparł interwencję francuską we Włoszech północnych, dokąd ruszył z Ludwikiem XIII na początku r. 1629. W swej polityce włoskiej spotkał się Richelieu z ostrą krytyką. Partja ultramontańska, Bérulle, kanclerz Marillac, przeciwna była narażaniu się na konflikt z Hiszpanją, cesarzem, Sabaudją, gdy wojna z hugonotami nie była ukończona, gdy brak było pieniędzy, wojska. Przeciw Richelieu'mu wystąpił Gaston Orleański, urażony, że nie dostał komendy nad armją we Włoszech; wystąpiła Marja Medici, oburzona tem, że już jej głos u króla stracił znaczenie, a wszystko dzieje się według woli Richelieu'go. Burckhardt podkreśla zawsze starannie motywy polityki nieprzyjaciół Richelieu'go, unika troskliwie uogólnień, rozgranicza wyraźnie ludzi i poglądy. Bérulle, to przedstawiciel uniwersalistycznej koncepcji kontrreformacji; Francja, jego zdaniem, winna służyć interesom integralnego katolicyzmu, gdy tymczasem Richelieu na pierwszy plan wysuwał zasadę jednolitego państwa narodowego; dla Bérulle'a istotnym warunkiem owocnej służby interesom katolickim była zgoda z Habsburgami, w której możliwość wierzył — podczas gdy Richelieu uważał ją za możliwą

[1]) Omówienie ówczesnych spraw bałtyckich jest u Burckhardta miejscami bałamutne. Np. trudno zgodzić się z tem, że miasta hanzeatyckie poparły politykę morską Habsburgów. W istocie zajęły po długich zwlekaniach stanowisko odmowne. Por. Messow H. Chr., *Die Hansestädte und die habsburgische Ostseepläne im 30-j. Kriege*, Berlin 1935, którego wyniki pokrywają się zresztą przeważnie z wynikami dawniejszych prac, dostępnych Burckhardtowi. — Trudno się zgodzić z określeniem Polski jako aljantki Francji w tym czasie (s. 405). Rozejm altmarski trwał oczywiście do 1635, a nie 1636 (s. 407). Pobyt Charnacé'go w Upsali miał miejsce po rozejmie altmarskim, a nie przeciwnie (s. 406). — Oczywiście chyba już błędem korektowym jest data pokoju relijnego augsburskiego 1565 (s. 392)! — Nie można się wreszcie zgodzić z oceną traktatu francusko-szwedzkiego w Bärwalde z r. 1631 (*„Jetzt war die schwedische Unabhängigkeit Frankreich gegenüber verscherzt"*, s. 409). Inne oświetlenie tego układu dają cytowane poniżej prace Weibulla, Paula, Wittrocka.

tylko w tym wypadku, jeśli Francja zrezygnuje z samodzielnej polityki i obrony swych żywotnych interesów. Bérulle i Richelieu, to starcie dwu koncepcyj zasadniczych. Natomiast Marillac, to człowiek mały, uchodzący za realistę, naprawdę polityk trwożliwy, który tylko widzi przeszkody i wyolbrzymia je, gdyż sam nie jest zdolny do ich pokonania i własną miarą innych ocenia: ten wogóle nie potrafi w swej przeciętności pojąć niezwykłości i wielkości Richelieu'go. Bérulle nie doczekał się rozgrywki między swą *„victa causa"* a programem Richelieu'go; przeżył ją natomiast Marillac, jeden z tych bohaterów osławionego *Journée des Dupes,* który należał może do najbardziej wtedy przebiegiem wypadków zaskoczonych. To znów Marja Medici, której stosunek do zagadnień politycznych — pominąwszy momenty osobiste, górujące w polityce tej kobiety średnich zdolności, „bankierowej włoskiej" na tronie Francji — określa Burckhardt słusznie jako stałą skłonność do płaskiego oportunizmu, łatwego kompromisu. Wszyscy ci wrogowie Richelieu'go, łącząc swe wysiłki w walce z kardynałem, byli potęgą groźną; wynik walki wydawał się coraz bardziej niepewny. Tymczasem Richelieu kroczył już nieugięcie po wytkniętej drodze. Zmusił hugonotów w prowincjach południowych w ciągu roku 1629 (po powrocie z pierwszej kampanji włoskiej) do uległości, ale nie myślał ich gnębić do ostatka, zapewniając im (pokój w Alais) nadal wolność wyznania według edyktu nantejskiego; niemniej załogi królewskie stanęły w ich „miejscach bezpieczeństwa", państwo w państwie przestało istnieć. Zawarł też pokój z Anglją, a wysiłki swe koncentrował w kierunku spraw włoskich. Sam kieruje nową wyprawą zimową 1629/30, ściąga na front włoski króla. Tutaj jednak piętrzą się trudności. Armja francuska ma trudne zadanie przeciw pułkom hiszpańskim Spinoli i regimentom wallensteinowskim gen. Collalta. Szerzą się w armji choroby, dezercja. Nadomiar król zapada na zdrowiu, wkońcu choruje obłożnie. Przy jego łożu w Lyonie znajdują się obie królowe, matka i żona, w ich otoczeniu snuje się nić intryg i planów na przyszłość. Myśli się o małżeństwie przyszłej wdowy z Gastonem Orleańskim, o zgładzeniu Richelieu'go. Krytykuje się namiętnie politykę

wojenną kardynała, żąda pokoju z Habsburgami. Człowiekiem przyszłości, następcą Richelieu'go, wydaje się być stary kanclerz Marillac. Król wprawdzie wyzdrowiał, ale intryga dworska pracuje dalej; pozycja Richelieu'go jest już mocno nadwątlona. W tej chwili przychodzi wieść o zawarciu przez posłów francuskich, Brûlarta de Léon i o. Józefa, pokoju z cesarzem w Ratyzbonie; pokój ten, zabezpieczając naogół interesy francuskie we Włoszech, oznaczał jednak wycofanie się z wszelkich aljansów antyhabsburskich, przekreślenie całej misternej gry dyplomatycznej, jaką prowadził Richelieu w tych przełomowych chwilach wojny 30-letniej. Richelieu takiego pokoju nie przyjmuje, zarzuca posłom, że instrukcje przekroczyli.[1]) Tymczasem w kraju wybucha radość z zawarcia pokoju, wrogowie Richelieu'go żądają stanowczo ratyfikacji traktatu. Przyjaciele kardynała radzili mu już porzucić niepopularną politykę wojenną i wyrwać w ten sposób broń z ręki przeciwnikom. Richelieu nie ugiął się i na radzie koronnej zdołał jeszcze przeprzeć odrzucenie ratyfikacji traktatu. Marja Medici używa całego wpływu na syna, by wreszcie skończyć ze znienawidzonym kardynałem. W Paryżu i w Wersalu, w pałacu Luksemburskim i skromnym ówcześnie wersalskim zameczku myśliwskim, rozstrzygają się losy Francji. Już, zdawało się, sukces Marji Medici był zupełny, już Richelieu pogrzebany; Marillacowi składano gratulacje jako jego następcy. Osobiste zetknięcie kardynała

---

[1]) W istocie instrukcje mieli bardzo ogólnikowe, a przyciśnięci do muru przez dyplomację cesarską, nie mieli innego wyjścia, jak podpisanie pokoju ogólnego. Postępowanie Richelieu'go w tej sprawie i rolę posłów francuskich w Ratyzbonie oświetlali historycy rozmaicie. Ostatnio Hanotaux i de la Force (*Histoire de Richelieu*, t. III) wyjaśniają, że powodów taktyki Richelieu'go (opóźnienie w wysłaniu odpowiednich instrukcyj) należy szukać w jego wyczekiwaniu na wynik akcyj militarnych we Włoszech. Właśnie armja francuska ruszyła z odsieczą pod Casale i zmusiła wodzów armji cesarsko-hiszpańskiej (przy pośrednictwie Mazarina) do układu, korzystniej dla Francji regulującego sprawy włoskie od stypulacyj ratyzbońskich. Richelieu odmówił ratyfikacji traktatu w nadziei na pomyślniejszy dla Francji obrót operacyj wojennych we Włoszech. Pozatem zresztą i sytuacja wewnętrzna (wyzdrowienie króla) Francji wzmocniła się w tym czasie znacznie i pozwalała na przybranie mocniejszej postawy wobec cesarza.

z królem sprowadziło nagłą zmianę położenia. Ludwik XIII w tych dniach przełomowych rozsądził ostatecznie, jaką wartość przedstawiają dla państwa i tronu talenta Richelieu'go, a jaką jedynie żądza władzy i prywata jego wrogów. Stłumił w sobie obawę przekleństwa matki i wybrał kardynała. Wrogowie Richelieu'go byli najzupełniej zaskoczeni *(Journée des Dupes)*. Gdy już raz powziął król decyzję, przystąpił teraz do wytępienia kabały spiskującej, był w wykonaniu tej akcji nieubłagany. Padły ofiary, jeden Marillac (kanclerz) uwięziony, drugi (marszałek) stracony, podobnie Bassompierre, Montmorency; Marja Medici zmuszona do opuszczenia kraju na dożywotnią tułaczkę. „Rok smutku" stał się rokiem wielkiego triumfu Richelieu'go, który złamał główne zapory wewnętrzne, stojące na przeszkodzie do budowy zwartej i potężnej nowożytnej Francji.

Burckhardt żywi jakby mistyczną wiarę w posłannictwo wielkich przywódców w dziejach narodów.[1]) Richelieu był, jego zdaniem, wcieleniem tego do czego dążyły nieuświadomione siły żywotne narodu francuskiego tej doby. *„An den grossen Führern, die ein Volk aus sich hervortreibt, lässt sich der innere Wert der Leistung erkennen, zu der es in einem bestimmten Zeitraum berufen ist. Nachdenklich berührt der Gegensatz, der in den augenblicklichen äussern Lebensumständen eines Täters und Vollstreckers liegen kann und den tiefen Gewalten, die ihn unverwundbar machen"*. Burckhardt wierzy głęboko w to, co pozwala przebrnąć przywódcy poprzez wszystkie rafy zdrad i zasadzek, — w zdrowy instynkt narodu.

Prawdziwym przywódcą narodu nie jest ten, kto uważa się tylko za wykonawcę jakiejś misji dziejowej, zesłanego przez Opatrzność, kierowanego ręką sił wyższych. Richelieu nie był nigdy fatalistą, nie wierzył (jak np. Wallenstein) w gwiazdy, nie szukał w nich rozwiązania zagadek przyszłości, nie uznał się nigdy bezwolnem narzędziem losu. Richelieu nieustannie myślał i działał, z napięciem wszystkich sił swego intelektu, z poświęceniem swego skromnego

---

[1]) Por. uwagi Pinona o Richelieu'm jako przywódcy narodu w tomie IX (s. 201/2) G. Hanotaux'a *Histoire de la nation française*.

zasobu sił fizycznych; w tej stałej pracy mózgu i niezmordowanej aktywności leży tajemnica jego trzeźwej oceny i umiejętnego wyzyskania każdej sytuacji, wyzutego z doktrynerstwa umiaru i równowagi, — w konsekwencji, jego ostatecznych sukcesów.

* * *

Rzecz szczególna, że (podobnie jak książka Burckhardta) wszystkie niemal nowsze większe prace o Richelieu'm urywają się na okresie 1630—1635. Tak np. z omawianych poniżej książka Batiffola zamknięta jest rozdziałem o *Journée des Dupes,* Dedouvres'a (monografja o. Józefa) przerwana jest właśnie na roku 1628, trzeci tom Hanotaux'a, napisany przy współpracy de La Force'a, doprowadza wątek opowiadania ledwie do r. 1633. O wiele słabiej opracowany jest dalszy okres jego działalności, na tle otwartego udziału Francji w wojnie 30-letniej. Lukę tę wypełnią zapewne Hanotaux i duc de la Force w zapowiadanym czwartym tomie swej wielkiej monografji.[1]) Podobnie Burckhardt zapowiada dalszy ciąg swej książki p. t. *Richelieu und das europäische Staatensystem.* Zadanie będzie miał trudniejsze, gdyż okres ten znacznie słabiej przez historyków francuskich opracowany.

---

[1]) *Societé de l'Histoire de France* publikuje obecnie nowe wydanie krytyczne *Mémoires du cardinal de Richelieu.* Tomy VI—VIII, obejmujące lata 1626—8 (Paryż, 1925—7) opracował R. Lavollée.

Dokończenie nastąpi.

Kazimierz Piwarski.

Po wyborach francuskich.

I.

Kto Francji nie zna i kto nie umie odróżnić pewnych sztucznie skleconych słów od rzeczy, ten może pomyśleć, że świeże wybory we Francji były jakiemś gwałtownem obsunięciem czy przesunięciem się ziemi. A jednak ani to, że weszło do izby aż 72 komunistów, ani to, że ujął ster rządów gabinet wyłoniony z ludowego frontu nie zmieni stanu rzeczy, ostatecznie rozstrzygającego dla polityki francuskiej t. j. że przetrwa tam nadal system parlamentarny i to tak długo, jak długo nie znajdzie się nic, co mogłoby zająć jego miejsce. Czy zaś coś takiego się znajdzie — to zależy od wyniku walki tych dwóch ugrupowań politycznych, które parlamentaryzmowi zarówno wrogie, skupiają w sobie najżywotniejsze energje narodu, t. j. skrajnej prawicy, dążącej do stworzenia rodzaju francuskiego faszyzmu i komunistów, zwolenników bolszewickiego reżimu. Trzeba zresztą i na to zwrócić uwagę, że między programami pewnych odłamów prawicy i lewicy istotnych różnic niema i że granice, które dzielą od siebie różne partje, stojące skądinąd na gruncie demokratycznej republiki są nieraz bardzo płynne i nieokreślone.

Cóż więc zaszło we Francji podczas podwójnych wyborów w kwietniu i maju bież. roku? W r. 1932 na ogólną liczbę dziewięciu i pół miljonów głosujących, którzy reprezentowali około 84% uprawnionych do głosu, mniejwięcej 4·2 miljonów oddały głos stronnictwom prawicowym. Dziś głosowało w ten sposób tylko 4·1 miljonów wyborców, co oznacza stratę 120.000 głosów, czyli trzech procentów ogólnej sumy zwolennników prawicy. Co do lewicy — w r. 1932 otrzymali radykali, socjaliści i komuniści

około 5·2 miljonów głosów, podczas gdy w r. bieżącym otrzymali ich 5·7 miljonów, zyskując w ten sposób 500.000 czyli 9%. To są zapewne silne przesunięcia na lewo, ale nie są one jednak tak gwałtowne, żeby musiały wywołać zasadniczy zwrot w całej polityce rządu. Podobnież i w kwestji liczby mandatów nie można mówić o zupełnym przewrocie. Prawica traci ich 32 na dotychczasowych 269, lewicy przybywa do posiadanych 342 jeszcze 39. Te cyfry nie będą bez znaczenia w pierwszym okresie pracy ustawodawczej. Rząd ludowego frontu przeżyje kilka miodowych miesięcy, dopóki będzie pewny większości około 70 głosów. Potem jednak zacznie się powoli pokazywać, że we Francji ani lewica nie jest zawsze bezwzględnie na lewo ani prawica na prawo. 116 radykałów i 19 niezależnych socjalistów przypomni sobie napowrót tych 115 niezależnych republikanów, lewicowych republikanów i niezależnych radykałów, z którymi mogą razem utworzyć, rozporządzające 250 głosami, centrum, gotowe, zależnie od okoliczności, połączyć się z prawicą lub lewicą.

W niepospolitej książce o wewnętrznej polityce francuskiej powiada dowcipnie Andrzej Siegfried, że Francuzi, choć mają serca na lewo, kieszeń miewają na prawo. Ile razy więc chodzić będzie o sprawy „serca" np. o kwestje kulturalne, o szkołę, o klerykalizm, o rzeczywistą czy rzekomą wolność, o recepty na politykę zewnętrzną, jakkolwiek związane z zasadami roku 1789, o walkę wreszcie z faszyzmem — tyle razy dzisiejszy front ludowy będzie miał za sobą i tę część prawicy, która właściwie tworzy centrum. Z chwilą jednak gdy lewica dotknie kieszeni, nietylko owych „dwustu" legendarnych bogaczy, ale tych dwóch miljonów rodzin, które istotnie oddziaływują na rezultat wyborów, utworzy się napewno nowy front, biegnący od radykałów do najskrajniejszej prawicy, a front mogący rozporządzać 390 głosami. A nakoniec — musimy to na cześć Francji powiedzieć — gdyby jakikolwiek wróg zewnętrzny chciał dobrać się Francuzom czy do sakiewki czy do serca, utworzyłaby się natychmiast jakaś *union sacrée*, która obejmując wszystkich, od konserwatystów do komunistów, stanęłaby murem do wspólnej obrony. Byłaby to więc ze strony postronnych nieprzyjaciół Francji zupełna illuzja, gdyby chcieli liczyć na nieuniknione wewnętrzne tarcia i zatargi stronnictw, jako na przyczyny osłabienia i dekadencji kraju. Jedno bowiem pozostało zupełnie nietknięte i będzie tem bardziej nie-

tknięte, im większy wpływ na rząd będzie miała skrajna lewica, a tem jednem jest armja. I to też można zanotować jako jedyny *plus* najświeższej ewolucji zdarzeń. Że nie brak jej minusów, to zaraz dokładniej zobaczymy.

II.

Rien n'a changé, il n'y — a que 278 députés de plus — tak możnaby dziś sparafrazować znane powiedzenie Burbonów, znajdujących po powrocie do Francji, że mimo rewolucji i pierwszego cesarstwa, wszystko właściwie zostało po dawnemu. Ale jak wówczas nowe, potężne siły, które obudziły się były we Francji, mało sobie robiły z iluzyj zreustaurowanej monarchji i szczupłego jej obozu, tak dzisiaj obie, poza gabinetem i parlamentem, do przewrotu obecnych stosunków dążące, partje nie poprzestaną na tem przelewaniu z pustego w próżne, które, po krótkich chwilach demagogicznego upojenia, byłoby w logice francuskiego rozwoju. Oni będą tem mniej skłonni do pokojowego współżycia *avec la République des camarades*, im więcej owych *camarades* weszło w tej chwili do izby ustawodawczej republiki. Sami zresztą przemyślni „Trojanie" wprowadzili tego wroga w mury swej twierdzy.

Jakkolwiek ładnie wyglądać będzie na papierze proletarjacka solidarność drugiej międzynarodówki pod Leonem Blumem z komunistami pod Cachin'em, Thorez'em i t. d., jakkolwiek obie te partje będą niezawodnie udawać wielką ustępliwość wobec swych „burżujskich" towarzyszy boju z radykalnego obozu, dopóki chodzić będzie o rzeczy małej wagi — z chwilą gdy prawdziwi proletarjusze, pod wodzą fanatycznych doktrynerów zechcą zrobić z Francji nowy człon trzeciej międzynarodówki, dokona się potężny rozłam. A rozłam ten nietylko w ten sposób będzie wyglądał, że po jednej stronie linji demarkacyjnej znajdą się, obok wielkiego i drobnego mieszczaństwa, radykali, po drugiej sami skrajni socjaliści i komuniści. Do obozu obrońców porządku przyłączy się nadto całe mnóstwo takich, których w szeregi socjalistyczne zapędziła tylko nienawiść do faszyzmu i obawa by w niczem nie naruszono demokratyczno-republikańskiego ustroju.

Tymczasem zaś do tego dążyć będzie, wybornie kierowana komunistyczna partja, by rozbudować swą własną organizację i wyłowić u obu sprzymierzeńców z ludowego frontu jaknajwiększą ilość robotników i drobnych rolników. W parlamencie rozwi-

jać będą *les Moscoutaires* bardzo żywą, na efekt obliczoną działalność agitacyjną. Raz będą uspakajać łatwowiernych jużto swem umiarkowaniem jużto „patrjotyzmem", inny raz będą utwierdzać zdecydowanych zwolenników Marksyzmu lub przyciągać do siebie wątpiących, ostentacyjną obroną czyto pokoju, czy praw proletarjatu, czy zabezpieczenia potrzeb pracującego ludu. Ostateczne jednak zamiary francuskiego bolszewizmu są zupełnie niewątpliwe. Oni dążą do wprowadzenia radzieckiego ustroju, do zagłady wszelkiej burżuazji, do obalenia religji, do skollektyzowania najbardziej indywidualistycznego narodu Europy, oni chcą, bez względu na następstwa, wojskowego współdziałania z Rosją i z temi państwami, jak Czechy i Hiszpanja, które z zewnętrzno — lub wewnętrzno politycznych racyj przychylnie odnoszą się do komunizmu. Są oni pacyfistami, *sui generis* i dlatego nie cofną się nawet przed wojną z Niemcami i Italją, byleby zapewnić trzeciej Międzynarodówce panowanie nad światem.

By ten swój cel *les Soviets partout* urzeczywistnić, by całą władzę przelać na rady żołnierskie, robotnicze i chłopskie, nie wzgardzą żadnym podstępem, żadnem doraźnem ustępstwem, żadnym gwałtem i żadnym mordem. Zrazu oczywiście wysiłki idą w tym kierunku, żeby wydać się kulturalnie w Izbie, a może z biegiem czasu i w gabinecie, żeby wdawać się w grzeczne rozmowy z burżujami, a nawet „klechami", żeby zyskiwać zwolenników na wyższych uczelniach a nawet w łonie katolickich stowarzyszeń. I niestety udaje się tym wilkom, które inteligentnej Francji nie powinnyby móc łudzić owczą skórą, przekonać niejednego, skądinąd myślącego człowieka z kół profesorskich, urzędniczych, wojskowych, a co dziwniejsze i duchownych, przekonać zwłaszcza młodych, zrażonych do przestarzałej demokracji parlamentarnej, że owi „źli bolszewicy" to są może ludzie dzicy, ale w gruncie prawdziwie dobrzy i dużo lepsi od tych, których zwalczają. Francuzowi zaś niewiele potrzeba do tego, żeby wysłuchawszy takiej propagandowej przemowy, machnął ręką i powiedział: *c'est une idée comme une autre.* A komunizm, straszliwy komunizm rosyjski jest dla nich *une idée comme une autre,* bo zupełnie taksamo, jak nie wierzą opowiadaniom o zbrodniach Trzeciej Rzeszy czy Włoch w Abisynji, nie biorą za dobrą monetę i ujemnych reportaży o sowieckich porządkach. To też nie brak takich, co patrzą na bolszewizm jako na formę życia dnia jutrzejszego

i dlatego o tem tylko myślą, by znaleźć z nią *modum vivendi*, nie wyzbywając się dla niej najwyższych walorów przeszłości, tj. wiary i ojczyzny. Żeby prawdziwa ortodoksja komunistyczna nie dała się żadną miarą pogodzić z religją i patrjotyzmem, to Francuzom do głowy nie wchodzi.

Tak więc powstają jaczejki. Rosną one i mnożą się jak komórki w bujnie rozwijającym się organiźmie. Nietylko fabryki, ale urzędy, wyższe uczelnie i armja liczą już niemały procent komunistów. Triumf wyborczy, jak łatwo się domyśleć, utwierdzi jeszcze niezdecydowanych w bolszewickim na świat poglądzie, a setki tysięcy nowych wyznawców nawróci na wiarę moskiewskiej ewangelji. Całe te rzesze zostaną wcielone do rewolucyjnej armji i wyćwiczone do boju, aby wyróść kiedyś na niezwyciężoną potęgę. Niema co się łudzić: trzeciej międzynarodówce przybywa wielu zwolenników, zwłaszcza wśród młodzieży, a nie brak wśród nich jednostek ze wszech miar wybitnych. Tym zaś, których pozyskali, zdołali bolszewicy już wmówić, że oni i tylko oni są spadkobiercami wielkich idei 1789 roku i że oni są wałem ochronnym przeciw rosnącej fali faszyzmu. A przez faszyzm rozumie przeciętny Francuz wszystko, co mu w danej chwili przeszkadza robić, co mu się podoba. Nadto odsłaniają komuniści z wielką zręcznością słabą stronę tego pożałowania godnego systemu rządów, do którego współobrońców na razie jeszcze się zaliczają. Stawiają oni pod pręgierzem opinji wszystkie brudy moralne, związane ze sprawą Stawisky'ego, piętnują wszechmoc złotego cielca i starają się, niestety nie bez powodzenia, różnym dawnym posłom, którzy wyzyskiwali swe mandaty dla zdobycia bogactwa i wpływu, przeciwstawić własnych ludzi — musimy to wyznać — nietylko sympatycznych ale uczciwych. Francuz zaś nie zwykł sprawy odróżniać od osób i jest tem bardziej czuły na uczciwość polityków, im rzadziej miewał sposobność spotykać tę cnotę u wybrańców narodu.

III.

To nas już prowadzi do omówienia pomyłek i błędów prawicowych ugrupowań, błędów które pomściłyby się były jeszcze srożej, gdyby, po części przynajmniej, nie uratowali byli sytuacji pozaparlamentarni obrońcy tradycyjnych zasad. O panującym dotąd systemie niema co wiele mówić. Wystarczy przeczytać oba

protokóły w sprawach Stawisky'ego i Prince'a, a wszystkie uwagi staną się zbyteczne. Ale nietylko nieuczciwość dawnej polityki w grę tu wchodzi. Komunistom, którzy przynajmniej coś nowego głoszą, bardzo dopomaga dziwny marazm duchowy i wyjałowienie myśli, na które dotychczasowa polityka chorowała. Jako typowy przykład tego ubóstwa pojęć przytoczę jedno: wszystkie partje pomiędzy konserwatystami a komunistami zapożyczają swe nazwy z tego starego składu oklepanych frazesów, które dziś niewiele już mówią, a przynajmniej nie wyrażają koniecznych różnic i odcieni: republikanie, demokraci, ludowcy, niezależni, radykali, socjaliści. Bo któż np. jeżeli nie jest wtajemniczony w terminologję parlamentarną, domyśliłby się, że demokratyczny republikanin to członek najskrajniejszej prawicy, do której zresztą i wielu lewych republikanów się zalicza? I któżby uwierzył, że radykalni socjaliści mają wprawdzie niejedno z radykalizmem, ale ze socjalizmem nic zgoła wspólnego? I jak tu zmiarkować na czem polegają różnice niezależnych republikanów, niezależnych socjalistów, socjalistycznych republikanów i ludowych demokratów? O zaiste wiele rzeczy zdradzają wyrazy. Jeżeli, słowa, jak mawiał Talleyrand, do tego służą by myśl zakrywać, to niekiedy i do tego są pomocne, by ubóstwo myśli odsłaniać. Żadna z dawnych partyj nie zdoła powstrzymać triumfalnych postępów bolszewizmu. Gdyby z prawej strony nie było nowych myśli, nowych ludzi, nowych metod i nowych zrzeszeń — smutno wyglądałaby francuska rzeczywistość

Propagandę prawicową, tę, która dokonywała się w ramach przyjętego systemu można uważać za jedną z współprzyczyn postępów socjalizmu. Przedewszystkiem raziło kojarzenie rzeczy świętych z brzydkim interesem. Kiedy komuniści nawoływali do wojny z osławionemi „dwustu rodzinami" wielkiej finansjery, nie miało to wiele sensu w taki sposób rozprawiać o bankach, o inflacji i deflacji, o sferze wpływu różnych grup interesów, jakby bezpośrednio w grę wchodziła obrona zagrożonej, jeśli nie religji to ojczyzny. Francuz doskonale wyczuwa gdzie chodzi o przekonania a gdzie o interes. I dlatego gdy widziano, że znane parlamentarne hjeny, walczące jedynie w obronie swego mieszka, przybierają pozę Joanny d'Arc, broniącej znieważonej oriflammy, albo gdy czytano artykuły szanownych zresztą, ale tu źle natchnionych publicystów, którzy na komendę wychwalali w „wielkiej prasie"

bardzo liche jednostki, albo wróżyli innym, na pewną porażkę skazanym „wielkościom", że w wyborach uzupełniających zwyciężą — łatwo zrozumieć jak to odbierało ochotę wielu, skądinąd prawicowo usposobionym, zwłaszcza młodym, ludziom, do poświęcania się dla dobrej, ale tak źle bronionej sprawy.

Innym taktycznym błędem prawicy, który fatalnie na niej się zemścił było forytowanie przy wyborze kandydatów warstw wyższych, zwłaszcza t. zw. *leftrés*, tj. wybitnych intelektualistów. W wilję głosowania pisał zupełnie słusznie o prawicy poprzedniego parlamentu, doskonale zorjentowany publicysta i sam niegdyś poseł z tego stronnictwa: „Można powiedzieć, że mieliśmy wśród wybranych z a w i e l e świetnych talentów, za wiele wymownych mowców, a za mało prostych ludzi, znających z własnego doświadczenia życie rolnika i robotnika." Jeszcze dziś zasiada w Izbie wśród mniejwięcej stu przedstawicieli ściśle wziętej prawicy, 6 członków książęcych rodów. Ponieważ jest tych rodów we Francji dotąd okrągło 120 — na dwadzieścia rodzin tej sfery przypada jeden poseł, gdy poza tą sferą przypada jeden poseł na rodzin 20.000. I jeśli liczba wszystkich wyborców prawicy wynosi wraz z najwyższą arystokracją 1.640.000, to liczba wybranych z arystokracji i niearystokracji przedstawi się procentowo jak 1 : 17 i 1 : 13.666. Nie potrzeba być zaciekłym demokratą, żeby zdać sobie sprawę, że taki stan rzeczy, musiał wielu od głosowania za prawicą odstraszyć.

Do podobnych, abstrakcyjnie niewinnych, ale praktycznie fatalnych, bo psychologicznych błędów należy nastawienie prawicowego propagandowego aparatu na poziom ludzi wykształconych. *Les leftrés* ulegają wogóle wielkim złudzeniom co do roli, jaką odgrywają w państwie rozum i ludzie rozumni. Niewytępiony dotąd racjonalizm wpoił Francuzom to przekonanie, że musi zwyciężyć rozum i że wiedza, mądrość, logika, smak estetyczny rozstrzygające mają znaczenie. Nie doceniają oni natomiast znaczenia wyobraźni i tych szlachetnych lub częściej nieszlachetnych popędów, którym masa dużo bardziej jest posłuszna niż argumentom. Jeżeli chce się utrzymać w mocy demokratyczne formy ustrojowe to trzeba już trzymać się praw psychologji mas, praw, które właśnie Francuzi Le Bon i Tarde tak głęboko zbadali. Ale wiadomo, że od teorji do praktyki daleka droga.

Francuski inteligent widzi, że wielu z jego klasy oddala się coraz bardziej od idei tego wieku, któremu dano miano *le stupide XIX siècle* i że mnoży się liczba liberałów, artystów i uczonych, którzy z jednej strony wracają do religji, z drugiej pragną w gruncie autorytatywnego państwa. On konstatuje, że ta prasa paryska, która ma prawdziwe znaczenie i godności swojej przestrzega, orjentuje się na prawo, że tradycja i konserwatyzm przeważają w Akademji Francuskiej, wśród wyższej wojskowości i na uniwersytetach. Ale przytem nie spostrzega, że kościoły na wsi i po dzielnicach robotniczych pustoszeją coraz bardziej i że szerokie koła ludności, o ile czytują prawicowe gazety, czytają je tylko dla powieści w nich publikowanych i dla dobrych ilustracyj, na które sobie prasa lewicowa pozwolić nie może, a pozatem mają je w nienawiści i pogardzie. To też gdy po salonach łudzą się ludzie co do rzeczywistych nastrojów kraju, a może flirtują z bolszewizmem, nie wierząc, żeby był naprawdę niebezpieczny, rozpina się nad całą Francją czerwona sieć, ogarniająca przedewszystkiem robotników i chłopów, małomieszczan i inteligencki proletarjat. Na szczęście natrafi komunistyczna agitacja na opór tych nielicznych przedstawicieli prawicy, którzy rozumieją obecne czasy i mają na tyle konsekwencji, żeby wpływom idącym z Kremlu przeciwstawić zwarty, a zdolny do życia program wybawienia ojczyzny.

IV.

Charakterystyczną cechą pozaparlamentarnych albo i antyparlamentarnych, lubo w parlamencie reprezentowanych partyj, które obrały sobie za cel wznowienie tradycji, jest to, że bynajmniej nie chcą uchodzić za ugrupowania prawicowe. W zasadzie zresztą trudno im tu odmówić racji, bo pojęcia „lewicy“ i „prawicy“ należą do demokratycznej ideologji i nie mają już tam zastosowania, gdzie demokracja ustąpiła już pola jakiejkolwiek formie faszystowskiego ustroju. Jeżeli więc najgłówniejsze ruchy, dążące do organicznej, o tradycję opartej, a jednak nowoczesnej odbudowy ustroju, pojmujemy jako akt obrony ze strony prawicy, to idziemy tu tylko za pewnem nawyknieniem terminologicznem, które polityków związanych z przeszłością grupuje po prawej, a patrzących głównie w przyszłość, po lewej stronie.

Największem niedomaganiem prawicowych organizacyj pozaparlamentarnych jest ich rozbicie. Chodzą one w pojedynkę

i dlatego grozi im niebezpieczeństwo, że mogą w pojedynkę poprzegrywać. Rzeczowe i osobiste względy wywołują między niemi szkodliwy separatyzm, a takiego wodza, któremu wszystkie zechciałyby się poddać, dotąd niema i niema wielkich widoków na to, żeby się znalazł. Z tych dwóch bowiem najwybitniejszych osobistości, które dotąd jedynie w grę wchodzić mogą, i jednej i drugiej zbywa na pewnej serji koniecznych przymiotów. Andrzej Tardieu jest wybitnym działaczem i pierwszorzędnym mężem stanu, ale nie zdołał jeszcze stworzyć silnej, bezwzględnie sobie oddanej partji; pułkownik de la Roque nie dał dotychczas dowodów ani konstruktywności w kreśleniu planów, ani tej umiejętności ryzyka, która potrafi wyzyskać odpowiednią chwilę do śmiałych a decydujących przedsięwzięć.

Do najważniejszych prawicowych ugrupowań, które rzeczywiście oddziałać mogą na kierunek polityki francuskiej należą obie rojalistyczne partje *Action Française* i *Courrier Royal*, dalej Młodzież Patrjotyczna (*J. P.*), Francyści, *Solidarité Française*, *Croix de Feu*, a wreszcie zrzeszenie katolickiej młodzieży, noszące nazwę *les Jocistes*.

O *Action Française* pisano i u nas bardzo wiele. Kierowana przez dwóch świetnych pisarzy, Karola Maurras'a i Leona Daudet'a, opatrzona sztabem naczelnym, w którym zasiada wielu ludzi, nauką, talentem, stanowiskiem wybitnych, otoczona zwartem gronem bardzo oddanej młodzieży, składającej się ze synów szlachty, z inteligencji, ale miejscami także ze sfer robotniczych i ludowych, rozporządzająca wreszcie dziennikiem, którego poziom intelektualny góruje nad przeważną częścią prasy francuskiej — mimo to wszystko cierpi *Action Française* na trzy poważne niedomagania. Przedewszystkiem jest ona stronnictwem intelektualnie i estetycznie przerafinowanych ludzi, którzy jej nadają jakiś charakter jakby artystycznej cyganerji, powtóre, stanąwszy na stanowisku w gruncie pozytywistycznem, naraziła się na cenzury kościelne i zamknęła sobie przez to drogę do szerszych kół wierzącej ludności; potrzecie wreszcie, dzięki nieodpowiednim metodom i zgoła niepraktycznemu programowi działania może w najlepszym razie odegrać rolę jakiejś tyraljerskiej straży przedniej, ale nie zorganizowanej jednostki bojowej. Z drugiej strony jednak nie można huliganom Maurras'a i Daudet'a odmówić tej zasługi, że jako pionierzy i dzielni bojowcy

nie oszczędzający siebie, mogą w danej chwili przynieść walczącej prawicy niemałe korzyści.

Jeśli rojalistyczne ideały, nawet wśród przeciwników, zdobyły sobie gdzieniegdzie szacunek i, platoniczne zresztą, sympatje, zawdzięczają to one innej grupie monarchistów, skupiającej się około czasopisma *Courrier Royal*. Kierownikiem tego wybornego tygodnika jest nie kto inny, jak Hrabia Paryża, syn i spadkobierca pretendenta do tronu, Jana III, księcia Guise. Demokratyczne koła Francji uznają chętnie wysoką kulturę, szlachetne usposobienie i piękne przymioty młodego Księcia, który z pomocą całego grona oddanych a wybitnych zwolenników, usiłuje szerokim masom uprzystępnić ideę „ludowego królestwa", które możnaby określić jako chrześcijański, do francuskich warunków dostosowany, korporacjonizm, zarówno odległy od brutalnego kolektywizmu, jak i od nieokiełznanego indywidualizmu, na który Francja oddawna choruje. Wśród młodzieży, nietylko inteligentnej, ale po części i pracującej, ma *Courrier Royal* pewną ilość sympatyków, nie na tyle jednak, żeby mogli oni odegrać samodzielną rolę, dopóki im nie utoruje drogi inne jakieś, silniejsze stronnictwo, które potrafi wywalczyć wprowadzenie chrześcijańskiego ustroju.

Jociści nie stanowią właściwie politycznej grupy, ale że wywierają na dorastającą młodzież wpływ bardzo silny, nie można o nich nie wspomnieć, gdzie jest mowa o obronie przeciw postępom komunizmu. Młody ten związek, lubo w dziedzinę ściśle wziętej polityki się nie zapuszcza, pracuje bardzo skutecznie nad ożywieniem religji i podniesieniem obyczajów, a dociera nawet do tych kół proletarjackich czy małomieszczańskich, które dla chrześcijaństwa usposobione są obojętnie lub wrogo. Doceniając siłę tej organizacji, starają się komuniści przyciągnąć jej członków do siebie — dotąd chyba z niewielkiem powodzeniem.

Trzy inne grupy: *Jennesse Patriotique, Francistes, Solidarité Francaise* bądź to nie są wyłącznie katolickie, bądź nie dość silne i poważne, żeby same przez się mogły odegrać ważniejszą rolę. Jedynem zrzeszeniem, które w ewentualnem starciu z komunistami może mieć rozstrzygające znaczenie i które też dlatego jest im najbardziej solą w oku, jest liga nosząca miano *Croix de Feu*. Jej potężny rozrost, bo liczy dziś zgórą półtora miljona członków, jej świetna organizacja, obejmująca wielu wybitnych

ludzi z inteligencji i szerokie masy ludu, jej sprężystość a przytem umiarkowanie w działaniu, jej program wreszcie z psychiką francuską zupełnie zgodny, to wszystko, obok osoby tak czcigodnego i szlachetnego wodza, jakim jest pułkownik Hrabia de la Roque nie może nie budzić wielkiego zaufania. Hr. de la Roque odznaczył się już jako wojskowy w najbliższem otoczeniu genjalnego Marszałka Lyautey, a potem prawością charakteru, niepospolitą wiedzą i wybitnym talentem oratorskim pozyskał sobie bardzo szeroką cześć i sympatję. Coprawda ma ten znakomity człowiek kilka takich cnót, które mogą w danej chwili utrudnić mu postawienie rozstrzygającego kroku. Przedewszystkiem jest on kunktatorem i stara się za wszelką cenę uniknąć krwi rozlewu; powtóre ma on w wysokim stopniu, właściwy wogóle oficerom francuskim, nieomal bałwochwalczy kult legalności; potrzecie wreszcie nie ma on tak jasnego i tak głęboko wpojonego planu odbudowy ojczyzny, żeby móc dla niego rzucić na szalę życie i własne i tych, co za nim idą.

Dwa razy mógłby był de la Roque ująć władzę w swe ręce, gdyby był przezwyciężył swe skrupuły i wahania. Raz było to w lutym r. 1934, gdy krew płynęła na placu *de la Concorde*, i gdy Liga prawicowa miała zupełną możność obsadzenia budynków rządowych i pozyskania dla siebie policji przez Chiappe'a a armji przez Gouraud'a; drugi raz w grudniu 1935 przed tragikomedją efemerycznego zawieszenia broni i podstępnie proponowanem rozwiązaniem wszystkich zrzeszeń. Przykład Włoch i Niemiec nie zdołał przekonać de la Roque'a, że świat należy do odważnych i że Francja mogłaby być w jego ręku, byleby się ośmielił przejść nad paragrafami skostniałego prawa, z którem najmniej liczą się wrogowie publicznego porządku. I przykład Austrji nie zdołał go pouczyć, że parlamentów, które kończą swe dzieje kompromitacją i wstydem nikt nie opłakuje i nikt nie broni. Teraz będzie musiała *Croix de Feu* przejść ogniową próbę. W imieniu prawa zadekretuje rząd ludowego frontu rozwiązanie wszystkich lig. Niema wątpliwości, że temu rozporządzeniu się poddadzą, ale jest również pewnem, że pod płaszczykiem pierwszej lepszej fikcji prawnej zorganizują się na nowo. I wtedy będzie nadal *Croix de Feu*, może z pomocą innych zrzeszeń, tworzyć centrum antybolszewickiej opozycji. Głowami tej opozycji w parlamencie będą z dawnych posłów: Henriot, Dommange,

Ybarnégaray i Taittinger, z nowych, słynny niegdyś lotnik, de Kérillis, poza parlamentem będzie spokojnie wyczekiwał aż wybije jego godzina, Tardieu, który świeżo wyłożył genjalne swe poglądy w epokowem dziele *Le Souverain captif.*

Temu spętanemu suwerenowi t. j. ludowi Francji, kręcącemu się po swej klatce i upadającemu napowrót w to miejsce, z którego przed chwilą się podźwignął, pokazuje Tardieu, co trzeba robić, żeby poronioną i zwyrodniałą rewolucję skierować na zdrowe ewolucyjne tory. *La révolution est à refaire* — takie hasło rzuca były premjer a dziś najtęższy chyba umysł konserwatywnej Francji. Niestety jednak zanim dane mu będzie przyłożyć rękę do wielkiej odbudowy, spróbuje strona przeciwna tę poronioną rewolucję doprowadzić do absurdu socjalnego przewrotu. Ale jeżeli przyjdzie do tego niebezpiecznego i kosztownego eksperymentu, można być pewnym, że skupione około *Croix de Feu* niespożyte siły prawdziwej Francji natychmiast zaczną dzieło naprawy od nowa.

Paryż w maju 1936.

Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Augustyn Jakubisiak: O d z a k r e s u d o t r e ś c i. Bibljoteka „Drogi", tom 7. Warszawa 1936, str. 301.

Książka ta mieści w sobie dziesięć filozoficznych rozpraw oryginalnego polskiego myśliciela i księdza. Drukowane one były przedtem w różnych czasopismach, nawet w *Wiadomościach Literackich*.

Tytuł dzieła, zapożyczony z logiki formalnej, ma wypowiadać filozoficzną tendencję autora — dążenie do poznawania rzeczy, których zakres byłby mały, ale treść jaknajbogatsza. Ostatecznie dochodzimy, w tym kierunku postępując, do bytów konkretnych, jednostkowych. Naogół dążenie to jest słuszne i znajduje dzisiaj coraz więcej zwolenników. W cenie jest nietyle filozofja pojęć oderwanych, ogólnych, ale bytów wziętych w ich indywidualnem istnieniu, filozofja „egzystencjalna". Trudno jednak pojąć dlaczego autor, przy tem zasadniczem nastawieniu, jest nieubłaganym wrogiem bergsonizmu, w którym przecież poznawanie abstrakcyjne, w pojęciach ogólnych, jest zdeprecjonowane, jako skażenie rzeczywistości.

Autor jest zdecydowanym przeciwnikiem idei ewolucji, zarówno zastosowanej do przyrody jak do dziejów ludzkich. Uważa ją i za nienaukową, i za nielogiczną, i za niedającą się pogodzić z Objawieniem, Pismem św. Tępi tę ideę, gdziekolwiek ją spostrzeże. Nie uznaje w przyrodzie ani w dziejach ciągłości (*continuum*), wyznaje krańcowy i zdecydowany pluralizm. Chociaż kapłan katolicki, daleko się trzyma autor od filozofji scholastycznej, wtargnięcie do niej arystotelizmu uważa za nieszczęście i dla filozofji i dla teologji. Dlatego ubolewa nad uczonymi i myślicielami katolickimi, którzy godzą się z pojęciem ewolucji. Stąd nie znajduje w jego oczach łaski ani taki O. Gemelli (rektor uniwersytetu katolickiego w Medjolanie), ani taki O. Wassman (znakomity badacz życia mrówek, a przytem zwolennik umiarkowanej ewolucji). Swój własny system autor wyłożył przed kilku laty w francuskiej książce *Essai sur les limites de l'Espace et du Temps*, do której się często odwołuje.

Niektóre rozprawy z omawianego tutaj zbiorka, mianowicie rozprawę „Podstawy krytycyzmu" (Przeciwko Kantowi) i „Kryzys determinizmu" można przyjąć bez zastrzeżeń. Niektóre, inne natomiast budzą zastrzeżenia poważne. Główne dzieło autora spotkało się w swoim czasie także z przeciwami. (Recenzja obszerna była i w naszem piśmie). Tutaj chcielibyśmy dotknąć jednego punktu, mianowicie negacji ewolucji w przyrodzie i stosunku apologetyki do tego zagadnienia. Oczywiście na temat transformizmu i wogóle ewolucji można poważnie dyskutować, nie sądzę jednak, by od takiego czy innego rozwiązania tego zagadnienia miały zależeć losy obrony wiary w Boga, Stwórcę. Boga postuluje zarówno ewolucja, jak niezmienność bytów. Hipoteza ewolucji nie może obalić prawa przyczynowości (chyba w tendencjach ateistów), lecz przyjmując zarówno ewolucję, jak to prawo — idziemy logicznie do Boga, bo „rzeczywisty przyrost bytu", jaki w hipotezie ewolucji miałby wciąż miejsce przy wyłanianiu się doskonalszych skutków z przyczyn mniej doskonałych, domagałby się także przyczynowego wytłumaczenia. I tem wytłumaczeniem będzie przyjęcie twórczej myśli i potęgi Bożej.

Ks. J. Urban.

Ks. Dr. Michał Klepacz. W a r t o ś c i ż y c i o w e r e l i g j i. Konferencje radjowe. Kielce, 1936. str. 154 in 8^0.

Kazanie radjowe wyrosło dziś w kaznodziejstwie na g e n r e osobny a bardzo trudny. Trudny jest nietylko dlatego, że mowca jest skrępowany i skąpo zazwyczaj wymierzonym czasem i cenzurą i mówiąc zazwyczaj tylko przed aparatem, nie może mieć tej pomocy i podniety, jaką daje żywy bezpośredni kontakt ze słuchaczami, ale zwłaszcza dlatego, że kiedy słowo biegnie na fali eteru do wiernych i niewiernych, do przyjaciół i nieprzyjaciół, do nieobliczalnie różnych serc i umysłów, konieczność uważania na każdy najdrobniejszy szczegół mowy, nie pozwala na tę swobodę, jaką się ma na ambonie, otoczonej samymi wiernymi i ludźmi dobrej woli. Z tych trudności wyszedł ks. Klepacz prawie że świetnie. Konferencje jego są żywe, aktualne, pełne erudycji, zdolnej ująć niewierzących nawet i źle usposobionych słuchaczy, a mimo to nie są wcale „świeckie", są naprawdę kapłańskie i duchowne, są słowem Bożem, przemawiającem nietylko do umysłu ale do serca, by potęgować w niem życie wiary i łaski. Były z pewnością aż nadto zasłużone te podziękowania, jakie otrzymywał Mowca z szerokich kół, nieznanych sobie zresztą, słuchaczy, bo przez konferencje swoje zrobił bezwątpienia wiele dobrego niejednej duszy. Mamy tu oczywisty dowód, jak pożyteczne może być radjo nawet dla katolickiej sprawy, byleby posługiwać się niem umiejętnie, z należytem przygotowaniem i we właściwy sposób. Konferencje te nie tworzą ścisłej całości, bo

nie następowały po sobie według jednego, zgóry powziętego planu, ale są przeprowadzeniem tej jednej bardzo ogólnej myśli, że chrześcijaństwo dla każdego, przedewszystkiem dzisiejszego człowieka jest z jednej strony zupełnie możliwe do przyjęcia, bo rozumne, piękne, głęboko uzasadnione, z drugiej strony niesłychanie pożądane, bo daje rozwiązanie wszystkich trudności i lekarstwo na wszelkie indywidualne i społeczne choroby. Cytaty, zapożyczone z lektury o szerokiem bardzo rozpięciu, są naogół dobrane bardzo dobrze. Tytuły niektórych konferencyj są trochę zbyt sztuczne, ale to drobiazg. Do poprzednich, bardzo niepospolitych swych prac dodał ks. Klepacz jedną, dużej wartości. Należy sobie życzyć dla honoru radja w katolickiej Polsce, by dalej prowadził swe wykłady i obejmował niemi coraz szerszy zakres prawd, dzisiejszemu społeczeństwu pożytecznych.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Ks. Konstanty Michalski C. M. Prof. Uniw. Jag. N i e z n a n e m u B o g u. Warszawa, 1936. str. 182 in 8°.

Była to bardzo szczęśliwa myśl warszawskiego Koła studjów katolickich i Naukowego Katolickiego Instytutu, że zebrał w jednym pięknym tomie różne rozprawy czcigodnego Autora, które rozproszone po czasopismach, mogły łatwo albo zaginąć, albo przynajmniej przejść bez trwałego śladu w myśli współczesnej. A byłaby to nieodżałowana szkoda, gdyby miały nie wywrzeć silniejszego wrażenia te rozważania tak głębokie, tak aktualne, tak piękne. Bo O. K. Michalski obok niepospolitej znajomości filozofji ścisłej, ma duszę otwartą na wszystko zgoła, co rozgrywa i tworzy się w świecie myśli, zwłaszcza w tym niezmiernie ciekawym momencie dziejów, jaki obecnie przeżywamy. Literatura, sztuka, ogólne kulturalne zagadnienia, kwestje społeczne i polityczne, nie mówiąc już o religijnych — to wszystko interesuje wielkiego myśliciela i ze wszystkiego umie on wydobyć cenne jakieś spostrzeżenia czy nauki czy analogje, zdolne rzucić światło na te lub owe problemy dzisiejszego życia. Ogromne oczytanie, a oczytanie w rzeczach prawdziwie ważnych, i wyborna orjentacja w prądach współczesnych, pozwalają mu pochwycić właściwy wątek myśli czy zjawisk czy ruchów, cechujących obecne czasy, a wybitna znajomość filozofji chrześcijańskiej pozwala mu nawiązać te wątki do poglądów wielkich mistrzów starożytności lub średniowiecza. I w tem może leży właściwy charakter i osobliwa wartość tej książki, że luźne skądinąd problemy grupuje ona koło chrześcijańskich zasad i pokazuje, że przynajmniej w większości tych zagadnień, jakie poruszają nowożytnym światem jest jakieś mniej lub więcej świadome, czasem zupełnie nieświadome szukanie „nieznajomego Boga". Ojciec Michalski bowiem jest optymistą i bynajmniej nie sądzi, żeby w mętnej, ale

pracowicie szukającej światła, myśli dzisiejszej wszystko było złe i mylne. Tym zdrowym tonem pogodnego optymizmu, jak i sposobem ujęcia myśli, przypominają te rozważania, wydane po jego śmierci, śliczne refleksje Leopolda Jaworskiego. Jednego tylko można żałować, że O. Michalski nie jest łatwy i że niewielu czytelników potrafi za nim przejść całą drogę jego myśli. Ale to może przyczyni się do tego, że ta cenna i piękna książka będzie tak uważnie czytana, jak na to zasługuje. Do dość długiego spisu erratów, możnaby jeszcze nie mało błędów drukarskich dodać, a nawet znaleźć errata w erratach.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Józef Dowbor-Muśnicki: Moje wspomnienia. Warszawa — 1935. Stron 375.

Wspomnienia te są, jak zaznacza autor, uzupełnieniem wydanej przezeń książki pod tytułem *Szkic do historji I Polskiego Korpusu,* uzupełnieniem jednak bardzo obszernem. Autor bowiem opisuje całe swoje życie, młodość, służbę wojskową w Rosji, udział swój w wojnie światowej, dzieje zorganizowanego przez siebie I Polskiego Korpusu, dzieje wojsk wielkopolskich, których był naczelnym dowódcą, wreszcie szereg uwag o latach późniejszych. Słusznie autor przypomina, wiele on z katastrofy I Korpusu uratował dla skarbu polskiego!

Mimo braków literackich, do których autor sam skromnie się przyznaje, tłumacząc je tem, że nigdy się nie uczył w szkołach języka ojczystego, ani nawet bezstronnej historji Polski, książkę tę czyta się łatwo. Autor pisze żywo, interesująco, z dużym, niestety zbyt zaprawionym goryczą, temperamentem. Każdy uczestnik wojny światowej, szczególnie na froncie rosyjskim, każdy mieszkaniec Polski, której ziemie niemal na całej swej rozciągłości stały się terenem działań wojennych, przeczyta ją z wdzięcznością. Historyk znajdzie w niej wiele ciekawych przyczynków. Gen. Dowbór-Muśnicki jest niewątpliwie jednym z najbardziej zasłużonych współtwórców wojska polskiego.

Niestety autor pod wpływem żalu do tych, którzy, zdaniem jego, udaremnili dalszą jego służbę ojczyźnie, do tych, którzy „zohydzali" go w prasie, uczynił z tej książki poniekąd polemikę z swoimi „przeciwnikami". Autor nie ma względów dla nikogo. Byłoby to zaletą, gdyby... autor był bardziej objektywnym w swoich sądach... gdyby do tych sądów miał większe moralne prawo. On, który służył Rosji i tylko jako doskonały fachowiec wojskowy został powołany na dowódcę pierwszego polskiego korpusu, on, który dla udostępnienia sobie karjery sztabowej prosił „by go odtąd uważano za ewangelika" (co równało się apostazji) nie zrozumiał i nie rozumie moralnych tytułów ludzi, którzy całe życie poświęcili służbie dla Polski, narażając się na najgorsze

prześladowania ze strony zaborców. Skarży się on m. i., że Piłsudski, wbrew oficjalnemu starszeństwu, z trzech równocześnie mianowanych generałów broni, Dowbora, Hallera i Szeptyckiego, pierwsze miejsce przyznał Hallerowi, drugie dopiero Dowborowi a trzecie Szeptyckiemu. Dla każdego z nas decyzja ta jest nad wyraz trafną. Przecież gen. Józef Haller właśnie dlatego (co mu wytyka autor), że był legjonistą, że był twórcą wojskowego charakteru Sokoła przed wojną, że dowodził karpacką brygadą i z nią przeszedł pod Rarańczą, że stoczył bitwę pod Kaniowem i dowodził armją polską we Francji — *Excusez du peu!* musiał mieć pierwsze miejsce! Cóż dopiero powiedzieć o niechęci autora do Piłsudskiego, któremu odmawia niemal wszelkich tytułów do sławy, przypisując wyłączną zasługę wskrzeszenia Polski jednemu Ignacemu Paderewskiemu. Wielki ten artysta i mąż stanu z wysokości swojej sławy, odpowie mu na to zapewne w duchu: Boże, strzeż mnie przed takimi przyjaciółmi.

Generał Dowbór-Muśnicki na czele korpusu, stworzonego do walki o Polskę z państwami centralnemi w oparciu o koalicję — poddał się Niemcom. Zapewne można przytoczyć moc okoliczności łagodzących, można rozumieć ciężką zapewne decyzję autora. Nie zmienia to jednak faktu, że Haller w daleko gorszej sytuacji się bił, że uratował przez to honor Polski w oczach koalicji, że zaprawił do walki Polaków ze zdemoralizowanej armji rosyjskiej przy pomocy tych samych legjonistów, których generał Dowbor za próbę rzucenia korpusu do walki (beznadziejnej) z Niemcami wbrew dowódcy odsądza od czci i wiary. Nie przeszkodziło to jeńcom z II korpusu narówni z dowborczykami współtworzyć wojsko w listopadzie 1918 r. Skarży się on, że nie danem mu było więcej dla Polski uczynić. Cóż kiedy w 1920 r. odrzucił uczynioną mu propozycje a to, co podaje na swoje usprawiedliwienie, nie przekonało, jak wiemy, nawet generała Weygand; mógł on wszak zachować gen. Iwaszkiewicza pod swojem dowództwem, skoro, słusznie zresztą, tak wysoko go cenił. Tej samej taktyki trzymał się autor w 1920 r., kiedy odmówił propozycji służenia pod gen. Józefem Hallerem jako ewentualnym dowódcą wiernych rządowi wojsk w Wielkopolsce. Nie rozumie on, że w chwilach przełomowych dla narodu nie wystarcza na naczelnem stanowisku wiedza fachowa, że potrzeba ideowego związania pomiędzy wodzem a społeczeństwem, że potrzeba szczególnego zaufania... Nie rozumie on, że słusznie czy niesłusznie, jego służba w wojsku rosyjskiem, jego znana awersja do piłsudczyków i wszystkiego, co kiedykolwiek było w P.P.S. czy w rewolucyjnym ruchu niepodległościowym, odgradzała go uczuciowo od znacznej części społeczeństwa. Nie rozumie on, który zresztą w ujemnej opinji o „Austrjakach", nie różni się od Piłsudskiego, że właśnie „Rosja" jako czynnik barbarzyński i demoralizacyjny największą budzi niechęć w narodzie; nienawiść do Niemców po-

łączona bowiem jest z podziwem oraz z uczuciem zadowolenia z dobrych cywilizacyjnych skutków ich panowania; Polacy zaś małopolscy wywalczyli sobie autonomję od Austrji, stosunek ich więc do c. k. monarchji był z natury rzeczy „łagodniejszy" niż do Rosji.

Autor rozprawia się kolejno z Piłsudskim i legjonistami, z „c. k. ekscelencjami" i „hochstaplerami", z Hallerem i Raczkiewiczem, z gen. Osińskim, z H. Bagieńskim i Witosem. Słusznie krytykując ustrój Polski, oparty o konstytucję marcową, nie zabrał głosu w sprawie konstytucji kwietniowej, realizującej w znacznym stopniu jego pogląd. Piętnuje on Naczpol., nazywa b. prezydenta Wojciechowskiego „zołzikiewiczem" i t. p., ośmiesza działalność „Zjednoczenia Międzypartyjnego", pogardza P.O.W. Niewiadomo, co wogóle pozostaje wartościowego w Polsce!

Dlatego też książka gen. Dowbora-Muśnickiego, mimo dużych jej zalet, sprawia przeważnie ujemne wrażenie. A szkoda; można tego było uniknąć.

Adam Romer.

Dr. Izydor Modelski: Józef Haller w walce o Polskę niepodległą i zjednoczoną. Toruń, druk i nakład Drukarni Robotniczej, ul. Legjonów 29. Str. 135.

Celem tej książki jest zapewne przypomnienie społeczeństwu, zwłaszcza młodszemu pokoleniu postaci zasług „błękitnego wodza". Słusznie pisze autor w słowie wstępnem: „Nie ucichły dotąd jeszcze spory na temat, kto i w jaki sposób przyczynił się do odzyskania niepodległości naszej ojczyzny, kto jej lepiej służył. Do dziś dnia, ludzie i obozy pragną na swoją korzyść dyskutować zarówno swoje zasługi, jak i błędy niewątpliwe, byle tylko w zasłudze odzyskanej wolności i niezależności własnego narodu i państwa zająć miejsce wyjątkowe, chociażby kosztem faktów historycznych i zasług innych. Naogół nikt nie chce się podzielić wysiłkiem, niewątpliwie wspólnym, dążącym do zrealizowania tej niepodległości: dziś już dokonanej, jakby w obawie przed zarzutem, że za mało tą sprawę ukochał i chciał mniej aniżeli się uzyskało... Tak wielką bowiem dla każdego z uczestników walki o niepodległość była jej realizacja, że ogrom jej pomniejszał wysiłek każdego, o ile chciał go dla siebie tylko zaanektować, nie uznając innych... Dziwnie pragniemy u samej kolebki tworzonych faktów historycznych owiewać wszystko legendą, którą najwygodniej żyć i olśniewać. A tymczasem życie, mimo wszystko, dąży nieubłaganie do wyjaśnienia tej legendy i wydobycia rzeczywistości. — Jesteśmy tej prawdy coraz bliżsi, a czynił to czas i niewątpliwy sędzia — historja".

Po stokroć słuszne uwagi... szkoda, że generał Marjan Żegota-Januszajtis, kreśląc przedmowę do tej pracy, z miejsca pokusił się o stworzenie nowej legendy, twierdząc, że „nikomu innemu

Naród dziś nie uwierzy"... Zbyt wielkie mamy poważanie dla osoby i zasług generała Józefa Hallera, by choć na chwilę przypuszczać, że takiem jest jego zdanie... Jest to niewątpliwy lapsus, lecz lapsus podyktowany tem samem szukaniem „legendy, dostosowanej do swoich celów i zamiarów", które autor tak słusznie wytyka innym.

W interesującej pracy swojej pułkownik Modelski rekapituluje mniej lub więcej znane najważniejsze momenty z życia generała Józefa Hallera, dowódcy „żelaznej" karpackiej brygady legjonów, bohatera z pod Rarańczy i Kaniowa, odtwórcy na gruzach „korpusów wschodnich" honoru i siły zbrojnej Polski na Wschodzie, naczelnego dowódcy armji polskiej we Francji, dowódcy armji ochotniczej i frontu północnego w wojnie z bolszewikami, generalnego inspektora artylerji, wreszcie prawego obywatela i działacza czczonego w Polsce, w Ameryce i we Francji. Rewelacją jest, że Haller i jego brygada na wierność cesarzowi Karolowi nigdy nie przysięgali. Pułkownik Modelski jest zdecydowanym przeciwnikiem sytuacji, wytworzonej przez zamach majowy; to też i odnośne ustępy jego pracy spotkać się muszą w obozie „przeciwnym" z zastrzeżeniami. Któż jednak nie zgodzi się z słowami gen. Hallera, wypowiedzianemi wówczas w liście do Prezydenta Rzeczypospolitej, że „naród Polski, świadom swojej wielkiej misji dziejowej uchrześcijanienia życia narodów, by przez nie stworzyć chrześcijańską ludzkość — istnieć i potężnieć będzie, bo duch jego zdrowy i nie skażony i wiara w Boga go ożywia..."

Do pracy swojej autor załącza cały szereg ciekawych dokumentów z archiwum gen. Hallera. Znajdujemy tam urywki z osobistych wspomnień generała, opis bitwy warszawskiej pióra gen. Kukiela, historyczną rozmowę z gen. Sikorskim i t. d. Jest tam również słynny rozkaz grunwaldzki Hallera, datowany 10 lipca 1918 r. w Moskwie, w którym nazywa kapitulację gen. Dowbora-Muśnickiego „haniebną zdradą". Gen. Dowbór-Muśnicki twierdzi w swoich wspomnieniach, że gen. Haller później w liście do niego zaparł się autentyczności tego zwrotu, powołując się na bruljon?!

Adam Romer.

Knapowska Wisława: Krytyczne oświetlenie relacyj o śmierci Mickiewicza. Poznań, 1935. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. S. 61.

„Dziwne symboliczne znaczenie ma śmierć Mickiewicza w Konstantynopolu — pisze autorka w zakończeniu swej broszury. — Zgon twórczości poetyckiej nastąpił już dużo wcześniej, działalność polityka miała swój punkt zwrotny w r. 1848. Ostatnie lata są działalnością człowieka, który wzniósł się ponad własne sprawy, ponad partje, obozy i ciasne koncepcje przywód-

ców politycznych, nawet ponad egoizm rasy i narodu. To jest istotnem, wielkiem. Stajemy tu wobec ostatniej fazy życiowej człowieka, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu".

Słowa to prawdziwe, a tchnące — bez intencji autorki — mimowolną ironją wobec faktu, że właśnie niedawna polemika na temat śmierci Mickiewicza rozpętała istną orgję animozyj partyjnych, politycznych i rasowych. Późna (z r. 1877) relacja kapitana Bednarczyka o rzekomem otruciu naszego poety, przypomniana przez p. Rojewską na łamach *Ruchu literackiego*, stała się dla kilku publicystów powodem do postawienia zuchwałego, a na niczem nie opartego domysłu, jakoby Mickiewicza otruli *pro Christo* (!?) jacyś Polacy-katolicy, przeciwni idei legjonu żydowskiego. W odpowiedzi na to inni polemiści wskazywali na dziwne zachowanie się Żyda, Armanda Levy, towarzyszącego Mickiewiczowi, i jego to posądzali o ów postępek. Inni wreszcie wskazywali, jako winowajcę, jakiegoś szpiega rosyjskiego. W każdym razie większość piszących o tej sprawie żywiła szczere czy nieszczere przekonanie, że poeta istotnie został otruty. Opinje ludzi, przypisujących winę śmierci chorobie, zagłuszał wszczęty hałas, w którym nietyle pytano, czy Mickiewicz zmarł śmiercią naturalną, czy skrytobójczą, ale poprostu: „kto otruł"? Do jakich uciekano się przytem środków argumentacji, jak naciągano niekiedy i przekręcano fakta, łatwo osądzić, przejrzawszy zbiór głosów w tej całej sprawie, dokonany przez Stanisława Piaseckiego w jego książce *Prosto z mostu* (p. Knapowska jej nieuwzględniła, także kilka innych pozycyj bibljograficznych zostało przeoczonych w jej — nader zresztą sumiennej pracy).

Dziś już owo zacietrzewienie polemiczne uległo przedawnieniu — przyszedł czas na spokojniejsze sądy. Ponieważ rzecz wkraczała w dziedzinę medycyny, więc zajęli się nią lekarze. W Krakowie prof. Walter, w Poznaniu prof. Wrzosek, jęli się zastanawiać nad symptomami zgonu Mickiewicza, o jakich mówią zachowane relacje, i niezależnie od siebie doszli do wniosków podobnych czy nawet identycznych. P. Knapowska oparła się właśnie na informacjach prof. Wrzoska, powiązawszy je trafnie z sumienną analizą wszystkich źródeł historycznych, w jakich była mowa o osobach i faktach, związanych z całą zagadkową sprawą. I otóż teraz możemy spokojnie wierzyć, że przyczyną śmierci poety była cholera, która istotnie grasowała w wojsku podczas wojny krymskiej. W danym wypadku nie była to cholera azjatycka, ale złośliwa „cholera nostras", połączona z czerwonką.

Autorka nie poprzestaje na tych szczegółach; przypuszcza istnienie jakichś nieznanych źródeł archiwalnych, których wydobycie mogłoby doreszty wyświetlić całą sprawę.

Józef Birkenmajer.

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego: Sprawa Wyższej Uczelni na Pomorzu. Toruń 1936, str. 41.

Myśl stworzenia wyższej uczelni polskiej na Pomorzu nie jest nowa; słusznie przypomina dyr. Borowik, że pierwszy dokument konfirmacyjny Akademji Chełmińskiej pochodzi z XIV w.". Po wojnie światowej, w pierwszych miesiącach istnienia państwa polskiego, myśl o wszechnicy Pomorskiej była przez czas pewien żywotna, później jednakże poszła w zapomnienie. Poruszyły ją nanowo parę lat temu pisma poznańskie i pomorskie, czyniono wielkie starania, by myślą tą zainteresować zarówno władze kompetentne, jak szersze społeczeństwo. Dziś poważne i wieloma cennemi publikacjami chlubiące się wydawnictwo, jakiem jest Instytut Bałtycki w Toruniu, ogłasza broszurę na ten wciąż aktualny temat. Wypowiadają się tu trzej autorowie, z których jeden, prof. Kostrzewski, jest przedstawicielem świata nauki i zasłużonym obrońcą praw Polski na Zachodzie, drugi, senator Bernard Chrzanowski, pierwszy kurator poznański, ma najpierwszą zasługę szerzenia w narodzie polskim świadomości i wiedzy o Pomorzu, trzeci, dyr. Instytutu Bałtyckiego, dr. Józef Borowik, kieruje sprężyście organizacją sobie powierzoną, stojącą na straży naszych interesów w punkcie najbardziej eksponowanym na niebezpieczeństwa, a jednocześnie najbardziej wysuniętym ku Europie.

W tym właśnie punkcie winna powstać wyższa uczelnia polska, którąby tam właśnie dawała Europie świadectwo o naszej kulturze ducha, a jednocześnie byłaby źródłem duchowej i umysłowej mocy dla mieszkańców polskiego Pomorza. Wiele jest powodów, które przemawiają za koniecznością jej stworzenia. Jednym z nich jest to, że dwa najbliższe ogniska uniwersyteckie, Poznań i Warszawa, są stosunkowo odległe. Drugim powodem jest to, że inne państwa bałtyckie mają takie ogniska w podobnie eksponowanych punktach. Ale najważniejszym może powodem jest „potrzeba własnego ogniska kulturalnego" dla Pomorza, które i przez tradycję dziejową i przez właściwy sobie charakter etniczny wytworzyło kulturę silną i odrębną, jakiej nie należałoby niwelować ani zatracać.

Położenie Pomorza oraz wspomniane odrębności kulturalne pociągają za sobą następny postulat. Wszechnica Pomorska winna mieć charakter nieco odmienny od powszedniego typu uniwersytetów polskich. Jakie wydziały byłyby w niej reprezentowane, to jeszcze sprawa przez autorów projektu nierozstrzygnięta; w każdym razie zgodni są w tem, że trzebaby postawić silnie studja nad kulturą pomorską, w tem i nad literaturą kaszubską, dalej nad językiem, fizjografją, etnografją i t. d.; należałoby się też zająć studjami nad kulturą innych krajów bałtyckich, zwłaszcza skandynawskich.

Nie są też autorowie zgodni w tem, gdzie umieścić przyszłą uczelnię pomorską. Sen. Chrzanowski jest za Gdynią, dwaj

drudzy za Toruniem. Jeżeli recenzentowi wolno swój sąd wypowiedzieć, tedy i on oświadczyłby się za Toruniem, nietylko dlatego, że jest to miasto rodzinne Kopernika (którego imię — śmiem proponować — otrzymałaby owa wszechnica), ale i z innych, ważniejszych względów. Przedewszystkiem Toruń jest miastem cichem, więc ma atmosferę bardziej sprzyjającą kształceniu się, aniżeli gwarna już dzisiaj Gdynia. Powtóre jest on siedzibą aż dwóch wielkich i zasłużonych instytucyj naukowych, a więc wspomnianego Instytutu Bałtyckiego, oraz Towarzystwa Naukowego Toruńskiego (które do członków swoich zaliczało i Stefana Żeromskiego), rozporządza cennemi zbiorami bibljotecznemi i muzealnemi, wreszcie zaś jest najwspanialszą skarbnicą zabytków sztuki i kultury, mogącą niemal współzawodniczyć z Krakowem, Lwowem i Wilnem. Ma Toruń — o ile mi wiadomo — także i przestrzeń na swobodne rozbudowanie gmachów uniwersyteckich, bez wchodzenia w kolizję z innemi budowlami państwowemi, jak to napewno miałoby miejsce w Gdyni.

Józef Birkenmajer.

Bibljoteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w. Serja II, zeszyt 2. Jan Smolik: Wiersze różne, z rękopisu wydał Roman Pollak, Wydawnictwo Kasy Mianowskiego.

Po przerwie wznowiono warszawską „Bibljotekę zapomnianych poetów i prozaików", która będzie mogła napewno wkrótce iść w zawody z wydawaną przez Akademję Umiejętności „Bibljoteką pisarzy polskich", skoro redakcję objął fachowiec pełen zapału i zamiłowania do robót podobnych, prof. Juljan Krzyżanowski. Dwa tomy dotąd wydano, a cztery już czekają w zanadrzu; jeżeli w takim tempie praca pójdzie dalej, to chyba za lat kilka czy kilkanaście wkońcu... już nie będzie tych zapomnianych pisarzy staropolskich, bo dzielni współpracownicy „Bibljoteki" wszystkich odnajdą, odkurzą i przypomną. No, ale i wtedy nie grozi nam jeszcze bezrobocie: gdy czas się posunie naprzód, to zaczniemy może z większem zapałem odkopywać zapomnianych poetów i prozaików XIX i XX wieku, a nie brak i takich. Zwłaszcza w czasach powojennych, gdy rocznie ukazuje się w naszej Polsce około 70 tomików wierszy, a dwakroć tyle pozostaje w rękopisach... Będą się mieli potomni szperacze czem pożywić.

Prof. Pollak, który podobnie jak dawny jego rywal prof. Krzyżanowski, ma do odnajdywania i wydawania zapomnianych utworów staropolskich szczęśliwą rękę, niedawno ogłosił ciekawy zabytek — wierszowane dziełko na „morcinkowski" temat śląski. Obecna nowa publikacja jest w innym tonie i rodzaju. Ukazuje się w niej piewca nie żmudnej pracy, lecz wesołego towarzystwa, nie gardzący kielichem i sprośnym nieraz żartem. Jest nim Jan Smolik, pochodzący z rodziny, która łatwość żartu i wierszo-

wanego konceptu widocznie miała w naturze, skoro jeden z pisarzy tego nazwiska, zasłużony dziś opiekun skarbów kulturalnych w mieście Łodzi, Przecław Smolik, pisywał w swoich latach młodszych pospołu z Nowaczyńskim przeróżne skotopaski i fraszki satyryczne.

Janem Smolikiem zajmowało się już kilku badaczy, z nich najobszerniej Jaworski w swej dysertacji niemieckiej. Obecnie jednocześnie zajęli się nim dwaj badacze, bo prócz prof. Pollaka także i dr Ogrodziński (Polskie przekłady Horacego), który dorzucił mało znaną wiadomość: o rękopisie,* zawierającym utwory Smolika, a znajdującym się przed stu laty w bibljotece J. Kuropatnickiego, ponadto zaś poświęcił słów kilka analizie jego przekładów. Prof. Pollak zatrudnił się pilnem porównaniem tekstów: lubostrońskiego i berlińskiego, selekcją utworów i ich uporządkowaniem; dodał staranny komentarz, gdzie wyłuskał wszystkie chyba wzory czy źródła, z jakich mógł autor korzystać. Zbyt sprośne niektóre wiersze wydawca pominął, ale i w pozostałych treść niezawsze budująca. Są, owszem, i wiersze w innym zgoła nastroju, że wspomnimy epigramat o Rzymie, o tymże motywie, co w znanym wierszu rzymskim Słowackiego, albo rzewny „Frasunek Jana Smolika w więzieniu". Dla tej rozmaitości tematów i nastrojów słusznie prof. Pollak nadał całemu zbiorkowi tytuł *Wiersze różne*.

W wierszu „Do Jadwigi" mamy — jako oddźwięk ówczesnej aktualności — przelotną wzmiankę o Japonji, może wyprzedzającą chronologicznie owe szczegółowsze relacje na temat tego kraju, jakie w swych *Żywotach świętych* dał w bliskich Smolikowi latach ks. Skarga.

Józef Birkenmajer.

Brensztejn Michał: Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski w pierwszej połowie XIX wieku. Wydawnictwa Towarzystwa pomocy naukowej im. E. i E. Wróblewskich. Str. 112.

> Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
> wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie
> dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?

Na to pytanie Mickiewicza oczekiwalibyśmy raczej odpowiedzi przeczącej, skoro sam autor wyrażał w danej kwestji wątpliwość. A jednakże... na samym wstępie książki Brensztejna wita nas dwukrotna fotografja tego dębu-olbrzyma, a raczej jego pnia, przemienionego w altanę z drzwiami, oknem i okrągłym daszkiem, podobnym do czapki wielkiego grzyba, zwłaszcza, że i sam pień przypomina jakby nogę potwornego borowika. Dokoła tego grzyba, niby krasnoludki, uwija się rzeczywiście około dwunastu ludzi płci obojej, którzy doskonale pomieściliby się w jego wnętrzu.

Ale na tem nie koniec. Dowiadujemy się ciekawych szczegółów z samej książki. Oto z losami Baubiisa wiąże się żywot i twórczość pisarza polsko-litewskiego, który swem umiłowaniem drzew, być może, natchnął Mickiewicza do słynnej apostrofy, sławiącej drzewa ojczyste. Sam Mickiewicz chyba Baublisa nie oglądał, tylko go znał ze słyszenia (prawdopodobnie z uszczypliwych wzmianek o Paszkiewiczu w *Wiadomościach brukowych*), inaczej byłby wiedział, że ów dąb — gdy chodzi o ścisłość — „żył" właściwie tylko do r. 1811, roku zajazdu soplicowskiego, bo w słynną wiosnę 1812 olbrzym został ścięty i „zakonserwowany" w tej postaci, jaką ukazuje wspomniana fotografja. We wnętrzu tegoż Paszkiewicz urządził małe muzeum („małą żmudzką świątynię Sybilli" nazywa ją trafnie Brensztejn) i stroił je własnego konceptu napisami.

Te napisy nie były jedynemi płodami jego pióra. Pisał w dwóch językach, po polsku i litewsku, zarówno wierszem, jak prozą. Najciekawsza może dziedzina jego zainteresowań, prace o przyszłości Litwy, nie jest nam naogół dzisiaj znana; jeno wtórne jej odgłosy nas dochodzą — a z *Rozmyślania wieśniaka rolnika o narodach litewskich* wnosić tylko możemy, że autor był w nauce dyletantem, coprawda dość oczytanym; o temże świadczy jego *Słownik języka litewskiego, polskiego i łacińskiego*. O dyletantyzmie, a i o niewielkim talencie poetyckim mówią nam wiersze Paszkiewicza. Mieli trochę racji Szubrawcy wileńscy, gdy sobie nieco z osoby tego pisarza pokpiwali.

Józef Birkenmajer.

Slovenska sodobna lirika, Lubljana, Jugoslovanska Knjigarna 1935.

Przed wieloma laty żywy spór wywołało twierdzenie paryskiego historyka literatury, Morneta: iż niema arcydzieł, któreby pozostały nazawsze nieznanemi; albowiem sprawiedliwość prędzej czy później nadejdzie, a niezauważona genjalna twórczość wyjdzie na światło dzienne, do zasłużonego znaczenia. Pogląd ten sprawdza się, o ile chodzi o literaturę „wielką". Chłodny łaciński sąd Morneta był przeciwny powszechnemu u Niemców i Słowian dążeniu do ustawicznego rewidowania i prostowania, zwracał się przeciwko nazbyt dynamicznej krytyce, skłonnej w każdej chwili obalać wartości artystyczne i wywlekającej — najczęściej w związku z aktualnemi prądami politycznemi — raz jednego, to znów innego pisarza z mroków zapomnienia, w których ów pogrąży się zpowrotem, gdy tylko moda na niego przeminie. W każdym razie pod jednym względem niepodobna zgodzić się z Mornetem: istnieją arcydzieła, skazane na to, iż nie będą ocenione należną miarą, gdyż przeznaczone dla narodu liczebnie drobnego, są związane z wąskim obszarem językowym, przeto wyparte z literatury światowej, wiodą cichy żywot w ukryciu.

W północno-zachodniej połaci królestwa Jugosławji znajdujemy wybitnych poetów, których twórczość liryczna celuje różnorodnością, bogactwem myśli, urokiem melodyjności... a przecie nawet nazwisko najwybitniejszego z nich, dziś dobiegającego lat sześćdziesięciu Otona Župančiča, nie wybiegło za szranki fachowych kół slawistycznych, choć istnieje o nim wyborna monografja francuska strasburskiego profesora Lucjana Tesnière oraz dawniejsza książka uczonego włoskiego, Artura Cronia. Wśród swych rodaków, ma się rozumieć, Župančič cieszy się należytym szacunkiem. Wytworny krytyk Józef Vidmar poświęcił mu właśnie niedawno tom wnikliwych szkiców. Gdy poeta święcił 50-tą rocznicę urodzin, najtęższi pisarze jego narodu ofiarowali mu wspaniałe literackie dary. Jednakowoż nawet pokrewne narody słowiańskie nie znają głębokiego, niewyczerpanego zdroju liryki, tryskającego ze zbiorków poetyckich takich, jak „Mlada pota", „V zarje Vidove", „Naša beseda" i „Ciciban".

W zbiorze współczesnej liryki słowiańskiej, wydanym przez naczelną firmę wydawniczą kraju, Župančič jest reprezentowany kilkunastoma znamiennemi drobnemi utworami; swemi pieśniami buntu i tęsknoty, bezgranicznej miłości rodzinnej gleby i narodu, swą głęboką słowiańską melancholją i wybuchową radością życia, temi sprzecznemi i tragicznemi w swym ostatecznym sensie uczuciami niezaspokojonego metafizycznego pędu do życia w śmierci i śmierci w życiu. Są tu tony, przypominające raz Novalisa, to znów Kasprowicza: jest bowiem Župančič w chrześcijańskim duchu piewcą nocy i uwikłanym w prawieczne pogaństwo głosicielem prometejskiego buntu.

Obok tego liryka wielkiej miary wysuwa się na czoło przedwcześnie zmarły epik Ivan Cankar (kilka jego utworów mamy w polskim przekładzie Eli Molé). Przebywa on w zaklętem kole „Erotica", jakie były powszechnem zjawiskiem u zwolenników francuskiego modernizmu i symbolizmu na przełomie wieku. Wszelako, jak przez te wszystkie maski przeziera własne oblicze autochtonicznego poety słoweńskiego — choćby w przepięknym obrazku psychologicznym: „Iz moje samotne, grenke mladosti"!

Głęboko tragicznym konturem rysuje się postać tchnąca dostojewszczyzną Kette Dragotina, zmarnowanego i zmarłego w wieku lat dwudziestu, oraz postać jego rówieśnika, podobnie zgasłego Josipa Murna. Do tej „straceńczej generacji", urodzonej pod koniec lat siedemdziesiątych zeszłego wieku, generacji duchowych zmagań o najwznioślejsze wartości duchowe, z której dziś żyje tylko Župančič i znacznie odeń niższy talentem Sylwino Sardenko, przyłącza się wspaniały poczet tych, którzy dziś sobie liczą około pięciu krzyżyków. O ile wymienieni powyżej — poza jednym Sardenką — są obojętni lub nawet niechętnie usposobieni względem chrześcijaństwa, to wśród tych drugich zaznacza się przeważający wpływ chrześcijaństwa.

Nietylko najlepszy ze słoweńskich beletrystyków, Ivan Pregelj (którego liryczne próby niekoniecznie szczęśliwie zostały dobrane w omawianej przez nas antologji), ale ponadto także inni jak płodny Francè Bevk, arcygłęboki Anton Debeljak (spotykamy tu jego perłę, „Drevesi"), ekspresjonista Joža Lovrančič, szczery w swem uczuciu Stanko Majcen, uderzający nieraz w nutę ludową, wreszcie dramatopisarz Alojzy Remec czują i myślą prawdziwie i po katolicku.

Ale dopiero poezję następnego pokolenia, urodzonego w pierwszych latach naszego stulecia, możemy określić poprostu i bez zastrzeżeń, jako katolicką. Nie wiem, czy która literatura świata wykazuje w najświeższych swych tworach tak wyraźne piętno myślenia katolickiego, jak właśnie literatura słoweńska. Anton Vodnik, którego „Vigilije" postawić można narówni z tomami wierszy Župančiča, osiągnął niepospolitą głębię i wspaniałe wyżyny liryki religijnej w prostej muzyce duszy, w takich utworach, „S teboj bedela", „Psalm" i „Najin dom", które znajdujemy w omawianej przez nas antologji. Krytycy tacy, jak Jože Pogačnik i Francè Vodnik mają wybitne stanowisko i w liryce; „Golgota" i „Trije zvonovi" pierwszego z nich dorównywają w formie i nastroju strofom Antoniego Vodnika. Pokolenie trzydziestoletnich już również poniosło straty. Srećko Kosovel zmarł, licząc sobie ledwie lat dwadzieścia dwa. Jego pośmiertnie wydane „Pesmi" są wprawdzie w założeniu niezbyt chrześcijańskie, jednakże w pełnych żaru skargach oburzonego widza bezbożnych czasów przemawia atawistyczny katolicyzm i jęczy *anima naturaliter christiana*. Talentem jednak góruje nad Kosovelem skromna, staranna dusza dziecięco-nabożnego Vitalisa Voduška.

W antologji naszej godni jeszcze uwagi: Antoni Podbevšek, kuglarz Chrystusowy, przedwcześnie dojrzały i przedwcześnie stary, jak i inne cudowne dzieci z lat dadaizmu — w każdym razie jeden z tych, którym udają się wiersze oryginalne, jak np. poemat o maszynach „ob dnevu vpoklica na kolodvoru"; następnie historyk sztuki, dziś profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Vojsław Molè, niegdyś parnasista, z którego marmurowych sonetów religijnych („Lazar") tchnie niekiedy chłód „Tristia ex Siberia". Mile Klopčič rysuje czarujące obrazy poetyckie. Co się tyczy Cvetki Golar'a, Frana Albrechta, Janka Glasera i Rudolfa Maister'a, ograniczymy się do stwierdzenia ich silnych zdolności formalnych oraz silnej zależności od Župančiča. Pozatem jednak idąca wgórę linja słoweńskiej liryki kroczy torem odrębnym od Vodnika i Župančiča, od wątpliwości zrozpaczonego *fin de siècle'u* ku ufnej, mocnej wierze naszego wojowniczego stulecia.

Tę świadomość wynieśliśmy z pięknego i umiejętnego wyboru, w jakim Rajko Ložar i Antoni Vodnik ukazali nam dzi-

siejszą twórczość liryczną swego narodu. Byłoby rzeczą nie do darowania, jeśliby rozsypane tu skarby miały zostać uwięzione w słoweńskich granicach językowych, nie zdobywszy sobie drogi do literatury światowej. Wabi nas tu nowy świat, którego nie potrzeba odkrywać — który należałoby tylko udostępnić.

Otto Forst Battaglia.

Dr Alfons Maria Wachsmann: Das Religiöse im Gesamtablauf des Seelischen. Paderborn 1935, Bonifacius - Druckerei. w. 8°, str. 156.

Liczne już dzisiaj prace psychologiczne na temat życia religijnego, są to badania pewnych jego odcinków czy dziedzin, prace szczegółowe, nie dające rzecz oczywista obrazu pełnego. Książka ks. Wachsmanna ma być próbą syntezy fenomenologji religji, a mianowicie ma ona rozpatrzeć miejsce religji w całości życia psychicznego oraz stosunek religijności do innych dziedzin jego.

Jako materjał posłużyły autorowi — duszpasterzowi akademickiemu — 83 odpowiedzi na obszerną — i trudną — ankietę, skierowaną do studentów-katolików różnych wydziałów i środowisk uniwersyteckich w Niemczech. Warto zaznaczyć jako rzecz wyjątkową, że na kwestjonarjsz odpowiedziało znacznie więcej mężczyzn niż kobiet (60 : 25). W zbieraniu materjałów pośredniczyli duszpasterze akademiccy i profesorowie wydziałów teologicznych, nic zatem dziwnego, że odpowiedzi pochodzą wyłącznie od osób „klerykalnych", od katolików szczerych, o znacznem nieraz pogłębieniu życia religijnego. Nie brały udziału jednostki usposobione do religji obojętnie lub wrogo. Nie można zatem uogólniać wyników omawianej pracy do wszystkich, lub chociażby do wszystkich należących do Kościoła, w szczególności niewiele można wywnioskować z zestawień statystycznych, co zresztą sam autor kilkakrotnie podkreśla.

Pierwsze zagadnienie tyczy ogólnego stosunku religijności jednostki do innych dziedzin jej życia. Stwierdza się w tym względzie trzy formy: religijność zupełnie izolowaną, stojącą jakoby poza nawiasem życia, dalej religijność jako świat odrębny, lecz oddziaływujący na resztę, przyczem intensywność i objawy wpływu bywają różne, wreszcie jest „religijność totalna", zasadnicza postawa życiowa, centrum myśli i uczuć, przenikająca całą istotę.

Najobszerniej potraktowano korelację religijności z poszczególnemi dziedzinami życia, jak zachowanie się społeczne, polityczne, przeżycia estetyczne, życie zawodowe, gospodarcze i seksualne (łącznie z erotycznem). Widać tu poważny brak, zdaje się z winy autora, który pominął zarówno w ankiecie jak i w opracowaniu takie sprawy jak związek religijności z moralnością wogóle, oraz stosunek życia religijnego do nauki. Druga zwłaszcza

rzecz sama się wysuwa ze względu na wykształcenie osób badanych, z których niektóre nawet niepytane nieco tę kwestję poruszały.

Spotykamy więc tutaj wspomniane już trzy możliwości: zupełny brak wpływu, wpływy częściowe, nieraz wzajemne *in plus* czy *in minus*, oraz zlewanie się obu dziedzin. Np. korelacja między życiem religijnem a polityką: część osób badanych nie zna zupełnie związku tych dwu spraw, inne widzą w nich także dwie odrębne dziedziny z własnemi prawami, lecz w razie konfliktu przyznają pierwszeństwo zasadom religji, dla niektórych znowu życie polityczne jest jakby wypływem, zastosowaniem światopoglądu religinego. Związek różnych tych spraw z religijnością jest oczywiście różny. W końcowych zestawieniach cyfrowych próbuje W. uszeregować wymienione wyżej dziedziny według stopnia korelacji, i otrzymuje wymowną zgodność szeregów obu płci. I tak zachodzi najwięcej wpływu wzajemnego między religją a życiem społecznem oraz seksualnem, na końcu zaś przychodzą sprawy gospodarcze. Autor tłumaczy to różnemi sposobami styczności poszczególnych dziedzin z religją, która wobec jednych jest w stosunku napięcia, wobec innych równoległości albo nawet obojętności.

W dalszym ciągu zajmuje się autor związkiem religijności z powodzeniem i niepowodzeniem życiowem. Jest on dość bliski i przejawia się w licznych sposobach, częściej dodatnich niż ujemnych.

Pierwsze dwa rozdziały książki są istotnie wartościowe, następne natomiast słabsze. Tematem rozdziału III jest zagadnienie, jaką postawę wewnętrzną zajmuje człowiek wobec różnych spraw życia religijnego w porównaniu do innych dziedzin. Ankieta przyniosła tu bardzo mało materjału, gdyż odnośne pytania były za trudne dla osób bez wyszkolenia psychologicznego; w dodatku autor sam wpłynął sugestywnie na odpowiadających, podając w kwestjonarjuszu pewne nastawienia jako przykładowe. Jako wynik warto zanotować stwierdzenie, że najczęściej w religijności zachodzi postawa naiwna (dziecięctwo Boże), podczas gdy wobec innych dziedzin człowiek zachowuje się różnie.

Właściwie poza tematem jest rozdział o rozwoju religijnym. Niewiele przynosi nowego. Autor opisuje go, posługując się podziałem Ch. Bühler na okresy. Czyni to dość chaotycznie, te same szczegóły z materjałów umieszcza raz w wieku pokwitania, a potem jeszcze w latach młodzieńczych. Z opisu jego wynikałoby, że jednym lub głównym powodem kryzysu religijnego wieku dojrzewania jest — w pierwszym przynajmniej okresie — kryzys seksualny. Zdaje się, że podkreślono to więcej niż było potrzeba, zwłaszcza, że innych źródeł fermentu, znanych nam chociażby z prac Szumana, Pietra i ks. Weryńskiego, nie porusza autor prawie wcale, a bardzo pobieżnie załatwia kwestje wątpliwości religijnych oraz ich źródeł.

Ostatni wreszcie rozdział próbuje ustalić korelację między intensywnością a ekstensywnością w życiu religijnem. Rzecz oczywista, że w opracowanym materjale występuje religijność w różnych gradacjach co do zasięgu jak i głębi oddziaływania. Nieraz ma się wrażenie, że podział autora na religijność maksymalną, wielką, ponadprzeciętną, przeciętną i zwyczajową jest dość dowolny. Dobre są określenia religji, religijności i t. p.

O zestawieniach cyfrowych w zakończeniu wspomniałem już wyżej. Sądzę, że nie należało umieszczać w szeregu dziedzin życia psychicznego powodzenia i niepowodzenia, gdyż są to raczej sytuacje życiowe, a nie dziedziny psychiki.

Mimo tych braków jest książka ks. Wachsmanna dobrą pozycją w katolickiej literaturze psychologicznej o życiu religijnem. Autor wychodził zresztą więcej z zainteresowań pastoralnych, i tutaj zasłużył się niemało, dając plastyczny obraz współczesnej religijności na tle dzisiejszego życia z jego specyficznemi trudnościami, ale i pomocami. Pożyteczna, choć trudna lektura nietylko dla psychologa, lecz także dla duszpasterza inteligencji oraz młodzieży szkolnej i akademickiej.

Ks. K. Werbel.

A. Gardeil: La vraie vie chrétienne. Preface de Jacques Maritain, Introduction du R. P. H.-D. Gardeil, Bibliothèque Française de philosophie, Paryż, Desclée de Brouwer & Cie, 1935, 363 s.

O. A. Gardeil, Z. K., dobrze znany z swych prac z dziedziny apologetyki i dogmatyki, umierając pozostawił w manuskrypcie niezupełnie wykończoną pracę o prawdziwem życiu chrześcijańskiem. Niektóre jej części zostały opublikowane już w *Revue Thomiste;* dwa artykuły z tej dziedziny ukazały się w *La Vie Spirituelle.*

W niniejszem dziele podaje H.-D. Gardeil, bratanek zmarłego, we wstępie streszczenie manuskryptu (str. 1—62), który obejmuje dwie części: 1) nasze boskie życie, 2) boskie kierowanie sobą. W pierwszej części omawia G. nasze podniesienie do porządku uadprzyrodzonego i nasz udział w życiu Bożem, co tak obszernie przedstawił w swej pracy *La structure de l'âme et l'expérience mystique,* 26. Paryż, 1927. Mówiąc w drugiej części o kierowaniu sobą, nazywa je boskiem, ponieważ opiera się ono całkowicie na łasce i na cnotach wlanych.

Od str. 63—358 mamy w urywkach przedstawiony pogląd A. Gardeil'a na prawdziwe życie chrześcijańskie. Praca ta obejmuje prócz wyżej wspomnianych artykułów, publikowanych już w czasopismach, fragmenty manuskryptu. Znajdujemy tu najpierw zasadnicze pojęcie życia chrześcijańskiego; nie jest ono wyłącznie oczekiwaniem nagrody (str. 64—66) ani też jedynie wzniosłą etyką (str. 66—69), ani wreszcie tylko ideą religijną (str. 69—75),

lecz jest życiem samego Boga, udzielonem człowiekowi, dostosowanem do jego władz i w nim się rozwijającem (str. 77—98).

Wyjaśniwszy w ten sposób istotę życia chrześcijańskiego, podaje G. w dalszym ciągu, jak powinien człowiek sobą kierować, by życie boże w nim się rozwijało. Zwraca tu autor szczególną uwagę na rolę roztropności nadprzyrodzonej (str. 108—117), której ośrodkiem jest miłość a jednym z ważnych przymiotów umiar, co bynajmniej nie wyklucza heroizmu (str. 125—131). Następnie przechodzi G. do omówienia samej metody wychowawczej (str. 131—173), zwracając uwagę m. i. na konieczność korzystania z doświadczenia własnego i obcego i z kierownictwa duchowego. Omówieniem owoców tego wychowania kończy tę część (str. 173—189).

Ostatnia część poświęcona jest wartości wychowawczej religji (str. 191—358). Szczegółowo wyjaśnia tu G. istotę religji, rzuca także cenne uwagi o pobożności i o modlitwie.

Gardeil jest wiernym uczniem św. Tomasza i wybitnym przedstawicielem tak zwanej szkoły tomistycznej. I niniejsza praca jest w wielkiej części dokładnem oddaniem myśli Tomaszowej, czasem nawet tylko streszczeniem Akwinaty. Autor potrafi jednak wywody jego należycie zaktualizować. Całość stanowi, miejscami trochę ciężką, ale gruntowną rozprawę o życiu wewnętrznem. Książka przyczyni się bezsprzecznie do wyrobienia sobie należytego sądu o istocie życia chrześcijańskiego. Niestety nie są tu omówione wszystkie zagadnienia z tej dziedziny; szkoda, że autorowi nie było dane wykończyć pracę rozpoczętą i że nie pozostawił manuskryptu gotowego do druku.

Ks. Dr A. Słomkowski.

H. Schumacher, Kraft der Urkiche. Das Neue Leben nach den Dokumenten der ersten zwei Jahrhunderte, Freiburg i Br. 1934, str. 171.

Temat niniejszej pracy nasunął się Autorowi, kiedy pisał swą poprzednią pracę o ideale małżeńskim według św. Pawła. Doszedł wówczas do wniosku, iż chrześcijanin pierwszych wieków ma świadomość, że wchodzi w nowe życie, że rozpoczyna nowe istnienie, co nie pozostaje bez wpływu na jego ciało. To „nowe życie“ chce tu Autor przedstawić w świetle pism chrześcijańskich pierwszych dwóch wieków, widząc w życiu tem istotę chrześcijaństwa (str. 3). Życie to łaska uświęcająca czyli życie boże w nas. Sch. pragnie książką swą przyczynić się do lepszego zrozumienia życia nadprzyrodzonego, które tak wysoko cenione było przez chrześcijan pierwszych wieków. „W owym czasie bowiem prąd „nowego życia“ pulsował z całą siłą w chrześcijanach, natchnionych Duchem bożym, i przynosił cenne owoce płynące z dusz przepełnionych Chrystusem: niewypowiedzianą

miłość Chrystusa i Boga, przejawiająca się w męczeństwie, i niezwykle żywą i czynną miłość bliźniego" (str. 6).

Ciekawy jest ustęp, w którym S. przytacza zdania nowszych autorów o istocie chrześcijaństwa n. p. Harnack'a, Weinel'a, Feine'go, Wernle'go, Pfleiderer'a, (str. 8—27).

Następnie omawia to „nowe życie" według Nowego Testamentu. Chrześcijaństwo jest w Now. Test. nowym porządkiem życiowym, będącym darem bożym; źródłem jego jest zrodzenie z Boga (str. 19—35). Dalej opisuje Autor pojęcie życia tego u św. Jana i u św. Pawła, jego treść wewnętrzną i sposób jego osiągnięcia (str. 35—56). W końcu rozdziału tego przedstawia Sch. wpływ życia tego na postępowanie chrześcijan i pełny jego rozwój w życiu przyszłem.

W drugim rozdziale przewija się przed nami ta sama nauka, przeżywana i głoszona przez chrześcijańskich pisarzy II w. Na uwagę zasługuje tu zwłaszcza ten ustęp, w którym Sch. omawia wpływ życia nadprzyrodzonego na codzienne życie chrześcijan. Pojawiają się przed naszemi oczyma ideały, ku którym chrześcijanie dążą i rzeczywisty poziom moralny wyznawców Chrystusa. Szczególnie przemawia do czytelnika to, co Sch. podaje o stosunku chrześcijan do ówczesnego świata pogańskiego.

Kwestje omawiane przez Sch. nie są nowe. Na tę stronę chrześcijaństwa zwracał już Scheeben szczególną uwagę; tej dziedziny dotyczą też prace Bainvel'a, Terrien'a, Froget'a, Gardeil'a. Nauka jest więc znana. U Schumacher'a jednak spotykamy się nie ze spekulacjami nad życiem bożem w nas lecz z żywemi przejawami tegoż życia u pierwszych chrześcijan. Odczuwamy tutaj ich żywą wiarę, podziwiamy ich bezgraniczne oddanie się Bogu, co się tak dobitnie przejawia w męczeństwie i ich czynną miłość bliźniego, która zwraca uwagę pogan. Według Tertuljana mówią oni o chrześcijanach: „Patrzcie jak oni się wzajemnie miłują... i jeden za drugiego umrzeć jest gotowy" (str. 147).

Na niektóre zdania autora można się niegodzić, np. na sąd o Tacjanie (str. 89, 130—131). Nieścisłe wydaje się także tłumaczenie tekstu Tertuljana na str. 78—79. Można też wyrazić życzenie, by autor nietyle zarzucał nas tekstami, lecz podawał raczej w swem ujęciu główne myśli i należycie je uwypuklił. Za to metoda przezeń obrana pozwala nam zetknąć się bezpośrednio ze zdaniem pisarzy pierwszych wieków, a słowa ich tchną świeżością i siłą. Życie nadprzyrodzone jest naprawdę życiem ich duszy.

Ks. Dr Antoni Słomkowski.

N. Merlin, O. E. S. A.,: Saint Augustin et la vie monastique. Etude historique et critique. Albi, b. d. str. 79.

Gdy słyszymy o św. Augustynie, przychodzi nam na myśl autor Wyznań, który w tem pięknem dziełku opisał swe upadki

i szczególną dobroć Bożą nad sobą; nieraz imię Augustyna kojarzy się w nas z obrońcą wiary przeciwko różnym herezjom zwłaszcza przeciwko pelagjanizmowi, przeciwko któremu bronił łaski — stąd jego przydomek Doctor gratiae — lub też z historjozofem, który swój pogląd na dzieje świata opisał w dziele swem *De civitate Dei.*

Merlin chce zwrócić naszą uwagę na inną stronę działalności biskupa Hippony i uwypukla znaczenie jego dla życia zakonnego. Pracę swą dzieli na sześć rozdziałów: I. Ideał zakonny a nawrócenie św. Augustyna. II. Pobyt w Cassiacum, zaczątki życia zakonnego. III. Klasztory w Thagaste i w Hipponie. IV. „Regula ad servos Dei". V. Augustyńskie pojęcie życia zakonnego. VI. Zakon augustyński w ciągu wieków.

Autor, członek Zakonu Eremitów św. Augustyna, pragnie przedstawić Augustyna jako założyciela zakonów i dać nam pogląd na augustyńskie pojęcie życia zakonnego (str. VI). Według M. nawrócenie Augustyna stało się całkowite, kiedy po zapoznaniu się z życiem św. Antoniego i znanem wydarzeniu w ogrodzie z „tolle, lege", postanowił zupełnie porzucić świat czyli wieść życie zakonne. To urzeczywistnił w pewnym stopniu w Cassiacum mieszkając tam z swą matką, synem i z przyjaciółmi, i poświęcając czas modlitwie, zwłaszcza rozmyślaniu, nauce i pracy rolnej. Życie zakonne prowadzi następnie Aug. w Thagaste a potem w Hipponie, gdzie zakłada dwa klasztory, jeden w ogrodzie biskupa Walerego drugi już jako biskup, w domu biskupim.

Co się tyczy reguły augustyńskiej, to wbrew ogólnie przyjętej opinji uważa Merlin t. zw. „Regula ad servos Dei" za pierwotny utwór św. Augustyna; jego zdaniem była ona ułożona dla klasztoru w ogrodzie biskupa Walerego, kiedy Aug. go opuszczał, by zamieszkać w domu biskupim. M. przytacza tak racje zewnętrzne jak i kryterja wewnętrzne, by udowodnić, że list 211 (P. L. 33, 948—965) nie jest tworem jednolitym, lecz że składa się z dwóch odrębnych części, obecnie sztucznie ze sobą połączonych. Pierwsza część jest autentycznym listem wystosowanym do zakonnic (ur. 1—4), druga natomiast część, zwana nieraz „regularis informatio", jest przeróbką augustyńskiej reguły, danej zakonowi męskiemu. Ustęp ten nie jest więc autentyczną częścią listu.

Mówiąc o augustyńskiem pojęciu życia zakonnego przedstawia nam Autor tryb życia w klasztorze augustyńskim, zapatrywanie Augustyna na pracę zakonników, na życie modlitwy, na kwestję pożywienia, ubioru, nauki.

M. opiera swe twierdzenia na dobrych podstawach i daje nam pracę źródłową. To co autor podaje jest naogół znane, ujmuje on to jednak pod nowym kątem widzenia i silniej uwypukla życie Augustyna jako zakonnika i jako założyciela zakonów. Zupełnie swoistemi drogami kroczy M. mówiąc o regule augu-

styńskiej, tu się przeciwstawia opinji ogólnej. Czy wywody jego wszystkich przekonają, jest wątpliwe; uczeni zajmujący się kwestją, będą jednak musieli wziąć je poważnie pod rozwagę.

Innego niż Autor zdania można też być w kwestji dotyczącej liczby klasztorów męskich w Hipponie. Jest bowiem możliwe, że Aug. zostawszy biskupem przeniósł się do domu biskupiego z całem swem otoczeniem, że wobec tego i później mamy tylko wspólne życie w domu biskupim św. Augustyna a klasztor w ogrodzie biskupim Walerego przestaje istnieć. To się wydaje bardziej prawdopodobne.

Ks. Dr. Antoni Słomkowski.

Lublin.

S. G. Perera S. J.: The Oratorian Mission in Ceylon. Historical Documents relating to the Life and Labours of the Venerable Father Joseph Vaz. — Translated from the Original Portuguese. — The Caxton Printing Works, Colombo, Ceylon 1936.

Osoba wielkiego Apostoła Cejlonu, O. Józefa Vaz, Oratorjanina, cieszy się coraz większem zainteresowaniem. — Istnieje już kilka starszych i nowszych jego życiorysów w języku angielskim, francuskim i tamulskim, a proces beatyfikacyjny wszczęto niedawno. Pierwsze kroki do przygotowania beatyfikacji poczyniono już w r. 1738 w Goa (Indje). Usiłowania te spełzły jednak na niczem. Zniesienie Oratorjum w Goa (założonego przez O. Vaz) i różne zamieszki polityczne nie sprzyjały podobnej pracy. — Wielkim czcicielem O. Vaz był Ks. Bp. Zaleski, Delegat Apostolski na Indje. Czynił on dużo wysiłku, by proces goański ożywić. Nie doczekał się niestety za życia żadnych pozytywnych wyników. Zapał jego i entuzjazm dla sprawy dopiero teraz zaczyna rodzić owoce.

Znany i bardzo ruchliwy na polu historji cejlońskiego Kościoła Jezuita, O. S. G. Perera (Syngalez), podjął się żmudnej pracy i zaczął wydawać w tym roku historyczne dokumenty, dotyczące życia i działalności Sługi Bożego.

Dotychczasowe życiorysy nie zadawalały naukowców. Były one obliczone raczej na moralne zbudowanie czytających. Dokumenty, o których mowa, dają dużo historycznych i nieznanych dotąd biograficznych szczegółów z pierwszego źródła. Są to wyniki badań po różnych archiwach. Najwięcej materjału dostarczyło Arch. Watykańskie i Propagandy w Rzymie, Bibljoteka Narodowa, Torre di Tombo, Ajuda i Arch. Kolonjalne w Lizbonie, Arch. Państwowe w Hadze i Goa, a wkońcu Arch. Holenderskie w Colombo. Dokumenty te obejmują przestrzeń czasu od r. 1686 do r. 1787.

O. Vaz, pochodzący ze starej rodziny bramińskiej, jest bez wątpienia dla Cejlonu tem, czem św. Franciszek Ksawery jest dla Indyj. Nie dlatego nazywa się św. Franciszka Ks. Apostołem

Indyj, jakoby on po raz pierwszy zaczął tam głosić Ewangelję, ale ponieważ dał on swemi dyrektywami i twórczym przykładem nowy impet pracy misjonarskiej. Z tego względu słusznie należy się O. Vaz miano Apostoła Cejlonu. On bowiem ocalił swoją heroiczną pracą i bezprzykładnem poświęceniem cejloński katolicyzm od zagłady, w czasie trudnego perjodu, jakim było prześladowanie holenderskie. Uczynił on nawet więcej: zorganizował katolików, posługując się przytem metodą bardziej nowoczesną od metody używanej przez Portugalczyków do czasów okupacji holenderskiej. On również zapoczątkował literaturę katolicką w tubylczym języku, ułożył dużo modlitw i nabożeństw, będących jeszcze teraz w użyciu.

Na Cejlonie imię O. Vaz jest bardzo popularne i wierni odnoszą się do niego jak do świętego. — Wartoby jednak i reszcie świata katolickiego przypomnieć tego wielkiego Syna Kościoła. 225-ta rocznica jego śmierci, obchodzona w tym roku, nadaje się bardzo do tego. — O. Vaz wyniesiony na ołtarze, byłby pierwszym świętym Hindusem.

The Oratorian Mission wyjdzie w 6-ciu zeszytach po 50 str. in 8-o, w dwumiesięcznych odstępach (cena 2 zł.). Nadaje się szczególnie do bibljotek wydziałów misjologicznych lub naukowych kół misyjnych.

Ks. Władysław Łaniewski O. M. I.

Antonio Ferro: Salazar, le Portugal et son chef. Précédé d'une note sur l'idée de dictature par Paul Valéry de l'Académie Française. — Traduit du portugais par Fernando de Castro. Str. 334. Éd. Bernard Grasset, Psris.

Półwysep Iberyjski jest znowu w ostatnich latach widownią kotłujących się prądów. A kiedy w Hiszpanji już po raz wtóry pochodnie płonących kościołów zdają się urągać niebu — to w sąsiedniej Portugalji dąży się do spokojnej odbudowy społecznej, opartej na podstawach społecznych katolickich. Pracą tą kieruje osobistość, która swego czasu była a nawet i dziś jeszcze jest przedmiotem ciekawych zainteresowań. Człowiekiem tym jest Oliveiro Salazar. Były profesor ekonomji politycznej w Koimbrze stał się twórcą i organizatorem obecnego życia społecznego w Portugalji.

W sile wieku — liczy obecnie 46 lat — mimo swego wysokiego stanowiska, prezydenta ministrów, niesłychanie skromny i bezpretensjonalny — surowy dla siebie i unikający wszelkiego poklasku, w swem mieszkaniu pracujący niekiedy nawet do godziny 1 w nocy — zdaje się on być niejako kontrastem współczesnych dyplomatów. Nie bierze on zazwyczaj udziału w żadnych przyjęciach, jest bowiem zdania, iż człowiek pragnący odnowić umysłowość społeczeństwa musi mieć rękę pewną, zdecydowaną, nie podległą żadnym względom — już zaś trudno być

takim wobec osoby, z którą się było na obiedzie czy herbatce. I oto pod jego ręką owa pierwotnie wiecznie zrewoltowana i niespokojna Portugalja bieży obecnie we względnie spokojnej współpracy do celu — do osiągnięcia „dobra wspólnego narodu".

Z osobą Dr. Salazara zapoznaje nas powyższa książka. Napisana stylem lekkim, feljetonowym, oświetla nam tę zda się niesamowitą postać z najróżnorodniejszych stron, ujawniając nieraz bardzo zajmujące szczegóły. Książka ta przybiera jeszcze na wartości i dlatego, ponieważ przedmowę do niej napisał sam Dr. Salazar, szkicując krótko swoje idee i poglądy.

Ks. J. Mokrzycki T. J.

Ks. Dr Józef Pastuszka: Filozofja religji H. Bergsona. Warszawa 1936, str. 65.

Będąca przedrukiem z *Przeglądu Katolickiego*, broszura ta bardzo się zaleca zarówno ważnością treści, jak przejrzystością przedstawienia. Ostatnie dzieło Bergsona *Dwa Źródła moralności i religji* różnie bywa sądzone nawet w obozie katolickim: jedni chcieliby widzieć w niem całkowitą apologję katolicyzmu, inni wręcz przeciwnie uważają je za wielce niebezpieczne dla wiary. Ks. Dr Pastuszka podkreśla wielkie jego wartości religijne i filozoficzne, ale nie ukrywa i poważnych braków. Czyni zaś to ze zwykłą sobie jasnością, spokojem i umiarem. Obecnie, kiedy mówienie o Bergsonie stało się już pewnego rodzaju snobizmem, warto, by broszurę ks. Pastuszki przeczytał każdy inteligentny człowiek.

J. U.

Notatki bibljograficzne.

Stanisław Adamski, biskup śląski: Akcja Katolicka młodzieży. Poznań 1936, S. A. „Ostoja". Str. 29.

Broszura powyższa zawiera referat, wygłoszony przez J. E. bpa Adamskiego na zjeździe Kat. Związku Młodzieży Męskiej i Żeńskiej w Poznaniu, dn. 11 grudnia 1935 r. Daje ona pogląd na Akcję Katolicką wogóle, jej organizację w Polsce, a następnie zajmuje się szczegółowiej rolą młodzieży w Akcji Kat. i obowiązkami stąd płynącemi.

Skargowskie pokłosie. Zebrał ks. Teofil Bzowski T. J. Chyrów, Konwikt 1936. Str. 111 z ilustr.

W całym kraju, a zwłaszcza w Krakowie i Warszawie przygotowują się wielkie uroczystości z okazji 400-ej rocznicy urodzin wielkiego patrjoty, kaznodziei i nauczyciela narodu, ks. Piotra Skargi T. J. Do urządzania tych obchodów może niemało pomóc

powyższa broszura, podająca urozmaicony materjał o Skardze, wyjątki z pism i bibljografję prac o nim.

Janina Osińska: W pięknej Rumunji. (Bibljoteka młodzieży). Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 112 z ilustr.

Dwóch młodzieńców, Francuz i Rumun, który od dziecka wychowywał się we Francji, wybrało się samolotem z Paryża do Rumunji. Z powodu burzy samolot zmuszony był do lądowania w jakiejś wsi, przyczem jeden z lotników został ranny. Po wyleczeniu udali się obaj do stolicy, stąd zaś Dunajem do jego delty, gdzie zajęli się polowaniem, a wkońcu dotarli do posiadłości młodego Rumuna, który osiadł teraz w swym majątku. Całe to, żywo podane zdarzenie, przedstawione jest na tle opisów „pięknej Rumunji" i daje pouczający i ujmujący obraz tego kraju.

O. Ludwik Frąś C. SS. R.: Nauki majowe o obrazie Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Kraków 1936, nakł. OO. Redemptorystów. Str. 176.

Rokrocznie urządzane u nas nabożeństwa majowe każą szukać ciągle nowych nauk, by uniknąć powtarzania tych samych przemówień. Zbiór powyższy, obejmujący 32 nauk majowych, z których każda zawiera jakiś zajmujący przykład, zostanie więc zapewne chętnie przywitany. (1.50 zł.)

Wanda Wasilewska: Wierzby i bruk. (Bibljoteka młodzieży). Warszawa. Gebether i Wolff. Str. 66 z ilustr.

Po śmierci ojca przenosi się mały Wicek z Bronowic do Krakowa. Matka jego pracuje ciężko jako praczka, żeby utrzymać jego i dwoje młodszych dzieci. Wicek idzie do terminu do stolarza, ale biedna matka słabnie coraz bardziej i wobec grożącej nędzy chłopiec przerywa naukę i zgłasza się jako pomocnik murarski. Stopniowo, dzięki usilnej i wytrwałej pracy posuwa się coraz wyżej, zostaje wreszcie murarzem i może teraz utrzymać rodzinę. Opowiadanie to przedstawia bardzo plastycznie pracę murarską, daje młodzieży wszechstronne o niej pojęcie, a zarazem działa wychowawczo, budzi hart duszy i siłę woli.

Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury Lwów.-Warszawa, Książnica - Atlas. Zesz. 2—4.

Regularnie ukazują się kolejne zeszyty znanej popularnej encyklopedji „Świat i życie", wydawanej pod naczelną redakcją Dra Zygmunta Łempickiego, prof. Uniw. Józ. Piłsudskiego. Obok omówionych już zeszytu 1-o i dodatkowego zeszytu o Polsce, leżą przed nami następne, za miesiące luty do kwietnia b. r. Z pośród zamieszczonych tu tematów można wymienić: pomiary ziemi, porty, postęp, powieść, pozytywizm, praca, prawo, prehi-

storja, promieniotwórczość, przemiana materji, przemysł, przyswajanie, psychologja, pustynie, racjonalizm, radjo, rasa, reformacja, renesans, rolnictwo, romantyzm, romańska sztuka, rozdział dochodu społecznego, rozumowanie, Rumunja, rzemiosło, rzeźba, Rzym, samochód i motoryzacja. Każdy zeszyt ma, jak zawsze, odpowiednią ilość ilustracyj.

K. Makuszyński i M. Walentynowicz: Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje. T. 2. Warszawa Gebethner i Wolff.

Imię Kornela Makuszyńskiego jest chyba dziś najpopularniejsze u najmłodszego pokolenia dzięki czterem zeszytom o „Przygodach Koziołka Matołka", który poszedł wprawdzie „na emeryturę", ale nie przestaje bawić dzieci (nawet dorosłych); wymownym tego dowodem jest 4-e i 5-e wydanie poszczególnych zeszytów. Nowa, przed rokiem rozpoczęta serja, przygody małpki Fiki-Miki i jej przyjaciela, murzynka Goga-goga, podróżujących na kontynencie Afryki, cieszyć się będzie niezawodnie taką samą popularnością, dzięki niesłabnącemu dowcipowi autora i znakomitym, barwnym ilustracjom M. Walentynowicza (120 ilustracyj, przy każdej czterowierszowy tekst).

Ks. Dr Juljan Młynarczyk: Walka o dusze ludzkie. Niepokalanów 1935, nakł. Centrali Milicji Niepokalanej. Str. 139 z ilustr.

Książka niniejsza podaje w 23 opowiadaniach rozważania i myśli dla ludu polskiego. W celu oderwania go od czysto materjalistycznych haseł i propadandy, rozwijanej przez bezbożników i sekciarzy, przypomina mu prawdy wieczne, ich znaczenie i piękno; liczne przykłady i ilustracje pomogą czytelnikowi w zrozumieniu podanych prawd. (45 gr.)

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań 1936.

René Bazin: Wśród odmętu (Davidée Birot). Powieść. Przekład Leodegardy Schechtlówny. Str. XI+237.

Daniel Rops: Świat bez duszy. Tłum. Michał Małek. Str. 212.

J. de la Vaissière T. J.: Teorja psychanalityczna Freuda. Studjum z psychologi pozytywnej. Przekład M. i Z. Ziembińskich. Str. 144.

Dr. Hermann Muckermann: Rodzina wierna prawom natury. Tłum. M. Pachucki. Str. 105.

Dr. Ludwika Jeleńska: Tajemnica Mszy świętej. Wyjaśnienia dogmatyczne. Str. 31.

Nakładem różnych:

Kazimiera Iłłakowiczówna: Słowik litewski. Poezje. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 227.

Józef Milenkiewicz: Organizacja wychowania w szkole powszechnej. Wskazówki teoretyczne i praktyczne. Wilno 1936, Wyd. Dobra prasa. Str. 96.

Juljusz Stefan Petry: Mocarze. Opowieść dramatyczna w 5 aktach. Lwów 1936, Wyd. „Reduta — Tydzień Polski". Str. 86.

Dr. jur. Stephan Vász (Budapest): Das Berner Fehlurteil über die Protokolle der Weisen von Zion. Erfurt, U. Bodung - Verlag. Str. 135.

M. M.: Z. S. S. R. Rzeczywistość. Warszawa 1936, Wyd. kwartalnika „Wschód". Str. 79.

Sprawozdanie Dyrekcji Bibljoteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich w Warszawie, za okres od lipca 1930 r. do czerwca 1935 r. Warszawa 1936. Str. 26.

Stanisław Cywiński: Sprawa podziału dziejów literatury polskiej na okresy. (Odbitka). Kraków 1936, str. 27.

Tenże: Nowe dzieje literatury pięknej w Polsce. (Odbitka). Wilno 1936, str. 41 in 16^0.

Ks. Dr. K. Gołębiewski Z. SS. R.: Fałszerstwa D-ra Mierzyńskiego w sprawie teologji moralnej św. Alfonsa Ligourego. (Odbitka). Warszawa 1936, str. 31.

Heliodor Manthey: Zagadnienie zatrudnienia ca 100 tysięcy ludzi więcej w Polsce przez podniesienie spożycia cukru. R. 1936. Str. 15.

Dr. Leopold Caro: Zagadnienie przeludnienia. Poznań, Nakł. Instytut Akcji Kat. Str. 17.

Felicja Żurowska: Ewangelja w pracy społecznej. Poznań, 1936, Sp. Akc. „Ostoja". Str. VIII+223.

Władysław Komorowski: Syberja jako czynnik gospodarstwa światowego. Warszawa 1936, Wyd. Kasy Im. Mianowskiego. Str. VIII+492.

Paweł Valéry: Utwory wybrane. Wstęp, wybór i przekład: Roman Kołoniecki. Warszawa 1936, Wyd. „Droga". Str. 180.

Paul Claudel: Młodość Violeny. (Bibljoteka dramatyczna „Drogi"). Tamże, str. 113.

André Gide: Persefona. Melodramat. (Biblj. dramatyczna „Drogi"). Tamże, str. 30.

Aleksy Rżewski: Szlakami walki i buntu. Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź 1936, S. Seipelt. Str. 206.

Stanisław Pigoń: Na wyżynach romantyzmu. Studja historycznoliterackie. Kraków 1936, (gł. skład w Kasie Im. Mianowskiego, Warszawa). Str. 293.

Ze stosunków kulturalnych polsko-węgierskich. Pobyt prof. Dr. Balinta Hómana, min. W. R. i O. P. Król. Węgier w Polsce w listop. 1935. str. 46.

Druga inwazja Czerwonej Moskwy. 1. Burza od Wschodu. 2. Przeciw bolszewizmowi czy za nim? (Odbitka). Warszawa 1936, nakł. Red. miesięcznika „Nasza przyszłość". Str. 42.

Andrzej Wierzbicki: W terenie i z trybuny. Warszawa 1936, Instytut Wyd. „Bibljoteka Polska". Str. 127.

Benedictus Henricus Merkelbach O. P.: Summa Theologiae Moralis. Editio altera; tomus I et II. Paris, Desclée de Brouwer & Cie. Str. 786+1029.

X. Henryk Folwarski: Erazm Ciołek, biskup i dyplomata. (Studia Historico - Ecclesiastica 1). Varsoviae 1935; str. XVI+221. (Skład gł. Warszawa, Dom Książki Polskiej)

X. Henryk Rybus: Królewicz Kardynał Fryderyk Jagiellończyk, jako biskup krakowski i arcybiskup gnieźnieński. (Studia Hist. - Eccl. 2.) tamże, 1935. Str. XVI+242.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z powodu ogólnoświatowej wystawy prasy katolickiej w Watykanie. — Nowe głosy w kwestji żydowskiej. — Akademicka młodzież polska na Jasnej Górze.

Przygotowywana oddawna i bardzo starannie, otwarta została dn. 13 maja b. r. wszechświatowa wystawa prasy katolickiej w Watykanie. O zewnętrznem jej urządzeniu w prześlicznym *Cortile della Pigna*, gdzie według planu architekty Giovanni Ponti wyrosły na jej pomieszczenie piękne, nowożytne, ale bynajmniej nie modernistyczne budowle, piszą sprawozdawcy z wielkiem uznaniem. Miłe estetyczne wrażenie całości podnosi jeszcze głęboki symbolizm, zastosowany nietylko w wymownych napisach i ozdobach stoisk, ale nawet w samym zarysie wystawowego gmachu. Nie ulega wątpliwości, że odstąpienie od pierwotnego planu urządzenia wystawy w Castel Gandolfo, wyszło wielkiej imprezie tylko na korzyść. Jakkolwiek bowiem nie może być w ogrodach watykańskich tego prześlicznego pejzażu, jaki roztacza się dokoła letniej rezydencji papieży, Watykan stanowi ramy ogromnego obrazu tak pełne splendoru i powagi, że piękniejszych nie możnaby znaleźć na całym świecie.

A przytem chodziło o to Ojcu świętemu, żeby pokaz tej prasy, do której tak wielką zawsze przywiązywał wagę, mieć tuż przy sobie, niejako pod sercem. Ów arsenał prawdy — bo reprezentowane tu pisma katolickie nazywa dewiza wystawy *arma veritatis* — powinien był stanąć tu, gdzie dźwiga się niezachwiany filar prawdy i skąd tak prawda wypływa, jak te przeczyste, obfite wody, które rozlewają się z fontann po samym placu wystawowym. To też Ojciec święty zarówno w inauguracyjnej przemowie, jak przez ogromną troskę, którą wielkie to dzieło od początku ota-

czał, dał wyraźny dowód jak dalece rozwój katolickiej prasy leży mu na sercu. Wystawa ma być nietylko przeglądem sił i zdobyczy już osiągniętych, ale przedewszystkiem ma być poglądową lekcją, co i jak robić, oraz pobudką, żeby robić coraz doskonalej.

Chociaż zestawienia statystyczne dla poszczególnych krajów, języków, instytucyj, zgromadzeń zakonnych, rodzajów pism i t. d. będzie można dać dopiero później, po rozejrzeniu się w olbrzymim materjale, już dziś można zdać sobie sprawę, że w społeczeństwo katolickie po całym świecie wsiąka ilość pism katolickich najróżniejszego rodzaju — wprost olbrzymia. Oczywiście, że jeszcze nie brak takich, do których żadne pismo katolickie nie dociera — największą winę ponosi tu analfabetyzm, i to nietylko w krajach misyjnych — ale gdyby zestawić z jednej strony ilość dorosłych katolików po całym świecie, z drugiej, wysokość nakładu pism i pisemek katolickich na całej kuli ziemskiej, różnica tych cyfr nie byłaby zbyt wielka.

Że wśród tych niezliczonych wydawnictw perjodycznych, jakie rozkładają się barwnym kobiercem na stoiskach wystawowych, nieporównanie większą liczbę stanowią miesięczniki lub dwutygodniki, to jest rzecz zupełnie prosta i bardzo dobrze znana. Z wielu i różnych powodów łatwiej jest zachować charakter katolicki w piśmie wychodzącem w rzadszych odstępach czasu. Nie brak jednak i całego mnóstwa pism katolickich codziennych — sama Francja ma ich około sześćdziesięciu — począwszy od takich potentatów, których nakład przechodzi sto lub dosięga wielu dziesiątków tysięcy egzemplarzy, aż do pism o skromniejszych rozmiarach, obsługujących jedną jakąś okolicę, lub niewielką grupę społeczną.

Co się tyczy jednak tej prasy codziennej, pomimo całego jej rozwoju, stwierdzić trzeba, że opinja katolickiego świata nie jest co do niej zupełnie jednolita i zupełnie spokojna. Pokazały to znowu świeże dyskusje, jakie pojawiły się czyto w referatach czy w artykułach, tak z okazji otwarcia watykańskiej wystawy, jak z okazji, prawie równocześnie obradującego w Rzymie, XXXVI Kongresu „Dobrej Prasy". Stawiano sobie mianowicie niejednokrotnie pytanie, widocznie do tej chwili nie bez reszty rozstrzygnięte, czem z natury swojej jest i czem jako taki być powinien prawdziwie katolicki dziennik.

Co do jednej ważnej i praktycznej kwestji, w miarodajnych przynajmniej kołach, osiągnięto względną zgodę. Ustaliło się mianowicie to przekonanie, że na szczytne miano katolickiego dziennika nie zasługuje pismo, które, jako takie, na pierwszy plan wysuwa służbę czy to politycznej partji, czy

społecznej klasie, czy tym lub owym czysto doczesnym celom a dopiero na drugiem miejscu stawia mniejsze lub większe sharmonizowanie swych idei z nauką katolicką. Dziennik katolicki musi być katolickim przedewszystkiem. On musi mieć się z powołania swego za sługę i obrońcę katolickiej prawdy, za pomocnika hierarchji, zwłaszcza Akcji Katolickiej za oświeciciela katolickiego sumienia i katolickiej opinji. Powołanie dziennika katolickiego jest więc do pewnego stopnia apostolskie. On nie tylko nie może ani w artykułach ani w wiadomościach bieżących, ani w feljetonach, ani w kronice ani nawet w anonsach dopuszczać rzeczy niezgodnych z dogmatyczną, moralną czy społeczną nauką Kościoła, ale musi pozytywnie, i to na pierwszem miejscu zasady katolickie głosić i w obronie ich występować.

Jeżeli jednak poza tem zasadniczem ujęciem kwestji chodzi o pytanie, jak konkretnie ma wyglądać w katolickim dzienniku owa propaganda i obrona katolickich rzeczy, zaznacza się niemała rozbieżność zapatrywań.

Jedni sądzą, że katolicki dziennik musi ustawicznie zapełniać swe łamy wiadomościami z kościelnego życia. Chcą więc, żeby zamieszczał nietylko enuncjacje Stolicy świętej i Episkopatu, ale zawiadomienia o różnych katolickich czyto religijnych czy społecznych zebraniach, obchodach, imprezach, rocznicach i t. p., o budujących wydarzeniach z misyjnej czy innej apostolskiej pracy, o wypadkach wreszcie z osobistego życia dostojników czy działaczy kościelnych. Zwolennicy tego poglądu motywują go na kilka sposobów. Najpierw mają wrażenie, że jeżeli dziennik nie będzie w powyższy sposób zapełniony specyficznie kościelnemi wiadomościami, to nie będzie miał cechy wyraźnie odróżniającej od innych pism, nie ściśle katolickich. Powtóre uważają, że w ten sposób wyrobi się w kołach czytelników usposobienie prawdziwie kościelne, interesujące się tem wszystkiem, co dotyczy Kościoła, jego życia i jego hierarchji. Po trzecie wreszcie biorą i to w rachubę, że zasilanie dziennika materjałem informacyjnym osobistym, schlebiając w pewnej mierze próżności ludzkiej, może zapewnić pismu większą liczbę chętnych czytelników.

Inni wszakże, pomimo tych racyj, odmiennego są zdania. Sądzą oni, że w dziennikach katolickich, o ile nie są ściśle religijne, tyle tylko miejsca zajmować powinny wiadomości specyficznie kościelne, ile koniecznie potrzeba, żeby czytelnicy mogli się orjentować w wielkich linjach kościelnego życia i działania. Pozatem powinien dziennik katolicki pisać o wszystkiem, co w innych gazetach znaleźć można, i mieć oczy otwarte na wszystkie objawy życia tego społeczeństwa, które obsługuje, ale z takiemi trzema zastrze-

żeniami: Najpierw powinien za wszelką cenę pisać wyłącznie prawdę i stąd wyzwolić się z pod wpływów takich agencyj prasowych, które na daną sobie zgóry komendę sieją po świecie tendencyjne fałsze i nigdy nie ulegać pokusie czerpania ze źródeł, które na koszt prawdy umieją tylko podniecać niezdrową żądzę sensacyjnych wieści. Powtóre, referując fakty, powinien dziennik katolicki, bez pedanterji, bez kaznodziejskiego tonu, ale z pełną świadomością swego posłannictwa, dawać im katolickie naświetlenie, to znaczy, wyjaśnić w jakim stosunku one się znajdują do nauki, do dążeń, do doraźnych wskazań kościelnej władzy. Po trzecie wreszcie, gdzie interes Kościoła w grę nie wchodzi, nie powinien katolicki dziennik uprawiać na czyjąkolwiek korzyść polityki jako takiej. Może i powinien objektywnie przedstawiać programy i poglądy, ale nie powinien o nie kopji kruszyć, bo straciłby temsamem ten charakter powszechności, który z samej jej nazwy, prasę katolicką cechować musi.

Że prowadzić w taki sposób dziennik katolicki jest bez porównania trudniej, niż zapełniać jego szpalty drobnemi wiadomościami z bieżącego kościelnego życia, to nie ulega wątpliwości. Zachowanie tej linji wymaga od redaktorów, prócz głębokiej znajomości zasad katolickich i tego nadprzyrodzonego instynktu, zwanego *sensus catholicus,* który natychmiast potrafi odróżnić, co w danych ideach i ruchach odpowiada, co nie odpowiada katolickim pojęciom; ono wymaga dużego hartu umysłu i charakteru, by pracując na terenie, dla innych pism dostępnym, nie dać się unieść pokusie oceniania wypadków i teoryj z innego, jak katolickiego punktu widzenia.

Ale też dziennik katolicki tak pojęty może oddać Kościołowi nieocenione usługi. Przedewszystkiem on nie wprowadza pomiędzy katolików rozdźwięków, bo nie rozdrażnia nikogo takiem lub innem czysto politycznem nastawieniem i nie odstrasza kulturalnych umysłów tym pewnym „klerykalizmem", który myślącym ludziom dnia dzisiejszego notorycznie jest niesympatyczny. On jednoczy wiernych w tem, gdzie jest *necessaria unitas,* a nie zamyka pola do godziwej dyskusji; on nie odrywa wiary od życia ale owszem ustawicznie bieżące życie wedle wiary sądzi i kształtować usiłuje; on może wreszcie godnie reprezentować powagę i siłę katolickiej myśli, nawet poza ściśle wziętym katolickim obozem.

I na to bowiem trudno się zgodzić, jakoby dziennik katolicki miał mieć tak wyłącznie katolików na oku, żeby zupełnie nie brał w rachubę możliwych, owszem pożądanych czytelników postronnych. On nie powinien oczywiście ze względu na nich osłabiać katolickich zasad ani minimizować

postulatów, ale powinien tak występować, żeby móc i na tych, co zewnątrz stoją oddziaływać, nietylko nie zrażając ich żadną ciasnotą, ale pokazując im, że wszystko jest katolickie, co tylko prawdziwe i dobre i piękne. Jeśli dziennik katolicki nie będzie tak redagowany, żeby go mógł z pożytkiem i zadowoleniem czytać człowiek trzymający się zdala od Kościoła, to można mieć poważne obawy, że i wśród katolików wielu czytać go nie zechce i że wskutek tego przeciągać się będzie ta anomalja, że inteligentni katolicy posługują się w ogromnej większości prasą codzienną albo zupełnie obojętną i z imienia tylko katolicką, albo nawet tendecyjnie wrogą.

I tutaj już wypada dotknąć sprawy, na którą z okazji otwarcia wystawy watykańskiej również zwracano uwagę, że społeczeństwo katolickie potrzebuje jeszcze w tej mierze wielkiego wyrobienia, żeby na własną, zwłaszcza codzienną prasę zasłużyć. Jeszcze wogóle w Kościele, a przedewszystkiem u nas w Polsce, niema tej dyscypliny moralnej, żeby dzienników niekatolickich nie czytywać, żeby swojej katolickiej prasy żądać, żeby do jej stworzenia i rozwoju dopomagać. Świeżo zrobiona statystyka celów, na jakie łoży ofiarność katolicka wykazała, że 60% datków idzie na cele pobożne, 20% na cele wychowawcze, 15% na dzieła miłosierdzia a tylko 1% na działalność wydawniczą. To jest stan rzeczy bardzo smutny, bo watykańska wystawa samym faktem i sposobem swego zorganizowania a przedewszystkiem przez usta Namiestnika Chrystusowego przypomniała nam znowu tę znaną prawdę, że prasa jest dziś największą na świecie potęgą, bez pomocy której żadne inne siły ostać się nie potrafią.

Miejmy nadzieję, że ruch, skupiający się w tej chwili w starym *Cortile della Pigna* rozejdzie się szeroką falą po całym świecie katolickim, by dopomóc do stworzenia tak zgóry jak zdołu, lepszej jeszcze niż dotąd, katolickiej prasy codziennej.

Złożyły się na to różne czynniki, że odwieczna sprawa żydowska, nietylko u nas ale i zagranicą, stała się napowrót przedmiotem żywszych zainteresowań. W pierwszym rzędzie przyczyniły się do tego, z jednej strony gwałtowne prześladowanie krwi semickiej, jakie w zasadniczy swój program wprowadził narodowy socjalizm niemiecki, z drugiej, ogromny udział żydów w potęgującej się ciągle komunistycznej propagandzie, ale prócz tych dwóch czynników, jeszcze coś trzeciego odgrywa tu rolę. To powszechne, niemal żywiołowe odczucie, że dokonywa się w tej chwili jakaś bardzo głęboka przemiana porządku i ustroju świata prowadzi do zro-

zumienia, że w tym rodzącym się nowym porządku rzeczy musi znaleźć jakieś rozwiązanie i problem tak niezmiernej doniosłości, jak problem żydowski. Coraz więcej, takich nawet umysłów i organów, które dotąd trzymały się w tej sprawie wygodnej maksymy: *quieta non movere*, zaczyna dziś pojmować, że wogóle w świecie, ale przedewszystkiem u nas w Polsce, gdzie kwestja żydowska jest sto razy dotkliwsza niż gdziekolwiek, rzeczy tak, jak są, dalej pozostać nie mogą. Stąd dyskusja, ale dyskusja idąca po zupełnie przeciwnych drogach myśli.

Jednym niestety imponują metody hitlerowskie i radziby je stosować bądź integralnie, bądź przynajmniej w dość szerokiej mierze. Krótka recepta brzmi: prześladować żydów gdzie i jak tylko można, aby wreszcie wynieśli się od nas, a dokąd? — to jest już ich sprawa.

Trzeba bardzo nad tem ubolewać, że ten, rozbrajający swą naiwnością, program potrafił aż tak głęboko zapuścić korzenie w umysłach chrześcijańskiej skądinąd młodzieży, że gdzieniegdzie zamienił się w czyn. Chociażby bowiem wszelkie prześladowanie żydów nie pociągało za sobą fatalnych pod każdym względem następstw, jest zupełnie sprzeczne ze sprawiedliwością i z Chrystusową miłością bliźniego i dlatego w żadnym katolickim programie ni światopoglądzie miejsca mieć nie może.

Ale jeżeli te poglądy, w jakiejkolwiek występowałyby formie, stanowczo i bezwzględnie odrzucane być muszą, nie mniej energicznie zastrzec się trzeba przeciw zapatrywaniom, które zdają się nietylko nie doceniać ale wogóle nie uznawać powagi kwestji żydowskiej i nie godzą się na to, jakoby ona powinna być przedmiotem czyto dyskusji czy jakichś praktycznych poczynań! „Z żydami jest obecnie wszystko w porządku i nic zasadniczego zarzucić im nie można: powinny więc społeczeństwa chrześcijańskie zostawić im swobodną rękę, owszem łączyć się z nimi do wspólnej kulturalnej i ekonomicznej pracy".

Że tego rodzaju teorje wychodzą z kół inteligencji wolnomyślnej i liberalnej, w której żydowskie wpływy i sympatje zatarły już chrześcijańskie pojęcia i odczucia, że oświadczają się za niemi socjaliści i komuniści, których oczywiście ani religja ani patrjotyzm od przymierza z żydami nie odwodzi — to rzecz bynajmniej nie dziwna. Dziwniejsze jest to, że zbyt bezwzględny anty-hitleryzm pewnych kół skądinąd katolickich doprowadził nie dość rozważne umysły do mniejwięcej podobnych zapatrywań.

I tak — żeby jeden świeży przykład przytoczyć — rozumne i zasłużone w walce z narodowym socjalizmem pismo wiedeńskie *Der Christliche Ständestaat* zamieściło w zeszy-

cie z 10 maja artykuł, znanego pisarza francuskiego, franciszkanina O. Lacombe'a, który usiłuje udowodnić, że sprawa żydowska, jeśli jaka wogóle istnieje, to jest kwestja czysto polityczna, która z zasadami chrześcijańskiemi, jako takiemi nie ma nic wspólnego, a potem reasumuje swe poglądy w następującem końcowem zdaniu: „A zatem „kwestję żydowską" i „antysemityzm" i „żydowskie niebezpieczeństwo" wyrzucimy z myśli chrześcijańskiej i pozostawimy wyłącznie politykom. Jeśli ci politycy przyjdą do nas jako ludzie prywatni, jako biedni grzesznicy, przejęci żalem, to rozgrzeszymy ich i z tej winy, bo Bóg bardziej kocha ludzi, niż ludzie wzajemnie miłują jedni drugich. Ale jeśli przyjdą do nas jako politycy i będą żądać od nas pochwały albo i pomocy dla swych niedorzecznych poczynań, to postąpimy z nimi jak z fałszerzami i koruptorami słowa Bożego i wywrócimy im stoły w przedsionku Jego świętego przybytku". [1])

Otóż nie? Jeśli wyrażony tu pogląd nie jest jakimś niewytłumaczonym *lapsus calami,* do którego może i sam autor niewielką przywiązuje wagę, to przeciw tego rodzaju teorji z całą stanowczością wystąpić trzeba. Sprawa żydowska jest zapewne i kwestją polityczną, jak jest kwestją ekonomiczną i społeczną, ale jest przedewszystkiem i na pierwszem miejscu kwestją związaną z chrześcijańską kulturą, z chrześcijańskim na świat poglądem, z wprowadzeniem i rozwojem chrześcijańskiego ładu i ustroju, z całym triumfem ostatecznym Królestwa Bożego na ziemi. Rzecz zupełnie prosta, że były i są między żydami jednostki, które w tej wielowiekowej walce ani osobistego udziału nie biorą, ani nawet z tej walki sprawy sobie nie zdają, ale jest to rzecz aż nadto znana i po wiele razy udowodniona, że od pierwszego wielkiego zderzenia z osobą Chrystusa, żydostwo jako takie nie przestało najzawzięciej walczyć z Kościołem i na wszelki sposób mu szkodzić. Pomijając już czasy starożytności chrześcijańskiej i średniowiecza, choć i o nich dużo w tym względzie powiedziećby można, od zarania ery nowożytnej, żydzi wprowadzili w społeczeństwa chrześcijańskie nieobliczalną w swych skutkach zarazę. Ich dziełem jest ten mamonizm i kapitalizm, który potargał dla kultu złotego

[1]) So wollen wir denn auch die „Judenfrage" und den „Antisemitismus" und die „jüdische Gefahr" aus dem christlichen Denken verbannen und allein den Politikern überlassen. Wir werden ihnen, wenn sie als Privatleute, als arme Sünder zu uns kommen und bereuen, auch diese Sünde vergeben, weil Gott die Menschen mehr liebt, als sich die Menschen untereinander. Wenn sie aber als Politiker zu uns kommen und unseren Beifall und gar unsere Hilfe heischen für ihre Ungereimheiten — dann wollen wir ihnen, diesen Wechslern und Falschmünzern des Wortes Gottes, im Vorhof seines heiligen Tempels die Tische umwerfen. l. c. str. 442.

cielca wszystkie węzły i prawa zdrowego ludzkiego współżycia; im zawdzięcza swój początek masonerja i inne podobne związki tajne; oni zrodzili socjalizm i komunizm z całym jego antychrystusowym i antyczłowieczym szałem; oni kierowali prawie wszędzie antykościelną polityką państw i stronnictw; oni byli najwydatniejszem źródłem jak społecznego, tak ideowego i religijnego rozstroju. Mają więc chrześcijanie — żeby cały szereg innych skarg pominąć — aż za wiele powodów do tego, żeby uznawać istnienie kwestji żydowskiej i niebezpieczeństwa żydowskiego, bez cudzysłowów; mają aż nadto racyj, żeby widzieć w żydostwie siłę bardzo wrogą wszystkiemu, co jest i chce być prawdziwem chrześcijaństwem. Kto miałby co do tego jakiekolwiek wątpliwości, niech zajrzy do księgi, wielu żydom wprawdzie mało znanej, ale jednak księgi, na której urabiał się przez wieki specyficzny duch tego plemienia, t. j. do autentycznych wydań czyto palestyńskiego czy babilońskiego talmudu.

W rozległe i skomplikowane pytanie, co trzeba robić, żeby to niesłychanie groźne niebezpieczeństwo zażegnać, czy przynajmniej ograniczyć, wdawać się tu szczegółowo nie możemy. Oczywiście, że jedynym bezwzględnie skutecznym sposobem rozwiązania kwestji żydowskiej jest nawrócenie. Dopiero szczere przyjęcie chrześcijaństwa zabija w duszy żydowskiej wszystkie te bakcyle, które robią z niej taką dziwnie destrukcyjną siłę. Ale jakkolwiek ostatniemi laty liczba wybitnych nawróceń, także w Polsce, dochodzi do cyfry kilku tysięcy, jakkolwiek w żydostwie, zwłaszcza francuskiem, da się skonstatować maleńki zwrot ku Kościołowi,[1]) na nawrócenia w szerszych rozmiarach liczyć trudno. Za wiele jeszcze jest głębokich uprzedzeń, za wiele ogromnych trudności, które konwertyta z żydostwa przezwyciężyć musi.

---

1) W artykule *Chronique du judaisme français* (Etudes 5 maja b. r.) stwierdza J. Bonsirven, że żydowska prasa francuska straciła ostatniemi czasy ten ton agresywny, który ją zazwyczaj cechował. Przytacza on tamże z pisma *Univers israelite* z 18. października 1935 następujący ciekawy ustęp: Il faut qu' après avoir cru qu' on pouvait, sans danger, demander à Dieu l'oubli du mal, qu'on fait à nos frères les chefs respectés de nos communautés demandent à la plus haute autorité spirituelle du monde catholique d'unir sa voix à la leur, non plus seulement pour prier, puisque des dogmes nous séparent encore, mais pour condamner, puisque les persécutions nous rapprochent, et que toute foi est désormais un crime. Il faut que les grands rabbins demandent à Rome de défendre avec ses prêtres et les nôtres, les droits de la conscience et l'intangibilité de la foi. — Ustęp ten jest wprawdzie znamienny, ale rozczulać się nim zbytnio nie należy, bo wiadomo nam i z prób podejmowanych u nas w kraju, że żydzi, gdy im grozi prześladowanie, uciekają się chętnie pod skrzydła władz kościelnych, ale nie myślą dlatego się wyrzekać antychrześcijańskiej i antynarodowej działalności, którą większość ich konsekwentnie uprawia.

O asymilacji narodowej bez nawrócenia ani rozprawiać nie warto. Można być dodatnim narodowo elementem, jeśli się jest prawdziwie chrześcijańskim żydem, jak znany w Polsce autor kilku dziełek o sprawie żydowskiej, można słusznie mówić z Bergsonem: *je n'opposerai jamais ma qualité de juif à celle de Français ni à celle de chrétien,* ale nie można o tem marzyć, by żyd nienawrócony był zupełnie zdrowym i bezpiecznym członkiem chrześcijańskiego społeczeństwa.

Zostaje więc, jeżeli o Polskę chodzi, tylko emigracja, o której całkiem świeżo pisano u nas dużo i dobrze. Ponieważ jednak emigracja, zwłaszcza wobec stosunków panujących w tej chwili w Palestynie — o wydatniejszej emigracji do innych krajów myśleć trudno — nie rokuje nadziei wielkiego rozwoju, trzeba nam uciekać się do środka, który świeżo jeszcze zalecały usilnie władze kościelne w Polsce, tj. do tego a s e m i t y z m u, który jest sposobem rozwiązania palącej kwestji, zarówno skutecznym, jak moralnie godziwym. Trzeba zostawiać żydów samym sobie a eliminować ich, o ile tylko być może, z życia chrześcijańskiego społeczeństwa. Trzeba dążyć wytrwale do stworzenia dla żydów osobnych szkół wyznaniowych, by nasze dzieci nie zarażały się od nich niższą moralnością; trzeba wysuwać żydów poza nawias towarzyskiego, sportowego a tembardziej rodzinnego życia; trzeba ignorować żydowską literaturę czy prasę; trzeba przedewszystkiem się powstrzymywać od ekonomicznych z nimi stosunków. Ten ostatni punkt, trafiający w same źródła żydowskiej siły, jest naturalnie najtrudniejszy do przeprowadzenia, bo całe gałęzie handlu są niepodzielnie owładnięte przez żydów, ale trzeba ten obowiązek tak wytrwale przypominać, nad drogami do jego wykonania tak pilnie się zastanawiać, tak starannie przygotowywać się do tego, żeby móc ekonomicznie bez żydów się obchodzić, aż przecież osiągniemy jakieś znaczniejsze rezultaty. Rozumie się samo przez się, że trzeba nalegać na katolickie kupiectwo, by dawało towar po tych samych cenach, po jakich dają go żydzi, i uświadamiać katolickich nabywców, że przy bojkocie żydowskich sklepów narazie muszą ponieść pewne ofiary, ale że to są ofiary podjęte dla niezmiernie ważnej sprawy i religijnej i narodowej. O ile wszelkie ekscesy i pogromy, a więc i nawoływanie do nich trzeba jaknajostrzej potępić, o tyle propagandę konsekwentnego asemityzmu trzeba zalecić jako jedną z największych przysług, jakie można u nas oddać Kościołowi i Ojczyźnie.

Ubiegła niedziela 24 maja była na Jasnej Górze świadkiem obchodu, który powinien w życiu narodu zaważyć na długo, może na zawsze. Kilkanaście tysięcy młodzieży aka-

demickiej wobec grona arcypasterzy z Księdzem Kardynałem Prymasem na czele i wobec dziesiątków tysięcy przedstawicieli starszego społeczeństwa oddało się uroczyście w opiekę i poświęciło się służbie Matki Najświętszej, ślubując, że będą wiary katolickiej bronić i jej zasadami się kierować w osobistem, rodzinnem i społecznem, narodowem i państwowem życiu.

Powiedzmy jasno, że dokonała się z tym aktem rzecz nietylko wielka ale ogromna, tem większa, że nie był to wybuch chwilowego entuzjazmu, ale dobrze przemyślany czyn, który w sercach tej młodzieży przygotowywał się oddawna. Z jednej strony przygotowywała go wieloletnia, błogosławiona działalność rozmaitych stowarzyszeń religijnych i katolickich, a więc Sodalicji marjańskiej szkół średnich i szkół wyższych, Odrodzenia, *Iuventus christiana* i t. p. oraz ta piękna praca akademickiego duszpasterstwa, która, zwłaszcza w Warszawie, podczas rekolekcyj akademickich zapełniała kościoły tysiącami i tysiącami młodych, z drugiej strony przygotowywały go te uczucia i myśli, któremi przez ostatnich lat kilka poprostu wzbierało zbiorowe serce polskiej młodzieży. Nurtował to serce i szukał sobie ujścia, czasem na niewłaściwych drogach, potężny pęd do ideału, do poświęcenia, do jakiegoś heroicznego wysiłku; odzywał się w niem donośnie głęboki i szlachetny żal, że w kraju, mimo wszystko, tyle biedy, tyle krzywdy ludzkiej, tyle upokarzających niedostatków moralnych; dotkliwie wreszcie szarpało niem uczucie, że prócz niezmiernie trudnych warunków akademickiego życia, prócz większych jeszcze trudności ze znalezieniem sobie po studjach, możliwych warunków bytu, spotyka się młodzież u góry z czemś, co jej się wydaje poprostu uciskiem. Te wszystkie uczucia, dla których wogóle tak mało znajdowała zrozumienia, złożyła młodzież w tem potężnem wołaniu, jakie zaniosła do stóp jasnogórskiej Królowej: Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko! Ty nam dopomóż, Ty nas ratuj, Ty kraj nasz dźwigaj i stosunki nasze uzdrawiaj, Ty weź nas na nowo w twoją przemożną opiekę!

I nie można wątpić, że kiedy w ten sposób tysiące i tysiące młodych, z głębokiem przejęciem i ogromną powagą zwracało się do swej niebieskiej Królowej, pomiędzy Nią a Polską zadzierzgnął się nowy węzeł, trwalszy jeszcze, da Bóg, niż poprzednie. Ci, którzy za lat dziesięć lub piętnaście zajmą przeważną część czołowych stanowisk w kraju, obiecali uroczyście przed niebem i ziemią i zaręczyli samym sobie, że chcą aby ten kraj był i pozostał katolickim, nie pro forma tylko ale do głębi. Takie wołanie, doprawdy z samych trzewi wyprute, nie może pozostać daremnem: ono

jest niewątpliwą rękojmią, że cokolwiekbądź by się stało i jakiekolwiek wchodziłyby w drogę przeszkody, przyszła Polska będzie katolicka, będzie znowu i naprawdę królestwem Marji.

Czy w tym wspaniałym porywie serc młodych współdziałały może jakieś szlachetne lecz niższe albo może i mniej szlachetne uczucia?

Przy ogromnej liczbie uczestników i przy łatwości, z jaką zwłaszcza dzisiaj udzielają się zmienne nastroje, nie jest wykluczone, że w potężnym zespole głosów odezwało się gdzieniegdzie kilka tonów nie zupełnie czystych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że olbrzymia większość zebranej na Jasnej Górze młodzieży, ożywiona była nie innym, tylko bardzo podniosłym religijnym duchem, który nic innego nie miał na oku, jak odnowienie w Chrystusie całego naszego polskiego życia. „Rzucamy dziś na cały kraj — tak pisał w przeddzień obchodu jeden z głównych przedstawicieli katolickiej młodzieży uniwersyteckiej — hasło: Bóg i Ojczyzna i nadsłuchujemy odzewu wszystkich polskich serc, zdolnych do wielkich porywów, tęskniących do duchowego odrodzenia i świtu nowych dni. Na odwróconej karcie dziejów Polski, wypisujemy dziś płomienne słowo: miłość. Z niej wzięło początek nasze ślubowanie„ ona gorącą falą bije ze słów roty i wyzłaca nam wybraną Chrystusową drogę. Ze skarbem wszechogarniającej Bożej miłości — bo Polska wznosi się ponad spory i partje — z miłością ku Matce Najświętszej, Patronce polskiej młodzieży akademickiej, z miłością ku Ojczyźnie najmilszej i wszystkim ludziom, odchodzimy od jasnogórskich ołtarzy — i młodzi, mocni, ufni — niesiemy tę miłość jako rękojmię zwycięstwa“ [1]).

Młodzież zrobiła swoje i młodzież z pewnością pójdzie dalej po raz obranej drodze, ale na tem nie powinno się skończyć. To co stało się na Jasnej Górze i co spotkało się z tak żywiołową aprobatą ogromnej większości społeczeństwa, powinno dać do myślenia tak kierownikom młodzieży, jak wogóle tym wszystkim, którzy powołani są do kształtowania duchowej rzeczywistości polskiej. Trzebaby być ślepym, żeby nie widzieć, że coś się zmienia w zbiorowej duszy narodu, zwłaszcza w tej młodej duszy, która dziś może jeszcze jest pączkiem, ale jutro już w pełny kwiat się rozwinie. Co miało od tej duszy odpaść na lewo ku komunizmowi, ku bezbożnictwu, ku rozmaitym formom jałowego naturalizmu dzisiejszego, to już chyba w całości odpadło.

[1]) „Młodzież Katolicka“. Maj 1936, str. 15 i nn. „U wrót przyszłości“ przez Stan. Tesche.

Zostało to co czyste, szlachetne, co zewszechmiar najbardziej obiecujące dla przyszłości Ojczyzny.

I dlatego byłoby błędem niedodarowanie, gdyby chciano w imię jakichkolwiek politycznych rachub uczucia tej młodzieży nie już mrozić i tłumić, ale w jakikolwiek bądź sposób urażać. Co w niej się dokonywa, to jest cenniejsze niż wszystkie polityczne rachuby i to stanowi prawdziwy kapitał duchowej siły narodu.

Jeżeli więc istotnie na walnym zjeździe harcerstwa we Lwowie padły pod adresem akademickiej pielgrzymki jasnogórskiej nieżyczliwe i uwłaczające słowa, to stało się źle i bardzo źle. Przez takie słowa może kierownictwo organizacji harcerskiej stracić zaufanie młodych, albo wnieść rozdwojenie w ich szeregi. Smutny i wstydliwy monopol rzucania błotem na najpiękniejsze czyny polskiej młodzieży powinniśmy już pozostawić profesorom Sujkowskim czy innym podobnym „pracownikom kultury", torującym u nas drogę bolszewickiej ohydzie.

Prawdziwa Polska, ta Polska, która z bijącem sercem i gorącą modlitwą towarzyszyła duchem ślubującej młodzieży, policzy dzień 24 maja b. r. pomiędzy najpiękniejsze dni swych dziejów.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Kronika gospodarcza.

Walka o rozdział dochodu społecznego. — Bezrobocie. — Etatyzm zatrudnienia. — Rośnie nieznana Polska. — Emerytury. — Narada gospodarcza. — Przed zmianami?

Stanowczo nie żyjemy w czasach normalnych i spokojnych. Oczywiście mamy na myśli stosunki gospodarcze. W normalnej działalności gospodarczej zwichnięcia równowagi są niezbyt wielkie i nie powodują gwałtowniejszych wstrząsów. To też wszystkie działy życia gospodarczego naogół równomiernie są ważne. Z ekonomiką jest podobnie jak z organizmem ludzkim. Zwracamy uwagę a często dopiero dowiadujemy się o istnieniu jakiegoś narządu wówczas, gdy on niedomaga. To też w normalnej ekonomice poszczególne działy procesu gospodarczego jak wytwórczość, wymiana, rozdział dochodu społecznego i spożycie, naogół harmonijnie współżyją obok siebie.

Odmiennie jest w okresach zwichnięć. Lata wojny przyniosły nam zaburzenia szczególnie w produkcji, która o ile nawet była czynną to zaspakajała przedewszystkiem potrzeby walczących armij z natury rzeczy mniej aprowidując ludność cywilną. Po wojnach przeżywaliśmy długotrwały okres zaburzeń

we funkcjonowaniu wymiany a zwłaszcza obiegu pieniężnego. Znane są powszechnie, gdyż na własnej skórze wielokrotnie odczute następstwa pieniądza papierowego, jego dewaluacji, inflacji i t. p. W historji gospodarczej Polski okres tych zaburzeń szczęśliwie zamknięty został i na tym odcinku frontu gospodarczego mamy względny spokój, choć opłacony dużemi ofiarami.

Natomiast obecnie najwięcej aktualną, to znaczy najmniej zdrową dziedziną życia ekonomicznego jest rozdział dochodu społecznego. Jak wiadomo w dochodzie społecznym stanowiącym ogół wartości wyniku wytwórczości i wymiany społecznej w pewnym okresie czasu uczestniczą czynniki przyczyniające się do jego powstania. Czynnikami temi są przedsiębiorca, kapitał i praca. Przedsiębiorca otrzymuje zysk, kapitał procent a praca płacę. Tu zatem mieści się oś działalności gospodarczej ludzi, polegającej przecież na zdobywaniu środków celem zaspokojenia swoich potrzeb. Nic więc dziwnego, iż ten właśnie najistotniejszy punkt procesów gospodarczych stanowi w okresie zaburzeń punkt najbardziej zapalny. Jak już w poprzedniej kronice staraliśmy się wykazać, właściwie niesłusznem jest mówienie czy pisanie o „kryzysie". Kryzys bowiem będący wprawdzie bardzo silnem lecz tylko przejściowem zwichnięciem równowagi gospodarczej jest przeto pojęciem natury raczej chwilowej. Z chwilą jego przewlekania się, stabilizacji, przestaje być kryzysem, a staje się stanem normalnym, choć oczywiście na innym poziomie. Również oczywistem jest, że poziom ten jest niższy. I stąd tak często odzywają się głosy domagające się „równania w dół" a więc zniżenia poziomu jako tako trzymającej się gałęzi życia gospodarczego. Po kryzysie bowiem ustabilizowana pauperyzacja powoduje wzmożoną walkę o udział w dochodzie społecznym, jużto pomiędzy poszczególnemi zawodami, jużto między różnemi grupami społeczno-gospodarczemi zależnie od poziomu nowego ustabilizowania się jego stanu.

Pewne działy dzięki np. lepszej organizacji utrzymują się na poziomie nie o wiele niższym aniżeli dotychczasowy. Widzimy to np. odnośnie do przedsiębiorców w przemyśle skartelizowanym, a odnośnie pracy w pewnych zawodach jak np. u drukarzy. Natomiast działy inne zależnie od stopnia swojej siły organizacyjnej układają się na różnych niższych poziomach gospodarczych, często jeszcze w miarę postępowania pauperyzacji dalej się obniżających. Klasycznym tu już przykładem jest obecna sytuacja rolnictwa wśród producentów a niezorganizowanych zawodów w świecie pracy.

Zaostrzające się walki o udział w dochodzie społecznym przybierają często objawy ostrzejsze jak strejki a zwłaszcza strejki okupacyjne szerzące się coraz więcej u nas a także znane smutne wypadki jakie miały miejsce w różnych ośrodkach Polski w dużej mierze na tym tle.

Zaostrzenia te przychodzą bowiem w okresie dużego bezrobocia, w okresie naprężonych nastrojów, ogólnego przewrażliwienia nerwowego, spowodowanego w dużej mierze sytuacją międzynarodową a podniecanego jeszcze nadmiernemi alarmami sensacyjnej prasy.

W tych warunkach istniejące zawsze walki o rozdział dochodu społecznego przybierają nadmiernie ostrych wyrazów i częstokroć nieograniczają się do platformy ekonomicznej.

Zaostrza sytuację bezrobocie stanowiące obecnie w świecie jeden z najważniejszych a zarazem najtrudniejszych problemów nietylko ekonomicznych. Dowodem tego jest rozpoczęta właśnie w dniach Wielkiej Nocy kampanja wyborcza w Stanach Zjed. A. P. gdzie zapoczątkował ją dotychczasowy prezydent Roosevelt. Stając do walki o pozostanie na swoim stanowisku w nowej kadencji właśnie zagadnienie bezrobocia uczynił fundamentem swojego programu nietylko gospodarczego lecz również społecznego i politycznego.

Na szczęście w Polsce problem bezrobocia nie jest tak groźny jak w S. Z. A. P. dzięki mniejszej liczbie bezrobotnych oraz istnieniu odpowiednich ubezpieczeń. Niemniej budzić on musi szczególną troskę właśnie w okresie wzmożonej walki społecznej. Liczne kadry bezrobotnych z jednej strony gospodarczo wpływają obniżająco na płace, gdyż duża podaż wolnych rąk ludzkich obniża cenę pracy czyli zarobki, a z drugiej zaś strony równocześnie społecznie przyczyniają się do co najmniej utrzymania obecnych płac stojąc w zaostrzonych postaciach walki po stronie pracy.

W istocie bezrobocie jest daleko powszechniejsze niż świadczą o tem oficjalnie jego cyfry. Zależy to bowiem od pojęcia „bezrobotnego". U nas uważa się za niego człowieka, który pracował dawniej przez odpowiedni okres czasu, a obecnie nie mając pracy posiada prawo korzystania z odpowiednich zasiłków. A zatem nie są „bezrobotnymi" osoby, które straciły już prawo do zasiłków choć nawet nie otrzymały ponownie pracę a także ludzie, którzy wogóle jeszcze nie zaczęli pracować. Nie trzeba dodawać, że sytuacja ekonomiczna a co zatem idzie i nastawienia psychiczne tych kategorji ludzi są jeszcze czarniejsze niż oficjalnych bezrobotnych.

W tejże sytuacji znajduje się niemal cała młodzież a właściwie szerzej biorąc całe młode pokolenie mające obecnie od lat kilkunastu do trzydziestu kilku. Młodzież ta naogół posiada odpowiednie kwalifikacje zawodowe i fachowe, chętna jest do pracy, pragnęłaby stworzyć własne rodziny, będące podstawą społeczną a nie może swoich planów ziścić z braku pracy.

Przed kilkoma miesiącami p. Wicepremjer inż. Kwiatkowski w szeregu wypowiedzianych wówczas przemówień dotknął tego zagadnienia i — jak słyszeliśmy przez radjo — odnośny ustęp

jego oświadczenia w Sejmie spotkał się z najwyższą reakcją uznania. Jakiż to był ustęp? Zapowiedział w nim kierownik polskiej polityki gospodarczej unormowanie stosunków pracy i umożliwienie egzystencji młodzieży przez zniesienie pracy emerytów, kobiet a także przez utrudnianie łączenia kilku posad w jednem ręku.

Rząd obecny istnieje od pół roku. Oczywiście okres sześciu miesięcy jest zbyt krótkim, aby można było w nim dokonać wszystkiego, zwłaszcza, iż mimo nader trudnych warunków istotnie p. Minister Skarbu urzeczywistnił ogromną ilość swoich zamierzeń i przyrzeczeń. Omawiany obecnie problem jeszcze nie doczekał się swojej realizacji.

W ostatnich czasach wiele mówiło się i pisało o jednym z węzłów morskich polskich problemów gospodarczych t. j. o etatyzmie. Koła gospodarcze, zwłaszcza przemysłowe i handlowe, słusznie uskarżają się na nadmiernie rozbudowaną działalność wytwórczą względnie wymienną państwa, jego organów i różnych instytucyj. Koła te słusznie podnoszą, iż nie są w stanie konkurować z rządowemi czy samorządowemi przedsiębiorstwami, warsztatami więziennemi czy szkolnemi i t. p., gdyż te wszystkie pozostają w stosunku do przedsiębiorstw prywatnych w sytuacji pomyślniejszej. Nie płacą one albo zupełnie lub w nierównej mierze podatki, świadczenia społeczne, korzystają z taniego i dogodnego kredytu, ich nader częste deficyty znajdują pokrycie w budżetach publicznych.

Jakże analogicznie przedstawia się etatyzm zatrudnienia. I tu państwo, choć może wbrew woli, interwenjuje w kierunku zmniejszenia ilości osób zatrudnionych. Wyda to się może paradoksem. Przecież bardzo często etatyzm w dziedzinie wytwórczości czy wymiany powstaje z przyczyn społecznych, z troski o niezmniejszanie stanu zatrudnienia. Tymczasem państwo, nie kładąc tamy lub nawet przeciwnie zmuszając pewne grupy ludności do wielokrotnego czerpania środków utrzymania, zmniejsza ilość osób zatrudnionych. Z tego względu pozwoliliśmy sobie zjawisko to określić mianem etatyzmu zatrudnienia. Na czem on polega?

Mnogie falangi emerytów publicznych t. j. zarówno administracyj cywilnej jak i wojska, jak wreszcie samorządów przechodzą do służby innej niezależnie od pobieranych emerytur i tą drogą zajmują miejsca młodszym jedynie skazanym na te źródła egzystencji. Jeszcze jaskrawiej występuje to zjawisko przy jakże częstych faktach łączenia kilku i to zazwyczaj bardzo lukratywnych posad. Również nieco analogicznie przedstawia się kwestja zatrudnienia kobiet, zwłaszcza żon i córek, społecznie i ekonomicznie dobrze usytuowanych jednostek. Zarówno emeryci jak i kobiety pozostają w dogodniejszych warunkach konkurencyjnych aniżeli młodzież, zwłaszcza męska, gdyż są wstanie przyjąć upo-

sażenie daleko niższe mając minimum egzystencji zagwarantowane innym dochodem własnym jak emerytura względnie żywiciela rodziny jak pensja ojca czy męża. Natomiast młodzieniec zmuszony z danej pracy utrzymać się wyłącznie lub do tego jeszcze z rodziną musi żądać odpowiedniego wynagrodzenia.

W wyniku tych zjawisk, występujących najsilniej wśród inteligencji pracującej, w warstwie tej narasta ogromna ilość młodych, zdolnych, rwących się do pracy, a niemogących jej uzyskać ludzi. Chociaż może ilość tych osób w państwie przeszło 33 miljonowem nie jest nadmiernie duża, jak sądzę, może nie przekraczać cyfry pół miljona, to jednak specjalnie tego elementu lekceważyć nie trzeba, nie można, nie wolno!

Faktem jest niezbitym zupełna nieznajomość istotnych nastrojów tych grup młodego pokolenia. Wśród nas rośnie i ilościowo rozrasta się nieznana Polska, mniej znana często miarodajnym osobom niźli dalekie kraje Azji czy Ameryki. Od czasu do czasu przejawiające się ostrzejsze wystąpienia tych grup nie mogą być „likwidowane" jedynie środkami administracyjno-represyjnemi. O ile kiedyś ze względów społecznych i gospodarczych (pomijając już inne) społeczeństwo niema żałować i ocknąć się zbyt późno to musi tę nieznaną Polskę jak najdokładniej i jak najszybciej poznać a przedewszystkiem spełnić naturalne a jakże proste jej hasło: pracy i prawa do życia!

Wspomniano powyżej o emerytach. Pozornie mogłoby się wydawać, iż istnieje kolizja interesów między emerytami a młodzieżą. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Nietylko między temi grupami niema zasadniczej sprzeczności, lecz istnieje zgodność. Młodzież domaga się pracy. Emeryci zapracowanego spokoju. O ile nawet istniałyby pewne przeciwieństwa między interesami młodego pokolenia a emerytów, to mogłyby dotyczyć one tylko specjalnej klasy emerytów, klasy pierwszej, uprzywilejowanej. Natomiast olbrzymia przewaga emerytów, tych którzy niezajmują miejsc innym, traci najwięcej.

Znaną jest powszechnie w ekonomji teorja użyteczności krańcowej, według której wielkość wartości dobra mierzy się ważnością tej potrzeby, która jest najmniej ważna z pośród potrzeb zaspakajanych z ogólnego zapasu dóbr danego rodzaju. Teorja ta głosi, iż złoty dla żebraka a tenże sam złoty dla miljonera nie przedstawiają równej wartości. Nie tak skrajnie lecz mocno podobnie przedstawia się kwestja emerytów. Złotówka odebrana emerytowi pobierającemu uposażenie w wysokości kilkudziesięciu(1), stu lub nawet dwustukilkudziesięciu złotych nie równa się złotówce z dochodów idących w tysiące.

W czasach ostatnich byliśmy świadkami niezwykłego jak na polskie stosunki zdarzenia. Mamy na myśli pełną jednomyślność i zgodność całej opinji publicznej co do tak zwanej sprawy emerytów. W ogólnym programie oszczędnościowym nowego Rządu,

obejmującym kwotę okrągło 300 miljonów złotych, postanowiono zaoszczędzić na emerytach około 12 miljonów złotych. I stała się rzecz niecodzienna. W społeczeństwie silnie dotkniętem najrozmaitszemi obciążeniami te 12 miljonów zł. stanowiące zatem zaledwie 4% obciążenia wywołało odruch niezwykle silny. Podnoszono zgodnie we wszystkich grupach społecznych i zawodach, iż ofiary ponoszone przez emerytów wszystkich, a szczególnie przez t. zw. „zaborczych", posiadających i tak uposażenia znacznie poniżej najmniejszego poziomu egzystencji, są nieproporcjonalnie duże z jednej strony w stosunku do sytuacji materjalnej emerytów, a z drugiej strony do finansowego efektu dla budżetu państwowego.

I tu właśnie tkwi najistotniejsza zgodność młodego pokolenia z pokoleniem schodzącem. O ile emerytury, nie będące przecież żadną łaską lecz w pełni i pracowicie zasłużonym prawem emeryta, będą gwarantowały emerytom i ich rodzinom spokojną, choćby najskromniejszą egzystencję, to emeryci ci nie będą zmuszani do dalszej pracy na innych placówkach i nie będą zabierali pracy innym, pomnażając zastępy ludzi bez środków do życia, co obecnie coraz silniej ma i mieć będzie musiało miejsce.

Niewątpliwie zagadnienia te starał się będzie rząd rozwiązać w drugiem półroczu swojej działalności, rozporządzając drugiemi pełnomocnictwami ustawodawczemi. Pierwszy okres prac Rządu zmierzać miał do zrównoważenia sytuacji skarbu Państwa. Obecnie, gdy walucie bezpośrednio nic nie zagraża, gdy pomyślniejsza już jest sytuacja skarbu Państwa (miesiąc marzec poraz pierwszy dał nadwyżkę budżetową), pora przystąpić do zdawna zapowiadanej przez Rząd akcji nad zaktywizowaniem prywatnego życia gospodarczego, którego sytuacja obecna bynajmniej nie nastraja optymistycznie.

Generalnem wysondowaniem opinji życia gospodarczego i niejako zebraniem materjału do wielkiej akcji aktywizacyjnej była Narada Gospodarcza zwołana przez Rząd z przedstawicielami życia gospodarczego, która obradowała w Warszawie w dniach od 28 lutego do 2 marca 1936 r. Na naradzie tej kilkuset przedstawicieli rolnictwa, górnictwa, przemysłu, rzemiosła, handlu i bankowości przy uczestnictwie kilku obserwatorów ze świata pracy, przedyskutowało najistotniejsze zagadnienia gospodarcze Polski współczesnej. Narada obradowała w komisjach: rynku pieniężnego i kredytu, obciążeń publicznych, obrotu towarowego oraz rentowności, inicjatywy prywatnej i inwestycyj publicznych. A zatem nie wyczerpano oczywiście szerokiej skali możliwych kwestyj, gdyż i tak zakres problemów na kilkudniowe obrady był niezwykle rozległy.

Z ważniejszych rezolucyj Narady Gospodarczej wymienić należy: oświadczenie się za obniżeniem stopy procentowej wkładów przy odpowiedniej obniżce kosztów kredytu. W zakresie

kredytu długoterminowego opowiedziano się za przeznaczeniem przez instytucje finansowe części gromadzonych oszczędności celem nabywania walorów długoterminowych na giełdzie i przyczynienia się przez to do podniesienia kursu tych walorów. W sprawie podatków państwowych opowiedziano się oczywiście za niezbędnością ich obniżenia. Podobny pogląd wypowiedziano w sprawach obciążeń samorządowych. Równocześnie Narada stwierdziła konieczność potanienia ubezpieczeń społecznych oraz ich usprawnienia na drodze uproszczeń przepisów i organizacyj. Komisja obrotu towarowego wypowiedziała rezolucję w sprawach polityki obrotu zagranicznego, wysuwając jako naczelną linję kierunkową w polityce handlowej powiększenie obrotów zagranicznych kraju, wychodząc z założenia, iż każde takie powiększenie odbija się korzystnie na rozmiarach obrotu wewnątrz kraju oraz ułatwia osiąganie nadwyżek bilansowych i zwiększenie zatrudnienia w kraju. Ponadto Komisja uchwaliła szereg rezolucji w sprawie obrotu wewnętrznego.

Może najwyższe zainteresowanie wzbudziły obrady Komisji rentowności, inicjatywy prywatnej i inwestycyj publicznych. Wynikało to niewątpliwie z silnie odczuwanej przez całe społeczeństwo konieczności przeprowadzenia inwestycyj publicznych oraz rozbudzania względnie ułatwiania inicjatywy prywatnej przy równoczesnem zdawaniu sobie sprawy z piętrzących się w obu dziedzinach trudności.

Z pośród dwunastu uzgodnionych rezolucyj tej Komisji na szczególną uwagę zasługuje rezolucja następująca: W obliczu naczelnych potrzeb obrony narodowej, w obliczu zaostrzającej się kwestji demograficznej i socjalnej, w imię wreszcie spotęgowania materjalnych sił narodu — uczestnicy Narady Gospodarczej z najwyższym naciskiem podkreślają konieczność silnego wzmożenia tempa uprzemysłowienia kraju i apelują do Rządu o wypracowanie w ciągu 1936 r. programu zaktywizowania polityki gospodarczej w tym kierunku w ramach inicjatywy prywatnej.

Natomiast nie uzgodniono dwóch rezolucyj, z których jedna twierdziła „wobec wielkiej elastyczności konsumcji wiejskiej wogóle a w zakresie artykułów przemysłowych w szczególności należy natychmiast skoncentrować maksimum wysiłku na przywrócenie w pierwszym rzędzie opłacalności gospodarstw wiejskich i ich siły nabywczej", podczas gdy druga wypowiada „zdecydowany pogląd, że możliwości rozwojowe konsumcji artykułów przemysłowych przez wieś są dość znacznie ograniczone — a znacznie większe możliwości szybszego rozwoju konsumcji artykułów przemysłowych istnieją ze strony miast". Oczywiście przy tak djametralnie różnych poglądach na podstawowe zagadnienie polityki konsumcji wewnętrznej uzgodnienie było wykluczone.

Zadaniem kronikarza jest rejestrowanie zdarzeń zaistniałych a nie przepowiadanie przyszłości. Choć więc w czasie, gdy arty-

kuł ten znajdzie się w rękach Szanownych Czytelników zaistnieją prawdopodobnie doniosłe i daleko idące zmiany w gospodarce Polski, to jednak obecnie stojąc dopiero przed niemi, zawcześnie byłoby o nich pisać.

Dr. M. J. Ziomek.

Sprawozdanie Zjednoczenia Polskich Lekarzy Katolików za rok 1935.

Rozpoczęte w roku 1934 starania zmierzające ku pogłębieniu nurtu życia katolickiego w środowisku lekarskiem, były prowadzone dalej. Świadczy o tem poważna ilość wartościowych referatów i towarzyszące im ożywione dyskusje.

Nie ograniczaliśmy się jednak na staraniach o pogłębienie własne; odwołaliśmy się do całego ogółu polskich lekarzy katolików, i z ogółem tym zdołaliśmy nawiązać pierwsze, wprawdzie jeszcze bardzo delikatne, nici.

Po raz pierwszy od odbudowania Polski niepodległej, lekarze polscy zgromadzili się w znacznej liczbie celem wspólnego odbycia rekolekcyj i wspólnego przystąpienia do Stołu Pańskiego. Na pierwsze nasze wezwanie o pomoc dla biednych, otrzymaliśmy od lekarzy warszawskich tak poważną liczbę zobowiązań do bezpłatnego przyjmowania chorych, że pozwoliło to nam uruchomić organizację pomocy lekarskiej dla biednych stołecznego miasta Warszawy. Nasze wystąpienie w obronie katolickiego stanowiska w sprawie projektu kastracji i sterylizacji, wyrażone podczas dyskusji nad referatem prof. Grzywo-Dąbrowskiego w Warszawskiem Tow. lekarskiem, spotkało się z sympatją i najzupełniejszem zrozumieniem.

Ze strony władz kościelnych, w szczególności od J. E. ks. kardynała Kakowskiego i J. E. ks. kard. Nuncjusza Marmaggi'ego, doznawaliśmy zawsze poparcia i życzliwości.

Poparcia doznaliśmy również od J. E. ks. bpa Lorka przy organizowaniu pomocy lekarskiej dla biednych, i od ks. rektora Detkensa przy urządzaniu uroczystych nabożeństw i rekolekcyj w kościele św. Anny, a przedewszystkiem od ks. prefekta Kowalińskiego, któremu jesteśmy szczerze wdzięczni za kierownictwo najważniejszą częścią naszych wysiłków: pracą nad pogłębieniem własnem.

Życzliwości i pomocy doznaliśmy i od organizacyj katolickich: Sodalicji Marjańskiej Inteligencji męskiej, Konferencji św. Wincentego à Paulo, Stowarzyszenia Pań pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo i Katolickich stowarzyszeń młodzieży akademickiej. Nasz czynny udział w życiu katolickiem i lekarskiem wyraził się: w zorganizowaniu opieki lekarskiej dla piel-

grzymki chorych do Częstochowy; zorganizowaniu pomocy dla biednych m. st. Warszawy; w zebraniu podpisów na listach do J. E. ks. kardyn. Kakowskiego, ks. prymasa Hlonda i p. Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie uwięzionych w sowieckich więzieniach księży katolickich; w zorganizowaniu kursów dla przyjaciół akademickich Polskiego Czerwonego Krzyża; we wzięciu udziału w ankiecie prasowej na temat samobójstw młodzieży; w przyjęciu pod opiekę lekarską domu wypoczynkowego w Chylicach (Konf. św. Wincentego à Paulo); w udziale w Akademji Marjańskiej Akademickiej; w wykładach z deontologji dla medyków (dr. Wojno: Lekarz w walce o zdrowie i życie człowieka); w kursie o rodzinie katolickiej zorganizowanym przez Akcję Katolicką w Łomży; wreszcie w udziale w konferencji porozumiewawczej inteligencji katolickiej w Polsce i w centralnym Sekretarjacie Narodowych Towarzystw lekarskich katolickich w Paryżu.

Referaty wygłosili: dr. Z. Wojno: „Chrystus jako lekarz"; dr. Wasilewska-Mironowiczowa: „Człowiek, jego początek, istota i cel ostateczny"; dr. Z. Wojno: „Afirmacja życia w katolicyźmie"; dr. Wł. Brodowski: „O inkwizycji" część I; tenże: „O inkwizycji" część II; dr. St. Wąsowicz: „Stosowanie narkotyków przez lekarza katolika"; ks. Ign. Krause: „Działalność lekarska w polskiej misji katolickiej w Chinach"; dr. Leon Pękosławski: „Jezus-Bóg Człowiek"; dr. doc. St. Pokrzewiński: „Pielęgniarstwo zakonne i świeckie".

Wybrany na zebraniu walnem Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: Przewodniczący St. Wąsowicz, zast. przewodniczącego St. Pokrzewiński, skarbnik i kierowniczka działu referatowego Z. Wojno, bibljotekarz i referent prasowy Fr. Cieszyński, sekretarz Wł. Brodowski. Zarząd odbył 22 posiedzeń, prócz tego członkowie Zarządu nawiązywali osobisty kontakt z miastami prowincjonalnemi przez wyjazdy: Z. Wojno do Wilna, Łomży, Poznania, Fr. Cieszyński do Poznania. W ciągu roku sprawozdawczego ubyło 6 członków, przybyło 16. Razem członków zwyczajnych liczy obecnie Zjednoczenie 63.

Dr. Wład. Brodowski
sekretarz

Dr. St. Wąsowicz
przewodniczący

WARSZAWA — dnia 18/IV 1936 r.
Mokotowska 52.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 2 czerwca 1936 r.

Spis rzeczy tomu 210.

Artykuły:

Str.

O. Halecki: Pius XI — papież pokoju 3

Ks. J. Urban T. J.; Przenikanie bezbożnictwa do umysłowości polskiej 12

A. Vetulani: Konkordat z Austrją (dok.) 29

Ks. J. Ussas: Z dziejów grabieży i niszczenia polskiego mienia kościelnego przez Rosjan w świetle świadectw rosyjskich . . 45, 185

Ks. B. Bojułka: Zgorszenie Krzyża 67

J. Reychman: Niedoszły projekt z czasów Komisji Edukacyjnej 80

J. Hulczyński: Nasz Kościół — Kościołem męczenników 137

G. Reynold: Ruch korporatywny w Portugalji 163

A. Niesiołowski: Zagadnienie „pacyfizmu słowiańskiego" 204

R. Dyboski: John Henry Newman 265

St. Szczutowski: Inflacja i deflacja 281

Z. Starowieyska-Morstinowa: Na ideologicznym przełomie 298

J. Kostrzewski: Biskupin, zatopiona wieś prasłowiańska z przed 2500 lat 311

K. Piwarski: Kardynał Richelieu w świetle najnowszych prac historycznych 325

O. Forst Battaglia: Po wyborach francuskich 340

Przegląd piśmiennictwa.

W. Borowy: Dziś i wczoraj (J. Birkenmajer) 84

Academia Polona Litterarum et Scientiarum (J. Birkenmajer) 87

B. Hutten-Czapski: Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego (A. Romer) 91

T. Nowak: Oblężenie Torunia w r. 1658 (Ks. L. Frąś) . . . 94

St. Baley: Zarys psychologji w związku z rozwojem psychiki dziecka (Ks. Z. Goliński) 96

Str.

J. E. Georg: Z tajników pożycia małżeńskiego. — A. Zajdlicz: Odkrycie Dr. Ogino. — J. Marski: Małżeństwo wierne naturze (Ks. S. Podoleński) 97

S. Behn: Das Ethos der Gegenwart (Ks. Z. Goliński) . . . 100

W. Stekel: Wychowanie rodziców (Ks. Z. Goliński) 101

F. W. Foerster: Wychowanie obywatelskie (S.) 103

P. Marjański: O urodę życia polskiego (S. K.) 103

Ks. F. Szanc: Stvoritelj svijeta (Ks. J. Zoré) 104

Ks. B. Szopiński: 32 pieśni na 3 głosy rożne lub 4 mieszane (Ks. H. Nowacki) 105

Z literatury rosyjskiej (Cz. Zgorzelski) 106

Literatura podróżnicza. Uwagi ogólne. — Arkady Fiedler: Ryby śpiewają w Ukajali i Zwierzęta z lasu dziewiczego (wyd. Roju). — Aleksander Janta-Połczyński: Ziemia jest okrągła (wyd. Roju). Odkrycie Ameryki (wyd. Przeworskiego). Stolica srebrnej magji (wyd. Roju). Made in Japan (wyd. Tow. Polsko-Japońskiego. — Bronisław Krystyn Wierzejski: Forty na piasku (Trzaska, Evert, Michalski). (Z. Starowieyska-Morstinowa) 113

Notatki bibljograficzne. Ks. N. Cieszyński: Roczniki katolickie. — Popularne wydawnictwa religijne Ks. Pallotynów. — Ks. S. Grelewski: Kościół Narodowy w Polsce. — A. Tymczak: Quaestiones disputatae de Ordine. — F. Muckermann: Heiliger Frühling. — J. Stępowski: Na morskich szańcach Rzplitej. — Tenże: Gdynia. — L. Turkowski: Żegnajcie druhowie-rekruci. — J. Nałęcz: Prawda zwycięża! 124

Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata (Z. Ciechanowska) 227

S. Dąbrowski: Eugenika ze stanowiska katolickiego. — J. Peterman: Pożycie małżeńskie wierne naturze. — Ks. H. Weryński: Z psychologji pożycia małżeńskiego (Ks. S. Podoleński) 231

Literatura podróżnicza. J. A. Szczepański: W śniegach i słońcu Afryki. — A. Bohomolec: Wyprawa jachtu „Dal". — F. Kulleschitz: Rejs dookoła świata. — L. Sapieha: Wulkany Kivu. — J. Meissner i T. Milewski: W krainie lęku i pragnienia. — A. Huxley: Drwiący Piłat. — R. Katz: Włóczęga dookoła świata i Pogodne dni wśród brunatnych ludzi. — P. Fleming: Przygoda brazylijska. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 245

Notatki bibljograficzne. Z wydawnictw Instytutu Bałtyckiego. — F. Hilchen: Porty morskie. — S. Kotarski: Opatów w latach 1861—1864. — Rocznik Gdański. — Kalista. — Apostoł młodzieży, ks. E. Szwejnic 245

Augustyn Jakubisiak: Od zakresu do treści (Ks. J. Urban) 352

Ks. Dr. M. Klepacz: Wartości życiowe religji. (Ks. J. Rostworowski) 354

Ks. K. Michalski: Nieznanemu Bogu. (Ks. J. Rostworowski) 354

J. Dowbor-Muśnicki: Moje wspomnienia (A. Romer) 355

Str.

Dr. I. Modelski: Józef Haller w walce o Polskę niepodległą i zjednoczoną. (A. Romer) 357

Knapowska Wisława: Krytyczne oświetlenie relacyj o śmierci Mickiewicza. (J. Birkenmajer) 358

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego: Sprawa Wyższej Uczelni na Pomorzu. (J. Birkenmajer) 360

Bibljoteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w. — Jan Smolik: Wiersze różne. (J. Birkenmajer) 361

Brensztejn Michał: Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski w pierwszej połowie XIX wieku. (J. Birkenmajer) 362

Slovenska sodobna lirika (O. Forst Battaglia) 363

Dr. A. M. Wachsmann: Das Religiöse im Gesamtablauf des Seelischen (Ks. K. Werbel) 366

A. Gardeil: La vraie vie chrétienne (Ks. Dr. A. Słomkowski) 368

H. Schumacher: Kraft der Urkiche. (Ks. Dr. A. Słomkowski) 369

N. Merlin: Saint Augustin et la vie monastique. (Ks. A. Słomkowski) 370

S. Perera: The Oratorian Mission in Ceylon. (Ks. Wł. Łaniewski) 372

Ks. J. Pastuszka: Filozofja religji H. Bergsona. (J. U.) 374

Notatki bibljograficzne. 374

Nadesłane 127. 247, 376

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Głos Prymasa o katolickie zasady moralne. — Jubileusz korporacji publicystów chrześcijańskich we Francji. (Ks. J. Urban T. J.) 128

Maj: Świat pod grozą postępów bolszewizmu. — Tragedja Hiszpanji. — Na froncie religijnym polskim. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 249

Czerwiec: Z powodu ogólnoświatowej wystawy prasy katolickiej w Watykanie. — Nowe głosy w kwestji żydowskiej. — Akademicka młodzież polska na Jasnej Górze. (Ks. J. Rostworowski) 378

Zjednoczenie Polskich Inżynierów Katolików (W.) 134

Perjodyki w Z. S. S. R. (Ks. J. Urban T. J.) 134

W walce z handlem kobietami i dziećmi. (Ks. S. Podoleński T. J.) 261

Kronika gospodarcza. Walka o rozdział dochodu społecznego. — Bezrobocie. — Etatyzm zatrudnienia. — Rośnie nieznana Polska. — Emerytury. — Narada gospodarcza. — Przed zmianami? (Dr. M. J. Ziomek) 489

Sprawozdanie Zjednoczenia Polskich Lekarzy Katolików na rok 1935. . . 396